

The book cover features a central illustration of a pencil. The pencil's body is a vibrant red, and its eraser is a dark blue. The pencil is oriented vertically, with the eraser at the top. The background is a deep, dark blue, filled with a radial pattern of fine, light blue lines that emanate from behind the pencil, creating a starburst effect. Scattered throughout the background are small, irregular red and white specks, resembling dust or confetti. The author's name, 'MICHAEL CHABON', is printed in a bold, white, sans-serif font. 'MICHAEL' is positioned above the eraser, and 'CHABON' is printed across the eraser and the top of the pencil body. The title, 'POŚWIATA', is written in a white, outlined, sans-serif font on the red pencil body, centered below the eraser. A thin white horizontal line is positioned directly beneath the title.

MICHAEL
CHABON

POŚWIATA

Michael Chabon

POŚWIATA

przełożył Michał Kłobukowski



Tytuł oryginału: *Moonglow*

Copyright © 2016 by Michael Chabon
Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal,
MMXVIII
Copyright © for the Polish translation by Michał Kłobukowski,
MMXVIII

Wydanie I

Warszawa MMXVIII

Redaktor inicjujący: Magdalena Gołdanowska
Redaktor prowadzący: Magdalena Matuszewska

Przekład: Michał Kłobukowski
Redakcja: Maria Wirchanowska
Korekta: Piotr Królak, Grzegorz Krzymianowski

Projekt okładki: Aleksandra Nałęcz-Jawecka – to studio

Skład i łamanie:
Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel. (22) 828 98 08
faks (22) 395 75 78
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-5583-4

Im, serio
Im

Ciemna strona Księżyca właściwie nie istnieje. W gruncie rzeczy cały jest ciemny.

Wernher von Braun

Od autora

Podczas opracowywania tych wspomnień trzymałem się faktów, chyba że kłóciły się z pamięcią, fabularnym zamysłem czy też prawdą w moim subiektywnym rozumieniu. Zapewniam czytelników, że tam, gdzie pozwoliłem sobie rozminąć się z autentyzmem imion, nazwisk, dat czy nazw miejscowości, zniekształciłem przebieg zdarzeń i rozmów albo zmieniłem krewnym i postaciom historycznym tożsamość, ich wzajemne relacje lub motywy postępowania, zrobiłem to z należytą nonszalancją.



NOW! THE MISSILE YOU CAN FLY!
AN EXACT 1/20th SCALE MODEL OF U. S. NAVY'S
Aerobee-Hi research rocket

Entire Missile Returns Safely by Parachute

- 4 years to develop, \$50,000 production tooling
- Missile and rocket motor tested at U.S. White Sands Proving Grounds
- Rocket motor (pound of thrust every 2 seconds) classified safe "propellant device" by I.C.C.
- Rises 1,000 feet at 150 mph, ejects parachute for safe return
- Applauded by scientists & engineers as the answer to safe model rocketry
- Cape Canaveral in miniature — Educational, reliable, unique

15,000 man hours of engineering research went into development of this incredible 1/20th scale model of the U. S. Navy's Aerobee-Hi missile which will zoom up 1,000 feet (at 150-200 mph), eject a parachute from its soft vinyl nose cone, lower itself safely to earth. It takes 5 minutes to repack chute, install a new motor, and missile is ready for flight again. Solid fuel rocket motor—classified safe by I.C.C.—was introduced with missile in a feature article in *Mechanix Illustrated Magazine*. Easily assembled, kit contains all necessary materials, includes 6 rocket motors and single rail launcher for \$9.95 ppd. Scaled, 42" high all-steel launching tower—adjustable over 10° arc for wind correction—in complete kit, \$9.95 ppd. Additional motors—6 for \$2.95 ppd. *Money back guarantee.*

C/S CHABON SCIENTIFIC CO.
1308B LINCOLN BUILDING, 60 EAST 42nd STREET, NEW YORK 17

ESQUIRE : December 353

Reklama z pisma „Esquire”, październik 1958: „Pocisk, którym da się latać!”

I

Oto jak mi opowiedziano tę historię. Alger Hiss po wyjściu z więzienia nie bardzo mógł znaleźć pracę. Skończył przedtem prawo na Harvardzie, praktykował u Olivera Wendella Holmesa i brał udział w opracowywaniu Karty Narodów Zjednoczonych, ale odsiedział też wyrok za krzywoprzysięstwo i był osławionym sługusem międzynarodowego komunizmu. Wydał swoje pamiętniki, okazały się jednak tak nudne, że nikt nie chciał ich czytać. Rzuciła go żona. Nie miał złamanego centa i czuł się zupełnie przegrany. W końcu jeden z nielicznych przyjaciół, jacy mu jeszcze zostali, ulitował się nad skurwysynem i uruchomił swoje dojsćia. Hiss dostał pracę w nowojorskiej firmie, która produkowała i sprzedawała spinki do włosów zrobione z kawałka fortepianowej struny. Feathercombs, Inc. nieźle zaczęła, ale dostała się pod ostrzał potężniejszego rywala, który zrzywał jej wzory, kradł znaki firmowe i zaniżał ceny. Sprzedaż spadła. Na liście płac robił się tłok. Aby zwolnić miejsce dla Hissa, trzeba było kogoś wylać.

W zamieszczonej w „Daily News” z dwudziestego piątego maja 1957 roku relacji z aresztowania mojego dziadka niewymieniony z nazwiska współpracownik określił go mianem „cichego faceta”. Dla pozostałych komiwojażerów z Feathercombs dziadek był pilśniowym kapeluszem na wieszaku w kącie pokoju. Ten najpracowitszy sprzedawca z całej ekipy Feathercombs miał niestety najslabsze wyniki. Podczas przerw na lunch zaszywał się gdzieś z kanapką i najnowszym numerem „Sky and Telescope” albo „Aviation Week”. Wiadomo było, że jeździ crosleyem, ma żonę cudzoziemkę oraz kilkunastoletnią córkę i mieszka z nimi gdzieś w najgłębszych ostępach okręgu Bergen. Przed aresztowaniem zwrócił na siebie uwagę kolegów z pracy zaledwie dwukrotnie. Kiedy w piątej rundzie mistrzostw baseballu w 1956 roku wysiadło biurowe radio, naprawił je za

pomocą lampy próżniowej, którą wyrwał z wnętrza centralki telefonicznej. A pewien tekściarz z działu reklamy Feathercombs opowiadał, że wpadł raz na niego w Paper Mill Playhouse w Millburn, gdzie ta jego żona cudzoziemka grała, wyobraźcie sobie, Serafinę w Tatuowanej róży. Poza tym niewiele wiedziano o moim dziadku, a jego chyba to urządziło. Ludzie już dawno przestali próbować go wciągać w rozmowy. Widywano, jak się uśmiechał, ale nigdy nie przyłapano go roześmianego. Jeżeli miał poglądy polityczne czy jakiegokolwiek inne, dla pracowników biurowych Feathercombs, Inc. pozostawały one zagadką. Panowało przekonanie, że można go spokojnie wylać bez uszczerbku dla ogólnego morale.

Tuż po dziewiątej rano dwudziestego czwartego maja prezes Feathercombs usłyszał odgłosy zamieszania dobiegające z sekretariatu, gdzie posadzono bystrą dziewczynę, żeby odcedzała wierzycieli oraz inspektorów podatkowych. Słysząc było stamtąd męski głos, w którym zniecierpliwienie z każdą chwilą coraz bardziej przeradzało się w gniew. Dwukrotnie zadzwęczał telefon wewnętrzny na biurku prezesa. W sekretariacie brzęknęło tłuczone szkło. Zabrzmiało to trochę tak, jakby ktoś trzasnął słuchawką o widełki. Zanim prezes zdążył wstać z fotela, żeby sprawdzić, co się właściwie dzieje, do jego gabinetu wtargnął mój dziadek, wymachując czarną słuchawką (w owych czasach było to dość kanciaste urządzenie), za którą ciągnął się metrowy odcinek kabla z wystrzępionym końcem.

Pod koniec lat trzydziestych dziadek w chwilach wolnych od gry w bilard na pieniądze dostarczał fortepiany klientom domu towarowego Wanamaker's i z tego żył przez cztery lata studiów w Drexel Tech. Był tak barczysty, że ledwo mieścił się w drzwiach. Na głowie mimo codziennie aplikowanej porcji brylantyny kolebała mu się kędzierzawa szopa. Twarz miał przekrwioną, jakby za długo leżał na słońcu. „W życiu nie widziałem tak wściekłego faceta. Prawie było czuć, jak się z niego dymi” – powiedział reporterowi „Daily News” naoczny świadek.

Prezes Feathercombs przekonał się ze zdziwieniem, że za jego

zgodą stracił pracę kompletny wariat.

– O co chodzi? – zapytał.

Dziadek nie raczył odpowiedzieć na to czcze pytanie. Z zasady był przeciwny wykładaniu kawy na ławę. Uważał, że większość pytań to zwykłe wypełniacze, które mają na celu ograniczenie swobody ruchów pytanego, odwrócenie jego uwagi i skierowanie energii na boczny tor. Nigdy zresztą nie próbował się dogadać z własnymi emocjami. Złapał kabel od słuchawki za wystrzępiony koniec i dwukrotnie owinął go wokół lewej dłoni.

Prezes spróbował wstać, ale nogi zaplątały mu się pod biurkiem. Fotel umknął mu spod siedzenia i przewrócił się z grzechotem kótek. Prezes wrzasnął. Był to soczysty dźwięk, w pół drogi do jodłowania. Kiedy dziadek runął na prezesa, ten wywinął się w stronę okna z widokiem na Wschodnią Pięćdziesiątą Siódmą Ulicę. Zdążył jeszcze zauważyć, że na chodniku chyba gromadzą się przechodnie.

Dziadek omotał prezesowi szyję kablem od słuchawki. Rakietą jego gniewu dopiero za dwie minuty miała zużyć paliwo i spaść na ziemię. Czasu było więc w bród. W latach drugiej wojny światowej dziadka nauczono posługiwać się garotą¹. Wiedział, że fachowemu dusicielowi wystarczy chwila.

– O mój Boże! – jęknęła sekretarka, panna Mangel, gdy wreszcie weszła do gabinetu.

Szybko zareagowała, kiedy dziadek wdarł się do sekretariatu, woniejąc – jak potem wspominała – drzewnym dymem. Zdążyła dwa razy nacisnąć guzik telefonu wewnętrznego, zanim jej wyrwał słuchawkę. Chwycił podstawę aparatu i wyszarpnął z niej kabel.

– Zapłaci pan za to – rzekła panna Mangel.

Opowiadając mi o tym zdarzeniu po upływie trzydziestu dwóch lat, dziadek wymawiał jej nazwisko z podziwem, lecz gdy rakietą jego gniewu miała za sobą dopiero jedną czwartą swojej paraboli, słowa sekretarki odebrał jako prowokację. Wyrzucił podstawę telefonu przez okno sekretariatu. Brzęk, który usłyszał prezes,

1 Ni mniej, ni więcej, tylko kawałkiem struny fortepianowej, ukrywanym zazwyczaj w sznurowadle.

rozległ się właśnie wtedy, gdy telefon wylatywał przez szklaną pajęczynę na ulicę.

Dobiegł stamtąd oburzony okrzyk, więc panna Mangel podeszła do okna i wyjrzała. Z dołu patrzył na nią mężczyzna w szarym garniturze siedzący na chodniku. Na nosie miał okulary o okrągłych szklach, z których lewe pochłapane było krwią. Śmiał się². Jacyś ludzie przystanęli, żeby mu pomóc. Portier oznajmił, że wzywa policję. Wtedy to panna Mangel usłyszała krzyk swojego szefa. Odwróciła się od okna i pobiegła do gabinetu prezesa.

W pierwszej chwili pomyślała, że nikogo tam nie ma. Potem jednak usłyszała stuknięcie butem o linoleum, którym pokryta była podłoga: jedno, a zaraz potem drugie. Zza biurka wychyliła się potylicą swojego dziadka, aby natychmiast zniknąć. Dzielną panną Mangel obeszła biurko. Jej szef leżał brzuchem do dołu na lśniącej podłodze. Dziadek garbił się, siedząc mu okrakiem na plecach i dusząc go zaimprovizowaną garotą. Prezes ciskał się i miotał, usiłując przewrócić się na wznak. Słyszał tylko, jak noski jego kurdybanowych półbutów stukają o linoleum, szukając oparcia.

Panna Mangel chwyciła leżący na biurku prezesa nożyk do listów i wbiła go dziadkowi w lewą łopatkę. Po latach wspominał to jako jeszcze jeden godny podziwu czyn.

Czubek noża wbił się zaledwie na jakieś półtora centymetra, lecz dźgnięcie metalowym szpicem zablokowało meridian, którym płynął gniew. Dziadek stęknął.

„Jakbym się nagle obudził”, rzekł, gdy kilka dni przed śmiercią po raz pierwszy opowiadał mi ten fragment swojej historii. Jeden koniec kabla odwinął z szyi ofiary, a z drugiego wypłatał swoją lewą dłoń, w którą przewód głęboko się wpił. Słuchawka

2 Dziadek wiedział jedynie, że człowiek, którego niechcący trafił w głowę (aparatusz na szczęście tylko lekko o nią zawadził), nie zechciał wnieść oskarżenia. Wedle ustaleń „Daily News” był to niejaki Jiří Nosek, przewodniczący czechosłowackiej delegacji w czcigodnym zgromadzeniu, którego kartę pomógł opracować Alger Hiss. „Po raz pierwszy w dziejach komuch wysokiej rangi oberwał latającym telefonem”, z całą powagą doniosło „Daily News” i dodało: „Nosek powiedział, że jako porządny Czech ma obowiązek zżyć śmiechem wszystko, co go nie zabije”.

zagrzechotała o podłogę. Dziadek wciąż siedział okrakiem na prezesie, po chwili jednak wstał i cofnął się o krok. Prezes obrócił się na wznak i z wolna usiadł, zanim przesunął się na tyłku po linoleum i oparł o ścianę w przerwie między dwoma sekretarzykami. Łapczywie zaczerpnął tchu. Zęby miał różowe od krwi, bo gdy uderzył twarzą o podłogę, przygryzł sobie dolną wargę.

Dziadek zwrócił się w stronę panny Mangel. Wyrwał jej z ręki nóż do papierów i odłożył na biurko prezesa. Po każdym napadzie furii w jego oczach wzbierał żal jak fala przyptywu. Ręce mu opadły.

– Wybaczcie – powiedział do panny Mangel i do prezesa.

Zwracał się też zapewne do mojej czternastoletniej podówczas matki i do swojej żony, chociaż jej wina była chyba w tej sprawie nie mniejsza od jego własnej. Niewielkie miał szanse dostąpić wybaczenia, ale też poprosił o nie takim tonem, jakby wcale się go nie spodziewał ani nawet nie pragnął.

Kiedy dziadek dożywał ostatnich dni, lekarz przepisał mu silny hydromorfon przeciwko bólom wywołanym przez raka kości. W tym samym okresie wielu Niemców zaprzętało dziurawienie berlińskiego muru, a ja wpadłem pożegnać się z dziadkiem, akurat gdy dilaudid wybijał go swoim miękkim młotkiem z nawyku milczenia. I oto popłynęła opowieść o jego niepowodzeniach, dwuznacznym farcie i sytuacjach, gdy wycucie czasu i zimna krew zawodziły go lub nie. Przed blisko dwoma tygodniami moja matka urządziła go u siebie w pokoju gościnnym, a w chwili mojego przyjazdu do Oakland dostawał już niemal dwadzieścia miligramów dziennie. Kiedy usiadłem na krześle przy łóżku, prawie natychmiast zaczął mówić, jakby tylko czekał, aż dotrzymam mu towarzystwa. Teraz jednak myślę, że po prostu czuł szybkie zbliżanie się końca.

Wspomnienia wyłaniały się bez wyraźnej chronologii – z wyjątkiem pierwszego, a zarazem najwcześniejszego.

– Opowiadałem ci – rzekł dziadek, kołysząc się na paliatywnej

chmurce – jak upuściłem kociaka z okna?

Nie zwróciłem mu uwagi (ani wtedy, ani później aż do chwili, gdy ta chmurka na dobre go pochłonęła), że w ogóle bardzo mało mi mówił o swoim życiu. Nie znając jeszcze historii o napaści na prezesa Feathercombs, Inc., nie mogłem wtrącić, że dostrzegam w autobiografii dziadka zalążek motywu defenestracji. A kiedy mi wreszcie opowiedział o panie Mangel, telefonie i czeskim dyplomacie, postanowiłem przemilczeć to dowcipne spostrzeżenie.

– Zabił się? – spytałem.

Właśnie wyjadałem z filiżanki przeznaczoną dla dziadka porcję galaretki malinowej. Prócz niej dawał się już tylko namówić na parę łyżek rosółu z kury, który moja matka gotowała według przepisu nieboszczki babki (urodzonej i wychowanej we Francji), wciskając doń trochę soku z cytryny dla ożywienia koloru i smaku. Ale nawet galaretką niezbyt się interesował, więc sporo jej zostawało.

– Okno było na drugim piętrze – odparł dziadek. Po czym dodał z takim naciskiem, jakby jego rodzinne miasto słynęło z wyjątkowo twardych chodników: – W Filadelfii.

– Ile miałeś wtedy lat?

– Trzy czy cztery.

– Jezu. Co cię napadło?

Dziadek parę razy wystawił i schował język. Robił tak co kilka minut. Często wyglądało to, jakby mimochodem wydawał błazeński werdykt w kwestii, o której właśnie usłyszał od rozmówcy, w rzeczywistości był to jednak tylko skutek uboczny zażywanych leków. Język miał blady, pokryty meszkiem jak zamsz. Dzięki paru pieczołowicie hołubionym w pamięci pokazom z lat dzieciństwa wiedziałem, że potrafi nim dotknąć czubka nosa. Za oknem pokoju gościnnego mojej matki niebo nad zatoką San Francisco było szare jak aureola włosów wokół opalonej twarzy dziadka.

– Ciekawość – wyjaśnił, po czym znowu pokazał język.

Odparłem, że ciekawość bywa podobno zabójcza, zwłaszcza dla kotów.

II

W dzieciństwie dziadek mieszkał z rodzicami, ojcem swojego ojca i młodszym bratem Reynardem (który dla mojej matki był stryjem Rayem) w trzech pokojach na rogu Dziesiątej i West Shunk w południowej Filadelfii.

Jego ojciec znał niemiecki i pochodził z Pressburga (dzisiejszej Bratysławy), a przez całe lata dwudzieste i trzydzieste zakładał kolejne sklepy tekstylno-odzieżowe i narożne spożywczaiki, ale za każdym razem plajtował. W końcu porzucił wszelką nadzieję, że uda mu się utrzymać własną firmę, i dobił do mety jako zwykły sprzedawca w sklepach z alkoholem, świadek okradania cudzych kas. Swoją matkę mój dziadek zapamiętał jako pleczystą kobietę o złotym sercu – „świętą”, która podjęła się roli służącej męża i synów. Na zdjęciach ma kanciąstą, wbitą w stalowy gorset sylwetkę, czarne jak węgiel buty i ogromny biust, w którym zmieściłyby się turbiny. Prawie nie umiała czytać w jidysz ani po angielsku, ale zobowiązała mojego dziadka, a potem stryja Raya, żeby codziennie czytali jej żydowskie gazety, bo chciała być na bieżąco w sprawie najnowszych plag spadających na jej naród. Z cotygodniowego budżetu domowego zawsze umiała wykraść parę dolarów do skarbonki, tak zwanej pushke. Za te pieniądze karmiono dzieci osierocone w pogromach, a uchodźców wsadzano na parowce, które wiozły ich ku wolności. Dzięki litościwym defraudacjom prababci obsadzono pomarańczowymi gajami całe zbocza palestyńskich wzgórz.

– Zimą pranie zamarzało na sznurze – wspominał dziadek. – Musiała taszczyć zeszywniałe łachy przez tyle pięter.

Stryja Raya znałem z lat sześćdziesiątych jako playboya w lazurowym golfie i marynarce z szarego tweedu. Jeździł alfą spider, a na uszkodzonym lewym oku nosił zawadiacką opaskę. Chwilami przypominał mi Hugh Hefnera, a kiedy indziej Mosze Dajana. W dzieciństwie pilnie się jednak uczył i był wąty.

W tamtych czasach to raczej dziadek rozrabiał. Wyrzucenie kociaka przez okno było tylko strzałem ostrzegawczym.

Latem wałęsał się od śniadania do zmroku, zapuszczając się na wschód aż po cuchnącą rzekę Delaware, a na południe aż po stocznię. Widział, jak eksmitowana rodzina pije herbatę na chodniku, a wokół niej stoją łóżka, lampy, patefon i mosiężna klatka z papugą. Rozwinął kiedyś leżącą na pokrywie śmietnika gazetę i znalazł w niej krowie oko. Widywał dzieci i zwierzęta, które bito okrutnie, a zarazem z cierpliwością i troską. Widział, jak przed kościołem czarnych metodystów tłum otacza kabriolet nash, z którego wysiadła Marian Anderson, a półksiężyc jej uśmiechu jeszcze po upływie sześćdziesięciu lat rozjaśniał mu pamięć.

W południowej Filadelfii roiło się od Moonblattów i Newmanów – kuzynów, którzy w czasach dzieciństwa mojej matki, a potem mojego zaludniali wesela i pogrzeby. Ich domy służyły dziadkowi za miejsca postoju. Wędrując zygzakiem od jednego do drugiego przez kwartały ulic pozostające w rękach Irlandczyków i Włochów, kładł podwaliny pracy, którą trudnił się potem w czasie wojny. Miał dobre układy z paroma włoskimi piekarzami i sklepikarzami, które w sekrecie pielęgnował, oddając im usługi jako chłopiec na posyłki albo zamiatacz w zamian za garść bilonu, porcję lodów cytrynowych lub ciepłą kręconą bułkę. Studiował niuanse ludzkich zachowań i sposobów mówienia. Jeżeli chciało się uniknąć manta na Christian Street, można było zmienić chód i kąt pochylenia głowy, żeby wyglądać jak ktoś, kto ma prawo tamtędy iść, bo jest u siebie. Jeśli ten fortel zawiódł (albo delikwent – tak jak mój dziadek – nie stronił od bijatyk), stosowało się nieczyste chwytty. Nawet twardziele z Christian Street kwilili niemowlęcymi głosikami, kiedy wciskało im się kciuki w oczodoły. Na stoku nasypu kolejowego za silosem fabryki nawozów, który kształtem przypominał pierś, raz po raz wybuchała bitwa na deski wyłamane spod materaców, kawałki rur, proce i kamienie. Dziadek stracił ząb, złamał rękę i nie wiem ile razy zakładano mu szwy. Na lewym pośladku miał wypukłą bliznę – ślad po flaszce od piwa, na którą klapnął

tyłkiem podczas bójki na pustej parceli za cukrownią McCahana. Kiedy sześćdziesiąt lat później podawano mu basen, za każdym razem widać było tę szramę – srebrzystą zmarszczkę, pocałunek przemocy.

Jego zniknięcia i rany konsternowały rodziców, którzy próbowali go okiełznać. Wytyczali granice, ustalali reguły, ale dziadek ich nie przestrzegał. Stanowczo odmawiał zdradzenia szczegółów lub imion, kary cielesne nie robiły na nim wrażenia i gotów był się wyrzec wszelkich przyjemności, których go pozbawiano, toteż przetrzymał próby rodziców. Z czasem oboje dali za wygraną.

– Nie ma sposobu na chłopca, który wyrzuca koty przez okno – powiedział pressburską niemczyzną stary Abraham, dziadek mojego dziadka. Rządził ze swojego kąta w salonie służącym także za jadalnię, zasiadając na specjalnej poduszce z otworem, przeznaczonej dla chorych na hemoroidy, a wokół niego leżały księgi z komentarzami. Zbliżał się zmrok, był to bowiem jeden z ostatnich wolnych wieczorów lata.

– A jak się zgubi? – spytała moja prababka po raz tysięczny albo i stutysięczny.

– On się nie gubi – odparł stryj Ray, wydając orzeczenie, które z czasem zajęło poczesne miejsce w rodzinnym Talmudzie. – Wie, gdzie jest.

Tymczasem dziadek tkwił jak w pułapce pod jednym z sześciu drewnianych wagonów towarowych, które stały na bocznicy w najdalszym końcu placu magazynowego nad rzeką. Kiedy ostatnio były w użyciu, przewieziono nimi ludzi Baldwina i Feltsa do Zachodniej Wirginii, gdzie rzucono ich przeciwko strajkującym górnikom. Teraz jednak spokojnie się pały na ślepym torze, który kończył się niewielkim pagórkem, pożerane przez chaszczę milinu.

Dziadek ukrywał się przed brutalnym strażnikiem kolejowym, niejakim Creaseyem – olbrzymem z bielmem na lewym oku i kępkami włosów koloru marchwi wyrastającymi akurat z tych części twarzy, z których wyrastać nie powinny. Tamtego lata Creasey zdążył już parokrotnie spuścić dziadkowi tęgie lanie. Za

pierwszym razem tak mu wykręcił rękę do tyłu, że aż w kościach zaśpiewało. Przy drugiej okazji włókł go za ucho przez cały plac do głównej bramy, tam zaś potraktował go obcasem w samo siedzenie. Dziadek twierdził, że na płatku ucha ma jeszcze odcisk kciuka Creaseya. Gdy ten po raz trzeci przyłapał go na torowisku, złożył mu skórę pasem z koalicyjką, który był częścią jego umundurowania. Dziadek postanowił zatem nie wychodzić spod wagonu, dopóki Creasey gdzieś sobie nie pójdzie albo nie padnie trupem.

Ale strażnik nigdzie się nie wybierał: palił papierosa za papierosem, przechadzając się wśród kęp zielska między ślepym torem a resztą placu magazynowego. Dziadek przywierał brzuchem do ziemi, patrząc przez firankę mleczy i dzikiego jęczmienia na jego zakurzone buciory. Szur, stop, zwrot, wróć. Co parę minut na żwir spadał z cichym pacnięciem niedopałek papierosa, aby dokonać żywota pod obcasem strażnika. Dziadek usłyszał zgrzyt zdejmowanej zakrętki, bulgot napoju i czknięcie. Miał wrażenie, że Creasey na kogoś czeka, zabijając czas i może próbując zebrać się wreszcie na odwagę.

Dziadka zastanawiało jego zachowanie. Creasey powinien przecież być stale w ruchu, nieustannie przeczesywać teren w poszukiwaniu włóczęgów, amatorów jazdy na gapę i złodziejasków pokroju mojego dziadka, których tamtego lata zwabiała na stację rozrządową Greenwich pogłoska, że łatwo tam nazbierać węgla, bo wysypuje się górą przez burty wagonów jadących w stronę portu. Za pierwszym razem dziadek tylko dlatego dał się złapać Creaseyowi, że dźwigał dwanaście kilo węgla w worku po cukrze. Czemu strażnik nie pilnował roboty, za którą płaciła mu Kolej Pensylwańska? Dziadek słyszał przez podłogę wagonu, że tuż nad jego głową jakieś zwierzątko wiercą się w gniazdach, zanim ruszą załatwiać swoje nocne sprawy. Wiedział, że według nauk o przyrodzie w wydaniu jego matki ich główną sprawką jest gryzienie i zarażanie wściekłą młodych chłopców.

W końcu Creasey przydeptał piątego papierosa, pociągnął jeszcze łyk z butelki i odszedł. Dziadek policzył do trzydziestu,

zanim wyślizgnął się spod wagonu. Otrzeptał brzuch z piachu, od którego piekła go już skóra. Zobaczył, że Creasey idzie z plecakiem do jednego z otynkowanych domków, stojących tu i ówdzie przy torowisku. Podczas pierwszych wypadów na stację Greenwich dziadek dał się urzec przekonaniu, że w tych domkach mieszkają kolejarze niby pasterze wśród trzody pociągów. Wkrótce jednak ustalił, że nikt w nich nie mieszka. Ich okna pomalowano na czarno i zasłonięto siatką, a gdy się przyłożyło ucho do drzwi, słychać było pulsowanie energii, czasem też coś brzęczało jak mechanizm zegarowy sejfu. Dziadek nigdy nie widział, żeby ktoś przestępował próg takiego domku – czy to wchodząc, czy to wychodząc.

Creasey wyłowił z bocznej kieszeni komplet kluczy, otworzył zamek i wszedł. Drzwi cicho się za nim zamknęły.

Dziadek wiedział, że powinien wracać do domu, gdzie czekała na niego ciepła kolacja i cała operetka wymówek. Był głodny, a już dawno nauczył się puszczać wymówki mimo uszu i obłudnie się kajać. Akurat tamtego dnia przyszedł jednak na stację, żeby jeszcze raz stanąć na wybranym mostku sygnałowym, który przywykł uważać za własny, i w ten sposób pożegnać kolejne lato.

Ruszył na przełaj przez plac i przekradł się wzdłuż jednego z torów pod „swoją” mostek. Wspiął się po drabince i na czworakach dogramolił po kładce na sam środek mostku wiszącego pięć metrów nad szynami. Wstał, trzymając się korpusu środkowej latarni sygnałowej. Wcisnął stopy w płóciennych tenisówkach w stalową kratownicę kładki. Puścił latarnię i rozpostarł ręce, żeby złapać równowagę, połączony z wirującą ziemią jedynie kostkami nóg. Między nim a czynszówką na Shunk Street stacja tasowała i sortowała swój inwentarz na kółkach, który miał wkrótce ruszyć do Nowego Jorku, Pittsburgha i St. Louis. Pociągi i niepełne składy szczękały i turkotały, ryjąc bruzdy w zapadającym zmierzchu.

Dziadek popatrzył na wschód. Nad New Jersey mrok gęstniał jak nawałnica. Za rzeką leżało Camden, gdzieś dalej było wybrzeże Jersey, za wybrzeżem Atlantyk, a w jeszcze większej

dali Paryż i cała Francja. Wuj dziadka, weteran bitwy w Lesie Argońskim, powiedział siostrzeńcowi, że w paryskich „lupanarach” mężczyzna może przekroczyć jeszcze jedną granicę: tę między jedwabną pończochą a białym udem. Dziadek wziął latarnię sygnałową w ramiona. Przycisnął biodra do jej gładkiego korpusu i popatrzył w wieczorne niebo. Właśnie wzeszedł księżyc w pełni, a jego poświata przepuszczona przez atmosferę ziemską miała barwę mięszu brzoskwini. Dziadek prawie cały ten ostatni piątek lata spędził na czytaniu numeru „Astounding Stories of Super-Science”, który znalazł wśród innych niesprzedanych czasopism na zapleczu sklepiku swojego ojca. Bohaterem ostatniego opowiadania był nieustraszony mieszkaniec Ziemi, który poleciał rakieta atomową na ciemną stronę Księżyca, gdzie znalazł obfitość powietrza i wody, walczył z krwiozerczymi księżycanami, po czym zakochał się w bladej i chętnej księżniczce-księżycze. Księżyc okazał się niebezpiecznym rewirem, więc przybysz raz po raz musiał ratować księżniczkę z opresji.

Dziadek spojrział w stronę księżyca. Na samą myśl o szlachetnej bohaterce opowiadania i jej „wdzięcznym, falującym ciele” poczuł, że wzbiera w nim wewnętrzny przypływ, wiodąc go ku niej, podnosząc jak Enocha, którego porwała do nieba trąba powietrzna. Popłynął na podniebnej fali swojej tęsknoty. Nie chciał sprawić księżniczce zawodu. Ruszał jej na ratunek.

Trzasnęły zamykane drzwi, Creasey wyszedł z domku i podjął wieczorny obchód. Nie miał już plecaka. Nieco sztywnym krokiem przeszedł przez jeden tor i zniknął między wagonami.

Dziadek zszedł z mostku sygnałowego. Wracając na Shunk Street, wcale nie musiał przechodzić obok domku, z którego przed chwilą wyszedł Creasey. Ale stary Abraham ze swojego kąta salonu wydał trafne orzeczenie: nie ma sposobu na chłopca, który gotów jest wyrzucić przez okno kociaka na filadelfijską ulicę tylko po to, żeby zobaczyć, co się stanie.

Dziadek podszedł do domku z siatką w czarnych oknach. Stał i patrzył okrągłą minutę. Potem przyłożył ucho do drzwi. Poprzez elektryczny pomruk usłyszał ludzki głos: ktoś tam się

krztusił, śmiał albo szlochał.

Zapukał do drzwi. Głos umilkł. Tajemniczy mechanizm zegarowy kliknął. Od stacji rozrządowej dobiegały gwizdki podczepionych lokomotyw, gotowych pociągnąć na zachód długie brzemię. Dziadek znowu zapukał.

– Kto tam?

Podał swoje imię i nazwisko. Po namyśle dorzucił adres. Za drzwiami ktoś zaniósł się przeciągłym kaszlem, który tym razem trudno byłoby pomylić z innym dźwiękiem. Kiedy atak minął, dziadek usłyszał jakiś ruch: skrzypnęło krzesło albo łóżko.

Zza uchylonych drzwi wyjrzała dziewczyna, kryjąc prawą stronę twarzy za ich krawędzią, którą ścisnęła oburącz, jakby gotowa była zaraz je zatrzaskać. Widoczną połowę jej głowy pokrywał tleniony kołtun. Wokół lewego oka pod delikatną brwią cienie zmieszane z tuszem tworzyły zaschnięte skrzepy i plamy. Długie paznokcie lewej dłoni pokrywał ciemnowiśniowy lakier. Te u prawej były obgryzione i niepomalowane. Dziewczyna była niedbale owinięta męskim szlafrokiem w kratę. Na widok dziadka nie okazała zdziwienia. Nawet jeśli przed chwilą płakała, to już przestała. Ale dziadek rozumiał Creaseya, tak jak człowiek zaczyna w końcu rozumieć kogoś, kto raz po raz kopie go w dupę. Szczegóły krzywd, które strażnik mógł wyrządzić dziewczynie podczas niedawnej wizyty, pozostawały wprawdzie nieznane, lecz ta niewiedza tylko pomagała dziadkowi wyobrazić je sobie w całej ich oburzającej okropności. Widział ich ślad w postaci zniszczonego makijażu. Wyczuwał je w zmieszanej woni podchlorynu sodu i potu, którą niósł powiew zza uchylonych drzwi.

– No? – powiedziała dziewczyna. – Gadaj, co cię sprowadza, Shunk Street.

– Widziałem, jak tu wszedł – odparł dziadek. – Ten skurwiel Creasey.

Nie wolno było używać tego słowa w obecności dorosłych, a zwłaszcza kobiet, ale w tej sytuacji wydawało się stosowne. Dziewczyna wychyliła głowę zza drzwi, tak jak księżyc wyłania się zza muru wokół fabryki. Przyjrzała się dziadkowi z większą

niż dotąd uwagą.

– Fakt, że to skurwiel – przyznała. – Co do tego masz rację.

Dziadek zobaczył, że na prawo od przedziałka ostrzyżona jest równie krótko jak on, jakby dla pozbycia się wszy. Nad prawą połową górnej wargi zdołała zapuścić dość bujny zarost, żeby uformować z niego obwisły wąsik. Prawe oko pod gęstą czarną brwią było nieumalowane. Gdyby nie cień zarostu równomiernie pokrywający obie strony podbródka, można by pomyśleć, że jakaś niewidzialna reguła sprawiedliwie podzieliła jej naturę między męskość a kobiecość. Dziadek nieraz słuchał z niedowierzaniem krążących po dzielnicy pogłosek o jarmarcznych pokazach hermafrodytów, dziewczyn-kotów, dziewczyn-małp, a nawet czworonogich kobiet, na które trzeba włązić jak na stoły. Mógłby się teraz wyzbyć wątpliwości, gdyby nie to, że od szyi w dół pod luźnym flanelowym okryciem odznaczały się symetryczne, w pełni kobiece obłóci i cienie.

– Rzut oka kosztuje pięć centów, Shunk Street – oświadczyła dziewczyna. – Chyba już mi wisisz dyszkę.

Dziadek spojrział na swoje buty. Nie były warte szczególnie uważnych oględzin.

– Chodź – powiedział, chwytając dziewczynę za przedramię. Nawet przez flanelowy rękaw poczuł, że jej skóra pała gorączką.

Dziewczyna wyszarpnęła rękę z jego uścisku.

– On nieprędko tu wróci. Ale musimy już iść – nalegał dziadek. Jego rodzone ciotki też miały kosmate podbródki, wielkie mi co. A on przyszedł w to miejsce wiedziony mocą życzenia, które wyraził na widok wieczornej gwiazdy. – No chodź!

– Śmieszny z ciebie gość – odparła dziewczyna. Wychyliła głowę nieco dalej i rozejrzała się na boki. Zniżyła głos i dodała ostentacyjnie spiskowym tonem: – Przyszedłeś mnie wyratować.

W jej ustach zabrzmiało to jak najbardziej świrnięty ze wszystkich możliwych pomysłów. Wycofała się w głąb domku, zostawiając otwarte drzwi. Usiadła na łóżku polowym i owinęła się sztywnym kocem. W blasku świecy, która topniała na odwróconej pokrywce od słoika, połyskiwały na tablicach rzędy czarnych przełączników i przyrządów pomiarowych. Plecak

Creaseya poniewierał się na podłodze.

– Weźmiesz mnie do domu, do mamusi i tatusia? – spytała dziewczyna takim tonem, że dziadek na chwilę ją znieubił. – Zagruźliczoną kurwę na głodzie?

– Mogę cię zawieźć do szpitala.

– Śmieszny z ciebie gość – powtórzyła, tym razem z nutą tkliwości. – Przecież wiesz, kotku, że mogę sama sobie otworzyć drzwi. Nikt mnie tu nie więzi.

Dziadek czuł wprawdzie, że więzi ją coś ważniejszego niż zamek i klucz, ale nie umiał wyrazić tego uczucia słowami. Dziewczyna sięgnęła do plecaka i wyjęła paczkę Old Golds. Zapaliła papierosa z takim namaszczeniem, że wydała się młodsza, niż dotąd sądził.

– Twój kumpel Creasey już mnie wyratował – powiedziała. – A mógł mnie przecież zostawić, tak jak mnie znalazł, półżywą, z twarzą w kupie żużlu. Tam gdzie chłopaki od Ealingów wykopali mnie z wagonu.

Opowiedziała dziadkowi, jak to od dwunastego roku życia jeździła z Cyrkiem Braci Entwistle-Ealing z miasta Peru w Indianie. Urodziła się w Ocala na Florydzie i początkowo była dziewczynką, lecz w okresie dojrzewania natura obdarzyła ją wąsem i meszkiem na brodzie.

– Przez dłuższy czas miałam niezłe branie, ale ostatnio daje o sobie znać moja babska strona – wyjaśniła, krzyżując ręce poniżej piersi. – Przez całe życie ciało robi mi głupie numery.

Dziadek miał ochotę powiedzieć, że jemu z kolei płata figle mózg, czyli narząd, którego porywom groteskowego idealizmu dorównują jedynie kipiące w nim rojenia o nieokiełznanej przemocy. Uznał jednak, że nie wypada porównywać swoich zmartwień z troskami rozmówcy.

– Chyba właśnie dlatego zaczęłam dawać sobie w żyłę – podjęła dziewczyna. – Hermafrodyta to było coś. Miał w sobie przynajmniej trochę poezji. A brodata baba nie jest poetycka ani ciut.

Dodała, że była zupełnie odpadnięta, umarła dla świata, kiedy pociąg cyrkowy ruszył ze stacji w stronę Altoony, a dyrekcja

uznała w końcu za stosowne wyrzucić ją z wagonu.

– Creasey znalazł moją walizkę, tam gdzie ją rzuciły te gnoje. I przetransportował mnie do tej wygodnej kwatery. – Dziewczyna zmieniła ułożenie nóg i zanim szczelniej owinęła się kocem, przyłapała dziadka na tym, że zapuszcza żurawia w strefę cienia między nimi. – Creasey to skurwiel, zgoda. Ale przynosi mi żarcie, szlugi i czasopisma. I świece, żebym mogła czytać. Nie chce mi tylko przynieść działki. Co mnie zresztą niedługo i tak przestanie wrzuszać. A tymczasem nie liczy mi więcej za czynsz, niż sama jestem chętna zapłacić.

Dziadek kontemplował zgłiszcza swojego planu. Czuł, że dziewczyna opowiada mu o swojej rychłej śmierci i zamierza umrzeć właśnie w tym pokoju, podrygującym w blasku świecy. Krew z jej płuc zachlapała zmiętą szmatkę z irchy, wełniany koc i klapy szlafroka.

– Creasey ma pewne zalety – powiedziała dziewczyna. – A mieszkańców Shunk Street z pewnością ucieszyłaby wiadomość, że był łaskaw oszczędzić moje dziewictwo. Przynajmniej w sensie technicznym. – Dla zobrazowania zawierciła pupą, trąc nią o łóżko. – Kolejarze to praktyczny naród. Zawsze znajdują okrężną drogę.

Zaraz po tych słowach zaczęła charczeć w irchę, jeszcze bardziej ją plamiąc. Wstrząsał nią tak gwałtowny kaszel, że koc się zsunął, odsłaniając nogi przed wzrokiem dziadka. Ten strasznie jej wprawdzie współczuł, ale nie mógł oderwać oczu od cieni pod szlafrokiem. W końcu atak minął. Dziewczyna złożyła szmatkę zakrwawioną częścią do środka, czystą do wierzchu.

– Pogap się, Shunk Street – powiedziała. Zadarła skraj kraciastego szlafroka i szeroko się rozkraczyła. Błady pas brzucha, ciemna gęstwa futra i róż sromu – wszystko to miało tkwić jak powiewający sztandar w pamięci dziadka aż do jego śmierci. – Ja stawiam.

Dziadka ogarnęło wzburzenie. Poczul je w policzkach, gardle, klatce piersiowej, łędwziach. Widział, że dziewczyna je dostrzega i czerpie z tego przyjemność. Zamknęła oczy i lekko uniosła biodra.

– Śmiało, kochasiu. Dotknij, jak masz chęć.

Dziadkowi wargi i język odmówiły posłuszeństwa, więc nie zdobył się na odpowiedź. Podszedł i dotknął ręką kępy włosów między nogami dziewczyny. Przez chwilę trzymał tam dłoń, badając teren sztywnymi palcami, jakby mierzył temperaturę albo tętno. Wieczór, lato, cały czas i historia zastygły w bezruchu.

Dziewczyna raptownie otworzyła oczy. Pochyliła się i odepchnęła dziadka, zasłaniając usta prawą dłonią, podczas gdy ta z umalowanymi paznokciami po omacku szukała irchy. Dziadek wyjął z tylnej kieszeni sztruksowych szortów krochmaloną białą chusteczkę. Wręczył dziewczynie to widome świadectwo nadziei, którą pokładała w nim matka, co dzień rano dając świeży jej dowód, kiedy wyprawiała go w świat. Chora bezwiednie zmięła chusteczkę w dłoni. Dziadek patrzył, jak jej ciało rwie się od środka na strzępy, i miał wrażenie, że trwa to bardzo długo. Bał się, że dziewczyna zaraz umrze, na jego oczach. Po chwili jednak westchnęła i padła plecami na łóżko. W blasku ogarka świecy lśniło jej czoło. Oddychała ostrożnie. Oczy miała półotwarte i zwrócone w stronę mojego dziadka, ale dopiero po paru minutach znów go dostrzegła.

– Idź do domu – powiedziała.

Dziadek wyłuskał z jej dłoni zaciśniętej w pięść przydzieloną mu na ten dzień chusteczkę, wciąż tak samo nieskalaną. Rozpostarł ją jak mapę i położył na czole dziewczyny. Szczelniej otulił ją szlafrokiem i podciągnął ten okropny koc pod sam podbródek naznaczony dzieciennym dołeczkiem. Potem ruszył do drzwi, ale jeszcze przystanął i spojrzął na dziewczynę. Jej ciepło przywarło mu do palców jak zapach.

– Wpadnij jeszcze kiedyś, Shunk Street – powiedziała. – Może jednak dam ci się uratować.

Kiedy wreszcie dotarł do domu, dawno było już ciemno, a w kuchni czekał policjant. Dziadek do niczego się nie przyznał i nie udzielił żadnych informacji. Mój pradziadek za namową policjanta spoliczkował syna i spytał, co on na to. Dziadek odparł, że jak na lato. Czuł, że zasłużył na pewną dozę bólu, skoro nie zdołał uratować dziewczyny. Zastanawiał się, czy nie powiedzieć

o niej policjantowi, ale sama przecież mówiła, że jest narkomanką i kurwą, a on wolałby dać się zabić niż ją zakapować. Wydawało mu się, że niezależnie od tego, jakiego dokona wyboru, tak czy owak ją zdradzi. Postąpił więc zgodnie ze swoją naturą, czyli nie powiedział nic.

Policjant ruszył w dalszy obchód. Dziadek wysłuchał porcji kazań, gróźb i oskarżeń. Zniósł je jak zwykle ze stoickim spokojem i dał się wysłać do łóżka bez kolacji, a potem przez sześćdziesiąt lat strzegł sekretu dwustronnej dziewczyny ze stacji rozrządowej. Nazajutrz zapędzono go do pracy w sklepie i odtąd wykonywał ją przed szkołą i po szkole w dni powszednie, a w niedzielę przez cały dzień. Na stację Greenwich udało mu się zajrzeć dopiero w sobotę późnym popołudniem, po zamknięciu szulu. Już się ściemniało, a od zeszłej nocy pogoda była deszczowa. Na całej długości torów niebo odbite w kałużach między drewnianymi podkładami wyglądało jak rtęć w rondlach. Dziadek dobijał się do drzwi domku, aż mu się w pięści rozdzwonił ból.

III

Swoją spuściznę sekretów rodzinnych otrzymałem pod koniec lat sześćdziesiątych w Queens, a ściśle mówiąc we Flushing. Dziadkowie mieszkali jeszcze wtedy na Bronksie, a ilekroć rodzice chcieli mieć mnie z głowy na dłużej niż parę godzin, lądowałem w Riverdale. Firma dziadka podobnie jak program lotów kosmicznych przeżywała czasy największej świetności, więc choć w późniejszym okresie był on w moim życiu bardzo obecny, z tamtych dni zapamiętałem o nim głównie to, że rzadko się go widywało.

Dziadkowie wraz ze swoją marsjańską menażerią duńskich mebli zajmowali siedem pokoiów w jednym z wieżowców osiedla Skyview z widokiem na rzekę Hudson. Mieszkali na trzynastym piętrze, które oficjalnie nosiło jednak numer czternasty, bo (jak wyjaśnił mi dziadek) na świecie roiło się od głąbów wierzących w pecha. Dodał, że być głąbem to dopiero pech. Babka też prychała. Sama wprawdzie nie bała się jakoś szczególnie trzynastki, ale wiedziała, że pecha nie da się wywieść w pole takimi naiwnymi fortelami.

Kiedy byliśmy tylko we dwoje, babka i ja chadzaliśmy czasem do kina na któryś z ówczesnych eposów, długachnych i cukierkowo barwnych: *Doktora Dolittle*, *Gnomobil* albo *Nasz cudowny samochodzik*. Babka lubiła przyrządzać kolację ze świeżych produktów, kupionych rankiem tego samego dnia, więc dużo łąziliśmy po sklepach spożywczych. Uczyła mnie wybierać pomidory, których łodyżki pachniały jeszcze gorącym słońcem, a potem przesiadywaliśmy w kuchni, gdzie wprowadzała mnie w podstawy sztuki kulinarnej i nie bała się dawać mi do ręki noży. Niewykluczone, że właśnie po niej odziedziczyłem umiejętność pograżania się w bezmyślnym zamyśleniu wśród kuchennych zajęć i zadań. Głośne czytanie po angielsku męczyło ją, ale znała na pamięć mnóstwo francuskich wierszy i czasem

recytowała mi je w widmowym języku swojego utraconego świata. Wyniosłem stąd przeświadczenie, że poezja francuska posługuje się głównie melancholijnym deszczem i skrzypcami. Babka nauczyła mnie liczb po francusku, a także nazw kolorów i zwierząt: Ours. Chat. Cochon.

Ale w niektóre dni nasze sam na sam mało się różniło od zupełnej samotności. Babka kładła się na kanapie lub na łóżku przy zasuniętych storach, ze złożoną w kilkoro chłodną ściereczką na oczach. Tego rodzaju dniom odpowiadał osobny leksykon: cafard, algie, crise de foie. W 1966 roku (z którego pochodzą moje najwcześniejsze o niej wspomnienia) miała raptem czterdzieści trzy lata, lecz z wojny – jak sama twierdziła – wyszła ze zniszczonym żołądkiem, ścięgnami i stawami (nigdy ani słowem nie napomknęła, co wojna mogła zrobić z jej umysłem). Jeżeli gorszy dzień trafiał jej się właśnie wtedy, kiedy obiecała się mną zająć, brała się w garść akurat na dość długo, żeby przekonać moich rodziców albo siebie, że podoła zadaniu. Potem jednak dopadała ją ten dziwny stan, więc wychodziliśmy z kina w połowie seansu, przerywaliśmy deklamację po pierwszym wierszu albo zostawialiśmy w supermarkecie pełen wózek sprawunków pośrodku przejścia między półkami. Właściwie nie miałem chyba nic przeciwko temu. Ilekroć babka kładła się do łóżka – i nigdy poza tym – wolno mi było oglądać telewizję. Kiedy padała znokautowana, musiałem tylko co pewien czas zamoczyć ściereczkę w chłodnej wodzie, a potem ją wyżyć i ułożyć babce na twarzy jak flagę na trumnie.

Poza kuchnią jej ulubioną rozrywką były karty. Nie cierpiała gier, które Amerykanie uważali za odpowiednie dla dzieci: wojny, Piotrusia, łowienia ryb. Uważała, że remibrydż jest nudny i wlecze się bez końca. Za jej dzieciństwa we wszystkich grach karcianych brało się lewy, a zwyciężali bystrzy szachraje. Gdy byłem dość duży, żeby dodawać i odejmować w pamięci (czyli mniej więcej wtedy, kiedy umiałem już czytać), nauczyła mnie grać w pikietę. Po niedługim czasie prawie mogłem babce dotrzymać placu, lecz gdy jeszcze trochę podrosłem, dziadek zdradził mi, że ona podczas gry ze mną zawsze bardzo uważnie

się myli.

W pikietę gra się niepełną talią, złożoną z trzydziestu dwóch kart, więc przed rozpoczęciem partii babka usuwała z kompletu Bicycles albo Bees wszystkie karty od dwójki do szóstki. Przeprowadzała ten zabieg dosyć beztrąsko. Kiedy dziadek po długim dniu w biurze wracał do domu z nadzieją, że się odpręży, kładąc, dajmy na to, kilka pasjansów, podchodził do komody i otwierał szufladę, w której trzymano gry, przeważnie znajdował w niej pół tuzina przetrzebionych talii w powodzi beładnie pomieszanych blotek. Tylko w takich sytuacjach widywałem, że irytują go wyskoki babki, którą poza tym zawsze rozpieszczał i psuł.

– Dostawałem od tego szału – wspominał po latach. – „Jedna talia!”, wołałem. „Czy to za wysokie wymagania? Nie można by zostawić chociaż jednej niezdemolowanej talii?”. – Wydymał usta w kaczę dziób, mrużył oczy i wciągał głowę w ramiona. – *Boh.* – (Pamiętałem ten *echt-galicyzm* babki). – Ona wcale nie *demolowała* talii, masz pojęcie, tylko ją wręcz poprawiała. – Dziadek przybrał akcent Teksańczyka-w-Paryżu, bo zawsze właśnie tak mówił po francusku. – *See-non, come-awn fair une pe-teet par-tee?*

Kiedy pewnego popołudnia babka posłała mnie po kolejną talię, żebyśmy mogli zagrać kilka parties, stwierdziłem, że od czasu mojej ostatniej wizyty szufladę opróżniono, a następnie zaopatrzone w parę nowych talii kart do pokera w fabrycznie zapieczętowanych opakowaniach. Czułem, że dziadek byłby jeszcze bardziej oburzony niż zazwyczaj, gdybyśmy „zdemolowali” jedną z tych nowiutkich paczek.

Otworzyłem kilka innych szuflad i poszperałem wśród pudełek z Yahtzee, Rack-O i Monopoly, próbując odszukać chociaż jedną talię spośród tych, które babka już zdekompletowała. W puszcze po migdałowych cukierkach Bartona leżała talia w dziwnie nieefektywnym jasnoniebieskim opakowaniu z napisem, który uznałem za francuski, wydrukowanym jakby średniowieczną czcionką, podobną do nagłówka „New York Timesa”. Była cieńsza od amerykańskich talii, jakby zawierała mniej kart. Uznawszy, że

natrafiłem na prawdziwe francuskie karty dla amatorów pikiety, zaniósłem je do kuchni, gdzie zwykle grywałem z babką.

Miałem nadzieję, że ucieszy się z tego, jaki świetny znalazłem sposób uszczęśliwienia dziadka. A tymczasem zrobiła spłoszoną minę. Właśnie zapalała jedną z tych cygaretek Wintermansa, po które sięgała wyłącznie przy kartach, ale jej ręka z zapałką w palcach znieruchomiła w połowie drogi do ust. Ilekroć wracałem od dziadków, matka strasznie narzekała, że włosy i ubranie przesiąkły mi odorem babcinych cygaretek, ja jednak uwielbiałem ten zapach.

Babka wyjęła z ust niezapaloną cygaretkę i schowała ją z powrotem do puszczeni. Wyciągnęła rękę, zwracając dłoń wnętrzem do góry. Oddałem jej jasnoniebieskie pudełko. Podniosła klapkę, wysypała karty na stół i postawiła pudełko obok popielniczki. Wzięła do ręki talię i rozłożyła ją w wachlarz, patrząc na awersy. Ja widziałem tylko rewersy, granatowe jak niebo o północy i ozdobione deseniem półksiężyców.

Spytała, gdzie znalazłem te karty. Powiedziałem jej prawdę, a ona skinęła głową. Przypomniała sobie, że dawno temu schowała je w tamtej szufladzie. Wyjaśniła mi, że musiała tak zrobić, są to bowiem karty czarodziejskie, a dziadek nie wierzy w czary. Nie mogę mu o nich wspomnieć; rozgniewałby się i wyrzuciłby talię. Obiecałem dochować tajemnicy i spytałem babkę, czy ona wierzy w czary. Odparła, że nie, ale o dziwo wcale nie trzeba w nie wierzyć, żeby działały. Chyba już przestała się bać, że dziadek dowie się o moim odkryciu.

Wzięła do ręki niebieskie pudełko i powiedziała mi, że napis na nim jest po niemiecku, a nie po francusku, i znaczy KARTY WRÓŻEBNE DLA CZAROWNIC.

Spytałem babkę, czy jest czarownicą. Miałem przy tym dziwne wrażenie, że to pytanie od dawna mnie nurtuje.

Przyjrzała mi się i sięgnęła po cygaretkę, którą przed chwilą odłożyła. Zapaliła ją i machnięciem ręki zgasła zapałkę. Długimi bladymi palcami przetasowała karty i położyła całą talię na stole między nami.

Zapisując te najwcześniejsze wspomnienia o babce, dotąd

unikalem dosłownego przytaczania jej wypowiedzi. Gdybym twierdził lub udawał, że dokładnie czy choćby w przybliżeniu pamiętam, co ktoś mówił tak dawno temu, popełniłbym najcięższy grzech, jakiego może się dopuścić pamiętnikarz. Nie zapomniałem jednak dwóch słów, którymi odpowiedziała mi babka, kiedy zapytałem, czy to dlatego ma tajemną talię czarodziejskich kart wróżebnych dla czarownic, że sama jest czarownicą.

– Już nie – odparła.

Spytałem, czy to znaczy, że już nie umie wróżyć albo nie pamięta, jak to się robi. Przyznała, że chyba po trosze jedno i drugie. Chętnie jednak zademonstruje mi, jak za pomocą jej czarodziejskiej talii kart można opowiedzieć *historyjkę*.

– Wystachczy – dodała, pokazując, jak mam się do tego zabrać – że przełożę kahty haz, a potem dhugi i wyciągnę trzy z samego wierzchu.

Nigdy nie zdołałem wytropić ani zidentyfikować tej konkretnej talii „kart wróżebnych dla czarownic”, „wiedźnich kart do wróżenia” czy jak to się tam powinno tłumaczyć. Może różne rzeczy, które później usłyszałem o krótkiej karierze babki w roli telewizyjnej wiedźmy, wypaczyły moje wspomnienie ich nazwy. Może były to „karty cygańskiej wróżbiarki” albo „karty wróżebne Sybilli”. Pamiętam je jednak wystarczająco wyraźnie, aby twierdzić, że musiała to być niemiecka wersja standardowej talii Lenormand.

Kiedy po przeprowadzce do południowej Kalifornii w połowie lat osiemdziesiątych pierwszy raz zobaczyłem klasyczną meksykańską talię do loterii i jej ikoniczne obrazy (*El Sol, El Arbol, La Luna*), dostrzegłem ich podobieństwo do kart babki. Jedna z tamtych nazywała się Statek i był na niej staroświecki galeon płynący na pełnych żaglach pod rozgwieżdżonym niebem. Dom przedstawiał biały tynkowany budynek w ślicznym zielonym ogrodzie, kryty czerwona dachówką. Jeździec w czerwonym fraku jechał na rozbrykanym siwku przez żółto-zielony las. Dziecko w beżowej koszuli nocnej ścisnęło w rączce lalkę i miało wystraszoną minę. U góry każdej karty

w podłużnym prostokątku nad Sierpem, Ptakami albo Bukietem (tak jak na awersach większości talii Lenormand) widniał znak blotki lub figury wraz z niemieckim symbolem koloru: sercem, liściem, żółędziem albo dzwonkiem³.

Nie pamiętam ani pierwszej historyjki, którą babka opowiedziała mi za pomocą swojej wróżebnej talii, ani tego, jakie trzy karty wyciągnęła po przełożeniu. Od tamtej pory „gra w karty z opowiadaniem” stała się jednak motywem przewodnim naszych spotkań. Nie sposób było przewidzieć, kiedy babkę najdzie ochota, ale zdarzało się to wyłącznie wtedy, gdy zostawaliśmy tylko we dwoje. Pamięć podpowiada mi, że za oknami zawsze było wówczas szaro, zimno i mokro; pogoda mogła sprzyjać temu, że babka wpadała w stosowny nastrój. Każdy, kto trochę przebywał z małymi dziećmi, wie, że miażdżąca nuda potrafi wyzwalać potężną wynalazczość. Babka mogła snuć się przez październikowe popołudnie, szara i rozkojarzona, rozstrojona nawet w kuchni, coraz bardziej zmęczona moją paplaniną. Aż tu nagle z puszek po migdałowych cukierkach wyłaniały się karty, a ona pytała: „Opowiedzieć ci historijkę?”.

W takich chwilach zawsze stawałem w obliczu dylematu. Lubiłem jej styl opowiadania, ale postaci wydobyte z wiedzy talii niepokoiły mnie i przerażały, a ich losy były mroczne. Z trzech kart, które kładłem awersem do góry na kuchennym stole, wyobraźnia babki wysnuwała zagadkową ścieżkę i wiodła nią swoją opowieść. Mogłem, dajmy na to, wyciągnąć Lilie, Pierścień i Ptaki, lecz powstała z nich historia niekoniecznie musiała mieć cokolwiek wspólnego z liliami, pierścieniami czy ptakami, a jeśli nawet miała, to odślaniała jakąś ich okropną stronę, utajoną złośliwość lub wiszącą nad nimi zagładę.

W historyjkach babki niegodziwe dzieci spotykała sroga kara,

3 Karty Lenormand podobno nie wywodzą się od mademoiselle Marie Anne Lenormand (największej, jeśli nie najbardziej szalbierczej wróżki karcianej XIX w.), lecz od gry *Das Spiel der Hoffnung*, w której używa się kości i trzydziestu sześciu kart z obrazkami, układanych w kwadrat sześć na sześć – swoistej hybrydy tarota oraz węży i drabin.

z trudem wypracowane osiągnięcia rujnowała jedna chwila słabości, niemowlęta porzucano, a wilki zwyciężały. Klaun, który lubił straszyć dziatwę, pewnego ranka po przebudzeniu stwierdzał, że skórę ma białą jak papier, a usta już na zawsze wykrzywione w uśmiechu. Owdowiały rabin pruć tańs i powstała w ten sposób nicią szył z paru sztuk odzieży nieboszczki żony miękkiego golema, milczącego jak płaszcz przeciwdeszczowy – nową matkę dla swojego dziecka. Śniły mi się potem koszmary, lecz podczas słuchania tych historii babka była taka, jaką ją najbardziej kochałem: figlarna, żywiołowa, dziecinna, jasnowidząca. Ilekroć w późniejszych latach opisywałem ją komuś z przyjaciół lub terapeutę, mówiłem, że gdy mi coś opowiadała, wychodziła z niej aktorka. Każde opowiadanie było spektaklem, odgrywanym żarliwie i z polotem. Babka naśladowała głosy zwierząt, dzieci i mężczyzn. Jeżeli jakiś mężczyzna udawał kobietę, uderzała w ten śmieszny, wysoki ton, którym posługują się faceci w damskim przebraniu. Jej lisy były uprzejme, psy przymilne, a krowy debilne.

Jeżeli zwlekałem z odpowiedzią, czy chcę posłuchać historyjki, babka cofała propozycję i mogło minąć kilka tygodni, zanim ją ponowiła. Przeważnie więc kiwałem głową, nie umiając rozstrzygnąć, czy towarzystwo gawędziarki warto przyplącić zmorami sennymi.

Od tamtej pory minęło pięćdziesiąt lat, a ja wciąż pamiętam niektóre opowieści. Ich fragmenty – czy to bezwiednie, czy świadomie – powplatałem w fabuły swoich książek. Większość historyjek, które zapamiętałem, odnalazłem po latach w fabule jakiegoś filmu albo w tomie baśni ludowych⁴. Kilka utkwiło mi w pamięci, bo w narrację wplątało się czy wręcz w niej uwieźło jakieś drobne zdarzenie lub doznanie zmysłowe.

Stało się tak na przykład z opowieścią babki o spotkaniu króla Salomona z dżinnem. Zapamiętałem, że twierdziła, jakoby zaczerpnęła ten motyw z hebrajskiej Biblii, z czasem jednak okazało się to bzdurą. Dotarłem w końcu do paru żydowskich

4 Jeden szczególnie przerażający fragment rozpoznałem później jako zapożyczenie z *Demonia cyrku* Toda Browninga.

baśni ludowych o tym, jak Salomon i džinn próbowali się nawzajem przechytryć, ale żadna nie umywała się do tej, którą znałem od babki. W jej wersji to džinn uwięził Salomona – najmędrszego króla, jaki kiedykolwiek stąpał po ziemi. Zażądał pod groźbą śmierci, żeby król spełnił trzy jego życzenia. Salomon zgodził się spróbować. Postawił tylko jeden warunek: spełnienie życzeń nie może zaszkodzić nikomu spośród żywych. Dżinn poprosił więc, żeby na zawsze ustały wszelkie wojny. Salomon uprzytomnił mu, że gdyby zabrakło wojen, dzieci płatnerza umarłyby z głodu. Następnie pomógł džinnowi wyobrazić sobie katastrofalne skutki dwóch innych pozornie dobrotliwych życzeń, więc demon chcąc nie chcąc musiał zwrócić mu wolność. Jak większość opowiadań babki, ta również kończyła się nie całkiem szczęśliwie, ponieważ król Salomon już nigdy potem nie umiał sobie niczego zażyczyć⁵.

Zapamiętałem tę historię, bo kiedy babka mi ją opowiedziała, posłała mnie po coś (jakieś czasopismo czy okulary) do swojej sypialni. A może sam tam poszedłem myszkować. Otworzyłem drzwi i zobaczyłem, że promień popołudniowego słońca wpada skosem przez okno i trafia prosto w nieśmiertelny flakon perfum Chanel No. 5, stojący na toaletce. We flakonie rozjarzył się džinn. Miał kolor identyczny z zapachem babki. Kolor ciepła jej kolan i obejmujących mnie ramion, kolor zachrypniętego głosu, który rozbrzmiewał w jej klatce piersiowej, kiedy mnie przytulała. Wpatrywałem się w migoczący ogień uwięziony w butelce. Czasem znajdowałem w tej woni przyjemność, ciepło i ukojenie, zdarzało się też jednak, że gdy babka wciągała mnie sobie na kolana, perfumy oszałamiały mnie, przyprowadzając o ból głowy. Jej

5 Podczas studiów doktoranckich ze zdumieniem odnalazłem źródło tej historii w zbiorze opowiadań Johna Colliera – a raczej tak mi się zdawało aż do dzisiejszego popołudnia, kiedy to najpierw przekartkowałem, a potem uważnie przejrzałem od deski do deski, w tę i z powrotem, tutejszy egzemplarz (wyd. Knopf, 1972), aby w końcu stwierdzić, że nie ma w nim ani śladu takiej fabuły. Czyli albo napotkałem motyw, który zapożyczyła moja babka, na kartach jakiegoś innego zbioru lub u innego autora, albo też mi się on przyśnił, być może pod wpływem opowiadania Colliera *Nabity w butelkę* o rozkosznie złowrogim džinnie, zakończonego wiekopomnym zdaniem.

ramiona wokół mojej szyi zamieniały się w żelazne obręcze, a szorstki śmiech brzmiał gorzko i zgłodniałe, podobny do śmiechu wilka z kreskówki.

Oto pięć moich najwcześniejszych wspomnień o babce:

Tatuaż na jej lewym przedramieniu. Pięć cyfr, w których zaszyfrowany był jedynie milczący zakaz pytania o nie. I ta zawadiacka siódemka, przekreślona na modłę kontynentalną.

Piosenka o koniu, śpiewana po francusku. Babka huśta mnie na kolanach. Trzyma mnie za ręce i nimi klaszcze. Coraz szybciej z wersu na wers, od stępa przez kłus aż do galopu. Kiedy piosenka dobiega końca, babka zwykle obejmuje mnie i całuje. Czasem jednak przy ostatnim wyśpiewanym słowie rozchyła nogi, a ja turlam się na dywan, jakbym wleciał w zapadnię. Kiedy śpiewa mi o koniu, uważnie wpatruję się w twarz babki, próbując odgadnąć jej zamiary.

Karmazynowy jaguar, mgliście rozmyty. Miniaturka modelu o pojemności silnika 3,4 litra, w kolorze jej szminki. Kupiła mi go na pociechę po wizycie u okulisty, który rozszerzył mi źrenice kroplami z belladoną. Kiedy się przeraziłem, że już nie odzyskam wzroku, zachowała spokój, teraz jednak ja się cieszę, a ona jest pełna obaw. Każe mi schować zabawkę, bo jeszcze ją zgubię. Jeżeli będę się nią bawił w metrze, jakiś mały współpasażer pozazdrości mi i ukradnie autko. Dla mnie świat jest zamazany, a babka widzi go wyraźnie. Każdy z cieni zaludniających pociąg do Bronksu może być zawistnym chłopcem knującym kradzież. Chowam więc jaguara do kieszeni. Czuję w dłoni jego chłodny dotyk i wytworne krzywizny karoserii, a słowa „jaguar” i „belladona” już zawsze będą w mojej pamięci przypisane do babki.

Szwy jej pończoch. Biegną prosto jak sznurek pionu od rąbka spódnicy aż do butów na wysokich obcasach, kiedy wrzuca kości do garnka z zupą, stojącego na kuchence. Złote bransoletki chwilowo ułożone w stosik na blacie w gwiazdki i bumerangi, obok umączonej marmurowej deski do zagniatania ciasta. Gałka

kuchennego minutnika, opływowa i z lotkami jak rakietka.

Świetlisty przedziałek we włosach. Widzę go z góry, kiedy babka kuca przede mną, zapinając mi spodnie. W damskiej toalecie, może u Bonwita albo Henriego Bendela, w otoczeniu listowia i złocień. Jestem – po angielsku i francusku – jej „małym księciem”, „małym dżentelmenem”, „małym profesorem”. Futrzany kołnierz jej płaszczka pachnie wodą Chanel No. 5. Nigdy nie widziałem nic równie białego jak skóra jej głowy. Matka posłałaby mnie do męskiej toalety, gdzie sam bym się wysiusiał i zapiął rozporek, ale nie czuję, żebym doznał ujmy na honorze. Rozumiem, że przy babce obowiązuje inne prawo. Przychodzi mi na myśl zasłyszane gdzieś zdanie, a z nim nagły postęp w rozumieniu świata: ona nie chce spuścić mnie z oka.

IV

Ósmego grudnia 1941 roku mój bezrobotny i znudzony dziadek, znany jako stary wyjadacz we wszystkich klubach bilardowych w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów od rogu Czwartej i Ritnera, zaciągnął się do korpusu saperów. Swój kij od Brunswicka zrobiony na obstalunek przekazał stryjowi Rayowi (przez co świat miał potem stracić cadyka) i pojechał wojskowym pociągiem do Rapides w Luizjanie. Po sześciu tygodniach zasadniczego szkolenia wysłano go do bazy korpusu nieopodal Peorii w Illinois, gdzie miał się uczyć budowy mostów, lotnisk i dróg.

Wiedziony instynktem szulera, nie wychylał się ani nie popisywał, ale wśród nieopierzonych rekrutów z Camp Claiborne oraz wschodnioeuropejskich ćwoków i matołów z Camp Ellis nie zdołał ukryć, jak świetnym jest żołnierzem, a zwłaszcza saperem. Był silny i wytrzymały. Jego małowówność tłumaczono sobie rozmaicie, zwykle jednak na jego korzyść: wydawał się dzięki niej męski, opanowany i nieprzenikniony. Prędzej czy później musiało się roznieść, że ma dyplom Drexel Tech⁶, płynnie mówi po niemiecku, nie ma sobie równych w grze w bilard i jest za pan brat z silnikami, akumulatorami i radiami. Gdy pewnego popołudnia on i reszta rekrutów maltretowali łąkę nad Spoon River, jakiś idiota przejechał ciężarówką po kablu biegnącym od telefonu polowego do łącznicy. Dziadek zrobił naprędce przewód zastępczy, wykorzystując w tym celu pobliskie ogrodzenie z drutu kolczastego. Kiedy spadł deszcz i mokre słupki uziemiły linię, pociął zapasową dętkę i wysłał ludzi, żeby wzdłuż całego trzykilometrowego ogrodzenia odizolowali drut od drewna złożonymi na pół kawałkami gumy.

6 Na studia w Drexel sam zarobił, grając w bilard na całym obszarze między Nowym Jorkiem a Baltimore, zapuszczając się na zachód aż do Pittsburgha. „Nie miałem innego wyjścia – powiedział. – Rodzice wydali całe oszczędności na tego mojego braciszka”.

Nazajutrz kazano mu się zameldować u dowódcy korpusu. Ten szczerpy absolwent Princeton w stopniu majora po latach budowania mostów nad przepaściami i osuszania bagien w malarycznych okolicach miał plamistą, pożółkłą cerę. Z policzków usianych typowymi dla amatora dżinu wykwitami złążyła skóra. Major niespiesznie nabijał wrzoścową fajkę. Co pewien czas ukradkiem zerkał na dziadka, który stał wprawdzie w pozycji „spocznij”, ale niezmordowanie się głowił, co też takiego przeszkrobał. Kiedy z fajki wreszcie buchnął dym, major oznajmił dziadkowi, że załatwia mu przeniesienie do korpusu kadetów w wirginijskim Fort Belvoir.

Życie szeregowców upływało w atmosferze zatrutej pogardą dla oficerów, a dziadek od pierwszej chwili swobodnie oddychał tym powietrzem, nie potrzebując żadnego filtra ani okresu przystosowania.

– Panie majorze – zaczął po chwili rozterki. Nie miał nic przeciwko temu akurat majorowi. Po prostu nie cierpiał oficerów jako klasy. – Będę machał młotem, dopóki nie zbudujemy autostrady stąd do Berlina. Ale z całym szacunkiem, wolałbym być kurczakiem w skrzynce i tańczyć w wesołym miasteczku na Steel Pier niż zostać oficerem. Proszę nie brać tego do siebie, panie majorze.

– Nie biorę. Rozumiem, o co wam chodzi, a tak między nami, to porównanie do tańczącego kurczaka wydaje mi się dość trafne.

– Tak jest.

– Ale czy zdajecie sobie sprawę, że gdyby udało wam się dojść do stopnia porucznika, wasz miesięczny żołd wzrósłby o pięćdziesiąt dolarów?

Traf chciał, że ostatnie przedsiębiorstwo mojego pradziadka, czyli jadłodajnia nieopodal Shibe Park, niedługo przedtem splajtowało. Pradziadek zatrudnił się więc w sklepie z alkoholami, gdzie musiał przetaczać stalowe beczki piwa Yuengling, spięty pasem przepuklinowym. Prababka od lat chałupniczo obszywała wstążkami i lamówkami wyroby kapelusznicze, a tu nagle musiała poszukać zajęcia poza domem: najęła się do pakowania ciast i ciastek w piekarni, w której

piekarze – dwaj bracia przyrodni – wyładowywali wzajemną niechęć, wyżywając się na pracownikach. Dziadek wiedział, że jego rodzice wezmą każdą pracę i zniosą najgorsze towarzystwo, byle tylko opłacić studia Raya, w których ulokowali wszystkie marzenia.

– Nie, panie majorze – przyznał. – Nie zdawałem sobie sprawy.

Po dwóch tygodniach (dzień wcześniej, niż ludzie z jego korpusu wsiedli w pociąg do Dawson Creek w Kolumbii Brytyjskiej, gdzie niebawem zaczęli tyrać przy budowie szosy alaskańskiej) dziadkowi kazano zameldować się w szkole kadetów w Fort Belvoir. Przykra to była podróż.

Z dala od zlodowaciałej północy i bitewnych pól z początków wojny, o trzy godziny jazdy od Shunk Street, znudzony jak nigdy w życiu – dziadek sposepniał. Lata spędzone w salach bilardowych i klasach szkolnych nauczyły go dzielić ludzi na frajerów, idiotów i kiciarzy, a w Fort Belvoir prawie nic nie podważało słuszności tej taksonomii. Na każdym kroku widział lenistwo, niekompetencję, marnotrawstwo, fanfaronadę. Innych żołnierzy tego rodzaju odkrycia wpędzały w cynizm, ale dziadka wprowadzały w niemal ciągłe rozdrażnienie.

Fort Belvoir leżał tak blisko Waszyngtonu, że irytacja dziadka prędzej czy później musiała wykroczyć poza parkan koszar, dosięgając siedziby rządu. Chociaż nalot na Pearl Harbor wzbudził paniczny strach przed inwazją, stolica jeszcze nie zdążyła wyzbyć się pobłażliwego stosunku do wroga, oddalonego o całe kontynenty i oceany. Baterie przeciwlotnicze były rzadkością. Na niebie terkotały stareńkie dwupłatowce Curtissa. Nieliczne łajby straży przybrzeżnej patrolowały rzeki i okolice mostów.

Spacerując pewnego popołudnia ulicami na jednodniowej przepustce, dziadek podsycił swój gniew, obmyślając dla zabawy plan zajęcia Waszyngtonu. Aby wypaść bardziej przekonująco w roli Reichsmarschalla, posługiwał się odziedziczoną po dziadku niemczyzną z Pressburga, której gardłowe tony pozwalały mu ze szczególnym smakiem rozważać strategię. Wydał rozkaz, żeby oddziały komandosów nauczono obsługi

łodzi podwodnych. Zorganizował desant trzystu ludzi nad rzeką Patuxent, dokładnie w tym samym miejscu, gdzie w roku 1814 rozpoczęli inwazję Anglicy. Jego jeźdźcy z U-Bootów wysadzili w powietrze mosty na Potomaku i elektrownie, opanowali wieże radiowe, poprzecinali kable telegraficzne i telefoniczne. Zryli uładzoną siatkę ulic granatami i poprzegradzali ją zwojami drutu kolczastego, a przy wjazdach do miasta ustawili bariery. Wystarczyło trzydziestu ludzi, żeby zdobyć Kapitol, a do opanowania Białego Domu trzeba było zaledwie dwunastu. Wieczorem drugiego dnia od rozpoczęcia inwazji dziadek w oficerkach i *Schirmmütze* z daszkiem stał u boku Franklina Delana Roosevelta, podając mu pióro, żeby prezydent podpisał formalną kapitulację.

Wieczorem wrócił do Fort Belvoir, mocno zaniepokojony klarownością i elegancją własnego planu. Zanim poszedł spać, usiadł do maszyny i streścił go w trzystronicowym memorandum do swojego dowódcy, gdzieś je potem jednak zawieruszone, zignorowano, a może litościwie puszczono w niepamięć. W mroku sypialni, którą dziadek zajmował wspólnie z jakimś Orlandem Buckiem, wykształconym w Massachusetts Institute of Technology inżynierem budownictwa lądowego i wodnego, dziadek jeszcze raz wyłożył swój plan.

Traf chciał, że ów Buck był jednym z nielicznych kadetów, którzy nie bardzo wpasowywali się w wyznawaną przez dziadka trójdzielną wizję ludzkości. Jego rodzina zaliczała się do arystokracji stanu Maine, a ojciec i dziadek polegli na polu chwały, bohatersko wznosząc mosty na Filipinach i w Argentynie. Tradycja robienia piekła w dystyngowanych instytucjach oraz brzemień rodowej spuścizny skłaniały Bucka ku sztuce burzenia, skupił się więc na tym właśnie elemencie planu dziadka.

– Wystarczy jeden most – stwierdził. – Najlepiej Francisa Scotta Key. To musi zwrócić ich uwagę.

Mijały tygodnie, ale nic nie wskazywało, że ktoś w ogóle dostrzegł memorandum dziadka. On i Orland Buck na przepustkach prowadzili ostentacyjny zwiad w okolicach mostu

Francisa Scotta Key, którego przeszła cwałowały przez rzekę wykwinną kawalkadą. Buck robił fotograficzną dokumentację poczynań dziadka, gdy ten bez przeszkód z czyjejkolwiek strony pstrykał fotki filarów i przyczółków. Mimo ich wysiłków nikt nie próbował indagować dwóch młodzieńców ani chyba nawet nie zauważył ich fascynacji mostem, który korpus saperów zbudował w latach dwudziestych według projektu współpracownika ojca Bucka.

Codzienne zajęcia z wyburzeń poszerzały ich wiedzę, a wieczorami obaj studiowali w szkolnej bibliotece oficjalne kopie planów konstrukcyjnych mostu.

– Już ja im dam nauczkę – oświadczył Buck, leżąc w ciemnościach na pryczy. Przyciszone radio właśnie doniosło o zajęciu Tobruku przez Rommla. – Będą skurwysyny miały za swoje.

Dziadek próbował sobie przypomnieć, jak dawno kumpel w tych rozmowach spiskowców niepostrzeżenie zastąpił tryb warunkowy czasem przyszłym. Ani przez chwilę nie wierzył, że Buck naprawdę chce dać komukolwiek nauczkę albo jest chociaż trochę zainteresowany wymierzaniem sprawiedliwości. Orland nie był frustratem ani perfekcjonistą i nie hołubił zadawnionych żalów. Wdał się w sprawę wyłącznie dla zabawy i mówił to, co według niego dziadek chciał usłyszeć.

– Nie zagalopowuj się – zwrócił mu uwagę ten ostatni.

– Kto, ja?

W opancerzonej skrzyni na pace starej ciężarówki marki Mack, która rdzewiała pod plandeką na szkolnym parkingu pozbawiona silnika i kół, Buck i mój dziadek ukryli dziesięć bomb własnej roboty. Obmyślili je prosto a skutecznie: drewniane skrzynki po amunicji wypchali bawełną strzelniczą, którą podczas szkoleń z burzenia podkradali w niezauważalnych ilościach. W ten sam sposób zdobyli trochę sółonek i parę szpulek lontu – akurat tyle, żeby dziadek mógł bez niczyjej szkody udowodnić słuszność swoich racji. Na końcu każdej szpulki przymocował kartkę z wystukany na maszynie napisem „Nur zu

Demonstrationszwecken”⁷.

- Nie lubię, jak ludzie się zagalopowują – powiedział.
- Też tego nie znoszę – beczelnie odparł Buck.

W noc zaplanowanego wyczynu przypięli pasy z narzędziami, wyjęli ze skrzyni zapas pokazowych bomb, umieścili je w czterech workach marynarskich i wyszli na lewiznę z taką łatwością, że dziadek jeszcze się utwierdził w pogardzie dla panujących w Fort Belvoir porządków. Przez wysokie chwasty i karłowate sosny dobrnęli do drogi dojazdowej, przecięli ją i znaleźli się w lesie, którym zarósł dawny teren plantacji Belvoir. Przedarli się przez mroczną gęstwinę, klnąc pod nosem, aż doszli do torów kolei RF&P, tam zaś wskoczyli na pusty wagon platformę i dojechali nim do Alexandrii.

Zeskoczyli w dzielnicy niskich ceglanych domów tuż przed wjazdem na stację Potomak, od której dobiegała woń dieslowych spalin i ozonowy swąd iskier z pantografów. Te zapachy i domy o jakby stropionych fasadach obudziły w sercu dziadka dawne pragnienia i urazy. Nie pierwszy i nie ostatni raz nasunęło mu się pytanie, czy właśnie tej nocy zaczyna wreszcie żyć, naprawdę żyć.

Znaleźli zaparkowaną w zaułku starą furgonetkę forda, model A. W tylnym oknie szoferki szybę zastępował prostokąt z dykty. Dziadek wepchnął go lewym łokciem i wślizgnął się do środka. Jeszcze nigdy nie zapalał samochodu, zwierając kable, ale zasada była prosta, a ford nie stawiał oporu. Dziadek w niecałą minutę uruchomił silnik. Otworzył drzwiczki i przesunął się na miejsce obok szofera. Orland Buck usiadł za kierownicą i przez chwilę ją głąskał.

- Skurwysynu – powiedział radośnie. – Niech cię szlag.
- Jedź.

W furgonetkę od strony Bucka grzmotnęło jakieś cielsko. W oknie ukazały się ślepia i czerwona psia paszcza. Męski głos krzyknął coś z domu stojącego tyłem do zaułka. Orland Buck parsknął śmiechem. Po chwili zmagają ze sprzęgłem i skrzynią biegów wypadli z uliczki pod eskortą oburzonego psa, który

⁷ Wyłącznie dla celów pokazowych.

jednak został w tyle, otoczony chmurą pyłu, gdy Buck dodał gazu. Furgonetka niezbyt się nadawała do tajnych akcji. Na szosę Jeffersona Davisa skręcili z takim łoskotem, jakby wlekli za sobą worek zegarów.

Potem Orland Buck zdołał się opanować. W ciemnościach jechał ostrożnie i z dozwoloną prędkością. Minęli nowe lotnisko, pustkowie, gdzie budowano nowy gmach Departamentu Wojny, i wreszcie cmentarz, na którym leżeli pod białymi krzyżami ojciec i dziadek Bucka. Przeciągnęli ładunek części zegarowych po jezdni upatrzonej ofiary i na waszyngtońskim brzegu skręcili w lewo ku górnemu biegowi rzeki. Nieopodal Georgetown przy starym ujściu kanału Chesapeake-Ohio Buck wrzucił na luz i zgasił silnik. Wturlali się po żwirze na przystań Fletchera. Zanim wysiedli z furgonetki, uczernili sobie twarze przypalonym korkiem i włożyli ciemne wełniane czapki. Orland Buck był w siódmym niebie. Dziadek musiał zresztą przyznać, że jak dotąd też nieźle się bawi.

– Wiosłowałeś kiedyś w kanu? – spytał Buck, weteran wielu obozów w południowo-wschodnim Maine.

– Widziałem, jak to się robi – odparł dziadek, mając na myśli niemą wersję *Ostatniego Mohikanina*, którą widział w kinie Lyric w Germantown. – Skoro Bela Lugosi potrafił, ja też dam radę.

Zamek na drzwiach hangaru pękł pod uderzeniem młotka i dłuta. Dziadek uchylił drzwi na kółkach i przez trzydziestocentymetrową szparę wślizgnął się do środka. Z ciemności powiało wonią starych tenisówek. Buck odszukał łódkę ze szczęśliwym numerem dziewięć, w której niejaka Irma Budd, maszynistka z Departamentu Wojny, zrobiła mu kiedyś laskę. Zgięci w pół, zbiegli wielkimi susami po pochylni, dźwigając czółno. Dziadek położył na dnie worki, a Buck przyniósł dwa wiosła.

– Gotów do zabawy, Lugosi?

Dziadek ściągnął kanu nad samą wodę, zgrzytając jego dnem o pochylnię, i usiadł na rufie, zanim zsunęło się na rzekę. Nie zwykł fatygować się odpowiadaniem na tego rodzaju pytania.

Siedząc w łodzi numer dziewięć, milczący jak Piscatawayowie,

rzucili wyzwanie Potomakowi. W tej fazie akcji mieli być najbardziej wystawieni na widok, więc postanowili przepłynąć pod wirginijski brzeg, w tamtych czasach jeszcze półdziki, i trzymać się blisko niego. W obliczu przygody Orland Buck ucichł. Adrenalina wydobyła z niego trzeźwego Jankesa, dwie żylaste dłonie zacisnął na drewnianym trzpieniu. Z dziadka podczas prawie całej przeprawy było nie więcej pożytku niż z węgierskiego aktora, ale nie wpadł przez to w przygnębienie ani w zakłopotanie. Wybrali wprawdzie bezksiężycową noc, lecz wobec braku chmur lśniły im nad głowami srebrzyste krople luty niebiańskiej instalacji. Zanim Buck dowiosłował do miejsca, gdzie mieli skręcić w dół rzeki i ku wybranemu mostowi, dziadek nauczył się znakomicie posługiwać wiosłem i był szczęśliwy jak nigdy.

Most zdawał się trwać w napięciu, jakby zamierzał zerwać się z uwięzi, kiedy Orland Buck i dziadek wślizgnęli mu się pod zad. Zawibrował pod ciężarem przejeżdżającego auta. Dziadek odłożył wiosło na dno kanu, przykucnął i niechcący zakołysał czołnem, podczas gdy Buck z wolna przybił do podstawy przyczółku, którego masyw tkwił zaryty w glebę Wirginii. Orland wyciągnął rękę i oparł ją o brzeg, unieruchamiając łódkę. Dziadek otworzył jeden z worków i wyjął pierwszą bombę razem z rolką przylepca zwędzoną z izby chorych. Gdyby mieli więcej czasu i naprawdę złe zamiary, zrobiliby w betonie dziury oskardem albo wiertłem i wpuścili w nie bomby, żeby dodać wybuchom mocy. Beton był twardy jak zaraza, więc dziadek oceniał, że porządna demolka Francisa Scotta Key wymagałaby użycia może z pięciuset kilogramów bawełny strzelniczej. Przylepił pierwszą bombę do wielkiego betonowego kopyta. Trzask odwijanych z rolki pasków przylepca rozlegał się pod przęsłem mostu gromowym echem.

– Dalej – powiedział dziadek.

Orland Buck musnął wodę wiosłem i popłynęli w stronę środka mostu. Fale klaskały o kanu i o przyczółek.

Most Francisa Scotta Key ma pięć przęseł: trzy olbrzymimi krokami przemierzają rzekę, a dwa (po jednym na każdym

końcu) mocują budowlę do stałego ładu. Orland Buck i mój dziadek do każdego z czterech filarów przykleili po trzy bomby, zmieniając się jak w sztafecie, czyli w sumie przytwierdzili po sześć bomb. Kiedy wreszcie skończyli, dochodziła czwarta rano. Dziadek zadarł głowę i spojrzął na most od dołu. Z podziwem patrzył na to, jak przestrzeń między łukiem przęśła a płaską jezdnią wypełniają łuki w kształcie odwróconych U, sięgające coraz niżej, wraz ze wzrostem odległości od środkowej części głównego łuku. W przestrzeni pod mostem huczał wiatr. Ponad sklepieniem ze stali i betonu wznosiło się większe sklepienie nieba, po nim zaś krążyły wiosenne zwierzęta i herosi. Spiętrzone łuki dźwigały brzemię, wręcz go łaknęły, przytłoczone spajającą je mocą. Dziadek spojrzął w stronę Orlanda, który siedział na rufie kradzionego kanu. Buck trzymał w ręku zapalnik czasowy w kształcie ołówka i pięćdziesięciometrowy zwój lontu, którego dziadek nigdy nie widział i nie był świadom jego istnienia.

– Pewnie chciałbyś złapać za wiosło i kawałek stąd odpłynąć – powiedział Orland Buck.

Dziadek skinął głową. W głębi duszy od początku podejrzewał, że tamten knuje jakiś numer w tym stylu. Usiadł i zręcznie skierował kanu w górę rzeki. Buck jedną ręką rozwijał wodoodporny lont, starając się nie uruchomić zapalnika. Kiedy przepłynęli wzdłuż waszyngtońskiego brzegu niecałe pięćdziesiąt metrów, dziadek zamachnął się wiosłem i trzasnął nim w ucho towarzysza. Orland Buck padł na twarz. Dziadek urwał przytwierdzony do końca lontu zapalnik i cisnął go do rzeki. Posadził Bucka, upewnił się, że przyjaciel stracił tylko przytomność, a nie życie, i położył go na rufie. Następnie powiosłował z powrotem do przystani Fletchera. Gdy tam dopłynęli, Buck wciąż był nieprzytomny. Dziadek sam zaciągnął kanu do hangaru i zostawił trzy dolary za popsuty zamek. Wepchnął puste worki do śmietnika, a Bucka do szoferki kradzionej furgonetki.

Na moście Francisa Scotta Key Orland Buck stęknął i otworzył oczy. Spojrzął w okno i zobaczył, gdzie są. Badawczo obmacał

miejsce urazu i znowu jęknął.

– Jezu – rzekł z niechętnym szacunkiem, kręcąc głową.

– Zagalopowałeś się – powiedział dziadek.

Kiedy nazajutrz po południu wrócił do swojej kwatery po zajęciach z kartografii i miernictwa, na prawo i lewo od drzwi stali dwaj żandarmi. W pierwszej chwili gotów był uciec, potem jednak pogodził się z losem, który zwałił mu się na kark. Policzki, uszy i narządy wewnętrzne paliły go na myśl, że dwaj piekarze już nigdy nie przestaną srać na głowę jego matce, a ona będzie musiała do końca życia cierpliwie to znosić.

Policaje w śnieżnobiałych hełmach ani drgnęli, kiedy do nich podchodził. Z utkwionych w nim oczu wyzierała śmierć, nienawiść i nuda, on zaś odwzajemniał im się spojrzeniem o tym samym wyrazie.

– Mnie szukacie? – spytał, stając przed drzwiami w równej odległości od gardeł obu żandarmów.

– Nie, synu – odparł męski głos z pokoju, gdzie dziadek i Orland Buck uknuli głupi spisek, który teraz wedle przewidywań dziadka miał ich zaprowadzić prosto do więzienia w Leavenworth. Był to głos człowieka bogatego, śpiewny i miękki, ale nawykły do posłuchu. – To ja cię szukałem.

Rosły mężczyzna w nieco podeszłym wieku zerwał się z krzesła, kiedy dziadek wszedł do pokoju. Równie barczysty jak mój protoplasta, miał sylwetkę twardego zabijaki, który na starość się roztył. Ubrany był w garnitur z szarej wełny w pepitkę przetykaną czerwoną nicią, a do tego miał jedwabny czerwono-srebrny krawat i cudowne czarne zamszaki na czerwonej podeszwie. Mimo tej prezencji angielskiego prawnika biło od niego na odległość wojskiem. Bez skrępowania zlustrował dziadka zimnym spojrzeniem. To, co zobaczył, chyba utwierdziło go w przekonaniu, które sobie wyrobił na podstawie raportów lub pogłosek. Miał niezwykle oczy. Opowiadając mi o nich, dziadek przez chwilę szukał właściwego określenia dla ich barwy; najpierw porównał ją do lodu na morzu, a potem do rozżarzonej fajerki.

– Pewnie się nie zdziwicie, żołnierzu – zaczął nieznajomy,

przeciągając słowa zwyczajem mieszkańców Park Avenue – jeżeli powiem, że wpadliście w tarapaty.

– Nie, proszę pana.

– No właśnie. Dlaczego miałyby was to zdziwić? Sami pchaliście się w kłopoty, no to je macie. Konsekwentne postępowanie daje łatwe do przewidzenia skutki.

– Ja się nie pchałem w kłopoty, proszę pana, tylko...

– Nie zaprzeczajcie, szkoda fatygi. Wiem o was wszystko od pierwszego rzutu oka. Przez całe życie nic tylko szukacie guza.

– Proszę pana...

– Czyżbym się mylił, żołnierzu?

– Nie, proszę pana.

– Ukradliście sprzęt i materiały z zasobów armii amerykańskiej. Wyszliście z koszar bez zezwolenia. Podprowadziliście furgonetkę. Wykradliście kanu. Umieściliście gotowy do detonacji materiał wybuchowy na obiekcie będącym własnością państwa.

– Tego akurat nie było w planie – wtrącił dziadek. – Mam na myśli gotowość do detonacji.

– Nie? No to jak do tego doszło?

Było jasne, że Buck już do wszystkiego się przyznał, ale skoro dziadek przed laty nie wydał wąsatej dziewczyny ze stacji rozrządowej, to i teraz nie miał ochoty wydać przyjaciela, chociaż okazał się on kapusiem.

– Przez błąd w dowodzeniu – oświadczył.

Lodowate oczy nieznanego błysnęły nagle ogniem. Dziadek odniósł niepokojące wrażenie, że ten krzepki starzec jest nim zachwycony.

– Ojciec Orliego Bucka był w Bojowym Sześćdziesiątym Dziewiątym⁸ moim adiutantem – powiedział starszy pan. – On też stale szukał guza i wiedział, że jeżeli wezwie mnie na pomoc, zawsze stanę za nim murem i spróbuję w ten czy inny sposób wydobyć go z każdej kabały, w jaką się wpakuje. I pewnie dlatego Orlie zwrócił się do swojego starego stryjka Billa, kiedy przyszli

⁸ 69 Pułk Piechoty z Nowego Jorku, nazwany tak podobno przez generała Roberta E. Lee z armii Południa podczas wojny secesyjnej (przyp. tłum.).

go aresztować ci dwaj policaję, co teraz stoją za drzwiami.

Mnóstwo anegdot, genealogii i mrocznych aluzji zasłyszanych od Orlanda Bucka w ostatnich miesiącach spotkało się nagle w umyśle dziadka, krzesząc promyk nadziei.

– Pułkowniku Donovan, czy może pan i mnie wyratować z kłopotów?

– No cóż, mój chłopcze – odparł Dziki Bill Donovan. – Szczerze mówiąc, chyba mógłbym to zrobić. Ale jak już ustaliliśmy, nie na tym ci najbardziej zależy, prawda?

V

Po zatrzymaniu pod zarzutem napaści na prezesa Feathercombs dziadek spędził tydzień w areszcie. Wyznaczono wysoką kaucję, a on mógł dać w zastaw najwyżej teleskop zwierciadlany wart dwadzieścia pięć dolarów i czterodrzwiowego crosleya z czterdziestego dziewiątego roku.

W ciągu tego tygodnia dwa razy zadzwonił do mojej babki. Za pierwszym razem wprowadził ją w błąd co do swojego miejsca pobytu i ani słowem nie wspomniał o aresztowaniu. Jego adwokat Shulman wysłał kogoś, żeby zabrał crosleya z garażu na Wschodniej Pięćdziesiątej Siódmej i pojechał nim do New Jersey. Kierowca miał powiedzieć babce tylko to, że jej mąż zamierza pojechać pociągiem na prowincję w sprawie pilnej transakcji.

Czwartego dnia odsiadki dziadek zatelefonował po raz drugi. Uraczył babkę wspomnieniami z wyprawy w sierpniu zeszłego roku, którymi dotąd z nią się nie dzielił. Opisał widok z okna motelu na cuchnącą Susquehannę. I włoską knajpkę, w której podawano makaron w zielonym sosie zwanym pesto. I jeszcze długie gorące popołudnie, które upłynęło mu na wizytach u klientek. Nienawidził swojej pracy od dnia, gdy ją rozpoczął, lecz kiedy ją stracił – a raczej sam wdeptał w ziemię – z perspektywy czasu nuda owych dni wypełnionych krasomówczymi tyradami w prowincjonalnych salonach urody nabrała pewnego uroku. Dziadkowi zaszklily się oczy, gdy tak stał w szarych więziennych łachach z diagonalu, opierając się o wiszący na ścianie automat telefoniczny, i wychwalał aptekarkową z Elmiry, która początkowo kupiła tylko jedno opakowanie wyrobów Feathercombs, ale zwiększyła zamówienie, kiedy dał jej się przejrzeć w swoim lusterku.

Ani przez chwilę nie miał takiego pomysłu, żeby przyznać się babce do wszystkiego. Była już wtedy w chwiejnej równowadze, więc bał się pchnąć ją w przepaść. Tak właśnie usprawiedliwiał

swój wybieg przed sobą, a po trzydziestu dwóch latach również i przede mną. Była to jednak moim zdaniem zaledwie część prawdy. Dziadek nigdy by nie skłamał tylko po to, żeby się wybielić, przedstawić w dobrym świetle lub uniknąć odpowiedzialności. Kłamstwo – inaczej niż babce – nie sprawiało mu przyjemności ani ulgi. Choć jako człowiek z usposobienia rodzinny kochał nas wszystkich na swój małomówny sposób, był jednak do szpiku kości samotnikiem. Jeżeli musiał znieść ból, wolał go wycierpieć w pojedynkę. Jeżeli nabałaganił, sam po sobie sprzątał. W przeciwieństwie do swojej żony czuł się niepewnie wśród zmyśleń, ale pod wpływem nieprzewycięzonego nawyku liczenia wyłącznie na siebie stał się skryty. Wprawdzie to psychiatrzy, którzy z zawodowego obowiązku znali się na tego rodzaju sprawach, od lat kazali mu zatajać przed babką bulwersujące nowiny, ale ich rady skądinąd doskonale wpasowywały się w jego skrytą naturę. Nad babką nieustannie wisały chmury, a on się urodził z parasolem w ręce.

Prawdę mówiąc, gdyby nie obawa o zdrowie psychiczne żony, dziadek może i nie miałby nic przeciwko paru dniom w areszcie. Pokuta to najbardziej samotnicze z ludzkich zajęć, a nie było na nią lepszego miejsca niż stalowa prycza w Grobowcach⁹. Dziadka zaczęły jednak nękać wizje rychłego kryzysu i katastrofy w jego własnym domu. Chociaż najbardziej na świecie nie cierpiał prosić o pomoc (zwłaszcza ludzi, którzy go kochali albo gotowi byli pomóc za darmo), widział przed sobą tylko jedno wyjście, więc kazał Shulmanowi namierzyć swojego młodszego brata.

Stryj Ray jako uczony *wunderkind* po dwudziestych trzech urodzinach został rabinem, ale we wczesnych latach pięćdziesiątych zaczął mieć wątpliwości w kwestii boskiego zamysłu i przypadku. Porzucił więc swoją bime w północno-zachodnim Baltimore i od tamtej pory świetnie zarabiał, grając w bilard i w pokera, jak półwysep Delmarva długi i szeroki. Aby zebrać pieniądze na kaucję za dziadka, potrzebował tygodnia, odpowiednio liczne grona chętnych do roli ofiar

⁹ The Tombs – więzienie przy White Street na dolnym Manhattanie (przyp. tłum.).

i niespodziewanej wygranej czarnego konia podczas piątej gonitwy w Hialeah.

Dziadek wyszedł z Grobowców, mając przy sobie akurat dość pieniędzy na golenie u fryzjera, bilet autobusowy, baton Zagnut dla mojej matki oraz kawę i pączek dla siebie po przyjeździe na dworzec w Paterson. Za pośrednictwem Shulmana, który zgodnie z jego wskazówkami przedstawił się babce jako „prawnik pomagający mężowi prowadzić interesy”, poprosił żonę, żeby odebrała go z dworca o dziesiątej trzydzieści.

Kwadrans po jedenastej nie było jej widać nawet na horyzoncie. Dziadek wydał ostatnie dziesięć centów na telefon do domu.

– Już tu jestem – oznajmił.

– Tu? Znaczy gdzie?

– W Paterson. Na dworcu.

– W Patehson – powtórzyła babka.

Jej ton zdawał się wskazywać, że owszem, obilo jej się o uszy to słowo. Zawsze uważała, że przybrana ojczyzna cierpi na nadmiar miejscowości o groteskowych nazwach.

– Shulman nic ci nie mówił?

– Shulman? Jaki znowu Shulman?

– Adwokat. Shulman.

– Czyli Shulman to adwokat. Aha, hozumiem. – Można by sądzić, że babka notuje kolejne słowa, żeby je później przestudiować: Paterson. Shulman. Adwokat. – A tehoz bądź łaskaw mi powiedz, ktoś ty w ogóle zacz?

Dziadek dopiero po dłuższym czasie dowiedział się, że napisano o nim w „Daily News”, od razu jednak zrozumiał, że mimo jego starań rzecz się rozniosła.

– Słuchaj – rzekł. – Nie wiem, co mam powiedzieć. Przepraszam.

– Przephaszasz? A za cóż to?

– Kochanie, wiem. Zrobiłem coś okropnego, ale jakoś to załatwię. Przysięgam. W życiu niczego tak nie żałowałem. Wiem, jak musiałaś się martwić.

– Ani thochę się nie mahtwiłam! – Dzięki francuskiemu akcentowi sarkazm babki zawsze brzmiał odrobinę teatralnie. – Jak tylko zaczynam się mahtwić, zahaz sobie wyobhażam, że

skaczesz z samolotu i zanosisz hatunkowe grzebyki hozczochronnym paniom z Binghamtown w stanie Nowy Johk.

Dziadek skrzywił się, wyczytawszy z tej parodii, jak kulawą mistyfikację wysmażył wspólnie z Shulmanem. Próbował sprzedać ją babce (która najwidoczniej się w tym połapała), licząc, że Binghamton leży na dalekich kresach bezładnych map jej cudzoziemskiego umysłu. Ale ona jak zwykle przejrzała go na wylot razem z jego fortelami. Tak jak wielu współmałżonków „szczęściarzy” zdążył już się przekonać, że tak zwane szczęście było w rzeczywistości uporem, wspomaganym przez spostrzegawczość, płynne wyobrażenie o prawdzie, ucho wyczulone na cudze kłamstwa i głęboką podejrzliwość. Podobny rodzaj szczęścia miewali ludzie w południowej Filadelfii, tam jednak pozwalało ono osiągnąć coś więcej niż po prostu ujść z życiem.

– Kotku – powiedział błagalnie. – Przesiedziałem tydzień w areszcie. Jestem brudny, półżywy i stoję na dworcu autobusowym w Paterson. Przyjedź po mnie, proszę.

– Jadłeś coś?

– Zjadłem pączek. A jak ona?

– Jest w szkole.

Dziadkowi nie chodziło o to, gdzie moja matka akurat w tamtej chwili się podziewa. Mógł się przecież domyślić, wiedząc, która jest godzina i jaki dzień tygodnia. Pominął jednak tę odpowiedź milczeniem. Pytanie, które zadał, było równie bezsensowne jak każde inne.

– A ten pączek, co go zjadłeś – podjęła babka. – Jaki był duży?

– Jaki duży? Jak to pączek. Wielkości pączka. Kochanie...

– Ale wypełnił ci żołądek?

– Jasne.

– To dobrze – orzekła babka, zanim odłożyła słuchawkę. – Skoho tak, stachy ci sił na długi mahsz do domu.

Od żołnierza jadącego do Trenton na przepustkę dziadek wybłagał dziesięć centów i zaraz je zmarnował na jeszcze jeden telefon do domu. Babka zdjęła tymczasem słuchawkę z widełek i położyła ją obok aparatu. Słuchając sygnału „zajęty”, dziadek

sfingował na użytek wojaka krótką rozmowę z żoną, która mu rzekomo wybaczyła, puszczając wszystko w niepamięć. Zakasłał, żeby zagłuszyć brzęk zwracanej dziesięciocentówki, ta zaś starczyła mu akurat na bilet autobusowy do Ho-Ho-Kus. Wsiadł na Sheridan Avenue.

Potem długo szedł przez niedawno zabudowane tereny. Mijał niezasiane jeszcze trawniki, świeżo posadzone drzewka i zygzakowate rzędy domów przypominających wagony towarowe. Kiedy codziennie jeździł do pracy przez te nowe osiedla, robiąc siedemdziesiąt na godzinę, wydawały się nieszkodliwe, okiełznane. Za to idąc piechotą, miał wrażenie, że nigdy się spomiędzy nich nie wydostanie. Domy rozlewały się we wszystkie strony jak błocko, bez granic. Pola kukurydzy, sady, zagajniki dębów i orzeszników, o których jeszcze niedawno powiedziałaoby się, że nie ima się ich czas ani stal, pochłonęła ziemia. Dziadek czuł dreszcz niepokoju – tym silniejszy, im bliżej był celu. Martwił się, że pod jego nieobecność błocko zalało nawet biały dom na zielonym pagórku, gdzie mieszkał z rodziną.

Odegnął tę myśl. Był na siebie zły, że mu w ogóle przyszła do głowy. Lecz gdy tak brnął przez nowe osiedla, raz po raz wracał dręczący obraz domu, żony i córki, zatopionych w błocku. Dopiero kiedy skręcił z szosy okręgowej na żwirówkę, poczuł się bezpiecznie wśród jabłoni i łodyg kukurydzy. Panika ucichła. Nie mógł jednak powiedzieć sobie z całym przekonaniem, że jego rodzina nie utonie.

Według znanej mi wersji wydarzeń w jakiś czas po kapitulacji Francji moją babkę – niespełna osiemnastoletnią pannę w ciąży z moją matką – przygarnęły karmelitanki na wsi pod Lille, gdzie jej żydowscy rodzice byli zamożnymi handlarzami koni i skór. Dowiedziawszy się, że zaszła w ciążę, i to z katolikiem, nie dali się ułagodzić tym, że ojcem jest przystojny młody lekarz, i wyparli się córki. U karmelitanek umieścili ją krewni przystojnego młodego lekarza. Wkrótce po przyjściu na świat mojej matki rodzinę babki wywieziono do Auschwitz, gdzie też

zginęła. Przystojny młody lekarz opatrzył rany kilku członkom miejscowego ruchu oporu, za co zastrzelili go esesmani.

Rodzina babki od początku krzywo patrzyła na jej zainteresowanie teatrem, poezją i rękodziełem. Natomiast zakonnice były estetikami i popierały te zajęcia. Żyły z wyrobu i sprzedaży wonnych wieńców z gałązek laurowych i suchych kwiatów. Pielęgnowały też sady, pasieki i upstrzoną owcami łąkę. Kiedy miałem osiem czy dziewięć lat, matka zapoznała mnie z pojęciem wyrzutów sumienia ocalałych, wyjaśniając przy okazji, dlaczego jej matkę dręczyło poczucie winy: otóż dlatego, że nigdy nie była szczęśliwsza niż u karmelitanek pod Lille.

W wiejskim domu dziadków, stojącym na jedenastu akrach ziemi pod Ho-Ho-Kus w New Jersey, nie było zakonnice ani owiec. Była jednak łąka i jabłoniowy sad, a dziadek przez pierwszą spędzoną tam zimę postawił ule i zrobił ramki na plastry według planów z książki wypożyczonej z biblioteki publicznej. Wydzierżawił tę posiadłość, spodziewając się powrotu babki po jej pierwszym pobycie w szpitalu, w którym przebywała od schyłku 1952 roku do późnej jesieni 1954. Miał nadzieję, że miejsce to pozwoli jej odnaleźć słodycz zapamiętaną z Karmelu.

Jabłka okazały się twarde jak kamienie. Sprowadzone z Francji pszczoły ulegały pokusom włóczęgi i lenistwu. Ledwie jednak babka ujrzała dom i zdobiące go fidrygałki, gąszcz róż i świeżo pobielone ściany, poddała się logice dziadka. Z pierwszego pobytu w szpitalu Greystone wyszła krucha i cicha, nosząc się jak jajko na łyżce, ale przeżyła potem z dziadkiem na farmie dwadzieścia osiem w miarę pogodnych miesięcy. Żaden anioł nie nakłaniał jej, żeby obnażała prorocтва swojego ciała przed pasażerami autobusów i trolejbusów. Zaniechała przewlekłych postów, wskutek których przez jej skórę przenikał wewnętrzny blask, będący wedle wyobrażeń babki odpowiednikiem chrystusowej światłości jej zakonnych opiekunek. Znalazła pracę, czyli główne role w trzech sztukach w prestiżowym Paper Mill Playhouse i małą rolę we wznowionej na Broadwayu komedii *Ach, pustynio!*, która na prowincji już zeszała z afisza. Do wiosny 1957 roku Bezsłony Koń zachowywał swoje drwiny i szyderstwa

dla siebie.

Gdzieś w tygodniu poprzedzającym szalony wyskok dziadka w Feathercombs, Inc. ten okrutny kompan z piekła rodem powrócił, aby zamieszkać w koronie wspaniałego orzesznika na podwórku przed domem. Dziadek nie zdołał uchwycić momentu tego powrotu ani ustalić jego przyczyny. Już po fakcie przypomniał sobie, że babka parokrotnie zastygała w zupełnym bezruchu, z zamkniętymi oczami, jakby powstrzymywała atak mdłości. Wspomniał jakiś dreszcz, który stłumiła, i zbyt długo rozpięty na jej twarzy uśmiech. O ile mu było wiadomo, Bezsłony Koń mógł od miesiąca krążyć w pobliżu, nim postanowił zająć domek, który dziadek zbudował na orzeszniku jako prezent z okazji trzynastych urodzin mojej matki.

Kiedy w dniu zwolnienia z aresztu skręcił z szosy w stronę domu i zszedł ku niemu po zboczu wzgórza, najpierw zobaczył właśnie to drzewo, wysokie na dwadzieścia metrów, posadzone grubo przed końcem XIX wieku przez pierwszych lokatorów – chrześcijańską sektę wyznawców wolnej miłości. Gdy w pełni lata rozpościerało na niebie ulistnione gałęzie, jego idealnie kolistą koronę w odcieniu kredkowej zieleni wyglądała jak dziecięcy rysunek. Ukryty w gałęziach domek był dla matki galeonem i twierdzą. Teraz jednak u podstawy pnia czerniała plama spalenizny, z której pięły się wzwyż cztery poszarpane smugi. Przypominała odcisk wielgachnego łapska.

Oczy nadrzewnego domku wpatrywały się w swojego budowniczego, kiedy ten skręcał za węgiel, zmierzając w stronę kuchennych drzwi. Frontowych nigdy nie używano. Dziadek wdrapał się po trzech schodkach tylnej werandy, z trudem kończąc długi marsz do domu. Pod półbutami z perforowaną przyszwą zaskrzypiały nowiutkie deski. Sam je przybił zeszłego lata. Stara weranda zupełnie już zbutwiała i zżarły ją korniki, więc rozwalił ją z zaciekłością niewiele różniącą się od nadziei. Czasem pracował sam, a czasem moja matka podawała mu gwoździe z wiaderka albo przyciskała pupą deskę. Pociął, umocował i pobielił świeże drewno, po czym wyrzezał gotyckie koronki według wzoru z książki, którą także znalazł

w wypożyczalni. Czuł pod sobą nową werandę, zdrową i solidną. Nie była wprawdzie i nigdy nie miała być jego własnością, tak jak i reszta domu, ale w tamtych latach nie zależało mu na posiadaniu kawałka świata. Chciał tylko ocalić ten kawałek przed upadkiem lub pożarem.

Wiosenne popołudnie już ostygło, lecz tylne drzwi domu były otwarte. Dziadek poczuł woń cebuli i bobkowych liści, parkoczących w winie na małym ogniu. Z salonu słychać było, jak na gramofonie pluska kwintet Pstrąg. Okna kuchni ociekały skroploną parą. Migąła za nimi sylwetka babki. Umiała ona znakomicie gotować i nigdy nie była spokojniejsza ani przytomniejsza, niż gdy trzymała w dłoni palisandrową rękojeść ostrego jak brzytwa Sabatiera. We wczesnych latach pięćdziesiątych, zanim pierwszy raz trafiła do szpitala, często gościła w programie telewizji WAAM Kuchnia domowa, ucząc gotowania po francusku gospodynie z Baltimore (przynajmniej te, które już miały telewizory), a przez krótki czas prowadziła własny program *La Cuisine*, nadawany rano dwa razy w tygodniu¹⁰.

– Kogo my tu widzimy – powiedział dziadek, wchodząc do rozgrzanej kuchni.

Babka spojrzała znad salaterki i trzepaczki. Sięgnęła za siebie, żeby rozwiązać fartuch. Zawczasu się uczesała i włożyła naszyjnik z pereł. Bieleły teraz na zarumienionym dekolcie między szyją a widocznym w wycięciu czarnego swetra rowkiem między piersiami. Zdawały się promieniować wchłoniętym ze skóry ciepłem. Dziadkowie wybaczyli sobie nawzajem, pragmatyczni jak kochankowie w spadającym samolocie. Mieliby przecież aż dość czasu na wymówki, gdyby udało im się ocaleć.

– Szkolny autobus przyjedzie dopieho za godzinę – powiedziała babka.

Dziadek zdjął buty, garnitur i krawat, zakisła białą koszulę,

10 Do dziś przyrządzam *coq au vin*, krem z zupy ziemniaczanej i omlet według przepisów babki, wystukanych na jasnoniebieskich fiskkach. Jej nienagannie wysezonowaną patelnię do omletów zgubiłem albo porzuciłem wśród wędrówek i rozgardiaszu po swoim rozwodzie.

skarpetki i podwiązki. Babka pomogła mu ściągnąć bokserki. Zaprowadziła go nagiego do łazienki, żeby zmył z siebie Grobowce.

Gorąca woda była przyjemna, ale nie marudził zbyt długo pod prysznicem. Zanim wszedł do sypialni, babka wyciągnęła się nago na łóżku, podparłszy się łokciem. Nie zdjęła pereł, bo wiedziała, że mu się w nich podoba.

Zrobione na Florydzie zdjęcie mojej babki w bikini przedstawia panią po czterdziestce w typie *zafitk*, czyli „soczystą”, z imponującym biustem i dołeczkami w kolanach. Była już wtedy po hormonalnej terapii zastępczej lekami pierwszej generacji (HTZ), która zmiękczyła jej ciało i uspokoiła umysł¹¹. Kiedy w owo popołudnie po zwolnieniu z aresztu babka otworzyła przed dziadkiem ramiona, brzuch pod morą rozstępów wciąż miała krągły i jędrny, kibić wąską, a nadgarstki i kostki nóg smukłe. Dziadek złapał ją właśnie za kostkę i przyciągnął do siebie po łóżku. Zaparł się żebrami o jej uniesione uda i wszedł w nią, stojąc na podłodze. W gasnącym świetle dnia pereły odcinały się na tle jej skóry.

Pewnego marcowego ranka w 1990 roku dziadek wstawał z sedesu w głównej łazience swojego apartamentu w osiedlu dla emerytów Fontana Village w Coconut Creek na Florydzie i nagle usłyszał trzask. Ocknął się na posadzce, zakrwawiony, ze spuchniętą wargą i złamaną nogą. Okazało się potem, że kość pękła z powodu przerzutu; wyszło też na jaw, że dziadek od pół roku wzbraniał się przed leczeniem złośliwego guza żołądka, nikomu się do tego nie przyznając. Początkowo wiedzieliśmy jednak tylko, że upadł, więc ktoś musi się nim zaopiekować, dopóki noga się nie zrośnie.

Moja matka jako oskarżyciel publiczny właśnie wносиła grupowy pozew przeciwko firmie farmaceutycznej, której popularny lek HTZ drugiej generacji wedle wszelkich oznak

¹¹ A potem ją zabiła: w 1975 roku babka umarła na raka śluzówki macicy w wieku pięćdziesięciu dwóch lat.

powodował raka jajników u tysięcy kobiet, zabijając je przed sześćdziesiątką. Mój młodszy brat zaczynał karierę aktorską w Los Angeles i akurat dostał rolę w pilocie proponowanej kontynuacji serialu z lat siedemdziesiątych *Kosmos 1999*. Nieco przedtem wznowiono w miękkiej oprawie moją pierwszą powieść, więc wybierałem się w objazd z cyklem wieczorów autorskich, a jednocześnie próbowałem (daremnie, jak się potem okazało) wyratować coś oprócz materiału na kilka opowiadań z dziurawej łajby swojego pierwszego małżeństwa.

Była też tajemnicza Przyjaciółka. Sumując to, co wiedziało każde z nas, stwierdziliśmy, że dziadek bardzo mało nam o niej mówił. Miała na imię Sally. Była malarką. Niedawno owdowiała. Żadne z nas nie znało jej numeru telefonu czy choćby nazwiska.

Sally zadzwoniła do mojej matki nazajutrz po wypadku dziadka i od razu przeszła do rzeczy: chociaż spotykali się dopiero od września i jeszcze nie zdążyli dokładnie się poznać, gotowa była pomóc. Ale przez trzy mordercze lata towarzyszyła mężowi w chorobie, stopniowym podupadaniu i wreszcie śmierci, toteż – mówiąc najszczerzej – nie miała pewności, czy podoła. Matka podziękowała jej i zapewniła, że rozumie. Czują, że Sally poznała już dziadka dość dobrze, aby wiedzieć, że rola pacjenta może być mu nie w smak.

Matka polecała zatem na Florydę po mężczyznę, który został jej ojcem, zanim skończyła pięć lat. Liczyła, że jeśli przywiezie go do Oakland, zdoła mu zorganizować opiekę i niezbędne leczenie, nie zaniehbując swojej pracy. Wobec perspektywy długiej podróży na zachód w trosce o wygodę dziadka kupiła mu mimo jego energicznego sprzeciwu bilet pierwszej klasy. Dopilnowała, żeby listy do niego przesyłano na jej adres, i spakowała jego ubrania i papiery. W wielkiej walizie było mnóstwo miejsca na osobiste drobiazgi, ale dziadek postanowił zabrać tylko pięć:

1. *Rakiety, pociski i podróże kosmiczne* Willy'ego Leya (wydanie trzecie, Viking, 1957) – historię lotów rakietowych do roku 1956, połączoną ze szczegółowymi, chociaż – jak czas pokazał – błędnymi przewidywaniami w sprawie lotu załogowego na Księżyc. Wiedziałem, że dziadek od dawna szczególnie lubi tę

książkę i jej autora, ale nie znałem tego akurat egzemplarza. Brakowało mu obwoluty, a pewne ślady (plamy od taśmy samoprzylepnej oraz wyklejka naddarta w miejscu po kieszonce na kartę z datą i ostemplowana u góry pieczęcią Wydziału Więziennictwa Stanu Nowy Jork) jasno świadczyły o jego pochodzeniu. Przekartkowałem go, zauważając przy tym, że w całej książce ktoś (zapewne dziadek) zamazał czarnym pisakiem jakieś słowa. Podniosłem tom nad lampkę nocną i obejrzałem zbrukane stronicę pod światło. Przez każdą czarną smugę prześwitywało to samo nazwisko: Wernher von Braun¹².

2. Zapalniczkę Zippo, zwaną zapalniczką Aughenbaugha, którą nosił w prawej kieszeni spodni, odkąd pamiętam. Rzucił palenie jeszcze przed moimi narodzinami, ale nieraz przy mnie podpalał nią grille, drwa w kominku i ogniska. Na gładkim owalu wprawionym w niklową powierzchnię, granulowaną, żeby mniej było widać rysy, pozostał ślad wygrawerowanego symbolu organicznej cząsteczki: dwa połączone sześciokąty o wierzchołkach oznaczonych wielkimi literami C, H i O. Parę razy w życiu spytałem dziadka, co to za związek chemiczny, lecz

12 Dziadek zawsze obnosił się ze swoją pogardą dla von Brauna, który był podobno jednym z pierwowzorów doktora Strangelove'a – kryptonazisty ze scenariusza Southerna i Kubricka. Ilekroć wymieniał jego nazwisko lub przytaczał zamieszczoną w gazecie wypowiedź, mówił z komediowym akcentem niemieckim. Przedsiębiorstwo dziadka – MRX – było głównym dostawcą projektów raket i silników dla firm Estes, Centuri, Chabon Scientific i większości czołowych przedstawicieli tej branży w latach szczytowej popularności modelarstwa raketowego. Wyroby MRX wzorowano na słynnych raketach amerykańskich, takich jak Vanguard, Thor i Titan, ale przez cały kilkunastoletni okres istnienia firmy nigdy nie zainspirowała się ona rodzinami raket Redstone, Jupiter ani Saturn, które opracował von Braun. Ten milczący bojkot trwał przez całą epokę Apolla, chociaż każdy chciał wtedy wystrzelić Saturna V. Dziadek zaszokował moich rodziców, a mnie głęboko zdumiał, kiedy 20 lipca 1969 roku (po wielu miesiącach nieskrywanej fascynacji i rosnącego podekscytowania perspektywą załogowego lotu na Księżyc) raptem nie zechciał patrzeć razem z nami i właściwie całą ludzkością, jak Neil Armstrong spełnia marzenie życia von Brauna i jego własne. Tylko babka nie okazała zdziwienia, kiedy jej mąż bez słowa wyszedł z pokoju. Pamiętam, jak powiedziała, kiwając głową w stronę telewizora: „Widać ghuntownie sfuszehowali sphawę”.

odpowiedź („maltoza”) i jej uzasadnienie („bo dzięki niej pączki są smaczne”) wydały mi się zupełnie nonsensowne i niewiele wyjaśniały (dziadek przecież wcale nie lubił pączków), więc w końcu uznałem, że mnie nabiera. O eponimie zapalniczki nie chciał powiedzieć nic ponad to, że z Aughenbaughem kolegował się w wojsku.

3. Czarno-białe zdjęcie mojej matki z sierpnia 1958 roku, zrobione, gdy dosiadała na oklep chudego siwka. Miała na sobie jednoczęściowy kostium, który opinał się na niej bardziej niż to wskazane u niespełna szesnastoletniej dziewczynki, i biodra owinięte ręcznikiem plażowym. Koń stał skosem do fotografa i tak jak ona patrzył na lewo od niego. Matka oburącz napinała łuk, gotowa wypuścić strzałę w jakiś cel poza kadrem. Nigdy nie widziałem tego zdjęcia, dopóki nie znalazłem go w rzeczach dziadka. On i matka powiedzieli o tej fotce tylko tyle, że pstryknięto ją przed pewnym hotelem w Virginia Beach, w okresie gdy łuczniczka zdana była na opiekę stryja Raya. Na zdjęciu ma potargane włosy, a w jej skupionym spojrzeniu dostrzegłem żądzę mordu.

4. Makieta „księżycowego ogrodu” zrobiona z pokrywki kubka po kawie na wynos, detali fabrycznych modeli samolocików i miniaturowych czołgów, z dodatkiem killkunastu kondensatorków i czterech ogniw bransoletki do zegarka, pomalowana sprejem Tamiya w firmowym odcieniu „jasnoszary upiór”. Była jednym z elementów LAV 1 – modelu redukcyjnego księżycowej placówki, który dziadek budował przez wszystkie lata po śmierci babki, wciąż go przerabiając. Rozmieszczone na kostropatej, wiernie odtworzonej powierzchni Księżyca tunele, gondole, anteny zwykłe i satelitarne oraz kopuły LAV 1 zajmowały prawie cały stół w jadalni apartamentu dziadka na Florydzie. „Chciał zabrać tylko ten księżycowy ogród – powiedziała mi matka. – Musiałam go wyskubnąć pincetą z reszty makiety”.

5. Oprawione w ramkę z akrylowego szkła zdjęcie dla mediów przedstawiające ostatnią załogę promu kosmicznego Challenger. Astronauci Michael J. Smith, Dick Scobee i Ronald McNair

siedzieli przy stole, a ich hełmy stały przed nimi jak kuliste akwaria do wyciągania losów. Z tyłu stali Ellison Onizuka, Christa McAuliffe, Gregory Jarvis i Judith Resnik z hełmami w dłoniach. Skafandry całej załogi i lśniąca tkanina na stole miały odcień podobny do nieba nad Florydą, które ich wszystkich niebawem pochłonęło. Uśmiechy tych siedmiorga drwiły z nich samych, a przynajmniej ja tak to widziałem. Na końcu błękitnego blatu stał niby ludzka czaszka w martwej naturze redukcyjny model Challengera ze zbiornikiem paliwa i raketami pomocniczymi. Na zdjęciu wyglądał jak zabawka dla dziecka, aczkolwiek wspinała. Trudno było wypatrzeć subtelne detale, w które dziadek wyposażył ten akurat zamówiony obiekt: na przykład to, że klapy luku bagażowego naprawdę się otwierały, odsłaniając ramię zdalnego manipulatora, a dysze silników rzeczywiście dawały się wprawić w ruch obrotowy. Po otwarciu głowicy kadłuba zaglądało się do kabiny załogi, wiernie odtworzonej aż po takie szczegóły jak guziki i przełączniki na tablicach rozdzielczych i odgradzająca toaletę „zasłona dla Sally Ride”¹³.

Mimo że NASA nie umieściła jego modelu na oficjalnej fotografii uczestników wyprawy, dwudziestego ósmego stycznia 1986 roku dziadek pewnie i tak by pojechał obejrzeć wystrzelenie promu. Był na przylądku Canaveral stałym bywalcem, jeździł tam bowiem oglądać prawie każdy start rakiety, jakby chciał tym sobie wynagrodzić swój bojkot (którego konsekwentne przestrzeganie, jak wiedziałem, mocno go bolało) wszystkich misji Apolla. Ale w tamten wtorek wypadał jedenasty jorcajt śmierci mojej babki. Kiedy o jedenastej trzydzieści dziewięć zawiodła uszczelka i prom zaczął się rozpadać, dziadek był przy jej grobie w pensylwańskim Jenkintown. O katastrofie dowiedział się dopiero po powrocie do motelu w Center City, gdy włączył telewizor.

Siedział znieruchomiąły, nie mrugając ani nie oddychając, kiedy na łodydze z pary wodnej zakwitł ognisty kwiat. W tej i wszystkich następnych powtórkach oglądał szczątki promu,

¹³ Zainstalowano ją, kiedy w roku 1983 w załodze Challengera pojawiła się jako pierwsza amerykańska astronautka właśnie Sally Ride (przyp. tłum.).

które sunęły zygzakiem po niebie, błędząc to tu, to tam i zawracając, jakby na oślep wzajemnie się szukały wśród błękitu.

Gdy tylko dotarła do mnie wiadomość (robiłem wtedy doktorat na Uniwersytecie Kalifornijskim w Irvine), namierzyłem dziadka przez matkę. Spodziewałem się, że kiedy do niego zadzwonię, usłyszę przygnębiony albo wręcz żałobny ton, ale powinienem był lepiej go znać.

– Za zimno, do jasnej cholery! – powiedział. – Start przy plus dwóch. Idioci z tych urzędasów.

– Dlaczego nie odpuścili?

– Bo to skończone gryzpiórki. Gdyby to od niej zależało, Judy nigdy by się nie zgodziła startować w taką pogodę.

Astronautka Judith Resnik była ulubienicą dziadka. Zrobiła świetny doktorat z inżynierii, a podczas poprzedniej wyprawy poleciała w kosmos jako pierwsza w dziejach Żydówka. Szalona burza jej kruczych kędziorów w stanie nieważkości wyczyniała sztuki godne samej Meduzy.

– Biedna Judy – powiedział dziadek.

W tle słychać było głos telewizyjnego reportera, który na florydzkiej plaży przekrzykiwał porywisty wiatr.

– Przykro mi, że nie mogłem z tobą pojechać – odparłem. – Jak było?

– Jak było na cmentarzu?

– Głupio spytałem.

– Było wręcz szampańsko.

– Przepraszam.

– Szczerze? Grób wyglądał na zaniedbany. Byłem w szoku.

Na ekranie motelowego telewizora wiatr chłostał plażę.

– Dziadku? Jesteś tam?

– Aha.

– Trzymasz się?

– Nie.

– Wiem, jak za nią tęsknisz. Szkoda, że jej już nie ma.

– A ja się z tego cieszę. Jakby zobaczyła ten bałagan na swoim grobie, wściekłaby się i miałyby mi za złe. Bo to ja się uparłem

przy wyborze cmentarza.

– O.

– Wszyscy już tam leżą, miejsce było dawno wykupione.

Dziadek oczywiście wcale się nie cieszył, że babka nie żyje. Wiedziałem, jak mu jej brak. Nie wiedziałem natomiast, bo mi tego jeszcze wtedy nie zdradził, że w kabinie załogi jego modelu Challengera jedna z kratkowanych klap, które odgradzają wnęki sypialne, podnosi się na zawiasach i widać dwoje ludzików. Mieszkali oni w księżycowym ogrodzie LAV 1, zanim dziadek zaprzągnął go do rozleglejszych zadań. Mężczyzna i kobieta, oboje półtoracentymetrowi, leżeli razem nago we wnęcie sypialnej, trzymając się w objęciach¹⁴. Męska figurka osłaniała sobą tę kobietę jak tarczą. Długie włosy kobiety pomalowane były na jaskrawokasztanowy odcień.

Dziadek nigdy nie wyjawiał (przynajmniej mnie), z jakim zamysłem zrobił to „wielkanocne jajko”. Może to był żart, a może oszczędność budowniczego, który nie lubił, kiedy marnował się pusty grób albo model do składania za cztery dolary bez jednego centa. Ilekroć patrzę na fotografię uczestników wyprawy Challengera, nie widzę siedmiorga uśmiechniętych astronautów, pięknej Judy Resnik ani nawet samego modelu, tylko ukrytych kochanków o losach splecionych jak ich ciała, czekających na wyzwolenie z praw przyciągania, które przez całe życie przygważdżały ich do ziemi.

Dotknęła jego nogi, więc się zbudził. Otaczający go świat miał postać jego własnej sypialni, a nie więziennej celi. Babka właśnie zdejmowała spódnicę i sweter z wieszaka, na którym je przedtem starannie umieściła.

– Dziesięć minut – powiedziała.

Dziadek włożył niebieską roboczą koszulę i luźne bawełniane spodnie, po czym zszedł na parter poszukać swoich ubłoconych buciorów. Babka znów zajęła się przyrządzaniem *coq au vin*.

14 Byli to wycieczkowicze (minus koc i radio tranzystorowe) uprowadzeni z angielskiego modelu kolejki elektrycznej w skali 00 „Popołudnie w parku”.

Stała przy kuchni, pochylając głowę nad drewnianą łyżką, z której buchała para. Dziadek zaszedł ją od tyłu i dotknął ustami jej karku. Przebiegł ją dreszcz. Dziadkowi wydało się, że ona czeka na jakieś jego słowa. Bardzo mało dotąd rozmawiali, a on nie był pewien, co zamierza powiedzieć ani co babka chciałaby usłyszeć. Przez chwilę zaciekle zmagał się z pragnieniem, żeby w ogóle nic nie mówić. Nie mogąc cofnąć popełnionych czynów ani zapobiec temu, co niosła przyszłość, uciekł się do idiotycznego banału.

– Damy radę – powiedział. – Wszystko będzie dobrze.

Babka ani nie zaprzeczyła, ani nie przytaknęła. Upiła łyżeczek z łyżki. Mruknęła niezobowiązująco.

– Idź – powiedziała. – Ona się ciebie spodziewa.

Dziadek stanął na początku podjazdu i z batonem w pogotowiu czekał na szkolny autobus. Niebo było obiecująco błękitne. Aby się czymś zająć w areszcie, ułożył almanach zaprzepaszczonych tam nocy. Wiedział, że księżyc jest w trzeciej kwadrze i że go ubywa, a on sam wieczorem po zjedzeniu smakowitego *coq au vin* przyrządzonego przez żonę wytrze i pochowa naczynia, po czym razem z moją matką znów będzie towarzyszył Oliverowi Twistowi w jego niekończących się cierpieniach. Poleży obok córki, a potem żony, czekając, aż ich oddechy osiągną głębię snu. Jeszcze później weźmie teleskop oraz termos z herbatą i pójdzie na szczyt wzgórza za domem, aby na parę godzin zatracić się w kontemplacji Morza Spokoju, Algolu i Denebu, a także Erydanu, rzeki gwiazd.

– Wszystko będzie dobrze – powtórzył głośniej.

Kiedy nadszedł autobus, dziadek patrzył, jak moja matka, czternastoletnia mizerota, wlecze się przejściem między fotelami i leniwie złazi po schodkach. Gdy dotknęła stopami ziemi, puściła się biegiem. Dziadek wsunął nos w jej włosy i odetchnął szkolnym zapachem, podobnym do woni znaczka pocztowego. Wbrew jej rozsądnym wahaniom namówił ją, żeby pochłonęła cały baton, zanim dojdą do końca podjazdu, gdzie orzesznik muskał niebo, czekając, aż babka dokona kolejnego zamachu na jego życie.

Baton odebrał matce apetyt na kolację, ale w interesie pokoju, nie chcąc zdradzić dziadka, na siłę zmiotła wszystko z talerza.

VI

Dziadek pierwszy raz ujrzał moją babkę w lutym 1947 roku w synagodze Ahavas Sholom¹⁵. Stała w lisej etoli i ciemnych okularach, upozowana obok donicy z palmą, pod transparentem z napisem „Skuś los!”. Etołę pożyczyła jej prezeska Siostrzeństwa. Okulary udostępnił za darmo mąż prezeski, z zawodu okulista, aby zaradzić światłowstrętowi spowodowanemu przewlekłym niedożywieniem. Slogan wymalowany na transparencie z prześcieradła jako element dekoracji, którą Kongregacja Ahavas Sholom przygotowała na inauguracyjną „Noc w Monte Carlo”, zapewne tylko przypadkiem miał takie, a nie inne brzmienie. Za to pozę obmyślono nader strategicznie.

Nie pytając babki o zdanie, Siostrzeństwo uznało, że choć jest ona wdową obarczoną czteroletnią córką, to po udanej przeprowadzce do Baltimore z obozu dipisów w Austrii najlepiej ze wszystkich kandydatek nadaje się na żonę nowego rabina. Stołówki Hebrajskiego Stowarzyszenia Pomocy Imigrantom, a potem kuchnie w Park Circle i Forest Park wspólnymi siłami postarały się przywrócić jej kształty, rumieńce i to, co prezeska zawsze nazywała „wspaniałą gęstwą włosów”. Babka była uprzejma, obznajmiona z literaturą i sztuką. Twierdzono, że ma dość ambicji i talentu, aby zostać aktorką teatralną. Jej kocie rysy i francuski akcent, w którym chwilami ginął sens wypowiedzi, kazały niejednemu wielbicielowi porównywać ją do Simone Simon. Mimo doznanych cierpień i strat często się śmiała i chętnie uśmiechała. Wchodziła do pokoiów zamaszystym krokiem, po aktorsku grając ramionami, z pokornym zuchwalstwem wychowanki pracowitych zakonnic.

Owszem, zdarzyło jej się parę wypowiedzi, które nie miały

¹⁵ W jej nowej siedzibie na Reisterstown Road w Pikesville. Ahavas Sholom była w mieście jedną z pierwszych znaczniejszych synagog, które z przedwojennego serca żydowskiego Baltimore wokół Park Circle przeniosły się w podmiejską dzicz za Seven Mile Lane.

najmniejszego sensu ani po francusku, ani po angielsku. Prawdą też było, że gdy się nie uśmiechała, zapadała w pełne napięcia milczenie, jakby nasłuchiwała kroków z drugiej strony drzwi lub śledziła cienie przyczajone w kątach. Kiedy pierwszy raz zaprowadzono ją do biblioteki publicznej w Baltimore, ruszyła ponoć prosto w stronę półki z nagraniami szkockich tańców wirowych. Dwie pierwsze osobliwości składano na karb jej wciąż jeszcze dość słabego osłuchania z angielskim i niewyobrażalnie okrutnych przeżyć. (Nikt jednak nie umiał wytłumaczyć jej zamięłowania do muzyki dudziarzy). A jeśli chwilami wyczuwało się wokół niej dziwaczne trzaski jakby kurzu przypiekanego na solenoidzie, zdaniem Siostrzeństwa (któremu sekundowało wielu mężów Sióstr) tylko dodawało jej to tajemniczego uroku.

Nowy rabin ukończył niedawno z pierwszą lokatą Żydowskie Seminarium Teologiczne, po czym urzekł wszystkich swoją błyskotliwością i werwą, szytymi na miarę garniturami oraz leciutką, rozkoszną, zaskakującą u rabina wonią gardenii. Wykazał się też jednak niepokojącą samowolą. Przez całe życie był chlubą rodziny i radością nauczycieli, przywykł więc przedkładać własne wyobrażenia nad cudze, i to nawet tam (choćby w sprawie wyboru przyszłej żony), gdzie można było się po nim spodziewać znikomego rozeznania. Jawne próby swatania spaliły na panewce, chociaż wszystkie kandydatki były bez zarzutu. Siostrzeństwo odbyło więc naradę i zaaprobowało użycie fortelu.

Aby przedmiot podchodów nie mógł nie zauważyć przynęty, gdy zgodnie z planem przybędzie na „Noc w Monte Carlo”, Siostrzeństwo ustawiło moją babkę obok wypożyczonej donicy z palmą tuż przy głównych drzwiach sali przyjęć w synagodze. Przydzielono jej asystę w osobach dwóch członkiń, które miały za zadanie ją tam uziemić. Pani Waxman – żona sędziego – była jej główną poręczycielką przy ubieganiu się o status uchodźczyny. Pani Zellner – jedna z pierwszych żydowskich absolwentek Bryn Mawr – świetnie mówiła po francusku. Grając na długi wdzięczności, do którego poczuwała się babka, i na jej tęsknocie za ojczystym językiem, kobiety gotowe były przetrzymać ją tam

choćby i najdłużej, dopóki nie pojawi się rabin, a one wtedy po prostu ją postawią na jego drodze, żeby mógł potem (i to właśnie był kluczowy element ich strategii) działać w przeświadczeniu, że sam odkrył swoją przyszłą oblubienicę.

Ale rabin się spóźniał. Sala przyjęć wypełniła się wyznawcami, którzy nic nie wiedzieli o manewrach Siostrzeństwa i nie mogli się doczekać rozpoczęcia imprezy. Przewodniczący komitetu kwestarzy wszedł na podium. Przygotował mowę powitalną, naszpikowaną nieco pikantnymi kalamburami o dupkach żółędnych i taliach, lecz gdy mikrofon lekko go kopnął prądem, mówca chcąc nie chcąc przerwał wystąpienie. Prezeska Siostrzeństwa popchnęła swojego męża w stronę podium, na którym wynajęci muzycy (Żydzi przebrani za malowniczych Kubańczyków) siedzieli beczynnym z instrumentami. Okulista kucnął przy prezesie kwestarzy. Zmierzył mu puls i pomógł rozpiąć kołnierzyk. Inni mężczyźni udzielili pomocy w formie improwizowanych naprędce kalamburów z użyciem takich słów, jak „wstrząs”, „prąd”, „iskra”, „elektryzujące przeżycie” i tak dalej w tym guście.

Piętnastoletni akustyk usiłował znaleźć i podłączyć nowy mikrofon, co utrudniała mu jego matka, nieustannie go ponaglając. Przy stole z mlecznymi zakąskami wszczęła się przepychanka, podczas której dawne antypatie zbudziły się z uspienia, a świeże się wzmożyły. Tymczasem smycz upleciona z paplaniny i szkolnej francuszczyzny, którą polujące na tygrysa łowczynie z Siostrzeństwa uwiązały swoją kozę do kołka, coraz bardziej się napinała i wątlała. Znalezione i wypróbowano drugi mikrofon. Prezes kwestarzy został uznany za zdolnego do wygłoszenia puenty.

– Proszę was – zwrócił się do wszystkich, którzy przybyli, aby tego wieczoru skusić los – przegrywajcie jak najwięcej i jak najczęściej.

Przygaszono światła. Orkiestra taneczna zagrała podkład w najbardziej klubowym stylu. Przy dźwiękach cza-czy i częzej gadaniny oraz grzechocie kości i kulek ruletki moja babka wymknęła się w końcu spod władzy sekundantek. Wyjęła

z pożyczonej, naszywanej koralikami kopertówki paczkę herbertów tareytonów.

– Stwiehdam sthasznie ciepło w tym pokoju – oświadczyła, wciąż nie mając pojęcia o swojej roli ofiary, ale czując, że konwersacyjne pęta coraz bardziej się napinają. – Panie dahują. Może pójdę zehknąć w ten piękny księżyc.

Księżycowo pełna twarz pani Zellner natychmiast się rozpromieniła. W przypiływie ulgi poliglotka może ciut przedwcześnie odsłoniła karty.

– *Mais voilà le rabin!* – zawołała.

Dziadek przez cały dzień pracowicie szukał wymówek, żeby nie pojechać ze stryjem Rayem na „Noc w Monte Carlo”. Nie był jeszcze gotów zadawać się z „normalnymi ludźmi”. Podczas zdawkowych rozmów z nieznanymi czuł się nieswojo. Nie miał pieniędzy ani odpowiedniego stroju. Nie obchodziły go synagogi. Tylko by się bratu plątał pod nogami. Stryj Ray z polotem urodzonego dialektyka wszystkie te argumenty odrzucał, obalał, rozbrajał lub zbywał machnięciem ręki. Powiedział, że rozumie, jak trudny musi być powrót do życia w cywilu, w sumie jednak wystarczy wstrzymać oddech i skoczyć do basenu. Nikt oprócz komiwojażerów i natrętów, którzy zaczepiają ludzi na dworcach autobusowych, nie lubi zdawkowo rozmawiać z nieznanymi. Stryj gotów był pożyczyć bratu potrzebne do gry pieniądze i odebrać je sobie z wygranej albo kiedyś później. Miał bardzo ładną marynarkę z harris tweedu, o wiele za szeroką w ramionach. A synagoga to w sumie tylko budynek: sporo wybitnych Żydów od Abrahama aż po Hillela nigdy żadnej nie widziało na oczy. A rabinowi wszyscy płaczą się pod nogami, bo on właśnie od tego jest.

Kiedy przyszła pora ruszać do synagogi, dziadek miał już tylko jednego asa w rękawie: mógł zachować się nieprzyjemnie. Wywołać awanturę i liczyć na to, że zaproszenie zostanie cofnięte.

Główną przeszkodę na tej drodze stanowiło to, że stryj Ray był

ogromnie zadowolony z siebie i swoich poglądów. Niezależnie od podejścia rozmówcy zawsze jego było na wierzchu. Ataki na osobę lub charakter stryja nie mogły mieć żadnego oparcia w faktach; chłopak po prostu je wyśmiewał. Dziadek zachowywał się jak gbur, szyderca, drętwy smutas. Stryj Ray bez najmniejszego wysiłku wznosił się ponad to wszystko. Lecz gdy na parkingu przed Ahavas Sholom mieli wsiąść z jego nowiutkiego dwudrzwiowego chevroleta mercury i Ray otworzył już drzwiczki po swojej stronie, dziadek, który wciąż rozpaczliwie szukał zwady, natrafił wreszcie po omacku na sposób dający niejakię szansę powodzenia.

Zimą 1947 roku nikt z samym stryjem Rayem na czele nie zdawał sobie sprawy z pełzającej niewiary, która zaczęła potem nękać mojego stryjecznego dziadka, doprowadzając w końcu do tego, że przeniósł się ze swojej bimy do sal bilardowych i na wyścigi konne w Baltimore, Wilmington i Havre de Grace. Dziadek musiał widocznie wyczuć pierwsze drgnienia nadciągającego kryzysu. Od dziecka podejrzewał, że stryj Ray tylko zgrywa cadyka-wunderkinda, żeby zwrócić na siebie uwagę i zyskać pochwały najpierw rodziców, a potem szerszej społeczności żydowskiej. Gdy dziadek sięgał do kołczanu, a później zwalniał cięciwę, aby wypuścić strzałę, jego ręką kierowało braterskie postrzeżenie pozazmysłowe.

– Nie widzisz ironii sytuacji? – spytał. – „Noc w Monte Carlo”? Nie widzisz w tym fałszu? Przecież oni z tej całej budy zrobili już jakieś pierdolone kasyno, Ray. Przydrożny cyrk. Pamiętasz tę załogę, co na piętrze Pat’s Steak otworzyła punkt bukmacherski? Tych szwindlarzy z Buffalo, którzy oskubali Franka Osterberga? Jesteś taki sam jak oni. Prowadzisz melinę oszustów. Przyjmujesz zakłady, ale nigdy nie będziesz musiał wypłacić wygranych, bo z góry znasz wynik gonitwy. Przychodzą frajerzy, a ty doisz z nich kasę. Obiecujesz im... co? Wybaczenie, wieczność, wyróżnioną pozycję w boskiej księdze rachunkowej? A potem wygodnie się rozsiadasz i czekasz na zyski. Odklepiesz im jeszcze ostatnie czary-mary i położysz tych tępaków do piachu.

Było to długie przemówienie jak na mojego dziadka, który czuł,

że w jego wywodzie z każdym słowem jest coraz więcej wagi i przekonania. Stryj Ray zamknął drzwiczki po swojej stronie auta – delikatnie, acz z gniewną pedanterią. Obrócił się na siedzeniu twarzą do brata. Wbił przy tym łokieć w klakson. Jego piegi roztopiły się w rozległym rumieńcu.

– Jak śmiesz? – zaczął obiecująco.

Po uwerturze na klakson solo stryj Ray z zachęcającym błyskiem skruchy w oczach wspiął się na koturny. Przypomniał skromną pobożność rodziców swoich i brata, cierpliwych tak jak i dziadkowie, powołał się na dobre uczynki i chęci członków swojej kongregacji, wiarę i męczeństwo Żydów na całym świecie, nieposzlakowaną prawość rabinatu i osiągnięcia pięciu tysięcy lat. Następnie przeszedł do Majmonidesa, Hanka Greenberga, Mojżesza i Adonaja. Wyraźnie zadowolony z wywartego wrażenia, gwoli większej emfazy jeszcze parokrotnie walnął w klakson. Tak się w końcu rozgrzał, że zbryzgał śliną klapę marynarki z harris tweedu, którą pożyczył dziadkowi. Lecz gdy już przywołał na świadka Pana Zastępów, nagle umilkł. Zmrużył oczy. Uświadomił sobie, że dziadek nie stawił dotąd oporu ani nie wytoczył kontrargumentów. Siedział tylko, cierpliwy jak pająk, pozwalając stryjowi Rayowi się wyżyłocić.

– Prawie mnie nabrałeś – powiedział rabin spokojnym, wyważonym tonem. – Wchodzisz ze mną – dodał – i nie pożałujesz. A wiesz, skąd mam pewność, że ze mną wejdiesz?

– No skąd?

– Otóż stąd, że właśnie to zaplanował dla ciebie Prześwięty.

– Naprawdę? Bóg coś dla mnie zaplanował? Najwyższy czas, cholera jasna.

Miesiąc po powrocie do domu dziadek był bezrobotny, miał depresję i powłóczył nogami. Jego dyplom magistra od sześciu lat się kurzył. Doświadczenia zdobyte w Europie nie kwalifikowały go do żadnej legalnej pracy w czasie pokoju. Jego powrót do Filadelfii wyraźnie rozczarował wszystkich zainteresowanych, a zwłaszcza rodziców, najdotkliwiej rozczarowanych odkryciem, że mimo kapitańskich dystynkcji i odznaczeń za czyny, o których nie wolno mu opowiadać, i tak są nim rozczarowani.

– Całe twoje życie – rzekł stryj Ray – toczyło się dotąd zgodnie z Jego planem. A dziś wieczór wszystkie wątki się spotkają i nabiorą sensu.

– I ty to wiesz.

– A wiem.

– Bóg dał ci poufny cynk.

Stryj Ray przesunął dłonią po mięsistych fałdach tapicerki pod swoim udem, a jego nieokolonowane zarostem usta ozdobił ledwie dostrzegalny uśmieszek spryciarza, który już obmyślił strategię.

– Jezu, ale z ciebie kiciarz, Ray!

– Tak? No to się załóżmy – odparł rabin. Zaledwie parę chwil po wygłoszeniu pobożnej tyrady podjął dokładnie ten sam temat, po który sięgnął dziadek, żeby go rozjątrzyć, i bezwiednie wskazał drogę do drzwi, którymi miał kiedyś wyjść, trzymając w rękę obstalowany u Brunswicka kij bilardowy. – Stawiam pięćset dolarów, że jeżeli wejdiesz do tego szulu, to w ciągu pierwszej pół godziny... nie, pierwszych dziesięciu minut objawi się plan Przeświętego wobec ciebie. Powód, dla którego musiałeś tu dzisiaj przyjść.

– Co za pierdoły – westchnął dziadek. – Przyjmuję zakład, bracie.

Należna mu po demobilizacji odprawa utknęła w czeluściach biurokracji, więc pięćset dolarów było dla niego nieosiągalną sumą, ale wydawało mu się, że ma spore szanse wygrać.

Moja babka obróciła się w stronę drzwi sali przyjęć, ciekawa, jak też wygląda dopiero co koronowane książątko żydowskiego Baltimore. W tłumie mignął jej szczupły młodzieniec w granatowej marynarce z guzikami przypominającymi złote monety. Spod aksamitnej, również granatowej jarmułki wystawały rude włosy, o jakiś centymetr za długie. Kiedy wszedł do sali, otoczyli go mężczyźni (wśród nich sędzia Waxman), którzy zaczęli się z nim droczyć i cackać jak wujowie wprowadzający siostrzeńca prawiczka do burdelu. Wkrótce całkiem go zasłonili. Pani Waxman wymamrotała jakieś

przekleństwo w jidysz, a może zapowiedź tego, co czeka jej męża po powrocie do domu.

– Sam nie wiem – brzmiały pierwsze słowa rabina, który niby się wzbraniał, ale pozwolił mężczyznom wciągnąć się za nadgarstki do sali. – Mam pewne wątpliwości, panowie.

Kiedy ją mijał, pociągnięty przez tłum, woniejąc gardenią, usłyszała jeszcze, że przeprasza za spóźnienie.

– Nie moja wina – tłumaczył się. – Wszystko przez moją asystę.

– To ten jego brat – rzekła pani Zellner takim tonem, jakby nie była pewna, czy się nie myli, bo widome fakty zdawały się przeczyć temu, co jej opowiadano. – Udekorowany medalem bohater wojenny.

Babka zobaczyła, że dziadek został w holu przed salą przyjęć, a jego mina zdradza znacznie poważniejsze wątpliwości niż te, które żywił rabin. Wraził ręce w kieszenie spodni z taką zawziętością, jakby chciał sam się wbić w kaftan bezpieczeństwa, aż mu się lekko rozjechał rozporek. Źle zawiązał krawat z dzianiny, a marynarka z brązowego tweedu, włożona na batystową koszulę, której dobrze by zrobiło przeprasowanie, była za wąska w ramionach. Zresztą także muzyka, światła, grzechot ruletek i rzucanych kości, dobiegające od stołów okrzyki entuzjazmu lub zawodu, jego ubranie, a nawet własna skóra – wszystko to wydawało się za ciasne na tego człowieka. Tylko jego oczy znalazły drogę ucieczki. Skoczyły ku źrenicom mojej babki, wyrrywając się z zapadlisk twarzy jak z okien płonącego domu.

– Nie zaszkodziłoby jeszcze trochę go udekorować – stwierdziła pani Waxman.

Chociaż dziadek tak się wzbraniał przed wzięciem udziału w wieczornym wydarzeniu, nawet nie pomyślał, co będzie, jeżeli tam jednak dotrze. Otóż było gorzej, niż zdołałby sobie wyobrazić. „Noc w Monte Carlo”! Obsypany cekinami półksiężyc, girlandy dziesięciowatowych żarówek, papierowe goździki i palmy w donicach zwieziono dla zamaskowania maszynierii

specjalnie tak ustawionej, żeby prędzej czy później zmeła wszystkich do zera. Doświadczony przez wojnę dziadek widział w tym toporne podsumowanie świata, zgodne z jego własnym, stopniowo wypracowanym rozumieniem tegoż.

Zrobił chyłkiem parę kroków w głąb sali, wciąż z rękami w kieszeniach roboczych spodni, czując, że jest do niczego. Spuścił głowę, żeby nie patrzeć na cały ten krzykliwy blichtr, na swoją niestosownie nietkniętą ojczyznę i rodaków, na ogólną niestosowność Baltimore i jego trzydziestu tysięcy dobrze odżywionych Żydów.

Dziewczyna w czarnej sukience od razu do niego podeszła. Od 1944 roku nie rozmawiał z ponętą kobietą, która w ten czy inny sposób nie byłaby jego wrogiem albo kurwą.

„Nie byłem na nią gotów – powiedział mi. – Czułem się kompletnie nieprzygotowany”.

Była w ciemnych okularach, chociaż działo się to w zamkniętym pomieszczeniu, a w dodatku wieczorem. Wokół jej ramion lisie szczątki wbijały w siebie kły. Podeszła śmiało, acz z lekką rezerwą, przechylając głowę w bok, jakby miała tylko osiemdziesiąt pięć procent pewności, że już się kiedyś poznali, i gotowa była uznać swój błąd. Między etolą z lisa a poziomym dekoltem koktajlowej sukni (pożyczonej od córki prezesa kwestarzy) białały prawie trzy centymetry nagiego obojczyka.

Dziadek słyszał, jak panie Waxman i Zellner, obie niepocieszone, wołają za moją babką, gdy ta przemierzała dzielące ich jeszcze siedem metrów linoleum udającego parkiet. Zauważył wahadłową oscylację jej bioder i amplitudę krzywizn, które uwydatniał krój taftowej sukienki. Podczas wojny nauczył się polegać na swoim szulerskim talencie do szybkiego czytania w ludzkich oczach, więc jej ciemne szkła zbijały go z tropu. Wydawały się nieprawdopodobne. Zastanawiał się, czy specjalnie tak się przebrała, bo ma później wystąpić w skeczu albo żywym obrazie na motywach „Nocy w Monte Carlo”. Ku swojemu zdziwieniu uśmiechnął się, co go do reszty stropiło. Pomalowane na kolor kierów i kar z talii kart Bicycles usta dziewczyny rozchyliły się w uśmiechu Ingrid Bergman,

pasującym do ciemnych okularów¹⁶. Dziadek usłyszał w głowie dźwięk, który po latach porównał do turkotu pociągu towarowego o mocy trzęsienia ziemi. Poczł, że wszedł w drogę czemuś olbrzymiemu, co pędzi na ośle i porwie go ze sobą. „Zbity z nóg – pomyślał. – To właśnie to”. W ostatniej chwili zdołał znów utkwic wzrok w przyszwach swoich butów i pokręcił głową.

– Nie do wiary – powiedział, uświadamiając sobie jednocześnie, że wciąż się uśmiecha, a co gorsza, winien jest bratu pięćset dorców.

W miejscu, gdzie dach wiaty na samochody wystawał nad patio, moja matka powiesiła na łańcuchu karmnik dla ptaków – wypchaną ziarnem rurę z akrylowego szkła z aluminiowym drążkiem zamiast grędy. Dziadek lubił śledzić przez okno trwający tam ruch. Szczególnie ciekawiła go wiewiórka (*mamzer*¹⁷, jak ją nazywał), która codziennie urządziła najazdy na karmnik. *Mamzer* nie miał gracji ani finezji i nie potrafił fruwać. Kiedy już rozegnał wróble, podchodził do treściwszego końca karmnika z zajądłością i determinacją, których daremność bawiła dziadka. Podlegał prawu ciężenia i fizyce wahadła w sposób niepojęty dla ptaków. Zaczynał ze śmiałym zdecydowaniem, złączając z występu dachu po łańcuchu albo dając susa z pobliskiego treliazu. Już po paru sekundach musiał się jednak rozpaczliwie wczepić przednimi łapkami w metalową grzędę lub dno karmnika, machając ogonem jak szalony, podczas gdy karmnik uchylał się, obracał i w ogóle robił, co tylko mógł, żeby *mamzer* spadł. Dziadek chyba nosił jeszcze w sobie niewygnanego demona, który kilkadziesiąt lat wcześniej kazał

16 Jej zęby był uprzejmy pracowicie zrekonstruować dentysta z Liberty Heights, który już jako emeryt przeniósł się na Florydę i przyszedł kiedyś na mój wieczór autorski w księgarni Books & Books w Coral Gables, aby mi powiedzieć, że nigdy nie zdołał się całkiem otrząsnąć z szoku doznanego na widok spustoszeń, które zastał w ustach mojej babki.

17 Bękart (jidysz) (przyp. tłum.).

mu wyrzucić kociaka przez okno drugiego piętra, bo wybuchał śmiechem, ilekroć wiewiórka lądowała z mięsistym łoskotem na kaflach patia. Czasem tak strasznie się śmiał, że musiałem ocierać mu chusteczką załzawione oczy.

– Ach, te paniusie z Siostrzeństwa – powiedział raz. – Nasypały ziarna, żeby złapać sikoreczkę. A zamiast niej złapał się *mamzer*.

Według mojego dziadka pierwsze słowa babki skierowane do przyszłego męża brzmiały następująco:

– Pańska głowa dobrze by się phezentowała na płocie.

Babka podeszła do niego, trzymając między wskazującym a środkowym palcem niezapalonego papierosa i błagalnie unosząc brew, ledwie widoczną nad oprawką okularów. Z tej pantomimy i z czegoś jeszcze, a mianowicie z domieszki kindersztuby w dziewczęcości nieznajomej, dziadek natychmiast wyczuł, że to może być cudzoziemka. Podał jej ogień zapalniczką Aughenbaugha.

– Że co? – spytał, zatrzymując płomień zapalniczki milimetr od koniuszka swojego papierosa. Odtworzył w pamięci wypowiedź nieznajomej. Stwierdził, że się nie przesłyszał: kobieta naprawdę oświadczyła, że jego głowa dobrze by wyglądała na płocie. – Jak to?

Dziadek, owszem, widywał ludzkie głowy rzucone byle gdzie albo ułożone w niecodziennych miejscach, ale żadna nie tkwiła na płocie. Czuł jednak, że babka zastosowała w rozmowie gambit, jakiego nie przyszłoby mu na myśl spróbować. Nie widząc oczu, nie mógł wywnioskować nic pewnego na temat jej intencji. Dopiero znacznie później zdał sobie sprawę, że na swój dziwny sposób rozwiązała za jednym zamachem kwestię zdawkowej rozmowy między nieznajomymi.

– Ojej, zhoiłam kiks. Widzę, że pan się uhaża.

– Zawsze mam taką minę – odparł dziadek. – Pani też by taką miała, jakby ktoś nadział pani głowę na sztachetę.

– Na muh! – wypaliła raptem, po czym ryknęła zaskakująco oślim śmiechem. Zasłoniła ręką usta. – Sthaszno przephaszam.

Chcę powiedzieć muh, nie płot.

– To zmienia postać rzeczy – odparł dziadek. Podstawą jego sztuki flirtu z kobietami była niewzruszenie pokerowa mina.

– Zahaz – powiedziała babka, usiłując pohamować kolejny atak rżenia. – Widział pan kiedyś... jak to się nazywa... katedhę?

Trzema zamaszystymi ruchami białych rąk nakreśliła w powietrzu ściany, wieże i iglice katedry. Jej wstrzemięźliwe gesty miały w sobie więcej tego, co poeci i sprawozdawcy sportowi lubią nazywać gracją, niż wszystkie wcześniejsze widoki, jakie dziadek pamiętał. Dłonie na przemian wznosiły się i nurkowały, a z żaru papierosa prószły pałające włókienka tytoniu. Ich pomarańczowe iskry odbijały się w soczewkach ciemnych patrzalek. W końcu pokazała na migi rozetę, układając z palców koło nad piersiami, czyli strefą, na którą dziadek zdążył już zwrócić uwagę. Ówczesne staniki miały charakter architektonicznych konstrukcji. W jej biuście – podniosłym, pokaznym i wyzwolonym spod władzy grawitacji – było coś katedralnego, co dziadka mocno poruszyło. A potem zauważył, że w pięciu szarych jak lufa karabinu cyfrach po wewnętrznej stronie lewego przedramienia babka nosi najnowszą historię swojego życia, rodziny i reszty świata. Przeczytał tę krótką relację i się zawstydyził.

– Tak – powiedział. – Widziałem parę katedr.

– Na muhach – rzekła babka. – Na phadawnych muhach. – Zabrzmiało to raczej jak „na pcha dawnych muchach”. – Widzi się twarze z kamienia. Pan ma właśnie taką.

– Rozumiem – odparł dziadek. – Wyglądam jak chimera.

– Tak! Nie! Wcale nie jak... – Tu babka wtrąciła francuski odpowiednik słowa „chimera”, którego dziadek po czterdziestu dwóch latach nie zdołał już sobie przypomnieć. – One są do łapania deszczu i to zwierzęta, potwohy, wsthetenne. Nie taki ma pan twarz.

Było to przynajmniej po części kłamstwo. Babka przyznała się potem jednemu z psychiatrów, że dziadek wydał jej się wtedy, owszem, szpetny, chociaż dostrzegła w tej szpetocie coś powabnego, a nawet podniecającego. Widząc go po raz pierwszy

w życiu, gdy tak stał na progu sali przyjęć i rozważał, czy sobie stamtąd nie pójść, zanim w ogóle wszedł, pomyślała, że on ma amerykańską twarz i także ciało. Bary jak buick i szczękę buldożera. Dopiero na widok jego oczu trudno było się oprzeć wrażeniu (toteż się nie oparła), że jest piękny.

– To ja wyglądam jak chimeha – powiedziała.

– Akurat.

– Tak – potwierdziła. – W śhodku.

Pominał to wyznanie milczeniem, traktując je jak błahą paplaninę kobiety łasej na komplementy: była to jego pierwsza pomyłka w ocenie, a zarazem pierwsza próbka głosu Bezsłórego Konia, który wtedy przez nią przemówił.

– Mogę o coś prosić? – spytał dziadek. – Byłaby pani może uprzejma zdjęć te okulary?

Zastygła w bezruchu, zaciskając czerwone usta.

Dziadek już się zastanawiał, czy nie strzelił gafy. Może prosząc Francuzkę, żeby zdjęła ciemne szkła, złamał jakieś powszechnie znane galijskie tabu?

– Oczny lekarz odhadzał – rzekła babka. Głos jej się załamał. – Ale zdejmę – dodała prawie szeptem.

– Mniejsza o to – odparł dziadek. – Nieważne. Wystarczy, że mi pani powie, jakiego koloru ma oczy. Właściwie tylko to chcę wiedzieć.

– Nie. Zdejmę je dla pana. Ale pan też musi zhobić coś dla mnie. A raczej pozwolić mi zhobić.

– Tak? Znaczy co?

Nie wiem, ile osób widziało moich dziadków, kiedy tak tkwili przed wejściem do sali przyjęć, i czy w ogóle ktoś zwracał na nich uwagę. Ale nawet gdyby stali w pustym pokoju, to chyba ani w wyobraźni mojego dziadka, ani w obyczajowości 1947 roku nie byłoby miejsca na gest, który za chwilę wykonała babka. Patrząc na tamtą noc z wnętrza miękkiej szarej aureoli dilaudidu, dziadek mógł tylko zamknąć oczy, tak jak wtedy, gdy babka sięgnęła ręką do suwaka jego rozporka i ząbek za zębkiem go zapięła.

– *C'est fait* – oświadczyła.

Kiedy dziadek uniósł powieki, po raz pierwszy zatracił się w jej oczach. Miały kolor zmierzchu w Monte Carlo – tej pory, gdy wschodzą gwiazdy, mrugając jak dziesięciowatowe żarówki, a księżyc w trzeciej kwadrze wachluje niebo spódnicą wyszywaną cekinami.

„Niebieskie”, powiedział dziadek, padając głową na poduszkę wynajętego szpitalnego łóżka w pokoju gościnnym mojej matki. Minęło potem wiele czasu, całe godziny, zanim znów otworzył oczy.

VII

Tuż przed północą dwudziestego dziewiątego września 1989 roku dziadek ukończył model LAV 1. Ucieleśniał on najnowsze wyobrażenia o projektowaniu osad na Księżycu (i dlatego wymagał aż tylu przeróbek), a pochłoniął czternaście lat pracy i około dwudziestu dwóch tysięcy poliuretanowych części, wyszabrowanych z fabrycznych modeli do składania¹⁸. Pośrodku makiety między półukrytymi tunelami, rampami, kopułami, barakami, lądowiskami i bateriami radarów był otwór mniej więcej dziesięciocentymetrowej średnicy. Zagląając w niego z góry, można było zobaczyć sklejkowe podłoże makiety, której wierzch miał fakturę powierzchni księżycy. Pytany o przeznaczenie otworu, dziadek niezmiennie odpowiadał jakimś wariantem zdania „Poczekaj, to się dowiesz”. Prawdę mówiąc, wariantów było niewiele. Po pewnym czasie (niewątpliwie zgodnie z planem dziadka) przestałem dopytywać.

Dziadek podszedł do warsztatu i zdjął z półki jaskrawokolorowe pudełko po cygarach Romeo y Julieta. Wyjął z niego i odwinął z bibułki kolistą makietkę wykonaną z pokrywki kubka po kawie na wynos. Pierwszą wersję księżycowego ogrodu ukończył w maju 1975 roku, plądrując maleńkie makiety kolejek w skali N i angielskiej 00, aby wypełnić ogród kwitnącymi krzewami, różami i warzywami hodowanymi na stelażach do uprawy hydroponicznej. Ostrożnie podważył paznokciem kciuka klapkę do popijania, przerobioną na właz. Zajrzał do środka, żeby sprawdzić, jak się miewa rodzina, która zastąpiła w księżycowym ogrodzie dwoje kochanków. Figurki przedstawiające moich dziadków, matkę, brata i mnie kołysały się na wiszącej ławce i dwóch wiszących fotelach jego projektu, napawając się wilgotnym, natlenionym powietrzem. Siedziały

18 Głównie wojskowych i samochodowych, kupionych na wyprzedających albo po hurtowych cenach.

sztynno (nawet jak na ludzików z poliuretanu), jakby pozowały do oficjalnej fotografii. Wszyscy byliśmy cali i zdrowi.

Dziadek opuścił klapkę. Podszedł z księżycowym ogrodem do makiety LAV 1 i wpasował go w zawczasu przygotowany otwór. Nie miał wrażenia, że to jakieś wyjątkowe osiągnięcie. Była to po prostu od dawna zaległa robota, zbyt długo niespełniana obietnica, więc czuł głównie ulgę.

Za pół roku miał nie żyć.

Nazajutrz grubo przed świtem wyszedł w gęstą florydzką ciemność, żeby załadować bagażnik buicka lesabre przed podróżą na przylądek Canaveral. Od katastrofy Challengera, czyli prawie od czterech lat, nie wystartował stamtąd żaden prom. A właśnie tamtego ranka o dziesiątej miał wzlecieć kolejny, nazwany Discovery. Dziadek umieścił w chłodziarce do przewozu przynęt wędkarskich woreczek z lodem, butelkę piwa Michelob, plastikowy pojemnik z ananasem w plasterkach i dwie kanapki z pastą mięsną. To była jego specjalność: pieczeń z obiadu meł w maszynie razem z marynowanym koperkiem, paroma łyżkami majonezu, solą i pieprzem. Pasta mięsna tak jak wiele dziadkowych specjałów lepiej smakowała (zwłaszcza na świeżej chałce), niż można by sądzić po jej wyglądzie i nazwie. Dziadek wstawił chłodziarkę do bagażnika, po czym włożył tam jeszcze lornetkę, kupioną z drugiej ręki leicę z nowiutkim teleobiektywem, najświeższy numer miesięcznika „Commentary”, radio tranzystorowe, pięć litrów wody z kranu i składany leżak z parasolem przeciwsłonecznym mocowanym do ramy oraz podnóżkiem. Sam przystosował parasol, chirurgicznie zastępując rączkę zwykłego przeciwdeszczowego zwornicą stolarską.

W Fontana Village, tak jak w każdym siedlisku osób starszych, wielu mieszkańców cierpiało na bezsenność i sporo było rannych ptaszków, na razie jednak dziadek miał ranek tylko dla siebie. Nim zamknął bagażnik, oparł się o tylny zderzak i wsłuchał w ciszę. Trochę jej brakowało do doskonałości. Nigdy zresztą nie była doskonała. Ale dziadek nauczył się zauważać, że nieznaczone lub dalekie dźwięki tym bardziej ją podkreślają, tak jak kropla

niebieskiej farby podkreśla biel. Cykanie owada, a może rechot żaby. Tir na autostradzie międzystanowej I-95, kiedy szofer wrzuca niższy bieg. Mgła kipiąca w świetle latarni ochroniarzy. A pod tym wszystkim niski szum – dźwięk samej Fontana Village, wielowarstwowy pomruk klimatyzacji, automatów z napojami i batonami, automatycznych wyłączników, filtrów w basenach, źle zaizolowanych kabli. I nagle kobiecy głos gdzieś daleko woła „Ramon!”.

Dziadek się wyprostował. Przechylił głowę w bok, a jego ucho stało się anteną satelitarną, nastrojoną na kosmiczne promieniowanie tła. Przetasował cienką talię znajomych Ramonów. Żaden nie mieszkał w Fontana Village. Osiedliło się tam trochę Kubańczyków i niektórzy mieli na imię Adolfo lub Raquel, ale byli to tacy sami Żydzi jak reszta lokatorów, Goldmanowie i potomkowie rodu Levy, których przyniosła do ziemi obiecanej na południu Florydy inna odnoga rzeki wygnania. Dziadek nie znał dobrze żadnego z tych kubańskich Żydów. Było całkiem możliwe, że jeden z nich ma na imię Ramon. Ramon Lifschitz. Ramon Weinblatt. Widziało się czasem, jak jakiś biedny zdemencjały palant lezie przed siebie, a żona albo pielęgniarzka biegnie za nim, wołając go po imieniu.

– Ramon! Noo chooodź! Kicikikikici.

Głos dobiegał jakby od strony Dżungli. Mieszkańcy Fontana Village nazywali tak niezagospodarowany teren graniczący z wioską emerytów od północy i wschodu. Rośliny zawleczone z innych kontynentów i zdziczały cynodon toczyły tam od późnych lat siedemdziesiątych wojnę z tubylczą florą pasożytniczą, walcząc o władzę nad pięciuset akrami, na których przez krótki czas działał ekskluzywny ośrodek rekreacyjny z polem golfowym. Gdzieś w tej gęstwie leniwie uprawiał swój proceder pożeracz zwierząt domowych, który w przekonaniu ogółu był aligatorem.

– Ramo-oon!

Na drugiej sylabie kobiecie załamał się głos jak chłopcu podczas bar micwy. Słyszalna jeszcze przed chwilą w jej zmartwionym tonie nuta rozbawienia znikła.

Dziadek spojrział na zegarek, który jak zwykle przypiął w taki sposób, że cyferblat był po spodniej stronie nadgarstka. Minęła już piąta trzydzieści, a jazda na północ musiała potrwać koło trzech i pół godziny, albo i cztery, gdyby wstąpił po benzynę i do toalety. Wznowienie lotów floty kosmicznej wzbudziło w mediach spore zainteresowanie, więc należało się spodziewać dużego ruchu na drogach. Dziadek naprawdę nie mógł dłużej zwlekać.

– Niech cię szlag, damulko! – zaklął.

Otworzył przegrodę z narzędziami do zmieniania opon i bez zastanowienia ani świadomego celu wyjął klucz nasadowy. Zatrzasnął klapę bagażnika. W parnym powietrzu zadudniła jak tołumbas.

Nerwowo ściskając w garści trzonek klucza i co chwila poprawiając uchwyt, dziadek przeszedł przez parking na tu i ówdzie oświetlony chodnik. W prawo szło się do basenu, z którego korzystali mieszkańcy tej części osiedla. Odcinek biegnący w lewo okrążał od tyłu skupisko budynków, w którym stał domek dziadka z dwiema sypialniami, i prowadził do strefy gospodarczej, gdzie mieściła się stacja ładowania elektrycznych wózków, którymi jeździli emeryci. Za nią rozpościerał się szeroki trawnik, odgradzony od pierwotnej gęstwiny drewnianą listwą umieszczoną na wysokości około trzydziestu centymetrów.

Skórzane sandały dziadka (izraelska podróbka birkenstocków) klapały o chodnik. Było to gniewne kłapanie. Dziadek złościł się na Ramona, wyobrażając go sobie jako chude zezowate kocisko, które wykradło się do Dżungli na pewną śmierć, byle tylko zakosztować smaku szczura albo nutrii. Miał też za złe jego właścicielce, że wyszła szukać kota w gęstych ciemnościach, kiedy i tak nie da się nic zrobić. A chociaż nie było nic do zrobienia, dziadek wyruszył, żeby spróbować jednak coś zdziałać. Najbardziej złościł się na siebie. Im głośniej klapał sandałami o chodnik, tym bardziej się irytował. Złapał się na tym, że ma nadzieję rzeczywiście spotkać na skraju Dżungli aligatora i zatłuc go kluczem nasadowym. Zrozumiał, że właśnie po to wziął klucz z bagażnika.

Przeciął najdalej wysunięty na północ trawnik, pielęgnowany tak jak wszystkie inne przez dozorców Fontana Village. Tryskające spod podeszew sandałów kropelki rosy kłuły go w łydki. Miał na sobie szorty khaki – jedną z siedmiu identycznych par kupionych w Kmarcie do kompletu z siedmioma koszulkami polo i tyłomaż parami białych podkolanówek, które zawsze nosił do sandałów. Od śmierci babki był to jego codzienny mundur. Jeżeli akurat wypadały czyjeś urodziny albo inna okazja, od której nie mógł się wymigać, wkładał hawajską koszulę ozdobioną postaciami tancerek hula o nagich piersiach – żartobliwy prezent ode mnie. Niektórzy mieszkańcy wioski byli nią wprawdzie zgorszeni, ale dziadek nie szanował nikogo, kto gorszył się widokiem koszuli.

Za strefą gospodarczą było ciemno, choć oko wykol. Dziadek wyjął zapalniczkę Aughenbaugha i skrzesał płomień. Wiszące w powietrzu kropelki wilgoci ograniczyły zasięg światła. Spowiło ono dłoń dziadka niby kula ognia Świętego Elma.

– Hej, hej – powiedziała kobieta. – Kto tam?

– Sąsiad – wyjaśnił dziadek.

Zatrzasnął wieczko zapalniczki, bo rozgrzała się i zaczęła go parzyć. Po siatkówce przepłynęły ogniste powidoki. Wkrótce jednak oczy przywykły do ciemności i dziadek stwierdził, że znów coś widzi. Na Florydzie świt wstawał raptownie. Za jakieś dziesięć minut miał już być ranek.

– Pani Winocur twierdzi, że go widziała. Mówi o nim „Alastair” – oświadczyła kobieta, po czym przedstawiła się jako Sally Sichel. Kilka tygodni później dziadkowi przyszło do głowy, że jej nazwisko brzmiałoby jeszcze stosowniej, gdyby poznał ją w sierpniu, zamiast pod koniec września¹⁹. – Myśli pan, że on tam rzeczywiście grasuje?

– Coś musi grasować – odparł dziadek, który nigdy nikomu nie robił złudzeń. Phyllis Winocur uważał wprawdzie za starą krętaczkę, ale wątpił, żeby koty i pieski pokojowe z Fontana Village dobrowolnie zniknęły na mokradłach w pogoni za

19 *Sichel* (niem.) – sierp (przyp. tłum.).

wolnością, aby zakładać tam szczyepy czworonogich Seminolów²⁰.

– Jak się wy dostał?

– Moja wina – przyznała kobieta. – Palnęłam głupstwo. Żal mi się go zrobiło. Przed wyjazdem z domu włóczył się, gdzie tylko chciał. On i ja mieszkamy tu od niedawna.

– A gdzie był ten dom?

– W Filadelfii.

Dziadkowi nasunęło się spostrzeżenie, że w Filadelfii koty też czasem źle kończą. Musiałby to jednak szerzej wyjaśnić, a minął kawał czasu, odkąd ostatnio próbował wyjaśniać kobiecie cokolwiek na swój temat. Zadanie wydawało się niewykonalne.

– A konkretnie?

– W Bryn Mawr.

– Bryn Mawr to nie Filadelfia.

– Aha – powiedziała kobieta. – Tak, poznaję po pańskim akcencie.

Kiedy się rozwidniło, dziadek stwierdził, że Sally Sichel jest przystojna, wysoka i szczupła, ale z obfitym biustem. Do tego ciemna cera, długi garbaty nos, a w okolicy kości policzkowych coś z Katharine Hepburn. Może była o parę lat młodsza od niego, a może nie. Miała na sobie męską piżamę z zapinaną bluzą i buty turystyczne powleczone gumą w kolorze nowojorskich taksówek. Nie pofatygowała się, żeby je dokładnie zasznurować.

– On zwykle przychodzi, jak go pani woła?

– Zawsze.

– Długo już go nie ma?

– Całą noc.

– Hmm.

– Pewnie nie powinnam tego mówić – rzekła Sally Sichel. – Przecież dopiero co się poznaliśmy. Ale chyba już tylko ten zasznurowany kocur trzyma mnie przy życiu.

Dziadek zwalczył przemożny impuls, który podsuwał mu takie mniej więcej odpowiedzi: „Skoro tak, to może nie trzeba go było

20 Przed zniesieniem niewolnictwa do zamieszkującego Florydę plemienia Seminolów (właśc. Micasukee) dołączali czarni zbiegowcy z plantacji (przyp. tłum.).

wypuszczać prosto w paszczę półtonowego gada” albo „Na miłość boską, łaskawa pani, przecież to tylko kot, do kurwy nędzy”. Obniżył korzystną notę za pierwsze wrażenie, w którym drżała nieoczekiwana żyłka pożądania. Minęło wiele czasu, odkąd ostatnio je czuł. Należało jednak zachować rezerwę wobec kogoś, kto łązi w rozsznurowanych butach.

– Wiem, co pan myśli – powiedziała kobieta. – To był tylko kot.

– Wcale nie.

– Chodzi o to, że całkiem niedawno straciłam męża. A Ramon był właściwie jego kotem.

– Rozumiem.

– Byli ze sobą bardzo zżyci.

– Rozumiem – powtórzył dziadek. – Sam straciłem żonę.

– Niedawno?

– Czternaście lat temu.

– A. No, przykro mi.

Sally Sichel rozplakała się, stojąc w piżamie, z rękami założonymi poniżej chwalebnych piersi. Kiedy tak patrzyła na Dżungłę, która pochłonięta kota nieboszczyka Sichela, architekturę jej policzków zaszklily łzy. Z nosa też pociekło. Dziadek wyjął z tylnej kieszeni szortów irchową szmatkę do czyszczenia soczewek obiektywów i podał ją kobiecie.

– O – powiedziała, wydmuchując nos w irchę.

Nagle ożyło wspomnienie (tyleż w głowie i sercu dziadka, ile w jego lędźwiach) cyrkówki, która rozkraczyła się przed nim w domku na stacji Greenwich, ściskając w garści zakrwawioną irchę Creaseya.

– Co za dżentelmen. Dziękuję.

Dziadek wiedział, że dżentelmeneria nakazywałyby też przygarnąć Sally Sichel w geście pocieszenia. Byłoby to nie tylko po dżentelmeńsku, ale zwyczajnie po ludzku. Bał się jednak dalszego ciągu. Wdowa i wdowiec pomagający sobie nawzajem przejść w jesieni życia od żałoby do namiętności. Banalność tego rozwiązania zdawała się gwarantować jego prawdopodobieństwo.

Odkąd dziadek w połowie lat siedemdziesiątych przeniósł się

na Florydę, miejscowe kobiety do wzięcia raz po raz brały go na muszkę. Podczas gdy budował piękne i kosztowne modele redukcyjne na zamówienie NASA oraz prywatnych kolekcjonerów i zwiedzał labirynt LAV 1, który coraz bardziej się rozrastał i komplikował na stole w jadalni, kolejno się zgłaszały, śląc zwiadowców i ambasadorów, talerze ciastek takich, siakich i owakich, garnki zupy, kartoflane *latkes* na Chanukę, karty, wyroby na drutach, paszteciki, wiersze, obrazy olejne, porcje mięsa, butelki wina i salaterkę klusek z serem. Kiedy pojawiła się ta ostatnia, byłem akurat u dziadka z wizytą i wydawało mi się, że ten poczęstunek mocno przemawia na korzyść ofiarodawczynie, która przyrzadziła go, adaptując przepis z Horn & Hardart, sieci sklepów potocznie zwanych Automatami.

Zatopiony we wspomnieniach Automatu z Broad Street, dziadek oblizywał widelec, a ja miałem wrażenie, że dawno nie widziałem go z tak zadowoloną miną. Lecz gdy już opróżniliśmy salaterkę, umył ją i wytarł, wrzucił do niej skrawek papieru maszynowego z kilkoma nagryzłymi słowami podziękowania i zostawił na patio za domem ofiarodawczynie, wiedząc, że akurat wyszła. Przy tych nielicznych okazjach, kiedy osaczała go jakaś szczególnie wytrwała kobieta do wzięcia, dla świętego spokoju przyjmował zaproszenie na kolację. Poufalsze zaproszenia (czasem kuszące, a czasem czynione ze szczerością, która nie mogła nie wzbudzić w nim podziwu) odrzucał.

Nie żeby chciał żyć w celibacie. Nachodziły go różne wizje. Brakowało mu bliskości, ciepła kobiecej skóry. Administratorka Fontana Village, Karen Radwin, miała zwyczaj dotykać ręki lub ramienia rozmówcy w taki sposób, że dziadek nieraz czuł przebiegający między nią a sobą prąd. Ale prócz jednej kwietniowej nocy w Cocoa Beach na Florydzie w 1975 roku od śmierci babki trzymał ręce przy sobie.

Różnie można by mówić o powodach takiej postawy, w sumie jednak sprowadzały się do jednego: nie chciało mu się odzywać. Nie miał ochoty się tłumaczyć. Babka narzekała czasem na jego małomówność, ale tylko w obecności innych ludzi, kiedy zaczynały się żarciki, riposty i dyskusje o Spiro Agnew czy

Sondheimie, jakby jej było za niego wstyd, bo ktoś mógł pomyśleć, że jego milczenie oznacza dezaprobatę albo dowodzi tępoty. „Nie mahtwcie się o niego – mawiała. – Taki już jest. Jak zaczynamy się kłócić, zawsze kończę monologiem”. A kiedy indziej oświadczała: „Niektórzy mężowie biohą sobie kochanki, a mój kocha milczeć”. Czasem kładła mu potem rękę na kolanie i dodawała z naciskiem, upewniając pewnie tyleż rozmówcę, ile siebie: „Ale on słuca”.

Po piętnastu latach małżeństwa (mniej więcej wtedy, kiedy pojawiłem się na scenie) nie mógł jej opowiedzieć ani jednej historii, której by jeszcze nie znała. A jemu zależało wyłącznie na tym: żeby ktoś go znał.

Nie objął więc Sally Sichel. Trzymał rękę tam, gdzie należało: zwieszoną wzdłuż boku. Na wszelki wypadek i dla lepszego zbalastowania przełożył do niej klucz nasadowy.

Sally Sichel podeszła do drewnianego płotka, złożyła dłonie przy ustach i krzyknęła:

– RAMOOOOOOON!

Ukryty w pobliskich krzakach żółty ptak spłoszył się i odfrunął. Sally wciąż trzymała drżącą nutę przeciągłego „O”. W domkach z widokiem na Dżunglę zapalono światła. Z kilku zatelefonowano do biura ochrony. Dziadek dawno nie słycał takiego krzyku z ust kobiety, chociaż słowo „wrzask” byłoby może trafniejsze. Sally Sichel wrzeszczała na Ramona dokładnie tak samo, jak rozżłoszczona starsza siostra mogłaby wrzeszczeć ze schodków domu na Shunk Street, gdyby jej kazano zawołać na kolację brata, tego osła. Kiedy echo ucichło, opuściła ręce, odsunęła się od płotka i obróciła twarzą do dziadka. Minę miała ciut zmieszana, ale nie więcej niż ciut. Tymczasem się rozwidniło, więc dziadek dostrzegł ślady trosk na jej twarzy, podkrążone oczy i napięcie w okolicy ust, jakby właśnie nadgryzła coś mączystego. Mimo to niebrzydka z niej była kobieta.

Złożyła irchę we dwoje, wygładziła na krągłym biodrze, złożyła we czworo i znowu wygładziła. Oddała ją dziadkowi, a on schował szmatkę z powrotem do tylnej kieszeni szortów khaki.

– Pierdolony aligator – powiedziała. – Niech się udławi

Ramonem.

Dostała za to plus.

– Biorę to na siebie – odparł dziadek.

Sally Sichel cofnęła się o krok i zmierzyła dziadka wzrokiem. Teraz z kolei jej zdanie o nim najwyraźniej domagało się rewizji. Z pewnością zauważyła jego workowate szorty, sandały ze skarpetkami i koszulkę polo w odcieniu koralowego różu, na której – jakże taktownie wobec losu Ramona – wyszyto skaczącego lisa (albo wilczarza) zamiast widocznego zwykle w tym miejscu krokodyla. Wyglądał jak emerytowany kierownik letnich kolonii dla dzieci z syjonistycznych rodzin. Przyjrzała się jego włosom, jeszcze srebrzystym, lecz coraz bardziej bielejącym, prostszym i cieńszym niż za młodu, wciąż jednak dość bujnym. Zauważyła opalone, żylaste przedramiona, rozłożystą pierś i barki, na których przez wiele lat dźwigał fortepiany i inne ciężary. Dopiero teraz spostrzegła, że dziadek nie wiadomo po co trzyma w ręku wielki stalowy klucz, nerwowo zaciskając palce na trzonku, jakby nie mógł się doczekać, kiedy go wreszcie użyje.

– Bierze pan to na siebie? – Sally Sichel roześmiała się. Jej śmiech mógł zabrzmieć gorzko, a nawet szyderczo. A może dziadek po prostu ją rozbawił. Przez całe życie mówił zupełnie serio różne rzeczy, które ludziom, a zwłaszcza kobietom, wydawały się zabawne. – Jak mam to rozumieć?

Dziadek przyznał w duchu, że dziwnie się wyraził. Uczciwiej byłoby powiedzieć, że zamierza się osobiście przekonać, co można zrobić w sprawie dania aligatorowi kopa w dupę. To jednak też zabrzmiałoby dziwnie. W najlepszym razie jak przechwałka, w najgorszym jak odzywka psychopaty. Gdyby w końcu jednak nie zdołał kopnąć aligatora w dupę, wyszedłby na samochwałę. Na tym właśnie polegał główny problem z mówieniem, zwłaszcza prawdy. Poprzedniego dnia lekarz pokazał dziadkowi kilka cyfr w wyniku badania krwi, które wyglądały trochę „nie tak”, i dodał, że może to nie być nic poważnego, a może się też skończyć fatalnie. Chciał wysłać dziadka do specjalisty. Zapisał mu na kartoniku nazwisko i numer telefonu. Kartonik tkwił między stronicami

„Commentary”, dotrzymując towarzystwa niepoehlebnej karykaturze Hosniego Mubaraka.

Dziadek miał siedemdziesiąt trzy lata. Za jego życia w definicji męskości i wymagań wobec mężczyzn dokonał się przewrót i liczne reformy. Podobnie jak w prawie wyborczym stanu, do którego na starość się przeniósł, skutkiem był kompletny bałagan. Łatanina złożona z doraźnych rozwiązań, sprzecznych reguł, dla nikogo niezrozumiałych nowinek oraz przeżytków, które już dawno należało wykreślić. W tym współczesnym zamęcie ocalały jednak fundamentalne ziarna pewności: demokracja przedstawicielska wciąż była najlepszym sposobem rządzenia dużą grupą ludzi. A kiedy kota po zmarłym mężu jakiejś pani zjadał aligator, mężczyzna brał to na siebie. Nawet starzec, który wkładał sandały na skarpetki i musiał się zapisać na wizytę u specjalisty, bo z cyframi świadczącymi o stanie jego krwi coś było nie tak. Mężczyzna postanawiał zobaczyć, co da się zrobić.

– Mógłbym się wywieźć, jaki jest zalecany sposób na aligatory – powiedział dziadek. Z aligatorami codziennie radzono sobie przecież różnymi metodami. Można je było schwytać, złowić w pułapkę, trafić pociskiem usypiającym. Albo zastrzelić, zarznąć, obdrzeć ze skóry i przerobić na steki oraz buty z cholewami. – Oczywiście jeżeli pani chce. Zdaję sobie sprawę, że Ramonowi nic to nie pomoże.

Sally Sichel parsknęła śmiechem, lecz tym razem się połapała, że dziadek wcale nie żartuje, więc jej usta nagle się zatrzasnęły. Policzki oblał rumieniec, ale nie zażenowania, bo patrzyła mu prosto w oczy.

– Dlaczego nie? – powiedziała.

Zaterkotał wózek elektryczny. Dziadek spojrział w stronę strefy gospodarczej. Nocny strażnik Devaughn przyjechał sprawdzić, kto tak hałasuje. Był niewiele młodszy od ludzi, których miał ochraniać za pieniądze. Urodził się i wychował w części Florydy należącej właściwie do Georgii i Alabamy. Nikt nie był pewien, czy Devaughn jest biały, czy czarny (obie możliwości wydawały się równie prawdopodobne), a ci spośród mieszkańców Fontana

Village, których wydelegowano do niego z tym pytaniem albo którzy postanowili mu je zadać z własnego natchnienia, w jego obecności nagle tracili śmiałość lub stwierdzali, że kwestia przestała być istotna. Devaughna w dzieciństwie nauczono traktować żydowskich komiwojażerów, którzy czasem przemierzali jego ojczyste mokradła, jak przedstawiciele rasy pomniejszych demonów, rogatych handlarzy cudów. Jego zachowanie wobec mieszkańców Fontana Village nacechowane było zatem stosowną ostrożnością.

Wysłuchawszy opowieści o Ramonie i aligatorze, zaczął kręcić głową. Dziadek początkowo uznał to za przejaw żalu, współczucia lub obrzydzenia. Okazało się jednak, że Devaughn czuje się w obowiązku ich pouczyć.

– To nie żadny ligator – oznajmił. – Prawie od dwóch lat stale i wciąż to powtarzam pani Radwin. Widziałem jego rozchody. Umiem się poznać na rozchodach ligatora. I także samo wiem, jak mają wyglądać rozchody węża.

– Wąż? – zdziwiła się Sally Sichel. – Wąż, który potrafi zjeść kota albo psa? To na Florydzie są takie węże?

– Pewnie komuś uciekł z terrarium boa dusiciel – odparł dziadek.

Podczas którejś z moich wizyt obejrzeliliśmy razem na kanale trzynastym (jedynym, jaki oglądał) program o inwazyjnych gatunkach zwierząt na Florydzie. Węże boa, majny, zdziczałe świny, rzadkie ryby akwariowe uciekały z niewoli albo celowo wypuszczano je na wolność, gdzie przeważnie dobrze sobie radziły. Program trwał godzinę, lecz dziadek nie doczekał się dyskusji o tym, co należy zrobić z konkretnym gatunkiem inwazyjnym, który był przyczyną tego akurat problemu.

– Jeżeli to boa dusiciel – powiedział – to może wyrosnąć taki wielki, że zje świnię albo jelenia.

Sally Sichel, mój dziadek i Devaughn patrzyli na Dżunglę. Myśl o olbrzymim wężu, zdolnym udusić, a następnie połknąć w całości świnię lub jelenia, z wolna omotywała zimnymi splotami ich serca. Po chwili Devaughn wsiadł na wózek i z terkotem odjechał, by wrócić do kanciapy ochroniarza

w centrali Fontana Village. Niech dzienny strażnik martwi się o olbrzymie węże i stare zwariowane Żydówki, które skoro świt wyłażą w chaszcze i wrzeszczą, chociaż powinny jeszcze spać.

– Skoro już mowa o zjadaniu świni albo jelenia – powiedziała Sally. – Mogłabym panu zrobić grzanekę po francusku.

Dziadek spojrział na zegarek i serce w nim zamarło. Zupełnie zapomniał o starcie promu. Gdyby natychmiast wyruszył i jechał pełnym gazem bez żadnych postojów, przy odrobinie szczęścia może by jeszcze zdążył. Planował wypad do Centrum Kosmicznego imienia Kennedy’ego od miesiący, odkąd po raz pierwszy ogłoszono wznowienie lotów. Znał nazwiska i szarże pięcioosobowej załogi Discovery. Umiał powiedzieć, kto z czego zrobił magisterium czy doktorat, ile i jakich lotów zaliczył, jakie ma hobby i dziwactwa, co go łączy i osobiście wiąże z tragicznie zmarłymi uczestnikami wyprawy Challengera. Uważnie obserwował śledztwo w sprawie przyczyn tamtej katastrofy, zgłębił jego najdrobniejsze szczegóły. Podczas mojej wizyty, której ozdobą była salaterka pysznych klusek z serem, chciał rozmawiać wyłącznie o uszczelkach, osłonie termicznej z ceramicznych płytek i o doktorze Richardzie Feynmanie, przy każdej wzmiance przywołując jego imię, nazwisko i tytuł naukowy. W niezłomnie zdrowym rozsądku Feynmana widział jeden z rzadkich dowodów, że światu pozostała jeszcze jakaś nadzieja.

Od wielu miesięcy czuł, że gdy Discovery wreszcie wystrzeli w niebo, stawką będzie nie tylko program lotów promów. Szło tu o całą wizję przyszłości wyznawaną przez słabnący obóz zwolenników podróży kosmicznych, któremu ten start obiecywał zbiorowe odkupienie. I nagle dziadek zrozumiał, że jego zainteresowanie katastrofą Challengera i losem Discovery, obsesyjne zaprzątęcie udoskonaleniami silnika wspomagającego na paliwo stałe tej ostatniej rakiety i przeróbkami zabytkowego chevroleta corvette komandora Ricka Haucka jest tyle samo warte co wrażenie Sally Sichel, że żyje tylko po to, aby opiekować się kotem zmarłego męża. Nie

miała tu nic do rzeczy żadna zbiorowość. Była to sprawa czysto osobista – pieczęć, dzięki której smutek nie sączył mu się w serce. W tym świetle całe przedsięwzięcie wydało się znacznie mniej interesujące.

– Już jadłem – powiedział dziadek. – Naprawdę powinienem już jechać.

– To dlatego tak wcześnie pan się zerwał. Zastanawiałam się. Gdzie się pan wybiera?

Dziadek jeszcze raz spojrział na zegarek. Prawie za dziesięć siódma. Miał wrażenie, że minęły wieki od chwili, gdy w mrocznej kuchni przed świtem, przy pomruku elektrycznego zegara na ścianie i kapaniu wody z kranu, kręcił korbką, przepuszczając przez maszynkę brązową porcję pasty mięsnej.

– Nigdzie – odparł. – Mniejsza o to.

– To może jednak francuską grzanekę? Wciąż na nią nie pora. Dobrze. A co pan powie na kubek kawy?

– Nie chciałbym pani kłopotać.

– Żaden kłopot – powiedziała Sally Sichel. – A zresztą kłopoty to chyba pańska działka.

VIII

Kiedy dziadek wyszedł z aresztu, przez pewien czas wyglądało na to, że Bezkóry Koń zadowala się deptaniem babce po piętach. W obecności córki lub męża, który jako bezrobotny podsądny w oczekiwaniu na proces był wtedy często w domu, topiła jego ciche rzenie w potokach paplaniny i rozhovorach. Ilekroć zostawała sama, w każdej chwili mogła sięgnąć po płytę z nagraniami szkockich tańców wirowych i marszów, którą puszczała bardzo głośno, bo dudy nie wiedzieć czemu trzymały złowrogię stwora w szachu. Zawsze jednak – czy to w samotności, czy w towarzystwie – starała się pod żadnym pozorem nie zwracać twarzy w stronę okien z widokiem na orzesznik. Kiedy słabła, Bezkóry Koń właśnie tam czyhał, siedząc na jednej z dolnych gałęzi, szczerząc kwadratowe zębiska i głaszcząc się po olbrzymim, krwistoczerwonym przyrodzeniu.

– Ale czy to w ogóle był koń? – zapytałem dziadka drugiego lub trzeciego dnia wizyty u matki. – Może tylko facet z końską głową? – Nigdy go nie widziałem – sucho odparł dziadek. – Musiał chyba mieć ręce.

– I przyrodzenie.

Dziadek parę razy pokazał mi język. Patrzył przez okno na pasma mgły wokół eukaliptusów i tuj.

– Wyglądało jak surowa indyjska szyja – powiedział. – Tak przynajmniej twierdziła.

W rozmowie z psychiatrą, który zajmował się nią w późnych latach pięćdziesiątych, babka przypisała wygląd swojego dręczyciela wpływowi obrazka z książki przedstawiającego Spodka i Tytanię – zmory, która w dzieciństwie śniła jej się po nocach. Przy innej okazji opowiedziała, jak na jej oczach wykastrowano konia pociągowego w stajni przy garbarni jej

rodziny, a pewnego razu zaczęła rozważać osobliwe konglomeraty ludzi i skrwawionych skór, których przemarsze przez dziedziniec tejże garbarni często obserwowała. Na dni najbardziej nieprzytomnych majaczeń często twierdziła, jakoby zgwałcił ją ogier albo mężczyzna z głową ogiera. Majaczenia te cechowała swoista ponadczasowość, która pozwalała sądzić, że ów gwałt z lat dziecińczych trwa, dokonując się wciąż na nowo.

– Wysmażyła wiele najrozmaitszych teorii – powiedział dziadek. – Naczytała się Freuda i Junga. – W jego ustach to ostatnie nazwisko brzmiało „Jang”. – Adlera. Takich tam różnych. Żeby móc opowiadać lekarzom to, co myślała, że chcą usłyszeć.

Choroba babki często budziła w dziadku bezsilną złość albo wprawiała go w konsternację, wydawało mu się jednak, że co jak co, ale akurat pochodzenie Bezkórego Konia rozumie. Ten zaprzysięgły prześladowca miał ścigać jego żonę choćby i na koniec świata, szepcząc najplugawszymi słowy o jej zbrodniach i czerni jej duszy. Dziadek uważał, że każdy człowiek słyszy w głowie taki głos. U mojej babki była to tylko kwestia natężenia. W Bezkórym Koniu można było nieomal ujrzeć sprytnie przystosowanie, strategię przetrwania wypracowaną przez kogoś, kto dowiódł, że przetrwać potrafi. Dopóki takiemu głosowi pozwala się, zwyczajem większości ludzi, przemawiać w swojej głowie, można go uciszyć właściwie tylko w jeden sposób. Dziadek podziwiał odwagę, odmowę kapitulacji – mimowolną, lecz widoczną w zesłaniu srogiego szeptuna w ciemny kąt pokoju, do stalowego paleniska w piwnicy, między gałęzie wspianego starego drzewa.

W przeddzień wstępnego przesłuchania w sprawie Feathercombs dziadek wziął teleskop i termos z herbatą, po czym wdrapał się na szczyt wzgórza za domem, żeby popatrzeć na księżyc w pełni. Czuł w głębi duszy – jak mi po latach powiedział – że Bezkóry Koń czyha w pobliżu. Widział znaki. Z ust babki od jakiegoś czasu płynęły wezbranym potokiem spostrzeżenia, pytania i enigmy, zalewając każdą ledwie zaczęta

chwilę milczenia. Pewnego dnia dziadek, wracając do domu, usłyszał przez otwarte okno samochodu upiorny skwir dud. Innym razem przyłapał babkę na tym, że gdy raptem odwracała się od okien salonu wychodzących na orzesznik, jej policzki i szyję oblał gwałtowny rumieniec.

Od dwóch godzin siedział pod gołym niebem z teleskopem, w futrzanej czapce i wełnianej kurtce, gdy w nozdrza połąskotał go dym z płonącego drewna. W pierwszej chwili tylko zarejestrował ten zapach, nie próbując odgadnąć, skąd pochodzi ani nawet go nie rozpoznając. Jego mózgiem niepodzielnie władało prawe oko, które nie szczędziło starań, żeby go olśnić. Teleskop od paru chwil wycelowany był w Reiner Gammę przy południowym brzegu Morza Burz.

Spśród wszystkich ciał niebieskich widocznych dla astronoma amatora tylko Księżyc można było zobaczyć wystarczająco dokładnie, aby sobie wyobrazić, że się na nim mieszka, przemierzając w siedmiomilowych butach księżycowych góry żywego srebra. Dziadek oczywiście wiedział, że na Księżycu żyć by się nie dało. W sprawach astronomii może i był laikiem, ale na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych pracował jako specjalista od inżynierii kosmicznej – najpierw w Glenn L. Martin Company, a potem przez krótki czas we własnej firmie, którą nazwał Patapsco Engineering i projektował w niej urządzenia do nawigacji bezwładnościowej i telemetrii. Potrzeba stałych dochodów po pierwszym załamaniu nerwowym babki w roku 1952 zmusiła go do sprzedania udziałów w Patapsco²¹. Od tamtej pory recesja z roku 1953, pech oraz to, co uważał za klanowy nobliwy antysemityzm branży astronautycznej, stopniowo spychały go w dół po drabinie zarobków, sprawiając, że w wolnych chwilach coraz głębiej nurkował w świecie widocznym przez teleskop. W wyobraźni budował dla mojej

21 W roku 1962 Martin Company, nosząca już wtedy nazwę Martin-Marietta i mocno zaawansowana w pracach nad rakieta Titan, nabyła Patapsco od dawnego współnika mojego dziadka, niejakiego Milтона Weinblatta, płacąc – jak twierdził dziadek – „chyba ze dwieście razy więcej, niż mi za moje udziały odpalił Weinblatt”.

babki miasto na Księżycu i uciekał do niego rakieta z nią i z moją matką, aby tam osiąść i żyć w spokoju.

Początkowo z nakrytego kopułą miasta przy każdym wschodzie Ziemi rozpościerał się oszałamiający widok na cały mozół i nieszczęście, które za sobą pozostawili. Z biegiem lat dzięki licznym lekturom i badaniom dziadek zmienił jednak konfigurację budowli. Dla ochrony przed zgubnym działaniem promieniowania kosmicznego umieścił budynki w kraterach i wpuszczonych pod powierzchnię tunelach. Aby zapewnić księżycowemu ogrodowi babki wystarczające nasłonecznienie, ulokował go w widnym punkcie przy biegunie północnym. Utrzymał jednak w mocy dwa prawidła, dwie reguły gry: po pierwsze, na Księżycu nie było kapitału, który uciskałby tamtejszą klasę robotniczą. Po drugie, w odległości trzystu osiemdziesięciu czterech tysięcy kilometrów od fetoru historii nie istniał obłęd ani pamięć strat. Dla dziadka piękno lotu w kosmos brało się z jego trudności – aby osiągnąć prędkość ucieczki, babka tak jak każdy podróżnik kosmiczny musiałaby zostawić za sobą prawie wszystko.

Dziadek zwęszył dym, a po chwili zauważył na skraju pola widzenia jakieś migotanie, przeciek światła. Przez kilka sekund je ignorował. Lecz raptem wzdrygnął się, skojarzywszy pomarańczowe błyski z zapachem płonącego drewna. Odjął oko od okularu teleskopu, mrugając, żeby rozegnać przywarte do siatkówki widmo Reiner Gammy, tej świetlistej ryby.

Na podwórku po drugiej stronie domu orzesznik stał w takielunku ognistych żagli. Okna domku na drzewie rzucały złośliwe błyski.

Kiedy minęło niedowierzanie, dziadek najpierw rozzłościł się na siebie. Gdy po powrocie z aresztu zastał ślady pierwszego pożaru, przetrząsnął dom od piwnicy do strychu, wyszukując substancje łatwopalne, które potem zamknął na klucz w komórce z narzędziami. Później jednak zmniejszył czujność, więc jego żona spokojnie zdążyła odnowić zapasy lakieru do włosów, nafty i rozpuszczalnika. (Wyszło potem na jaw, że z pomysłowością, którą dziadek rad nierad podziwiał, uciekła się do improwizacji,

wrzucając łyżką kuchenną prosto do domku na drzewie nasączone wazeliną waciki jak kropelki greckiego ognia).

Drugim uczuciem, które ogarnęło dziadka, była wściekłość. Nawrót obłędu żony odbierał jako osobistą zniewagę, bezczelność, kasację dwóch lat względnego spokoju w ich małżeństwie. Ze szczytu wzgórze wykrzyknął imię babki niczym Bóg wzywający proroka na wierzchołek góry, żeby go osądzić. Od ryczących płomieni dzieliło go sto pięćdziesiąt metrów, lecz własny głos zabrzmiał mu w uszach cienko i wątle. I ta słabość jeszcze bardziej go rozgniewała.

Puścił się w dół ze wzgórze mściwym galopem. Postanowił, że jeśli babka nie spłonęła i żyje, to sam ją zgładzi. Wybór rodzaju śmierci zostawił do chwili, gdy dopadnie żonę i poczuje, która forma zagłady niesie z sobą obietnicę najśrodszej ulgi.

Zanim zbiegł ze wzgórze, drzewo spowił obłok gazów, z którego tryskał długi pomarańczowy gejzer. „Wyglądało to – powiedział mi po latach – jak kometa na starej mapie nieba”. Między nim a drzewem wisiała kurtyna żaru, od którego jeszcze przez kilka dni miał potem zaczerwienione policzki i osmalone koniuszki włosów. Jego gniew ulotnił się na widok tej drżącej firany, ognistego serca pompującego w niebo własną żywotną krew. Mógł już tylko stać i się zdumiewać.

Moja matka w ogóle tego nie pamiętała.

– Dopiero rano – powiedziała. – Z drzewa został czarny pień. Jak spalony knot świecy.

Przebrała się z kostiumu, w którym załatwiała sprawy służbowe, w sweter z golfem i džinsy. Zostało jej wprawdzie jeszcze trochę pracy w związku z grupowym pozwem, ale wzięła sobie wolne, żeby zrobić na drutach czapkę dla swojego ojca, który często się skarżył, że zimno mu w głowę. Czapka miała być w złote i karmazynowe paski, z zielonym pomponem. Nikt nie chciałby w takiej umrzeć i może właśnie o to szło.

Co wieczór po pracy matka wchodziła do pokoju dziadka i siadała przy nim, a ja przez ten czas gotowałem coś na kolację

i szykowałem tacę, stawiając na niej porcję galaretki i herbatę z cytryną. Dziadka niecierpliwiło to, że przy jego łóżku stale przesiaduje któreś z nas lub nocna pielęgniarka. Rozumiał, że siedzimy tam, bo się boimy, czy aby nie umrze, kiedy będzie sam w pokoju. Obiecał nam kurczowo czepiać się życia mimo bólu i wszystkich guzów pierwotnych oraz wtórnych, aż któregoś dnia dzwonek u drzwi rozlegnie się akurat chwilę po tym, jak ktoś z nas pójdzie do toalety i mimo wszelkich środków ostrożności będziemy musieli zostawić go bez opieki. Dopiero wtedy pozwoli sobie umrzeć.

– Matka dała ci benadrylu – oznajmił córce. – Przespałaś całą aferę. W takich razach pewnie dodawała tabletkę do jakiegoś budyniu czy czegoś. Szprycowała cię, jak tylko nie mogłaś zasnąć.

Poznałem po wyrazie oczu matki, że pomału dociera do niej ta prawda.

– O rany – jęknęła. Jej pamięć o tamtych latach była dziurawa, podobna do pustego kwadrantu nieba, z rzadka usianego gwiazdami. – Jadłam wtedy mnóstwo budyniu z tapioki.

Najwidoczniej uznała to za wyjaśnienie, czemu tak znaczna część tamtego okresu uleciała jej z pamięci, ale ja miałem ochotę wtrącić, że amnezja – czy to spowodowana psychotropami, czy ciężkimi przeżyciami – nie tłumaczy wszystkiego. Choćby częstych wyrw i opustek w jej opowieściach o zdarzeniach, które jakoś jednak zapamiętała. Mój brat i ja od małego wiedzieliśmy, że w losy naszej rodziny jakoś wplątał się Alger Hiss. I że dziadek trafił do więzienia, a babcia do szpitala stanowego. Wiedzieliśmy, że będąc pod kuratelą stryja Raya, matka poznała zawiłe arkana zakładów wzajemnych i parę efekciarskich sztuczek w bilardzie artystycznym, a także nabrała odrazy do torów wyścigowych, sal bilardowych oraz ich bywalców. Wszystkie te rzeczy może i warto było wiedzieć, ale w sumie niewiele z nich wynikało. Gdyby synowie wsłuchiwali się w jej milczenie, tak jak ona słuchała milczenia swojego ojca, mogliby się dowiedzieć, że cisza, ten stary sposób z medycyny ludowej, koi ból tylko częściowo, jeśli w ogóle.

– A gdzie była Mamie? – zagadnąłem dziadka. – Kiedy paliło się

drzewo?

Dziadek spojrział na moją matkę i pokazał język, jakby to idiotyczne pytanie wzbudziło w nim niesmak.

– Patrzyła, jak się pali – powiedział.

Pożar orzesznika tak jak większość cudów trwał krótko, a gdy skonsumował danie, zgasł niby ściśnięty palcami knot świecy. Zdaniem dziadka raptowność, z jaką to się stało, świadczyła o tym, jak dokładnie ogień strawił dostępny opał. Przez chwilę przypominał kometę, która runęła na ziemię, rozlśniewając styczniową ciemność, a jego żar był tak silny, że dziadek stanął jak wryty. Wnet jednak pożar zgasł, a wraz z nim zniknął nadrzewny domek, drzewo i sekta łagodnych ekstazyków z New Jersey, którzy przed laty posadzili orzesznik. Gałęzie rozsypały się w czarne gruzełki, a wśród nich tu i ówdzie trzaskały jeszcze płomyki. Potem i one zgasły, aż pozostał tylko dym, świst pary i popiół, prószący jak śnieżek.

Dziadek znalazł babkę na schodkach werandy przed frontowymi drzwiami, których nigdy nie używano. Siedziała boso, w cienkiej koszuli nocnej. Policzki miała szare od popiołu, rzęsy i brwi opalone, a usta bez wyrazu.

– Mniejsza o to – powiedział dziadek do niej i do siebie.

Usiadł obok żony na najwyższym schodku. Skóra na jej gołych ramionach była zimna, ale babka nie zauważała ani chłodu, ani ręki, którą objął ją dziadek. Po pewnym czasie wstał i zadzwonił po straż pożarną. Potem wrócił i znów usiadł przy babce. Siedział tak, dopóki nie przyjechał wóz strażacki ze światłami, syrenami i siedmioma facetami w wysokich butach i w hełmach, którzy nie mieli tam już właściwie nic do roboty. „No, komuś tu nieźle odbiło”, stwierdził jeden.

Kiedy dziadek po latach przytoczył tę strażacką diagnozę, w oczach stanęły mu łzy, jakby chciał nimi ugasić żar gorzkiego wspomnienia. Powstrzymał je, spuszczając powieki.

– Tato? – zagadnęła moja matka, kiedy już trochę poleżał z zamkniętymi oczami, nieruchomy i milczący. Wypoczywał, spał,

mknął z wiatrem po miękkim, szarym niebie dilaudidu. Wyćwiczonym już wzrokiem wpatrywaliśmy się w jego pierś, niepewni, czy oddycha. – Jesteś zmęczony? Zjadłbyś coś?

– Dziadku – powiedziałem, siląc się na dziarski ton. – Obudź się, coś ci przyrządę.

Otworzył oczy. Zobaczyłem, że znów płonie w nich ogień wspomnień, wciąż tak samo nieugaszony.

– Budyń z tapioki dla wszystkich – zarządził. – Wielkie porcje.

IX

Pamiętam, jak matka w trakcie porządkowania spraw majątku po dziadku stwierdziła, że połowę wydatków na leczenie człowiek ponosi w ostatnim półroczu życia. Opowieść dziadka o sobie samym była jeszcze mniej proporcjonalnie rozłożona w czasie: dziewięćdziesiąt procent wszystkiego, co mi w ogóle powiedział o swoim życiu, usłyszałem w ciągu ostatnich dziesięciu dni. Spośród garści wspomnień, którymi się ze mną podzielił, zanim dorosłem, tylko nielicznymi uraczył mnie więcej niż raz, a jednym z nich była anegdota o pierwszym przelotnym spotkaniu z moją matką. Zawsze opowiadał ją z grubsza tak samo: „Kiedy pierwszy raz zobaczyłem twoją mamę, płakała rzewnymi łzami”.

Trudno było to uznać za pełnoprawne wspomnienie, bo właściwie nigdy tej historyjki nie rozwijał ani nie wzbogacał szczegółami. Przytaczał ją raczej jako ironiczny komentarz do najnowszego dowodu stoicyzmu, pragmatyzmu i zrównoważenia, który właśnie dała moja matka, czyli kolejnego świadectwa, że jest z niej „niezła zawodniczka”, „twarda klientka”.

„Myślę, że ją złamię – powiedział w okresie, kiedy walczyła (przy jego pomocy), żeby się wywikłać z prawnego i finansowego bałaganu, w który zamienił nasze życie mój ojciec. – Ale ona nie pęka”. Po tego rodzaju stwierdzeniu dziadek często kręcił głową i dodawał, delektując się ironią: „Aż trudno uwierzyć, że jak ją pierwszy raz zobaczyłem, bidulka płakała rzewnymi łzami”.

Pierwszy raz zobaczył moją matkę w niedzielne popołudnie na początku marca 1947 roku, parę tygodni po „Nocy w Monte Carlo”. Przyjechał tramwajem numer pięć z domu swojego brata w Park Circle do Ahavas Sholom, w której właśnie miały się zacząć obchody święta Purym. Tamtego roku Purym właściwie wypadał w piątek, ale z powodu jakichś szabasowych

faramuszek oraz z tej przyczyny, że miasto Baltimore w czasach Jozuego nie było otoczone murami, postanowiono go uczcić akurat w tamtą niedzielę.

Dziadek nie interesował się kalendarzem żydowskim ani objaśnieniami stryja Raya w tej materii, a do Purymu miał stosunek obojętny. W dzieciństwie, owszem, lubił go (w przeciwieństwie do pozostałych świąt żydowskich) i nie przestał mile wspominać. Ale gdzieś między Ardenami a Górami Harzu stracił gust czy wręcz zdolność do świętowania z powodu klęski wroga, a gładkie paralele między niedoszłym ludobójcą Hamanem a skutecznym ludobójcą Hitlerem, które zamierzał nakreślić Ray w swoim kazaniu, wydawały mu się tandetne i tragicznie chybione. Plan Hamana spalił na panewce dzięki żydowskim fortelom i pechowi (czyli „Bogu”). A Hitler po prostu nie zdążył.

Doroczne święto bożego miłosierdzia, sprawiedliwości i mocy, rozmaite paschy i posty przestrzegane ku chwale Jego Imienia, jak również wszelkie cuda, którymi w ciągu stuleci rzekomo nas obsypał, w pojęciu mojego dziadka unieważniało zjawisko, którego wtedy jeszcze nie umiał nazywać Zagładą. W Egipcie, Suzie, w czasach Judy Machabeusza Bóg wybawiał nas swoją potężną prawicą i wyciągniętą ręką. I co z tego? Kiedy posyłano nas do pieców, siedział z wyprostowanym kciukiem w swojej mocarnej dupie i patrzył, jak płoniemy. Według mojego dziadka w 1947 roku istniał jeden powód po temu, żeby przedstawiać się jako Żyd, nadal być Żydem wobec świata – można było w ten sposób powiedzieć Hitlerowi „pierdol się”.

Dziadek nie wybierał się do Ahavas Sholom, żeby obchodzić Purym, wytrzymać kazanie swojego brata ani tupać przy każdym odczytaniu imienia Hamana z megili. Nie pojechał tam nawet specjalnie na hamantasze, chociaż oczywiście nie odmówiłby ich skosztowania²². Tamtego popołudnia przybył do synagogi, bo stryj Ray mu zaręczył, że będzie tam moja babka, a on miał nadzieję dobrać się jej do majtek. Ta kobieta przeszła przez ogień

22 Najbardziej lubił te z makiem, na których porcyjka mohnu błyszczała jak łyżeczka czarnych perełek.

i nie spłonęła, ale dziadek widział, że ucierpiała. Postanowił zatem ją uratować. Dobranie się do majątek było nieodzownym wstępem.

Od pierwszej chwili właśnie to go między innymi w niej pociągało: nie jej rozbicie, lecz szansa naprawy, a zwłaszcza trudność, wobec której stanąby naprawiacz. Wydawało mu się, że jeśli podejmie się kochać tę rozbłą kobietę, jego życie znów stanie się w jakiejś mierze sensowne czy celowe. Liczył na to, że naprawiając ją, sam może też się naprawi. Od przełomu zimy i wiosny 1945 roku cierpiął na coś w rodzaju duchowej afazji. Choćby nie wiedzieć jak wytrwale rozmyślał nad rzeczami, które widział i robił podczas wojny, nie umiał przypisać im żadnego sensu ani wartości. Znawcy przedmiotu i rozmaite autorytety wielokrotnie go zapewniały, że jego wojenne czyny służyły bardziej dalekosiężnym celom, co więcej, że po wojnie znajdzie się dla niego nowy cel. Aż do pierwszego spotkania z swoją babką nie wierzył ich zapewnieniom. Lecz gdy powtórnie przyjechał do synagogi, tym razem z chutliwą misją, był bardziej skłonny im uwierzyć. Nawet własna chuć wydawała mu się rodzajem wiary.

Rozumiał, że głupca można zdefiniować jako człowieka, który „podejmuje się zadania, nieświadom jego rozmiarów czy trudności”, ale przecież w korpusie saperów właśnie takie postępowanie stanowiło normę. Jeżeli na tym świecie w ogóle osiągalna była jakaś mądrość, szansa jej odnalezienia mogła się kryć w optymistycznie beznadziejnej dewizie korpusu: *Essayons*²³. Dziadek nie miał zatem pojęcia, jak wielka lub ciężka praca czeka go przy tej kobiecie. Ale przynajmniej wiedział, gdzie zacząć: przylgnąć do jej bioder i dać się opleść nogami, trzymając ją w ramionach.

Od „Nocy w Monte Carlo” dziadek widział babkę trzy razy.

Pierwszy był skutkiem czegoś w rodzaju odwrotnej zasadzki, którą zastawił stryj Ray. Pani Waxman po pierwszej nieudanej próbie usidlenia nowego rabina przez Siostrzeństwo szybko

23 Próbujemy (fr.) (przyp. tłum.).

doszła do siebie i zaprosiła go na „skromną kolacyjkę” do swojego mieszkania, zajmującego całe piętro Rivierey – apartamentowca przy Eutaw Place. Potajemnie zaprosiła też moją babkę. Ale stryj Ray zdążył się już połapać, jakie są wobec niego zakusy, i zauważył, że jego brat runął na łeb na szyję w zastawiony przez Siostrzeństwo potrzask. Przyjął zaproszenie, lecz przyholował też mojego dziadka, licząc, że taki popis braterskiej opiekuńczości w stosunku do odznaczonego weterana o wejrzeniu człowieka, który niejedno już widział, zjedna mu wybaczenie Waxmanów.

Wyszło niezręcznie. Skomponowany z myślą o przedkolacyjnych drinkach w zacisznym saloniku ogromnego mieszkania układ miejsc siedzących (dwa fotele projektu Josepha Urbana zachęcająco ustawione naprzeciwko wążuteńkiej kanapki w stylu Hagenbundu) popsuło zarówno z wizualnego, jak i taktycznego punktu widzenia dodane w ostatniej chwili późnowiktoriańskie krzesło z haftowaną tapicerką, przyniesione z frontowego salonu. Trzeba było też podnieść klapę kuchennego stołu, przy którym mieściły się akurat cztery osoby i dla tyłuż go nakryto, no i znów dostawić krzesło. Kucharka musiała od nowa podzielić na porcje pięćdziesiąt bajońsko drogich gramów kawioru z białugi i ozdobić nimi trójkątne grzanki z twarożkiem podane na zakąskę. Ale największą niezręcznością wieczoru niewątpliwie był mój dziadek. Posadzony samotnie po jednej stronie stołu, naprzeciw brata i pod kątem do mojej babki, prawie się nie odzywał, w równych odstępach czasu machinalnie wkładał jedzenie do ust i prostodusznie gapił się na babkę, bez żadnego umiaru czy zachowywania pozorów. Ilekroć go na tym przyłapywała, jeszcze bardziej prostodusznie wbijał wzrok w jedzenie na swoim talerzu, jakby głowił się nad jakąś zagwozdką albo ciągle zapominał, co to właściwie jest kolacja i jak powinna przebiegać.

Największą zagwozdką była moja babka. Ilekroć bowiem saper napotyka swoje przeznaczenie czy też przekleństwo, przybiera ono postać zagwozdki.

Elegancka dziewczyna, którą pamiętał z „Nocy w Monte Carlo”,

była żywo usposobioną kosmopolitką, lecz zarazem osobą dziwną, lekkomyślną i chyba trochę ześwirowaną. Na miłość boską, przecież zapięta mu rozporek, i to w synagodze! Kobieta w kuchni Waxmanów dorównywała tamtej urodą, ale jaskrawo różniła się od niej zachowaniem, stylem i energią. Młody rabin interesował ją nie bardziej niż ona jego, więc włożyła na ten wieczór bury wełniany kostium niemodnego już wojskowego kroju. Wypełniała go całkiem ładnie, lecz nie mogła tchnąć w niego życia. Rozmawiała w sposób wyważony, z wahaniem, ostrożnie, a nawet poważnie. Bez śladu ześwirowania. Jej angielszczyzna była gładsza, bardziej zamerykanizowana niż przed dwoma tygodniami.

Brak figlarności i kokieterii w jej zachowaniu uwydatnił leniwą powagę oczu i kocich rysów. Niesforne włosy, tym razem gładko przyczesane i spięte, raczej rudawe niż kasztanowe, lśniły jak sierść gniadosza. Śmiech – wtedy chrapliwy, niemal przechodzący w rżenie – był teraz skromnie tłumionym chichotem. Podczas „Nocy w Monte Carlo” dziadek zaszufladkował nową znajomą (może nawet trochę lekceważąco) jako uroczą, ale postrzeloną chłopczycę, która próbuje się uwolnić od mrocznej i bolesnej przeszłości, powierzając ją fryzjerom, dentystom i mistrzom krawieckim. Ot, przelotny ptak o pustych kościach. Za to kobieta spotkana u Waxmanów sprawiała wrażenie ciężkiej w samym swoim sednie, poddanej działaniu miazdzącej grawitacji. Była statkiem zbudowanym po to, żeby zatrzymał w sobie ból jej dziejów, lecz pod ich naporem nadpękła, a przez powstałą szczelinę wysączyła się promienna ciemność. Kiedy rozmowa zahaczyła o klasztor karmelitanek, w którym babka ukrywała się podczas wojny, jej głos ochrypl. Zadrżał w nim smutek. Stryj Ray podał jej chusteczkę i wszyscy patrzyli, jak ona lekko ociera zwilgotniałe oczy, a kuchnię wypełniła cisza z domieszką zapachu gardenii.

Przemiana dziewczyny sprzed dziesięciu dni bulwersowała, a zarazem fascynowała dziadka. Czyżby zalotna chłopczyca w ciemnych okularach Ingrid Bergman była tylko pozą przybraną na jeden wieczór, a prawdę o jej osobowości wierniej

obrazowało to oto kształtne naczynie, z którego sączył się smutek? Czy też na odwrót? A może żadna wersja nie była prawdziwa. Może „osobowość” stanowiła zmienną wolną bez wartości granicznych. Może ta kobieta przy kolejnych spotkaniach miała być kimś coraz to nowym. Dziadek niejasno sobie uświadamiał, że czuje ból, dotkliwą pulsację w lewym piszczelu, i w końcu zdał sobie sprawę, że to brat kopie go pod stołem. Domyśliwszy się albo przyjąwszy do wiadomości, że któreś z gospodarzy o coś go przed chwilą spytało, zaczął bezradnie popatrywać po ich twarzach. Nikt nie przyszedł mu z pomocą. Stryj Ray musiał interweniować.

– Inżynier elektrotechnik – rzekł suchym tonem, w którym obok irytacji słychać było nutę rozbawienia. – Ma licencjat z Drexel Tech. I owszem, panie sędzio, bardzo się rozgląda za pracą, bo nie daje mu spokoju myśl, że jego młodszy brat mimo swojej nadludzkiej cierpliwości pragnąłby wreszcie odzyskać kanapę.

Jeszcze całkiem niedawno dziadek natychmiast by odparował, że może się wynieść choćby jutro, i byłoby to powiedziane całkiem serio. Od paru tygodni budził się co rano na kanapie stryja Raya, nie rozumiejąc, czemu jeszcze siedzi w Baltimore, i co wieczór znów się na niej kładł, mówiąc sobie, że pora ruszyć w dalszą drogę.

– Interesują mnie rakiety – oświadczył ku własnemu zdumieniu. – Urządzenia do nawigacji bezwładnościowej, telemetria. Chciałbym znaleźć pracę u Glenna Martina, gdyby się dało. Oni podobno mają zamiar się zająć tymi zagadnieniami.

Jego słowa chyba zrobiły wrażenie na pani Waxman, a może po prostu zatkało ją ze zdziwienia. Dziadek przez cały wieczór nie wygłosił ani jednej choćby porównywalnie długiej kwestii. Sędzia Waxman powiedział, że brat jednego z jego dawnych wspólników z branży prawniczej akurat przypadkiem jest wiceprezesem Martin Company, więc może uda się jakoś pomóc mojemu dziadkowi.

– A czy oni tam konstruują rakiety kosmiczne? – spytał stryj Ray.

W czasie wojny Glenn Martin zbudował w Middle River na północno-wschodnich pustkowiach pod Baltimore olbrzymią fabrykę, w której powstały tysiące bombowców Marauder B-26 i hydroplanów Mariner.

– Bo muszą państwo wiedzieć, że mój brat z całą tą swoją bezwładnością i telepatią wygląda może jak ostrzyżona na jeża bryła cementu, ale wybiera się na Księżyc.

Prócz tej wymiany zdań oraz sceny, podczas której moja babka przeżyła łyżę na wzmiankę o siostrach z Karmelu, dziadek po czterdziestu dwóch latach nie pamiętał wyraźnie ani jednej wypowiedzi żadnego z uczestników tamtej kolacji. Jedyna poza tym rozmowa, jaka utkwiała mu w pamięci, miała miejsce już po deserze i kawie. Na tym etapie w jego uczuciach wobec mojej babki ciekawość mieszała się z litością, ambicją i pożądaniem. Czuł, że dla rozjaśnienia w głowie musi się wymknąć z zasięgu siły przyciągania tej kobiety choćby na tak długo, ile trwa wypalenie papierosa. Dyskretnie wstał od stołu i szukając jakichś tylnych schodów albo tarasu, trafił na dużą oszkloną werandę. Była wprawdzie nieogrzewana, ale stały na niej plecione meble oraz etażerka na kwiaty, a w wiosenne popołudnia chyba miło się tam siedziało, mając pieniądze i posadę sędziego. Na werandzie panował jednak zaduch. Dziadek otworzył jedno z okien na zawiasach, z nadzieją, że nocny chłód pomoże mu złapać równowagę.

Zdążył zapalić pall malla, kiedy szczęknęły drzwi. Weszła moja babka z narzuconym na ramiona grubym futrem, którego puste rękawy zwisały u jej boków. Futro, tak jak panią Waxman, spowijał potężny obłok perfum Tabu. Musiało kosztować jej męża tyle samo co cadillac sixty special z 1947 roku, którego sędzia wysłał po gości.

– Sehwus.

– O... a... cześć.

Babka tęsknie spojrzała na papierosa, którego trzymał w ustach dziadek. Podał go jej i zapalił drugiego. Kiedy znów na nią spojrział znad butanowych iskier i płomienia, wciąż jeszcze lekko zezując, zauważył, że się wzdrygnęła: wędrowna fala przebiegła

od jej bioder do ramion, zanim dreszczem obrzydzenia przemknęła po twarzy.

– Wszystko gra?

Babka wydała dziwny odgłos – coś między zażenowanym śmiechem a skowytem bólu, po czym wyslizgnęła się spod futra pani Waxmanowej, jakby nagle stanęło w ogniu. Jednocześnie rzuciła je mniej więcej w stronę dziadka, jakby była płonącym budynkiem, a on strażakiem czekającym z siatką ratunkową, żeby ocalić kosmatą ofiarę. Złapał futro za kołnierz. Babka położyła sobie dłoń na piersi, przełknęła ślinę i z zawstydzoną miną zaciągnęła się dymem.

– Sthasznie przepaszam – powiedziała. – Po phostu nie przepadam za futhami.

– Tak?

– Kiedy odkhawają skóry...? Widziałam to.

– Aha?

– I nigdy nie lubiłam.

Wtedy to po raz pierwszy wspomniała mu o garbarni swoich rodziców w Lille przy granicy z Belgią. Szkolną, niemal wypraną z ekspresji czy emocji angielszczyzną opowiedziała o dzieciństwie naznaczonym krwią, rozkładem, odorem moczu bijącym z garbarskich kadzi i rżeniem koni, które w rzeźni krzyczały dziewczęcymi głosami. W żywych barwach opisała zdzieranie skór. Srebrzyste ostrze. Czerwoną krew. Niebieską błonę. Żłocisty tłuszcz. Białą kość.

Dziadek trzymał futro w wysuniętej przed siebie ręce. W księżycowym półmroku oszklonej werandy zdawało się leciutko drgać, jakby poruszał je duch zwierzęcia.

– To jest bób – oświadczyła babka.

– Naprawdę? – Dziadek nie miał pojęcia, o co jej chodzi, lecz nagle poczuł, że znów jest na znajomym gruncie, bo to ta sama dziewczyna, która podczas „Nocy w Monte Carlo” powiedziała, że jego głowa dobrze by wyglądała na płocie.

– Dużo bobów. Pani Waxman twiehdzi, że trzeba piętnastu albo i dwudziestu.

Dziadek nie zdołał pohamować śmiechu.

- Bobrów – sprostował.
- Wie pan, co to bób?
- Z całą pewnością jedliśmy go dzisiaj na kolację.

Babka zrobiła niechętny grymas, nie tyle krzywiąc usta, ile marszcząc gęste brwi, godne Jennifer Jones. Podobały mu się w ruchu, zwłaszcza kiedy je marszczyła.

- O, dhażni się pan ze mnie – powiedziała.
- Przepraszam.
- Nie, dhażnić się ze mnie to nic złego.
- Serio?
- Tak, kiedy pan się dhażni. Podoba mi się, jak pan to hobi.

Dziadek poczuł, że się czerwieni. Prócz poświaty księżyca na werandę docierało tylko światło lampy z drugiego końca salonu. Dziadkowi nasunęło się pytanie, czy w półmroku widać jego rumieniec.

- A mnie pani się podoba – wyznał.
- A mnie pan. – Babka powiedziała to po półsekundzie, dodając o niecałe pół sekundy później: – Mam cóheczkę, mówiono panu?
- No tak – rzekł dziadek, zaskoczony. Czyli były dwie i obie potrzebowały ratunku. *Essayons*. – Ile ma lat?
- Cztehy. Pięć we wrześniu.
- A pani, hmm, jej ojciec?
- Zamohdowałam go.

Dziadek zrobił taką minę, że babka na jej widok parsknęła śmiechem, ale natychmiast zasłoniła dłonią usta. Zakrztusiła się dymem z papierosa.

– Nie! Przephaszam...! – Jeszcze przez moment się śmiała, lecz kaszel jej nie przechodził, aż w końcu zabrzmiał trochę jak płacz. Dziadek za nic nie potrafił się w tym rozeznąć. Babka wstrzymała oddech i po chwili wypuściła powietrze. Wzięła się w końcu w garść. – To był żaht, ale wcale nie śmieszny, więc dlaczego się śmiałam?

Było to trudne pytanie. Dziadek skwitował je milczeniem. Babka zgasła papierosa w jednej ze stojących na etażerce doniczek, w której z suchej ziemi sterczała zwiędła łądyga.

- Jej ojciec nie żyje – wyjaśniła. – Na wojnie.

Podeszła do okna, które dziadek wcześniej otworzył, i wychyliła głowę w nocny chłód. Spojrzała na księżyc, który od paru dni był w drugiej kwadrze. Znowu wstrząsnął nią dreszcz, a potem drugi. Teraz już na pewno płakała i musiała chyba cholernie marznąć. Dziadek rzucił futro na jeden z plecionych foteli. Zdjął marynarkę – wciąż tę samą, pożyczoną od brata na „Noc w Monte Carlo”. Okrył nią ramiona babki, a ona przechyliła się do tyłu, jakby marynarka była strumieniem gorącej wody z prysznica. Odchyłała się coraz dalej, aż całym ciężarem oparła się o dziadka. Wstrząsnęło nim to nagłe zbliżenie. Ciężar jej ciała na swojej piersi odczuł jak coś, co postanowiła mu powierzyć. Chciał bardzo, chciał wyłącznie okazać się godnym tego zaufania, chociaż jego członek lekko drgnął, bo miał widać w tej sprawie własne pomysły.

– Ja też chcę lecieć na Księżyc – powiedziała babka. – Weź mnie z sobą.

– Jasna sprawa – zgodził się dziadek. – Coś wykombinuję.

Po raz trzeci zobaczył ją, kiedy wychodziła z piekarni Silbera, niosąc pudełko przewiązane sznurkiem w biało-czerwone paski. Nie zauważyła go. Poszedł za nią przez Park Heights i Belvedere aż do nadgryzionej zębem czasu dolnej części Narcissus Avenue, trzymając się w bezpiecznej odległości, a potem patrzył, jak znika razem z pudełkiem na piętrze dwurodzinnego domu, który był w lepszym stanie niż sąsiednie (i okazał się przeznaczoną na wynajem nieruchomością sędziego Waxmana). Koło drugiej w nocy dziadek wstał z kanapy stryja Raya, bo i tak nie mógł spać, zaprzątnięty myślami o babce. Ubrał się, wziął kluczyki od forda mercury’ego swojego brata i podjechał pod ten dwurodzinny dom przy Narcissus Avenue. W jednym z okien na piętrze paliło się światło. Serce dziadka zawadziło o jakiś wewnętrzny haczyk. Zaparkował prostopadle do krawężnika i zgasił reflektory. Noc była zimna, tak jak wszystkie ostatnio, ale babka stała oparta o parapet i paliła papierosa, patrząc na księżyc. Dziadek był ciekaw, czy kiedy ona tak się wpatruje w satelitę, marznąc w otwartym oknie, to zarazem wspomina, co jej obiecał, gdy oparła się całym ciężarem o jego pierś, a on się

nie ugiął.

Usłyszał wołanie dziecka, zbyt ciche i dalekie, żeby mógł w nim wyczuć cierpienie, skargę czy alarm. Babka obróciła głowę w stronę pokoju i zgasiła papierosa o parapet. W krzaki pod oknem sypaną się deszcz iskier.

Podchodząc w tamtą purymową niedzielę do Ahavas Sholom z wyraźnym poczuciem misji, choć bez wyraźnego planu działania, dziadek zobaczył małą dziewczynkę, która siedziała samotnie na kamiennej ławce przed szklanymi drzwiami, podciągnąwszy kolana pod brodę i objąwszy rękami nogi w kostkach. Kołysała się to do przodu, to do tyłu, zmieniając kąt nachylenia o nie więcej niż trzy stopnie i wydając ciche dźwięki, które dziadek z daleka początkowo wziął za śpiew. Ubrana była w zieloną sukienkę, zielone rajstopy i czarne lakierki zapinane na pasek biegnący w poprzek podbicia stopy. Sukienka miała króciutkie rękawki ledwo zachodzące na ramię, więc dziewczynka mimo rajstop musiała okropnie marznąć, skoro był taki ziąb, że dziadek włożył kapelusz, szalik i paltot, a pod spód rozpinany sweter. Pomyślał, że gdyby miał trzy czy cztery lata i siedział z nagimi ramionami na kamiennej ławce pod gołym niebem przy temperaturze czterech stopni, też chciałoby mu się płakać rzewnymi łzami, ale optymistycznie zakładał, że idąc za głosem zdrowego rozsądku, wstałby z ławki i wrócił do ciepłego pomieszczenia.

Jedne z drzwi synagogi z hukiem się otworzyły. Dziewczynka przestała się kołysać i usiadła prosto. Z budynku wyszedł jakiś Żyd, niosąc lodenowy płaszczyk. Na głowie miał olbrzymi sztrajmł, a do tego czarny kaftan, którego skraj zamiatał betonowe schody, i brodę, jakiej nie powstydzilby się Edmund Gwenn z *Cudu na Trzydziestej Czwartej Ulicy*. Dziadek zdziwił się, że ktoś taki bierze udział w uroczystości w Ahavas Sholom, gdzie kobiety siedzą razem z mężczyznami, a rabinem jest wygadany dandys, który nawet o piątej po południu nie ma jeszcze porządnego cienia na twarzy. Żyd w futrzanej czapie chyba

zignorował obecność dziadka, a może nie usłyszał jego kroków, z kolei dziewczynka zignorowała Żyda. Tyle tylko, że już nie płakała rzewnymi łzami. W ogóle przestała płakać.

Po chwili Żyd zarzucił dziewczynce na ramiona lodenowy płaszcz, paroma zręcznymi ruchami postawił jego kołnierz i wrócił do synagogi. Kiedy otworzył drzwi, nagły przeciąg uniósł mu skraj kaftana, odsłaniając jaskrawoczerwone pantofle z zadartymi noskami. Dziadek zdumiał się ich widokiem jeszcze bardziej niż obecnością brodatego Żyda w Ahavas Sholom, ale na temat rzeczy, których nie wiedział i właściwie nie chciał wiedzieć o ortodoksyjnych Żydach i o tym, co się dzieje pod ich ubraniami, można by napisać całą książkę.

– Nie wiedziałem, że wśród Żydów zdarzają się Eskimosi – powiedział do dziewczynki, kiedy stanął przed drzwiami szulu.

Mała zadarła głowę i spojrzała na niego. Twarz w kształcie serca, usta spierzchnięte i obrzmiałe, zadarty nos jak u sziksy. W butelkowozielonych oczach obeschły już łzy. Chyba jednak po prostu było jej zimno.

– Że co? – spytała.

– Nie zmarzłaś?

Dziewczynka wsunęła ręce w rękawy lodenowego płaszczyka. Kiwnęła głową.

– To po co tu siedzisz?

– Przez dwie godziny nie wolno mi wejść do środka.

– O! A to dlaczego?

– Bo byłam niegrzeczna.

– I za to musisz przesiedzieć dwie godziny na zimnie?

– Tak.

– Musiałaś być wyjątkowo niegrzeczna.

– Tak.

Dwie godziny na zimnie wydawały się przesadną karą dla niesforne go dziecka, ale o metodach wychowawczych tych ludzi dziadek wiedział jeszcze mniej niż o ich obuwiu. Zajrzał przez szklane drzwi, próbując wypatrzeć Żyda w futrzanej czapie, żeby może z nim się rozmówić. Ściany holu czy też westybulu – rozległej, spartańsko urządzonej sali z modernistycznie

pochyłym sufitem – oklejono wyciętymi z papieru cebulastymi kopułami i ostrołukami, które miały się kojarzyć z Persją. Przy samych drzwiach wielki transparent rozpięty na dwóch pochyłych tyczkach oznajmiał literami stylizowanymi na pismo arabskie: „Droga do Suzy”. W pobliżu drzwi do świętego miejsca kręciło się parę osób, a wśród nich Żyd w czapie. Obok niego stała szczupła młoda kobieta przystrojona bransoletami i zwiewnymi szalami niby jarmarczna Salome.

– Wstawić się za tobą? – spytał dziadek dziewczynkę. – Mam dojścia do strażnika.

– Że co?

– Kto ci kazał tu siedzieć dwie godziny na zimnie?

– Ja sama.

– Ty sama.

– Tak.

– Bo byłaś niegrzeczna.

– Aha.

– Więc sama się karzesz.

Mała kiwnęła głową.

– A co takiego strasznego zrobiłaś, że musisz się ukarać?

– Mama powiedziała, że byłam nieuprzejma.

– Dla kogo?

– Dla rabina.

– Naprawdę? A co to była za nieuprzejmość?

– Spytałam go, dlaczego używa tych samych perfum co nasza sąsiadka z dołu, pani Poliakoff.

– Oho.

– Że co?

– Jakich perfum używa pani Poliakoff?

– Jungle Gardenia.

Dziadek się roześmiał, a dziewczynka po chwili ostrożnie mu zawtórowała.

– To śmieszne – podsunęła.

– Moim zdaniem tak. I to bardzo.

– Tak, to bardzo śmieszne.

Drzwi znowu się otworzyły i wyszedł Żyd w futrzanej czapie,

prócz której miał kupioną na tandencie brodę Świętego Mikołaja i szatę mandaryna z Chinatown.

– Widzisz, wszystkie niegrzeczne dzieci są tu w komplecie.

Moja matka przestała się śmiać i odwróciła wzrok.

– Wiesz, Ray chyba rzeczywiście używa Jungle Gardenia – powiedział dziadek do babki. – A ta tutaj moim zdaniem już spłaciła dług społeczeństwu. Może pozwolimy jej wrócić z Syberii, co?

– Już trzy razy wychłodziłam, żeby jej to mówić! – zawołała babka. – Ale ona nic nie daje sobie wytłumaczyć. Powiedziałam: „Byłaś niegrzeczna, phoszę idź siedź dwie minut na tamto krzesło”. W pokoju, nie *przed domem*. Dwie *minut*! A ona na to: „Nie! Jak jestem taka niegrzeczna, to usiedzę dwie godzin na dworze”. Błagam ją, uphaszam: „Chodź do śhodka, bo się zabawisz napalenia płuć”. – Babka zwróciła się w stronę mojej matki. Broda trzepotała jej na wietrze. – Chcesz hozchohować i iść do szpitala? Chcesz umrzeć? – W jej głosie prócz rozpaczki słyhać było teatralne trele, jakby tylko grała rolę zrozpaczonej matki, która odchodzi od zmysłów. Ale może to komediowa broda sprawiała takie wrażenie. – Tego chcesz?

– Nie – odparła moja matka.

– Miło słyseć, bo jeżeli umrzesz, będę musieć się zabić, a ja też wcale nie chcę umiehać.

Dziadek czuł, że ten styl wypowiedzi jest lekko przesadny, ale nie był pewien, czy ma rację. Mgliście pamiętał, że jego matka stosowała wobec niego podobną retorykę, kiedy odchodziła od zmysłów. Nie miał określonego stosunku do takiego sposobu mówienia, a raczej wiedział, że za nim nie przepada, lecz akurat do tej kobiety taki ton pasował. Ze swoim bólem, wyrazistością i teatralnością zdawała się mieć dostęp do jakiejś wyższej częstotliwości uczuć, przedziału spektrum światła, którego dziadek nie dostrzegał.

Przy wzmiance o samobójstwie moja matka spojrzała na swoją matkę, wyraźnie zaintrygowana.

– Dlaczego będziesz musieć się zabić? – spytała.

– Bo bez ciebie nie będę już mieć nikogo, zostanę całkiem sama,

więc po co sobie zawhacać głowę, hównie dobrze mogą umrzeć.

– Dobra, dobra – wmieszał się dziadek. – Nikt się nie zabije i nikt nie zostanie sam. – Spojrzał z góry na moją matkę. – Ja już od przedwojnia klaruję rabinowi, że pachnie jak pani Poliakoff, chociaż wcale jej nie znam. Czy twoim zdaniem za karę powinienem przesiedzieć tu z tobą najbliższe dwie godziny?

– Nie – odparła moja matka. – Wejść.

– To ja też wejść – oświadczył dziadek. Otworzył drzwi szulu. – Chodź – powiedział, wyciągając rękę do mojej matki.

Nie był pewien, czy chociaż raz w życiu wykonał wobec jakiegoś dziecka ten gest. Chciał pokazać babce, że umie podać rękę jej córce, a kiedy to robi, dziewczynka poda mu swoją. Gdyby zdołał zmiękczyć upór dziecka i skłonić je, żeby w owo zimne popołudnie w Baltimore schroniło się pod dachem, byłby to dla niego jeszcze jeden sposób rozpoczęcia naprawy tego, co rozbiła wojna.

Moja matka przez parę sekund tak jakby się zastanawiała, czy podać mu rękę. W końcu jednak tylko wstała i czmychnęła do synagogi. Dziadek był zawiedziony, ale każdy zawód umacniał go w raz podjętej decyzji. Postanowił popracować nad tym dzieckiem, robiąc wszystko, co będzie trzeba, aż zyska zaufanie, a może nawet uczucie dziewczynki.

– Przepaszam – powiedziała babka.

Jej oczy mimo sztucznej brody i groteskowej czapy poszukały spojrzenia dziadka, wpatrzyły się w jego twarz i prócz rozczarowania wyczytały z niej niezłomne postanowienie. Dziadek pomyślał, że dotychczas patrzyli tak na niego chyba tylko ludzie, którzy mieli zamiar dać mu fangę w nos. W obliczu możliwości, że ktoś go naprawdę widzi, coś w jego piersi nagle otworzyło się jak spadochron.

– Nie ma sprawy – powiedział. A potem wskazał palcem brodę i kaftan. – Co to wszystko ma znaczyć?

– Gham dzisiaj za Mohdechaja oczywiście. W puhimszpilu.

– I stąd te buty.

– Twój bhat gha za Waszti.

– W tych zwiewnych szalach. – A więc to Ray paradował przed

drzwiami świętego miejsca, pyszny i władczy jak królowa Persji.
– Obsada według typu. Zaraz, zaraz. – Dziadek położył dłoń na przedramieniu babki. Nawet przez rękaw chińskiej szaty poczuł przebiegającą iskrę. – Nie przeszkadza ci ta czapa?

Wskazał palcem sztrajmł. Pamiętał, że prawdziwe sztrajmły szyje się z ogonów jakichś zwierzątek futerkowych – norek albo kun. Babka najwyraźniej nie rozumiała pytania.

– Masz na głowie chyba z osiemnaście ogonów norek – dodał dziadek.

Nie było widać, żeby babkę przeraziła ta nowina. Wspomnienie krzyczących koni i zdzieranych skór nie wstrząsnęło nią jak gorączka. Zrobiła za to minę... dziadek nie bardzo umiał ją opisać. W świetle późniejszych wydarzeń łatwo mógłby określić to, co tamtego popołudnia przemknęło po jej twarzy, mianem zakłopotania czy też konsternacji, jakby przyłapano ją na sprzecznych zeznaniach. W końcu jednak wybrał słowo „zniecierpliwienie”. Babka zasznurowała usta i z galijska lekko wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć, że powinien już chyba rozumieć, czemu ona spokojnie znosi dotyk śmierci na swojej skórze.

– Przecież to do przedstawienia – wyjaśniła.

X

Pięć minut przed końcem następnej zmiany Devaughna dziadek stanął przy jego biurku, mając na sobie poplamione płócienne spodnie wpuszczone w gumowe buty do pachwin, a w ręku pustą mniej więcej litrowej pojemności saszetkę z zamkiem strunowym. Niósł też dziecinny plecak z napisem NASA, a w nim termos z lemoniadą, podręczną apteczkę oraz atlas węży i innych gadów, wypożyczony z biblioteki okręgu Broward, a raczej jej filii w Coconut Creek. W prawej ręce trzymał nieużywaną laskę z tarniny. Sally Sichel kupiła ją swojemu mężowi Lesliemu, kiedy podupadł w pierwszym stadium śmiertelnej, jak się potem okazało, choroby. Aż do zeszłego popołudnia laska zwieńczona była kaczą główką ze srebra standardowego. W sklepie żelaznym w Fontana Village dziadek za zgodą Sally przymocował zamiast tej rączki stalowy obuch półtorakilowego młota. Idąc ze swojego domku przez osiedle, wywijał laską, ignorując kilka zdumionych min i dwa zadane wprost pytania. Ale Devaughn natychmiast przejrzał jego zamiary.

– Bywszy panem – powiedział – wziąłbym maczetę. – Uderzył się w lewy nadgarstek kantem prawej dłoni. – Trza go zgolitynować w mig i na cacy.

Dziadek zakonotował sobie, że ma się zgłosić do Perfecta Tianta, szefa ekipy doglądającej terenów zielonych, i pożyczyć od niego maczetę, kiedy przyjdzie odpowiednia pora. Pokazał Devaughnowi saszetkę z zamkiem strunowym.

– Podobno widział pan jego odchody – rzekł. – Chciałbym, żeby mi pan pomógł je znaleźć.

– Teraz zaraz – odparł Devaughn ze sceptyczną miną.

– O ósmej chyba kończy pan zmianę?

– Tak, proszę pana, zgadza się. Ale potem przełanczam się jakby na czas Devaughna.

– Tak? I co wtedy?

– W czasie Devaughna? – Ochroniarz przewrócił oczami i wpatrzył się w sufit. Wyglądał, jakby studiował długą listę najróżniejszych rozrywek i zajęć. – Na pewno nie zbieram ważnych rozchodów do torebki. Wykluczone.

– Za nic?

– Za nic, proszę pana.

Dziadek i Devaughn patrzyli na siebie. Mechanizm zegara na ścianie za biurkiem z głośnym stukotem przepchnął kolejną minutę ich życia.

– Byłbym może skłonny zapłacić panu za fatygę – powiedział w końcu dziadek.

Devaughn się uśmiechnął. Widok Żyda zdradzającego oznaki skąpstwa podnosił go na duchu. Ochroniarz był przekonany, że dziadek jest milionerem.

– Ile? – zapytał.

– Dwadzieścia pięć. Ale pod warunkiem, że będę miał co włożyć do tej saszetki.

Kiedy drugi ochroniarz przyszedł na dzienną zmianę, Devaughn włożył bejsbolówkę ze znaczkiem Fontana Village i sięgnął po nylonową aktówkę zapinaną na suwak. Dziadek poszedł za nim do jego auta. Był to oldsmobile cutlass supreme z 1979 roku. Stał i trzeszczał na parkingu dla pracowników, a z jego dachu po latach florydzkich upałów obłaził spłowiejały winyl. Devaughn otworzył bagażnik i schował aktówkę, wyjąwszy z niej kanapkę z masłem orzechowym i frytkami, którą złożył we czworo i wepchnął sobie palcem do ust. Rozpiął mundurową koszulę i powiesił ją na ramiączku, które wisiało na haczyku między bocznymi oknami samochodu. W bukłaku prążkowanego podkoszulka chlupotał mu brzuch. Nagie barki były żółte jak kość słoniowa i pokryte gęstymi piegami koloru ciasteczek Nilla – tego samego co włosy i rzęsy. Devaughn wcisnął czapkę z daszkiem do aktówki i wziął z półki pod tylną szybą słomkowy kapelusz kowbojski z mocno zadartym po bokach rondem. Sięgnął ręką w głąb bagażnika, otworzył stojącą w najdalszym końcu plastikową skrzynkę z narzędziami, pogrzebał w niej i po chwili

wyjął tkwiącą w skórzanej pochwie maczetę długości własnego przedramienia. Trzymając ją na zwróconych wewnątrz ku górze dłoniach, uważnie się przyjrzał mojemu dziadkowi. Nadal przeżuwał kanapkę, a jego wargi to zaciskały się, to rozluźniały, towarzysząc pionowym ruchom żuchwy.

– Dziś rano raczej nie będzie panu potrzebna – powiedział. – Ale jak pan ma życzenie, może ją pan se pożyczyć.

– Nie lubię pożyczać – odparł dziadek. – Wynajmę ją od pana.

– Jak panu dogadza.

Dziadek wsiadł do auta. Było tam gorąco jak w piecu. Kiedy otwierał okno, gałka korbki sparzyła mu palce. Klimatyzacja rzeziła. Jej podmuch cuchnął pleśnią z dodatkiem masła orzechowego i frytek.

– Wie pan, kiedy ostatnio żem się tam porządnie rozejrzał? – spytał Devaughn. – Jak poszłem z Finlayem Gadbois, pamięta go pan?

Dziadek przypomniał sobie bujne, zaczesane do góry włosy blond widoczne zza czasopisma poświęconego wyścigom motocyklowym i dwa czarne brogisy na blacie biurka.

– Brat Finlaya prowadził dochodzenie w imieniu jakichś prawników od nieruchomości, co na trochu wdepli w ten tamój bałagan. Jednego razu wziął mnie i Finlaya na wycieczkę. Weszlim frontową bramą, a jakże. Te, no, esktramęty walały się po całej, no, frontowej werandzie ośrodka.

– Proszę mi pokazać.

– Ale tera tamój zamkli na łańcuch.

– Proszę mi pokazać.

– Z kłódką.

Dziadek położył sobie na kolanach plecak z NASA i spojrzął przez okno na rozległy teren Fontana Village. Widok był zawsze taki sam, chyba że akurat padał deszcz, ktoś przechodził albo jechał wózkiem golfowym. Po gładkich fasadach domków cienie okapów i mansard sunęły wolno jak wskazówki godzinowe. Tynk, palmy, wybetonowane alejki, a między nimi trawniki, które wyglądały, jakby ani nie rosły, ani nie schły. A w górze odwrócony klosz nieba. Gdyby tym wszystkim parę razy

potrzęsając, wzbijały się zamieć błyskotek. Dziadek był już tak głęboko znudzony tą scenerią, że nawet zadawał sobie pytanie, czy rzeczywiście nie dolega mu coś poważnego. Nazwisko i numer telefonu poleconego specjalisty wciąż dotrzymywały towarzystwa Hosniemu Mubarakowi w najnowszym numerze „Commentary”. Dziadek postanowił, że gdy tylko upora się ze sprawą węża, umówi się na wizytę u lekarza.

– Kiedy poczuję, że dostałem równowartość swoich dwudziestu pięciu dolarów – powiedział – przestanę panem dyrygować. Pokaż mi pan.

Devaughn wrzucił bieg. Wyjechał bramą Fontana Village. Wzięli trzy zakręty w lewo, okrążając ogromny kwartał ulic, jakich wiele na południowej Florydzie. Devaughn skręcił na podjazd opuszczonego ośrodka porośnięty kępami panoszącej się trawy. Przejechali tylko kawałek i zaraz musieli stanąć. Posiadłość ze wszystkich stron ogrodzona była siatką tonącą w powodzi kudzu. Na parkanie wisiały zardzewiałe tabliczki z zakazem wstępu, które umieścili tam przegrani następcy pierwszych pechowych właścicieli ośrodka i władze miasta. Między tabliczkami stała brama omotana stalową linką i zamknięta na ciężką kłódkę.

Dziadek wysiadł z samochodu i zatknął sobie laskę pod pachę. Wyciągnął pasek ze spodni i przewiół go przez pętlę przymocowaną do pochwy maczety. Z powrotem się opasał. Nie sądził, żeby maczeta już tego ranka mogła mu być potrzebna, ale przecież nigdy nie wiadomo. Czasem myśliwemu się poszczęści.

Za bramą podjazd biegł w stronę łuku w różowo tynkowanym murze. Kudzu obwiesiło łuk zielonymi transparentami i wczepiło się tysiącem paluszków w pęknięcia różowego tynku. Na fryzie ponad łukiem między dwoma kartograficznymi delfinami gipsowy tryton siedział na róży wiatrów, dmąc w konchę. Nie miał już twarzy. Lubieżnie uśmiechnięte delfiny poczerniały od brudu lub pleśni. Ośrodek nazywał się Mandeville.

– Tu go pan szukaj – powiedział Devaughn, wskazując spękany asfalt między siatkową bramą a łukiem. – Pośrodku takiej milutko nagrzonej drogi pod koniec dnia, jak powietrze zaczyna stygnąć.

– Gdzie jest ośrodek?

– Zara za łukiem i dalej drogą. Prawie go stąd widać. Tam jak to różowe. Daleko.

– Widzę.

Różowa skorupa w zielonym cieniu. Smętny róż w tonacji oskubanego flaminga z przydrożnego zoo.

– Pan się tam spojrzy! – Devaughn wskazywał palcem miejsce na lewo od bramy, tuż za płotem, pod rozłożystym różanecznikiem.

Dziadek chwycił za rękojęść maczety. Jego dłoń pragnęła poczuć, jak ostrze wgrzyza się w mięśnie. Ale pod różanecznikiem nie drzemał żaden zwinięty wąż. Leżało tam coś, co przypominało wyszarpane bebechy tapicerki, niechlujne gniazdo z szarego sznurka i popiołu. Z jednego końca przylegała do niego kępka puchu, która wedle przypuszczeń dziadka mogła dawniej być Ramonem. Wszystko to leżało za płotem mniej więcej o metr dalej, niż zdołałby sięgnąć dziadek albo Devaughn.

Dziadek wręczył ochroniarzowi laskę Lesliego.

– Co to ma być podług pana? – spytał Devaughn, ważąc ją w ręce.

– Młot na węże.

Devaughn skinął głową z miną znawcy. Położył się na brzuchu i wsunął laskę pod siatkę, w kierunku kupki szczątków. Stękał i kłął, aż udało mu się zbliżyć stalowe okucie na jakieś trzy centymetry od celu, ale tylko tyle zwojował. Laska wymknęła mu się z ręki po tamtej stronie płotu i jeszcze kawałek odsunęła. Ochroniarz cały sflaczał, leżąc na ziemi.

– Kurwa – zaklął, spoglądając na dziadka, jakby się spodziewał wymówek.

– Za porządny młot na węże będzie mi pan dłużny więcej niż dwadzieścia pięć dolarów – powiedział dziadek.

Położył się zamiast Devaughna na ziemi i z wielkim trudem odzyskał laskę. Ręce miał wprawdzie długie w stosunku do reszty ciała, ale próba osiągnięcia kocich szczątków zakończyła się takim samym fiaskiem jak wcześniejsze podejście ochroniarza. Wstał. Natychmiast zakręciło mu się w głowie. Na

dnie oczu zatańczyły płomienne arabeski.

– Kurwa – zaklął.

– Z ust żeś mi pan wyjął – zgodził się z nim Devaughn.

Dziadek usiadł w samochodzie przy otwartych drzwiach i napił się lemoniady z termosu. Nieduży samolocik zmierzał z monotonnym warkotem w stronę Atlantyku, ciągnąc za sobą baner z wielkim czerwonym napisem. Dziadek spróbował odczytać daleki tekst, zdając sobie sprawę, że jego przejęcie tą lekturą ma charakter zastępczy.

– Morze i narty – powiedział Devaughn.

Dziadek skinął głową. Wyjął portfel i wypłacił ochroniarzowi umówioną sumę.

– Szkoda, że guzik z tego – rzekł Devaughn.

– Chce pan zarobić pięćdziesiąt? – spytał dziadek.

Devaughn zawiózł go pod sklep z narzędziami i zaczął w samochodzie. Dziadek kupił kłódkę yale, na oko prawie identyczną jak ta, na którą zamknięta była brama z siatki. Zastanawiał się nad szczypcami do cięcia prętów, ale były drogie i za duże, a on wiedział, że Devaughn przestraszy się samego ich widoku. Nawet papierowej torbie, którą dziadek podczas jazdy trzymał na kolanach, ochroniarz przyglądał się z lekką obawą.

Kiedy wrócili do Mandeville, dziadek wygramolił się z auta i zamknął drzwiczki. Było trzydzieści pięć stopni w cieniu. Na zdziczałym polu golfowym za płotem milion owadów wygrywał na jednej nucie poemat „Skwar”. Dziadek pochylił się i zajrzał przez okno po stronie pasażera.

– Niech pan zaparkuje kawałek dalej – powiedział. – Przed sklepem ogrodniczym. Spotkamy się tam za dwie minuty.

– Co pan zamiaruje?

Dziadek podszedł do płotu. Przyłożył do kłódki obuch młota na wężę.

– Nie! – zawołał Devaughn. – Nie ma mowy.

– Dwie minuty.

– To wariactwo. Po co nie wejdzie pan zwyczajnie od strony Fontana Village.

– Płot.

– Musi gdzieś być dziura. Wszystkie zwierzaki gładko przełazą.
– A jak ja wyglądam? Jak shih tzu czy jak stary dziad?
– Jak stary dziad.
– Akurat tu jest asfalt. Sam pan mówił, że one lubią się wylegiwać na gorącym asfalcie.
– Znaczą się, normalnie pan tam wejdzie w biały dzień.
– Będę musiał jeszcze kiedyś tu przyjść. Może nawet parę razy.
– Dziadek podniósł do góry papierową torbę z kłódką w środku.
– Chcę to sobie ułatwić.
– Przez pana zwiną nas gliny – powiedział Devaughn. – Nie wchodzę w to. Ja też jestem stary i nie mogę wylecieć z roboty. Nie zabezpieczyłem się na przyszłość tak jak wy wszyscy.
– Dwie minuty. Jeżeli mnie złapią, powiem, że przyszedłem piechotą. A o panu ani słowa.
– Mogą pana wsadzić do więzienia.
– Już tam byłem – odparł dziadek. – Dużo się wtedy naczałem. Devaughn wyraźnie się zdziwił. Powędrował wzrokiem ku gumowcom dziadka i z powrotem do płóciennego biało-niebieskiego kapelutka – pamiątki z wizyty w izraelskim kibucu, na którą dziadkowie wybrali się wkrótce po wojnie sześciodniowej.
– Może będę musiał zmienić o panu zdanie – powiedział Devaughn.
Pochylił się, żeby zamknąć okno pasażera, i ruszył na wstecznym po podjeździe.
Dziadek przez chwilę patrzył w ślad za ochroniarzem. A potem uniósł młot i spuścił go na kłódkę. Zadzwońło mu w przedramieniu aż do łokcia. Kłódka mocno trzymała. Pękła dopiero za ósmym razem. Otworzył ją jednym szarpnięciem. Spróbował otworzyć bramę z siatki, ale pędy kudzu nie puszczały. Wsunął trzonek młota w szparę i poszerzył ją do paru cali, lecz i tak nie zdołałby się przecisnąć. Dobył maczety i wziął zamach. Łodygi trzasnęły jak gitarowe struny. Ból zadźwijał dziadkowi w barku. Brama bezszelestnie się otworzyła.
Dziadek drżącymi palcami rozdarł plastikowe opakowanie. Zawiesił na bramie nową kłódkę i schylił się po szczątki starej.

Upchnął je w rozdartym opakowaniu i schował do papierowej torby. A potem wkroczył do królestwa węża. Rozejrzał się, nasłuchując, czy coś nie pełźnie po ziemi, czy nie trzaskają gałązki. Mgliście pamiętał, że węże mają ponoć specyficzny zapach, więc pociągnął nosem. Dwa razy na widok plam słońca w cieniu krew zastygła mu w żyłach. Schylił się po młot na węże, podszedł do różanecznika i ukucnął. Końcem laski zgarnął leżące pod krzakiem szczątki do plastikowej saszetki.

Spróbował wstać, ale zacięty mu się kolana. Wbił laskę w żwir i rad, że nie drwi z niego srebrna kaczka główka z obłudnie zadowoloną miną, z wolna wspiął się po lasce jak po linie. Gdy już się dźwignął na równe nogi, wrócił do bramy i zamknął ją na kłódkę. Klucz wsunął do zewnętrznej kieszeni plecaka, w której leżała plastikowa saszetka. Potem ruszył ulicą do sklepu ogrodniczego, żeby się rozliczyć z Devaughnem i spytać, jaka jest dzienna stawka za wynajęcie maczety.

– A po co ci to było? – spytałem. – Co zrobiłeś z tą węzową kupą?

– Na Uniwersytecie Miami był pewien profesor. Na wydziale biologii. Herpetolog. Zgodził się rzucić okiem.

– No i?

– Nie miał żadnych wątpliwości, że to nie są fekalia boa dusiciela.

– Czyli to był aligator.

– Pyton.

– Pyton? One chyba dorastają do ogromnych rozmiarów?

Dziadek wzruszył ramionami, jakby pytał: „Co znaczy ogromny? W porównaniu z ankylozaurem? To jeszcze żaden ogrom”.

– A czy pyton może być dość duży, żeby zjeść kota?

Dziadek wystawił język raz i drugi. Podałem mu kubek z sokiem jabłkowym, a on upił starannie odmierzony łyczek.

– Pyton da radę połknąć jelenia – oznajmił.

– Jezu.

– Kot? Dla pytona? To jak garść orzeszków.

Przemilczałem narzucające się spostrzeżenie, że węże nie mają garści.

– W zeszłym roku – powiedziałem – przyjechałem do ciebie i obejrzelśmy w PBS film o tym, jak egzotyczne pupile opanowują bagna na Florydzie. A ty właściwie zaraz potem wlałeś prosto w tę dżunglę. I zapolowałeś na pytona.

Jeszcze jedno wzruszenie ramion: „Trzeba przecież czymś wypełnić czas”.

– Używałaś takiej specjalnej pętli na kiju, jak w tamtym filmie? – Zrobiłem gest, jakbym zarzucał, a potem zaciągał pętlę, jaką w filmie strażnik parku złapał boa dusiciela.

– Wcale mi nie zależało, żeby go schwytać żywcem – powiedział dziadek. – Chciałem go zabić.

– Zastrzelić?

Dziadek skrzywił lewą stronę twarzy na kształt komediowej półmaski – jak zwykle, gdy chciał ukryć rozczarowanie rozmówcą.

– Może powinieneś robić notatki – rzekł, oddając mi kubek z sokiem. – Przecież miałem młot na węże. Po co by mi była strzelba?

XI

Tytułem kary za grzechy Dzikie Bill Donovan powołał Orlanda Bucka i mojego dziadka do Biura Służb Strategicznych. Posłano ich do Strefy B – ośrodka szkoleniowego BSS w górach Marylandu, tam gdzie dziś jest Camp David – na naukę sztuki szpiegowskiej i siania krwawego zamętu. Armia amerykańska już dawno odzęgnęła się od szpiegostwa i podstępów jako nieliczących z dżentelmeńską godnością, toteż wśród instruktorów w Strefie B było wielu Brytyjczyków, którzy przez całe życie sabotowali insurekcje i wkradali się w szeregi rebeliantów. Nie dbali o to, czy podwładni pamiętają im salutować. Uważali, że ćwiczenia w strzelaniu do tarczy w postawie na baczność z ręką wyprostowaną jak poprzeczka turnikietu przynoszą nie większy pożytek niż trening walki na kopie. Byli to niepozorni, drapieżni faceci, których dziadek nie mógł nie podziwiać.

Nauczył się posługiwać kompasem, garotą i szyfrem z kluczem jednorazowym oraz pokonywać długie odcinki, czołgając się na brzuchu pod ogniem cekaemów. Opanował sztukę podrabiania i fałszowania dokumentów, ukrywania się w sposób inteligentny i skakania na spadochronie z pomostu umieszczonego na wysokości trzydziestu metrów (nigdy co prawda nie skoczył z prawdziwego samolotu). Na pewien czas stał się celem antysemitycznych wypadów dwóch bigotów z tej samej grupy. Buck zaczął go błagać, żeby chociaż raz dał się trochę ponieść nerwom. Nazajutrz podczas treningu walki wręcz dziadek złamał żuchwę jednemu z dręczycieli, więc drugiemu odechciało się wszelkich zaczepki.

Z okazji uzyskania dyplomu dostali trzydniową przepustkę do Baltimore, gdzie Orland tak upił dziadka, że ten odczuł na sobie (choć nie potrafił o nich opowiedzieć) co bardziej nieprawdopodobne aspekty czasu i przestrzeni opisane przez

szczególną i ogólną teorię względności Einsteina. Pożegnali się w Baltimore na Dworcu Pensylwańskim, zanim wsiedli do pociągów jadących w przeciwne strony: Buck do Nowego Jorku, dziadek do Waszyngtonu. Po tygodniu Orlanda zrzucono na spadochronie we Włoszech, żeby uprawiać dywersję, idąc w forpoczcie inwazji aliantów. Tak też uczynił, posuwając się na północ i wschód brutalnie i z animuszem aż do grudnia 1944 roku, kiedy to on i grupa partyzantów Tity niechcący wysadzili się w powietrze razem z mostem na rzece Kubie.

Bill Donovan jako jeden z nielicznych naprawdę dostrzegając drzemiące w moim dziadku talenty, więc drugiemu uczestnikowi afery Francisca Scotta Key wyznaczył inną rolę. W nocy, w której polecał dziadka swojemu zastępcy do spraw zadań specjalnych, Stanleyowi Lovellowi, scharakteryzował go jako „człowieka być może zdolnego rozumować na poziomie geniuszu, [...] usposobionego spokojnie i analitycznie, choć zarazem żądnego krwi”.

Ponieważ trwała już inwazja we Włoszech, a w londyńskiej kwaterze głównej szefostwa sztabu najwyższego dowództwa sprzymierzonych armii opracowywano plan lądowania w Normandii, Donovan przewidywał, że potrzebni będą ludzie tak wyszkoleni, żeby mogli podążać za regularnym wojskiem, przetrząsając kieszenie Rzeszy. Łupem tych kieszonkowców mieli paść niemieccy uczeni, inżynierowie i technologie, za którymi w wielu dziedzinach badań wszyscy i wszystko w ówczesnej Ameryce pozostawało o całe lata świetlne w tyle. Idealny agent musiał dysponować zarówno techniczną wiedzą, pozwalającą zrozumieć działanie tajnych laboratoriów i poligonów doświadczalnych w Reichu, jak i umiejętnościami operacyjnymi, umożliwiającymi ich odnalezienie i splądrowanie. Mój dziadek, jak napisał Donovan, spełniał te wymagania „co do joty”, lecz należało „dostarczyć mu zajęć, a jego umysłowi pożywki, żeby z czystej nudy nie wpakował się w coś, co go zabije”, nim uda się zorganizować inwazję.

Od połowy roku 1943 aż do okresu tuż po lądowaniu w Normandii, kiedy to przydzielono go do jednego z nowo

powstałych oddziałów Formacji T i wysłano do Londynu na szkolenie w subtelnej sztuce rabunku, dziadek pracował pod komendą Stanleya Lovella w zespole badawczo-rozwojowym, który zajmował ciasną suterrenę w kampusie BSS na rogu ulic Dwudziestej Trzeciej i E. Zatrudniwszy Lovella – z zawodu aptekarza i specjalistę od prawa patentowego – Donovan polecił mu werbować agentów BSS w Europie, Afryce Północnej i na Dalekim Wschodzie. Lovell wraz ze swoim zespołem badawczo-rozwojowym przystąpił do pracy nad projektowaniem pistoletów w kształcie wiecznych piór, kamer ukrytych w szminkach oraz napełnianych cyjankiem guzików do koszul, które od tamtej pory należą do arsenału kinowych i telewizyjnych szpiegów. Ludzie Lovella wynaleźli nowe metody infiltracji, sabotażu i tajnej łączności. Dali dowody sprytu i polotu, wymyślając takie narzędzia mordu jak wybuchowa mąka cukiernicza i nietoperze zapalające²⁴.

Zanotowałem część nazw urzędzeń i przyborów, które dziadek wynalazł, pracując na rogu Dwudziestej Trzeciej i E, a po latach jeszcze je pamiętał. Powstała w ten sposób dość długa lista z wieloma przypisami, nagryzmołona na drugiej stronie okładki *Dziwięciu opowiadań Salinger*, bo akurat wtedy je czytałem. Kiedy kilkadziesiąt lat później poleciłem starszej córce *Dla Esmé – z miłością i plugastwem*²⁵, poszedłem szukać tej książki – jednej z wielu, które zdublowały się na półkach mojego pierwszego małżeństwa, zawartego w czasach doktoranckich. Widok szachownicy różnokolorowych prostokątów na okładce obudził wspomnienie tamtego popołudnia: wróciło podwodne światło wpadające skosem do pokoju gościnnego przez koronę eukaliptusa za oknem, śniada twarz dziadka na tle białej poduszki i jego filadelfijskie samogłoski dochodzące z głębi nosa jak u człowieka przeziębionego. Lecz gdy otworzyłem książkę, wewnętrzna strona okładki była pusta. Widocznie w trakcie

24 Mściwe jak u Straussa.

25 *Opowiadanie dla Esmé* [w:] Jerome David Salinger, *Dziwięć opowiadań*, tłum. Agnieszka Glinczanka i Krzysztof Zarzecki, PIW, Warszawa 1967 (przyp. tłum.).

pożegnalnej inwentaryzacji moja eksmałżonka i ja zamieniliśmy się egzemplarzami. Zerwanie i niedbalstwo pozbawiły mnie jedyne go dokumentu, jaki zachowałem z tamtego tygodnia, który próbuję tutaj odtworzyć. Zdołałem sobie przypomnieć tylko pięć spośród projektów, których dziadek był, jak sam twierdził, pomysłodawcą. Oto one:

1. Związek krystaliczny nazwany szczyńnianem, który po rozpuszczeniu w moczu agenta i dolaniu do baku samolotu, ciężarówki lub czołgu powodował z opóźnieniem katastrofalne i nieodwracalne uszkodzenia.

2. Stalowa piramidka nieregularnego kształtu. Po obluzowaniu szyny (nie trzeba jej było nawet usuwać!) wbijało się taką piramidkę w żwir torowiska tuż przy drugiej szynie, co gwarantowało wykolejenie każdej lokomotywy jadącej z prędkością mniejszą niż pięćdziesiąt kilometrów na godzinę.

3. Giętka i elastyczna garota z drutu do wyrobu strun fortepianowych ukryta w zwykłym sznurowadle. „Dość niezawodna” – wspominał dziadek.

4. Okulary dwuogniskowe wielorakiego zastosowania: dolne półkola soczewek oszlifowano w taki sposób, że wystarczyło trochę pokręcić oprawką, aby uzyskać przydatną lornetkę.

5. Magnetyczna farba, którą można było przytwierdzić do drewnianej lub szklanej powierzchni na przykład minę. „Z tego akurat nic w końcu nie wyszło – powiedział dziadek. – A szkoda, bo mógłbym zrobić majątek”.

Dziadek na ogół dobrze się czuł, pracując u Lovella. Wprawdzie znów go ominął bezpośredni udział w akcjach, ale chętnie skorzystał z okazji, żeby się zatopić w rozwiązywaniu najnowszych zagadnień technicznych, które codziennie trafiały na jego biurko. Wykonywał pracę w pewien osobliwy sposób ważną. W sumie jednak była to posada biurowa w światowej stolicy takich posad – w mieście, którego urzędniczą nieodpowiedzialność pragnął niegdyś ukarać podbojem i pohańbieniem. Nikt nie był bardziej od niego zachwycony, kiedy z plaży Omaha nadeszła wiadomość, że już czas, aby zaczęła się jego własna wojna, a z nią życie.

Po koncercie Glenna Millera (jednym z ostatnich, które zagrał muzyk, nim piętnastego grudnia 1944 jego samolot runął do kanału La Manche) porucznik Alvin Aughenbaugh wrócił do zajmowanej wspólnie z moim dziadkiem kwatery – najmniejszego numeru z najmniejszą liczbą okien na najwyższym piętrze hotelu Mount Royal przy Oxford Street w Londynie. Gwizdał sobie *Poświętę*, a boczna kieszeń jego rozpinanego swetra wybrzuszała się w wiele mówiący sposób. Sweter zrobiła mu na drutach siostra. Oboje byli sierotami, a ona zastępowała mu matkę. Porucznik zdejmował kardigan tylko na wyraźny rozkaz. Jednostką dowodził oficer regularnej armii, który jednak rozumiał, że oddano mu pod komendę zgraję dziwaków, więc Aughenbaugh prawie nie rozstawał się ze swetrem. Miał on kołnierz szalowy, zapięcie na kołeczki i szarfę do przewiązywania w pasie, która zawsze luźno zwisała, bo właściciel wstydził się swoich kobiecych bioder. Wyglądał w tym swetrze na kogoś, kim w istocie był, czyli na inżyniera ze stopniem doktorskim w dziedzinie produkcji żywności uzyskanym na Uniwersytecie Stanu Minnesota. Przed wojną pracował jako ekspert od masowego wypieku pączków wiedeńskich, „jadalnych torusów prosto z fabryki”, jak je nazywał. W mowie władał niemieckim i francuskim, a po rosyjsku i po łacinie umiał czytać. Zdążył napisać dwieście stron analitycznej biografii Augusta Kekulégo w formie zbioru limeryków, której nadał tytuł *Turla się samojedny wąż*. Przed spotkaniem z nim dziadek nie znał ani jednego intelektualisty (jeśli nie liczyć paru profesorów z Drexel), który nie byłby szulerem bilardowym, przestępcą albo rabinem.

– Przynoszę wielce radosną nowinę – oświadczył Aughenbaugh.
– Więc odłóż tę pornografię, Rico.

Dziadek odłożył książkę, którą właśnie czytał – oprawiony rocznik 1905 „Zeitschrift für angewandte Chemie”, zawierający kluczową pracę z dziejów chemii gazów bojowych: *Über Zündung des Knallgases durch Wasserstoffatome* J. F. Habera. Leżał

w mundurze, ale zdjął krawat i buty.

– Znalazłeś coś dobrego? – zapytał.

– Pijam tylko najlepsze. – Alkoholizm Aughenbaugha przeżarty był moralnością. Porucznik wierzył, że picie dobrych trunków jest mniej grzeszne od picia samogonu. – Jak zresztą wiesz. – Podaż zacnych napitków tak jak wszelkie inne podażę podlegała wahaniom: to przewyższała popyt, to znów za nim nie nadążała. Ostatnio było o nie trudno. – O ile mam wybór. – Aughenbaugh wyłowił z bocznej kieszeni swetra od siostry trzy czwarte litra jakiegoś płynu.

– Skąd to masz?

– Sam wydestylowałem, prawdę mówiąc. – Aughenbaugh zdjął zakrętkę, przytknął do nosa szyjkę butelki i powąchał. – Z pierwszorzędnej mierzwy, czyli szczątków po bombardowaniu i niedojezonych resztek kremu z ersatzu nerek na grzance.

W ponurej porze między zmrokiem a birbantką Aughenbaugh często ratował się udawaną wesołością. Z natury pogodny, tęsknił jednak za domem. Tęsknił za psem, kotem, książkami, kolekcją płyt, łowieniem ryb spod lodu, no i za siostrą Beatie. Świat wtrącono w ogień i mrok, a niedostatek dobrego trunku wystawiał duszę Aughenbaugha na niebezpieczeństwo. Co gorsza, wojenna kuchnia angielska z odrażającą inwencją oferowała wielki wybór produktów zastępczych, równie niejadalnych jak wiktuały, których brak właśnie dawał się we znaki. Akurat tamtego dnia w kantynie mieszczącej się w labiryncie Great Cumberland Street, gdzie ulokowano ich misję, podczas lunchu rolę kremu z cynaderek zagrała niejaka brukiew alias karpień, gotowana w papce z mąki kukurydzianej.

– Najlepsza brukiew jak dotąd, moim zdaniem – powiedział Aughenbaugh.

– Brukiew pierwsza klasa.

– Gotów byłem przysiąc, że te cynadereki są niepodrobione.

– Dolewają prawdziwego moczu – wyjaśnił dziadek. – Stąd ten pikantny aromat.

Splótł dłonie za głową i rozkosznie pokiwał palcami w przydziałowych skarpetkach. Ersatz pogody ducha w wydaniu

Aughenbaugh był w przeciwieństwie do brukwi z papką kukurydzianą, kawy zbożowej i buraczanych krówek całkiem skuteczną namiastką autentyku.

– Skoro już mowa o moczu – powiedział Aughenbaugh. – Pora na twoją próbkę, Rico.

Rozejrzał się, do czego by tu nalać whisky, ale daremne to były poszukiwania. Firmę zaopatrującą hotel Mount Royal w szkło i naczynia stołowe trafiło V-1. Przydzielone ich apartamencikowi szklanki z monogramem MR zwędziła niejaka Marigold Reynolds z Pomocniczej Służby Kobiet, przelotna znajoma dziadka. Zarekwirowali zlewki z laboratorium przy Great Cumberland Street, ale okazało się, że Aughenbaugh potrzebuje ich do nieustającego eksperymentu domowego, którego celem było uzyskanie lekarstwa przeciw chorobie morskiej. Przez cały lot z Langley klęczał nad wiadrem, z twarzą w kolorze swojej mundurowej koszuli, wydając dźwięki, które były wariacjami na temat jego nazwiska. Myśl o czekającym go nazajutrz krótkim wypadzie do Paryża budziła w nim zgrozę.

– O szisz kebab – westchnął. – Miałem zamiar zwinąć dwie szklanki z baru.

Szisz kebab. Szwarzort. Sheboygan. Ilekroć życie domagało się reakcji w postaci plugawej mowy, Aughenbaugh sięgał do skarbczyka delikatnych eufemizmów ze Środkowego Zachodu. Opanował ich chyba setki i rzadko się powtarzał. Dziadek znał przedtem niewielu luteran. Zastanawiał się, czy oni dostają w dzieciństwie całą listę do wykucia na pamięć.

– No dobra – rzekł Aughenbaugh, stawiając butelkę na komodzie. – Ciekawym, czy uda mi się wytrzasnąć dla nas po kuflu, co? – dodał tonem C. Aubreya Smitha, którego czasem naśladował. – Trzeba jakoś zaradzić tej twojej zwierzęcej trzeźwości.

– Wystarczy jeden kufel – powiedział dziadek. Poklepał „Zeitschrift”. Artykuł Habera miał osiem stron. Lektura trwała już miesiąc. Każde zdanie najeżone wzorami chemicznymi było szmatem drogi do przebycia na czworakach po tłuczonym szkłe. A on dotarł dopiero do strony szóstej. – Nie mogę stracić rozumu.

Może będę musiał odmienić *deisobutanisieren* w czasie przyszłym dokonanym.

– Bzdury, mój stary, nie chcę o tym nawet słyszeć.

Aughenbaugh wyszedł do saloniku, w którym od pewnego czasu próbował wyprodukować antyemetyk. Dziadek usłyszał, jak mówi:

– O, ja piększę.

– Zaproponowałbym, żebyś się po prostu napił z butelki! – zawołał dziadek. – Ale mogłaby przez to upaść cywilizacja.

Chmknęły korki. Zadźwięczała pipetka. Szkło brzęknęło o szkło jak przy toaście zakochanych. Aughenbaugh wrócił do sypialni, niosąc trzy zlewki do połowy napełnione szlamem o rozmaitej przejrzystości i barwie, od sosu pieczeniowego po płyn ze skrzyni korbowej. Jednym z kluczowych etapów sporządzania środka na chorobę lokomocyjną było zagotowanie szczerstwiałych ciasteczek imbirowych z garścią zielska, które Aughenbaugh znalazł w leju po bombie.

– Gotowe?

– Niech spróbuje nie być. – Aughenbaugh postawił na komodzie obok butelki whisky wszystkie trzy zlewki. Wlał do jednej zawartość dwóch pozostałych, pozostawiając na ich dnie szklisty osad mikstury przeciw rzyganiu.

– Jak tam koncert? Glenn się przywitał?

Ilekoć w latach wojny major Glenn Miller przejeżdżał przez Londyn ze swoją umundurowaną orkiestrą, zatrzymywał się w hotelu Mount Royal i grywał tam co wieczór. W ostatnich miesiącach Aughenbaugh zdołał dwa lub trzy razy wciągnąć swojego idola w krótką rozmowę, zawsze o londyńskiej pogodzie, o której najlepiej byłoby oczywiście w ogóle nie wspominać. Dla porucznika były to spotkania z mahatmą. Każde na kilka dni dodawało jego życiu blasku.

– Dali żałosny występ – powiedział. – Jeśli mam być szczerzy. Właściwie nie wiem dlaczego.

– Fałszowali?

– Grali doskonale, co do nuty. Te genialne aranże Jerry'ego Graya, krótkie urywane frazy. Wszystko dopięte na ostatni guzik,

brzmienie bez zarzutu, tak jak wtedy w *Mayflower*. – Aughenbaugh nalał do obu zlewek whisky dokładnie na dwa palce. – Nie wiem, co zawiodło. Byłbym bliski stwierdzenia, że nasz stary Glenn stracił serce do muzyki. Pogadaj z nim, Rico. Doprowadź go do pionu.

Podczas szkolenia w Formacji T dziadek jak zwykle bardzo skąpił informacji o sobie, i to nawet Aughenbaughowi. Legenda o jego karierze sprzed zwerbowania do jednostki amerykańskiego wywiadu była stekiem ćwierćprawd i pogłosek. Miał rzekomo być prawą ręką różnych nowojorskich i filadelfijskich gangsterów. Twierdzono, jakoby w ramach mafijnego obrzędu inicjacji strzelił sobie w brzuch, a przedtem natarł kulę surowym czosnkiem, żeby bardziej bolało. Podobno odgryzał wrogom uszy i rzucał je na pożarcie bezpańskim psom. A jeśli zaszczycił kogoś uśmiechem (najulubieńsza plotka Aughenbaugh!), był to ostatni widok w życiu delikwenta. Aughenbaughowi tak często udawało się wywoływać na twarzy dziadka uśmiech, że miał prawo śmiać się z tej hiperboli, a w dodatku istniała między nimi wystarczająca zażyłość, żeby porucznik żartobliwie próbował wydobyć od przyjaciela zawartą w legendzie szczyptę prawdy. Małomówność dziadka mogła się od biedy wydawać złowroga (była to właściwie wyłącznie kwestia odbioru), lecz gdy wreszcie zaczynał mówić lub okazywać emocje, był przekonujący. Aughenbaugh nadał mu przydomek pochodzący od imienia gangstera, którego gra Cagney we *Wrogu publicznym*²⁶. O ile mi wiadomo, było to jedyne przezwisko, jakie dziadek kiedykolwiek nosił czy choćby tolerował.

– Zobaczą, co da się zrobić – obiecał, choć zarazem pomyślał, że może raczej sam Aughenbaugh pomału traci serce, i zaczął się zastanawiać, jaka byłaby na to rada.

– Gotowe – oznajmił Aughenbaugh, mieszając pipetką w obu zlewkach po kolei, żeby rozprowadzić w whisky miksturę przeciw chorobie lokomocyjnej. Podał jedną dziadkowi. – Do dna.

²⁶ W rzeczywistości Rico to główny bohater innego filmu gangsterskiego – *Małego Cezara* (przyp. tłum.).

Dziadek wziął naczynko i odstawił je na szafkę nocną między łózkami. Znów sięgnął po „Zeitschrift für angewandte Chemie”.

– A niechże cię, Rico! – Aughenbaugh wyrwał dziadkowi książkę i rzucił ją za siebie przez ramię. Otworzyła się w locie z oburzonym szelestem i trzasnęła o ścianę. Zdobiące tapetę modernistyczne koła i linie często dręczyły dziadka, bo z pozoru naśladowały wzory strukturalne jakichś niemożliwych kwasów aromatycznych i polimerów. – Znowu widzisz na tapecie widmowe heterocykle, co?

– Nie.

– Serio, stary. Kiedy tylko chcesz, byle nie dziś wieczór.

– A co w nim takiego wyjątkowego?

Aughenbaugh zdołał się opanować. Jego przodkom cierpliwość i wiara pozwoliły przetrwać nieurodzaje, pomory bydła i mordercze zimy, więc i on czuł się na siłach znieść towarzystwo jednego irytującego Żyda z Filadelfii.

– Niech no pomyślę. Choćby to, że jutro wsadzą cię jak flaszkę keczupu do transportowca i wylądujesz w kraju zwanym Niemcami, gdzie wedle wiarygodnych pogłosek przywita ją tłum facetów, którzy będą próbowali udekorować ją swastyką za pomocą kul z broni palnej.

– Ale to dopiero jutro.

– Boziu, przecież namawiam cię na raptem jednego drinka.

Dziadek pokręcił głową.

– Dlaczego? Tylko nie wstawiaj mi tego swojego kitu, że nie lubisz tracić panowania nad sobą.

– Rzeczywiście nie lubię.

– I tak nad niczym nie panujemy.

Aughenbaugh jednym haustem wychylił whisky. Usiadł na brzeżku łóżka i odstawił pustą zlewkę na szafkę nocną. Sięgnął po tę, którą nalał dla dziadka, i wzniosł toast za jego zdrowie. Znowu wypił do dna. Wydał westchnienie, w którym można się było dosłuchać nuty zadowolenia.

– Dobrze?

– Cudownie. – Aughenbaugh odstawił zlewkę i wstał. Idąc takim krokiem, jakby bardzo mu ciążyły nogi, poszedł po rocznik, który

przedtem rzucił. Podniósł go, wygładził kartki i podał dziadkowi. – Panowanie nad czymkolwiek to czysta iluzja – rzekł z właściwą sobie łagodnością. – Zresztą sam przecież wiesz, prawda? Nie ma żadnego panowania. To tylko różne prawdopodobieństwa i ewentualności kłębią się jak koty w worku.

– Tak, wiem – przyznał dziadek. – Ale na trzeźwo nigdy nie muszę o tym myśleć.

Rozległ się głuchy łoskot i nadciągnęła fala uderzeniowa, odczuwalna głębiej niż w bębenkach usznych, przenikająca ziemię. Zabrzmiało to podobnie jak ten niski grzmot, od którego drżały okna, ściany i deski podłóg, ilekroć bomba trafiała w dom parę numerów dalej albo w sąsiedni biurowiec, ale tym razem musiało to być coś innego. Bomby ostrzegały, że nadlatują. Zapowiadały swoje przybycie. Wypadały z brzucha junkersa ze świstem, lamentem lub pomrukiem, a czasem z nieludzko ekstatycznym wrzaskiem, z każdą chwilą coraz głośniejszym i bardziej upojnym. Za to rakietą V-1 skradała się w powietrzu, niecierpliwie mamrocząc pod nosem, dopóki jej licznik nie wskazał zera, wyłączając serwonapęd. Cisza aż dudniła w uszach, gdy taka zabawka Goebbelsa poddawała się przyciąganiu ziemskiemu i spadała ku wyznaczonemu punktowi, niosąc pożogę i zniszczenie.

Dziadek ledwie zdążył pomyśleć „rakietą!”, kiedy echo niezapowiedzianej eksplozji zagłuszył ryk i szcęk, jakby na stację metra Marble Arch wjechał pociąg linii centralnej. Nad dzielnicą rozpełzył się drugi huk, rozpościerając karylion grzmotów z żądłem w ogonie. Pocisk nadlatywał z prędkością czterokrotnie większą niż prędkość dźwięku, więc jego ryk nigdy nie zdążył przed wybuchem.

– Słyszeliśmy to – powiedział Aughenbaugh. – Czyli żyjemy.

Dziadek zasznurował buty i zawiązał krawat. Obaj włożyli płaszcze i czapki. Aughenbaugh chwycił aparat fotograficzny. Zbiegli po schodach do podziemia, żeby ominąć historyczne sceny, które mogły się rozgrywać w hotelowym holu. Poszli długim korytarzem z posadzką w szachownicę. Przez otwarte drzwi na jego końcu wpadał żar ognia i nocny chłód. Kucharze

i pomywacze w białych kurtkach i czarnych spodniach wchodzili i wychodzili, rozmawiając po francusku, polsku i angielsku. Do kuchni, za drzwi, z kuchni, na ulicę. Ruch pozornie wydawał się celowy, jakby organizowano sztafetę z wiaderkami, w rzeczywistości jednak wszyscy ci ludzie szwendali się jak idioci bez zajęcia. Jakiś gruby kucharz stał w drzwiach i patrzył. Na brzuch i twarz padał mu odbłask płomieni. Dziadek odepchnął go i wybiegł z Aughenbaughem na Oxford Street, gdzie obaj stanęli jak pierwsi lepsi idioci bez zajęcia.

Zgodnie z prawami fizyki wybuch rakiety wysłał zawartość wystaw domu towarowego Selfridges. Jak zwykle o tej porze roku udekorowano je tekturowymi taflami kry i górami lodowymi w posypce z cekinów. Tekturowi Eskimosi baraszkowali z tekturowymi pingwinami. Północna, a może południowa zorza polarna wznosiła się łukami z kolorowej folii. Manekina Świętego Mikołaja przebrano za uczestnika wyprawy Scotta. Teraz jednak na chodniku piętrzyły się zasy pyłu i tłuszczu. Choinki leżały pokotem jak kręgle. Ich igły osiadały dziadkowi na czapce i na pagonach płaszczu. Kiedy tamtej nocy przed pójściem spać wieszal spodnie, z mankietów wysypały się celofanowe płatki śniegu. Tekturowi Eskimosi bez głów, rozdarci na pół, trwali w omyłkowym sąsiedztwie podobnie zmasakrowanych pingwinów. Świętego Mikołaja znaleziono nazajutrz w gołębniku na jednym z pobliskich dachów: był cały i zdrowy, tyle że odświętnie polukrowany gołęmbim łajnem.

Dom towarowy nie płonął, ale sąsiedni budynek owszem. Zza rogu wyjechała straż ogniowa, a jej stary wóz rzeził jak organy parowe, za nim zaś dwa crossleye wiozły ludzi z cywilnej obrony przeciwlotniczej w hełmach przypominających miski balwierskie. Kiedy wysiedli z aut, cofnęli się ulicą aż do narożnika, szorstko, acz uprzejmie pouczając hotelowych gości i bywalców sali tanecznej, żeby usunęli się z drogi i pozwolili strażakom robić, co do nich należy. Przez rumowisko przedzierała się wśród gapiów karetka pogotowia. Prowadziła ją młoda kobieta o zapierającej dech urodzie – niebieskooka brunetka, której bujne włosy wylewały się spod kapelusza

z wąskim rondem, pospiesznie wbita w męskie spodnie i koszulę, widoczne spod zielonego płaszcza Pomocniczej Służby Kobiet. Dziadek nigdy więcej jej nie zobaczył, lecz po czterdziestu czterech latach wyraźnie ją pamiętał: krawat, piersi wezbrane pod koszulą, gabardynowe spodnie wpuszczone w wellingtony. Powiedziała jemu i Aughenbaughowi, że ich zapał wolontariuszy jest ze wszech miar chwalebny, ale najlepiej zrobią, jeżeli po prostu usuną się z drogi, pozwalając jej i reszcie kolegów odwalić robotę, do której przyuczyło ich COP i szkopy. A robota była mordercza. Jeśli ktoś lubił oglądać krew i szczątki niedawnych mieszkańców Londynu, to przy tego rodzaju akcji miał po temu świetną okazję.

– Pingwiny z Eskimosami – pogardliwie prychnął Aughenbaugh. (Wspominając po latach te słowa, dziadek wybuchnął śmiechem, chociaż go to całkiem dosłownie zabolalo). – Rico, o co my tu walczymy, do diabła?

Wrócili do hotelu, a potem na górę do swojego pokoju. Aughenbaugh znów nalał whisky do zlewki i podał jedną dziadkowi. Była wyskalowana w mililitrach. Alkohol sięgał do dziewięćdziesiątego drugiego. Dziadek przyjął naczynko i wznioł toast.

– Za koty w worku. – Wypił duszkiem i nadstawił zlewkę, prosząc o jeszcze. – Prawdopodobieństwa i ewentualności.

– To przenośnia – powiedział Aughenbaugh. – Workiem jest fizyka newtonowska.

– Nie wpadłem na to – przyznał dziadek.

XII

Czasem wtaczali się do jakiegoś miasta czy wioski, tak bardzo depcząc po piętach wojskom pancernym lub piechocie, że napotykali ludzi, którym nie objaśniono różnicy między wyzwoleniem a kapitulacją. Mógł to być starzec na wieży zegarowej uzbrojony w fuzję na jelenie albo pięciu krwiożerczych skautów z jednym pistoletem automatycznym do spółki czy wreszcie ostatni w miasteczku błazen w czapce z trupa główką, który z marudną pedanterią usiłował zafundować im kolejkę bezsensownej rzezi. Podczas prób wyjaśniania takich kwestii tracono czas, a niektórzy tracili życie.

– To się nie trzyma kupy – powiedział Diddens.

Miał na myśli strzałę, która utkwiała mu w lewej stopie. Był to ładny okaz, wykonany z sośniny i wyposażony w lotkę z gęsich piór. Druga strzała wbiła się ze stukotem w podokienną skrzynkę na kwiaty niecałe dwa metry od mojego dziadka, który zaraz potem zaciągnął Diddensa w bezpieczne miejsce za kupą gruzu na głównej arterii Vellinghausen. Diddens dopiero po minucie otrząsnął się z niedowierzania.

– No bo do czego to, kurwa, podobne? – spytał retorycznie, przykucnięty na prawej nodze, z lewą wyciągniętą do przodu. Był chemikiem z Alabamy, a przed wojną pracował w dziale środków owadobójczych koncernu Dow. Nie miewał napadów hysterii, ale przygoda ze strzałą troszkę go podkreśliła. – Strzała?

– Zawsze to jakaś odmiana po tyłu kulach – zauważył dziadek.

– Wal się, nie z twojej nogi sterczy!

– Trudno zaprzeczyć.

– To się nie trzyma kupy! – Tym razem Diddens wrzasnął, ale jego krzyk nie miał się od czego odbić, więc nie rozniósł się echem.

Vellinghausen przez tydzień bombardowały obie walczące strony, a potem przez dwa dni trwała zażarta bitwa czołgowa,

zanim Niemcy na dobre oddali miasto oddziałom Ósmej Dywizji Pancерnej. Prawie wszystkie domy były mocno uszkodzone. Z głównej ulicy Vellinghausen mało co ocalało prócz szarego nieba.

– Uspokój się – poradził dziadek.

Rozumiał, że z punktu widzenia Diddensa absurdem było przemierzyć całą Francję i zapuścić się na prawie sześćset pięćdziesiąt kilometrów w głąb Niemiec bez jednego draśnięcia kulą (czy to armatnią, czy z broni ręcznej), żeby oberwać strzałą. Istniała jednak czcigodna szkoła myślenia, zgodnie z którą mieszkaniac miasta najechanego przez wrogie wojsko, maszerujące szlakiem śmierci i zniszczenia, powinien zrobić wszystko, co w jego mocy, sięgając po każde dostępne narzędzie, aby podbój okazał się dla najeźdźców kosztowny. Z takiego postępowania rodzili się bohaterowie i poezja. Przez ostatnie trzy miesiące dziadek widział, jak ten szczególny rodzaj bohaterstwa i poezji przypłacało życiem kilku Niemców, trzech pierwszorzędni kierowcy jeepów, dwaj telegrafisci oraz porucznik Alvin P. Aughenbaugh, doktor inżynier. Właśnie jego zastąpił Diddens i chociaż był z niego całkiem równy gość, dziadek chyba nigdy nie zdołał odżałować Aughenbaugha. O okolicznościach jego śmierci powiedział mi tylko tyle, że nastąpiła na tylnym siedzeniu jeepa, podczas gdy dziadek próbował utrzymać przyjaciela mniej więcej w pionie i nie dać mu zamilknąć, dopóki nie znajdą jakichś sanitariuszy.

– Doszła do kości? – spytał Diddensa.

– Ja... – Pytanie najwidoczniej podsunęło rannemu temat, na którym mógł skupić uwagę. Zaciął zęby i przyjrzał się swojemu buciorowi, ruszając w nim stopą. – Raczej nie.

– Możesz stanąć na tej nodze?

Diddens oparł dłoń na ramieniu dziadka i dźwignął się z ziemi. Dociągnął lewą nogę i przeniósł na nią ciężar. Jęknął.

– Oj. Nie.

Znowu wystawił nogę do przodu. Tym razem po prostu usiadł na bruku, jakby chwila sprzyjała odpoczynkowi.

– O Jezu. Ale boli. Czubek chyba wylazł dołem. Wystaje? Widzisz

go?

Dziadek zmarszczył brwi. Mieli już spore opóźnienie. Postój w Vellinghausen był zupełnie niezaplanowany. Powinni jechać za Trzecią Dywizją Pancerną, ale z powodu złej mapy, bezksiężycowej nocy i nieoczekiwanych ruchów niemieckich czołgów na południe od Lippstadt wplątali się między oddziały Ósmej. Forpocza Trzeciej wyprzedzała ich już co najmniej o dzień drogi, zmierzając do Paderborn. Czyli była co najmniej o dzień bliżej Nordhausen.

Dziadek sięgnął po przypięty do pasa rewolwer. Jednocześnie schylił się i złapał za promień strzały tkwiącej w stopie Diddensa. Wyszarpnął ją. Wyślizgnęła się z wilgotnym cmoknięciem. Umazany purpurowymi smugami grot wyłonił się z dziury, którą zrobił w bucie tuż na lewo od sznurowadła.

Diddens zaskowyczał, oburzony i zaszokowany.

– Co ty?! – zawołał.

Dziadek wyprostował się, po czym wyszedł z za stosu okruchów tynku, dachówek i gipsowego pyłu, za którym schował się razem z Diddensem. Podniósł rewolwer i omiół spojrzeniem ulicę, myśląc o kątach i liniach celowania. Nie zatrzymując na niczym wzroku, dostrzegł czarno-rudego kota i rower, którym podmuch eksplozji owinął jak symbolem nieskończoności słupek do przywiązywania koni. Ukryty za kupą gruzu Diddens trzymał się za stopę i dla odwrócenia uwagi od bólu szczegółowo opisywał w typowo alabamskim stylu wynaturzony użytek, jaki mój dziadek zrobił z mojej prababki. Nieco dalej w prawo na parterze otynkowanej kamieniczki koloru kremu cytrynowego mieściła się piekarnia. Z domów między nią a stanowiskiem dziadka celni strzelcy czołgowi zgarnęli pulę gruzu, a kupką żetonów było rumowisko, za którym został teraz Diddens. Dziadek powiódł spojrzeniem po jasnym tynku aż do dwóch okien drugiego piętra. Wydawało mu się, że tam mniej więcej kończy się zasięg skutecznego strzału z łuku.

– Co ty wyprawiasz? – spytał Diddens. – Schowaj się. Zwariowałaś, do kurwy nędzy?

Dziadek wiedział, że ryzykuje. No bo na przykład nie należało

usuwać z rany kłutej ostrego przedmiotu, ponieważ mógł on zatykać otwór w ważnej żyły lub tętnicy, którą przebił. Ale w ludzkiej stopie wedle wiedzy dziadka nie było żadnych ważnych żył ani tętnic. A co do wychodzenia na środek ulicy, kiedy wiadomo, że w pobliżu czyha ktoś, kto spróbuje nas zastrzelić z łuku, dziadek postanowił zweryfikować swoje przeświadczenie o miernych umiejętnościach łuczника, który trafił przecież Diddensa w stopę zamiast w głowę czy w gardło.

– Nie – odparł dziadek. – Po prostu mi się spieszy.

W gruzach Kolonii on i Aughenbaugh przesłuchali pojmanego kierowcę ciężarówki Wehrmachtu (wszyscy ci szoferzy niezależnie od tego, co widniało w ich listach przewozowych, wozili także informacje), który zeznał, że w połowie marca dostarczył do Nordhausen transport części maszyn dla pewnych „profesorów”. Kilku rzekomo widział na własne oczy i podczas przesłuchania twierdził, że bez wątplenia rządził nimi krępy młody blondyn.

Traf chciał, że dziadek i reszta łowców z jego jednostki dostali niedługo przedtem dokładny wykaz tysięcy czołowych „profesorów” nazistowskich. Nadano mu kryptonim „Czarna lista”, a sporządzono go podobno na podstawie niemieckiego oryginału, którego kartki pewien polski dozorca znalazł w gmachu Uniwersytetu Bonn, na wpół spuszczone w toalecie podczas chaotycznej ucieczki Niemców z tego miasta. Dziadek miał rozkaz tropić uczonych, techników oraz inżynierów z „Czarnej listy” i schwytać ich, zanim zrobią to Rosjanie. Listę otwierało nazwisko fizyka uchodzącego za głównego wynalazcę rakiety V-2, której jeden egzemplarz o mało nie zabił dziadka i Aughenbauga tamtej nocy w Londynie. Według niepełnych danych wywiadowczych na jego temat, które posiadali alianci, fizyk ten był muskularnym blondynem.

Dziadek nigdy niczego nie pragnął tak jak tego, żeby osobiście schwytać Wernhera von Brauna – o nim bowiem mowa. Chociaż w tamtym akurat momencie, jak wyznał mi po latach, jeszcze bardziej mogło mu zależeć na zobaczeniu jednej z rakiet niemieckiego uczonego. Pragnienie to było dla niego w owej

chwili jedną z dwóch pewnych rzeczy na świecie. Drugą stanowiło silne przeświadczenie, że żaden z rosyjskich łowców, którzy ciągnęli z Polski na zachód śladem szybko prącej do przodu Armii Czerwonej, nie siedziałby i nie beczał z powodu strzały w stopie.

Coś zaszepotało dziadkowi koło lewego ucha, a tuż za nim drewniany młotek stuknął w deskę. Skrzynka na kwiaty wypełniona tylko błotem i popiołem znów oberwała. Przyszła pora sprawdzić hipotezę na temat umiejętności łuczника. Jak dotąd co trzeci jego strzał był celny.

Czwarta strzała fruwała nisko, szumiąc i świszcząc, a potem zagrzechotała o bruk może z pięć metrów przed dziadkiem. Smygnęła po kamieniach, zawadziła o jakąś wypukłość i odbiła się od niej. Uderzenie zmieniło tor jej lotu, więc odskoczyła pod kątem osiemdziesięciu stopni do ziemi. Interesująco przekoziołkowała w powietrzu ku mojemu dziadkowi, nieco na lewo od niego, a on wyciągnął rękę, gdy tak zmierzała w jego stronę, i zdołał ją złapać w locie.

Nie żeby nie czuł strachu.

– Cały czas się bałem – powiedział mi. – Od pierwszej chwili po wylądowaniu. Nawet kiedy nikt do mnie nie strzelał ani nie próbował mi zrzucić bomby na głowę. Ale kiedy już strzelali, prócz strachu czułem złość.

– I to ona brała górę.

– Jakby mnie całego zalewała, wiesz?

– Aha.

– Splukiwała wszystko inne. I tylko wtedy... W całym moim życiu tylko wtedy na coś mi się przydawała. Kiedy ktoś do mnie strzelał. – Dziadek się skrzywił. – Ale dopiero tamtego dnia się przekonałem, że tak samo na mnie działają strzały z łuku.

Złapał strzałę w powietrzu, obrócił się w stronę żółtego domu i spojrział w górę. Zawadiacko przechylił głowę, jakby

prowokował łucznika, bo już się w nim pięła wzwyż czerwona filadelfijska igła. W jednym z okien drugiego piętra mignęło bielą: gors koszuli. Brązowy rękaw. Różowa dłoń. Rozdziawione usta. Jakiś człowiek wyglądał przez okno, oparty biodrem o parapet, połowicznie wzięty w nawias ciemnobrązowego łuku. Wychylał się w stronę ulicy, a jego swobodna, niedbała poza kazała przypuszczać, że jest niewiele starszy od mojego dziadka. Trzymał strzałę luźnym chwytem palców jak długiego papierosa. Założył ją na cięciwę i nieco zmienił pozycję. Dziadek uniósł rewolwer i jakby w zgodzie z osobliwym kodeksem pojedynków obowiązującym w Vellinghausen, obaj strzelili jednocześnie.

Ostry młotek, a może oskard walnął nagle w hełm dziadka, w sam środek czoła. Łucznik oklapł i upuścił łuk, który dźwięcznie stuknął o kamienie. Jego właściciel wychylił się jeszcze bardziej i znieruchomiał przewieszony przez parapet; dziadkowi wydawało się, że tamten strasznie długo się zastanawia, czy spaść w ślad za łukiem. W końcu wyturlał się z okna i rąbnął o bruk z dwudźwięcznym łoskotem, w którym brzmiało coś jakby uderzenie w bęben i trzaśnięcie trzepaczką w wełniany dywan.

Dziadek schował rewolwer do kabury i zdjął hełm, który wyglądał jak rekwizyt z komedii filmowej, z jakiejś farsy o współczesnych żołnierzach walczących z Indianami. Obrócił go dnem do dołu. Strzała wbiła się na jakieś dwa centymetry. Dziadek stwierdził potem, że pośrodku czoła ma kroplę zaschniętej krwi.

Wyrwał strzałę i z powrotem włożył hełm. Podszedł do łuku i podniósł go, a potem zajął się chłopakiem, który musiał być chyba mniej więcej w wieku Raya. Leżał pod oknem piekarni, wygięty w swastykę. Krew ciekła mu z potylicy, którą uderzył o bruk. Miał na sobie ciemne spodnie od garnituru i ciemny krawat, a do tego koszulę z patkowym kołnierzykiem i spinkami z masy perłowej. Nic w jego ubiorze ani twarzy nie wskazywało, że byłby zdolny próbować zastrzelić kogoś z łuku.

Dziadek chciał przy nim uklęknąć, żeby sprawdzić, czy tamten żyje, kiedy usłyszał za plecami przeciągły, cichy wydech – wyraz

przygnębienia, gniewu lub obu naraz. Nie zdążyłby dobyć rewolweru, więc podniósł łuk i założył na cięciwę złapaną przed chwilą strzałę. Gotów był ją wypuścić. Nigdy wprawdzie nie strzelał z łuku, ale czemu nie miałby spróbować. Z czółnem świetnie sobie przecież poradził.

Stał za nim stary ksiądz w czarnej sutannie sięgającej do cholewek szpiczastych butów. Pokrywały ją wielkie plamy białego pyłu przypominające kontynenty lub krowie łaty. Ksiądz pochylał się nad białym rowerem, który podmuch eksplodującego pocisku owinął wokół słupka. Wyraźnie żałował tej straty. Wyciągnął pająkową dłoń i musnął nią ramę, jakby się żegnał z pojazdem albo próbował rozszyfrować geometrię jego skrętu. Chyba nie zdawał sobie sprawy, że stoi w zasięgu strzału z łuku, który napina amerykański żołnierz.

– Dzień dobry, ojczy – powiedział dziadek, zniżając łuk.

Siwowłosa ksiądz spojrział na niego i szczeka mu opadła. Na widok łuku i strzały lekko zmętniały mu oczy, jakby coś nagle zrozumiał. Zamknął usta. I dostrzegł ciało łuczника.

– Nie żyje? – zapytał.

– Nie wiem. Chyba.

Ksiądz podszedł do leżącego. Jak na swój wiek poruszał się szybko, z gorliwością lekarza. Krzywiąc się w bolesnym grymasie, z trudem przykucnął obok bezwładnego ciała i oparł mu na piersi zaczerwienioną dłoń. Spuścił głowę, aż prawie dotknął lewym uchem ust łuczника.

Dziadek usłyszał z tyłu jakieś szuranie. Ulicą nadchodził Diddens, utykając, a jego lewa stopa odciskała na bruku ślady podobne do róż.

– Nie żyje? – zapytał.

W jeepie mieli apteczkę, a szofer ukończył kurs pierwszej pomocy. Oczywiście mógł tymczasem zginać od strzały, siekańców z garłacza albo od lotki z dmuchawki, którą wypuściłby jakiś emeryt z wysługą lat w marynarce handlowej.

Łucznik otworzył prawe oko – miseczkę wody splamionej kropelką niebieskiego gwaszu.

– Chyba jednak żyje – stwierdził dziadek.

Łucznik leżał twarzą ku niebu, ale jasnookie spojrzenie utkwił w głowie księdza, a raczej w różowej łysinie okolonej włosami miękkimi i białymi jak puch dmuchawca. Ranny wyglądał więc, jakby pod wpływem przygnębienia lub onieśmielenia spuścił wzrok. Stary ksiądz nadstawił ucha, łowiąc nim słowa, które wydobywały się z ust łuczniaka razem z bezszelestnie pękającymi bańkami krwi, zbyt ciche, żeby dziadek mógł je dosłyszeć, a w dodatku wypowiedane w miejscowym, niezupełnie dlań zrozumiałym dialekcie. Kapłan skinął głową, coś powiedział i znowu skinął. Kościstymi palcami ujął dłonie łuczniaka, złożył je jak do modlitwy i zaczął mówić. Nie była to odpowiedź, w każdym razie nie wprost.

Ksiądz wyrecytował stosowny tekst po łacinie i czubkami przygiętych palców pospiesznie nakreślił znak krzyża na piersi rannego. Sięgnął do rozcięcia w sutannie. Jego dłoń zaczęła wędrować pod zakurzoną tkaniną. Miał przy tym typową minę człowieka, który szuka w kieszeni spodni czegoś, co niewątpliwie musi w niej być. Kiedy wyjął rękę spod sutanny, trzymał w niej brązowy aptekarski flakonik. Prawa dłoń drżała mu, gdy próbował zdjąć czarną zakrętkę.

W ogólnej szarzyźnie i zimnie ulatujący z buteleczki zapach wzbudził w dziadku niepokój. Był przejrzały jak owoc i cierpki jak lato. Aż serce się ścisnęło. Zawartość flakoniku pachniała słowem „sakrament”.

Flakonik zadrżał, kiedy ksiądz kapnął odrobiną złocistego płynu na swoją lewą dłoń. Teraz to ona się zatrzęsała. Zadygotał też olej. Znalazł sobie rowek w różowym wnętrzu dłoni i spłynął nim po jej krawędzi. A potem ściekł na białą koszulę umierającego, robiąc na niej plamę.

– Cholera! – zaklął stary ksiądz. Aughenbaugh byłby zgorszony.
– Idiota.

Kciukiem rozmazał na czole umierającego kroplę oleju. Łucznik wydał odgłos zwierzęcego ukontentowania.

Za młodu dziadek darzył chyba religię nie większym poważaniem niż w czasach, kiedy go znałem. Mam stary egzemplarz jego ulubionej powieści – *Czarodziejską górę*

w twardej czarnej oprawie. Na pierwszej stronie wyklejki pod swoim nazwiskiem i datą (jedenasty marca 1938) napisał drukowanymi literami słowo „humanizm”, jakby oznajmiał światu uroczysty werdykt lub wybór, którego dokonał. Nim jednak nadeszła wiosna czterdziestego piątego roku, stracił tę majuskułową pewność co do wyboru światopoglądu. Zimno, głód, ciemność, krew i losowy przydział śmierci jako współczynnik zarówno zwycięstw, jak i klęsk sprzysięgły się na zgon jego humanizmu. Siedem lat po wpisaniu tego hasła w *Czarodziejskiej górze* wydawało mu się, że ma już do wyboru tylko wiarę lub odrętwienie.

Z bliska i w całej swojej grozie objawiła mu się kruchość ludzkiego ciała, łatwość, z jaką ono pęka lub pozwala się rozszarpać, wypuszczając swój miękisz przez rozdarcie w zewnętrznej powłoce. Przecierpiał bombardowania, ostrzał artyleryjski, samotność, głupotę dowódców i dwumiesięczny pobyt wśród szeregowców. Stracił Aughenbauga. Zabił chłopca, który ostrzelał go z pistoletu maszynowego. Dzięki temu wprawdzie ocalał, ale na zawsze zostało mu uczucie, że zgładził w tym życiu o jednego człowieka za dużo. Po drodze schwytał albo przyczynił się do schwywania uczonych mężów (jeden przed wojną wykładał chemię w Princeton, a drugiemu Rockefeller sfinansował prace badawcze w dziedzinie medycyny) w laboratoriach i na poligonach doświadczalnych poświęconych kultywowaniu zabójczych trucizn i zarazków epidemii, które miały być rozsiewane przy użyciu pocisków raketowych.

W obliczu tego wszystkiego odrętwienie wzięło górę nad wiarą. Nawet gdy Aughenbaugh w przesiąkniętym krwią swetrze umierał na tylnym siedzeniu jeepa, wołając żałośnie chłopięcym głosem swoją siostrę Beatie, dziadek pozwolił sobie uronić zaledwie kilka łez. Lecz gdy patrzył, jak stary ksiądz melodyjną łaciną cicho pociesza umierającego, pękły w nim jakieś wewnętrzne pęta. Płonęły mu policzki. Oczy piekły. Po raz pierwszy i ostatni w życiu poczuł piękno idei Jezusa Chrystusa – pocieszcicielskiego przesłania, które przetrwało w miarę nietknięte, chociaż sami chrześcijanie wypaczali je i bezczęścili

przez minione dwa tysiące lat.

Na twarzy umierającego odmalował się wyraz ulgi. Łucznik zamknął spuszczone oczy. Stary ksiądz spojrział na dziadka bez widocznego wyrzutu czy jakichkolwiek emocji. Spróbował wstać z kamiennych płyt, na których kucał obok trupa, ale był nie dość sprawny. Dziadek podał mu rękę i pomógł dźwignąć się na nogi. Kapłan przez chwilę wpatrywał się w jego twarz. Policzki przypudrowane miał gipsowym pyłem, a minę wprawdzie nieodgadnioną, lecz nie wrogą. Znowu wsunął dłoń w rozcięcie sutanny i czegoś pod nią po omacku poszukał. Dziadek cofnął się o krok, myśląc, że tym razem ksiądz może dobrać broni. Sięgnął ręką za siebie i oparł ją na piersi Diddensa, gotów zepchnąć go z linii strzału.

Duchowny wyjął z rozcięcia sutanny białą chusteczkę, starannie wyprasowaną, z równiutkimi rogami. Podał ją dziadkowi. Świeże płótno pachniało lawendą.

– Przepraszam – powiedział dziadek. Chciał się tylko usprawiedliwić ze zbrukania chusteczki, ale zabrzmiało to jak wyraz ubolewania nad losem tego, kto leżał u ich stóp.

Nie miał nic przeciwko takiej interpretacji swojej wypowiedzi.

Ksiądz spojrział na wilgotną szmatkę, a potem uważnie wpatrzył się w twarz dziadka.

– Proszę ją sobie wziąć – rzekł.

– Co on powiedział, ojczy? – Diddens mówił po niemiecku poprawniej, choć mniej płynnie niż dziadek. Wskazał palcem nieboszczyka. – Co on ojcu powiedział?

Ksiądz zerknął przez ramię na zwłoki łuczника.

– A co tu było do powiedzenia?

XIII

Stary ksiądz nazywał się Johannes Nickel. Był proboszczem St. Dominikus-Kirche, dopóki Pan, objawiony w postaci osiemdziesięcioośmiomilimetrowego pocisku z czołgu Königstiger, nie raczył pozbawić go domu, a zarazem miejsca zatrudnienia. Duchowny od tygodnia mieszkał u swojej leciwej owdowiałej siostry w jej gospodarstwie niecałe dziesięć kilometrów na północ od Vellinghausen. Dla starca idącego piechotą był to kawał drogi, ale – tu ojciec Nickel znów ciężko westchnął – rower ją skracał.

Dziadek zaproponował miejsce w swoim jeepie i usługi szofera – szeregowca Anthony’ego M. Gatta, który miewał napady rozmodlenia. Gatto i ojciec Nickel z powagą uściśnieli sobie dłonie.

– Wkrótce się ściemni – powiedział kapłan. – Zapraszam na nocleg do siebie i siostry. W domu brak miejsca, ale będzie nam miło przemocować panów w stodole. Słoma jest czysta i na pewno nie zmarzniecie.

Tamtej zimy podczas marszu zygzakiem na wschód przez Belgię i Niemcy dziadek korzystał z najrozmaitszych kwater: pospołu z piechurami i oficerami, w nędzy i wygodzie, w ataku i odwrocie, przygwożdżony do ziemi śniegiem lub salwami niemieckiej artylerii. Spał pod niedźwiedzią skórą na zamku i w okopach upstrzonych na różowo tkankami poprzednich użytkowników. Jeśli udawało się przespać chociaż godzinę, korzystał z okazji w sypialniach albo suterrenach szykownych kamienic, w splądrowanych hotelach, na czystych snopkach czy zarobaczonej słomie, na platformie wozu półgąsienicowego, nad którą przeciągnięto parciane pasy i przykryto je piernatami, w błocie, na workach z piaskiem czy wreszcie na deskach z nieheblowanej sośniny. Jednak nawet najnędzniejsza kwatery zawsze musiała być lepsza, a przynajmniej nie gorsza od tej,

z której korzystał wróg. Bezwzględnie przestrzegano tej zasady, choć może nie widniała ona w regulaminie polowym ani w zaleceniach żadnego trybunału z Genewy. Kiedy alianccy żołnierze pukali do drzwi wiejskiego domu w Niemczech, nie zamierzali kłaść się na sianie. Jeśli miejscowi nie mieli ochoty spać w stodole, zawsze mogli nocować w piwnicy.

– Bardzo ojciec uprzejmy – powiedział dziadek, dziwnie wzruszony godnością osobistą duchownego. – Niestety musimy jechać dalej.

– Pański kolega jest ranny w stopę.

– Mimo to.

– Kiedy rano wychodziłem z domu, żeby poszukać tu swojego roweru, moja siostra właśnie zabijała kurę. Chyba miała zamiar udusić z niej potrawkę. Została nam jeszcze marchew, kartofle i trochę mąki na kluski.

Dziadek odwrócił się, żeby zasięgnąć zdania Diddensa i Gatta, a chociaż wiedział, jakie będą mieli miny, zdumiała go głębia ich psiej pokory.

– Porucznika strasznie boli stopa – rzekł szofer.

Diddens przytaknął skinieniem głowy.

– Aj – jęknął.

– Lepiej nie jeździć po zmroku – powiedział dziadek.

Niemcy wycofywali się na północ i wschód, panowało więc powszechne przekonanie, że w najbliższym czasie nie wrócą do Vellinghausen. Miasto zajęli znużeni do szpiku kości lunatycy z Siódmej Zmechanizowanej i garstka oszołomionych saperów z Pięćdziesiątej Trzeciej Dywizji Wojsk Inżynieryjnych. Żołnierze byli nieliczni i rozproszeni na oddziały, więc przypadkowy przechodzień mógłby pomyśleć, że inwazji nie dokonało wojsko, lecz chmury dymu, szare niebo wlewające się w domy bez dachów i dotkliwy głód, który zżarł budynki aż do fundamentów, a z drzew pozostawił same pieńki. Gdzieś jakiś piekarz lub rzeźnik otworzył sklep, ale ten pozorny optymizm czy wręcz brawura brały się wyłącznie z machinalnego nawyku. Nie było co kupić, sprzedać ani jeść. Dym osmalił oczodoły domów, domalowując im czarne, uniesione ze zdumienia brwi. Koty

ocierały się o narożniki, zostawiając na tynku smugi popiołu jak maźnięcia pędzlem.

Gatto prowadził jeepa, omijając truchło wysadzonego w powietrze czołgu M4, ludzką nogę (niemiecką) w szarej nogawce i czarnym butcie, odwróconą łapami do góry wannę i wyprostowaną jak struna damę, której trzewiki z cholewkami zapinanymi na guziczki i wdowi strój musiały pochodzić z czasów wojny francusko-pruskiej. Staruszka zasłaniała dłońmi usta, wytrzeszczając oczy na stos gruzu, rur i drutów, dla postronnego widza identyczny jak reszta stosów, które usypał wzdłuż ulicy ogień artylerii. Co krok napotykało się wytrzeszczone oczy starców, dzieci, kobiet i dziewcząt. Wytrzeszczone oczy kalek chodzących o kulach. W ich spojrzeniach nie czuło się wrogości, posępnosci ani urazy. Nie były to też jednak spojrzenia ludzi, którzy patrzą, jak spełnia się ich najskrytsze marzenie. Nieliczni się uśmiechali. Inni czerwienili na twarzach, jakby powściągali płacz lub wstyd. Jeszcze inni robili jedno i drugie.

Pewnej nocy przed miesiącem, jeszcze po tamtej stronie granicy z Belgią, Aughenbaugh palnął wykład o etymologii słowa „wojna”. Wyczytał w słowniku, że pochodzi ono od starożytnego indoeuropejskiego rdzenia oznaczającego „zamęt”. Noc była lodowata, a oni siedzieli we dwóch w ciasnym okopie. Piąta *Panzerarmee* próbowała ostatniego wielkiego szturmu na zachód. Tocząc się jeepem przez Vellinghausen, dziadek pomyślał, że Indoeuropejczykom trudno odmówić racji. Miejscowi mieli zamęt wypisany na twarzach. Wojna siała go w życiu cywilów równie niewątpliwie jak w szeregach wojsk błędzących wśród jej mgieł. Tak bardzo mąciła, że podbój mylono z wyzwoleniem, gniew ze smutkiem, głód z wdzięcznością, nienawiść z lękiem. Saperzy z Pięćdziesiątej Trzeciej Dywizji Wojsk Inżynieryjnych też wyglądali na niezłe skołowanych. Kręcili się na skraju miasta, wpatrzeni w długą drogę biegnącą aż do pięknego centrum Berlina i usiłowali rozstrzygnąć, czy należy ją zaminować, czy rozminować.

Na placyku nieco na północ od głównej ulicy ksiądz dostojną,

acz kulawą angielszczyzną poprosił szeregowego Gatta, żeby zatrzymał jeepa. Z ziemi sterczały pieńki drzew, zapewne wiązków, ściętych równiutko i na jednej wysokości. Powalił je topór, nie artyleria. Przekroje pieńków wyglądały w miarę świeżo, chociaż było widać, że wycinka nastąpiła już jakiś czas temu.

– Mieliśmy srogą zimę – rzekł ksiądz. Siedział z przodu, obok szeregowca Gatta. Wszyscy przyznali, że ani trochę nie minął się z prawdą. – Oddałem ławki z kościoła, retabulum i całą resztę. Piękną dębową ambonę, którą pewien profesor doktor z Tübingen datował na trzynasty wiek. Powiedziałem ludziom, żeby wzięli i krucyfiks. Był bardzo duży. Przy roztropnym wykorzystaniu można by nim przez parę nocy ogrzewać z tuzin domów. Ale na to już nie poszli. Chyba ich zaszokowałem. Tłumaczyłem, że skoro On poświęcił życie dla zbawienia ich dusz, chętnie wyrzekłby się własnego wizerunku, żeby ogrzać ich ciała. – Ksiądz pokręcił głową, patrząc na ruiny kościoła. – Oczywiście w końcu krzyż się zmarnował.

Zabłąkana osiemdziesiątkaósemka strąciła z barków Świętego Dominika czworokątną wieżę. Belki podtrzymujące blaszany dach runęły, zająwszy się ogniem. Utworzyły przy tym rodzaj misy czy też leja, w który spłynął stopiony metal. Rozgrzana do białości mżawka przepaliła na wylot posadzkę z piaskowca i ściekła w głąb krypty. Reszta rozlała się strużkami po posadźce, podpalając na swojej drodze wszystko, co nie było z kamienia. Strącona wieża z koronkową żelazną iglicą zwała się na stojącą za kościołem plebanię i osiadła na czterech dolnych narożnikach jak gimnastyk spadający na równe nogi. Sprasowała przy tym połowę starego domu o konstrukcji ryglowej, zabijając księżą gospodynię, księdza zaś oszczędzając dla niewiadomych jeszcze celów. Kiedy wieża uderzyła o ziemię, impet wyrzucił iglicę skośnym łukiem, który (jak wiele innych spraw Świętego Dominika w ciągu minionych stuleci) zakończył się na cmentarzu. Iglica rozbiła się na trzy kawałki i wiele kawałeczków, z których sporo nadal tliło się wśród mogił. Pióropusze dymu snuły się między kamiennymi nagrobkami

niczym duchy.

– No i leży nasz Pan, pod tym całym rumowiskiem pogrzebion – podsumował ojciec Nickel. – I mówi: Ech, głupi ludzie, czemuście mnie nie spalili, kiedy mieliście sposobność?

Amerykańscy żołnierze spojrzeli po sobie. Szeregowiec Gatto pomógł wysiąść z jeepa staremu księdzu, który obiecał wrócić za parę minut z czymś miłym, co im pozwoli trochę poświętować. Uznał, że skoro Niemcy wycofali się za Ruhrę, to wojna się skończyła, i nie interesowały go żadne kontrargumenty. Twierdzenie Diddensa, skądinąd niezbyt uparte, jakoby nadal był właściwie wrogiem Amerykanów, zbił oświadczeniem, że wprawdzie nie może się wypowiadać w imieniu przybysza z Alabamy, ale duchowny z natury rzeczy nie może mieć wrogów, tak jak rzeźnik nie może być wegetarianinem.

Przeszedł połowę drogi do bramy cmentarnej, kiedy coś chyba sobie uzmysłowił, przewidział pewną trudność. Obrócił się twarzą do jeepa i spojrzął na trzech Amerykanów. Po namyśle wskazał swojego dziadka.

– W komórce znajdzie pan szpadel – powiedział. – Znakomity, z wieloletnim doświadczeniem.

Żelazna brama cmentarza wisiała na jednym zawiasie, skrzycona jak rower księdza, tyle że w znak niewiadomej treści. Ojciec Nickel mimo to podniósł haczyk i utworzył ją cokolwiek uroczystym gestem. Dziadek poszedł do komórki po szpadel grabarza.

Na jednym z nagrobków wykuto czyjeś nazwisko i daty, tworzące w sumie jakiś uczony żart łaciński, którego dziadek nie rozumiał. Zawahał się chwilę, kiedy ksiądz poprosił go, żeby zaczął kopać u stóp nagrobka. Nie bał się zbezczścić grobu, tylko zdetonować minę, o której ten stary dureń mógł wiedzieć, że tam leży.

– Mówi pan po niemiecku jak mieszkaniec Pressburga – rzekł ojciec Nickel. – Otóż urodziłem się w tym mieście w tysiąc osiemset sześćdziesiątym czwartym roku, za panowania cesarza Franciszka Józefa I.

Dziadek wyjaśnił, że jego dziadek i ojciec też się tam urodzili,

choć nie umiał podać dat.

– A nie powiedzieli panu, że żaden pressburczyk nie jest zdolny do kłamstwa?

Dziadek musiał przyznać, że rodzina zapomniała podzielić się z nim tą informacją. Wbił jednak szpadel w ziemię. Wykopał niezbyt szeroki otwór i wkrótce (niecałe dwa metry pod powierzchnią) szpadel szczęknął o metal.

– No i co? – spytał ksiądz.

– Znakomity szpadel – przyznał dziadek.

Na wieść, że alianccy żołnierze wmaszerowali w granice Niemiec, ojciec Nickel natychmiast wezwał Aloisa, dawnego kościelnego, a zarazem grabarza. Wychował się on na garnuszku parafii. W dzieciństwie miał za zadanie przygotowywać do corocznych pokazów najcenniejszą z tamtejszych relikwii – kość Świętego Dominika. W wieku osiemnastu lat zaciągnął się do wojska i wyruszył na wschód, pod Smoleńsk, gdzie limonka odjęła mu dwa palce lewej ręki – mały i serdeczny – wybijając też lewe oko. Wrócił do Vellinghausen w stanie szoku pourazowego, który z czasem się pogłębił, przechodząc w czarną depresję. Alois nie chciał podjąć dawnej pracy w St. Dominikus-Kirche. Co wieczór upijał się do nieprzytomności i zasypiał tam, gdzie akurat padł. Po pijanemu powtarzał plugawe bluźnierstwa, wyczone w wojsku. Ojciec Nickel nie czuł się nimi urażony, bo słyszał już w życiu wszystko, ale wiedział, że Bóg nie jest aż tak wyrozumiały, więc lękał się o duszę dawnego podopiecznego. Mając nadzieję zająć czymś młodego człowieka, a jednocześnie zabezpieczyć kościelne precjoza, zamówił u niego solidny kufer, który można by zakopać na cmentarzu w rzekomym grobie. Alois wciąż jeszcze miał krzepkie barki i zręczne ręce. Mimo okaleczeń zgrabnie posługiwał się młotkiem i nożycami do blachy.

Ku wielkiej radości i uldze księdza Alois – powodowany żywą jeszcze czcią dla powierzonej mu niegdyś relikwii Świętego Dominika – przyjął zlecenie. Namówił Marię, czyli nieboszczkę gospodynię, żeby rozstała się ze swoją starą cedrową skrzynią. Następnie z dachu kurnika przy plebanii, który opustoszał przed ponad rokiem, zerwał falistą blachę cynkową. Pociął ją na

kawałki odpowiednich rozmiarów i obił nimi cedrowy kufer. Według wskazówek księdza wykuł żartobliwy napis na nagrobku, pod którym ukrył skrzynię z całym majątkiem St. Dominikus-Kirche. Wciśnięty w dno prawie dwumetrowego szybu, który Alois wykopał z precyzją godną maszyny, żeby go tam dokładnie wpasować, kufer wydawał się niezniszczalny.

– Ile on waży, ojcze?

– Siedemdziesiąt trzy kilo.

Dziadek miał już podać w wątpliwość tę podejrzaną ścisłą odpowiedź, zaraz jednak zrozumiał:

– Alois ją zważył.

– Dokładnie spisał całą zawartość, a ja wysłałem tę listę do kurii, żeby ją przekazano kongregacji do spraw kultu bożego.

Dziadek poczuł, że chętnie by poznał tego tragicznego, lecz chwalebnie metodycznego młodzieńca. Zawahał się jednak, z góry domyślając się odpowiedzi na pytanie, które mu się nasunęło.

– Może Alois ma jakiś pomysł, jak wydobyć skrzynię – powiedział. – Gdzie on jest?

– Niewątpliwie coś by w tej sprawie wymyślił – rzekł ojciec Nickel. – Niestety, młodzieniec, którego pan zabił dziś na ulicy... ten, któremu udzieliłem ostatniego namaszczenia...

– A – westchnął dziadek. – Przykro mi.

– Zdołałem mu nareszcie przynieść pociechę – odparł ksiądz. – Sam pan zresztą widział.

Dziadek rzeczywiście coś tam zobaczył, ale nie był gotów się do tego przyznać czy choćby potwierdzić. Zdołał tylko kiwnąć głową.

– Strzelał do pana. Z łuku.

– To prawda. – Dziadek skinął głową w stronę jeepa. Przybysz z Alabamy wyglądał, jakby spał. – Diddens oberwał strzałą w stopę. Musiałem wyciągnąć grot.

– Alois był świetnym łucznikiem. Ma pan szczęście, że okaleczenie dłoni odebrało mu celność. Zawdzięcza pan życie jakiemuś rosyjskiemu żołnierzowi.

Dziadek przytaknął ruchem głowy, po czym obaj znowu wlepili

wzrok w dziurę w ziemi. Dziadek dostrzegł na prawej ścianie szybu pionowy, ledwie widoczny rowek. Podobny biegł w dół po lewej.

– Użył wielokrążka. Tego samego, na którym spuszczał trumny. Przeciągnął sznur pod dnem kufra i stąd te rowki.

Ojciec Nickel skinął głową.

– Wielokrążek był głównie z drewna – powiedział jakby z żalem, uprzedzając następne pytanie.

– Aaa...

– Sznur też niestety spaliliśmy.

Dziadek kazał szeregowcowi Gattowi wprowadzić jeepa na wstecznym przez bramę i objechać cmentarz wzdłuż wewnętrznej strony muru. Szofer ostrożnie lawirował między nagrobkami, aż wóz stanął przy wykopanej dziurze. Na przedmieściach Bonn dziadek i Aughenbaugh znaleźli pozbawiony lotek, lecz poza tym nienaruszony kadłub niedużej bomby latającej (dziś nazwalibyśmy ją pociskiem kierowanym), wbity w zamarznięty staw jak niedopałek cygara w popielniczkę z piaskiem. Nikt przedtem nie widział takiego modelu. Żelastwo mocno tkwiło w lodzie. Aughenbaugh i dziadek wystarali się o palnik spawalniczy, po czym zmontowali prowizoryczny dźwig ze złomu, części zamiennych i łańcucha. Wydobyli Enzian (tym bowiem kryptonimem określano pocisk, jak się potem okazało), zapakowali go i wysłali do Wright Field.

Dziadek odwinął kilka metrów łańcucha z bębna przymocowanego z przodu jeepa. Przerzucił go przez konar bezlistnego kasztanowca, który latem zapewne cudownie ocieniał kościół, i parę razy owinął nim szeregowca Gatta w pasie, przewlekając koniec pod spodem, tak że ponad dwa metry łańcucha zwisały z tyłu. Przymocował do ostatnich ogniów kawał sztywnego drutu ogrodzeniowego i dał go szoferowi do ręki. On i Diddens wspólnymi siłami podnieśli Gatta, obracając go do góry nogami, aż zadyndał głową w dół pod konarem kasztanowca.

Sztylet z niklowanymi okuciami umieszczony w czarnej pochwie wypadł szoferowi z kieszeni i głucho stuknął o ziemię.

Ozdobiony był srebrnym orłem. Diddens wsiadł do jepra i trochę go cofnął w stronę drzewa. Gatto zawisł nad dziurą. Z kieszeni wyleciał mu srebrny pierścień z trupa czaszką, a potem zegarek na rękę. Dziadek podniósł go i zobaczył, że na cyferblacie zamiast godziny dwunastej widnieją dwie błyskawice.

– Przepraszam – rzekł Gatto. – Proszę mu powiedzieć, że żałuję.

Ojciec Nickel odparł, że to nic, ale dziadek miał wrażenie, że starzec jest oburzony.

Objął oburącz biodra szofera i pokierował jego ciałem. Diddens odwinął z bębna jeszcze kawałek łańcucha, więc głowa Gatta zniknęła w dziurze.

– Nie – powiedział szofer. – Nie, za cholere. Nie dam rady. Wyciągnijcie mnie!

Zakręcili korbą i wywindowali go z dziury. Płakał. Jego miejsce zajął dziadek. Diddens i Gatto obrócili go do góry nogami i spuścili głowę w dół do wykopu. Prawie zawadzał barkami o ściany szybu, a jego ciało niemal zupełnie odcinało dostęp światła. Dziadkowi wydawało się, że czuje woń wiosny budzącej się w czeluściach ziemi. Był to mięsisty, jakby robaczy zapach. Dziadek wisi na napiętym łańcuchu. Wyciągnął ręce. Dotknął palcami zimnej blachy cynkowej, którą obita była skrzynia. Lewą dłonią zaparł się o ścianę szybu, a prawą wcisnął drut w rowek wyżłobiony w przeciwległej ścianie. Przesunął go pod kufrem i pchał dalej, dopóki koniec nie ukazał się w rowku po lewej stronie kufra. Dziadek zasupłał łańcuch nad kufrem i zawołał, że jest gotów.

Żadnej reakcji. Zawołał jeszcze raz, głośniejsze. Kopnął piętami w podtrzymujący go łańcuch. Ogniwa zawibrowały wymownie. Ale dziadek wciąż wisi – Żyd na łańcuchu we wspólnym ciasnym grobie z kością świętego. Zaczął go dławić odór robaków, nasiąknięty ciężką wilgocią jego wydechów. Dusił się. Luftwaffe było już prawie unieszkodliwione, czasem jednak przelatywało jeszcze jakiś zabłąkany messerschmitt, terkocząc i błyskając cekaemami. Może któryś z tych maruderów skosił Diddensa, Gatta i ojca Nickla? A może stary ksiądz postanowił pomóc śmierć Aloisa i to, że szofer przetrząsnął kieszenie

zabitym esesmanom?

Krew zaczynała uderzać dziadkowi do głowy, lecz towarzyszył temu dziwny spokój. Śmierć przez uduszenie była podobno łagodna i szybka, jeżeli człowiek się przed nią nie bronił. Dziadek wspomniał wyraz głębokiej ulgi, który odmalował się na twarzy Aloisa, gdy ten umierał na ulicy. A potem poczuł bolesne szarpnięcie na wysokości pasa.

Po niespełna minucie znalazł się na powierzchni i stanął o własnych siłach. Na zachodzie dogasał dzień. Od wschodu szare niebo stopniowo czerniało.

Jeep podskoczył na wyboju. Dziadek uderzył głową o coś metalowego. Śniło mu się, że jest mały i odłamkiem cegły strąca ze słupka w płocie puszkę po zupie. Zbudził się. Świeże błoto spod opon zbryzgiwało stary śnieg na poboczach drogi biegnącej wzdłuż szerokiego strumienia albo wąskiej na tym odcinku rzeki. Powiedzmy, że Ruhry. Na drugim brzegu widać było szczątki toru kolejowego. Szyny zmasakrował ostrzał z armat lub bomby lotnicze. Wymagały naprawy. Mieli się nią zająć saperzy, kiedy wreszcie rozstrzygną dylemat: zaminować czy rozminować.

Dziadek już prawie trzy dni nie jadł. Od wylotu z Londynu ani razu nie spał dłużej niż cztery godziny. Był odwodniony. Trwał chyba w stanie opóźnionego, jeśli nie wręcz narastającego szoku. Myśl, że saperzy z Pięćdziesiątej Trzeciej dostaną wkrótce rozkaz naprawienia torów na drugim brzegu Ruhry, zmieszała się ze wspomnieniami niegdysiejszego szkolenia w bazie korpusu saperów w Illinois. Akurat w tamtej chwili nie mógł znieść myśli, że ktoś da mu do ręki drewniany młot albo kilof i zagoni do roboty. Tyle było tych zmaltretowanych szyn, a Berlin wciąż tak daleko.

Znów zapadł w sen. Obudził się na siedząco, oparty o poduszki w najmniejszym łóżku i najczystszej pościeli w całym Niemczech. Obok łóżka siedział ojciec Nickel, paląc papierosa z przydziałów armii amerykańskiej. Boskie łóżko wbudowane było w alkowę przyległą do oświetlonej świecami izby – jedynej w tym domu,

jak się potem okazało. Alkova zajmowała czwartą część powierzchni mieszkania – tyle samo co kuchnia z paleniskiem, drewnianym stołem i krzesłami. Resztę wypełniały książki w skrzyniach i stosach. Wygnańcze królestwo książek, pospiesznie ewakuowane po zawaleniu się kościoła Świętego Dominika, biblioteka na uchodźstwie.

– A – westchnął ojciec Nickel, widząc, że dziadek się obudził. – Otóż i on.

– Hej! – O podłogę zgrzytnęła noga krzesła. Spośród migotliwych cieni wychynął Diddens.

Twarz przesłaniał mu woal pary unoszącej się nad miską potrawy z kury, którą trzymał w ręku. W drugiej ręce dzierżył stalową łyżkę. Potrawka pachniała liściasto, łąkowo, prawie miętowo. Kiedy dziadek na nowo odkrył tę woń w daniach mojej babki, okazało się, że pachnie tak zioło zwane cząbrem.

– W porządku, Rico? – spytał Diddens.

– Nie narzekam – odparł dziadek. – Jak twoja stopa?

– Starsza pani mnie połatała.

– Tak?

– No. Nazywa się Fräulein Judit.

Dziadek skinął głową w stronę potrawy.

– Smaczna?

– O, bardzo – rzekł Diddens. Trochę mu się przy tym załzawiły oczy.

– Spokojna głowa, poruczniku, zostawiliśmy panu dość – wtrącił Gatto, zgarbiony przy stole nad swoją miską. – Radzę spróbować.

Z rozpościerającego się za Gatterem mroku wyłoniła się mniejsza, tętsza i starsza wersja ojca Nickla w ciemnej chustce na głowie. Wyciągnęła do dziadka ręce, w których trzymała miskę i łyżkę.

– Może za chwilę, proszę pani – rzekł dziadek, kiwając głową staruszce. Jej nos i uszy wyglądały, jakby ugnieciono je z kawałków ciasta chlebowego, a zamiast oczu miała dwa ciemne rodzynki w wydłubanych w cieście otworkach. – Dziękuję.

– No właśnie, za chwilę – warknął ojciec Nickel. Zaraz jednak

złagodził ton, zwracając się do dziadka. – Najpierw coś bardzo przyjemnego.

Stary kapłan siedział dotąd na kufrze przytасzczonym z cmentarza. Ukucnął teraz przy nim tak, jak wcześniej przy Aloisie, gdy ten umierał na ulicy. Z widoczną delikatnością podniósł wieko. Sprawdził zawartość. Kiedy wychylił się z za wieka, trzymał w ręku zieloną przysadzią flaszę z długą szyjką.

– Koniak – oznajmił, wymawiając to słowo z uszanowaniem i z francuska. – Przecudowny koniak.

Podał dziadkowi butelkę. Etykietkę zdobiły motywy heraldyczne i litery kancelaryjnego kroju, jakie widywało się na dyplomach i banknotach funtowych: francuskie wielosłowie. Chude lwy o łajdackim wyglądzie podtrzymywały z dwóch stron czwórdzielną tarczę herbową. Trunek pochodził z roku 1870.

– Sprzed filoksery – stwierdził dziadek.

Ojciec Nickel znów usiadł na kufrze. Ubłocony rąbek sutanny podjechał do góry. Podeszwy czarnych butów z cholewkami były dziurawe, połatane papą. Zrobione na drutach podkolanówki wyglądały dziwnie wesoło. Mógłby takie nosić dziadek w Heidi.

– Zgadza się – przytaknął. – Tuż sprzed. So, interesuje pana?

– Czysto naukowo – powiedział dziadek. Pokręcił głową i oddał butelkę ojcu Nicklowi. – Ale proszę się częstować, ojczu.

Ojciec Nickel przez chwilę jakby się zastanawiał, czy się nie obrazić.

– Myśli pan, że zatrujęm.

– Chcę popatrzeć, jak ktoś się nim należycie delektuje – wyjaśnił dziadek.

Ojciec Nickel wyjął ze stojącego przy stole kredensu owalny kieliszek z szeroką stopką. Do połowy napełnił go koniakiem. Pociągnął długi łyk. Rozkosznie westchnął. Zanim znów pochylił głowę w stronę dziadka, zdążył chyba wybaczyć zniewagę.

– Pańscy koledzy są nazbyt ufni – powiedział. – Zjedli zupeł. Napili się wina.

Stary ksiądz nalał koniaku do drugiego kieliszka i podał go dziadkowi. Diddens i Gatto wzniesli swoje kieliszki. Na stole stała między nimi ciemnozielona butelka wina. Jeżeli wydobyto ją

z ziemi razem z koniakiem, musiała zawierać specjał nie lada. W każdym razie Diddensowi i szoferowi napój wyraźnie smakował.

Dziadek upił łyczek. Koniak spłynął mu do gardła ze skwierkiem i żarem, jak pierwsze tęgie sztachy dymu przy zapalaniu cygara. Ten prażący, jakby tytoniowy posmak zastąpiło po chwili coś między masłem a orzechem włoskim, nim na języku słodko-gorzko zamusowało gejzerem olejku z rozgniecionej skórki grejpfruta.

– No i?

– Cudowny – przyznał dziadek.

– Istny skarb, prawda? – Stary ksiądz postukał w kufer między swoimi nogami. – Reszta niewiele jest warta. Trochę starych sreber. Teleskop. Złota monstrancja. Stara Biblia oprawiona w skórę tura. Piękna, lecz tak krucha, że nie da się jej otworzyć, a co dopiero czytać. Wszystko to są ludzkie dzieła. Ale koniak... – Ojciec Nickel pociągnął jeszcze jeden długi łyk. Nie musiał kończyć zdania. Na twarzy wypisaną miał wiarę w boskie pochodzenie winiaku z Szampanii.

– A relikwia? Kość Świętego Dominika?

– No, owszem – przyznał ksiądz. – Jego lewe strzemiączko. Niewątpliwie, niewątpliwie. Zaiste drogocenny skarb. – Mówił to z połowicznym przekonaniem, machinalnie głaszcząc butelkę koniaku.

– I teleskop – powiedział dziadek. – Dobrze słyszałem?

– Tak, mój synu.

– Czy to też relikwia? Jakiś święty teleskop?

– Nie, to teleskop Zeissa. Moja osobista własność. – Ksiądz się uśmiechnął. – Nie chciałem, żeby wpadł w ręce wroga. – Nalał sobie jeszcze kieliszek koniaku, którym napełniono baryłkę przed siedemdziesięcioma pięcioma laty.

– Jest ksiądz astronomem?

– Amatorem – sprostował ojciec Nickel. – Mam na koncie parę przyczynkarskich obserwacji. Głównie Księżycą.

– Ja też interesuję się astronomią.

– Obok chorób winorośli.

- No właśnie.
- A więc i tobą, mój synu, opiekuje się Święty Dominik.
- Jak to?
- Święty Dominik de Guzmán patronuje astronomom – z nieco melancholijną miną rzekł stary ksiądz. – Wolałbym nie ryzykować domysłów, ile w obecnej chwili warta jest ta opieka.

XIV

Żołnierze spali w łóżku, zajmując po jednej trzeciej tego nieba. Staruszka i ksiądz wylądowali w stodole. Diddens starał się tak wyskalować ilość wypitego wina, żeby zniwelować nim ból w stopie. Szeregowiec Gatto podjął się przeprowadzić coś w rodzaju zwiadu, aby ustalić, gdzie kończy się znieczulenie, a zaczyna zwykłe opilstwo. A teraz dziadek leżał wpatrzony w ciemność, podczas gdy Gatto i Diddens na zmianę wciskali klawisze i pedały organów, które widocznie przemycili do łóżka. Ilekroć na parę minut milkli, słyszał tylko szum w uszach, a niekiedy huk nocnych bitew, dobiegający jakby z bardzo daleka. To oddalenie wcale go jednak nie pocieszało. Co prawda nauczył się już przyjmować z wdzięcznością to, że gdy śmierć siada wokół niego jak stado ptaków, wybiera innych ludzi, a jego omija. Wdzięczność ta nie miała jednak w sobie nic radosnego.

Po dwóch czy trzech godzinach dał wreszcie za wygraną. Wymotał się z płataniny kończyn Gatta i Diddensa, wstał z łóżka i wyszedł z alkowy. W głębokich wiejskich ciemnościach znalazł po omacku swoje spodnie, buty i czyjś płaszcz. Wieczorem zachód słońca wróżył przejaśnienie, więc dziadek postanowił otworzyć kufer i odszukać teleskop, o którym wspomniał stary ksiądz. Przedni górny kant kufra namacał piszczelem. Ukląkł i poszukał zamka. W końcu jednak nie odważył się podnieść wieka, czemuś onieśmielony bliskością strzemiączka Świętego Dominika de Guzmán. Wyszedł na podwórko między stodołą a domem. Ojciec Nickel garbił się na wysokim taborecie, mierząc teleskopem w niebo.

Taki miastowy chłopak jak mój dziadek zawsze dostrzegał zaledwie mizerny ułamek tych z grubsza licząc pięciu tysięcy gwiazd, o których wiedział, że widać je gołym okiem. Nawet w Rapides było wystarczająco dużo rozproszonego sztucznego światła, aby nikło w nim prawdziwe szaleństwo niebios. Za to

w pogodną noc na wsi podczas zaciemnienia między przelotami bombowców, kiedy nie strzelano smugaczami i gasły szperacze, gwiazdy nie tyle wypełniały niebo, ile pokrywały je jak szron szybę. „Człowiek zadzierał głowę, widział nad sobą *Gwiazdzistą noc* i nagle rozumiał, że Van Gogh był malarzem realistą”, powiedział mi dziadek.

Lecz gdy tamtej nocy dotrzymywał ojcu Nicklowi towarzystwa przy teleskopie, gwiazdy tonęły w olśniewającym blasku księżycy w pełni. No i oczywiście spora połać Westfalii stała w płomieniach. Nocny nieboskłon zasnuwała pajęczyna dymu.

– Powinien pan wypocząć.

– Niewątpliwie.

Dziadek sięgnął do lewej bocznej kieszeni płaszcza i znalazł w niej karton z dziesięcioma paczkami lucky strike'ów. Czyli był to płaszcz Gatta. Rozdarł jedną paczkę i poczęstował ojca Nickla. Nie mieli ognia. Dziadek zakradł się z powrotem do domu ze źdźbłem słomy i wetknął je w tłący się w piecu żar. Zapalił papierosa, a potem jeszcze jednego dla księdza i wrócił z nimi do teleskopu. Wpatrywali się w księżyc, wiszący jak lustro na niebie.

– Pozwoli pan, że mu pokażę swoją górkę – rzekł ojciec Nickel.

Dziadek zgarbił się nad okularzem teleskopu. Urządzenie było stare, ale znakomitej jakości i pieczołowicie zadbane. Ojciec Nickel nałożył na okular specjalny filtr, żeby blask mniej oślepił. Uzyskał dzięki temu uderzająco szczegółowy obraz. Promienie kraterów były ostre jak rysy rozgwieżdżające pęknięte lustro. Krawędź księżycowego dysku szczyrzyła zęby niczym ostrze piły tarczowej. Gdzieś pośrodku łańcucha Montes Apenninus zdaniem starego księdza wznosiła się malutka Mons Gallienus.

– Widzi pan Mons Huygens? – zapytał duchowny. – Zna ją pan?

– No... tak, widzę.

– Proszę spojrzeć o jakieś trzy stopnie na południowy wschód. Zobaczy pan tam cień, szarą plamę. Według mnie przypomina odcisk jeleniej racicy.

– Zgadza się.

– To teraz proszę popatrzeć mniej więcej o dwa stopnie na północny wschód.

- Dobra.
- Tam właśnie jest.
- Owszem.
- Wygląda prawie jak zwieńczona blankami.
- A.
- Widzi pan?
- Tak.

Ojciec Nickel cmoknął językiem.

- Nie widzi pan – stwierdził nie bez odrobiny goryczy.

Właściwie to wskutek obrotu Ziemi obraz księżyca zdążył już ulecieć z okularu. Pora była przestawić teleskop.

– Oczywiście, że widziałem – upierał się dziadek. – „Zwiewczona blankami” to wyjątkowo trafne określenie.

Ojciec Nickel chrząknął. Odpalili kolejne papierosy od żaru niedopałków i zaciągnęli się dymem, patrząc na księżyc bez pomocy teleskopu. Dziadek zadrżał z zimna, więc szczelniej okutał się płaszczem Gatta. Z domu trochę było słycać chrapanie. W kurniku na końcu podwórka ostatni lokator – samotny kogut – coś do siebie mamrotał, towarzysząc dziadkowi i księdzu w bezsenności. Dziadek usłyszał szmer, jakby szum wiatru w koronach drzew, ale powietrze było nieruchome, więc po chwili doszedł do wniosku, że to pewnie szumi rzeka, którą po drodze przelotnie ujrzał z tylnego siedzenia jeepa. Wojnę, dudnienie armat nie tyle słyszał, ile czuł jako pulsację w zawiasach żuchwy. Wziąwszy długie milczenie ojca Nickla za przejaw urażonych uczuć, pożałował, że nie udało mu się wypatrzeć Mons Gallienus, i już miał za to przeprosić, lecz okazało się, że stary ksiądz jest myślami gdzie indziej.

– W latach dwudziestych panowało tu raketowe szaleństwo – powiedział. – W Niemczech. W gazetach i czasopismach pełno było raket. Miały dostarczać pocztę. Latać na Księżyc. Fritz Opel skonstruował raketowy samochód. Każdy majster-klepka i szarlatan wybierał się na podbój Księżycy.

Dziadek napomknął o książce Hermanna *Obertha Die Rakete zu den Planetenräumen* z roku 1923, którą znalazł w bibliotece BSS, kiedy był podwładnym Lovella. Ukoła targające nim

zniecierpliwienie, wywołane bezpiecznym i wygodnym życiem z dala od frontu, które wydawało mu się najgorszym z możliwych losów.

– Chyba właśnie od jego książki to wszystko się zaczęło – rzekł ojciec Nickel. – Cały ten raketowy obłąd. Hermann Oberth, tak, wybitny człowiek, bardzo nowoczesny myśliciel. – Po czym dodał takim tonem, jakby to była logiczna konkluzja: – Teraz na pewno już nie żyje. – Przy słowach todt ist ksiądz dwukrotnie puknął palcem w papierosa, strząsając wraz z popiołem rozżarzone pomarańczowo nitki tytoniu. – Oberth współpracował z Fritzem Langiem, tak? Nakręcili film *Frau im Mond*. Pod wieloma względami głupi, ale technicznie imponujący. Szczegóły podróży rakieta przedstawiono w taki sposób, że cała sprawa wyglądała prawdopodobnie. Wcale nie jak z motyką na księżyc. No i właśnie po tym filmie, ojej. – Ksiądz pokręcił głową. – Przez pewien czas Niemcy z lewa, z prawa, wszystko jedno. Każdy wznosił oczy choćby tylko na chwilkę ku niebu. – Stary ksiądz spojrzął przez zmrużone powieki na pałającego satelitę. – Poważnie dyskutowano o tym, że loty na Księżyc zaczną się lada dzień. Czuło się, że może się to zdarzyć całkiem niedługo, najdalej za kilka dziesięcioleci. A już na pewno ja tak czułem²⁷.

Dziadek we wczesnych latach trzydziestych widział ten film Langa, wyświetlany w Stanach pod tytułem *Rakieta na Księżyc* w Model Theatre na South Street. W filmie tym do przelotu posłużyła rakieta wielostopniowa – ściśle według proroczego, jak się okazało, opisu Hermanna Obertha z *Die Rakete zu den Planetenräumen*. Zagadnienia ładunku użytecznego, przyciągania ziemskiego i stanu nieważkości w przestrzeni kosmicznej przedstawiono i rozwiązano przemyślnie i przekonująco.

27 W rzeczywistości Oberth, który dostał Kriegsverdienstkreuz (mit Schwertern) za bezprzykładną odwagę podczas zmasowanych nalotów z roku 1943 na Peenemünde w ramach operacji Hydra i po ich zakończeniu, wyemigrował po wojnie do Stanów, gdzie uczestniczył w programach raketowych Atlas i Saturn, został wybitnym prekursorem ufologii, a po przejściu na emeryturę wrócił do Niemiec, gdzie umarł w wieku dziewięćdziesięciu pięciu lat, czyli przeżył mojego dziadka o osiem miesięcy.

Gdyby dziadkowi, który miał wtedy osiemnaście czy dziewiętnaście lat, przy wyjściu z kina w tamto zimowe popołudnie (akurat gdy światowy kryzys sięgał dna) oznajmiono, że podbój Księżyca nastąpi dopiero za kilka dziesięcioleci, przepowiednia ta wydałaby mu się absurdalnie pesymistyczna.

– To był świetnie zrobiony film – przyznał.

– Sporządziłem w tamtych latach memorandum – podjął stary ksiądz. – Napisałem do kurii, stawiając tezę, że Kościół jako nasza Matka winien się przygotować na wypadek, gdyby na Lunie zagościli ludzie. Twierdziłem, że kiedy ludzkość zdobędzie ów sąsiedni świat, będzie to musiało nasunąć głębokie pytania we wszystkich dziedzinach, od liturgii począwszy, a na eschatologii skończywszy. Bo czy na przykład papieska doktryna odkrycia dotyczy Księżyca, tak jak dotyczyła Indii w czasach Kolumba? Jaki los czeka dusze pierwszych katolickich kolonistów na Księżycu (których początkowo prawie na pewno będzie zaledwie garstka), jeżeli sakramenty, komunie święta, spowiedź i cała reszta pozostaną dla nich niedostępne? Kiedy mówimy *Rex mundi* lub *Salvator mundi*, czy należy wyraźnie powiedzieć, że myślimy *Salvator mundorum*, czy też rozumie się to samo przez się? A gdybyśmy napotkali Selenitów, chociaż to raczej wykluczone, skoro Księżyc na oko wydaje się jałowy, ale tak czy owak – powiedzmy, że ludzkość posłuży się nim jako stacją przesiadkową i wyruszy w dalszą drogę ku Marsowi, gdzie zostanie czujące, cywilizowane istoty. Przyjmijmy też... Cytuję tu samego siebie, pojmuje pan, przytaczam słowa swojego memorandum.

Dziadek potwierdził, że tak właśnie to rozumie.

– Przyjmijmy zatem, że zewnętrzną postacią, a nawet budową narządów wewnętrznych Marsjanie nie tak znów bardzo się od nas różnią. Bezsprzecznie są częścią stworzenia Bożego. Zapewne mają nieśmiertelne dusze. Czy ich zbawienie może być gwarantowane lub choćby do pomyślenia w świecie, którego Chrystus nigdy nie tknął stopą? A jeżeli wydaje się ono do pomyślenia, my zaś moglibyśmy je zagwarantować, czy nie jest naszym pilnym i uroczystym obowiązkiem co rychlej przenieść

Słowo Boże przez czarną czeluść niewiedzy i potępienia? I tak dalej w tym duchu.

- Ciekawe – stwierdził dziadek.
- O? Naprawdę tak pan uważa?
- Zwykle obchodzę się bez takich dociekań, ale...
- To były same bzdury.
- A.

– A raczej pretekst. Wstawiłem tam wszelkie banialuki, jakie zdołałem wymyślić, każdy sofizmat zdolny przekonać kurie, żeby wykorzystwała swoje niemałe możliwości w celu wysłania świętej misji na Lunę. Jak już wspomniałem, taka podróż wcale nie wydawała się wtedy niemożliwa ani niewykonalna. Wyglądało na to, że jest tylko kwestią czasu. Oczywiście zgłosiłem się do roli kapelana tej misji, mimo swego wieku. Byłem silny i zdrowy. Wciąż zresztą jestem, jak na swoje lata. A polecieć rakieta przez kosmiczną próżnię na Księżyc niby bohater Verne'a albo Wellsa? Stać tam i popatrzeć w niebo na opasły turkusowy glob? Powołanie do stanu duchownego poczułem dopiero jako dwudziestoparolatek. A o wyprawie na Księżyc marzyłem całe życie!

Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów (które jednak nie mogły sięgać wstecz dalej niż pięć tygodni, zaczęły się bowiem dwie lub trzy minuty przed tym, jak Alwina Aughenbaugha trafiła zabójcza kula) dziadek się roześmiał.

– Proszę się śmiać do woli – z ostentacyjną wielkodusznością rzekł ojciec Nickel. – Proszę wyśmiać starego głupiego wroga.

Dziadek zobaczył, że w oczach księdza wzbiera księżycowa poświata. Położył mu dłoń na ramieniu.

– Jest między nami tylko ta różnica, ojczu – powiedział – że ja nigdy tego wszystkiego nie spisałem.

XV

Gdzieś za odlaną z hartowanego szkła przyłbicą hełmu zadźwięczał dzwon pożarowy. Dziadka to jednak nie dotyczyło. Nie było tam przecież tlenu, który mógłby podsycić płomień lub przenieść drgania serca dzwonu. Żadnych wrogów oprócz zimna i ciszy. Ale dziadek nie marzył w księżycowym skafandrze i słyszał bicie własnego serca. Sadził długimi susami po powierzchni Księżycy, półtora miliona kilometrów od Ziemi, jej pożarów i alarmów. Niech płonie. Niech stopnieje, niech runą jej krokwie, niechaj się cała zawali pod żalonym brzemieniem własnej grawitacji. Księżycową sielankę zakłócało tylko piekielne swędzenie karku w miejscu przypięcia hełmu i nie sposób było się podrapać, bo skafander i rękawice z gumowanego jedwabiu krępowały ruchy. A jeszcze ten mocny zapach sprężonego powietrza z butli na plecach, dziwnie podobny do odoru ciepłego obornika...

– Herr Lieutenant.

Dziadek otworzył oczy w ciemnościach. Niedawne poruszenie wśród krów na dole wciąż rozbrzmiewało dźwiękiem ich dzwonek. Źdźbło ze snopka słomy zastępującego poduszkę kłuło dziadka w kark. Na tle mroku widać było głowę i szyję ojca Nickla, który zaglądał znad krawędzi stryszku, zaciskając dłonie na szczeblu drabiny. Dziadek podrapał się po karku. Cieszył się z nieoczekiwanej pobudki, bo zawsze gardził szczęściem znajduwanym we śnie i miał sobie za złe, że znów na nie się nabrał.

– Przepraszam, że budzę, Herr Lieutenant.

W załamkach głosu księdza coś się kryło. Dziadek usiadł, otrząsając się z ostatnich pasemek księżycowej pajęczyny.

– Diddens? – zapytał.

– Śpi. Szeregowiec Gatto też. Obaj dobrze się mają, proszę się nie obawiać.

Dziadek rozejrzał się za staruszką. Kiedy przed paroma godzinami wdrapał się na stryszek, daremnie starał się nie obudzić Fräulein Judit. Przeprosił, a ona z kolei w dźwięcznym miejscowym dialekcie przeprosiła go za niegrzeczność swojego brata, mówiąc o nim „mały pasza”. Powiedziała, że ojciec Nickel urodził się jako beniaminek i polubił tę rolę, więc nigdy nie chciało mu się z niej wyrosnąć. Świecący przez szparę księżyc malował w oczach staruszki dwie swoje podobizny.

– Umrze i po drodze ani razu się nie prześpi na niczym innym niż gęsi puch – zakończyła gospodyni.

Dziadek zapewnił ją, że sam zaproponował zamianę miejsc.

– Łóżko jest dużo za wygodne – powiedział.

I chyba była to prawda, bo gdy tylko przykrył się płaszczem Gatta, natychmiast zapadł w sen, zdradliwy jak one wszystkie. Nawet nie zauważył, kiedy Fräulein Judit wypęzła spod koców i zlazła po drabinie.

– Poszła naciągnąć wody – rzekł ojciec Nickel. – Zanim wrócimy, będzie czekała ze śniadaniem.

– Tak? – zdziwił się dziadek. – To my się dokądś wybieramy?

– Zależy od pana.

Dziadek po ciemku nie widział wyrazu twarzy ojca Nickla. Z głosu księdza też trudno było coś wyczytać. Oczekiwanie równie dobrze mogło być wątpliwością, a zniecierpliwienie – szelmostwem. Stary kapłan mówił takim tonem, jakby postanowił wyświadczyć dziadkowi przysługę, ale bał się, że jeszcze zdąży jej pożałować.

– Chodźmy – powiedział. – Mam dla pana prezent. Chcę coś pokazać.

Ojciec Nickel wolno zszedł po drabinie. Dziadek sięgnął po buty i przyciągnął płaszcz Gatta do krawędzi stryszku. Przerzucił nad nią nogi, ale zaraz znieruchomiał, siedząc na górnym szczeblu drabiny. Rozsądek, rozwaga i doświadczenie odbyły naradę i doszły do wniosku, choć nie bez żalu, że od tej chwili noc zdecydowanie zmierza ku totalnemu spierdoleniu. Bez względu na to, z jak starej flaszy nalano mu koniaku i ile kur okupiło życiem potrawkę, którą zjadł, wciąż trwała wojna. Ojciec Nickel

był wrogiem.

– Przykro mi, ale jeżeli ojciec natychmiast nie powie...

– To rakietą, durniu! – zawołał stary ksiądz. – Rakietą, do cholery!

Dziadek zszedł z antresoli i włożył płaszcz Gatta. Krowy rozstały się ze szczękiem rondli i wśród bydłych pierdów. Stary ksiądz wyszedł przed stodołę. Dziadek ruszył za nim, zastanawiając się, czy aby nie postradał tego wężu, dzięki któremu zawsze dotąd wyczuwał podejrzane sytuacje.

Noc godzinę przed świtem była bardzo zimna. Dziadek zapiął płaszcz i wbił ręce w kieszenie. Ojciec Nickel zmierzał chyba w stronę budynekczku w głębi obejścia, który wyglądał jak garaż. Dziadek trochę się rozluźnił. Stary ksiądz chciał mu zapewne pokazać raketę własnej roboty. Paliwo stałe, zapłon bateryjny, kadłub z kawałka rury według projektu z pisma „Popular Mechanics”. Dziadkowi zaczęła się układać w głowie cała fabułka. Przez rok, dwa lub pięć stary ksiądz czekał na odpowiedź z kurii. I właśnie gdy nadzieja zaczęła ustępować miejsca rozczarowaniu, natrafił w jakimś czasopiśmie albo w niedzielnej gazecie na artykuł pod tytułem *Fascynujące nowe hobby: amatorskie raketnictwo*. Szczegółowe wskazówki, fotografie obrazujące krok po kroku proces konstrukcji, wykaz materiałów. Stary kapłan, niby grupa wygnańców odtwarzających na kilku kwaterach ulic zabraną im ojczyznę, mógł w miniaturze ziścić utraconą nadzieję, zmajstrować redukcyjny model swojego marzenia. A na te nocne podchody wyciągnął dziadka dlatego, że po wybuchu wojny nazistowskie Niemcy podobnie jak Anglia zakazały amatorskiego raketnictwa. Dziadek poczuł świeży przypływ sympatii do starego samotnego humanisty, który co noc zaszywał się u siostry w garażu, aby konstruować (przynajmniej w wyobraźni) środek transportu i ucieczki.

Zanim jednak doszli do starego garażu, ojciec Nickel w ostatniej chwili raptem skręcił w prawo. Minął ruiny chlewu, przysadzistą cysterne i ogród, w którym grządki jeszcze od jesieni przykryte były płachtami juty. Las na skraju gospodarstwa zdawał się ciągnąć hen, w nocną dal. Sosny i jodły stały zwartą gęstwiną,

jakby się zmówiły zatrzymać blask księżyca, własną piersią zasłaniając głęboką ciemność. Ojciec Nickel skierował się prosto w stronę lasu i ciemności. Jakiś kaprys księżycowej poświaty nasunął spłoszonej nagle fantazji dziadka wrażenie, że drzewa zaledwie przed chwilą wszystkie naraz zatrzymały się w pół kroku. Wionęło od nich czymś, co można by nazwać zniecierpliwionym wahaniem. Dziadek przystanął. Połowę amerykańskich żołnierzy, którzy zginęli lub zostali ranni po lądowaniu w Normandii, zguba spotkała właśnie w takich lasach.

– Co to za rakietka? – spytał dziadek. – Czyja?

– Twoja, mój synu – odparł ojciec Nickel. Widząc, że dziadek nie rusza się z miejsca, dodał: – Słuchaj. Wiem, że polujesz na rakietki.

„Teraz? – spytały doświadczenie, rozsądek i rozwaga. – Jezu, na co jeszcze czekasz, idioto?”

Gatto w lewej dolnej kieszeni płaszcza trzymał karton lucky strike'ów. W prawej, jak się okazało, nosił wyszabrowanego walthera PPK o rekinim uśmiechu. Dziadek nigdy nie miał w ręku tej broni. Czuło się drzemiący w niej mord.

Nie powiedział staremu księdzu ani słowa o swojej pracy czy też zadaniu – chyba że coś mu się wypsnęło przez sen. Owszem, w powieściach szpiegowskich i romansach zdarzały się takie rzeczy – mamrotane rewelacje o spiskach, cudzołóstwach i zbrodniach – ale dziadkowi zawsze wydawały się nieprawdopodobne. Były tworem wyobraźni powieściopisarzy i scenarzystów, tak jak całkowita amnezja albo walka wręcz między mężczyznami uzbrojonymi w broń palną. Dziadek wiedział z doświadczenia, że to, co ludzie mówią przez sen, jest jeszcze mniej zrozumiałe niż widoki, które wtedy oglądają. A zresztą prawie zawsze śnił po angielsku i tylko czasem pojawiała się w tych snach jego matka, żeby powiedzieć parę słów w jidysz. Trudno było sobie wyobrazić, że w ogóle gadał przez sen, a co dopiero po niemiecku.

Nie wiedział jednak, z czym mógł się wysypać Diddens albo Gatto, oszołomiony potrawką z kury i winem. Duchowny z wieloletnim doświadczeniem umiał zapewne bez specjalnego wysiłku skłaniać ludzi do spowiedzi.

– Najmocniej przepraszam. – *Entschuldigung*, od zawsze najmilsze uszom dziadka ze wszystkich niemieckich słów. Hen, na północy i północnym wschodzie trwała wojna, a on czuł jej puls w skroniach i zawiasach żuchwy jak zapowiedź nadciągającego bólu głowy. – Muszę niestety zażądać wyjaśnień, dokąd mnie ojciec prowadzi. Natychmiast.

Przy świetle księżycy dziadek nie mógł być pewien, czy wzrok go nie myli, a wyrzuty sumienia lub nagromadzona przez czterdzieści lat retrospektywna tkliwość też niewątpliwie miały wpływ na wrażenie, o którym mi opowiedział: otóż wydało mu się, że na widok pistoletu w jego dłoni ojciec Nickel zrobił zdruzgotaną minę. Ale ksiądz tylko skinął głową, a gdy znów się odezwał, mówił cierpliwym, wyrozumiałym tonem.

– Zimą, wie pan, w grudniu albo w styczniu zaczęli puszczać tędy pociągi. Chyba skądś w Górach Harzu na dworce kolejowe w Soest, a stamtąd na zachód. Gdzieś po drodze przetaszczali ładunek na platformy specjalnych ciężarówek, maskowali siatką i podwozili tam, skąd mógł dolecieć do Antwerpii i oczywiście do Londynu. Pociągi przed skrętem ku zachodowi zbaczały aż tu na południe, strasznie okrężną drogą, prawda? Widocznie prostsze trasy już wcześniej zbombardowano. A jak się zaczął odwrót z Belgii, to już nie było innego dojazdu. Z czasem powstał chaos w okolicy Soest, bo tam doszło do straszliwie ciężkich bombardowań. Jeżdżące tędy pociągi często musiały robić postoje. Wzdłuż rzeki, do której idzie się stąd prosto w dół, biegnie bocznica. Stały tam i czekały godzinę albo i dwie. Aż tu pewnej nocy pociąg ruszył dalej, a jedna została. Porzucono ją. Do dziś nie wiem dlaczego. Widać ucierpiała podczas transportu albo stwierdzono usterkę. One na pewno są delikatne. Tak jak wiele śmiercionośnych rzeczy. Chodźmy.

– Twierdzi ksiądz, że za tym lasem jest V-2.

– Tak.

– Nietknięta rakietą V-2.

Jeżeli ksiądz mówił prawdę, byłoby to wedle wiedzy mojego dziadka pierwsze trofeum z „Czarnej listy” zdobyte przez którąkolwiek z ekip oddelegowanych do tego zadania. Cenny łup.

– Tak, tak!

– Trzeba przejść przez las.

– A potem ze wzgórza. Jest ścieżka, a śnieg już stopniał, więc to drobiazg, może ze dwadzieścia minut spaceru dla takiego młodego człowieka. Potrwa dwa razy dłużej, bo będę przy panu chromał. Ruszajmy.

Zanim dziadek podążył śladem księdza (którego wychowanka i ukochanego zakrystiana raptem parę godzin wcześniej zamordował) prosto w ciemność za gęstwą drzew, spojrzał jeszcze w górę – kto mógł wiedzieć, czy nie ostatni raz w życiu – na gwiazdy. Księżyc już zaszedł, więc znów zawładnęły bezmiarem nieba.

O tej porze w całej Europie, a przynajmniej wszędzie tam, gdzie niebo było przejrzyste, ludzie, którzy wierzyli, wiedzieli, bali się lub mieli nadzieję, że czeka ich rychła śmierć, patrzyli w gwiazdy. Od Finlandii po Bałkany, od Morza Czarnego aż do wrót Afryki, w całej Polsce, na Węgrzech i w Rumunii. Przez akrylowe szkło albo okulary dla krótkowidzów. Przez płataninę drutów kolczastych, strzelnicę, krzyżujące się smugi rac, luk wysadzonego w powietrze czołgu M1. Na stojąco, kuśtykając, na klęczkach. Ginąc nagłą śmiercią lub ratując się ucieczką. W szczerym polu, w ulicznych rynsztokach i okopach. Na kupie gruzu, w świeżo wykopanym rowie, na tureckim dywanie w domu bez dachu, na pokładzie pływającego okrętu.

Niektórzy z pewnością wypatrywali między gwiazdami oblicza Boga. Wielu dostrzegało tylko to, co rzeczywiście było tam widać: zwykły rozprysk światła, zimnych i dalekich. Dla części z nich niebo mogło być wykresem z arabskimi i łacińskimi napisami – ciemną skórą, tatuowaną w przedmioty codziennego użytku i legendarne stwory. Co najmniej jeden człowiek, spoglądający w gwiazdy ze skraju lasu w Westerwaldzie, widział archipelag atomowych palenisk w morzu próżni – wszechkierunkowe wektory przyspieszeń, promieniujące z hipotetycznego punktu źródłowego, o miliardy lat wcześniejszego niż ludzkość, tak samo niewzruszone wobec ogólnoswiatowej rzezi, zmechanizowanej i masowej, jak wobec śmierci jednostki.

Tym właśnie torem biegły myśli mojego dziadka, a on znalazł w nich zarówno pociechę, jak i wskazówkę. Mógł zaufać ojcu Nicklowi albo pozostać nieufny: gwiazdom wynik tak czy owak nie sprawiłby żadnej różnicy. Czemu więc nie spróbować na tę jedną noc zdjąć z barków męczącego brzemienia nieufności? Powiedzmy na godzinę, nie dłużej. Tylko na tak długo, żeby zobaczyć raketę. A potem znów dźwignąć brzemię.

– I co było dalej? – spytałem. – Co zrobił ksiądz?

Wiedziałem już to i owo o obyczajach południowej Filadelfii i świata, który dla dziadka był otaczającym ją makrokosmosem. Spodziewałem się zdrady, pecha, spłaty długu za cenę zaciągnięcia nowego.

– Pokazał mi raketę – rzekł dziadek.

– V-2. Zobaczyłeś raketę V-2.

– Żeby jedną. Od tej się zaczęło.

– No i?

– Co i?

– Jaka była?

Dziadek zacisnął usta i obrócił twarz ku oknu. Tak długo rozmyślał nad moim pytaniem, że zacząłem się zastanawiać, czy aby go nie zapomniał.

– Była wysoka – oświadczył w końcu.

– Wysoka?

– Stary twierdził, że taka jak wieża jego kościoła.

– Dobra – powiedziałem. Nie sądziłem, że były aż tak wysokie. – Ale ja pytam... jak się wtedy czułeś? Co sobie myślałeś?

– Nie wiem, jak to ująć.

– Byłeś rozczarowany?

– Wręcz przeciwnie.

– Bałeś się?

– Czego? Przecież nigdzie nie leciała.

Dotarło do mnie, że dziadek nigdy zbyt nie wysiłał, żeby wyrazić rozczarowanie czy strach. Jedno i drugie można było zawrzeć w prostych słowach i pójść dalej.

- Byłeś szczęśliwy, że ją widzisz? – spytałem.
- Chyba lekko go zaskoczyło to słowo.
- Tak jakby – przyznał.

Na dziecięcych rysunkach wszystkie domy mają kominy, każda mała je banana i nie ma innych rakiet niż V-2. Wprawdzie już od kilkudziesięciu lat kursują wielostopniowe behemoty, masywne orbiter, kosmoloty, nowoczesny jak na połowę zeszłego stulecia wahadłowiec Enterprise, monumentalne wielościany niszczycieli gwiazdnych typu Imperial, sześcienny Borg i ortocyklenowy dysk Sokoła Millennium, lecz w najgłębszych otchłaniach naszej wyobraźni na najbliższą planetę wciąż jeszcze najpewniej da się dolecieć smukłym cygarem z głowicą w kształcie spiczastego stożka, zawieszonym na czubkach czterech stateczników skierowanych ku tyłowi. Zanim do mojej świadomości dotarł sam fakt istnienia rakiet (a przecież wychowałem się w szczytowym okresie wyścigu o podbój kosmosu, wśród działających i redukcyjnych modeli, które wytwarzała firma dziadka, oraz fotografii i rysunków rakiet Saturn, Atlas, Aerobee i Titan), technika mocno prześcignęła wczesne arcydzieło von Brauna tak pod względem klasy projektu, jak i mocy, rozmiarów i wydolności. Ale to właśnie V-2 wynosiło mnie w przestrzeń pozaziemską prosto z karuzeli w wesołym miasteczku i zdobiło grzbiety książek na półkach z fantastyką naukową w miejskiej wypożyczalni. Było znakiem rozpoznawczym, wizualną kotwicą Krainy Jutra Walta Disneya, przykładem jedności formy i funkcji, tak jak nóż, młotek czy inne z najważniejszych przyborów człowieka. Wystarczyło je zobaczyć, żeby odgadnąć, do czego służy. Natychmiast się rozumiało, do czego jest zdolne. Było narzędziem do przewyżniania grawitacji, zrzucania ziemskich pęt.

Dla dziadka wojna była zapewne tym wszystkim, co spotkało go między dniem wstąpienia do wojska a ową chwilą na przełomie marca i kwietnia 1945 roku, kiedy w Niemczech wyszedł na polanę w lesie pod Vellinghausen. Była też tym, co potem znów

mu się przydarzyło, wszystkimi okropnymi widokami i odwetem, który obmyślał, odkąd zszedł z polany, i knuł go aż do kapitulacji Niemiec półtora miesiąca później. Ale trzydzieści parę minut spędzone z rakieta w lesie było czasem skradzionym wojnie, odzyskanym. Schodząc z polany, dziadek hołubił w pamięci te pół godziny niby jajko, grzejąc je ciepłem własnych dłoni. I nawet gdy wojna już je zgmiotła, pamiętał jego puls, drganie tego czegoś, co mogło się wyrwać na wolność i wzbić w niebo.

Kiedy wyszli spomiędzy drzew, stary ksiądz siadł na ustawionej pionowo skrzynce, założył nogę na nogę i zapalił papierosa. Daleki łoskot armat umilkł na chwilę, nim zaś odezwały się pierwsze ptaki, w zgęstniałej ciemności na polanę wtargnęła jak gdyby bliżej nieokreślona moc, płynąc w powietrzu. Po chwili dziadek rozpoznał w tej zagadkowej strudze zwykłą ciszę. A potem zaśpiewał ptak, niebo pojaśniało i ukazał się niewyraźny zarys rakiety, która ze swojej przewoźnej wyrzutni rwała się ku niebu. Dziadek odczytał jej zamiar i jego serce też poderwało się do skoku wzwyż.

Wiedział oczywiście, że z punktu widzenia niemieckiego dowództwa, dowódców alianckich, Hermanna Göringa, generała Eisenhowera oraz ludzi, na których miano ją zrzucić, rakietą wciąż jest li tylko wojną. Polanę wyrabiał wojsko i to ono przywiozło tam pocisk. Żołnierze mieli go uzbroić, zamontować zapalnik, wycelować i wystrzelić. Podobnie jak inne tego rodzaju rakiety (których między wrześniem 1944 roku a marcem 1945 było około trzech tysięcy), tę także wyposażono w głowicę bojową zawierającą tysiąc kilogramów niezwykle wybuchowej odmiany trotylu, który miał eksplodować w chwili trafienia w cel. Rakietę kazano wyprodukować i rozkaz ten wykonano wcale nie po to, żeby wynieść ludzkość na próg gwiazd, lecz dla zdruzgotania i zastraszenia cywilów, zniszczenia ich domów i zmiążdżenia psychiki. Gdyby jakiś kaprys losu nie pokrzyżował tych planów, rakietą wraz z podobnymi sobie wyprzedziłaby huk własnej eksplozji, mknąc w stronę Antwerpii, gdzie szesnastego grudnia (że przytoczę najtragiczniejszy przykład) inna V-2 spadła na kino Rex, w którym właśnie trwał seans

Niezwyčajzonego Billa, i zabiła lub zraniła prawie tysiąc osób.

Ówczesnym zdaniem dziadka nic tu jednak nie zawinił sam pocisk ani jego projektant, czyli von Braun. Rakieta była piękna. W artystycznym zamyśle swojego twórcy miała zerwać łańcuch, który trzymał ludzkość na uwięzi, odkąd zaczęliśmy sobie uświadamiać istnienie siły ciężenia i jej odpowiedników zawartych we wszelkim cierpieniu, porażce i bólu. Była niegdyś słańą ku niebu modlitwą, a zarazem odpowiedzią na modlitwę: „Unieś mnie z tego padołu”. Nafaszerowanie jej toną amatolu i spętanie w taki sposób, żeby zamiast wyrwać się raz na zawsze spod przyziemnej władzy grawitacji, wróciła łukiem na ziemię i zabiła ludzi, między których spadnie, było przeniewierstwem. Równie dobrze można by grabiami ubijać pianę z białek albo sztyletem dłuwać w zębach. Było to wykonalne, ale perwersyjne. A w dodatku nieskuteczne. Dla wszystkich stało się tymczasem jasne, że jako broń strategiczna V-2 zawiodła. Zabiła co prawda cztery czy pięć tysięcy nieszczęsnych Francuzów, Belgów i Anglików. Dodajmy do tego dziesiątki tysięcy rannych, bezdomnych, zastraszonych. W sumie jednak zwykłe bomby zabiły, okaleczyły i przeraziły znacznie straszliwszą rzeszę ofiar. I oto alianci wdarli się w głąb Niemiec, a rakiety były bezsilne i już nie spadały.

Dziadek litował się nad Wernherem von Braunem, którego mimo woli wyobrażał sobie jako nieśmiałego profesora w swetrze zapinanym na guziki. Współczucie wobec wyimaginowanego von Brauna i odczuwany w jego imieniu gniew odblokowały nagromadzony żal po stracie Aughenbaugha. Alvin Aughenbaugh z domieszką Paula Henreida. Biedaczysko! Zbudował statek, który miał nas wydzwignąć na skraj niebios, a tamci posłużyli się nim jako pośłańcem piekieł.

– Herr Lieutenant? – powiedział ojciec Nickel, kładąc dłoń na ramieniu dziadka.

Ten odwrócił od niego twarz. Już miał targnąć ramieniem, żeby strząsnąć rękę starego księdza, lecz w końcu pozwolił jej zostać tam, gdzie była. Między nim a ojcem Johannesem Nicklem jak między dwiema gwiazdami rozpościerały się nieprzebyte

otchłanie czasoprzestrzeni. A jednak ponad tym bezkresnym pustkowiem wzajemnie przepłynęli na moment w swoje pola widzenia. Biedny von Braun! Powinien wiedzieć (dziadek czuł się w obowiązku odnaleźć go i zawiadomić), że coś takiego jest możliwe. Tu i ówdzie wśród próżni były umysły zdolne zrozumieć i nawzajem się dosięgnąć. Dziadek chętnie położyłby dłoń na ramieniu von Brauna, tak jak na jego ramieniu położył w geście błogosławieństwa sękatą łapę stary ksiądz. Przekazałby mu jedyną wiadomość, jaką mogą wysłać samotni niewolnicy grawitacji: „Widzimy was – jesteście tu”.

XVI

W 1972 roku stryj Ray namówił mojego ojca (podówczas lekarza klubu sportowego Washington Senators) do zainwestowania w swoje najnowsze przedsięwzięcie – Gatsby’s, czyli sieć szykownych klubów bilardowych, w których podawano alkohol, a na gości płci żeńskiej czekały takie atrakcje jak lampy w stylu Tiffany’ego i frymuśne koktajle. W okresie największego rozkwitu, a zarazem tuż przed jej całkowitą zagładą do sieci należało pięć lokali w Waszyngtonie, Baltimore, Filadelfii i Pittsburghu. Ich wystrój miał w sobie coś z klubu dla dżentelmenów, tradycyjnej restauracji z daniami mięsnymi i popularnych w tamtym okresie ekskluzywnych barów dla singli. Pod względem koncepcyjnym przedsięwzięcie było kombinacją beznadziejnej mrzonki, uniku przed podatkiem, pralni pieniędzy i nienaprawialnego błędu. Stryj Ray nie zdradził mojemu ojcu wszystkich szczegółów na temat tożsamości swoich cichych wspólników, a ojciec chyba też nie powiedział mu całej prawdy o tym, jak bardzo ma go pod lupą izba skarbowa, odkąd zataił przed nią część dochodów. Każdy, kto gotów jest zmarnować parę godzin w archiwach takich gazet jak „Post”, „Sun”, „Inquirer” i „Post-Gazette”, może prześledzić w zarysie i fragmentach ich wspólną katastrofę, wskutek której mój stryjeczny dziadek dostał takie manto, że na kilka tygodni wylądował w szpitalu, a mój ojciec spędził resztę życia w stanie połowicznej konspiracji²⁸. Szkoda mi miejsca w książce i nie mam siły wdawać się tu w szczegóły, a zresztą kłapa Gatsby’s była zaledwie drobnym epizodem w dziejach filadelfijskiej mafii, zasługującym najwyżej na przypis.

Dla mojej rodziny epizod ten okazał się bardziej istotny.

28 „To była tylko wymówka – stwierdziła, czytając ten wydruk, moja matka oschle beznamiętnym tonem, bardzo podobnym do tonu dziadka. – Ukrywał się, odkąd go poznałam”.

Stryjowi Rayowi groził proces, a ojciec gdzieś się zapodział, więc wszystko skrupiło się na dziadkach i mojej matce. Dziadkowi udało się skonstruować linię obronną z wysoce hartowanych adwokatów, lecz mimo tej tarczy pozostały kary, zobowiązania i zastawy. Aby zdobyć fundusze, dziadek zmusił niechętnego tej transakcji wuja Sammy'ego do wykupienia swoich udziałów w MRX, zamykając w ten sposób najszczęśliwszy (a przynajmniej najbardziej owocny) okres w swoim życiu. Niecały rok po stracie firmy stracił też moją babkę.

Zanim poznał Sally Sichel, nie zostało mu prawie nic wartościowego prócz apartamentu na Florydzie (który babka po jego kupieniu zdążyła odwiedzić tylko raz) i pięćdziesięciu siedmiu modeli statków kosmicznych, skonstruowanych z materiałów pierwszorzędnej jakości przy rygorystycznym zachowaniu proporcji. Dziadek wybrał ze swoich prywatnych zasobów dziesięć najlepszych okazów – między innymi uroczą miniaturkę Sputnika PS-2, która po uniesieniu zamocowanej na zawiasach klapki kazała widzowi kontemplować straszliwy los maleńkiej Łajki (zmodyfikowanego psa husky uprowadzonego z zestawu alaskańskiej kolei w skali N).

Trzy dni po poznaniu Sally dziadek sprzedał wszystkie dziesięć rakiet bliźniakom Bluesteinom z Cocoa Beach. Mógł dzięki temu zapłacić Devaughnowi i kupić niezbędne wyposażenie do *łowów na węża*, który pożarł Ramona.

O dziewiątej każdego wieczoru prócz niedziel Devaughn czekał na dziadka przy restauracji Waffle House, zawoził go do Atlantis i zostawiał przy bramie z podmienioną kłódką. Dziadek człapał w ciemność, taszcząc ekwipunek, czyli płócienny worek i rękawice ochronne, latarkę oraz bogaty zestaw specjalnych narzędzi własnej roboty: bosak na węże (powleczony winylem hak magazynowy przyspawany do końca starego kija golfowego), kij na węże (rurkę z PCV zakończoną pętlą z nylonowego sznura) i oczywiście młot na węże. Po równo dwóch godzinach i trzydziestu pięciu minutach wracał, niosąc w rękę nieprzemakalne buty, żeby nie pobrudzić Devaughnowi wnętrza samochodu. Ochroniarz odwoził go do Waffle House, a o północy

zaczynał kolejny dyżur w Fontana Village.

– I tak co wieczór?

– Oprócz niedziel. W niedzielę Devaughn chodził do kościoła.

– Musieliśmy chyba wtedy czasem rozmawiać, nie? Gadamy przez telefon i mówisz mi, że na deser zjadłeś ryżowy budyń czy coś tam, a tymczasem szykujesz się do łowów na węża.

Dziadek przyjął do wiadomości moje czcze pytanie i odwrócił wzrok.

– Dobra – powiedziałem. – Dlaczego?

– Przecież widziałeś ten program. Obcych najeźdźców. Wąż zjadał nie tylko pieski i kotki. Pożerał też niestety miejscowe ptaki i płazy wielu gatunków.

– Co ty powiesz?

– Zagrożone wyginięciem.

– No i domowe koty.

– To był obcy najeźdźca. Nie żaden rdzenny gatunek.

– Ludzie też nie są tam rdzennym gatunkiem – powiedziałem. – Dlaczego na nich nie polowałeś?

– Nie wiem – odparł dziadek. – Jakoś się do tego nie zabrałem.

– W tym wszystkim chodziło o Sally, nie?

– Co znaczy: chodziło o Sally? Co ty wygadujesz?

– Wąż od wielu miesięcy zjadał kotki i pieski, a ty nic. A potem poznałeś Sally i nagle postanowiłeś go zabić. Robiłeś to dla niej.

– Czyżby?

– Dziadku. Nie udawaj.

– Może i tak.

– Na pewno.

– Hmm – mruknął. – Wierz mi, że ludziom zdarza się zabijać z gorszych powodów.

Dziadek zaprosił Sally do szpanersko drogiej restauracji w Boynton Beach, specjalizującej się w owocach morza – ozdobnie otaklowanej pułapki na turystów, którą babka miała w pogardzie. W drodze powrotnej dostał skurczów żołądka, jakby duch zmarłej żony nasypał mu trucizny do zupy z krabów

najemników. Dziadek zazwyczaj nie jadał skorupiaków ani wieprzowiny, bo wprawdzie dawno już zesłał swoją religię do neolitu, gdzie według niego było jej miejsce, ale wciąż miał, jak mawiał, „koszerny brzuch”. Kłopoty żołądkowe wprawiły go w nieco mętne zażenowanie, więc zachował je w tajemnicy. Szło tylko o to, żeby jak najszybciej dotrzeć do toalety. W drodze z restauracji do domu wymusił na sobie cierpliwą jazdę. Związany z tym wysiłek odwrócił jego uwagę od bólu.

– Mój Boże, właśnie sobie przypomniałem – powiedział.

Przed chwilą zaparkował lesabre'a i teraz oboje szli przez świetlisty florydzki mrok w stronę skupiska domków, w którym mieścił się apartament Sally. Kobieta zaprosiła dziadka, żeby zobaczył jej mieszkanie. Wzajemne zainteresowanie wystrojem wewnątrz było w Fontana Village czymś w rodzaju obiegowej waluty, którą obracał nawet dziadek. Uznał, że za zaproszeniem Sally niekoniecznie musi się kryć coś oprócz tej prostej ciekawości.

– Chyba nie wyłączyłem lutownicy.

Po południu na prośbę sąsiadki, niejakiej Pearl Abramowitz, wymienił kondensatory w bucującym ze starości radiu Zenith. Nie mógł niestety zaradzić innemu jej zmartwieniu, a mianowicie temu, że ludzie, którzy śpiewali i mówili do niej przez radio, coraz częściej robili to po hiszpańsku. Pamiętał jednak, żeby wyłączyć lutownicę. Właściwie nie musiał nawet o tym jakoś specjalnie pamiętać, bo od dawna wyłączał ją siłą nawyku. Uważał, że nawyki są właśnie po to, żeby zastępowały pamięć.

Po Sally znać było rozczarowanie, lecz zatuszowała je żartem:

– Znam cię dopiero trzy dni, ale nie wyglądasz na faceta, który mógłby o czymś takim zapomnieć.

Bezsprzecznie miała rację.

– Owszem, ale jeżeli nie sprawdzę...

– Oczywiście. Doskonale rozumiem.

– Będę za dziesięć minut. Za pięć.

– Idź.

Dziadek pospieszył do swojego domku i zaszył się w łazience, gdzie wywiązała się zajadła, lecz na szczęście krótka utarczka.

Umył się i trzy razy precyzyjnie psiknął odświeżaczem powietrza Alpejskie Lato. Wrócił do saloniku. Żółta kanapa, pomalowana na biało etażerka z wikliny i pozbawione wyrazu ściany wpłynęły trzeźwiąco na jego wyobraźnię. Skomplikowaną i proporcjonalną makietę LAV 1, którą kosztem tysięcy godzin pracy i tyłuż dolarów zbudował na sztucznym wzgórku udającym powierzchnię księżycy, zobaczył w jej właściwej postaci, czyli jako dwa i pół kilo pomalowanego plastikowego złomu osadzonego na gipsowanych szmatach i siatce ogrodzeniowej, w sumie wartych dziesięć dolarów. Co go napadło, że uganiał się za Sally Sichel? Skąd ten nieprawdopodobny pomysł, żeby ją zaprosić na randkę? Przywieziony jeszcze z Riverdale rozkładany fotel z podnóżkiem, w którym siadywała moja babka, oglądając Va Banque i wywrzaskując w stronę ekranu celowo błędne hipotezy, jakby próbowała zmylić uczestników teleturnieju, żeby wypadli z gry, zdawał się patrzeć z wyrzutem.

„Siadaj – błagał bezgłośnie. – Zostań. Wyluzuj. Wegetuj”.

Zadzwoił telefon. W słuchawce rozległ się głos Sally.

– Wszystko w porządku? – spytała, a dziadek na chwilę się zląkł, że z jego grymasu, a raczej z raptownego wdechu odgadła trwające w brzuchu wzburzenie. Czyżby bezwiednie jęknął albo nie daj Boże pierdnął? – Spalił ci się dom?

– Wszystko gra – odparł dziadek. – Jednak ją wyłączyłem.

– Rozumiem – powiedziała Sally z wyraźnym niedowierzaniem.

Dziadek trochę się zirytował, ale zaraz sobie przypomniał, że przecież ją okłamuje. Była uważna, spostrzegawcza. A on ze wszystkich ludzkich przymiotów najwyżej cenił właśnie ten.

– No cóż – dodała. – Szkoda.

– Szkoda?

– Tak. Mały pożarek mógłby być lekarstwem na dreszcz trwogi.

Dziadek się zdziwił, bo nie miał żadnych dreszczy. Po chwili jednak zrozumiał: Sally nie wiedziała, że po kolacji dostał skurczów żołądka. Myślała, że po prostu przed nią ucieka, bojąc się swoich, jak je nazwał w rozmowie ze mną, „uczuc w tym kierunku”. Kiedy już pojął, co się naprawdę dzieje, był wstrząśnięty. A gdy się bliżej przyjrzał uczuciom, których bał się

doznawać, jeszcze bardziej wstrząsnęło nim odkrycie, że Sally ma rację. Zupa z krabów najemników była bez zarzutu, tyle że przesolona. Skurczów dostał ze zdenerwowania, a nie od zatrucia.

– Dobra, dobra – powiedział, wściekle łypiąc na fotel zajęty przez widmo nieboszczki. – Już idę.

Domek nie był własnością Sally, lecz jej wieloletniej przyjaciółki, która po owdowieniu zamieszkała u córki w Tel Awiwie. Przyjaciółka i jej mąż kupili go, przebudowali i urządzili w nowym stylu z przewagą rafii i szkła. Tydzień po przeprowadzce mąż osunął się na kort tenisowy w Fontana Village i umarł. Wszystko, co nie było oplecione rafią ani szklane, pomalowano, wykafelkowano lub inaczej pokryto pastelowymi odcieniami różu i popielatej szarości według modnej palety nie w guście Sally. Rozległą białą ścianę przy drzwiach wychodzących na patio zasłaniało prześcieradło, które gryzło się z resztą wystroju, bo zdobił je wzór w zielono-złote dmuchawce, a także dlatego, że było prześcieradłem.

– Schowałaś tam jakiś swój obraz?

Sally pokręciła głową. Obróciła się w stronę prześcieradła i oburącz je uniosła. Dziadek wszedł pod ten prowizoryczny baldachim i spojrzał na ścianę. Wisiało na niej czarno-białe zdjęcie portretowe dużego formatu w czarnej metalowej ramie z passe-partout. Przedstawiało w zbliżeniu piękność o twarzy jak księżyc w pełni i przystojniaka z brwiami satyra, mniej więcej rówieśników dziadka, przytulonych do siebie skronią w skroń. W oczach migotało im pogodzenie z życiem i mądrość.

– Gdyby wiedzieli – rzekł dziadek.

Sally skinęła głową. Wyszli spod prześcieradła, które zwisło, gdy tylko je puściła.

– Muszę ich zasłaniać – wyjaśniła. – Mądrość po szkodzie to nie na moje nerwy.

– Za dużo w niej żalu – przyznał jej rację dziadek.

Nadeszła sprzyjająca chwila. Sally pochyliła się, żeby pocałować gościa. Ten trochę zbyt późno wyszedł naprzeciw gospodyni, a potem źle ocenił jej kąt nachylenia. Nastąpiło niefortunne

spotkanie jej zębów z jego podbródkiem. Sally z płonącymi policzkami klepnęła się ręką po ustach i poprawiła obluzowaną protezę.

Dziadek dotknął palcami śladu po zębach na swoim podbródku i sprawdził, czy na opuszkach nie widać krwi.

– Ojej – westchnął.

– Kurwa! – zakląła Sally, przywróciwszy ład w swojej jamie ustnej. – Czy to będzie kompletna kłapa?

Dziadek miał w tej kwestii pewne przeczucia, ale zachował je dla siebie. Sally wyciągnęła rękę i złapała go za podbródek, który uważnie obejrzała, a skoro już trzymała go w garści, skorzystała z okazji, żeby zbliżyć usta do ust dziadka. Wydało mu się, że jej wargi wciąż smakują różowym grejpfrutem z sałatki, którą jadła na kolację.

– A może byśmy tak spróbowali jeszcze ten ostatni raz? – zaproponowała.

– Jeżeli nie masz nic przeciwko – zgodził się dziadek.

Lecz gdy po trzynastu minutach wyszła świeżo wykąpana z głównej łazienki, już wcześniej nie pozostawivszy żadnych wątpliwości co do tego, że zamierza go przelecieć, bujność jej nagiego ciała, hojnie upstrzonego piegami i nieskromnie obnażonego, powaliła dziadka. Pękł w nim jakiś wewnętrzny kabel, głowę wypełnił biały szum i dziadek zemdłał. Po pewnym czasie oprzytomniał, leżąc w łóżku na wznak z czymś, co odczuwał jako monstualny wzwód. Sally, która tymczasem wyciągnęła się obok niego, sięgnęła ręką do berła. Nim jednak zdążyła choćby musnąć je palcami, dziadek się spuścił. Wytrysk był tak raptowny i niespodziewany, że sprawiał wrażenie celowego psikus. Sally wzdrygnęła się z lekko urażoną miną. Dziadka ogarnęło uczucie głębokiego upokorzenia. Ledwo się powstrzymał, żeby nie wstać i nie wyjść. Spakować rzeczy do samochodu i bez żadnych postojów po drodze ruszyć do Kalifornii. Tylko że to i tak byłoby za blisko.

Sally znów poszła do łazienki. Wróciła w szlafroku.

– Przepraszam – pokajał się dziadek. – Może było trochę za wcześnie.

- Lepiej za wcześniej niż za późno, mój miły.
- Tak? A jeżeli jest i za wcześniej, i za późno?
- O, na pewno właśnie tak jest – powiedziała Sally. – Niewątpliwie. Za wcześniej na takie gadanie. – Usiadła na łóżku przy dziadku i przelotnie, ale nie zdawkowo pocałowała go w usta. – I za późno, żeby się wycofać, bo mi się podobasz.
- Sally... – Była pora wreszcie z nią porozmawiać, powiedzieć o wynikach badania krwi i doktorze Mubaraku, bo dziadek od pewnego czasu tak właśnie nazywał w myślach tego specjalistę. Trzeba było to wyznać teraz, zanim z podobania wyrośnie silniejsze uczucie i naprawdę będzie za późno.
- Masz ochotę na lody z rumem i rodzynkami? – spytała Sally.
- Nie znam nikogo innego, kto je lubi.
- Teraz już znasz. A co powiesz na Spencera Tracy’ego?
- Według mnie? Jest najlepszy.
- Zgadzam się. A na kanale dwunastym o dziewiątej dają *Miasto chłopców*.
- Tak? Pamiętam, że jak tylko weszło na ekrany, wyświetlali je w Stanleyu. Ale jakoś je przegapiłem.
- No przecież mówię – rzekła Sally. – Nigdy nie jest za późno.

XVII

Gdy wiele lat później moja matka pakowała rzeczy przed wyprowadzką z domu, w którym umarł dziadek, w korytarzyku prowadzącym do węzła sanitarnego znalazła parę pudeł po alkoholach.

– Jest w nich tylko kupa twoich starych szpargałów – powiedziała, kiedy do mnie zadzwoniła.

Wiedząc, że mam słabość do starych szpargałów, a zwłaszcza do swoich własnych, pewnego popołudnia przywiozła mi te pudła²⁹, zdając je na łaskę mojej nostalgii. Najpierw otworzyłem karton po rumie Captain Morgan, zawierający pięćdziesiąt parę listów i pocztówek od przyjaciół, kochanek i nauczycieli twórczego pisania z lat osiemdziesiątych. Pod stertą starej korespondencji leżały kasety, na które przegrałem skecze Boba i Raya z kolekcji płyt ojca mojego kolegi, saszetka z luźnym skrętem marihuany, samochodzik Hot Wheels Beatnik Bandit i należący dawniej do mojego brata winyl *Moving Pictures*.

– Dobre pudło – stwierdziłem.

W drugim (po dżinie Gilbey's) znalazłem plastikową torbę na zakupy z paryskiego sklepu New Rose Records. Musiała kiedyś zawierać *Fire of Love* albo koncertowy album Johnny'ego Thundersa, zależnie od tego, z której wizyty w New Rose ją przyniosłem. Teraz był w niej czarny filcowy kapelusz z miękkim szerokim rondem. A także nierozpieczętowana paczka czystych kaset TDK, talia kart do tarota Aquarian, kupiona w Spencer Gifts w Columbia Mall, kiedy miałem trzynaście lat – i to już wszystko, co znalazłem w pudle po dżinie. Patrzyłem spode łba na kapelusz, nie bardzo wiedząc, skąd się tam wziął.

– Blondynka – powiedziała matka, wyskubując z puszku na szerokim filcowym rondzie długi włos.

Oboje przypomnieliśmy sobie, że widywaliśmy ten kapelusz na

²⁹ Już od dawna mieszkałem wtedy w Berkeley w Kalifornii.

jasnowłosej głowie mojej byłej żony.

Wskazałem palcem trzecie pudło, w którym stał dawniej tuzin butelek Old Crow. Tektura była kruchsza, liternictwo mocno niedzisiejsze, a kreskówkowa wrona wyglądała jak szemrany dandys z epoki jazzu. Pudło zalepiono staroświecką taśmą klejącą, którą trzeba było zwilżać gąbką.

– To na pewno nie jest moje – powiedziałem. – Musi być bardzo stare.

– O! – westchnęła matka, przecinając taśmę klejącą kluczem do domu. – Ha.

Wydawało mi się, że słyszę w jej głosie zaniepokojoną, a przynajmniej czujną nutę, ale ten akurat szczegół mogłem sobie dopisać po fakcie, znając już dalszy przebieg wydarzeń. Z pudła najpierw wyłoniły się książeczki dla dzieci, wydane w twardych okładkach bez obwolut: *Kary ogier*, *Mgiełka z Chincoteague*, *Król wiatru*, *Wielka nagroda* i jeszcze *Niepokonany Seabiscuit*. Znalazłem pod nimi tekturową teczkę i zapinaną na suwak tekstylną torebkę. Teczka zawierała kolorowe fotografie rasowych koni wycięte z czasopism, podklejone tekturą i tak wykrojone, że powstały z nich „lalkoniki”. W torebce z suwakiem leżały rozpadające się szczątki miniaturowych uprzęży, które moja matka uściboliła dla swoich papierowych koników z kawałków talrepu, rzemyków i skrawków czegoś, co przypominało brązową skórę.

– Tak samo zrobiła Velvet – wyjaśniła. – W książce³⁰. No więc poszłam w jej ślady. Ale potem twój dziadek wyrzeźbił mi te.

Wyjęła z pudła po Old Crow dziewięć drewnianych koników owiniętych pojedynczymi kartkami „Baltimore Sun” z dwunastego listopada 1952 roku. Kolejno je rozpakowała i poustawiała na moim kuchennym stole. Dziadek wyrzeźbił mierzące około dziesięciu centymetrów w kłębie koniki z lekkiego, miękkiego drewna – dwa pierwsze scyzorykiem, jak

30 Velvet Brown – bohaterka powieści Enid Bagnold *National Velvet*, na podstawie której w 1944 roku powstał film pod tym samym tytułem, z Elizabeth Taylor w roli Velvet. Polski tytuł filmu to *Wielka nagroda* (przyp. tłum.).

przypomniała sobie matka, a resztę za pomocą zestawu snycerskich narzędzi. Każdemu dokleił grzywę i ogon z włosia, a potem go pomalował, nadając mu gniadą, kasztanową, cisawą, dereszową, bułąną, kara, siwą, srokatą lub ciemnogrnatową maść. Ciska i gniadosza wyrzezał topornie, upraszczając ich sylwetki prawie do czystej abstrakcji konia, z czasem jednak nie tylko wystarał się o lepsze narzędzia, lecz i nabrał wprawy. W wygięciu karków siedmiu następnych, w opływowych kształtach ich głów i baletowych pozach widać było prawdziwe podobieństwo, jeśli nie wręcz realizm.

Wziąłem do ręki granatowego.

– Trochę fikuśny jak na dziadka.

– To jest Północ. Umiał latać.

– Północ – powtórzyłem. – Ooo.

Zakreśliłem granatowym konikiem ósemkę nad głowami pozostałych, a potem sprowadziłem go do lądowania. Ze zdziwieniem (i z jakim opóźnieniem!) odkryłem, że dziewczęce lata mojej matki po części upłynęły w jej wyobraźni. Z tamtych czasów przeważnie opowiadała mi o rzeczach, które dostrzegła, podsłuchała, wytrzymała lub przedsięwzięła, jakby okres kształtowania się osobowości przeżyła wyłącznie w świecie zewnętrznym. Jej autoportret przedstawiał dziecko wolne od marzeń, lęków, fantazji, wątpliwości, tęsknot i niestosownych pytań. Kiedy byłem mały, kręciła głową nad moimi najbliższymi przebłyskami wyobraźni i pomysłowości, wznosząc oczy do Boga albo do sufitu w kuchni, jakby pytała: „Skąd on wytrzaskuje te pierdoły?”. Gdy dowiedziałem się o istnieniu Północy, nasunęło mi się pytanie, czy ona po prostu się nie przyczytała, udając przez cały czas, że nie zna języka, którym w rzeczywistości władała, choć może nie całkiem płynnie. Zatajała swoje pochodzenie, bezpiecznie zasymilowana w jawie, tej krainie koni nielotów.

– Co tam jeszcze masz? – spytałem.

Zajrzała do kartonu po Old Crow i umknęła oczami. Zgarnęła wszystkie gazetowe kwiaty i z szelestem wepchnęła je z powrotem do pudła.

– No... – powiedziała, a ja zrozumiałem, że w pudle jest jeszcze

coś.

Zwróciła twarz w stronę tabunu malowanych miniaterek, który stał na kuchennym stole. Jej brwi zasupłyły się nad nasadą nosa, a usta zasznurowały, jakby koniki stanowiły problem do rozstrzygnięcia. Najpierw pomyślałem, że rozważa, czy sprezentować je mojej młodszej córce, która właśnie wchodziła w wiek Velvet Brown, ale spojrzenie matki było jak na to zbyt dalekie i rozdrażnione.

– No... – powtórzyła, zamykając klapy kartonu i podnosząc go ze stołu. – Mogę to wszystko tu zostawić dla dzieci, jeżeli sądzisz, że im się spodoba.

– Super.

– Co?

– Nie, nic.

– Wiem – rzekła matka. Widziałem, że następne słowo z trudem przechodzi jej przez gardło. – Konie.

– Całe pudło koni.

– Uważasz, że to dziwactwo. No bo przecież moja matka...

– Nie, ja... znaczy, w pięćdziesiątym drugim? Miałaś dziesięć lat, kiedy to wszystko trafiło do pudła?

– Tak. Wysłali mnie do Bubbe i Zayde. – Tak nazywała rodziców dziadka, zmarłych na długo przed moim narodzeniem. – Mieszkali wtedy w Camden. Miałam u nich zostać, tylko dopóki on nie znajdzie pracy, ale byłam tam aż do końca roku szkolnego. Trochę potrwało, zanim znalazł zajęcie. Wylądował w Nowym Jorku.

– W dzielnicy sklepów z elektryką, tak? Tam, gdzie teraz stoi World Trade Center.

– Był kierownikiem magazynu Arrow Radio, a kiedy firma zaczęła hurtem rozprowadzać części, zajął się sprzedażą, bo mógł na tym lepiej zarobić. Zamieszkałam z nim w Queens.

– A gdzie się podziewała babcia? – spytałem, chociaż sam natychmiast odgađłem odpowiedź.

– Był listopad pięćdziesiątego drugiego – powiedziała matka. – Jej pierwszy raz.

– Aha.

– Zostawili mnie u Bubbe i Zayde, a potem on ją zawiózł do szpitala. Była mocno... sam zresztą wiesz. Strasznie ją wykręciło.

Matka patrzyła na konia w granatowym odcieniu północy. Grzywę i ogon miał z włosia barwy kości słoniowej, a głowę zadartą ku niebu, jakby chciał się w nie wzbić. Każde dziecko od razu by dostrzegło – pomyślałem – że właśnie ten konik jest zaczarowany i może nawet umie latać.

– Przecież wszystkie dziewczynki w tym wieku dostają bzika na punkcie koni – powiedziałem. – Kiedy mają dziesięć, jedenaście, dwanaście lat. To powszechne zjawisko.

– Mm-hmm – mruknęła matka, ale nie zabrzmiało to, jakby mi przytakiwała czy choćby dla świętego spokoju przyznawała rację. Litowała się nade mną. Uważała, że sam się oszukuję, wzbraniam się przed prawdą.

– No bo czy wiedziałaś o Bezkórym Koniu? – spytałem. – Zanim ona pierwszy raz trafiła do szpitala?

Matka odstawiła pudło na stół. Włączyłem czajnik. Miałem w domu drambuie. Zapewniłem matkę, że pora nie jest za wczesna na earl greya z paroma kroplami likieru.

– Przedtem? – zapytała. – Czy wiedziałam? Czy wiedziałam. Raczej... *przeczuwałam*. – Urwała, nie kwapiąc się do dalszych wynurzeń na ten temat, do gadania o sprawach, które można było najwyżej czuć. – Wiedziałam, że ona boi się czegoś, czego nie widzę.

Nalałem jej do kubka herbaty z czajniczka i zakropiłem według jej własnych wskazówek. Upiła łyczek, a po chwili większy łyk.

– Dobrze – pochwaliła. Potem zamilkła i wyglądało na to, że chętnie zmieniałaby temat.

– Czyli kiedy miałaś dziesięć lat – podjąłem – w listopadzie pięćdziesiątego drugiego spakowałaś ten cały kram do pudła.

– Aha.

– I chyba już nigdy go nie rozpakowałaś.

– Ani razu.

– Dlaczego?

– Bo zniechęciłam konie.

– Bo dowiedziałaś się o Bezkórym Koniu?

– Nie – odparła matka. Dopija herbatę z prądem. Podniosła górne klapki pudła po Old Crow i zaczęła grzebać w zmiętych kwiatach z Baltimore, jakby chciała się dokopać do dna. – Bo go zobaczyłam.

Moja babka była osobowością telewizyjną – nie żeby zaraz gwiazdą – stacji WAAM mniej więcej od roku 1948 do 1952. Telewizory były jeszcze wtedy w Baltimore rzadkością. Kiedy dwadzieścia lat później dorastałem w okolicach tego miasta, nieczęsto spotykałem ludzi, którzy widywali babkę na ekranie. Za mojego dzieciństwa jakaś gospodyni domowa z lat pięćdziesiątych mogła czasem wspomnieć zadziorną, nienagannie uczesaną *ménagère*, która z całym spokojem ćwiartowała królika albo biła kotlety tłuczkiem do mięsa, żeby je zmiękczyć, mając na sobie naszyjnik z pereł i sukienkę od Diora – jedno i drugie dostarczone przez sponsorującą *La Cuisine* firmę Hutzler. Moja matka jest dziś dla mnie jedynym żywym świadkiem, że kanał trzynasty nadawał po francusku programy instruktażowe, które babka prowadziła w niedzielne poranki zaraz po serialu *The Christophers*. Ani razu jednak nie spotkałem nikogo, kto by pamiętał Fay Beau – Francuską Pokojówkę-Pogodynkę, która w południowych wiadomościach obiecywała słońce lub ostrzegała przed frontem burzowym, ubrana w czarną sukienkę, biały krochmalony czepek i fartuszek.

Większość osób, które do dziś pamiętają babkę z telewizji, była wtedy dziećmi w wieku mojej matki albo nieco starszymi. Najbardziej utkwiliły im w pamięci bujne czarne włosy utapirowane na kształt pierzastego kaptura wokół trupiobladej twarzy, brwi jak skrzydła kruka i ciemne rękawy, które niespokojnie łopotwały, raz po raz pikując w nurkowym locie pośród mgły z suchego lodu, gdy babka buszowała między dekoracjami do *Krypty Kruczej Wiedźmy* – przedwojennej fantazji gotyckiej z przewróconych kolumn, pochyłych nagrobków i żeliwnych ozdóbek. Ludzie ci zapamiętali ją jako Kruczą Wiedźmę i jednogłośnie twierdzą, że każdemu dziecku, któremu

w tamtych czasach pozwolono w piątkowy wieczór zasiedzieć się do późna i punkt dwunasta – czyli trzy kwadransy przed nocną przerwą w programie WAAM – włączyć kanał trzynasty, moja babka napędzała cholernego strachu.

Uważa się powszechnie, że pierwszy „kabaret grozy” prowadziła Maila Nurmi, znana też jako Vampira, która kilka lat później wychynęła z jakiegoś mętnego hollywoodzkiego pogranicza między miękka jak sernik pornografią rozneglizowanych reklam a surrealizmem w stylu Mai Deren, aby w nadającej z Los Angeles telewizji KABC przedstawiać i bezlitośnie ośmieszać dreszczowce klasy Z. Kolejni prezenterzy pojawili się pod koniec tamtego dziesięciolecia w innych miastach (Zacherley w Nowym Jorku, Ghouardi w Cleveland, Marvin w Chicago), kiedy klasyczne filmy grozy produkcji Uniwersalu przykrojono do potrzeb telewizji, a choć każdy z tych prezenterów miał własne grepsy, wszyscy mniej lub bardziej podążali śladem Vampiry, stosując zamierzony kicz, erotyczne niedopowiedzenia i pokazując filmy, które aż się prosiły, żeby gospodarz programu je wydrwił.

Krucza Wiedźma była inna. Nie pokazywała filmów. Żadne filmy grozy nie były wtedy dopuszczone do wyświetlania w telewizji, a zresztą bracia, do których należała ta akurat stacja (kolejny znajomi wszędobylskiego sędziego Waxmana) i tak nie kupiliby licencji na ich emisję, bo uznaliby, że się nie opłaca.

– Nieźle odstawiała ten numer – powiedział mi dziadek. – Ale grała serio, wcale nie dla śmiechu. Zadanie ułatwiał jej cudzoziemski akcent. Mieszkała w krypcie rodu Usherów i na tym polegał myk. Nad furtką wisiała tabliczka z nazwiskiem. – Dziadek zamknął oczy, które natychmiast zatoneły w otaczających je fioletowych cieniach. Znów uruchomił ziarnisty kineskop pamięci. – No więc *shpatziruje* sobie między grobami, aż tu raptem się odwraca i patrzy prosto w kamerę. „O!” – Głos dziadka skoczył o pół oktawy w górę i zadźwięczała w nim kusicielska nuta. – „Widzę, że odważyłeś się whócić!”. Tak? A potem zaprasza cię do środka. Kamera robi ten, jak mu tam, najazd na żelazną furtkę krypty, a ona musi tymczasem szybko

przebiec do drugiej części dekoracji, która udaje wnętrze grobowca. Cięcie na drugą kamerę i wiedźma wchodzi, siada w fotelu, prawie tronowym, wziętym chyba z jakiegoś kościoła. Bierze książkę i czyta. Na głos. Historie o duchach. Opowieści niesamowite. Takie tam różne. Nigdy za nimi nie przepadałem.

Kryptę Kruczej Wiedźmy nadawano na żywo co tydzień od siódmego października 1949 roku, czyli setnej rocznicy śmierci Edgara Allana Poe, do dwudziestego czwartego października 1952.

Mieszkańcy Baltimore, którzy o północy trzydziestego pierwszego października 1952 roku zasiedli przed telewizorami, żeby popatrzeć, jak Krucza Wiedźma czyta *Metzengersteina* Edgara Allana Poe (zgodnie z zapowiedzią w programie telewizyjnym gazety „Sun”), zamiast niej ze zdziwieniem ujrzeli latarnię z wydrążonej dyni w statycznym ujęciu, ustawioną na drewnianym taborecie we mgle z dwutlenku węgla. Otwory w twarzy pospiesznie wycięto jakimś tępym narzędziem, a świeczka paliła się nierównym płomieniem, więc dynia miała udręczoną minę, która – jak poinformowała w kolejnym numerze gazeta „Sun” – wielu widzom popsowała nastrój, toteż posypały się skargi. W kolejny piątek o północy nadano starą kronikę z serii *Pochód czasu*. Ani *Krypta Kruczej Wiedźmy*, ani moja babka nigdy nie wróciły na ekran.

Koło pół do szóstej wieczorem w tamten piątek przed Halloween dziadek był w kuchni wynajętego domu przy Maine Avenue w Forest Park. Gdy tylko wrócił z pracy – dla odmiany wcześniej niż zwykle – zawiązał trzy kartofle w folię i włożył je do piekarnika. Na żeliwnej patelni zaczął smażyć stek, a w garnku zagotował wodę na fasolkę szparagową. Stał przy kuchence, wciąż jeszcze w spodniach od garnituru i koszuli z krawatem, tyle że z podwiniętymi rękawami, przepasany fartuchem w żółtą kratę z nadrukowanym deseniem pomidorów. W jednej ręce trzymał łopatkę do przewracania naleśników, a w drugiej szklaneczkę szkockiej. W każdy piątek wieczorem zalewał kostkę lodu na dwa palce johnniem walkerem. Przez resztę tygodnia nie tykał alkoholu.

Podczas gotowania mile zatracał się w zadaniu, które polegało na tym, że próbował doszukać się błędów w gotowym projekcie ulepszanego przyspieszeniomierza z obwodem sprzężenia zwrotnego, nad którym ślęczał od paru tygodni z Miltonem Weinblattem, swoim współnikiem w Patapsco Engineering. Pół roku wcześniej obaj rzucili pracę w dziale oprzyrządowania Glenn L. Martin Company i otworzyli własną firmę. Jako Żydzi, malkontenci i ludzie niecierpliwi źle znosili obowiązujące u Martina ostrożne tempo powtarzanych czynności oraz to, że rok po roku pomijano ich w awansach, podczas gdy mniej uzdolnionych gojów mianowano szefami projektów i kierownikami działów. W nowym przedsięwzięciu utopili całe swoje oszczędności. Technologia systemów bezwładnościowych, pozwalająca rakiecie lub pociskowi samodzielnie, bez żadnych sygnałów ani wskazówek z zewnątrz nawigować i wprowadzać poprawki kursu, była wtedy w powijakach. Weinblatt i dziadek zakładali, że już i tak dość szybki postęp w projektowaniu układów komputerowych nabierze jeszcze większego tempa, a niebawem umożliwi konstruowanie niemechanicznych, elektronicznych, czyli (wedle dzisiejszej terminologii) cyfrowych systemów nawigacyjnych. Gdyby ich przewidywania się potwierdziły, Patapsco byłoby gotowe do wykorzystania tych nowinek, a jego właściciele zgarnęliby zyski³¹.

Dziadek wyczuł przez podeszwy stóp, że kilka osób wchodzi na frontową werandę. Zadzźwięczał dzwonek u drzwi. Było trochę za wcześnie na wieczornych psotników, ale dziadek zakładał, że babka zamierza im otworzyć przebrana za Kruczą Wiedźmę, tak jak to robiła w każde Halloween, odkąd zaczęła grać tę rolę w telewizji. Wrzucił fasolkę do wrzątku i zabronił sobie tknąć stek, dopóki wewnętrzny zegar nie powie mu, że minęły kolejne dwie minuty. Na myśl o tegorocznych wygłupach przed drzwiami czuł w brzuchu szarpiący niepokój, który jednak – przynajmniej – ogarniał go co roku. W ogóle cała sprawa Krypty była dla niego

31 W późniejszych latach Milton Weinblatt ufundował katedry awioniki na Uniwersytecie Stanforda, w Kalifornijskim Instytucie Technologicznym oraz w Instytucie Stevensa – swojej macierzystej uczelni.

czymś mocno niezręcznym. Osobliwy erotyzm więdźmy (a także prezentowanych przez nią na ekranie opowieści Blackwooda, Le Fanu i Lovecrafta, przy których Freud miałby niezłe pole do popisu) nieco zbyt dokładnie odzwierciedlał naturę seksualności mojej babki w znanym mu wydaniu, a co gorsza, działanie tej osobliwości, tej *więdźmowatości*, na jej męża.

Znowu zadźwięczał dzwonek. Dziadek usłyszał dobiegający z werandy gwar dziecięcych głosików. Przewrócił stek na drugą stronę i przykręcił gaz. Podszedł do drzwi wejściowych. Panująca w salonie pustka nie wiedzieć czemu go zaniepokoiła. Salon miał niby prawo być pusty, ale wydawało się, że ktoś tam jednak jest. Na przedniej ścianie wielkiej konsoli RCA szczyrzyła się w uśmiechu podświetlona tarcza z podzięką. Automatyczne ramię gramofonu czasem szwankowało, więc i tym razem dziadek usłyszał chrobot igły wgryzającej się w etykietę. Na konsoli leżały rozrzucone okładki płyt.

Na talerzu gramofonu obracał się dwudziestopięciocentymetrowy krążek z nagraniem Orkiestry Dudziarzy Drugiego Batalionu Szkockiej Gwardii Jego Królewskiej Mości – część albumu zatytułowanego *Marsze, tańce skoczne i wirowe*. Moja babka od pewnego czasu opętana była manią na punkcie dud, której dziadek nawet nie próbował zrozumieć. Podniósł ramię gramofonu i wyłączył konsolę.

– Kochanie? – zawołał w stronę szczytu schodów.

Nie widział ani mojej babki, ani matki, odkąd wszedł do domu, nie było w tym jednak nic dziwnego. Miał wrażenie, że obie coraz więcej czasu spędzają w samotności – mała w swojej sypialni, duża w pokoju, który moja matka zapamiętała jako „pracownię”, a dziadek jako „szwalnię”. Kiedy był w domu, siedziały w tym samym pomieszczeniu co on, lecz pod jego nieobecność chyba nawzajem się unikały.

Otworzył drzwi wejściowe, za którymi przypadek zgromadził trupę gotową do występu w zaimprovizowanym naprędcie Piotrusiu Panu: pirata, indiańską księżniczkę, elfa i chłopczyka w zielonych rajtuzach, który zapewne miał być Robin Hoodem, ale nadałby się też na Piotrusia.

Przypadkowo dobrani mieszkańcy Nibylandii obiecali powstrzymać się od rytualnych, choć bliżej nieokreślonych psot w zamian za łąpówkę w postaci słodyczy. Obyczaj ten, dość jeszcze nowy we wczesnych latach pięćdziesiątych, budził w dziadku mieszane uczucia. Za jego dzieciństwa w południowej Filadelfii w wieczór przed dniem Wszystkich Świętych zamaskowani irlandzcy chuligani rzucali jajkami i papierowymi torbami z mąką, a na cudzych oknach wypisywali mydłem świńskie i obelżywe słowa. Dziadek rozejrzał się za salaterką z Jesienną Mieszkanką Bracha, która powinna była stać przy drzwiach wejściowych, wypełniona cukierkami w kształcie miniaturowych dyń albo powiększonych ziaren kukurydzy i herbatnikami. Ale nie stała.

– Moment – powiedział do psotników.

Raz jeszcze zawołał swoją babkę i matkę, lecz nie doczekał się odpowiedzi. Może w ostatniej chwili poszły do sklepu po cukierki.

– Ha – westchnął. – Co mam wam powiedzieć, dzieci.

Malcy przyglądali mu się: elf surowo, a reszta uważnie. Dziadek pomyślał, że pewnie biorą go za oszusta, który tylko udaje zmieszanie. Wyjął z kieszeni portmonetkę. Znalazł w niej cztery ćwierćdolarówki. W 1952 roku za ćwierć dolara można było kupić pięć batonów. Dzieci odeszły zadowolone.

W kuchni stek był już prawie gotów. Dziadek jeszcze na minutę podkręcił gaz, szturchnął mięso palcem i zsunął je na talerz. Odstawił na ogień patelnię wylakierowaną bursztynowymi resztkami tłuszczu i chlusnął na nią johnniem walkerem. Syczący obłok pary zakłuł go w nozdrza. Dziadek wyjął zapalniczkę Aughenbaugha i pstryknął, podpalając parę. Płomień buchnął, ale zaraz przygasł i już tylko sos bulgotał na patelni, za to dał się słyszeć czyjś krzyk. Wzbił się podniebnym łukiem jak rakietą i pękł z nagłym skowytem, prawie szlochem. Dziadek nakazał sobie spokój. Krzyk brzmiał nieprzekonująco, jak hollywoodzka koloratura. Ktoś bawił się na całego. Któryś sąsiad straszyl uczestników wieczornego przemarszu, puszczając płytę z efektami dźwiękowymi z nawiedzonego domu.

Dziadek parę razy zamieszał bulgoczący wywar, żeby ten nie przywarł do patelni. Wyteżył słuch. Krzyk się nie powtórzył, nie zaskrzyphiały też wrota krypty, nie zawył wilk ani nie zabrzczały wleczone po posadzce lochu łańcuchy. Dziadek polał zaprawionym whisky wywarem leżący na talerzu stek, dodał masła do fasolki i dłonią w rękawicy wyjął z piekarnika kartofle.

Znów zawołał, dodając informację, że kolacja gotowa, lecz i tym razem nikt mu nie odpowiedział. Pokroił stek na trzy porcje, posmarował masłem swój pieczony kartofel i właśnie wtedy moja matka, od dwóch miesięcy dziesięcioletnia, weszła do kuchni w starych ogrodniczkach i wypuszczonej na wierzch lodenowej koszuli. Dziadek trochę się zdziwił, że nie włożyła przeznaczonego na ten wieczór kostiumu Velvet Brown, zwyciężczyni wyścigu Grand National, która powinna przecież mieć na sobie bryczesy i jedwabie w odcieniach złota oraz fuksji. Zapewne trafnie przewidziała, że jeżeli siądzie do stołu, żeby przemierzyć tor pełen sosów, przypraw i innych przeszkód w tym pięknym stroju, który uszyła jej moja babka, ta odeśle ją do sypialni, każąc się przebrać.

– Gdzie mama?

Moja matka przelotnie spojrzała na stojący między nią a dziadkiem talerz z krwawiącym stekiem i odwróciła wzrok. Nadała wprawdzie swoim rysom beztroski wyraz, ale była wyraźnie wzburzona. Dziadek pamiętał, że miała zamiar pójść do szkoły w przebraniu Velvet Brown, żeby przeparadować w nim przez dzielnicę. Zastanawiał się, czy kostiumowi przydarzyło się jakieś nieszczęście. Może się z niej naigrawano. Za wymuszoną obojętnością dziewczynki wyczuwał konsternację. Jeżeli powodem był kostium, jej oczy mówiły, że ucierpiał. Można było z nich wyczytać, że go jej zabrano i podarto na strzępy.

– Co się stało? – zapytał dziadek.

Matka patrzyła na dłoń, którą nakładał widelcem na jej talerz kawałek steku. Pokręciła głową.

– Nic – powiedziała.

– Myślałem, że będziesz w kostiumie.

Na jej rzęsach załśniły koraliki łez. Stoczyły się, kiedy

zamrugła.

– Coś się z nim stało? Pobrudziłaś go?

– Nic się nie stało. Rozmyśliłam się.

– Co? Już nie chcesz być Velvet Brown? Dlaczego?

Odpowiedź wymamrotała tak pospiesznie, że aż niezrozumiale, nie było w tym jednak nic niezwykłego. Ostatnio właściwie nie tyle mówiła do dziadka, ile wyrzucała z siebie słowa szybko i ukradkiem, tak jak sprawca napadu na bank pozbywa się broni i maski z pończochy, ciskając je za okno samochodu, którym ucieka.

– Mrumrumru – przedrzeźnił ją dziadek.

– Powiedziałam, że nie idę dziś psocić! Jasne?

Matka wpatrywała się w krwawiący na talerzu stek z jawną odrazą. Wyglądała, jakby miała zwymiotować.

– Jakies dziesięć minut temu słyszałem, że ktoś krzyknął – rzekł dziadek. – A teraz się zastanawiam, czy to nie był twój krzyk.

Rankiem tamtego dnia moja babka wysłała córkę do szkoły, zapewniwszy ją, że Velvet dostanie swojego konika. Dziewczynka od razu wyczuła czający się na dnie tej obietnicy źmijowaty koszmar. Wiedziała, że jej matka podczas wojny i po niej wycierpiała straszliwe rzeczy. Zabrano ją od rodziny, którą później na zawsze straciła. Naziści zabili też przystojnego lekarza – młodego bohatera, a zarazem prawdziwego ojca mojej matki, która w wyobraźni zwykle nadawała mu rysy Jamesa Masona. Babka przetrwała zamęt i poniżenia uchodźczego życia, przeżyła tęsknotę za domem, szok, żalobę, zmagania w sferze zawodowej oraz przyływy uniesień i napady furii, które przelatywały przez jej głowę w nieobliczalnym rytmie huraganów. Ale przez cały czas konsekwentnie utrzymywała fasadę pogodnej zawziętości, która w pojęciu mojej matki była główną cechą ludzi odważnych. Obiecując córce „alołinowego konia”, przybrała straszliwie radosny ton. Przyznawała wprawdzie, że nie przepada za końmi („Nie muszę ich kochać – tłumaczyła mojej matce – skoho ty je kochasz za nas obie”), ale dziewczynka podejrzewała, że jej

matka wręcz panicznie się ich boi.

Ilekoć babka, idąc przez miasto, stwierdzała, że za chwilę napotka konnego policjanta albo furmankę handlarza owoców, przechodziła na drugą stronę ulicy. A kiedy w żaden sposób nie mogła uniknąć kontaktu z koniem, zastygała jak sparaliżowana bólem i wciągała nosem drobne hausty powietrza, dopóki zwierzę jej nie minęło. Jeśli ona i dziadek przejeżdżali autem obok jednej z licznych stadnin na wsi w okolicach Baltimore, zniżała głos lub całkiem milkła, jakby się bała, że konie na pastwisku podsłuchują.

Moja matka była w czwartej klasie szkoły podstawowej pani Hampt i chociaż przez cały dzień starała się zapomnieć o tej sprawie, raz po raz wracała myślą do obiecanego konia, a raczej do zgrozy, która w jakiś tajemniczy sposób jechała na nim wierzchem. Czuła się trochę jak wtedy, gdy po wypadnięciu zęba język co chwila odnajduje i bada puste miejsce, żeby zakosztować pikantnego smaku krwi. Wiedziała z doświadczenia, że koń, którego z takich czy innych materiałów zmajstruje dla niej matka, jakimś cudem nie tylko będzie piękny, ale zarazem sprawi jej zawód. Miała też nadzieję (choć nie przeceniała szans jej ziszczenia), że nie będzie dziwaczny.

Kiedy po lunchu razem z resztą uczniów paradowała w swoich jaskrawych jedwabiach ulicami Forest Park, Velvet Brown miała osobliwe uczucie straty, dojmującej pustki między kolanami. Czuła się *wysadzona z siodła*. Winiła za to mojego dziadka, bo on pierwszy obiecał jej konia na Halloween.

– Wcale mi nie zależało na koniu – powiedziała. Leżała na łóżku z twarzą w poduszce, nie zjadłszy kolacji, wciąż w tych samych ogrodniczkach i wełnianej koszuli. – Niczego mi nie brakowało.

– Przepraszam – odparł dziadek. – Myślałem, że zdążę.

Ośmielony powodzeniem w rzeźbieniu i malowaniu koników, zaofiarował się wzbogacić tamtego roku kostium mojej matki o konia z kijka, z drewnianą głową wzorowaną na łbie wierzchowca z filmowej wersji *Wielkiej nagrody*. W impulsie tym od początku było jednak zbyt wiele poczucia winy. Dopóki dziadek pracował u Martina, często robił to kosztem czasu

przeznaczonego dla mojej matki, lecz odkąd się usamodzielniał, prawie przestał bywać w domu. Pomysł na konia z patyka oparty był na założeniu, że jeśli dziewczynka weźmie udział w obmyślaniu projektu i pomoże przy montażu, wyjdzie na to, że dziadek wcale jej nie zaniedbuje. Podobnie jak wiele obietnic zrodzonych z wyrzutów sumienia, tak i ta padła ofiarą błędu, który w zamyśle miała naprawić. Gorączkowa praca nad projektem przyspieszeniomierza z obwodem sprzężenia zwrotnego sprawiała, że dziadek rzadko kiedy wracał do domu przed ósmą, a zwykle pojawiał się dopiero tuż przed pół do dziewiątej, czyli w porze, gdy moja matka leżała już w łóżku. W ciągu ostatnich dwóch tygodni on i Weinblatt stwierdzili, że ich projekt zmierza w obiecującym kierunku, więc majstrowanie konika prawie utknęło w miejscu.

– Głupi łeb na głupim kiju od szczotki – powiedziała moja matka. Rzęsy miała zlepione łzami, a na policzkach wściekle rumieńce. Pajęczyna glutów przykleiła jej twarz do poduszki. – Jakbym była jakimś maluchem. Jakbym mogła chcieć się pokazać z czymś takim koleżankom i kolegom.

– Rozumiem. – Dziadek stał przy łóżku, patrząc z wysoka na dziewczynkę. – Przykro mi.

– Ty i ten twój głupi pomysł...

– Dosyć.

– Niepotrzebny był mi żaden koń!

– Dosyć, powiedziałem.

Dziadek rzadko podnosił głos na moją matkę. Prawie nigdy nie czuł zresztą takiej potrzeby. Dziewczynka – jakby chcąc mu wynagrodzić kaprysy i nieobliczalność mojej babki – siłą woli oraz instynktu zrobiła z siebie najukładniejsze dziecko w całym Baltimore. Teraz więc także przestała na niego wrzeszczeć i już tylko zawodziła z twarzą wtuloną w zgięcie łokcia.

– Co się stało? – spytał dziadek. – Gdzie twoja matka?

– Nie wiem. – W głosie nieszczęsnego dziecka brzmiało już tylko zmęczenie. – Nie było jej tu, kiedy wróciłam. Grała jakaś płyta. Torebki mamy też nie było. Odrobiłam lekcje. Posprzątałam swój pokój. Usłyszałam, że wróciłeś. Chciałam

zobaczyć, co mama dla mnie przygotowała. Poszłam zobaczyć.

– I?

Moja matka zacisnęła usta. Zadrżał jej podbródek. Pokręciła głową i ukryła twarz w poduszce. Nie zamierzała nic więcej wyjawiać.

Dziadek powstał jeszcze trochę, patrząc na nią z góry. Zastanawiał się, czy większym nieszczęściem jest mieć zwariowaną matkę, czy ojca, którego szaleństwo polega na tym, że tę wariatkę kocha. Chciał pogłaskać dziewczynkę po głowie albo poklepać po ramieniu, ale był też na nią zły, że wytknęła mu, jak bardzo nawalił. Ręce zwisły mu wzdłuż boków niby bezużyteczne narzędzia. Zdawał sobie sprawę, że jest samolubny i niesprawiedliwy wobec dziecka, którego jedynym błędem była zbyt duża wiara w niego.

– Zajmę się tym – obiecał, zwracając się do potylicy mojej matki. Czuł jednak, że to chyba najbardziej jałowa rzecz, jaką w życiu powiedział.

Królestwo mojej babki mieściło się w przyległym do sypialni dziadków pokoju, który był chyba dawniej werandą – małym i niskim, z biegnącym wzdłuż trzech ścian rzędem okien rozdzielonych pionowymi słupkami. Babka zdołała w nim upchnąć maszynę do szycia, stół do pracy, lampę podłogową i manekin krawiecki³². Na lewo od wejścia dziadek powiesił półki na drobiazgi pasmanteryjne, inne przybory i chaotyczny szereg książek w miękkich okładkach, w większości pod francuskimi tytułami. Na prawo od drzwi nad stalowym stolikiem maszynistki wisiała na ścianie tablica ogłoszeń szczelnie wypełniona pocztówkowymi reprodukcjami dzieł sztuki i zdjęciami wyciętymi z czasopism. Ani matka, ani dziadek nie umieli mi dokładnie powiedzieć, co to były za prace i jacy artyści (pominąwszy van Gogha i tygrysa Delacroix), zapamiętali jednak tematykę tych pocztówek i wycinków jako „wstrętną” (zdaniem

32 Kiedy wiosną i jesienią sprowadzano z Paryża najnowsze modele *prêt-à-porter*, moja babka buszowała w domu towarowym Hutzlera z zeszytem w marmurkowej okładce, ukradkiem w nim szkicując, żeby potem w domu uszyć sobie takie same ubrania.

mojej matki) lub „typową” (zdaniem dziadka): martwe natury z mięsem, automaty do wróżenia uruchamiane wrzuceniem monety, ocalała z Auschwitz rodzina muzykalnych karłów. Pewnego czerwcowego ranka rok wcześniej babka znalazła na drzewie za domem ćmę księżycówkę, która właśnie dogorywała, leniwie machając skrzydłami. Ona także została przyszpilona do tablicy ogłoszeń, a jej zieleń spłowieła z czasem, przybierając zgaszony odcień banknotu dolarowego.

Względny ład lub nieład panujący w „pracowni” babki najdobitniej świadczył o jej stanie ducha. Były też inne wskaźniki: na przykład to, czy witała dziadka, zwracając się do niego po imieniu, kiedy wchodził do domu, i czy wołała „do widzenia”, gdy sama wychodziła. Czy była w połowie cyklu miesięczkowego, czy tydzień przed jego końcem. Jeżeli podawała mężowi kawę do łóżka, był to dobry znak. I jeżeli czuła, że świat ją docenia. Jeżeli w wazonach i dzbanach stały cięte kwiaty, świeże – dobra nasza. Puste wazony źle wróżyły, a jeszcze gorzej zwiędłe bukiety. Jeżeli babka dotykała karku dziadka palcami, jakby dopiero co zauważyła ten kark, a nawet osobę jego właściciela, mógł to być dobry prognostyk. Jeżeli to nie był akurat luty. Jeżeli babka nie wyciągała swojej talii kart do wróżenia i nie trwoniła całych godzin na układaniu z nich krzyżów i siatek. Jeżeli nie przystawała u jaskiniowych wrót katolickich kościołów, lecz mijała je zwykłym krokiem. Jeżeli nie zatapiała się po raz setny w listach Vincenta do brata Theo albo w *Kwiatkach św. Franciszka*. Jeżeli nie wypadła akurat niedziela. Niedziele były najgorsze.

Tamtego lata 1952 roku codziennie była niedziela. Ospałe dni, bezsenne noce. Koszmarne sny, których treści babka nie chciała zdradzić, lecz zaraz po przebudzeniu połykała je w całości jak szpieg bojący się pojmania. Szwalnię wypełniały stosy czasopism, z których miała niby coś wycinać, ale nigdy się do tego nie zabrała, oraz torby winogron i wiśni, które gniły, kiedy zapominała je zjeść, więc całe piętro domu pachniało octem. Wieszala w drzwiach starą chustę i godzinami nie wychodziła z pokoju. Z ostentacyjnie czarnym humorem przyznawała, że się

ukrywa, ale nigdy nie wyjawiała, przed czym ani przed kim, i w gruncie rzeczy wcale nie brzmiało to jak żart.

Wypożyczała z biblioteki Instytutu Pratta te co zawsze płyty z dziwaczną muzyką (nagrania Indonezyjczyków walących młotami w okoliczną hydraulikę, G.I. Gurdżijewa smęcącego na fisharmonii, no i te pierdolone dudy) i puszczała je w kółko na przenośnym gramofonie. Rzadko jadała i nigdy nie gotowała. Ilekroć wyłaniała się zza chusty i wychodziła z domu, wywierała magnetyczny wpływ na samozwańcych misjonarzy i głosicieli prawdy. Torby gnijących owoców ustępowały miejsca egzemplarzom „Strażnicy” i „Teozofa” oraz traktatom i broszurom pełnym napomknięć o wędrówce dusz i Vrilu. Pod koniec sierpnia babka zasłoniła okna szwalni kwadratami czarnego papieru, żeby nie mógł jej śledzić rżący stwór – ten niewyraźny majak, o którym mój dziadek wiedział wtedy stosunkowo niewiele, a rozumiał się na nim jeszcze mniej.

W wieczór przed rozpoczęciem czwartego roku szkolnego mojej matki dwaj policjanci przyprowadzili babkę do domu – bosą, w męskiej kurtce wędkarskiej. Ktoś, kto ją zauważył, gdy w niekompletnym stroju chodziła zygzakiem po porcie, pomyślał, że kobieta rozważa albo wręcz zamierza popełnić samobójstwo. W chwili przybycia policji widziano, jak babka podpala kartki jakiejś książki i wrzuca ją do wody. Z tego, co świadek zeznał policji, dziadek wywnioskował, że musiał to być jeden z zeszytów w marmurkowej okładce, w których szkice najnowszych modeli paryskiej *prêt-à-porter* przeplatały się z zapiskami jego żony, jej refleksjami i snami w pośpiechu zanotowanymi po francusku, brzmiącymi (o ile dziadek mógł stwierdzić) jak halucynacyjne depesze. Policjanci zastanawiali się, czy nie zawieźć jej do szpitala Hopkinsa na obserwację. Lecz gdy babka podpaliła zeszyt i wrzuciła go do wody, uspokoiła się i odzyskała równowagę. Była opanowana, skruszona, zażenowana swoim zachowaniem i dezabilem, a przy tym uroczą. Jeden z policjantów przypomniał sobie, że widział ją w telewizji. Pożyczył jej kurtkę wędkarską i wraz z kolegą odstawił do domu. Od tamtego wieczoru wyglądało na to, że jest zdecydowanie poczytalna

i pozbyła się jakiegoś brzemienia. Zatraciła się w macierzyństwie. Wróciła do łóżka mojego dziadka i z dawną gotowością rozchyłała przed nim nogi. Posprzątała w szwalni.

A teraz raptem znów zrobił się tam bałagan.

Trzy puste rozprute torby po Jesiennej Mieszance Bracha poniewierały się na podłodze wśród wysypiska kolorowych słodyczy. Stolik do pracy zasypany był kartami do wrózenia, podarowanymi babce w obozie dipisów w Wittenau przez nieodzowną w takich razach starą wiedźmę Cyganicę, która zaraz potem zniknęła, aby więcej się nie pojawić. Leżały płaską warstwą, jedne awersem, inne rewersem do góry, jakby runęła zbudowana z nich wieża. Pod stopką maszyny do szycia tkwił skłębiony kawałek brązowej tkaniny. Obok stał kubek pełen herbaty z mlekiem i z opalizującą na powierzchni błonką zakrzepłego tłuszczu. Otwarty flakon aspiryny. Siedem i pół centymetra popiołu, który jeszcze niedawno był papierosem, tkwiło w rowku popielniczki niby skamielina, dowodząc, że babka w pośpiechu wstała od roboty.

Na podłodze wśród rozsypanych słodyczy leżał niedokończony konik. W tym stadium przypominał raczej latawiec niż konia – przedziwny korakl z brązowej ceraty rozpiętej na wygiętych tyczkach do pomidorów. Jeden koniec owalnego szkieletu zadzierał się ku górze, częściowo obciążony ceratową skórą. Zielone tyczki tkwiły w wąskich tulejkach, które babka przyszyła do ceraty. Na głównych złączach powiązane były drutem.

Widząc to nieukończone dzieło, dziadek dopiero po chwili zrozumiał: owal korpusu, zadarta ku górze szyja. W jakiejś staroświeckiej pantomimie można by zobaczyć właśnie takiego teatralnego konia, którego aktor przypina sobie wokół bioder. Dziadkowi ledwie zdążyło przemknąć przez myśl pytanie: „Ciekawe, z czego miała zamiar zrobić głowę”, kiedy na stoliku maszynistki pod tablicą ogłoszeń dostrzegł krzywożębą czaszkę. Kościanego zeppelinu, zbielałego i kruchego jak drewno wyrzucone na brzeg. Niegdyś własność małego konia albo kuczka.

XVIII

– Właściwie liczą się tylko ślepia – powiedziałem. – Głównie one.

Matka nie odpowiedziała. Wpatrywała się w końską czaszkę leżącą na moim kuchennym stole. Trzema palcami mocno złapała się za podbródek, jakby chciała się powstrzymać od odwrócenia wzroku.

– Znaczą, oczywiście liczą się wszystko. Ale ślepia najbardziej.

Czaszka spoczywała na rozpostartym ręczniku, w którym przeleżała ostatnie pięćdziesiąt lat, zawinięta i upchnięta na dnie pudła po Old Crow, pod książkami mojej matki i malowanymi konikami z drewna zapakowanymi w arkusze gazety. Ręcznik był chyba dawniej biały, ale czas i wilgoć pofarbowały go w brązowe i rdzawoczerwone smugi. Złamana stalówka pleśni spryskała go czernią.

W słońcu wpadającym przez okno kuchni przedmiot na tle burego ręcznika promieniował dziwnością. Siekacze sterczały jak okrutny dziób monstualnego ptaszyska z plejstocenu. Szczęki po obu bokach, najeżone prążkowanymi trzonowcami, szczyrzyły się niby dwa rozdziawione zamki błyskawiczne. Kość nosowa zwężyła się nad jamą nosową w niecny szpikulec. W każdy oczodół babka wprawiła przycisk do papierów wykonany techniką millefiori – przezroczystą szklaną kopułę z mnóstwem wielobarwnych komórek stłoczonych jak w plastrze miodu. Kiedy byłem mały, tego typu szkło, które babka porozstawiała po całym mieszkaniu, zawsze przypominało mi kolorowe garście fantastycznych landrynek. Obsadzone w nieprawdopodobnej roli gałek ocznych, przyciski wyglądały jak kalejdoskopy czystego szaleństwa.

– Nie mogła się chyba spodziewać, że to na siebie włożysz – powiedziałem. – I w ogóle jakim cudem ta czaszka miała się trzymać szyi?

– Nie wiem, czy taki był zamysł.
– Ale przecież babka zrobiła to jako część twojego kostiumu.
– Tak myślał mój ojciec.
– A ty nie?
– Gdybyś komuś robił koński kostium z patyków i ceraty, doczepiłbyś właśnie taką głowę?

– Nie. Ale może to była, powiedzmy, jej wizja. Jej interpretacja.

Wersja Kruczej Wiedźmy.

Matka nie chciała o tym nawet słyszeć.

– Uszyła mi takie śliczne jedwabne fatałaszkę! Dokładnie skopiowane z tych, które nosi w filmie Elizabeth Taylor. Nie naszyła na nie, czy ja wiem, nietoperzych skrzydeł ani nic w tym stylu.

– Aha, no tak, rozumiem.

– Były piękne. Uwielbiałam je. Umiąaby mi zrobić konika.

– Ale po co była ta cała instalacja, jeżeli nie miała uzupełnić kostiumu?

– Wtedy chyba myślałam, że moja matka tak jakby... Poniewierało się przecież u niej mnóstwo broszur i traktatów, które skądś pościagała. Rozprawy religijne, katolickie obrazki z modlitwami, ale i teksty o Atlantydzie, religii Majów i tej, jak jej tam, „transmigracji dusz”. Najrozmaitsze bzdury tego rodzaju. Miałam wrażenie, że to coś – powiedziała matka, wyciągając rękę mniej więcej w stronę czaszki – wzięło się z tego całego religijno-mistycznego szajsu.

– Czyli twoim zdaniem to był dla niej prawie obiekt kultu?
Bożek?

– Nie, a zresztą nie wiem, miałam przecież dziesięć lat i chyba myślałam...

– Myślałaś, że ona czci boga o końskiej postaci.

– Aż tak śmiała myśl raczej mi się nie nasunęła.

– A teraz?

– Teraz o tym nie myślę.

– Tak, wiem.

– Nie jesteś ze mnie zadowolony. Uważasz, że powinnam bez przerwy się w tym babrać.

– Nie żeby zaraz bez przerwy. Wystarczyłoby co jakieś dziesięć lat.

Moja nieśmiała próba wprowadzenia lżejszego tonu zakończyła się fiaskiem. Matka wpatrywała się w czaszkę ze szczerą nienawiścią.

– Mamo – powiedziałem. – Zapomnij o tym.

Wydała galijski odgłos odziedziczony po mojej babce, którego nie można oddać żadną trafną onomatopeją, więc chyba trzeba będzie się zadowolić zwykłym „ha!”. Jakaś moja rówieśniczka mogłaby na jej miejscu zawołać „akurat!”.

– Rozumiem – powiedziałem.

– Taa? Dobra, dobra.

– Mówisz to protekcyjnie.

– Jesteś ciekaw, co teraz myślę?

Znienacka porwała czaszkę ze stołu i pokazała mi ją z bliska, zwróconą zębami w moją stronę. Odkoczyłem, przewracając kuchenne krzesło. Niewykluczone, że wrzasnąłem.

– To coś wcale jej nie służyło do oddawania czci Bezsłóremu Koniowi. Próbowwała go w ten sposób odegnać.

– Prrr! – powiedziałem. – Mamo. – Podniosłem z podłogi przewrócone krzesło. – Wystraszyłaś mnie.

– No właśnie – odparła matka.

Na jodłowej podłodze w holu pierwszego piętra dziadek zauważył tuż przy skraju chińskiego chodnika coś, co mogło być kroplą krwi. Odcisnął na niej ślad linii papilarnych, a ona pozostawiła mu na języku słony posmak. W drzwiach łazienki druga kropelka ugwieździła drewnianą listwę łączącą jodłowe deski z terakotą. W łazience na szachownicy z czarnych i białych kafelków cztery asteryski tworzyły dyszel Wielkiego Wozu zwrócony w stronę krwawego Arktura między sedesem a wanną. Dziadkowi serce targnęło się w piersi. Obrócił się, żeby stawić czoło temu, co spodziewał się ujrzeć w wannie.

Na pozór była pusta, czysta i sucha, zmusił się jednak, żeby na dłuższą chwilę utkwąć w niej twarde spojrzenie. Czuł, że gdyby

na dnie wanny leżało ciało mojej babki, zanurzone w esencji jej żywej krwi rozcieńczonej wodą z rurociągu Baltimore, nie mógłby zaufać świadectwu własnych oczu ani pojętności mózgu. Szok stałby się czymś w rodzaju pancerza. Dziadek odczekał tyle, ile było trzeba, żeby zgroza, ból i poczucie utraty przebiły zbroję. Ale wanna była pusta – tylko połysk białej porcelany i flakonik olejku do kąpieli Emeraude, którego benzoesowe wyziewy rozsunęły w powietrzu pikantny aromat.

Dziadek podszedł do sedesu i podniósł klapę w kształcie litery U. Na spodniej stronie lewego odgałęzienia, tuż przy jego końcu, znalazł coś na kształt przecinka, krwawej rybki. Złożył na pół kawałek papieru toaletowego, zanurzył go w muszli i startł nim rybkę. Odkręcił kran, podstawił myjkę pod strumień wody i wytarł plamy z posadzki. A potem wpatrzył się w terakotową krzyżówkę. Zamyślony, ledwie świadom, że jednocześnie sika (na co był już zresztą najwyższy czas), rozważał poszlaki i tropy. Przetrzęsał w pamięci doświadczenia ze wspólnego życia z moją babką i różne jej zachowania. Odnotował w myślach kilka możliwości.

1. Jakiś intruz napadł babkę w łazience albo tuż przed jej drzwiami, a następnie uprowadził. Doznała przy tym obrażeń wewnętrznych lub stawiała opór i zraniła napastnika. Wobec braku innych dowodów natury fizycznej scenariusz ten wydawał się niezbyt prawdopodobny, lecz nawet gdy dziadek przeszukał wszystkie pomieszczenia od piwnicy aż po strych, nie znajdując żadnych śladów wtargnięcia, nie zdołał wyzbyć się wrażenia, że w domu był ktoś obcy.

2. Babka sama się skaleczyła, niechcący lub celowo. Wprawdzie nieczęsto ulegała wypadkom, miewała jednak okresy, podczas których obgryzała skórki wokół paznokci albo rozdrapywała do krwi skórę na goleniach. Kiedyś wyskubała sobie brwi do ostatniego włoska, a choć krew przy tym się nie poląła, dziadek uznał to za rodzaj samookaleczenia, a właściwie ksobnego wandalizmu.

3. Babkę zaskoczyła raptowna miesiączka lub jej niezwykła obfitość. Jeżeli rzeczywiście tak było, a zwłaszcza jeśli doszło do

silniejszego niż zazwyczaj krwawienia, mogło to wywołać zaburzenia psychiczne, które wyjaśniałyby zarówno nieobecność babki, jak i pojawienie się w szwalni końskiej czaszki z przyciskami do papieru zamiast ślepiów. Dziadek już dawno zauważył (choć nie dość świadomie, żeby to zjawisko obserwować lub uwidaczniać na wykresach) pewien związek między miesięcznym cyklem swojej żony a odpływami i przypływami jej poczytalności.

Idąc za tą trzecią hipotezą, uchwycił kątem oka na widnokregu własnych myśli migotanie czwartej, ta jednak zgasła jak błyskawica, zanim spojrzął w jej stronę. Tymczasem w jakiejś innej części jego umysłu wrodzony pesymizm i pełniący funkcję namiastki optymizmu nawyk bezwzględного zaprzeczania faktom zajadłe spierały się o to, czy dziadek robi z igły widły. Wielkie mi co – parę kropel krwi, pospiesznie sklecony i niefortunnie pomyślany kostium konia, no i ta nieobecność, wprawdzie niecodzienna, ale nie tak znów niesłychana, zwłaszcza że babkę czekał tej nocy występ w telewizji...

Otrząsnął się z tych myśli, chociaż nęciły drzemiący w jego gadzim mózgu optymizm. Coś było nie tak, to się rzucało w oczy. Dziadek wyczuł pismo nosem, gdy tylko zobaczył na konsoli płyty z nagraniem dud. Kiedy babkę dopadał jeden z tych jej nastrojów, przeważnie zaszywała się w kącie, zamykała lub zwijała w kłębek. Czasem jednak po prostu dokąś się urywała. Tak jak tamtej nocy, gdy zatrzymali ją policjanci: nieobuta, nieubrana zasuwała chodnikiem, pochylona, z rękami sztywno przyciśniętymi do boków, pogrążona w rozmowie z niewidzialnymi subtelnościami bólu – wypisz, wymaluj klasyczna miejska wariacja, z włosami *Kruczej Wiedźmy* powiewającymi jak sztandar szaleństwa.

Dziadek wrócił do sypialni mojej matki. Siedziała na brzegu łóżka, kolebiąc się do przodu i do tyłu. Trzymała w ręku drewnianego konika, którego dziadek wykańczał pewnego wieczoru na podjeździe przed domem długo po zapadnięciu ciemności i niechcący pomalował granatową zamiast czarną farbą. Był na siebie zły za tę fuszerkę, ale naturalną kolejną rzeczą

ten, a nie inny konik stał się ulubieńcem dziewczynki, która właśnie jego obdarzyła zdolnością latania. Sama była dla dziadka istnym labiryntem zagadek. Tylko czasem udawało mu się trafić po omacku do jej serca.

Na jej zapuchniętej twarzy malował się wyraz stoicyzmu. Kiedy tak się kołysała, przypominała dziadkowi tę dziewczyneczkę, którą po raz pierwszy zobaczył, gdy marzła na ławce przed Ahavas Sholom, z wyzywającym uporem odsiadując nieludzki wyrok, który sama na siebie wydała, bo posłuszeństwo myliło jej się z buntem, a rehabilitacja z wytrzymałością.

– Chodź – powiedział. – Włóż kostium. Znajdziemy twoich kolegów i pójdziesz z nimi.

Pokręciła głową.

– Muszę wyjść – nalegał dziadek. Postanowił uciec się do kłamstwa. – Twoja matka jest w studio, a ja mam jej zawieźć książkę, z której będzie dzisiaj czytać, ale zapomniała ją zabrać.

– Pojadę z tobą.

– Daj spokój, dziś w recepcji dyżur ma Pat, a wiesz, jak on nie lubi, kiedy dzieci kręcą się po budynku.

– Zaczekam w samochodzie.

– Nie chcesz iść psocić?

– Nie.

– Dobra, słuchaj. Coś ci zaproponuję. Ostatnio twoje zachowanie, sprawowanie. I postępy w nauce. Już dawno chciałem ci to powiedzieć. Jesteś naprawdę wzorowa.

Prawiąc te komplementy, dziadek uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, czy są trafne. Ale moja matka zawsze była grzeczna i ustepliwa, więc choć ostatnio nie poświęcał jej zbyt wiele uwagi, zakładał, że się pod tym względem nie zmieniła. Na jej świadectwie z końca pierwszego kwartału jak zwykle biegł z góry na dół łańcuch samych piątek.

– Więc jeżeli chcesz pójść z kolegami – ciągnął dziadek – to umówmy się, że skoro byłaś taka grzeczna, będziesz mogła zjeść wszystko, co przyniesiesz do domu. Obojętne, co uzbierasz. Tyle *chazerai*, ile tylko zmieścisz w brzuchu. Umowa stoi? Na śniadanie, obiad i kolację. Wszystko. Dopóki nie opróżnisz torby.

Zanim w latach sześćdziesiątych wybuchła panika, bo w podarkach dla psotników trafiały się zyletki, a producenci słodczy jeszcze się nie połapali, że jest popyt na małe, pojedynczo zawijane w papierek firmowe smakołyki, łup, który dziecko przynosiło do domu z wieczornej rajzy, składał się z wyrobów samej pani domu, czyli ofiarodawczynie. Mogły to być kulki z prażonej kukurydzy, jabłka w słodkiej polewie, ciasteczka, pianki z cukru i żelatyny, toffi. Tego rodzaju łakocie szybko się starzały albo traciły powab, więc po tygodniu, a najdalej po dwóch wszystko, czego dziecko nie zdążyło zjeść, nadawało się do wyrzucenia. Ponieważ mojej matce zgodnie z żelazną zasadą należał się tylko jeden smakołyk dziennie, większość tego, co uzbierała przez cały wieczór, ładowała w śmietniku. Rozrzutna propozycja dziadka nie miała więc precedensu. Było to jawne przekupstwo.

– Co się dzieje z mamą? – spytała dziewczynka. Jej głos obniżył się do żałostnego kontraltu.

– Nic.

– Wiem, że coś jej się stało.

– Nic się nie stało, zapomniała książki i tyle.

Matka kiwnęła głową, na pozór uspokojona. Wstrząsnął nią dreszcz. Dziadek podał jej chusteczkę. Otarła oczy, wydmuchała nos i oddała dziadkowi chusteczkę. Schował ją razem z glutami do kieszeni.

– Wiem, że mnie oszukujesz – powiedziała moja matka.

– Czyżby?

– I nigdzie nie pójde.

– Nie?

– Nie chcę. Zresztą nie cierpię jabłek w cukrze.

– No to się zamienisz. Przecież lubisz kulki z popcornu.

– Zęby się od nich psują. Ślina rozkłada cukier i powstaje kwas, który rozpuszcza szkliwo, robi się dziura i trzeba ją zaplombować, więc będzie borowanie i zastrzyki w dziąsła. Nie piszę się na to.

– No to umyjesz zęby.

Matka podniosła granatowego konika na wysokość oczu

i zaczęła nim poruszać, tak że kołował i pikował w powietrzu. Przymknęła powieki, a dziadek jeszcze pamiętał z dzieciństwa tę technikę, dzięki której za sprawą jakichś czarów perspektywy i złudzenia optycznego wywołanego zmrużeniem powiek i rzęs konik w locie stawał się rzeczywistszy.

– Słuchaj. Kochanie. Muszę wyjść, a nie mogę cię zostawić samej. Tylu ludzi podchodzi pod drzwi, że nie wiadomo, kogo tu przyniesie. Dziś w nocy będą rozrabiać różni chuligani. Pamiętasz, jak rok temu porozbijali wszystkie dynie w okolicy.

W powietrzu między nimi granatowy konik nurkował i kołował w przechyle. Moja matka już zakończyła rozmowę. Mniej układne dziecko na jej miejscu wszczęłoby pewnie jawny bunt albo dostało napadu furii, ona jednak nauczyła się zamykać w sobie, wycofywać, usuwać z pola bitwy, i to bez drgnienia choćby jednego mięśnia³³. Dziadek wiedział z doświadczenia, że nie warto jej namawiać: szkoda śliny i tyle. Kiedy tak się wyłączała, można było zmusić ją do uległości przemocą lub dać za wygraną. Dziadek kochał ją i był właściwie przekonany, że jest to miłość wzajemna, ich związek opierał się jednak na pewnej wynegocjowanej regule, którą moja matka rozumiała jaśniej niż on. Jego ojcostwo było rodzajem nadanego mu przez nią przywileju, otrzymaną od niej dzierżawą.

– Właściwie to cukier zjadają żyjące w ustach bakterie. – Dziadek nie oparł się pokusie, żeby to uściślić, zanim się odwrócił i wyszedł z sypialni, zostawiając moją matkę samą. – Potem wydalają kwas, który zżera zęby.

Zszedł do kuchni i wykonał siedem telefonów. Najpierw zadzwonił do centrali WAAM: nikt w budynku stacji nie widział mojej babki od wtorku rano, kiedy to występowała w La Cuisine. Potem wykręcił numer z wizytówki, którą na wypadek, gdyby kiedyś znów potrzebna była jakaś pomoc, zostawił policjant nazwiskiem Sharkey. To on pożyczył babce swoją kurtkę

³³ Z biegiem lat jeszcze udoskonaliła tę sztukę, będąc już żoną i matką. Pamiętam, jak mój ojciec krzyczał, gdy owijała się płaszczem nieobecności, a kolejny spór nieuchronnie przechodził w gniewną tyradę: „O nie, nie rób mi tego! Patrz na mnie, do cholery!”.

wędkarską od Pendletona i uchronił ją przed pobytem na oddziale psychiatrycznym. Akurat tamtego wieczoru miał wolne. Dziadek zadzwonił jeszcze w pięć miejsc, w tej oto kolejności: do salonu bilardowego we wschodnim Baltimore, do baru w Fells Point, do domu kobiety, która bełkotała, jakby była obrzydliwie pijana, i do domu innej, która sprawiała wrażenie obmierźle trzeźwej, i wreszcie – dzięki tej ostatniej – do innego salonu bilardowego aż w Dundalk.

Pukanie do drzwi, kurant piskliwych głosików na werandzie.

Słodycze wciąż leżały rozsypane po podłodze szwalni. Dziadek wiedział, że powinien tam pójść z salaterką i je pozbierać, ale nie chciał więcej oglądać końskiej czaszki ani udawać, że jej nie widzi. Przetrzęsął kieszenie spodni. Ćwierćdolarówki już mu się skończyły. Miał trzy pięciocentówki i cztery pojedyncze centy, okazało się jednak, że psotników jest czworo: mali Grummanowie, którzy mieszkali o dwa domy dalej, przebrali się za pastuszkę i trzy owieczki. Clifford Grumman – jakże stosownie – przywdział czarne runo. Dziadek schował piątaki do kieszeni, a jednocentówki powkładał malcom w dłonie; nawet nie zauważył, czy odeszli zadowoleni, czy nie. W 1952 roku za centa można było kupić kawałek gumy do żucia, cukierkowego papierosa albo laskę lukrecji.

W jednej z kuchennych szuflad dziadek znalazł trzy rulony jednocentówek, po pięćdziesiąt w każdym. Włożył marynarkę, sprawdził, czy ma portfel i kluczyki do samochodu, po czym wyszedł czekać na werandzie. Usiadł na bujanej metalowej ławce i zapalił papierosa. Podrdzewiałe zawiasy ławki nastrojowo skrzypiały w mroku.

Dziadek czekał tak pół godziny i przez ten czas po schodkach werandy zdążyło przydreptać trzech kowbojów, dwóch Indian, Szalony Kapelusznik z Białym Królikiem, Jesse i Frank Jamesowie, królowa („po prostu królowa”) oraz paru włóczęgów, a także pięć matek, dwaj ojcowie i pies w czapce pierrota. Zorientowawszy się mniej więcej, w jakim rytmie nadchodzą goście, dziadek podwyższył należną każdemu psotnikowi stawkę do dwóch centów, które wypstrykiwał paznokciem kciuka prosto

z rulonu w nadstawiane rączki. Wtedy o tym nie myślał, ale po fakcie zdał sobie sprawę, że jego zachowanie i rodzaj podarków niekoniecznie sprzyjały rozprzestrzenianiu fal halloweenowej radości.

Właśnie zapalił piątego papierosa, kiedy pierwszy z serii zawodnych czerwonych kabrioletów, która miała się okazać bardzo długa – nowiutki jaguar XK120 – z głośnym warkotem wjechał w ulicę i zahamował przed domem. Kierowca wyłączył silnik, ale jeszcze przez chwilę siedział w aucie, jakby gromadził zapas cierpliwości lub zdecydowania.

Stryj Ray już dwa lata wcześniej pożegnał się z bimą, ponieważ pasowała do niego nie bardziej niż ubranie, w którym przyjechał, czyli jakiś niby-angielski strój myśliwski: workowate spodnie z tweedu i również tweedowa kurtka z naszytymi na piersi prostokątnymi aplikacjami z kraciastej wełny. W późniejszym okresie przerzucił się na alfy romeo i bardziej kurortowy styl à la Mastroianni, ale na fotkach z wczesnych lat pięćdziesiątych wygląda, jakby zamierzał ustrzelić parę przepiórek albo pójść na ustępstwa wobec Hitlera.

On także zapalił papierosa i dopiero potem wszedł na podjazd, a z niego na werandę. Uśmiezek i zawadiacki krok, które nie wiedzieć czemu wybrały sobie właśnie tego człowieka na narzędzie podboju świata, a przynajmniej półwyspu Delmarva, były jeszcze bardziej nie do wytrzymania niż zazwyczaj.

– No to gdzie ona jest? – zapytał, kiedy podali już sobie ręce.

– Nie wiem.

– Nie zostawiła kartki?

Dziadek pokręcił głową. Wstał i wyłowił z bocznej kieszeni marynarki kluczyki.

– A gdzie mała?

– Na górze.

– Gotowa skoczyć po ciągutki dla stryjka?

– Mówi, że nie chce.

– Jest zmartwiona. – Stryj Ray otworzył drzwi domu. – Hej, Velvet! – zawołał. – Bomba w górę!

– Ray, muszę jechać.

– To jedź.

W tej samej chwili do domu podeszła kolejna grupa psotników, a za nią druga, więc nim dziadek skończył rozdawać centy, jego brat wrócił.

– Wkłada kostium – oznajmił. Spojrzał na rozpruty rulon monet. – Centy – powiedział.

– Nie ma słodyczy. Popsute.

Stryj Ray przejął do połowy opróżniony rulon i dwa całe, a dziadek zaczął schodzić z werandy.

– A gdzie ty właściwie jedziesz?

– Do szpitala.

– Myślisz, że coś jej się stało? – spytał ochrypłym szeptem stryj Ray. – Że coś sobie zrobiła?

– Nie wiem – odparł dziadek, także zniżając głos. – Co się dzieje przy poronieniu?

– Była w ciąży?

– Ja... skąd mam wiedzieć?

– Skąd masz wiedzieć?

– Nie wiedziałem. Nie wiem.

– A próbowaliście?

Dziadkowie starali się o dziecko prawie od pierwszej wspólnie spędzonej nocy, czyli od Purymu 1947 roku. Zrazu powodowała nimi niewypowiedziana nadzieja, przejawiająca się jedynie w obopólnym lekceważeniu antykoncepcji – nadzieja, którą żywiło wielu ocalonych z wojny i katastrof, pragnących przeciwstawić masowej śmierci pojedyncze życie, zapalić świeczkę wśród wszechogarniającej nocy. Po ślubie dziadkowie wzięli się do dzieła otwarcie i z rozmysłem, z niezłomną celowością, która jednak stopniowo zamierała, w miarę jak sprawa stawała się dla obojga coraz bardziej krępująca i bolesna. Myśl, że babka mogła wreszcie począć ich wspólne dziecko, była dobrą, od dawna wyczekiwaną nowiną, toteż radość z niej na chwilę przyćmiła jednoczesną rozpacz w obliczu raptownego zrozumienia, że w tym wypadku ciąża byłaby tylko warunkiem koniecznym utraty potomka.

– Rozmawiało się o tym – rzekł dziadek.

- No to nic dziwnego, że jej smutno. Musi tylko trochę ochłonać.
- Wiem, wiem. Na pewno masz rację.

Dziadek znów poczuł, i to wyraźniej niż przedtem, że stan umysłu babki jakoś się wiąże z jej cyklem miesięczkowym. Czyżby widoczną od września poprawę nastroju spowodowała nieujawniona ciąża? Nagle sobie przypomniał, jak go zbudziła zeszłej nocy. Siedziała w łóżku, mówiąc po francusku z osobliwą przytomnością kogoś, kto śpi i śni. Kiedy spytał, o co chodzi, przeszła na angielski i powiedziała, że trzeba wezwać majstra, żeby natychmiast zabrał palenisko z piwnicy. Nie umiała albo nie chciała wyjaśnić, po co, ale upierała się, że dziadek musi jej zaufać, bo inaczej stanie się coś okropnego. Odpowiedział pobłażliwym tonem, na wspomnienie którego teraz aż się wzdrygnął, że z samego rana każe komuś wymontować piec. Babka skinęła głową i po chwili już leżała, pomału zapadając w normalny sen. Tak się przynajmniej dziadkowi zdawało. On w każdym razie z pewnością znów zasnął. A jeżeli biedaczka po tej rozmowie czuwała do rana? Jeżeli jej spazm o północy oznaczał początek końca nie tylko pączkującego w niej życia, lecz i tych jakichś chemicznych dobrodziejstw, które zesłała na nią ciąża? Dziadek wyobraził sobie, jak leżała, czując, że nieuchronnie osuwa się z powrotem tam, gdzie była zeszłego lata, przerażona, samotna, z głową pełną chaotycznych planów ucieczki – i serce go zabolało. Co jej zdaniem działo się w piwnicy?

- Masz strapioną minę – stwierdził stryj Ray. – Nie martw się.
- Wcale się nie martwię – odparł dziadek.
- Czym? – spytała moja matka, wychodząc na werandę. Miała na sobie stary sztruksowy kombinezon, pod nim kalessony, a w rękę trzymała płócienny worek po cukrze. Bose stopy, a na głowie zamiast czapki rondel.
- Bez butów? – zdziwił się dziadek.
- Widziałam kreskówkę – odparła moja matka. – On chodził boso.
- W taką pogodę.
- Miej pretensje do Walta Disneya.

– Co za nieznośny bachor – rzucił stryj Ray. – Słodka Appleseed. Matka wsunęła rękę do płóciennego worka i wyjęła książkę w zniszczonej czarnej okładce bez obwoluty.

– Masz – powiedziała do dziadka.

– Co to?

– Jak to co? Książka mamy. Ta, którą masz zawieźć do studia. Podobno jej zapomniała.

Był to wyświechtany egzemplarz Opowieści niesamowitych w twardej okładce, z cudownymi ilustracjami Redona. Babka właśnie z niego czytała Edgara Allana Poe w *Krypcie Kruczej Wiedźmy*.

– Racja – powiedział dziadek.

Stryj Ray miał wyczulony słuch na szyfrowane rozmowy szulerów, oszustów i ich kompanów.

– Nie żebym miał coś przeciw tu obecnemu Johnny’emu – zastrzegł się – ale gdzie się podziała Velvet Brown? – Przeniósł spojrzenie z mojej matki na dziadka i z powrotem. – No?

– Przykry temat – odparł dziadek³⁴.

34 Zwróciłem matce uwagę, że wtedy nie tylko zmieniła kostium, ale najgruntowniej, jak to potrafiła sobie wyobrazić, odżegnała się od korzystania z wierchowca. Nikt (może prócz Żyda Wiecznego Tułacza czy Diogenesa) nie zasłynął bardziej niż Johnny Appleseed z tego, że był zawołanym piechurem i wszędzie chodził na własnych bosych nogach. Już nazajutrz matka zapakowała do pudła wszystkie swoje książki o koniach, rzeźbione koniki i czaszkę. Powiedziałem jej, że było to tak zwane myślenie magiczne. Dzieci, które czują się winne nieszczęść rodziców, wierzą, że mają moc ich odczarowania. Matka zastanowiła się nad tym. Czekałem, aż mi powinszuje przenikliwości. A ona spytała: „Gdzie tu widzisz czary?”.

XIX

W 1952 roku w Baltimore jesienna mgła przypominała raczej dym, a chociaż księżyc stał wysoko i był prawie w pełni, jego poświata wisiała w powietrzu, rozproszona i matowa jak pośledniejszej marki ciemność. Kiedy dziadek w Halloween objeżdżał autem Forest Park, szukając mojej babki (rekonesans w pobliskich szpitalach i komisariatach policji okazał się bezowocny), widział głównie cień. Aż tu raptem w stożek światła latarni ulicznej lub w jasną plamę przed oświetloną werandą wpadał lekarz, a za nim nieboszczyk, robot, marchewka, Abe Lincoln, wilkołak, faraon lub mucha. Dziadek jeszcze nigdy nie miał okazji oglądać aż tylu czarownic na kiju od szczotki, duchów okrytych prześcieradłem ani szeryfów z nieszkodliwą pukawką. Olbrzymi niemowlak trzymał za rękę karłowatego goryla, a włóczęga – milionera z monoklem w oku. Rzeka dzieci, jakby wyśniona, raz po raz wylewała się z cienia i z powrotem weń wsiąkała, tworząc niekiedy zastoinę na czyjejs werandzie, a gdzieś w tym wszystkim była kobieta z pęknięciem w mózgu, przez które wpadały cienie i wyciekały sny.

Dziadek zahamował na czerwonym świetle. W blasku reflektorów przed maską auta przelewała się surrealistyczna kipiela postaci historycznych, zwierząt z menażerii i marzeń o karierze: rogi wikinga, szyja żyrafy, różowa spódniczka baletnicy, szerokoskrzydły kapelusz funkcjonariusza Kanadyjskiej Policji Konnej. Dziadek zakręcił korbką, żeby otworzyć okno, i rzucił w noc pytanie, czy ktoś może widział przypadkiem Kruczą Wiedźmę. Dzieci oczywiście uznały to za żart.

– Ach! – zawołała żyrafa, pochylając głowę z masy papierowej, żeby z na wpół udawaną trwogą przebiec sprintem resztę jezdni.

– Krucza Wiedźma!

– Niech mnie pan nie straszy! – powiedział wiking.

Za każdym kolejnym rogiem dziadek odzyskiwał nadzieję, że uda mu się odnaleźć babkę, lecz tuż przed następną przecznicą znów upadał na duchu. Po pewnym czasie zauważył, że grupki dzieci, chodzące już to luźnymi gromadkami, już to gęsiego, stopniowo ustępują miejsca przemykającym chyłkiem bandom starszych chłopców bez żadnych przebrań, którzy biegali zgarbieni jak kreskówkowi włamywacze, wlokąc od domu do domu worki z poszewek na poduszki i ukradkiem rzucając jajkami w przejeżdżające samochody. Po każdym takim rzucie rozlegało się czknięcie opon, głośne pretensje lub złorzeczenia i kojoci śmiech. Robiło się naprawdę groźnie. Dziadek nie mógł znieść myśli, że pośród tego wszystkiego krąży moja babka. Obolała w środku. Wydrążona. Była w ciąży i poroniła, a wtedy powrócił dręczący ją głos, myśli czy też wspomnienie: utajona przeszłość pełna strat, strata za stratą, nawarstwiające się w nieskończoność, wlały się z powrotem w jej ciało, gdy wyciekła z niego ta łyżeczka życia. Wrócił jej wierny towarzysz. Świecący zbielałymi kośćmi amant z obłudem w oczach.

Obraz za przednią szybą zafalował. Dziadek podjechał do krawężnika, tarasując podjazd przed czyimś domem, i wyłączył silnik. Usiłował pohamować łzy. Płakał po prostu ze strachu – najbardziej haniebnego spośród wszystkich uczuć. Zamknął powieki, żeby nie widzieć świata, który zdołał zmusić go do płaczu, a teraz był świadkiem jego załamania. Po minucie otworzył oczy. Zapalił papierosa i nikotyna chyba trochę mu pomogła uporządkować myśli. Czuł w dłoni chłód zapalniczki Aughenbaugha, mając kojące wrażenie, że z jej grawerowanej powierzchni przez binokle maltozy (dwa pierścienie glukozyowe połączone wiązaniem glikozydowym) spogląda nań z niezmaconym opanowaniem jej poprzedni właściciel.

Zapalił jeszcze jednego papierosa i zaczął przeglądać w głowie różne możliwe metodologie, jakby nie szukał zaginionej kobiety, lecz po prostu lepszego sposobu prowadzenia poszukiwań – heurystyki, która byłaby skuteczna przeciwko stracie. Owocność takich poszukiwań zależała od znajomości przeszukiwanego terenu, od liczby poszukiwaczy i od tego, jak dawno nastąpiło

zaginięcie. Dziadek dość dobrze znał Forest Park i jego okolice, ale działał sam i nie miał czasu do stracenia. Lepiej było zacząć w dowolnie wybranym punkcie obwodu i posuwać się stamtąd ku bliżej nieokreślonemu środkowi czy raczej uciec się do ćwiartkowania? Siatka ulic wymagających sprawdzenia tworzyła miazgę linii prostopadłych i ukośnych, więc przeszukanie jej narażało na interesujące problemy z dziedziny topologii. Każdy użyteczny algorytm pozwalający zmaksymalizować liczbę przeszukanych kwartałów przy jak najmniejszym nakładzie czasu musiałby połączyć euklidesową geometrię prostopadłych ulic z nieeuklidesową geometrią zygzakowatych tras, których pokonywanie wymuszało czworokątny układ miejskich kwartałów. W tym konkretnym wypadku problem topologiczny dodatkowo komplikowało prawdopodobieństwo, że obiekt poszukiwany nie tylko nie trwa w bezruchu, ale może właśnie jechać tramwajem trzydziestkątrójką, wsiadać do pontiaca jakiegoś mordercy, leżeć jak strzaskany latawiec u stóp wieży Bromo-Seltzer albo spoczywać w wodach rzeki Patapsco, utopiony, wleczony jej nurtem po dnie. A tymczasem zbliżała się jedenasta. Dziadek od paru godzin kręcił się w kółko.

Postanowił jechać do studia WAAM. Pamiętał, że babka nawet w okresach zmagania ze swoimi nastrojami nigdy nie traciła z oczu obowiązków i powinności. W mrocznych czasach myślał, że nie sprawdza się w roli matki, żony, pracownicy czy przyjaciółki, zwykle potęgowała jej cierpienie. Świadomość, że musi się gdzieś stawić lub że ktoś na niej polega, nieraz wystarczała, żeby wydzwignąć ją ponad mrok przynajmniej na godzinę, na dzień, dopóki nie ukończy pracy, nie załatwi sprawy. Choćby więc tego akurat wieczoru zjechała nad samą krawędź, była szansa, że myślnik o czekającym ją występie wskaże jej drogę powrotną niby latarnia morska, tak jak w każdą piątkową noc. Może siedziała już w garderobie, nakładając gąbką na twarz maseczkę rozjaśniającą i domalowując wzdłuż brwi strzępiaste pióra.

Podczas jazdy dziadek zapalił kolejnego papierosa od płomienia zapalniczki, dzięki czemu zdołał wrócić myślami do heurystyki (czyli algorytmów umożliwiających skrótowe rozwiązywanie

zawiłych problemów) i do artykułu z „Scientific American”, poświęconego pewnemu zagadnieniu z zakresu teorii grafów.

Jesteś komiwojażerem i musisz obsługiwać n miast, chociaż masz ciężką walizę z próbkami i płaskostopie, a jedzenie w garkuchniach i spanie w hotelowych łóżkach dawno ci się sprzykrzyło. Tęsknisz za żoną i córką, więc każde miasto na swoim terytorium chcesz odwiedzić tylko raz, a potem wrócić do domu możliwie najkrótszą trasą przy jak najmniejszym nakładzie czasu. Istnieje $(n-1)$ możliwych dróg i dopóki n ma niezbyt wielką wartość (dajmy na to 5), możesz usiąść z mapą, tabelą odległości, ołówkiem i początkiem zgagi, zsumować dane i sprawdzić, która z dwudziestu czterech możliwych tras jest najkrótsza. Ale już przy dwucyfrowym, niechby i stosunkowo niskim n obliczenie dystansów dla każdej poszczególnej trasy nawet nadludzko szybkemu rachmistrzowi może zająć setki albo i tysiące lat. Przy zaledwie piętnastu miastach pojawia się bilion możliwych szlaków. A zatem komiwojażerowi, nieszczęsnemu tułaczowi o poobcieranych stopach, potrzebny jest jakiś algorytm, dogodna droga na skróty pozwalająca znaleźć najkrótszą trasę bez tysiąca lat arytmetyki.

Otóż takiego algorytmu jeszcze wtedy nie znano. Dziadek wyczytał gdzieś jednak, że korporacja RAND z Santa Monica wyznaczyła nagrodę pieniężną dla tego, kto jako pierwszy zaproponuje użyteczną heurystykę, która pozwoli znaleźć rozwiązanie problemu komiwojażera. Zdaniem owej korporacji stworzyłoby ono szereg nowych możliwości w rozkwitającej dziedzinie badań operacyjnych, akurat przypadkiem zbieżnej z ówczesnymi zainteresowaniami Weinblatta i dziadka. Ten ostatni poczuł dreszczyk budzącego się pomysłu, idei podejścia do bezwładnościowych systemów nawigacyjnych, wykorzystującej heurystykę topologicznych algorytmów. Była to wspaniała idea, więc przestał o niej myśleć – lepiej niech sama urośnie. Można dmuchać w płonący już ogień, żeby go jeszcze bardziej rozniecić, ale mały płomyczek od poddmuchu zgaśnie.

Dziadek skręcił w głąb dzielnicy Woodberry, w stronę studia WAAM. Po drodze wyobrażał sobie, że rozwiązał problem

komiwożazera i zgarnął kasę. Odpowiedzi należało oczywiście szukać w teorii funkcji liniowych. Powinien odświeżyć znajomość mechaniki hamiltonowskiej, odkurzyć wiedzę z zakresu teorii zbiorów. Już widział, jak odbiera nagrodę w postaci czeku, a potem (fantazjowanie na ten temat wcale tak znów nie urągało zdrowemu rozsądkowi) zdumieni jego pomysłowością spece z RAND, w sumie tacy sami jak on, proponują mu posadę. „Bardzo prosimy – powiedzieliby – żeby pan przyjechał do Santa Monica, bo pana potrzebujemy. Proszę tu przyjechać i podjąć pracę nad tym zastosowaniem topologii w dziedzinie nawigacji”. Pojechałby? Wyobraził sobie, jak stoi z swoją babką i matką na drewnianym tarasie domu nad oceanem. Kalifornia. Nic tylko słońce i horyzont, miejsce bez cieni, daleko od mroków Europy i jej historii, tego niekończącego się Halloween. Widział, jak wszyscy troje w podwiniętych spodniach spacerują po plaży. Przed nimi biegnie dziecko, synek jego i babki, zuchwały chłopaczek rozganiający mewy. Serce wezbrało mu w piersi. Jaka piękna scena. Równie piękna jak rozwiązanie problemu z topologii – nierozwiązywalnego, niestety.

Dojechał do studia telewizyjnego, na szczyt wzgórza w sercu miasta. Budynek miał formę dwóch zsuniętych razem brył: do bezokiennej otynkowanej skrzynki, w której mieściło się studio, przylegało pudełko po butach utrzymane w ówczesnym stylu publicznych szkół i bibliotek o ścianach z cegieł ułożonych w długie poziome rzędy i oknach również tworzących poziomy pas. O tej porze w większości okien było ciemno. Przed wejściem stały tylko dwa samochody. Pracownicy parkowali w garażu za budynkiem.

W holu nocny portier Pat ignorował kanapkę z oparciem i stolik w kształcie stopy bez palców, na którym leżały w nieładzie branzowe publikacje i czasopisma. Miał na sobie mundur podobny do policyjnego, tyle że szary, a do tego czapkę z daszkiem i czarny krawat. Ze swoimi niebieskimi oczami, rumieńcami i czerwonym nosem trunkowego jegomościa oraz dostojnym sposobem bycia przypominał dziadkowi Billa Donovana w nieco łaхудrowatym wydaniu. Swoją pracę

traktował bardzo serio, a babka twierdziła, jakoby był święcie przekonany, że miejscowa jacejka dostanie kiedyś z Moskwy rozkaz opanowania stacji WAAM. Dla odparcia tej napaści biedakowi dano tylko nóż do papierów, tkwiący akurat wtedy w skórzanym kubku na długopisy, latarkę i kółko z kluczami (choć tamtej nocy arsenał ten uzupełniono dynią i snopkiem kukurydzy), co chyba tłumaczyło jego wiecznie skwaszoną minę.

– Jestem na stanowisku od ósmej, proszę pana – oświadczył dziadkowi. – Nie widziałem pańskiej żony. I nie pan pierwszy o nią pyta. Pan Roberts już dwa razy przychodził sprawdzić, czy dotarła. Pan Kahn też.

Dziadek spytał Pata, czy mógłby porozmawiać z panem Robertsem (kierownikiem produkcji) albo z panem Kahnem (reżyserem), a ponieważ obaj byli wiecznie zajęci i mieli dosyć własnych zmartwień, gotów był sam się rozejrzeć po budynku. Bo może jego żona przyszła wcześniej, żeby poszukać takiego czy innego rekwizytu albo wybrać z płytoteki jakiś sygnał muzyczny, po czym w garderobie usiadła na fotelu i zasnęła. Dziadek mówił to z całym przekonaniem, ledwie jednak słowa uleciały z jego ust, hipoteza wydała mu się nieprawdopodobna, a z miny Pata wyczytał, że wygaduje bzdury. Przypomniawszy sobie, że przyjechał do studia nie tylko z nadzieją odnalezienia żony. Ubocznym celem było utwierdzenie się w przekonaniu, że naprawdę zniknęła. Pomyślał o książce.

– Będzie jej potrzebowała – rzekł. – Jak już tu dojedzie. Jest w drodze. Dotrze lada chwila. – Pokazał Patowi zbiór opowiadań Poego.

– Taa? – spytał Pat. – A co dziś dajecie?

– *Metzengersteina*.

– Nigdy gościa nie czytałem. Warto?

– Proszę dziś obejrzeć i samemu osądzić – poradził dziadek.

Wskazał ręką stojący za biurkiem Pata dwudziestojednocalowy telewizor RCA w masywnej dębowej obudowie. Był on stale nastawiony na kanał trzynasty i właśnie szedł w nim nieznanym dziadkowi film. John Wayne pod wodą, z nagą piersią, walczył nożem z gigantyczną ośmiornicą.

– O, już nie oglądam pańskiej małżonki – odparł Pat. – Jak tylko wchodzi na wizję, muszę wyciszać dźwięk. Miła z niej pani. A jaka śliczna. Ale mnie od niej aż mgli. Bez obrazu.

– Pat. Błagam. Muszę ją znaleźć.

– No to siadaj pan – powiedział Pat. – A ja idę poszukać pana Kahna.

Zniknął w drzwiach prowadzących do głównego korytarza, który łączył dwie części gmachu. Dziadek został przy recepcji i zaczął wodzić palcami po wyboistej powierzchni dyni. Zastanawiał się, czemu jedna półkula zawsze jest gładka jak szlifowany kamień, a druga pokryta pręgami i pryszczami, jakby ją spryskano jakimś tajemniczym cementem.

Minęła minuta, a Pat nie wracał. Dziadek podszedł do kanapki o nogach z wygiętych prętów zbrojeniowych i chociaż nie miał najmniejszej ochoty siadać, zmusił się, żeby jednak usiąść. Przetasaował czasopisma: „Broadcast News”, „Sponsor”, „Advertising Age”, „Ring” i kilka starych „New Yorkerów”. Jeden leżał otwarty na stronie z reklamą w formie komiksowego rysunku: wędkarz ze zdruzgotaną miną kręcił kołowrotkiem, wyciągając złowiony but. Dziadek szczerze mu współczuł. A potem na sąsiedniej kolumnie zahaczył wzrokiem o duże V, oddzielone dywizem od cyfry 2.

Artykuł zatytułowano *Romantyczny poryw*. Autor nazywał się Daniel Lang. Na kilku stronach w środku tygodnika z dwudziestego pierwszego kwietnia 1951, czyli sprzed ponad półtora roku, zawiadamił piśmienną, palącą dunhille i pijającą likiery triple sec amerykańską publiczność, że twórca straszliwej rakiety niemieckiej V-2 jest ostatnio szczęśliwym mieszkańcem miasta Huntsville w Alabamie i wraz z wieloma innymi „ludźmi nauki” z nazistowskich Niemiec pracuje jako wybitny uczony nad programem pocisków sterowanych dla armii amerykańskiej. Dziadek już wcześniej słyszał tego rodzaju doniesienia, lecz nie padało w nich nazwisko Wernhera von Brauna, a w dodatku były na tyle ogólnikowe, że zdołał je wygnać z myśli. Okazało się jednak, że nie tylko von Brauna, ale większość niemieckich specjalistów od budowy rakiet (ponad stu jeńców schwytanych

pod koniec wojny w ramach operacji Spinacz) przeflancowano do El Paso, a stamtąd do Huntsville, gdzie ostatnio pobierali znakomite pensje, uczyli się jadać pierożki *tamale* i kaszę kukurydzianą, nosili kowbojskie kapelusze i jeździli chevroletami, a jednocześnie przygotowywali dla Stanów Zjednoczonych pocisk zdolny zanieść głowicę jądrową w samo centrum Moskwy. Lang nazwał operację Spinacz wyprawą po złote runo, a jej uczestników – poszukiwaczami skarbów.

Langa oczarował von Braun, jego jasne włosy i pogodny sposób bycia oraz zapewnienia, że do dziwnych poczynań generałów i führerów odnosi się z niewinną obojętnością. Dziennikarz przytoczył jego twierdzenie, jakoby obwinianie uczonego raketnika, pragnącego jedynie „wypalić szlak wiodący ku innym planetom”, o zebrane przez V-2 żniwo śmierci i zniszczenia, miało tyle samo sensu co obarczanie Einsteina odpowiedzialnością za bombę atomową. Lang opisywał człowieka, który wedle rzetelnej wiedzy mojego dziadka był SS-Sturmbannführerem (odpowiednikiem majora), jako cywila, miłośnika pokoju, opieszatego wojownika chodzącego z głową w chmurach, a Nordhausen – ten zmechanizowany obóz niewolników, gdzie montowano rakiety V-2 – nazywał fabryką, w której pracowali rosyjscy jeńcy.

– Nie jest dobrze – powiedział Barry Kahn.

Dziadek spojrzał na niego. Reżyser był młodym przystojniakiem, jednym z tych powojennych intelektualistów żydowskich, którzy chodzili ubrani jak żule, czyli w kurtkach motocyklowych, dzinsach z podwiniętymi nogawkami i nigdy w krawatach. Za nim stał Pat, kręcąc głową i patrząc na dziadka z wymówką, a zarazem z satysfakcją, jakby od początku wiedział, że nic dobrego nie wyniknie z jego poszukiwań reżysera ani z małżeństwa dziadka z kobietą pokroju mojej babki.

– Panie, gdzie ona jest, do cholery? – spytał Kahn. – Co mam za dwadzieścia pięć minut pokazać widzom?

Telefon w recepcji zadzwonił raz i drugi. Pat wszedł za biurko i odebrał przy czwartym dzwonku.

– WAAM. – Przez chwilę słuchał, zanim zwrócił żółte, różowo

żyłkowane oczy na mojego dziadka. – Jest tutaj. – Oddał dziadkowi słuchawkę. – Pański brat.

Po niecałej minucie, nie powiedziawszy do rozmówcy nawet pięciu słów, mąż *Kruczej Wiedźmy* się rozłączył. Obrócił się twarzą do Barry'ego Kahna. Młody Żyd o wyglądzie twardziela cofnął się o krok, i to z takim pośpiechem, że się lekko zatoczył. Nie odrywał wzroku od czubka noża do papierów, który dziadek trzymał w prawej ręce. Ostrze było umazane pomarańczowym mięszem, jakby wyjęto je ze świeżej rany.

– Tylko spokojnie – powiedział Barry Kahn.

Kiedy w roku 2014 robiłem z nim wywiad w domu jego córki w Owings Mills w Marylandzie, opisał dziadka prawie słowo w słowo tak samo jak anonimowy świadek, zacytowany dwudziestego piątego maja 1957 roku w „New York Daily News”: „W życiu nie widziałem tak wściekłego faceta”.

Dziadek wyjął z bocznej kieszeni złożoną w kilkoro chusteczkę i starł nią miąższ z ostrza, zanim wrzucił nóż z powrotem do skórzanego kubka na długopisy. Znów obrócił się w stronę Barry'ego Kahna i wręczył mu dynię.

– Masz pan – powiedział.

Słuchając przez telefon wiadomości od stryja Raya, który specjalnie go wytropił, żeby mu ją przekazać, dziadek wyciął w dyni, a raczej wyciosał nożem do papierów koślawą karykaturę ludzkiej twarzy z dziurami zamiast oczu, szparą zamiast nosa i krzywym, kretyńskim uśmiechem.

– Co to? – zdumiał się Kahn.

Wcale nie chciał wziąć od dziadka dyni, ale w końcu ją wziął.

– Jej dublerka – wyjaśnił dziadek.

Podszedł do stolika i schylił się po „New Yorkera” z dwudziestego pierwszego kwietnia 1951 roku. Podniósł go, wyjął z kieszeni zapalniczkę Aughenbaugha i podpalił nią róg czasopisma. Kiedy zapłonęło, wrzucił je do metalowego kosza na śmieci przy drzwiach wejściowych.

– Miłego Halloween – powiedział.

W koszu buchnął płomień. Metal głucho zadzwieczał od żaru, lecz ucichł, gdy ogień zgasł.

Klasztor karmelitanek na rogu Caroline i Biddle Street. Ceglana wyniosłość za żelazną bramą w wysokim murze z cegieł. Za masywnymi żaluzjami okna jak strzelnice, stromy dach z występami mansard. Na poły azyl, na poły dom pokuty – w każdym razie zbudowany dla odgrodzenia mieszkanki od świata. Na dachu wysoki biały krzyż rozpościera ramiona jak przed skokiem z trampoliny.

Dziadkowi polecono wejść od tyłu. Zaparkował na Caroline Street i zgodnie ze wskazówkami przeoryszy odszukał zaułek – jeden z wielu podobnych w starym wschodnim Baltimore, wyłożony nierównym brukiem, na którym można zwichnąć kostkę. Przeorysza kazała szukać stalowych drzwi z granitowym schodkiem. Obok nich dziadek miał ujrzeć korbkę od dzwonka, ale pod żadnym pozorem nie wolno mu było nią zakręcić. O tej nocnej porze, jak wyjaśniła matka przełożona, w Karmelu obowiązywała cisza, reguła ciszy czy coś w tym sensie. Zakonnice miały same usłyszeć, że przyszedł, zanim zdążyłby chociaż zastukać.

Przez telefon przeorysza zrobiła na dziadku wrażenie kobiety przywykłej brać sprawy w swoje ręce.

– Kiedy pańska żona tu przysła, nie bardzo wiedziałyśmy, w jaki sposób najskuteczniej możemy jej pomóc – powiedziała, kiedy zadzwonił pod numer, który zostawiła stryjowi Rayowi. – W końcu uznałam, że najlepiej dać jej filiżankę herbaty i poduszkę.

Wszystko wyglądało tak, jak opisała: stalowe drzwi powleczone blaskiem księżycy, a pod nimi szeroki kamienny stopień, na którym kładziono zamówione towary, datki i podrzutków. Poniżej tabliczki z podstępny napisem „kręcić” korbka jak przy młynku do pieprzu. Kiedy dziadek podniósł rękę, żeby zapukać, zgrzytnęła zasuwka i drzwi otworzyły się do wewnątrz. W otworze zawisała pośród cieni krągła, blada twarz, jakby odcieleśniona – wymalowany na teatralnym horyzoncie księżyc w pełni.

– Matka Maria Józefa?

Twarz wykrzywił grymas rozbawienia, irytacji czy też pogardy. Jej właścicielka cofnęła się o krok, a dziadek zobaczył, że nie ma chyba jeszcze dwudziestu lat i raczej nie może być matką w żadnym tego słowa znaczeniu. Iluzję bezcielesnego zawieszenia w ciemności stwarzał powłóczysty szkaplerz brązowej barwy. Pachniał czystością, lawendą i parą spod żelazka. Młoda mniszka zaprosiła przybysza do środka niezręcznym machnięciem ręki, jakby próbowała odegnąć pszczołę. Dziadek wstąpił w progi Karmelu.

Łopaty do odgarniania śniegu, worki z piaskiem, ręczna dwukółka, rolki taśmy klejącej, kilka starych rowerów, a wszystko to opatrzone etykietkami, poukładane na półkach albo zawieszane na hakach. Cała menażeria śniegowców, wellingtonów oraz kaloszy. I druga zakonnica, stareńka i smągła, a przy tym wąsata i zgięta wpół jak palec. Ledwie dziadek zdążył przestąpić próg, ta filigranowa osóbką napała na ciężkie wrota i je zatrzasnęła, a młoda mniszka zasunęła rygiel. Z chwilą zapieczętowania wyłomu powietrze w korytarzu biegnącym przez przyziemie klasztoru zgęstniało od ciszy. Dało to efekt stoperów w uszach. Dziadek słyszał, jak przetyka ślinę i jak trzeszczą mu kręgi szyjne. Zakonnice ze spuszczonym wzrokiem prześlizgnęły się obok niego, oddalając się od drzwi dla dostawców.

– Przyjechałem zobaczyć się z żoną – powiedział.

Zabrzmiało to jak ryk, jak fanfara. Zaczął przeproszać, ale zakonnice już odchodziły korytarzem. Ściany z pomalowanych pustaków, pod sufitem gołe żarówki, a na podłodze linoleum w zielono-białą szachownicę, wyfroterowane na wysoki połysk – zapewne od nieustannego zamiatania rąbkami habitów. Mniszki zmierzały ku klatce schodowej w końcu korytarza. Szły, rzecz by można, z powolnym pośpiechem, jakby dźwigały żelazne kotły wrzątku. U stóp schodów przystały. Dalej nie zamierzały dziadkowi towarzyszyć. Stara zakonnica wyprostowała rękę i podniosła sękatą dłoń. Dziadek skinął głową – bez sensu, skoro mniszki jeszcze ani razu na niego nie spojrzały. Ruszył w górę po

schodach. Niewypowiedziane słowa skruchy zostały mu na końcu języka.

– Przepraszam – powiedział, kiedy wszedł na pierwszy podest.

Przeorysza już na niego czekała: przystojna, spowita obszernym jak namiot habitem z brązowej serży, stała w drzwiach niewzruszona niby pylon, tarasując drogę. Jej głos był niewiele głośniejszy od szeptu, lecz wcale nie miękkiej. Niósł się daleko. I domagał się posłuchu.

– Doprawdy? – spytała. – A za cóż to?

Była od dziadka o dziesięć centymetrów wyższa i o piętnaście kilo cięższa, a patrzyła mu prosto w oczy. Miała na nosie męskie okulary – grube szkła w okrągłych czarnych oprawkach.

– Za najście – wyjaśnił dziadek. – O tak późnej porze.

– Nie ma za co przepraszać. Sama pana wezwałam.

Dziadek poszedł za przeoryszą jeszcze jednym korytarzem. Nieskazitelnie czysta podłoga z twardego egzotycznego drewna mocno pachniała woskiem. Za habitem przeoryszy ciągnęła się znana już dziadkowi woń świeżo upranej i wyprasowanej serży. Minęli szereg anonimowych drzwi, grzejnik, posążek nagiego męczennika w ekstazie lub udręce, oprawiony w ramę portret pięknej zakonnicy, którą oderwało od pisania gęsim piórem w księdze pojawienie się olbrzymiego ludzkiego serca na błękitnym niebie nad jej głową. Napowietrzne serce przebijała olbrzymia strzała i może właśnie o tym pisała mniszka. W rurach grzejnika tętniły młoty parowe, a w korytarzu panowało przykre gorąco. Przy końcu były drzwi z blaszaną tabliczką; czarne litery na białej emalii oznajmiały: „Infirmeria”.

– Proszę czekać – poleciła przeorysza, znów tarasując własnym ciałem drogę wiodącą tam, dokąd dziadek pragnął się udać. Uchyliła drzwi infirmerii akurat na tyle, żeby zajrzeć przez szparę, i lekko chrząknęła, trochę jakby doznała objawienia, a trochę z irytacją. Zamknęła drzwi i obróciła się twarzą do dziadka, mierząc go przez soczewki okularów spojrzeniem współczującym, lecz wcale nie życzliwym. – Proszę za mną.

– Ona tam jest?

– Tak. Proszę za mną.

– Siostro...

– Proszę. – Przeorysza wskazywała palcem następne drzwi w korytarzu, lekko uchylone. – Będzie pan musiał coś postanowić, a w tej chwili brak panu niezbędnych po temu informacji.

Przypadek lub instynkt podsunął zakonnicy argument, który mógł zadziałać. Dziadek uległ i po chwili wahania wszedł za przeoryszą do pokoju obok infirmerii. Na drzwiach nie było żadnej tabliczki. Przeorysza zapaliła gołą żarówkę pod sufitem, wydobywając z ciemności biurko i dwa gięte krzesła, wysoki regał zapchany tekstami, które na oko sprawiały wrażenie nudnych, pusty siatkowy kosz na śmieci oraz metalowy sekretarzyk. Na blacie biurka była tylko suszka, monsturalnych rozmiarów telefon z lat trzydziestych i oprawiona w ramkę fotografia ówczesnego papieża. Dostojnik z zadowoloną miną siedział na tronie, a na głowie miał białą czapeczkę podobną do jarmułki. Dziadek usiadł naprzeciw przeoryszy.

– Z pewnością już od dawna nie zawitał do tego pokoju żaden mężczyzna – powiedziała przełożona z dezaprobatą i odrobiną melancholii. – W normalnej sytuacji powinien nas rozdzielać jakiś parawan.

– Czy to jest właśnie ta informacja, której mi brakowało do podjęcia decyzji?

Ta bystra riposta chyba lekko zaskoczyła oboje rozmówców. Przeorysza spojrzała na dziadka, mrużąc oczy.

– Całkiem możliwe – rzekła po chwili zagadkowym tonem. – Dałam pańskiej żonie herbatę.

– Już siostra o tym wspomniała.

– A raczej napój z waleriany. Działa uspokajająco.

– Tak.

– No i pańska żona zasnęła.

– A.

– Była wykończona. Wiem, że bardzo chciałby ją pan zobaczyć, przyjacielu. Ale dziś w nocy musimy dać jej się wyspać.

– Siostro...

– To panu oczywiście nie dogadza, skoro zrobił pan taki kawał

drogi i na pewno jest pan przejęty. Naturalnie. Poznają po minie. Ale przyzna pan, że budzić ją teraz byłoby okrucieństwem. Proszę. Niech pan jedzie do domu. I wróci tu rano albo w pierwszej dogodnej dla siebie porze jutrzejszego dnia. My o nią tymczasem zadbamy.

– Siostró, jestem, hmm, szczerze wdzięczny za tę całą opiekę i troskę, którą siostra już okazała mojej żonie. Ale chcę ją po prostu zabrać do domu. I to jeszcze dziś. Zaraz.

– Rozumiem. A czy jest pan pewien, że ona zechce z panem wrócić?

– Do czego siostra zmierza?

– Proszę się nie obrażać. Jestem wprawdzie zakonnica, ale zarazem kobietą i mam dzięki temu głębokie przekonanie, że wiem o mężczyznach w ogóle, a zwłaszcza o mężach dużo więcej niż pan. Zadałam rozsądne pytanie. Jeżeli żona tak bardzo chce być z panem w domu, to czemu nie ma jej tam teraz u pańskiego boku?

Dziadek musiał przyznać, że pytanie jest uzasadnione.

– No bo wyszła, hmm, poszła gdzieś. Była wytrącona z równowagi.

– Przyjacielu, niech pan chwilę posłucha. Pańska żona nie była „wytrącona z równowagi”. Dostała kompletnego szmergla. – Przeorysza zdawała się wsłuchiwać w zamierające echo własnych słów. Sądząc po minie, była nim usatysfakcjonowana. – Czy pan ją w ogóle dziś wieczór widział, miał pan okazję obserwować jej zachowanie?

– Nie.

– A czy słyszał pan, co mówiła? Jakimi słowami rzucała?

– Byłem w pracy – wyjaśnił dziadek. – Zanim wróciłem do domu, już gdzieś wyszła. Nie od razu zauważyłem, że jej nie ma.

– Rozumiem – rzekła przeorysza. – A czy wie pan, jak do pana dzisiaj dotarłam? Jakim dziwnym trafem znam pańskie nazwisko i numer telefonu?

– Przypuszczałem... myślałem, że zadzwoniła siostra do mnie na jej prośbę.

– Otóż nie wspomniała o panu ani jednym słowem.

Przynajmniej nie stało się tak w mojej obecności. Znałam pańskie nazwisko, bo... zaraz, kiedy to było, może ze dwa-trzy miesiące temu pańska żona włożyła nam do puszek czek na pięćset dolarów. Do pobrania z waszego wspólnego konta. Nie spieniężyłam go. To była za duża suma. Czułabym, że może popełniam nadużycie. W każdym razie schowałam go. Wydrukowano na nim pańskie nazwisko. Stąd wiedziałam, jak pana znaleźć.

– Twierdzi siostra, że ona już tu kiedyś była.

– Pańska żona przychodziła na naszą specjalną mszę pod hasłem „Siostry w modlitwie”, która w jedną niedzielę każdego miesiąca otwarta jest dla wszystkich kobiet wierzących. Bywała tu... o, chyba już od roku.

Stale widoczne w oczach przeorowskiej współczucie, które nie całkiem zniknęło nawet w chwilach, gdy dziadek wystawiał jej cierpliwość na próbę, teraz tak jakby ustąpiło miejsca jawnej litości.

– Nie wiedział pan o tym – stwierdziła przełożona.

– Nie.

– Ale zdaje pan sobie sprawę... Proszę mi wybaczyć, przyjacielu. Zdaje pan sobie sprawę, że pańska żona nie jest po prostu „wytracona z równowagi”. Rozumie pan, że jest umyślowo chora?

Dziadek niby to rozumiał, ale nigdy nie nazwał rzeczy po imieniu – ani na głos, ani w duchu, i nie pozwolił sobie nawet jasno o tym pomyśleć.

– Co ona tu dzisiaj wygadywała, ooo! – Przeorowska zamknęła oczy i lekko pokręciła głową. – Podawała się za wiedźmę. „Nocną wiedźmę”, wyobraża pan sobie? Mówiła, że jest kłamczuchą, wyrodną matką, ladacznicą. I jeszcze gorsze rzeczy. „Dziś wieczór zabiłam swoje dzieciątko”, powiedziała. Twierdziła, proszę sobie wyobrazić, że ją zniewolił, dosłownie zgwałcił *koń bez skóry*, a kiedy już zrobił swoje, poszła do toalety, zajrzała w głąb muszli i zobaczyła, że pływa tam jej dziecko. – Słowa lały się porywistym strumieniem, jakby przeorowska chciała czym prędzej je wypluć, uwolnić się od nich. – Nigdy przy panu tak nie mówiła?

– Nigdy.... Nigdy tak... tego nie ujęła.

– W końcu chyba po prostu miałam dość. Siedzę przy niej, tuż obok. Podaję jej napar i mówię: „Dobrze, już wystarczy. Dostyc tej gadaniny”. A ona się uspokaja. Patrzy na mnie i bierze mnie za rękę. „Czuję się tu bezpiecznie – powiada. – Tylko tu, nigdzie indziej. Chcę zostać. Mam powołanie, matko – mówi. – Do stanu zakonnego”.

Ku własnemu i przeoryszy zaskoczeniu dziadek parsknął śmiechem.

– To jakiś obłąd – powiedział. – Po pierwsze, ona jest mężatką. Moją żoną. Po drugie, ma córkę, jedenastoletnią dziewczynkę. A po trzecie, jest Żydówką.

Przeorysza miała ochotę mu przypomnieć, że sporo kobiet z żydowskich rodzin spędziło życie w klasztorach³⁵. Wyczytał to z jej miny. Z pewnością wiele zakonnice miało dzieci, a także byłych mężów.

– To niekoniecznie musi być obłąd – odparła przełożona. – Ale w tym akurat wypadku muszę panu przyznać rację. Niewykluczone, że ona rzeczywiście poczuła powołanie. Nie moją ani pańską rzeczą jest sądzić, czy naprawdę je ma. Nie może tu jednak zostać, nie w ten sposób. A zarazem, mój przyjacielu, spójrzmy prawdzie w oczy, wspólnie i każde z osobna: do domu też wrócić nie może.

Dziadek zaczął protestować, ale przeorysza podniosła bladą dłoń. U nasady każdego palca miała odcisk, żółty jak kość słoniowa. Dziadek zamknął usta.

– Nie jestem psychiatrą – podjęła zakonnica – a pan jest jej mężem, więc naturalną i słuszną kolejną rzeczą decyzja należy do pana, a ja się jej podporządkuję, tak jak powinnam. Musi pan jednak wiedzieć, że z zawodu jestem pielęgniarką. Mam w tych sprawach niemałe doświadczenie. I mogę panu powiedzieć bez cienia wątpliwości, że pańska żona potrzebuje opieki lekarza. *Psychiatry*. Musi się znaleźć w szpitalu psychiatrycznym,

35 Niewątpliwie znała żywot i historię męczeństwa innej karmelitanki, Teresy Benedykty od Krzyża, urodzonej jako Edith Stein w Breslau, zagazowanej w Auschwitz i w końcu kanonizowanej przez papieża Jana Pawła II w roku 1998.

przyjacielu, i poddać leczeniu, a ja i wszystkie siostry w tym domu będziemy się modlić o jej wyzdrowienie.

Zaskrzypiała podłoga. Przeorysza podniosła wzrok, a dziadek odwrócił się w stronę drzwi. Stała w nich zakonnica – drobna, chuda, z racji długiego nosa i widocznych w uchylonych ustach jedynek trochę jakby myszowata. Kiedy dziadek na nią popatrzył, wbiła spojrzenie w podłogę.

– Obudziła się, siostró Cyrylo?

Siostra Cyryla skinęła głową.

– I chyba jest... szczęśliwa! – Powiedziała to z nutą wyzwania, podnosząc głowę, tak że napotkała spojrzenie dziadka.

– Siostró Cyrylo!

Siostra Cyryla spuściła głowę.

– Ona mówi, że chce mu powiedzieć... o swoim powołaniu.

Przeorysza uważnie przyjrzała się dziadkowi, który siedział na krześle i chociaż rozumiał, że musi wstać, pójść do żony, wziąć ją i wynieść z tego domu, cała jego zdolność do myślenia i działania na tym się kończyła. Nie wiedział, dokąd mógłby żonę zabrać. Nie miał zielonego pojęcia, gdzie na świecie jest właściwe miejsce dla takiej kobiety jak moja babka.

– Co mam zrobić? – zapytał. – Co jej powiedzieć?

Przeorysza gestem dłoni odprawiła siostrę Cyrylę.

– Niech siostra wraca do swoich obowiązków.

– Tak, matko.

– Może jej siostra powiedzieć, że mąż wkrótce do niej przyjdzie.

Matka Maria Józefa odczekała, aż siostra Cyryla wyjdzie z pokoju, a podłoga w korytarzu przestanie skrzypieć, i rzekła:

– Co ma pan jej powiedzieć? No cóż, przyjacielu, na dłuższą metę bym tego nie zalecała, ale tymczasem chyba radziłabym skłamać.

Utkany ze szrafowanych cieni pokój wyglądał jak wprawka w rysowaniu trójwymiarowej kuli – ciemny łuk owinięty wokół kręgu szarości, a nieco w bok od środka jasny punkt: moja babka. Całe światło w smutnej izdebce zdawało się bić właśnie od niej.

Siedziała w metalowym łóżku szpitalnym z dłońmi na prześcieradle wywinętym na skraj wełnianego koca. Żadnego makijażu. Włosy z ostentacyjną surowością ściągnięte w koński ogon. Dziadek nigdy nie widział jej piękniejszej.

– Naphawdę hozumiesz?

– Tak, kochanie. Oczywiście.

– Tylko tu mogę być bezpiecznie.

– Wiem.

– Chcę, żebyśmy wszyscy byli bezpieczni. Żeby naszej cóhce nic nie zagażało.

– Tak.

– Kiedy jestem gdzie indziej niż tu, hobi się ghoźnie.

– Rozumiem.

– Tak, jesteś przecież żołnierz. Hozumiesz, co znaczy powołanie. Człowiek musi coś poświęcić.

Dziadek wiedział, że nie powinien interpretować ani brać sobie do serca niczego, co wygaduje babka, kiedy jest w takim stanie. Prawie słyszał głos przeoryszy, udzielający mu tej rady. Rozumiał, że babka się łudzi, jakoby szykowała się do złożenia ślubów karmelickiej nowicjuszki, i mówi o poświęceniu doczesnych więzi, a nie o tym, żeby córkę złożyć w ofierze jak na pogańskim ołtarzu, umazaną krwią klaczy. Nieodparcie nasuwała mu się jednak wizja noża na bladym gardle mojej matki. Wzdrygnął się.

– Zgoda – powiedział.

– Naphawdę się zgadzasz?

– Oczywiście.

Babka podniosła ręce, nie wstając z łóżka, a dziadek wszedł w jej objęcia. Zapachniało mydłem kastylijskim. I troszkę naftaliną.

– Jesteś taki dobhy – rzekła babka. – Dziękuję ci.

Dziadek garbił się nad nią, aż go rozboleł kark. Przytknęła mokry policzek do jego policzka. Na komodzie przy łóżku leżała książka, w której rozpoznał *Kwiatki* swojej żony, a obok stał portret Jezusa Chrystusa. Była to nowoczesna litografia wykonana z zachowaniem fotograficznego realizmu,

w metalowej ramce dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów. Jezus wyglądał jak Guy Madison, tyle że brodaty i z włosami Lauren Bacall. Utkwił spojrzenie w moim dziadku. Jego mina miała zapewne wyrażać współczucie, ale dziadek widział w niej tylko politowanie. Przypomniała mu się tamta chwila podczas wojny, kiedy patrząc, jak stary ksiądz udziela ostatniego namaszczenia umierającemu niemieckiemu cywilowi, wzruszył się dźwiękiem łacińskich słów i zaszyfrowanym w nich przesłaniem pokoju, które wyczuł. Lecz na widok tego pięknisia w roli Jezusa przebiegał go niemiły dreszcz. „Pokpiłeś sprawę, frajerze – zdawał się mówić Chrystus o tłących się żywym żarem oczach Guya Madisona. – Straciłeś tę kobietę”.

Dziadek wywikłał się z objęć babki i cofnął, żeby spojrzeć jej w twarz. Gdyby – tak jak w literackich opisach – miała w oczach tylko pustkę, przywodzącą na myśl wyludniony dom, może łatwiej byłoby mu to znieść czy choćby przyjąć do wiadomości. Co znika, tego po prostu nie ma. Ale dziadek w oczach żony nie dostrzegł pustki. Były pełne, wręcz wezbrane. W jej rysach jak zwykle panował ożywiony ruch inteligencji i uczuć. Na jakimś poziomie musiała oczywiście zdawać sobie sprawę, że cały ten pomysł z powołaniem to bzdura, utopia, farsa. Musiała wiedzieć, że jutro, w przyszłym tygodniu, po kilku miesiącach wypoczynku i kojących rozmów z jakimś znakomitym psychiatrą jej to przejdzie.

– Sam wiesz, że to minie – powiedziała, a jemu serce zamarło w piersi. – Widzę twój smutek. Jezus też go widzi. Cię pocieszy.

– Nie trzeba – odparł dziadek, tłumiąc odruch, który kazał mu skierować te słowa wprost do wizerunku Jezusa. – Dam sobie radę. Oboje damy sobie radę. Jutro cię odwiedzę.

Babka roześmiała się, rozbrojona jego reakcją.

– W tym układzie to się nie da zhobić, głuptasie.

Dziadek nie mógł już tego znieść. Babka przytrzymała go za rękę.

– Chcę ci coś pokazać.

– Co takiego?

– Nasze słodkie dzieciątko – wyjaśniła.

Sięgnęła po tomik *Kwiatków* w brązowej okładce i pozwoliła, żeby się otworzył w jej rękach na stronie założonej kartą do gry. Ukazał się granatowy rewers we wzór białych półksiężyców. Babka zwinnym ruchem palców podała kartę dziadkowi, on jednak nie miał ochoty widzieć awersu, więc nie odwrócił karty.

Kiedy tamtej nocy wrócił do domu, stryj Ray i moja matka spali na kanapie przed telewizorem. Program dawno się zakończył. Na ekranie mrowił się chaos kropek rozkiełzanego obrazu. W domu nie paliła się ani jedna lampa, a prószące z telewizora szare światło wykrwawiało pokój z wszelkich barw. Przy końcu kanapy siedział stryj Ray; podbródek opadł mu na pierś. Moja matka – wciąż w tych samych sztruksowych ogrodniczkach – leżała na poduszkach, podciągnąwszy kolana niemal pod brodę, z głową na jego udach. Usta miała umalowane czymś ciemnym, a dziadek w półmroku nie umiał wprawdzie określić ich koloru, ale musiała to chyba być czerwień, skoro na stoliku leżało nadgryzione jabłko w słodkiej polewie, zwrócone patykiem w dół i przyklejone do blatu. Prawa ręka stryja Raya spoczywała wzdłuż boku mojej matki, oparta dłonią o jej biodro.

Ta niewinna, czuła scenka wzbudziła w dziadku niepokój. Szare światło telewizora też go zaniepokoiło. Przywiodło mu na myśl błędne ogniki, poblask rozkładu. *Ignis fatuus*: płonące w koszu na śmieci stare czasopismo pełne starych nowin; przebłysk geniuszu, którego doznał wieczorem, kiedy jeździł po Forest Park, szukając mojej babki. Spróbował na nowo rozniecić tę iskrę. Widmowy chłopiec zadreptał po plaży o zachodzie słońca. Korporacja RAND, problem komiwożera. Zastosowanie topograficznej heurystyki do rozwiązania kwestii nawigacji zliczeniowej w sterowaniu bezwładnościowym. Dziadek jeszcze przez chwilę ścigał ten niemądry płomyk, już go niemal dopadał... lecz iskra mrugnęła i na zawsze zgasła³⁶. I co z tego?

36 „Prawie wyprzedziłem epokę” – stwierdził dziadek, opowiadając mi ten epizod. Rozwiązania zmodyfikowanych wersji problemu komiwożera i heurystyczne podejścia do niego są dziś sednem najnowocześniejszych

Wiadomo było, że umieszczenie mojej babki w szpitalu i zapewnienie jej należytej opieki będzie kosztowało majątek. Przygoda dziadka z Patapsco Engineering właśnie dobiegła końca. Musiał namówić Weinblatta, żeby wykupił jego udziały, i znaleźć solidniejszą pracę, zapewniającą stały dochód.

Podszedł do telewizora. Zanim go wyłączył, przelewając się przez brzegi ekranu piana entropii w ostatniej chwili jakby się przegrupowała, układając się w znajomy wzór. Dziadek na kilka sekund zastygł w bezruchu, a włosy na karku stanęły mu dęba, bo na ekranie ukazał się czytelny obraz. Dziury zamiast oczu. Czarna szrama zamiast nosa. Szcherbaty uśmiech halloweenowej latarni. Przeczytawszy potem w gazecie, że tuż przed ostatnią emisją *Krypty Kruczej Wiedźmy* Barry Kahn wziął poszlachtowaną dynię i wstawił do niej świecę, żeby igraszki pełgającego płomyka wypełniły kolejne trzy kwadranty martwego eteru, dziadek wpadł w zadumę. Czyżby obraz utrzymał się na fosforanowej powłoce lampy katodowej? A może odbił się od jakiegoś załamka atmosfery i powrócił elektronową zjawą?

Dziadek wyłączył odbiornik. Na siatkówce został mu negatyw dyniowej twarzy, lecz po chwili zbladł i zgasł jak błędny ognik albo przebłysk geniuszu. W pokoju zapadła ciemność, do której oczy dziadka przywykły dopiero po pewnym czasie.

– Pamiętasz *Cuda niewiady*, moją ulubioną książkę? – spytałem matkę, kiedy tamtego popołudnia staliśmy u mnie w kuchni przy stole, patrząc z góry na wyszczerzoną w uśmiechu końską czaszkę o szalonych ślepiach przypominających dwie mandale.

Cuda niewiady C. B. Colby'ego – zbiór reportaży o „niewyjaśnionych” zdarzeniach i zjawiskach paranormalnych – były stałą pozycją w repertuarze Szkolnego Klubu Książki na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, a zarazem jedną z najważniejszych lektur mojego dzieciństwa.

– Był tam tekst o czymś trochę podobnym – ciągnąłem. – Znak badań w dziedzinie nawigacji robotów.

wywoławczy telewizji z Houston w Teksasie ni stąd, ni zowąd pojawił się na ekranach bodajże w Anglii. Tylko że to było parę lat po zamknięciu tej stacji. Nikt nie wiedział, skąd sygnał nadszedł ani gdzie się przez te lata podziewał, zanim się znowu pokazał³⁷.

– Ha – powiedziała matka.

– Więc może dziadek zobaczył coś w tym rodzaju.

Matka popatrzyła na mnie. Zdążyła już sobie zdrowo pociągnąć drambuie, toteż nawet się nie siliła na litościwe spojrzenie.

– Nie sądzę – odparła.

Położyła czaszkę na poplamionym ręczniku i owinęła ją. Schowała zawiniątko w pudle po Old Crow. Znalazłem rolkę taśmy do pakowania, a matka zakleiła nią wszystkie szczeliny pudła, jakby chciała raz na zawsze udaremnić każdą próbę wydobycia na światło dzienne (a może ucieczki) jego zawartości. Wyszła z pudłem pod pachą i tyle je widziałem. Nigdy więcej też o nim nie rozmawialiśmy.

37 Okazuje się, że historia o „fantomowym znaku wywoławczym telewizji KLEE”, przytoczona w *Cudach niewidach* jako autentyczna i tak też opisana przez wiele gazet w połowie lat pięćdziesiątych, była elementem mistyfikacji, której dokonał pewien przedsiębiorczy brytyjski cwaniak, elektroniczną wariacją z połowy XX wieku na temat starego szwindlu z maszyną do drukowania pieniędzy.

XX

W Fontana Village mieszkało wielu malarzy. Malowali szczegółowe portrety olejne samolotów z drugiej wojny światowej, martwe natury z muszlami i nostalgicznie zbrązowiałe wesela w sztetlach. Wystawiali swoje prace w holu domu kultury na corocznym jarmarku dzieł sztuki.

Sally Sichel nie należała do tego rodzaju artystów. Studiowała w Instytucie Pratta, a potem uczyła malarstwa na Uniwersytecie Kalifornijskim w Davis u boku Arnesona i Thiebauda. Joan Mitchell była druhną na jej pierwszym ślubie. Prace Sally nie zdobyły wprawdzie wielkiej sławy (dziadek, dla którego wielkie malarstwo zaczynało się od Winslowa Homera, a kończyło na Franku Kellym Freasie, autorze okładek czasopisma „Analog”, nigdy o niej nie słyszał), ale bynajmniej nie była nieznaną. Jej płótna wisiały w muzeach i w domach kolekcjonerów aż w Japonii. Kiedy Muzeum Sztuki Nowoczesnej w San Francisco mieściło się jeszcze w Gmachu Pamięci Weteranów Wojennych, w jednym z ciemnych kątów wisiała nieduża Sichel i tam też ją pewnego razu odwiedziłem wkrótce po śmierci dziadka. Tak jak większość obrazów Sally z lat sześćdziesiątych, zdawała się wyrastać z jakiejś gęstej i prywatnej matematyki. Udziergana z paraboli i kątów koronka, czerwono-pomarańczowa na tle tytanowej bieli, zwodziła oko. Powidoki na siatkówce zmieniały białe obszary w skoczny niebieskozielony neon.

Sally poznała mojego dziadka niecałe dwa miesiące po owdowieniu, ale już od dawna dręczyła ją wtedy samotność i żałoba. Lesliego Porta, jej trzeciego męża, niszczyła (z początku wolno, potem z oszałamiającym przyspieszeniem) bliżej nieokreślona choroba, którą (jak zdał sobie później sprawę dziadek) musiało być AIDS. Niewiele jeszcze wówczas wiedziano o tym wirusie, toteż Lesliego usiłowano ratować długo, drogo i po omacku. Chociaż przepracował wiele lat u Hewletta-

Packarda (był współautorem oprogramowania klawiatury i ekranu stosowanego dziś w bankomatach i dystrybutorach paliwa na całym świecie) i nieźle tam zarabiał, kuracja pochłonęła w końcu wszystkie jego oszczędności, a Sally dołożyła do nich całą swoją odporność psychiczną i emocjonalną. Zanim umarł, parę razy radykalnie zmieniały się diagnozy, rokowania i zalecenia. Pierwsza żona Lesa i trójka jego dorosłych dzieci z ówczesnymi i byłymi mężami lub żonami tworzyli teatr repertuarowy, który przy każdym pogorszeniu skwapliwie korzystał ze sposobności, żeby wystawić tasiemcowy spektakl o poczuciu winy, zagubieniu i zadawnionych urazach. Sally przyznała się dziadkowi, że od trzech lat nie tknęła pędzla.

– Nie starczało mi czasu – powiedziała. – A kiedy go akurat miałam, brakowało energii. Byłam wykończona. Wciąż zresztą jestem.

Leżeli na wznak w łóżku dziadka mierzącym półtora metra na dwa. Dziadek zajmował tę samą stronę (lewą), która była rewirem jego bezsenności, snów i trosk przez wszystkie lata małżeństwa, a potem wdowieństwa. W prawym, od dawna bezludnym regionie materaca znienacka zagościło ciepłe kobiece ciało oraz woń bursztynu i goździków. Była to ich druga wspólna noc. Sally najpierw położyła głowę na ramieniu dziadka, ale okazało się ono zbyt kościste, a jej policzek za gorący. Perfumy nazywały się Opium, a ich zapach burzył gospodarzowi spokój, miło mu było jednak słuchać po ciemku ochrypłego altu, którym Sally opowiadała swoje życie w formie rozproszonych rozdziałów z przypisami i dygresjami. Jej dzieje obejmowały siedemdziesiąt dwa lata. Dziadek nie zdążył jeszcze zarezerwować wizyty u specjalisty ani powiedzieć Sally o dziwnych liczbach ze swojej analizy krwi (tego tylko brakowało, żeby nagle zwałił jej się na kark kolejny chory facet!), ale przeczuwał, że umrze, zanim dosłucha do końca tej całej *megili*.

– Tęsknisz za malowaniem? – spytał.

Wysychający w chłodzie klimatyzacji pot szczypał go w skórę. Dziadek zdrzął i trochę się przysunął do Sally.

– Właściwie to nie – odparła, a potem zamilkła. Dziadek pożałował, że niepotrzebnym pytaniem przerwał strumień jej autobiografii. Po chwili Sally powiedziała: – Odszczekuję. Bardzo tęsknię. Ciekawe. W ogóle tego nie czułam, dopóki nie zapytałeś.

– Przepraszam.

– Za co?

– Że ci podsunąłem nowy obiekt tęsknoty.

– Nie szkodzi – rzekła Sally. – Szczerze mówiąc, lepsze to niż tęsknić za Ramonem.

Nazajutrz dziadek zawiózł ją do sklepu z materiałami dla artystów w Fort Lauderdale. Kupiła sztalugi, płachtę malarską, rolkę płótna, blejtramy, gesso, pędzle, kilka tubek farb kadmowych, alizarynowych i kobaltowych oraz dwa kartony farby tytanowej w puszkach – jeden karton białej, a drugi naturalnej. Dziadek wyjął oba z wózka i postawił na ladzie, żeby kasjerka obliczyła należność.

– Po co ci aż tyle bieli? – spytał.

Sally uniosła brew. Włosy miała związane szalem w niebieskozielone wzory z wycinanek Matisse’a, a na sobie spłowiałą koszulę w niebieskie paski na białym tle, z kołnierzykiem, zapinaną na guziki. Rozpięła ją akurat na tyle, że widać było ząbkowany brzeżek koronki stanika.

– Myślisz, że tak łatwo ci powiem? – zapytała. – Tak po prostu?

Minęły lata, odkąd z dziadkiem umiejętnie przekomarzała się ładna kobieta. Okazało się, że on z kolei właśnie za tym bezwiednie tęsknił.

– To tajemnica?

– Oczywiście, że tajemnica. Czyżbyś nic nie wiedział o sztuce?

– Najwyżej o sztuce mięsa.

– Oy. Tylko bez słownych gier. Przecież obiecałeś.

– Nie mam o sztuce bladego pojęcia.

– Nawet ja nie wiem, czemu używam tyle bieli. Teraz widzisz, jaka to tajna sprawa.

Pojechali z powrotem do Fontana Village i dziadek pomógł Sally wnieść zakupy do domu. Nieumeblowany pokój gościnny miał zasuwane drzwi ze szkła, akurat w tamtej chwili pełne słońca.

Położyli sprawunki w jako tako uporządkowanym nieładzie. Sally zaśmiała się ochryple.

– Zawracanie głowy i tyle – powiedziała. – Wpadnij tu za dwa tygodnie. Założę się, że wszystko będzie leżało tak jak teraz. Odłogiem.

– Bylebyś ty przez ten czas nie leżała odłogiem.

– Boże, ale z ciebie zbok. Przestań. Idź sobie zabić tego swojego węża. Nie.

Dziadek objął obiema rękami jej biodra i przyciągnął bliżej. Miała na sobie białe luźne szarawary. Zanurzył dłonie pod ich elastyczną talię i pod gumkę koronkowych majtek. Uraczył się dwiema garściami dupy. Nie była wprawdzie jakoś szczególnie okazała, ale jej ciężar pozwolił mu dotrzeć do niewyczerpanego źródła grawitacji, a dziadek przyjął to rozkoszne uziemienie ze spóźnioną wdzięcznością, jakby od dawna dryfował w stanie nieważkości.

– Miałam zamiar najpierw cię nakarmić – powiedziała Sally.

– Dobrze – zgodził się dziadek.

Wyciągnął nogę i zahaczył stopą o płócienną płachtę malarską, wciąż jeszcze złożoną w kilkoro i opakowaną w plastik. Przysunął ją po podłodze nieco bliżej i pomału ukląkł przed Sally na tej prowizorycznej poduszce.

– O Boże – jęknęła kobieta, a potem westchnęła: – Och.

Dziadek ściągnął jej spodnie razem z majtkami i utkwiał spojrzenie w siwiejących włosach na podbrzuszu. Były rzadkie, ale długie, a w dotyku mięciutkie. Przytknął policzek do brzucha Sally. Miękkie włosy w odcieniu szaroblond szeleściły mu tuż przy uchu. Nozdrzy dosięgnął zapach cipy – jeszcze nie swojski, lecz już nie obcy. Dziadek daremnie spróbował porównać go z zapamiętaną wonią cipy mojej babki. Od tamtej pory minął jednak cholerny kawał czasu, o wiele za dużo.

– Nakarm mnie – powiedział.

– Tylko bez gierki słownych – upomniała go Sally, osuwając się ze swoiście niedbałą ostrożnością na podłogę apartamentu koleżanki. – Przecież obiecałeś.

XXI

Dziadek zaprowadził Diddensa na polanę, żeby mu pokazać raketę, i wpisał do raportu podstawowe szczegóły dotyczące jej współrzędnych i stanu. Napomknął, że zamierza prowadzić dalszy zwiad w sprawie V-2, lecz nie wspomniał o von Braunie, a opakowanie oraz przygotowanie rakiety do transportu na zachód powierzył Diddensowi. W swoje prawdziwe plany starał się wtajemniczać go jak najmniej i możliwie najpóźniej. Mówił sobie, że w pojedynkę będzie się poruszał szybciej i sprytniej, w rzeczywistości jednak bolał nad śmiercią Aughenbaugha i – tak jak wielu ludzi pogrążonych w żałobie, a zarazem przywykłych dystansować się wobec własnych uczuć – myślał, że potrzebna mu samotność.

Pożegnał się z obojgiem starsuszków uściskiem dłoni. Podarował starymu księdzu dwa kartony chesterfieldów i cygaro niewiadomej proveniencji. Ksiądz ucałował go w policzek i pospieszoną łaciną pobłogosławił na drogę. Fräulein Judit dostała dwie puszki słodzonego mleka skondensowanego, pudełko słonych krakersów i pismo „Life” z siódmego lutego 1944 roku, które tajemniczym sposobem pojawiło się w plecaku mojego dziadka nazajutrz po tym, jak on i Aughenbaugh wkroczyli śladem Sto Czwartej Dywizji Piechoty do Kolonii. Na okładce widniał portret George’a Bernarda Shawa. Odpłacono dziadkowi zimnym spojrzeniem, granitowym uściskiem dłoni i przykurzonym krążkiem sera.

– Co, do cholery? – spytał Diddens. – Gdzie się wybierasz?

Zbudził się obolały, zielony na twarzy, lecz gdy parę razy wyrzygał się w chlewie, wydoił ostatnią butelkę wina i przeszedł przez las, żeby zobaczyć legendarną bestię w całej jej okazałości, znów stał się tym samym zrzęda co dawniej.

– Wróć – skłamał dziadek. – Chcę się tylko rozejrzeć. Czekać tu, a jak przyjadą transportowcy, pomóż im załadować ten kapiszon.

Uznał, że znalezienie rakiety jest zasługą Diddensa, którego strzała raniła w stopę i dzięki temu trafili do księdza, ten zaś wskazał im drogę do V-2.

– Masz zadanie do wykonania – zwrócił dziadkowi uwagę Diddens. – Tylko po to cię wysłano w sam środek tego całego gówna.

– Dorwę von Brauna – odparł dziadek. – To jest moje zadanie.

– Tak? I co wtedy zrobisz? Pocałujesz go w usta? – Diddens przybrał ton ślicznotki z Południa. – Wernher, mój słodki, na sam widok twojej rakiety aż mi staje. Daj mi ją possać, kotku!

– Zapewne.

– Och, Wernher, twój von jest tak bardzo braun!

Dziadek nigdy więcej nie zobaczył Diddensa. Wyszedł z podwórka i dotarł drogą do pierwszych rozstajów. Prawie zaraz potem usłyszał warkot silników i zgrzyt skrzyni biegów ciężarówki, którą ktoś wprawnie maltretował. Nadjechały dwa wozy półgąsienicowe, samochód pancerny i ciężarówka aprowizacyjna M35 z Osiemset Sześćdziesiątego Dziewiątego Batalionu Polowego Sześćdziesiątej Piątej Dywizji Piechoty. W nocy oddzieliły się od reszty jednostki i właśnie zmierzały do Paderborn, a kucharze jadący ciężarówką mieli rozkaz usmażyć każdemu napotkanemu żołnierzowi amerykańskiemu naleśniki na śniadanie. Paderborn leżało mniej więcej przy trasie do Nordhausen – ostatniego ze znanych (przynajmniej mojemu dziadkowi) miejsc pobytu von Brauna. Dziadek wdrapał się na pakę M35, między worki z mąką, stopy kartonów z jajkami w proszku i dwie stalowe beczki syropu kukurydzianego. Zasnął, nim zdążył sobie tego stanowczo zabronić.

Gdy się zbudził, ciężarówka rzęziła i buksowała, a szofer głośno klął. Kiedy dziadek przed paroma godzinami ją zatrzymał, dostrzegł wymalowane na drzwiczkach po stronie pasażera insygnia: czerwone koło na złotej tarczy. Pod spodem koślawe litery wymalowane białą farbą oznajmiały wszem wobec, że ciężarówka nazywa się Grubonoga Baba³⁸, a kapral Melvin Fish

38 *Big Leg Woman* – tytuł bluesa Johnny'ego Temple'a. Wśród kierowców ciężarówek Red Ball Express siedemdziesiąt pięć procent stanowili czarni,

z Red Ball Express usiadł za jej kierownicą w czerwcu 1944 roku i przejechał nią z plaży Omaha aż do Ardenów. Kapral Fish miał czas przywyknąć do jazdy po spierdolonych drogach, ale z tą akurat wyraźnie sobie nie radził.

Dziadek wyrzwał znad tylnej klapy ciężarówki. Jakiś męzny taktyk postanowił widocznie rzucić za siebie przez ramię zabłąkaną jednostkę zmotoryzowanej piechoty, żeby osłaniała odwrót SS z tej okolicy. Dwadzieścia parę motocykli z koszami i kilka przysadzistych kübelwagenów. Ogień baterii samobieżnych haubic kalibru sto pięć milimetrów, strzelającej od zachodu ze szczytu wzgórza, dosięgnął niemieckich motocyklistów w szczerym polu. Na stumetrowym odcinku droga zamieniła się w tor przeszkód w postaci zniszczonych maszyn i trupów unurzanych w zbełtanym błocie. Od kilku dni nie padało, więc nie było to naturalne błoto; opony ciężarówek i gąsienice umiesiły je z pyłu, krwi i jakiegoś sosu domowej roboty, którym Szwaby napędzały silniki, dopóki nie wyciekł z podziurawionych baków, tworząc w koleinach kałuże. W młacie tkwiły ludzkie włosy. Żołnierze, na ile dziadek zdołał rozróżnić ich rysy w impaście ciał, sprawiali wrażenie zupełnych żółtodziobów.

Chwilowo jednak bardziej interesował go stan motocykli. Te owoce złomowisk, monstrialne hybrydy, musiały wyglądać dość żałośnie, jeszcze zanim dobrała się do nich artyleria. Części rowerowe naprędce igwałtem zwerbowane do służby wojskowej, kosz wyklepany chyba z galwanizowanej stalowej balii, opony upstrzone łatami. Rowery, strzały z łuku. Zanosiło się na to, że Niemcy zaczną wkrótce ciskać cegłami i kamieniami. Rzucali już przecież na szaniec ciała własnych dzieci.

Nieco wyżej na trawiastym stoku, który posłużył załogom haubic za kręgielnię, dosiadał motocykla niemiecki oficer. Kiedy mijala go Grubonoga Baba, ślizgając się i zarzucając tyłem, lewe oko Niemca zdawało się mierzyć spojrzeniem w dziadka wychylonego przez tylną klapę ciężarówki. Oficerowi odstrzelono prawą połowę czaszki i większość twarzy, z której

a w tamtych czasach mało kto prócz nich słuchał takiej muzyki (przyp. tłum.).

ocalało niewiele prócz wytrzeszczonego oka. Do poczerńiałego urwiska kości ciemieniowej przywarła jak sucha trawa mgiełka jedwabistych włosów, trzepocząc na wietrze. Ubłocone buciory mocno stały na ziemi po bokach pojazdu, który chyba nie ucierpiał od ostrzału. Miał niskie zawieszenie i absurdalny w tych warunkach kolor khaki. Oficer o posturze dorosłego mężczyzny wypinał pierś, prężąc szerokie ramiona, jakby próbował przybrać wyzywającą pozę. Urękawiczone dłonie zaciskał na kierownicy. Może odbił od reszty oddziału i wjechał na zbocze, łudząc się, że ściągnie na siebie ogień haubic, a może chciał poderwać swoich nastoletnich fizylierów do samobójczej szarży pod górę, prosto pod lufy dział. Podczas gdy konwój ciężarówek brnął zygzakiem przez pobojuwisko, jeden z żołnierzy, jak można się było spodziewać, poczuł się urażony widokiem szczątków jasnowłosej głowy wieńczących butne barki albo po prostu nie oparł się pokusie strzału, więc dobył colta i parę razy wypalił od niechcienia, ale nie trafił. Dopiero po chwili serio wziął się do rzeczy i głowa rozprysnęła się w obłoku czerwonej mgły. Bezgłowy zewłok wciąż jednak buńczucznie się prężył, siedząc okrakiem na motocyklu.

Dziadek przeskoczył przez tylną klapę ciężarówki i natychmiast ugrzązł po kostki w makabrycznym błocku, którego odór tak jak i ono samo był amalgamatem, jaki mogła stworzyć jedynie wojna. Do jej osobliwych dzieł zaliczał się także smród, który buchał, gdy ekipy odwszawiające żandarmerii wojskowej kazały jeńcom zdejmować ubrania i buty, przy czym podobny do fetoru zjeźczałego masła cuch niemytych stóp mieszał się z wyziewami pach i z naftowym śwędem płynu przeciw wszom. Dziadek zobaczył w prawym bocznym lusterku zdziwioną minę kaprała Fisha. Pomachał mu ręką na znak, że dziękuje za podwózkę.

Błoto obcmokiwało mu buty. Dobrnął na pobocze i wdrapał się po stoku aż do bezgłowego oficera. Tuż nad zdekapitowanym kadłubem muchy kłębiły się skrzętną chmarą, jakby próbowały uszykować się w kształt prowizorycznej głowy. Prócz jej braku, dzięki któremu dziadek z nawiązką zaspokoił swój głód wiedzy o budowie anatomicznej gardła oraz górnych kręgów i o apetycie

much, nic nie wskazywało na to, by oficer (równy stopniem dziadkowi porucznik) był gotów zrzec się motocykla. Nawet bez głowy zachowywał sztywną postawę, jakby nie zamierzał oddać pola.

– Basta – powiedział dziadek. – Bierzmy go.

Zaczerpnął tchu. Chwycił oburącz od tyłu górną część tułowia, odwracając twarz od mięsa i szalejących much. Potężne impulsy układu nerwowego podpowiadały mu, że ma jednym szarpnięciem ściągnąć truchło z motocykla i upuścić je albo wręcz cisnąć na ziemię. Oparł się im jednak. Paroma delikatnymi ruchami wysupłał kierownicę z uchwytu martwych palców. Pomału zdjął trupa z siodełka, podniósł go i przechylił w bok, aż dalsza noga oderwała się od ziemi. Ułożył zwłoki na wznak w trawie, jakby pomagał pijanemu umościć się w łóżku. Nie przestając wstrzymywać oddechu, pozbawił trupa karabinu, ładownicy i rękawic. Te ostatnie były skórzane i grube, z mankietami, bardzo nazistowskie. Włożył je. Ich czarna skóra zbryzgana była krwią. Wytarł ją o mundurowe spodnie martwego oficera.

Wrócił do motocykla i dokładnie go obejrzał. Był to zündapp, brudny, ale na oko dobrze utrzymany. Prosta maszyna składała się z silnika i skrzyni biegów, zawieszonych na szkieletcie przypominającym rozcapierzone kości palców nietoperza. Dziadek zauważył, że tylne koło ma wspólną oś z kołem kosza. Zapłon na manetce zmiany biegów. Tych było cztery. Kosz osłonięty płóciennym pokrowcem, jakby nieboszczyk przywykł do samotnych przejażdżek. Wszystko prócz czarnych gumowych rączek kierownicy, siodełka i opon oraz stalowych zakrętek kanistrów pociągnięto matowym lakierem w odcieniu pustynnego beżu. Namalowana przez szablon białą farbą na dziobie kosza zgrabniutka palemka kryła się skromnie za białą swastyką. Zündapp wydawał się tu nie na miejscu, jak niedźwiedź polarny w Central Parku, i to jeszcze w sierpniu. W roku 1990 dziadek równie chętnie jak w 1945 poświęcił minutę na rozważenie zagadki, jaką była podróż motocykla z Maghrebu do Westerwaldu, i powolnego upadku Wehrmachtu

od czasów Rommla i Afrika Korps.

Wdrapał się na siodełko. Kierowca przejeżdżającego willysa klepnął klakson, a dziadek uniósł dłoń w rękawicy. Odczekał chwilę, oswajając się z masywnym pojazdem, na którym siedział okrakiem. Przekręcił kluczyk w stacyjce, otworzył przepustnicę i kopniakiem uniósł podnózek. Silnik ożył z warkotem.

Po niecałych piętnastu kilometrach dziadek zdążył się zakochać. Przedtem tylko raz prowadził motocykl raptem przez godzinę i nie zdołał poczuć się swobodnie na maszynie BSA, należącej do pewnego bilardzisty z Jersey. Pamiętał, że zmagał się wtedy z tak niepokojącymi zjawiskami, jak skok tłoka i moment obrotowy. Nieustannie miał wrażenie, że jedzie w przchyle. Drgania silnika przenosiły się bezpośrednio na jego kości i stawy. Za to zündapp po prostu mknął, podparty trzecim kołem. Płynnie przechodził na wyższy bieg, a na ostrych zakrętach pewnie trzymał się drogi. Silnik pracował głośno, ale nie męczył ucha. Motocykl podrzucał, lecz nie trząsał. Bak między udami dziadka był prawie do pełna zatankowany etanolem z obierek kartofli, destylowaną pastą do butów czy inną miksturą. Maszyna była znakomita, chociaż w żaden sposób nie pomogła poprzedniemu właścicielowi zachować głowy na karku. Dziadek wspominał po latach, że jadąc w stronę Nordhausen, nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie pokaże zündappa swojemu nowemu koledze, Wernherowi von Braunowi. Wyobrażał sobie, jak poturlają się szosami powojennych Niemiec, a von Braun będzie jechał w koszu niby dobroduszny miś.

– Zastałeś go tam jeszcze?

– Nie.

– Nie?

– Zanim dotarłem, już go tam nie było. I to od dawna.

– Ale go znalazłeś.

Dziadek nie odpowiedział. Siedział na łóżku z twarzą zwróconą w stronę okna. Oddychał dość równo, minęła już jednak pora lunchu, a od rana zjadł tylko parę łyżeczek galaretki.

Przypuszczałem, że może być trochę osłabiony.

– Dziadku? Dobrze się czujesz?

– Tak.

– Jeszcze zupy? Mama ci ugotowała.

Wpatrywał się w okno, jakby coś ciekawego działo się w karmniku, czyli poza moim polem widzenia: kolejny daremny atak mamzera. Ale dziadek się nie uśmiechał.

– Za dużo gadam – rzekł w końcu.

– Przepraszam. Możemy przerwać. Powinieneś odpocząć. Pooszczędzać głos.

Dziadek się skrzywił, jakby odrzucał propozycję. Nie mówił więcej, niż mu na to starczało głosu albo sił. Mówił więcej, niż było według niego mądrze czy stosownie. Ponieważ uważał, że szczyt konwersacyjnej brawury osiągnął z chwilą, gdy zakończył trzyminutową jeremiadę, w której ubolewał nad obojętnością świata wobec nadzwyczajnych zalet silnika z tłokiem obrotowym projektu Wankla, nie potraktowałem jego reprimendy czy też autoreprimendy zbyt serio. Wydała mi się raczej ciut melodramatyczna.

– Cieszę się, że mówisz – powiedziałem. Nie miałem nic przeciwko melodramatom.

– I właśnie dlatego nie powinienem mówić.

– Jak to? Dlaczego?

– Za bardzo się cieszysz.

– Za bardzo się cieszę?

– Zanadtoś ciekaw.

– Wręcz przeciwnie, nudzę się jak mops – odparłem. – Skłamałem z czystej uprzejmości.

Na ulicy ekipa drwali ścinała wierzchołki drzew, żeby odsłonić widok mieszkańcom wyższych partii wzgórza. Przez całe popołudnie piła łańcuchowa wgryzała się w drewno, milkła i znów się wgryzała. Jakość panoram otwierających się ze wzgórz w Oakland mierzy się na skali od jednego do pięciu liczbą widocznych mostów: San Mateo, Dumbarton, Bay, Golden Gate i Richmond. Salonowi i sypialni mojej matki przypadły w udziale szacowne dwa mosty. Ale z łóżka mojego dziadka zamiast

imponujących przesłać widać było tylko odcinek czarnego kabla koncentrycznego biegnący od narożnika domu do słupa telefonicznego przy samej ulicy.

– Myślisz, że to wszystko wyjaśnia – rzekł dziadek. Zanim wygnał z ust ten czasownik, tchnął w niego tyle wzgardy, ile tylko zdołał w nim zmieścić. – Mnie i twoją babkę. I matkę. Mój pobyt w więzieniu. Wojnę. – Dziadek odwrócił się od okna. W oczach przez mgłę hydromorfonu błysnęło mu coś, co na podstawie swojej wiedzy o jego przeszłości wziąłem za gniew. – Myślisz, że to wyjaśnia ciebie.

– Wyjaśnia sporo – powiedziałem.

– Nic nie wyjaśnia.

– Wyjaśnia troszkę.

– To tylko nazwiska, daty, nazwy miejsc.

– Niech ci będzie.

– Nic z tego nie wynika, możesz mi wierzyć. Nic nie znaczy.

– Rozumiem.

– Czyżby? A co takiego rozumiesz?

– Rozumiem, że jesteś wielkim starym pierdolonym nihilistą.

Tu już się uśmiechnął; a może wrócił *mamzer*.

– Richard Feynman – powiedziałem. – Doktor Richard Feynman.

– A co on ma tu do rzeczy?

– Szukał tylko odpowiedzi na pytanie, dlaczego Challenger eksplodował. Prawda? I nie mogła to być odpowiedź w stylu „bo to leżało w zamiarach Boga” albo, czy ja wiem, „Challenger eksplodował, żeby pewien chłopczyk gdzieś na świecie postanowił wyrosnąć na inżyniera i wynaleźć bezpieczniejszy, trwalszy system napędzania pojazdów kosmicznych”. Ani nawet coś w rodzaju stwierdzenia, że „zawodność jest nieodłączną cechą ludzi i ich dzieł” czy choćby „bo takie już zaszranie jest to życie”. Poszukiwane wyjaśnienie musiało brzmieć mniej więcej tak: „Ponieważ było za zimno, uszczelki skruszały i zawiodły, więc paliwo wyciekło ze zbiornika i nastąpił samozapłon, wskutek czego prom osiągnął prędkość większą od przewidzianej, toteż konstrukcja nie wytrzymała, no i się

rozpadła”. Odpowiedź miała zawierać daty, nazwiska i liczby. I to Feynmana satysfakcjonowało, bo chciał poznać prawdę. Sens zawierał się w samym dociekaniu.

– To była rakietka wspomagająca na paliwo stałe – sprostował dziadek. – A nie żaden zbiornik.

– Racja.

Dziadek przyglądał mi się w milczeniu, lecz to, co na chwilę przebiło zasłonę chmur, już zniknęło. Łza spłynęła mu po policzku, więc znów odwrócił twarz w stronę okna. Wstałem i z pudełka chusteczek wyciągnąłem jedną. Spróbowałem otrzeć dziadkowi łzę, ale odepchnął moją rękę i wyjął mi z niej chusteczkę.

– Wstyd mi – powiedział.

– Dziadku...

– Jestem rozczarowany sobą. Swoim życiem. Wszystko, czego próbowałem, udawało mi się tylko połowicznie. Człowiek stara się wykorzystać dany mu czas. Tego go uczą. Ale kiedy się zestarzeje, patrzy wstecz i widzi, że udało mu się to mnóstwo czasu tylko zmarnować. Jego przeszłość pełna jest spraw, których w ogóle nie zaczął albo nie dał rady dokończyć. Które całym sercem starał się stworzyć, a one nie przetrwały, albo całym sercem zwalczał, a mimo to wciąż są. Wstyd mi za siebie.

– A ja się za ciebie nie wstydzę – odparłem. – Jestem dumny.

Dziadek znowu się skrzywił. Ten akurat grymas znaczył, że cała moja wiedza o wstydzie (a raczej to, co wie o nim całe moje pokolenie, stosujące spowiedź jako metodę autokreacji) zmieściłaby się w połówce łupiny fistaszka.

– Ale i tak wyszła z tego niezła historia – powiedziałem. – Nie zaprzeczysz.

– Co ty powiesz? – Dziadek zmiął chusteczkę, otarłszy samotną łzę. – Weź ją sobie. Jest twoja. Spisz ją po mojej śmierci. Wszystko wyjaśnij. Nadaj jej sens. Wstaw dużo tych swoich wyszukanych metafor. Ułóż chronologiczną całość z tego miszmaszu, którym cię poczęstowałem. Zacznij od nocy moich narodzin. Drugiego marca tysiąc dziewięćset piętnastego roku. Było wtedy zaćmienie Księżyca. Wiesz, co to takiego?

– Cień Ziemi pada na Księżyc.

– Jakże znamienne. Jestem pewien, że to idealna metafora tego czy śmego. Zaczynij od niej.

– Trochę jakby szampowa – stwierdziłem.

Dziadek rzucił zgniecioną chusteczką prosto w moją głowę. Odbiła się od policzka i upadła na podłogę. Schyliłem się po nią. Gdzieś wśród jej włókien tkwiła być może ostatnia łza, którą uronił dziadek. Z szacunku dla upartej niewiary starca w sens życia (jego własnego i wszystkich innych ludzi) wyrzuciłem ją do kosza na śmieci, który stał przy drzwiach.

– No więc – powiedziałem – dotarłeś do Nordhausen.

Dziadek pokręcił głową, ale już wiedziałem, że ulegnie. Obaj to wiedzieliśmy.

– Tak, dotarłem do Nordhausen, niech to szlag – rzekł raczej przegranym niż gniewnym tonem.

Od razu pojąłem, chociaż nic jeszcze nie wiedziałem, że było to najgorsze miejsce na świecie. I wtedy pewna częśćka mojej natury, od dawna trwająca w uśpieniu, odemknęła się raptem jak oko.

Wychowałem się wśród milczków, którzy tłumili uczucia. O ojcu wiedziałem, że jest „gadulą”, „zasranym ściemniaczem” (pamiętałem, jak dziadek przy mnie rzucił mu w twarz ten epitet), „lowelasem”, ale była to tylko wiedza zasłyszana, a w świetle dokonań ojca wszystko, co o nim mówiono, potwierdzało zasadność tłumienia uczuć. Wiedziałem też, że w jakiejś zamierzchłej epoce babka tryskała ogniem, szaleństwem i poezją, lecz tamte dni spowijała mgła legend. Można je było najwyżej odgadywać ze śladów zachowanych w głębszych warstwach geologicznych. W mojej rodzinie i za mojego życia odczuwanie i mówienie o uczuciach woleliśmy zostawiać tym, którzy nie mieli lepszego zajęcia.

Młodzieńczy bunt kazał mi zatem oddać się całym sercem poezji, ogniowi i szaleństwu, a także parającym się nimi ludziami: Rimbaudowi, Patti Smith, Sydowi Barrettowi i dziewczynom, za którymi się uganiałem. Jeszcze długo po ostygnięciu buntu wymachiwałem sztandarem autoekspresji. W wiek dojrzewania

wszedłem pod koniec lat siedemdziesiątych, kiedy pękły wszystkie gorsety. Osiągnąłem pełnoletniość, akurat gdy wschodzący podówczas ruch samopomocowy w psychoterapii upowszechniał ideę, jakoby dzielenie się doświadczeniami i uczuciami było zbawienne, natomiast ich wypieranie trąciło piekłem. Aż do owego popołudnia, kiedy siedziałem przy łóżku dziadka, próbując od niego wyciągnąć opowieść o Nordhausen i krępy młodym blondynie, wierzyłem (i w sumie raczej wierzę do dziś), że milczenie jest ciemnością, a nazywanie wpuszcza w nią smugę światła. Byłem przekonany, że każdy sekret przypomina złośliwy guz, a wyznanie zastępuje nóż – jasny i gorący promień, który leczy przez wypalanie. Wierzyłem, że dobrze jest (był to dla mnie wręcz jeden z paru autentycznych pewników) się „wywnętrzać”.

Lecz gdy dziadek przytaknął, że owszem, dotarł do Nordhausen, usłyszałem w jego głosie gorzkie porażki.

Przypomniało mi się, jak to w dzieciństwie, kiedy mój wygadany, wyszczekany, wielosłowny ojciec sunął zygakiem przez kolejne sale rozpraw, uniki podatkowe, małżeństwa i moje życie, konsekwentne milczenie dziadka stanowiło wartość stałą. Mogłem na niej (tak jak i na nim samym) polegać. Gdzie zresztą był dowód, że dwadzieścia lat ogólnonarodowego bicia piany, czyli wywnętrzania się, przysporzyło szczęścia narodowi? Niedługo przedtem czytałem w „Scientific American” o rzymskim mieście Herkulanum, które Wezuwiusz pogrzebał, a archeolodzy odkopali. Otóż pod wpływem światła i powietrza niszczało to, czemu pozwoliły przetrwać stulecia mroku. A radioterapia? Klasyczny przykład leczenia, które jest gorsze od choroby. Wziąwszy wszystko pod uwagę, w życiu codziennym zapewne najlepiej było mówić, co komu leży na sercu, dzielić się myślami, wyznawać swoim ukochanym miłość, tych, których się skrzywdziło, prosić o wybaczenie, a własnym krzywdzicielom rzucać w twarz prawdę o szkodach, jakie wyrządzili. W sprawach domagających się wysłownienia mowa zawsze była lepsza niż milczenie, lecz wobec niewysłownego okazywała się bezużyteczna.

– Może jednak zjem trochę zupy – powiedział dziadek.

Poszedłem do kuchni i z dużego pojemnika, który stał w lodówce, nalałem do miseczki trochę ugotowanego przez matkę rosółu z kury. Zupa podgrzewała się w mikrofalówce, a ja tymczasem rozstawiłem nóżki tacy śniadaniowej i wytarłem ją ściereczką. Poskładałem w kilkoro serwetkę i położyłem na niej łyżkę. Znalazłem solniczkę i pieprzniczkę – obie w kształcie terierów, białego i czarnego. Dziadek lubił czasem posypać zupę żółtymi izraelskimi grzaneczkami, które nazywał *mandelen*, więc sypnąłem garść na spodek (zawsze to trochę więcej kalorii) i postawiłem go na tacy. Kiedy zupa się zagrzała, ostrożnie umieściłem miseczkę obok spodka i zaniósłem do sypialni. Rosół aż się złocił. Marchew, seler i cebula były w nim klejnotami. Powierzchnię ozdobił filigran złocistego tłuszczu. W parze buchającej z miseczki wyczułem cytrynową nutkę – wspomnienie babki. Pachniało doprawdy przepysznie.

Pomogłem dziadkowi usiąść, podkładając mu pod plecy poduszkę. Postawiłem przed nim tacę i zatknąłem serwetkę pod brodą, w wycięciu długiego podkoszulka.

Pochylił się, wtykając twarz, a zwłaszcza nozdrza, w unoszący się nad miseczką obłok pary. Opuścił powieki i pociągnął nosem. Wziął do ręki łyżkę i na moich oczach spałaszował prawie całą zupę. Wyglądało na to, że jej smak przynosi mu ulgę.

– Dobra – rzekł, odkładając łyżkę. – Wernher Magnus Maximilian Freiherr von Braun. – Tu dodał coś kąśliwego w jidysz.

– Zrozumiałem tylko „cebula” – powiedziałem.

– Tak czasem mawiała twoja prababka. To żydowska klątwa. Oby rósł z głową w ziemi jak cebula.

– Więc o to tu szło? – Wziąłem do ręki egzemplarz *Rakiet, pocisków i podróży kosmicznych*, podwędzony trzydzieści parę lat wcześniej z biblioteki więzienia Wallkill. – W książce Willy’ego Leya zamazałeś, a w każdym razie ktoś zamazał nazwisko von Brauna we wszystkich miejscach.

– To ja – przyznał dziadek, po czym dodał oschle: – Nic to nie dało.

Dosypał do zupy parę mandelen i zjadł jeszcze łyżkę. Malutkie krakersiki zachrupały mu w zębach.

– A potem... pamiętam, jak nie chciałeś oglądać lądowania na Księżycu. Wstałeś i wyszedłeś z pokoju. Chociaż właściwie całe życie czekałeś, żeby zobaczyć tę scenę.

– Aha.

– Jakoś na tym zaważył twój stosunek do von Brauna?

– Aha.

– No to coś widocznie musiało się stać...?

Dziadek wlał do ust kolejną łyżkę zupy. Przełknął. Patrzył mi prosto w oczy, uważnie i nieugięcie, jakby żądał, żebym uzasadnił logikę swoich domniemań.

– No bo kiedy opowiadałeś, jak wtedy rano wsiadłeś na motocykl i wyruszyłeś, to brzmiało prawie, jakbyś... jakbyś czuł w von Braunie...

– Bratnią duszę?

– No. Ale później, w pewnym momencie... – Dziadek nie spuszczał mnie z oka, a ja chyba nigdy nie widziałem w jego spojrzeniu mniej tkliwości niż wtedy. Odłożył łyżkę. – Wychodzi na to, że później właściwie znienawidziłeś faceta do szpiku kości.

– Właściwie tak – przyznał dziadek.

– Za co?

Ilekoć w dzieciństwie ulegałem chorobliwej jego zdaniem skłonności do wykładania kawy na ławę, dziadek przybierał pewien szczególny ton i powtarzał nim moje słowa. Chyba właśnie tak ustawionym głosem Mela Blanca mówią w starych kreskówkach Warner Brothers przygłupie posokowce, yeti i tępi mięśniacy. Dziadek starał się pewnie utrafić w intonację Lona Chaneya juniora w roli Lenniego z *Myszy i ludzi*. Dawno już nie słyszałem tego głosu, wtedy jednak znów się odezwał: zająkliwy, niski, a zarazem dziecinny.

– Coś widocznie musiało się stać – powiedział dziadek tym debilnym tonem.

Czekałem. A on sięgnął po łyżkę i nachylił sobie miseczkę do ust, jakby chciał ją wylizać. Zdążyłem pomyśleć, że kiedy matka wróci z pracy, powiem jej: „Zupa strasznie mu smakowała.

Dopilnowałem, żeby zjadł całą miseczkę”.

Łyżka brzęknęła o podłogę. W wykonaniu człowieka tak osłabionego i otumanionego lekami był to zaskakująco gwałtowny gest. Dziadek odepchnął miskę. Stwierdziłem potem, że w jej brzegu jest szczyrba.

– Chcesz wiedzieć, co się stało w Nordhausen? – wychrypiał swoim zwykłym głosem. – To sobie o tym poczytaj.

XXII

Po powrocie matki poszedłem do biblioteki, która mieściła się w bajkowym domku na Mountain Boulevard i we czwartki była otwarta do późna.

Zacząłem od *Tęczy grawitacji*, którą czytałem już na Uniwersytecie Kalifornijskim w Irvine jako lekturę obowiązkową w ramach studium doktoranckiego Mike'a Clarka ze współczesnej powieści i właśnie ta książka (oparta, jak się okazało, na dokładnych badaniach) była źródłem prawie całej mojej znikomej wiedzy o V-2. Tym razem spędziłem nad nią godzinę, kartkując tom, na nowo przebiegając wzrokiem wybrane fragmenty, począwszy od epigrafu, a następnie śledząc losy pewnej drugorzędnej postaci – młodego inżyniera Franza Pöklera, którego kariera spleta się z historią lotów kosmicznych w Niemczech: z weimarskim okresem Raketengußplatz Berlin i zapatrzonym w gwiazdy *Verein für Raumschiffahrt*³⁹, z *Frau im Mond* i raketowym szaleństwem, z militaryzacją rakietnictwa, która nastąpiła, kiedy Hitler zaczął mieć coś do powiedzenia, z Peenemünde i (odkrywszy to, aż się wzdrygnąłem) z Nordhausen, gdzie główny bohater Tyrone Slothrop też w pewnej chwili się pojawia. Rozpoznawałem fragmenty – jedne absurdalne, inne rozdzierające – których akcja toczy się w podgórskiej jaskini rakiet lub wokół niej, lecz nazwa tego miejsca w Górach Harzu zupełnie wyleciała mi z pamięci. Nasunęło mi się pytanie, czy dziadek zna *Tęczę grawitacji* i czy w ogóle próbował ją czytać. Zastanawiałem się, jakie wrażenie zrobiłyby na nim zawarte w niej opisy działań wojennych w Europie, grozy Nordhausen, odczuć podczas nalotów

39 Towarzystwo Podróży Kosmicznych, którego współzałożycielem był ulubiony pisarz mojego dziadka, Willy Ley, podczas gdy zamożny młody baron von Braun miał tam status kogoś w rodzaju genialnego dziecka, a zarazem maskotki. Ley, śmiały w słowach przeciwnik nazizmu i militaryzacji rakietnictwa, w roku 1935 uciekł z Niemiec do Stanów Zjednoczonych.

rakietowych i wielu innych rzeczy, których Pynchon nigdy nie przeżył ani nie widział. Mnie wydawały się przekonujące, ale cóż ja o tym wszystkim mogłem wiedzieć? Dziadek czytał wprawdzie tak zwaną rzetelną science fiction, bo mu się w niej (podobnie jak w Czarodziejskiej górze) podobał kunsztowny sposób podania wielkich idei, ale większość beletrystyki uważał za „bujdę na resorach”. Lektura powieści była dla niego stratą czasu, który można by z większym pożytkiem poświęcić literaturze faktu.

Prócz Pynchona znalazłem niewiele. W *Britannice* krótkie hasło na temat Nordhausen i tamtejszej fabryki rakiet Mittelwerk, z odniesieniami do haseł poświęconych V-2, ośrodkowi Peenemünde i obozowi koncentracyjnemu Dora-Mittelbau. Wzmianki o Peenemünde, Mittelwerk i kaciecie Dora-Mittelbau w kilku historiach powszechnych drugiej wojny światowej. Kończącą, a zarazem jedną z najbardziej ponurych części książki o tym, jak Trzecia Dywizja Pancerna przez bity rok przedzierała się z Normandii do Dessau. Zaaprobowany przez Pentagon tom z 1971 roku o operacji Spinacz, zawierający ostrożną wzmiankę, że w roku 1947 oczyszczono z zarzutów popełnienia zbrodni wojennych niejakiego Georga Rickheya, który piastował kierownicze stanowisko średniego szczebla przy produkcji V-2. Aż wreszcie zgarnąłem główną wygraną: artykuł z „New York Timesa” z marca 1984 roku, w formie mikrofilmu. Streszczał on komunikat o operacji Spinacz z najnowszego numeru „Bulletin of the Atomic Scientists”. Autor komunikatu, twierdził „Times”, obficie korzystał z dokumentów, które dopiero niedawno odtajniono na mocy ustawy o swobodnym dostępie do informacji, i szczerze udowadniał, że Ameryka wszystkie swoje powojenne osiągnięcia techniczne (zwłaszcza w dziedzinach broni biologicznej, aeronautyki i lotów kosmicznych) zawdzięcza ohydny zbrodniom nazistowskim z czasów wojny i starannemu tuszowaniu tychże zbrodni przez Amerykanów. Po latach bierności i zaprzeczania faktom – informował autor – rząd Stanów Zjednoczonych pozbawił obywatelstwa wybitnego inżyniera astronautę Arthura Rudolpha i deportował go do Niemiec. Rudolph nie zechciał lub nie mógł

podważyć świadectw z pierwszej ręki potwierdzających jego współudział w licznych okrucieństwach popełnionych w okresie, gdy zajmował stanowisko kierownika produkcji V-2 w Nordhausen. Arthur Rudolph – dodawał autor – był obok Wernhera von Brauna głównym projektantem potężnej rakiety Saturn V, która wyniosła na Księżyc szereg misji w ramach programu Apollo⁴⁰.

W sumie było tego niewiele, ale zorientowałem się z grubsza, o co chodzi.

Do sierpnia 1943 zakładano, że gdy rakiety V-2 osiągną gotowość bojową, zaczną się je produkować w tym samym ściśle tajnym ośrodku na dalekiej wyspie Peenemünde u niemieckich wybrzeży Bałtyku, w którym prowadzono badania i doskonalono projekt. Wszystkie prototypy i próbne modele skonstruowały w tamtejszych warsztatach setki „cudzoziemskich robotników”, czyli więźniów skoszarowanych w pobliskim obozie koncentracyjnym, w większości Polaków. Zaczęli oni już budować nową fabrykę, gdy podczas pełni siedemnastego sierpnia ośrodek stał się celem zmasowanego nalotu aliantów, którzy odkryli tajemnicę Peenemünde, a przed nalotem zgromadzili materiały wywiadowcze i przeprowadzili rekonesans. Zaszyfrowana pod kryptonimem HYDRA akcja w optymistycznym zamyśle organizatorów (był wśród nich zięć Churchilla, Duncan Sandys) miała udusić V-2 (czyli A4, jak nazywano wtedy tę raketę) w kolebce. Właśnie po to sześćset lancasterów, halifaksów i stirlingów zrzuciło dwa miliony kilogramów bomb o wielkiej sile rażenia na teren, który uważano za bliską okolicę warsztatów, laboratoriów oraz kwater naukowców i inżynierów.

W tamtych czasach precyzja nakierowywania bomb pozostawiała wiele do życzenia. W trakcie nalotu na Peenemünde mnożyły się błędy w nawigacji, obliczeniach i aeronautyce. Warsztatom i laboratoriom zadano wprawdzie

40 I jeszcze dziś, czterdzieści parę lat po ostatnim locie, pozostaje jedynym pojazdem, jaki kiedykolwiek zbudowano, zdolnym wynieść ludzi poza orbitę okołoziemską.

wymierne straty, ale większość bomb, które wyrzuciły jakiegokolwiek szkody, spadła na sąsiedni obóz koncentracyjny. W kilka minut zginęło siedmiuset „cudzoziemskich robotników”, a niemieckich badaczy zabitych bombami HYDRY naliczono raptem dwóch. Źródła alianckie i niemieckie zgodnie oszacowały, że nalot (który przypląciło też życiem dwustu brytyjskich lotników) spowodował w pracach nad programem raketowym najwyżej dwumiesięczne opóźnienie.

HYDRA okazała się niezbyt skuteczna, ale jakieś owoce jednak przyniosła. Dowiodła, że programowi V-2 zagraża niebezpieczeństwo, toteż Heinrich Himmler skorzystał z pretekstu, żeby oddać go pod komendę swojemu SS (w którym Wernher von Braun doszedł tymczasem do rangi Sturmbannführera). Projektowana fabryka była oczywiście mocno narażona na atak. Nie można było jej zbudować na nieosłoniętym brzegu morza, w miejscu, którego współrzędne wróg świetnie znał. Należało ją przenieść gdzie indziej i zabezpieczyć przed kolejną napaścią. Miała pozostać tajna, jak przedtem Peenemünde, ale to nie wystarczało – trzeba było ją ukryć.

Wyznaczono zatem nowe miejsce w Górach Harzu, na samych obrzeżach Nordhausen, i zbudowano tam Mittelwerk. Ze śmiałą pomysłowością, właściwą uczonym niemieckim pracującym dla wojska, nową fabrykę raket umieszczono wewnątrz niewielkiego wzniesienia⁴¹. Z oddalonego o osiemdziesiąt kilometrów obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie ściągnięto nowe brygady Polaków, a także Francuzów, Rosjan, Czechów i Ukraińców – jeńców wojennych i więźniów politycznych – aby zapędzić ich do kopania i rozbudowy sieci

41 Wszystkie tajne siedziby niegodziwych uczonych, ukryte w wulkanach lub zamaskowane jako rzekome wyspy, do których dostęp zapewniały podziemne tory kolejowe albo wysuwane zwieracze udające jeziora, znane w późniejszych latach z filmów o Jamesie Bondzie oraz ich podróbek (nie mówiąc już o prawdziwej budowli wewnątrz góry Cheyenne, gdzie mieści się Dowództwo Obrony Północnoamerykańskiej Przestrzeni Powietrznej i Kosmicznej oraz schron przeciwoatomowy samego prezydenta), wywodzą się od fabryki Mittelwerk w Nordhausen.

tuneli pod górą Kohnstein pozostałych po nieczynnej kopalni gipsu. W tunelach tych umieszczono hale fabryczne zakładów Mittelwerk, biura, sypialnie pracowników, a początkowo także podziemny obóz koncentracyjny dla robotników, którzy tam właśnie pracowali, jedli, spali i umierali. Ich ciała odwożono do Buchenwaldu i palono w krematoriach.

Rosnąca produkcja rakiet V-2 wymagała liczniejszej siły roboczej, niż dałoby się pomieścić w samym Mittelwerk. Esesmani kazali więźniom zbudować przy południowym wylocie tunelu obóz noszący kryptonim Dora, z którego to obozu wyrastały później przez pączkowanie kolejne podobozы skupione wokół Mittelwerk i znane pod wspólnym mianem Mittelbau. W mieście Nordhausen utworzono podobóz Boelcke-Kaserne i zsyłano tam robotników niezdolnych do dalszej pracy z powodu zbytńego osłabienia lub choroby. Szacuje się, że między wrześniem 1943 roku, kiedy to sprowadzono z Buchenwaldu pierwszy transport siły roboczej i zaczęto drążyć tunele, a zajęciem Mittelwerk przez Amerykanów i wyzwoleniem Dora-Mittelbau w kwietniu 1945, do pracy przy montażu tych siedmiu tysięcy rakiet V-2, które w sumie zjechały z taśmy, zapędzono około sześćdziesięciu tysięcy ludzi.

Więźniowie, którzy montowali rakiety, żyli w brudzie, głodzie i poniewierce. Ubrani w pasiaki i stłoczeni w barakach Dory na czteropiętrowych pryzkach, zimą zamarzali, latem prażyli się w upale, a przez okrągły rok umierali dziesiątkami tysięcy. Pracowali ponad siły w prymitywnych i niebezpiecznych warunkach. W tunelach było gorąco, ciemno, ciasno i tłoczno. Wśród wyziewów i dymu zgrzytała i turkotała maszynaeria. Dyscyplina była mordercza, a strażnicy bestialscy. Drobne wykroczenia karano kopniakami, biciem, torturami i okaleczaniem. Z obawy przed buntem regularnie dokonywano zbiorowych egzekucji. Skazańców wieszano szóstkami na ramieniu potężnego dźwigu, który przewoził wzdłuż taśmy rakiety w różnych stadiach montażu. Odbywało się to na oczach robotników pracujących w hali, a także naukowców oraz inżynierów – począwszy od von Brauna aż do najniższych

szczebli drabiny służbowej. Trupów nie odcinano, lecz dla przykładu pozwalano im dyndać na stryczkach. Mimo natychmiastowych i drakońskich kar szerzył się sabotaż i może właśnie on (obok koszmarnych warunków pracy i ciemnienia robotników) był bezpośrednią przyczyną fiaska sporego odsetka lotów V-2⁴². Z czasem w Dorze zbudowano krematorium, żeby uniknąć kłopotów i kosztów związanych z odsyłaniem zwłok więźniów aż do Buchenwaldu.

Sto Czwarta Dywizja Piechoty (Leśny Wilk) i Trzecia Dywizja Pancerna (Grot) wjechały do Nordhausen jedenastego kwietnia 1945 roku i zastały miasto porzucone przez wroga. Amerykanie najpierw natknęli się na podobóz w samym mieście. Nie dość, że Boelcke-Kaserne spustoszyła nieleczone epidemia tyfusu, to jeszcze tydzień przed wyzwoleniem stało się ono główną ofiarą alianckiego nalotu, wskutek którego półtora tysiąca więźniów zginęło, a setki odniosły rany. Po marszach śmierci, wywózkach, masowych pochówkach i innych akcjach wycofujących się Niemców, którzy próbowali ukryć całą okropność Nordhausen, w Boelcke-Kaserne zostali tylko najslabsi i najciężej okaleczeni więźniowie. Do wyzwolicielei jeszcze nawet nie zaczęło docierać, co w rzeczy samej widzą, gdy odkryli Dorę – a trzeba pamiętać, że byli to jedni z pierwszych żołnierzy amerykańskich, którzy wkroczyli do obozów koncentracyjnych. Zrobione przez nich zdjęcia i nakręcone filmy trafiły do kin i na pierwsze strony gazet całego świata. I nawet kiedy historia starannie zamiotła pod dywan nazwę Nordhausen i tamtejsze sprawy (tak w każdym razie stało się w przybranej ojczyźnie Wernhera von Brauna), obraz napotkanych tam potworności na dobre się utrwalił: trupy ułożone jak okrągłaki na drogach aż po horyzont albo żywe szkielety odrętwiale zapatrzone przed siebie. W tunelach pod

42 W ciągu całego okresu ich stosowania rakiety z dokuczliwą regularnością rozbiły się natychmiast po wystrzeleniu, wybuchwały w locie albo przed uderzeniem w cel, skręcały lub zbaczały z kursu, zaczynały wirować jak szalone, wymykając się spod kontroli, bądź też znikwały bez śladu i niczyjej szkody, rozwiewając się w powietrzu lub tonąc w morzu. Niektórym – jak ustalił dziadek – w ogóle nie udało się wystartować.

Kohnsteinem między nieukończonymi rakietami i włączonymi maszynami wyzwoliciele zastali ludzi z ostatniej zmiany w Mittelwerk, których porzucili oprawcy, tak osłabionych, że nie mogli się ruszyć, a co dopiero próbować ucieczki. Pęki patyków zwieńczone głowami przyglądały się żołnierzom z sową powagą. W szpitalu na kafelkowych płytach zwłoki ostatnich ofiar wypadków przy pracy w Mittelwerk, nagie i bezkrwiste, czekały na transport do krematorium.

Przemaszerowawszy prawie tysiąc kilometrów przez niektóre z najbrutalniejszych starć tamtej wojny i jedną z najsroźszych zim dwudziestowiecznej Europy, wyzwoliciele zdążyli zobojętnieć wobec zwykłych koszmarów pól bitewnych, osiągając stan znieczulenia, jakie mało komu przed nimi było potrzebne. Na widok tego, co zastali w obozach i pod górą Kohnstein (opieram się tu na ich późniejszych relacjach, za którymi Pynchon wiernie podąża, kiedy każe swojemu inżynierowi Pöklerowi zwiedzać KZ Dora), wielu z tych zahartowanych w bojach ludzi płakało lub odwracało się, żeby wymiotować.

Wyzwoliciele nie wytrzymałoby jednak tak długo i aż tyle, gdyby nie nauczyli się wypierać daremnych emocji. Ich pierwsze reakcje ustąpiły wkrótce miejsca gniewowi i chęci wymierzenia choćby jakiej takiej sprawiedliwości, a gdyby to się okazało niemożliwe, wzięcia odwetu (jeśli dałoby się odróżnić jedno od drugiego). Rozejrzeli się, kogo by tu dopaść. Wszyscy strażnicy esesmani i inni funkcjonariusze uciekli z okolicy, a razem z nimi uciekł personel Mittelwerk. Nie znalazłem żadnych poszlak, jakoby wyzwoliciele rozważali próbę ukarania mózgow operacji V-2 czy w ogóle poświęcili choć odrobinę uwagi tym ludziom z suwakami logarytmicznymi i lutkolbami – innowatorom, których wielki wynalazek tylko przypadkiem zyskał postać pierwszego w dziejach pocisku balistycznego o dalekim zasięgu, w istocie bowiem wynaleźli oni proces przemiany horroru w terror za pomocą okrucieństwa⁴³. A zresztą nawet gdyby

43 Proces ten okazał się zresztą bardzo mało wydajny: ofiar śmiertelnych wśród robotników z Nordhausen było prawie sześciokrotnie więcej niż

wyzwoliciele Dory zdołali wykonać w wyobraźni ten przeskok, nie mieli jak obrócić go w czyn. Rakielnicy von Brauna byli już wtedy w odległości wielu kilometrów, rozproszeni po południowych Niemczech i Austrii. Koszmarne dług spłacili w końcu mieszkańcy miasta. Wyzwoliciele wrócili z Dory i Mittelwerk do Nordhausen, wyciągnęli mężczyzn z domów i trzymając ich na muszce, kazali im wziąć łopaty i kopać, dopóki wszyscy nieboszczycy z KZ Dora-Mittelbau nie zostaną pochowani.

Tyle znalazłem tamtego wieczoru w ogólnodostępnych materiałach biblioteki publicznej Montclair, kiedy poszedłem tam poczytać o Nordhausen. Na temat tego, co się działo między przymusowym werbunkiem miejscowych obywateli do roli grabarzy a początkiem końca wojny mojego dziadka, mogę służyć tylko własnymi domysłami, opartymi na skąpych danych, i paroma drobnymi faktami, które dziadek przez nieuwagę mi zdradził w ciągu kilku kolejnych dni.

Wiem, że trafił do Nordhausen nazajutrz po wyzwoleniu miasta, równo z wiadomością o śmierci Roosevelta. Jechał zündappem przez puste ulice. Miał „przepustkę Eisenhowera”, która otwierała przed nim wszystkie drzwi i podnosiła szlabany, więc bez trudu dostał się do rozmaitych podobozów i do fabryki we wnętrzu góry. Podobnie jak żołnierze z dywizji Leśny Wilk i Grot był zahartowany długim obcowaniem z przemocą. Wyobrażam sobie, że widoki z Dora-Mittelbau i jemu mogły wycisnąć z oczu łzy albo wywołać odruch wymiotny. Z jego opowieści jasno wynikało, że tak samo jak wyzwoliciele rozglądał się za stosownym obiektem, na którym mógłby wyładować wściekłość, kiedy już skończy zwiedzać to szczególne piekło i jego okolice.

Wszystko, co zobaczył tamtego dnia i co usłyszał od przepytanych niedobitków, uzmysłowiło mu, że Wernher von Braun jako dyrektor techniczny programu V-2 nie mógł nie wiedzieć, jak załatwia się sprawy w Mittelwerk⁴⁴. Nie miał więc

w ostrzelanych rakietami V-2 Antwerpii i Londynie.

44 Informację tę prawie do końca życia von Brauna zatajał zarówno on sam, jak i rząd Stanów Zjednoczonych, wymazując przy tym wszelką pamięć

prawa nosić raketowych laurów, nie dźwigając zarazem brzemienia hańby. Bezmiar okrutnych cierpień, których dowody zobaczył mój dziadek, zadano ludziom z poduszczenia von Brauna i w służbie jego mrzonki. Okazało się, że V-2 nie było narzędziem uwolnienia ludzkiego ducha z pęt grawitacji, lecz pretekstem do jeszcze głębszego zniewolenia. Nie mknącym ku gwiazdom ekspresem, tylko rakieta pocztową niosącą prosty komunikat, pod którym baron von Braun złożył podpis wysoce wybuchowym amatorem. Jego marzenie mogło z początku być piękne i wspaniałe. Wspaniałość i piękno na pewien czas tak go zaślepiły, że nie dostrzegął, jak skwapliwie mu się sprzeniewierza. No cóż – rzecz ludzka, każdemu się zdarza. Lecz gdy zdemaskowane marzenie okazuje się (tak jak większość marzeń) jedynie prądem wulgarnego natręctwa płynącym przez obwód sklecony z urojeń i kłamstw, wtedy pora się go wyrzec. Przekląć je i uwierzyć własnym oczom. I może odwieść kurek rewolweru.

W ciągu tego długiego dnia w Nordhausen dziadek uwierzył własnym oczom i rozstał się z marzeniem, które dzielił z Wernherem von Braunem, jakiego sobie wyobrażał. Wyrzekł się zarazem wspomnienia rakiety na polanie, trzydziestu minut spędzonych w stanie przypominającym pokój i nocnej rozmowy z proboszczem parafii pod wezwaniem Matki Boskiej Księżycznej. Gdy wszystko to przepadło, przysłała na niego zła chwila, bo dziadek znów stanął w obliczu pustki, która zewsząd otaczała planetę jego serca, ciągnąc się przez tysiąc parseków w każdą stronę. Odtąd – tak jak wyzwolicielom Nordhausen, którzy musieli jakoś przełknąć obrzydzenie i daremny ból – pozostało mu tylko zająć się własnym gniewem i rozstrzygnąć, przeciw komu go obrócić.

o Nordhausen, w rzeczywistości jednak baron, począwszy od września 1943 roku, wielokrotnie odwiedzał górę Kohnstein i chyba czynnie uczestniczył w doborze więźniów, którzy mieli pewne umiejętności techniczne (głównie Francuzów), żeby ich wysłać z Buchenwaldu do Mittelwerk. Zob. Michael Neufeld, Von Braun: *Dreamer of Space, Engineer of War* (Vintage, 2008).

– Ruszyłem jego tropem – powiedział dziadek. – Zgodnie z rozkazem. Mniej więcej.

– Mniej więcej?

– No, nie kazano mi przecież działać w pojedynkę. Ale w tamtej sytuacji żadne inne rozwiązanie nie miałyby dla mnie sensu.

Nie byłem pewien, czy dziadek ma na myśli konkretną, chwilową sytuację, czy raczej swoją ogólną skłonność do tego, żeby działać samopas jak tajniak. Jedyne wyjątek zrobił dla Aughenbaugha i do końca życia odchorowywał to niefortunne ustępstwo.

– A sytuacja była taka, że gdybym go odnalazł, tobym... no, wiesz.

– Zabił drania.

– No właśnie. A swoją drogą miałem sporo luzu. Dostałem przepustkę Eisenhowera z własnoręcznym podpisem Ike'a, tak jak my wszyscy z CIOS. Zostawiono mi pewną swobodę wyboru – rzekł dziadek. – A ja bezwstydnie jej nadużyłem.

XXIII

W mieście Nordhausen przydzielony do Trzeciej Dywizji Pancерnej oficer wywiadu powtórzył dziadkowi słowa pewnego tubylca, który sam się do niego zgłosił, aby napomknąć, że dałby się może nakłonić do zdrady wobec kogoś spośród swoich sąsiadów. Nie wiedział dokładnie, jakie zachowania Amerykanie zamierzają karać i do jakich sekretów mają nadzieję się dogrzebać, ale nie wątpił, że znajdą w jego asortymencie coś, co im się przyda. Prowadził w mieście sklep i sprzedawał w nim – jakże stosownie – sprzęt myśliwski i wędkarski.

Wczesnym rankiem drugiego dnia pobytu w Nordhausen dziadek wybrał się tam, mając przy sobie papierosy, konserwy mięsne, czekoladę i (jak pamiętał) cudem zdobytą kiść bananów – dłoń złocistego Buddy pałającą na tle szarego poranka. Znalazł sklep przy ulicy noszącej ślady zeszłotygodniowego nalotu RAF-u, który zabił półtora tysiąca więźniów Boelcke-Kaserne. Sklep miał dwa okna wystawowe. Jedno zasłaniała poplamiona płachta z impregnowanego brezentu. Drugie ocalało, ale spuszczone w nim roletę, żeby ukryć brak towarów albo oszczędzić przechodniom widoku pustki. Ktoś, kto by w tym miejscu obejrzał się za siebie, zobaczyłby wznoszący się na końcu ulicy narożnik muru Boelcke-Kaserne. Przy sprzyjającym wietrze niewątpliwie dolatywały stamtąd na próg sklepu rozmaite odgłosy i odory.

Dziadek obszedł dom i stanął przed tylnymi drzwiami. Nie obchodziło go, czy sklepikarz przypłaci jego wizytę życiem, ale chciał stworzyć pozory, że nie jest mu to obojętne. Nacisnął guzik dzwonka i machnął przepustką Eisenhowera. Przez chwilę mówili zagadkowo i aluzyjnie, po czym sklepikarz wpuścił dziadka do środka. W sklepie wyjaśnił, że należy do pomniejszej sekty chrześcijan, na którą Rzesza najpierw krzywo patrzyła, a potem zaczęła prześladować. Miejscowy Volkssturm

zarekwirował mu niedawno cały zapas znakomitych mannlicherów, zamierzając stawić opór najeźdźcom, ale plan szybko rozszedł się po kościach, a sklepikarz dostał w zamian tylko trochę bezwartościowych weksli. Był z niego kawał gadatliwego kołtuna. Cud, że sąsiedzi już przed laty z nim się nie rozprawili.

Sklepikarz odtrącił papierosy i czekoladę jako grzeszne pokusy. Banany i konserwy wprawdzie przyjął, ale uznał za niekoniecznie godziwe wynagrodzenie. Dziadek oświadczył, że jeśli jego pytania doczekają się użytecznych odpowiedzi, postara się przynieść jeszcze kilka puszek konserw i może parę pojemników syropu kukurydzianego. Gdyby zaś to nie wystarczyło, chętnie powiesi sklepikarza za uszy na dwóch haczykach wędkarskich i najgrubszej żyłce z jego własnych zapasów, rozhuśta go, a potem ściągnie tych sąsiadów, których kramarz tak ochoczo gotów był zdradzić, i zaprosi do udziału w turnieju strzeleckim przy użyciu garłaczy albo innych pukawek pozostawionych na półkach przez Volkssturm.

Przez wybite okno powiał wiatr. Brezent zaszeleścił i trzepnął jak żagiel.

Sklepikarz poradził dziadkowi spróbować szczęścia w gospodarstwie Herzogów przy drodze do Sondershausen. Herzog służył w piechocie i zginął podczas długiego odwrotu z Włoch. Wdowa po nim zadała się z niejakim Stolzmannem – inżynierem z Mittelwerk, który mieszkał teraz u niej, podszywając się pod Herzoga.

Dziadek ruszył w stronę gospodarstwa Herzogów zündappem z pustym koszem. Przebył strumień i tuż przed skrętem na południe wjechał w brzezinę. Brzozy skupiły się we mgle, owinięte korą z zagadkowymi inskrypcjami. Przypominały cmentarne posągi. Dziadka przebiegł złowróźbny dreszcz, a sekundę później coś mocno szarpnęło go za lewy rękaw wojskowego płaszcza w okolicy łokcia. Usłyszał trzask wystrzału z karabinu. Sądząc po dźwięku, broń miała niewielki kaliber. Ktoś strzelał z ukrycia wśród drzew na północ od drogi. Dziadek zerknął za siebie i w lewo, ale zobaczył tylko brzozy i jasną

kropkę światła dziennego w wełnianej tkaninie przy swoim łokciu.

Poczuł się jak skończony dureń i to go zmartwiło, bo wolałby umrzeć w szponach choćby najżałośniejszej emocji niż ze świadomością własnej głupoty. Skoro sprzedawca ekwipunku sportowego zdradził sąsiadów za porcję szynki konserwowej i bananów, to zapewne nie wahałby się zdradzić amerykańskiego żołnierza za jeszcze skromniejszą łapówkę. Skurwysyn pewnie zorganizował naprędce zasadzkę, ledwie Amerykanin wyszedł za próg sklepu. Dziadek otworzył przepustnicę i pozwolił pięknej maszynie zrobić to, do czego powołali ją konstruktorzy. Trzasnęła jeszcze jeden strzał, lecz tym razem zupełnie chybiony. Droga wybiegła z brzeziny i w końcu skręciła na południe. Nikt już później nie strzelał.

Ujrzawszy o niecałe pół kilometra przed sobą na lewo od drogi obiecane gospodarstwo, a przy nim topolowy zagajnik, dziadek zwolnił, a potem zgasił silnik. W obejściu panował dostatek, który wojna wprowadziła nadszarpnęła, ale z umiarem. Tynkowany dom był znacznych rozmiarów, nowy, piętrowy i wedle wszelkich oznak z nowoczesną kanalizacją. W górnych szybach dużych okien parteru tkwiły ołowiane romby. Konstrukcja ryglowa, czerwona dachówka i ogólne wrażenie podrabianej średniowieczności wydały się dziadkowi klasycznymi znamionami nazistowskiego stylu. Okazała stodoła miała blaszany dach w dobrym stanie. Sierść suki alzatki, która przycwałowała przez łąkę, żeby basem wygarnąć intruzowi, co o nim sądzi, lśniła. Dziadek dawno nie widział cywilnego psa, który nie wyzierałby chyłkiem zza węgła, nie spuszczał łba ze wstydem lub wyrachowaniem i nie miał sterczących żeber. Ten śmiały okaz aż się prosił o kulę w łeb, lecz dziadek prócz karabinu po bezgłowym oficerze, walthera i browninga uzbroił się też w niewielką puszkę wiedeńskich parówek. Po szybkiej operacji za pomocą scyzoryka z otwieraczem do konserw udało się wynegocjować rozejm. Dziadek co minuta dawał suce parówkę, dopóki nie wprawił alzatki w stan jakiego takiego uwielbienia. Odprowadziła go pod sam dom, ale nie ostrzegła

o jego nadejściu, zanim nie dotarł prawie pod drzwi kuchenne.

W nieskazitelnie czystej kuchni Frau Herzog właśnie pomagała dziewięcio- czy dziesięcioletniemu chłopcu przypiąć protezę nogi. Ta przystojna kobieta o godnym uwagi biuście okazała umiarkowaną obawę, kiedy na jej podwórku zjawił się nagle amerykański oficer, lecz w tej reakcji nie było nic niestosownego. Wyjaśniła, że synek ma cukrzycę, więc niestety nie może przyjąć poczęstunku w postaci batonów czekolady Hersheya. Szczupły chłopiec o jasnej cerze i jasnych włosach wpatrywał się w przybysza, a jego twarz wyrażała nieprzekupny i niekłamany strach. Bulwiaste zakończenie kikuta nogi przypominało dziadkowi głowicę V-2. Skóra w tym miejscu sprawiała wrażenie otartej i obolałej. Proteza była za duża i za długa. Być może chłopiec odziedziczył ją po jakimś starszym i większym dziecku, któremu także amputowano nogę. Dziadek zamierzał bez ogródek powiedzieć wdowie Herzog, żeby już nie pieprzyła od rzeczy, i zapytać wprost o Stolzmann, ale zbiło go z tropu coś, co dostrzegł w twarzy lub w całej postaci milczącego chłopca o wytrzeszczonych oczach, któremu stopniowo obumierały nogi.

– Herr Herzog? – zapytał.

Raptowne zaniepokojenie pogłębiło bruzdkę między brwiami Frau Herzog. Przeprosiła, wyrażając nadzieję, że wszystko jest w porządku. Wyjaśniła, że jej mąż służy w piechocie i nadepnął na minę (nawiasem mówiąc, niemiecką) w miejscowości San Gimignano. Teraz już nie uczestniczy w walkach i nikomu nie zagraża. W połowie tego zdania Frau Herzog zerknęła na chłopca. Dziadek nie dosłyszał w jej głosie nuty kłamstwa, ale zauważył dwuznaczność sformułowania. Jeżeli Herr Herzog nie żył, a ona kryła tego jakiegoś Stolzmann, nie mógł nie podziwiać jej za to, że wzdraga się przed łganiem w żywe oczy przy własnym dziecku.

– Nie mam żadnej sprawy do pani męża – zapewnił ją, podchwytnie jej dwuznaczny ton. – Spiesz mi się i o niczym tak nie marzę jak o tym, żeby zostawić was wszystkich w spokoju, kiedy tylko dostanę potrzebną odpowiedź.

Suka weszła przez otwarte drzwi i popieściła jęzorem palce,

którymi dziadek podawał jej przedtem wiedeńskie parówki. Usiadła u jego boku i ziewnęła. Frau Herzog stała z rękami założonymi pod biustem, którego dziadek też nie mógł nie podziwiać. Widział, że choć kobieta zapewne nigdy o niczym tak nie marzyła jak o tym, żeby zostawił ich wszystkich w spokoju, i tak byłaby to według niej zbyt skąpa zapłata za to, czego w zamian żądał. A potem przyszło mu na myśl coś, czego mogła pragnąć jeszcze bardziej.

– Mogę pani załatwić insulinę – oświadczył. – Zapas, powiedzmy, na trzy miesiące. Jeżeli pan domu odpowie na moje pytanie.

Frau Herzog zaniósła chłopca do ławki, która stała obok długiego stołu jadalnego, i usadowiła go tam, kładąc przy nim protezę.

– Sześć miesięcy – powiedziała.

Zaprowadziła dziadka do stodoły, gdzie mężczyzna w drelichowym kombinezonie odbierał poród krowich bliźnięt, robił to zaś tak przekonująco, że dziadek nieco zwątpił w prawdziwość donosu sklepikarza. Kombinezon leżał jak ulał i twarz też pasowała do sytuacji – chuda, koścista, z niebieskimi oczami o ciepłym spojrzeniu. Zanim okrzyk Frau Herzog oderwał położnika od pracy, jego fizjonomia wyrażała błogie pochłonięcie zadaniem i fachowością wykonania – dość częste u inżynierów, ale zapewne czasem spotykane i u wieśniaków.

Mężczyzna w kombinezonie spytał gościa, co go sprowadza. Dziadek zwrócił się do Frau Herzog. Mówiąc najbardziej oficjalną niemczyzną, na jaką potrafił się zdobyć, wyraził uprzejme przypuszczenie, że jej syn niewątpliwie zastanawia się, kiedy mama wróci do kuchni. Celowo się przejęzyczył, tytułując ją „panią Stolzmann”. Rumieniec oblał bladą skórę między jej piegami, spływając aż w zakłębienie szyi. Dziadek uznał go za objaw zakłopotania, ale równie dobrze mogła to być wściekłość.

– Idź – rzekł Stolzmann do kobiety.

Ta chciała chyba zaprotestować albo wytoczyć jakiś argument, lecz w końcu wyszła bez słowa. Stolzmann wrócił do czworonożnej położnicy, która stała w kojcu. Krowa pracowicie

wylizywała bladuróżowego pierworodnego, mierzwiąc mu ozorem sierść w beżowe łaty, rzeźbiąc w niej wilgotne szpice i kreśląc spirale. Nagle uniosła łeb, jakby usłyszała coś niepokojącego. Wydała dziwnie ludzki odgłos wahania. Jak pijana dała dwa kroki w bok, brzęcząc dzwonkiem. W stodole zapachniało żelazem. Drugie cielę wyprysnęło z matki, spowite perłową owodnią. Towarzyszyło temu mlaśnięcie kalosza wyciąganego z błota.

– Urodziła bliźnięta – zauważył dziadek. – Czy to częste?

– Nie, niezbyt – odparł Stolzmann.

Ukucnął przy noworodku i zajął się nim. Poruszał się z rozmysłem i pozornym spokojem, ale wyraźnie grał na czas, układając w myślach kwestię do wygłoszenia, przepowiadając ją sobie i leciutko kiwając głową na boki. Dziadek postanowił to przeczekać. Krowa chyba w końcu straciła cierpliwość do Stolzmann'a i zakończyła tę farsę, wchodząc między niego a cielęta. Niemiec stracił równowagę i ciężko klapnął na tyłek. Dziadek o mało się nie roześmiał.

Zanim Stolzmann wstał i obrócił się w stronę dziadka, zdążył przybrać minę, która wedle jego optymistycznych wyobrażeń miała oddawać przyziemną rzeczowość wieśniaka: poród cieląt poszedł gładko, czyli jedną robotę z długiego planu dnia mamy z głowy. Wtem zobaczył, że dziadek trzyma w ręce walthera. Westchnął. Wytarł dłonie o kombinezon, zostawiając na nim długie krwawe smugi.

– Szukam pańskiego kolegi – rzekł dziadek, zniżając lufę. – Z Mittelwerk.

– Mittelwerk – powtórzył Stolzmann niezobowiązującym tonem, jakby owszem, słyszał parę razy o tej fabryce. A może wymówił to słowo tylko na próbę, żeby usłyszeć, jak zabrzmie. Może usiłował sobie wyobrazić, cóż to za *mittel* wytwarzał ów *werk* o osobliwej nazwie.

– Wiemy, że pan tam pracował. Wskazali pana świadkowie. – Dziadek zdążył się już przekonać metodą prób i błędów, że gdy musi skłamać podczas przesłuchania, najlepiej mówić tak, jakby temat śmiertelnie go nudził. – Znaleźliśmy księgi wypłat, a w nich

pańskie nazwisko. – Wyłowił z kieszeni paczkę papierosów i włożył jednego do ust.

– Jeśli pan łaskaw – rzekł Stolzmann znacznie mniej niezobowiązującym tonem. – Tylko bez ognia. – Wskazał ręką bele siana spiętrzone do wysokości człowieka w sąsiedku za plecami dziadka i w dwóch sąsiednich, a także na poddaszu.

Dziadek potarł zapałkę, przytknął ją do papierosa i parę razy lekko nią machnął, zanim rzucił ją za siebie przez ramię, nie patrząc, czy aby na pewno zgasła.

– Jedno musi pan zrozumieć – powiedział. – Chętnie bym spalił tę stodołę razem z całą zawartością, gdyby mnie to zbliżyło chociaż o krok do Freiherra von Brauna.

Stolzmannowi drgnął mięsień żuchwy. W jego oczach z wolna pojawiło się zrozumienie z odcieniem pogardy. Dziadek jeszcze wtedy nie bardzo wiedział, czemu ją przypisać, ale potem stwierdził, że chyba pojmuje, w czym rzecz. Otóż Stolzmann patrzył z góry na niego jako na brudnego i wynędzniałego amerykańskiego żołdaka, a także na jego zacofane imperium, co to postanowiło dobrać się do gwiazd, ku którym o własnych siłach nie umiało się wspiąć. – Niech mi pan powie, gdzie on się ukrywa – rzekł dziadek. – Radzę pójść na współpracę, bo inaczej będę musiał dopilnować, żeby pana aresztowano i uwięziono.

– Skoro nie ma pan innego wyjścia – odparł Stolzmann, pracując nad utrzymaniem tak samo śmiertelnie znudzonego tonu. – Proszę czynić swoją powinność, poruczniku. Oczywiście jestem teraz na łasce pana i pańskiego kraju. Oraz jego więzień.

– Nie, nie naszych więzień – sprostował dziadek swoim najbardziej sennym tonem. – Będę musiał pana wydać Rosjanom.

Stolzmann zamrugał. Wskazał papierosa, którego palił dziadek, i wyciągnął rękę. Dostał całą paczkę z komentarzem, że może sobie zatrzymać wszystko, co w niej zostało. Zapalił lucky strike'a ostrożnym płomykiem swojej zapalniczki. Podstawił stuloną dłoń pod żar papierosa, żeby w razie czego przechwycić spadającą iskrę. Zaciągnął się, nie próbując ukryć rozkoszy, jaką sprawiał mu tak wyborny tytoń.

– Nigdy nie słyszałem o tym von Braunie – powiedział. –

Przykro mi.

Dziadek z grubsza i naprędce oszacował jego wagę, zasięg rąk i zwinność, szykując się do starcia, ale Stolzmann mignął oczami w prawo i nagle zrobił poirytowaną minę. Coś zaszurało. Dziadek obrócił się na pięcie. Frau Herzog niosła chłopca, tuląc go do siebie. Z mankietu jego spodni wystawał brązowy bucior protezy. Dziadek nie widział dłoni kobiety.

– Powiedz mu – rzekła Frau Herzog do Stolzmann. – Pomóż mu, to on pomoże Martinowi.

– Wracaj do domu – odparł Stolzmann.

Kobieta postawiła chłopca na ziemi. W rękę trzymała browninga M1911, którego dziadek zostawił u niej w domu, biorąc tylko walthera. Jej palec owinął się jak wąż wokół spustu. Podniosła rękę i wycelowała, lecz nie w dziadka, a w Stolzmann.

– Powiedz mu – powtórzyła.

– Tak – poparł ją dziadek. – Niech mi pan powie.

Stolzmann palił w skupieniu, wpatrując się w żar na końcu papierosa. Dziadek słyszał mlaskanie ozora krowiej matki. Wdowa przesunęła lufę trochę w dół i w prawo, mierząc w ramię Stolzmann. Nacisnęła spust. Stolzmann krzyknął i zrobił należycie zdziwioną minę, poza tym jednak nic złego mu się nie stało, bo magazynek pistoletu dziadka był pusty.

Dziadkowi nie spodobał się uśmiech zadowolenia, który wypełzył na twarz Stolzmann. Poprosił Frau Herzog o browninga i wyjął z kieszeni płaszcz zapasowy magazynek. Oddał kobiecie broń. Miał nadzieję, że Frau Herzog nie strzeli do niego. A ona podniosła pistolet i – dowiódłszy już raz, że gotowa jest swojemu kochankowi posłać kulę – znowu wycelowała w ramię Stolzmann. Jego uśmiech na resztę wieczoru dostał wolne.

– Wernher wcale się nie ukrywa – powiedział inżynier do dziadka. – To jego ukrywają.

– Kto? – spytał dziadek.

Stolzmann i Frau Herzog spojrzeli po sobie, lecz ich telepatyczny dialog dobiegł końca, gdy kobieta zarepetowała browninga.

– SS – rzekł Stolzmann. – Żebyście go nie znaleźli. Boją się, że

von Braun przy pierwszej okazji wam się podda i zaproponuje swoje usługi rządowi amerykańskiemu.

– Niby po co miałyby to robić?

Dziadek wprawdzie już się pożegnał z marzeniem o tym, że von Braun ruszy z nim w podróż, siedząc w koszu motocykla, albo w zimny, pusty bezmiar kosmosu, a co gorsza, poznał całą grozę okrucieństw zadanych w imię raketnictwa skoszarowanym w Mittelbau robotnikom, lecz mimo to nie mógł uwierzyć, że baron sprzeniewierzyłby się swojemu krajowi z taką samą skwapliwością, z jaką sklepikarz zdradził sąsiadów.

– A gdzie go trzymają, jeśli łaska?

– Nie mam najmniejszego pojęcia.

Frau Herzog znów podniosła browninga. Jego wiecznie otwarte oko wciąż czuwało. Kobieta trzymała kolbę imponująco luźnym chwytem palców.

– W Bawarii, w górach, ale nie wiem, gdzie dokładnie! Skąd mam wiedzieć? Anno! – błagalnie zawołał Stolzmann.

Kobieta skinęła głową i z widocznym rozczarowaniem zniżyła broń. Dziadek wyrwał jej browninga, a ona zrobiła trwożną minę.

– Przepraszam – powiedziała.

– Nie ma za co, Frau Herzog. Załatwię pani insulinę. Zapas na pół roku.

Alpy Bawarskie. Była to zbyt ogólnikowa wiadomość, ale zawsze coś. Kawał drogi od Nordhausen, prawie pięćset kilometrów. Dziadek zamierzał sprawdzić to na mapach, lecz nawet bez sprawdzania wiedział, że musiałby się przedrzeć przez tereny, których jak dotąd nie zajęli alianci, zanim dotarłby do gór, gdzie (zarówno wedle krążących pogłosek, jak i raportów amerykańskiego wywiadu) czyhali nastoletni fanatycy nazizmu z Werwölfu, od małego wychowywani na zabójców, wystarczająco dobrze uzbrojeni i zaprowiantowani, żeby przez pięć lat bronić się w niezdobytej fortecy, zwanej Alpenfestung⁴⁵. Do rachunku zbrodni von Brauna dziadek dopisał i tę, że baron okazał się tak upierdliwym obiektem poszukiwań. W swoim

45 Była to głównie propaganda w desperackim sosie, upichcona i podana przez Josepha Goebbelsa.

ówczesnym stanie, który dziś zapewne zdiagnozowano by jako szok pourazowy, odczuwał to jako najbardziej niewybaczalną zniewagę. Wmawiał sobie, że tylko schwyta von Brauna i wyda go władzom, żeby zawisł na szubienicy jako zbrodniarz wojenny, ale dobrze wiedział, że w głębi duszy zamierza pod choćby najbłahszym pretekstem sukinsyna zastrzelić.

– I tak bym wam przywiózł insulinę – rzekł do Frau Herzog i do Martina. – Nawet gdyby mi nic nie powiedziały.

Wrócił do motocykla. Zdążył zaciągnąć pod brodą pasek hełmu i właśnie wkładał prawą rękawicę, kiedy usłyszał za sobą odgłosy galopady po błocie, więc obejrzał się przez ramię, spodziewając się zobaczyć sukę. Zamiast niej nadbiegł jednak Martin w spodniach z szorstkiej wełny i połatanym pulowerze. Wodniste oczy w pospolitej twarzy były tak zmrużone, że wyglądały jak dwie niebieskie szparki.

– On ma ukryty skarb – powiedział.

– To pasjonujące.

Dziadek włożył lewą rękawicę. Oparł dłonie na rączkach kierownicy, szarpnął przepustnicą i kopnął rozrusznik. Gdyby udało mu się szybko wystarać o insulinę, zdążyłby do Norymbergi jeszcze przed zmrokiem.

Chłopiec stał przy nim i coś mówił, usiłując przekrzyczeć warkot motocykla. Dziadek zgasił silnik.

– Co? – spytał.

– ...przez tego wysokiego blondyna.

– Wysokiego blondyna.

– Przyjechał z jakimiś dwoma i kazał im ukryć skarb. A Herr Stolzmann na to, że chyba zna jaskinię w sam raz dobrą na kryjówkę.

Stolzmann nie chciał powiedzieć dziadkowi o skarbie ukrytym w jaskini. Kiedy dziadek i Martin wrócili do stodoły, przerywając mu kłótnię z Frau Herzog, usiłował wmówić jej, dziadkowi i samemu Martinowi, że chłopiec gada od rzeczy, a nawet dał do zrozumienia, jakoby mały Herzog był upośledzony na umyśle.

– Przecież słyszałem, jak pan rozmawiał z tym wysokim blondynem – odparł Martin. – Kazał panu schować skarb

w jaskini i zakopać.

– Bzdury.

Frau Herzog podeszła do najbliższego sąsięka, wzięła widły i wbiła je Stolzmannowi w udo. Zrobiła to z gracją, jednym płynnym ruchem. Trzy z czterech zębów trafiły w mięso. Wyszarpnęła je, a wtedy dziury w nogawce spodni kombinezonu po Herzogu rozkwitły szkarłatem. Stolzmann złapał się za nogę i upadł.

– Nie jesteś upośledzony na umyśle, Martin – rzekła Frau Herzog.

– Wiem – powiedział Martin.

W kuchni dziadek opatrzył Stolzmannowi rany. Znalazł butelkę jabłecznego winiaku, napełnił nim szklankę i podał ją inżynierowi, który wychylił trunek jednym haustem. Dziadek nalał mu drugą.

– Nie ma żadnego skarbu – oświadczył Stolzmann. – Tylko same papiery. Góra papierów. Dosłownie tony. Dwadzieścia szaf. Cała dokumentacja programu V-2. Wszystkie diagramy, sprawozdania z badań i doświadczeń. Kazał mnie i jeszcze dwóm kolegom ukryć to wszystko, tuż zanim go ewakuowali na południe. Pomogłem im załadować dokumenty, a potem jeden z tamtych dwóch znalazł starą kopalnię soli i je do niej wrzucili. Wejście zaminowali dynamitem, który został po górnikach.

– SS o tym wiedziało?

– Ależ skąd. Von Braun chciał mieć asa w rękawie. Przypuszczam, że Stany Zjednoczone bardzo chętnie zagarnęłyby takie archiwum.

– Ja też tak przypuszczam – z goryczą przytaknął dziadek.

Wyjął mapę i polecił Stolzmannowi wskazać na niej położenie kopalni soli, lecz inżynier nie brał udziału w ukrywaniu dokumentów, mógł więc tylko ogólnikowo powiedzieć, że „to gdzieś koło Bleicherode”.

Dziadek wyszedł na podwórko i zapalił papierosa. Musiał dokonać wyboru. Oficer wywiadu z trzeciej pancerniej wyjawiał mu, że po wojnie Nordhausen razem z całą tą częścią Niemiec przypadnie w udziale Rosjanom. Armia Czerwona już nadciągała.

Gdyby dziadek ruszył w pogoń za von Braunem, posłuszny głosowi serca i żądzy ukarania barona, dokumenty – w gruncie rzeczy gotowy przepis na to, jak zbudować V-2 – mogłyby wpaść w ręce Rosjan, zanim zdążyłby wrócić. A jeśliby został, żeby tropić archiwum, von Braun mógłby się wymknąć, dostać do rosyjskiej niewoli albo poddać aliantom, ale dziadek nie miałby w tym żadnego udziału, nie byłoby więc szans, że baron da mu upragniony pretekst. Gdyby von Braun poddał się aliantom, zanim dziadek odnalazłby dokumenty, mógłby wynegocjować warunki poddania i może nawet całkiem uniknąć kary, a jeśliby Armia Czerwona ubiegła dziadka w poszukiwaniu kopalni soli, byłoby spore ryzyko, że wszystko zostanie stracone. Dziadek nie mógł umieścić w raporcie informacji uzyskanych od Stolzmann, a zaraz potem puścić się w pogoń za von Braunem; przełożeni zainteresowałiby się wtedy, dokąd się właściwie wybiera. Gdyby im to powiedział, kazaliby mu siedzieć w okolicy Bleicherode lub wysłaliby go w ślad za von Braunem, ale nie samego. A on chciał zapolować na barona w pojedynkę.

Dopalił papierosa i wrócił do domu Herzogów. Nieprzytomny Stolzmann leżał w sypialni. Martin i suka wspólnie wyjadali z puszkki wiedeńskie parówki. Frau Herzog uważnie przyjrzała się dziadkowi i wyczytała z jego miny coś, co kazało jej sięgnąć po butelkę jabłecznego winiaku. Nalała go do szklanki na dwa palce i podała dziadkowi. Alkohol zapiekł go ostrym, rozjaśniającym umysł żarem od ust aż do żołądka.

– I co pan robi? – spytała kobieta.

– Spełnię obowiązek – odparł dziadek, dodając po angielsku: – A niech to wszyscy święci diabli!

Drugiego maja 1945 roku Wernher von Braun zwołał najzaufańsze grono na słonecznym tarasie hotelu Haus Ingeborg wysoko nad Przełęczą Adolfa Hitlera w austriackim Tyrolu. Hitler już nie żył. Wojna, jak wszyscy doskonale wiedzieli, była przegrana. Berlin miał lada chwila upaść. Nadeszła więc niestety pora kapitulacji. Forpoczty amerykańskiej Szóstej Armii

wkroczyły już na podnóże góry od strony Austrii. Armia Czerwona szybko nadciągała od wschodu, oddalona zaledwie o parę kilometrów. Von Braun oznajmił pozostałym (między innymi swojemu bratu Magnusowi, generałowi Walterowi Dornbergerowi, czyli byłemu komendantowi ośrodka badań rakietowych w Peenemünde, oraz Huzlowi i Tessmannowi, którym Stolzmann pomógł ukryć archiwum Mittelwerk), że jeśli natychmiast czegoś nie przedsięwzięją, utracą swobodę wyboru. Ta dziwna swoboda sprowadzała się do możliwości wybrania, na czyją rzecz się z niej zrezygnuje, lecz i tak była lepsza niż oddanie się we władzę przypadku. Von Braun już dawno przekonał swoich towarzyszy, że jego talenty stosowniej będzie powierzyć Ameryce niż Związkowi Radzieckiemu. Podjęto zatem decyzję. Nazajutrz rano wysłano Magnusa, wyposażonego w rower i znajomość podstaw angielskiego, ku podnóżu góry, żeby zawiózł Amerykanom tę wspianą nowinę.

W połowie drogi młodszego z braci von Braunów okrzyknął wartownik – szeregowiec Fred Schneikert z Sheboygan w Wisconsin. Nieświadom, jak znamienitą zdobycz mu się oferuje, odniósł się do tej propozycji z całkowitą obojętnością. Rozegrała się komedia pomyłek w tłumaczeniu z języka na język, a na szczeblu dowództwa pułku niejedynemu oficerowi drapał się po głowie, w końcu jednak nazwisko von Brauna wspięło się po służbowej drabinie aż do komórki wywiadu, gdzie też wylądowało z należytych hukami. Kilka tygodni wcześniej dotarł tam kanałami służbowymi raport z Nordhausen od agenta, który meldował, że von Braun może się ukrywać w Alpach Bawarskich. Już po kilku godzinach Wernher Magnus Maximilian Freiherr von Braun był jeńcem Czterdziestej Czwartej Dywizji Piechoty. W ciągu niespełna ćwierćwiecza ta nietypowa kapitulacja miała doprowadzić do odcisnięcia śladu ludzkiej stopy w miękkim ciemnym pyłe na powierzchni Księżyca i tylko von Braun zawsze wiedział, że tak to się musi kiedyś skończyć.

Baron miał trzydzieści trzy lata. Wysoki, jasnowłosy, towarzyski i przystojny, z lewą ręką i barkiem w gipsie po niedawnym wypadku samochodowym, stanął przed obiektywem

wśród amerykańskich żołnierzy, którzy go pojмали, i ta kuriozalna fotografia trafiła nazajutrz na pierwsze strony gazet w całych Stanach Zjednoczonych. Von Braun w garniturze z dwurzędową marynarką i długim płaszczu wygląda zdumiewająco szykownie jak na jeńca wojennego, najbardziej jednak rzuca się w oczy gips – chirurgiczne monstrum, z powodu którego ręka barona sterczy pod dziwacznym kątem, podparta metalowym prętem. Opatrunek sprawia wrażenie komediowego rekwizytu, z jakim można by zobaczyć na ekranie Moe Howarda w scenie następującej tuż po tym, jak aktor zaprasza do stołu staruszkę, żeby się z nią siłować na rękę. Drugim godnym uwagi elementem tego zdjęcia jest mina von Brauna, a ściślej uśmiech, z którego w późniejszych latach odczytywano już to ulgę, już to szampański nastrój, już to niesłychane, wręcz wyzywające samozadowolenie.

Najtrafniejsza wydaje się ostatnia hipoteza. Von Braun w chwili pojmania był przekonany, że jest w posiadaniu sekretu współrzędnych skrytki mieszczącej dwanaście ton dokumentów o niezrównanej wartości naukowej i strategicznej. Zgodnie z przypuszczeniami mojego dziadka zamierzał wykorzystać ten sekret, aby wynegocjować najkorzystniejsze z wyobraźalnych warunków poddania i zapewnić sobie jak najświetniejszą powojenną karierę. Żaden fotograf nie uwiecznił miny barona w chwili, gdy dowiedział się on wkrótce potem, że dokumenty odnaleziono i z powodzeniem wydobyto z kopalni soli nieopodal Bleicherode, gdzie ukryli je Tessmann i Huzel.

Co się tyczy oficera amerykańskiego wywiadu, który tuż przed przejęciem Nordhausen przez Rosjan odnalazł akta Mittelwerk i nadzorował ich wydobycie ze sztolni, to jego miny też nie uwieczniono na fotografii, kiedy w holu stacji telewizyjnej w Baltimore dowiedział się, wśród jakich dostatków wylądował po wojnie Wernher von Braun, mimo że nie dysponował już tajnym archiwum. Zachowało się jednak świadectwo tamtej chwili, a dziadek przekazał je mnie.

XXIV

Dwa dni przed oddaniem się w ręce Wydziału Zakładów Poprawczych Stanu Nowy Jork dziadek zawiózł moją matkę z New Jersey do Baltimore, żeby ją powierzyć opiece swojego brata. Nie było to w żadnym razie idealne rozwiązanie, ale życie w ogóle nie dorasta do ideału, a dziadek czuł, że nie ma wyboru. Jego matka i ojciec umarli na raka w odstępie kilku miesięcy zimą 1954 roku.

– Miej oczy otwarte – przykazał mojej matce. – To będzie po twojej stronie ulicy.

Matka od pięciu lat nie widziała Baltimore, więc miasto wydało jej się obce. Stojące w rzędach dwupiętrowe domy miały parter z czerwonej cegły, a górę oszalowaną na biało. Przypominały dziąsła z ciasno stłoczonymi zębami. Spośród płaskich dachów tu i ówdzie wznosiło się skosem poddasze. To były kły. Domy miały płytkie werandki o daszkach podpartych białymi słupkami. Ciągnęły się od przecznicy do przecznicy jednostajnym szeregiem, tworząc dekorację, wzdłuż której mógłby przejechać ktoś, komu właśnie się śni, że prowadzi samochód.

– Zapomniałam numeru – przyznała matka.

Dziadek westchnął. Zdjął z kierownicy prawą rękę i wyłowił portfel z górnej kieszeni marynarki. Wypadła z niego prosto między pedały książeczka zapalek od Howarda Johnsona. Dziadek zaklął. Schował portfel do kieszeni.

– Szukaj – polecił ze spokojem, któremu jednak nie należało dowierzać.

Matka przechyliła się w lewo, obmacała podłogę między pedałami a dziurkowanymi noskami czarnych półbutów swojego ojca i w końcu zawadziła palcami o zapalczaną książeczkę.

– Znalazłam.

Rządek zapalek dawno już wyrwano razem z draską. Matka odwróciła opakowanie do wierzchu tą stroną, na której dziadek

zanotował adres. Przeczytała na głos cyfry, ale nie bardzo do niej dotarły, bo właśnie wspominała restaurację Howarda Johnsona, do której dziadek zabrał ją ostatnio w pewną wyjątkowo pogodną sobotę. Pani Lopes, najbliższa sąsiadka, wpadła do nich wtedy bez uprzedzenia, przynosząc dwa albumy zdjęć z niedawnej wizyty u siostry w Altoonie. Zainteresowanie mojej babki podróżami pani Lopes po Pensylwanii wydało się wtedy matce zastanawiające, jeśli nie wręcz przesadne. Przyjęła więc z zachwytem propozycję dziadka, któremu sąsiadka tak działała na nerwy, że raptem zaproponował córce wycieczkę we dwoje.

Zawiózł ją do zoo dla dzieci, w którym można było głaskać kozy, owce i alpaka złośnicę, imienniczkę Ymy Sumac. Matka wiedziała, że skoro ma czternaście lat, to nie powinna już lubić takich zwierzyńców, ale i tak dobrze się bawiła. Byli jedynymi gośćmi, toteż zwierzęta łaknęły towarzystwa. Ruszyły całym stadem powitać moją matkę, a potem ani na chwilę nie spuszczały jej z oczu. W ogromnej stodole na najwyższej krokwi wisiała huśtawka z opony, a pod koniec wizyty farmer ustawił na płocie rząd puszek po zupie. Moja matka zawsze miała zadatki na snajperkę, więc strzelbą kalibru .22 strąciła wszystkie puszkę oprócz jednej. Wracając, wstąpili do Howarda Johnsona, gdzie dziadek pozwolił jej zamówić na lunch porcję frytek z lodami miętowymi.

Dzień był gorący, ale u Howarda Johnsona matkę szczypało w gołe ręce i nogi, kiedy pot wysychał w klimatyzowanym powietrzu. Metalowa miseczka z lodami miała kształt muszli przegrzebka i była oszroniona. Dziadek stroił ostentacyjnie zniesmaczone miny, patrząc, jak matka niespiesznie zanurza każdą frytkę w różowej górcie lodów i dopiero potem ją zjada. Ona jednak widziała, że w jego twarzy pod żartobliwą maską drga coś całkiem innego, jakiś głębszy ból czy troska. W końcu wstał i poszedł do toalety. Wrócił z paczką pall malli. Nie palił nałogowo, ale zdarzały się miesiące, kiedy kopcił dwie paczki dziennie.

W zapalniczce z wygrawerowanym diagramem molekuł zabrakło benzyny. Matka nigdy wcześniej nie przyłapała dziadka

na takim niedopatrzeniu. Kelnerka przyniosła paczuszkę zapalek w kształcie błękitno-biało-pomarańczowej książeczki. Dziadek zapalił papierosa i znów rozsiadł się na wyściełanej ławce. W oczach nie miał już tego co przed chwilą boleśnie taksującego wyrazu. Pochwalił matkę za celność strzałów, a potem – rzecz u niego nieczęsta – opowiedział jej historyjkę ze swojego dzieciństwa. Krótką, ale dobrą. W roli głównej występował kolega dziadka, niejaki Moish, którego inny chłopiec postrzelił z dwudziestkidwójki. Opowieść miała satysfakcjonującą puentę w postaci zakrwawionego czubka palca, który zawinięto w kawałek gazety, żeby uszkodzony mózg go zanieść w kieszeni do domu⁴⁶.

Kiedy wrócili po południu, z radia w salonie leciała rumba w wykonaniu jakiegoś big-bandu, ale w domu nikogo nie było. Na stole w kuchni zobaczyli kopertę opartą o fantazyjny szklany wazon, w którym stały białe peonie z ogrodu za domem. Babka napisała na niej imię mojej matki. Zakonnice nauczyły ją tak kaligrafować, że każde słowo wyglądało jak nuty do zagrania na czeleście. W kopercie dziewczynka znalazła czerwone pióro wsunięte w list z wiadomością, że jej mama postanowiła dla dobra rodziny wrócić na kurację do Greystone. Moja matka nigdy nie zdołała ustalić, co to czerwone pióro miało znaczyć i skąd pochodziło.

Dziadek znowu zaklął, przydeptując hamulec.

– Miałaś patrzeć – powiedział.

– Przecież patrzyłam.

Ich samochód przy jeździe na wstecznym warczał, a moja matka zawsze słyszała w tym dźwięku niezadowolenie swojego ojca. Ten spojrział za siebie i trzymając prawą dłoń na szczycie oparcia, cofnął auto o trzy domy. Zahamował przed jednym z tych, które miały poddasze. Wokół werandy rósł żywopłot z azalii, wtedy akurat bezlistnych. Zamiast cegieł i białego szalunku fasadę pokrywała układanka z setek ciosanych kamieni – brązowych, fioletowo-brązowych i szarych. Słupków werandy nie było. Ich

⁴⁶ Dziadek zataił przed moją matką coś, co wyznał mi trzydzieści dwa lata później, a mianowicie fakt, że to on wtedy strzelał.

miejsce zajęły treliaże z kutego żelaza oplecione pnączem z tego samego materiału. W jednym z okien wychodzących na werandę mignęła szeroka kobieca twarz, zanim zdążyła ją zasłonić muślinowa firanka.

Dziadek wyłączył silnik. Matka złapała oburącz poły swojego puloweru i zacisnęła dłonie. Piekły ją oczy. Łzy spływały jej z podbródka na wykładany kołnierzyk bluzki. W samochodzie było tak cicho, że słyszała, jak kapią. Dziadek cichutko cmoknął – z irytacją, a może ze współczuciem. Dziewczynka uczepiła się resztek nadziei, że to jednak współczucie.

– Nie mam innego wyjścia – powiedział. – Wybacz.

– Nie – odparła matka, zdumiona własną odwagą. Serce dudniło jej o mostek.

Dziadek otworzył drzwiczki po swojej stronie i wysiadł z samochodu.

– Trudno mieć ci za złe – przyznał.

Włożył szarą marynarkę z wełny chesankowej i wyciągnął z jej rękawów mankiety koszuli. Poprawił węzeł szaro-czarnego krawata. Przyjrzał się kamiennej fasadzie domu⁴⁷. Obszedł przód auta i po drodze do bagażnika otworzył drzwiczki mojej matce. Ta wytarła twarz rękawem i wygramoliła się na chodnik. Poszła za dziadkiem w stronę bagażnika crosleya, w którym przyjechały dwie walizki ubrań, kosmetyczka podróżna z przyborami toaletowymi i kolekcją szklanych zwierzątek, przenośny gramofon i pudło singli, takich jak wydana zaledwie przed paroma dniami *Wake Up Little Susie* czy *Dark Moon Gale Storm*.

– Zajmę się tymi manelami – rzekł dziadek. – A ty idź zadzwoń do drzwi.

Matka stała na betonowej szachownicy, przyglądając się kamiennemu domowi. Fajnie było powiedzieć „nie”. Zastanawiała się, czy tego nie powtórzyć, ale stryj Ray ją ubiegł.

– Nie! – zawołał z najwyższego stopnia schodków werandy.

Miał na sobie lazurowy garnitur w białe prążki i złocistą

47 Zapewne nie był to prawdziwy kamień, tylko wytłaczana w betonie namiastka, znana pod nazwą Formstone, modna podówczas wśród właścicieli domów w Baltimore.

koszulę z zielonym krawatem w złote kółka. Przyjmował moją matkę pod własny dach i robił z tego całe widowisko, stojąc z rękami założonymi na kościstej piersi i mierząc dziewczynkę wzrokiem. Pokręcił głową i uniósł kącik ust, jakby miał się zaraz uśmiechnąć.

– Nie do wiary – powiedział. – Niemożliwe.

Od czasu wyprowadzki z Baltimore w 1952 roku matka rzadko widywała stryja Raya. Stał się przez ten czas jeszcze większym skandalistą, a ona go za to uwielbiała. Jego nieprawdopodobne auta i ciuchy, a także prezenty, które jej przywoził (brunatnoskóra lalka w kapeluszu z drewnianych owoców i czerwonej sukience z wyhaftowanym napisem HAWANA albo płócienny woreczek z nadrukiem BRYŁKA ŻŁOTA, zawierający fiolkę złotego pyłu), oburzały mojego dziadka, ale – paradoks – zarazem go chyba cieszyły. Ilekroć przyjeżdżał stryj Ray, rozmowa toczyła się między nim a moją babką. Dziadek tylko się przysłuchiwał, siedząc przy stole, a pewnego razu na kocu pod orzesznikiem. W opowieściach stryja Raya o jego życiu ludzie noszący dwuznaczne lub zabawne ksywki pojawiali się w miastach bądź dzielnicach o wątpliwej reputacji. O zdarzeniach i postępkach z tego życia trzeba było opowiadać hermetycznym żargonem. Matka zupełnie nic z tej rozmowy nie rozumiała, więc nikt się nie fatygował wypraszaniem jej z pokoju. Kiedy stryj Ray docierał do puenty, dziadek podpierał brodę ręką i mówił „nie wierzę” albo „to straszne” lub po prostu „oy, Reynard, dlaczego?”. Ale czasem się uśmiechał.

– Cześć, stryju Rayu – powiedziała moja matka.

– Jak się masz, laluniu.

Weszła po schodkach, objęła stryja za szyję i pocałowała w policzek. Był gładszy od policzka jej ojca. Pachniał jak zawsze gardenią i popiołem tytoniowym. Matka nie musiała wspinać się na palce do tego pocałunku. Nie skończyła jeszcze piętnastu lat, a już przerastała stryja prawie o sześć centymetrów.

– Co ja widzę! Nikt mi nie powiedział, że tak szybko się uwinęłaś z dorastaniem – rzekł stryj Ray. – To będzie bułka z masłem. Odwaliłaś za mnie robotę!

Matka nie odpowiedziała.

– No nie? – upewnił się stryj Ray. – Ja się na to z góry cieszę, a ty?

– Chyba tak.

– Ja myślę, kiciu. Będziemy mieli ubaw.

Przy drzwiach wejściowych wisiała płaska blaszana skrzynka listowa z drucianym uchwytem na wieczorną gazetę. Widniało na niej nazwisko „Einstein”. Matka słyszała, że tak się nazywa pani, od której stryj Ray wynajmuje pokój, lecz gdy przeczytała to słowo litera po literze na skrzynce, poczuła się nieswojo. Nazwisko gospodyni od dawna przypisane było do spraw najwyższej wagi, o których wiedziała, że nigdy ich nie zrozumie.

– To miała być dziewczynka – powiedział jakiś głos o niskim, męskim brzmieniu.

Należał do kobiety, którą matka widziała wcześniej w oknie. Pomyślała, że to jakaś starucha, lecz z perspektywy czasu doszła do wniosku, że pani Einstein nie miała wtedy chyba jeszcze sześćdziesięciu lat. Jej włosy brunetki przetykane były siwizną. Sterczały w prawo i w lewo na kształt płetw z czubkami zadartymi do góry jak noski perskich pantofli. Gospodyni miała na sobie coś jakby kitel laboratoryjny, a pod nim bluzkę w deseń chryzantem i brązową spódnicę. Kiedy wyszła na werandę, ciągnęła się za nią smużka ostrego zapachu.

– Pani Einstein – przedstawił ją mojej matce stryj Ray. – Bo też to jest dziewczynka, pani Einstein. Ma dopiero... ile masz lat, kochanie?

– Czternaście.

Kobieta stanęła z założonymi rękami i zmierzyła bratanicę lokatora spojrzeniem od stóp do głów. Moja matka poczuła, że tajemniczy fetor bije od samej pani Einstein. Dowiedziała się potem, że gospodyni jej stryja jest rejestratorką w klinice weterynaryjnej w Pikesville. To dlatego wszędzie niosła się za nią mieszanina woni karbolu i wydzielin zwierzęcych gruczołów lęku.

– Czternaście – powtórzyła pani Einstein. – Tereferę. – Obróciła się w stronę stryja Raya. – Za kogo mnie masz?

– Mogę pokazać jej metrykę – oświadczył stryj Ray gładko i pewnie, ku zaniepokojeniu mojej matki, która nie była pewna, czy w ogóle ma jakieś świadectwo urodzenia. – Jeżeli to naprawdę konieczne.

Gdy zeszłego lata huragan miał uderzyć w teksaskie wybrzeże Zatoki Meksykańskiej, matka zobaczyła w gazecie zdjęcie ludzi, którzy znaleźli się na drodze nadciągającego kataklizmu, więc zabijali okna swoich domów płytami ze sklejki. Wyraz oczu pani Einstein wskazywał, że przeprowadza ona w tej chwili podobną akcję.

– Przy tobie to zawsze konieczne – powiedziała do stryja Raya.
– Muszę się zabezpieczać na wszelki sposób.

– Ależ pani E.

– Przy tobie sprawdzam wszystkie kruczki. – Gospodyni leciuteńko pokręciła głową, jakby wyraźniejsze okazanie dezaprobaty mogło ją uwikłać w to bliżej nieokreślone bezceństwo, w które wplątał się jej lokator. Po czym weszła z powrotem do domu.

– O co jej właściwie chodziło, kiedy powiedziała, że to miała być dziewczynka? – spytała matka stryja. – Myśli, że jestem chłopcem?

Stryj Ray miał zęby pożyczowane złotem. Ilekroć się uśmiechał, wyglądało to, jakby przelotnie odślaniał przed rozmówcą towar, który zamierzał mu sprzedać.

– Nie, kochanie – odparł. – Myśli, że jesteś kobietą. – Już miał jej zmierzwić włosy, ale zmienił zdanie i w końcu tylko poklepał ją po ramieniu. – Nie daj jej... No proszę.

Stryj patrzył ponad ramieniem mojej matki na dziadka, który nadchodził z walizką pod każdą pachą, w lewej ręce trzymał gramofon, a w prawej kosmetyczkę i pudło z płytami.

– No wiesz, Mandrake⁴⁸ – skarcił stryj Ray moją matkę. – Żeby Lothar musiał dźwigać cały twój bagaż!

– Chciałam mu pomóc, ale mi nie dał.

– To w jego stylu – stwierdził stryj Ray.

Dziadek szedł z pochyloną głową, a wąskie rondo kapelusza

48 Mandrake i Lothar – postaci ze znanego komiksu (przyyp. tłum.).

zasłaniało mu oczy. Z głośnym tupotem wszedł po schodkach werandy i spróbował się przepchnąć obok mojej matki i stryja Raya, nie odzywając się ani słowem.

– Hej, smutasio – zagadnął go stryj Ray, zastępując mu drogę. Począł, aż brat spojrzy na niego spod runda kapelusza. – Nawet się nie przywitasz?

Dziadek przystanął. Kiwnął głową, nie patrząc bratu w oczy.

– Cześć – burknął.

– Tylko tyle? Nic więcej mi się nie należy?

– Zjeżdżaj – cicho powiedział dziadek.

Stryj Ray w udawanym popłochu usunął się na bok. Dziadek wniósł bagaż do domu.

– Będzie mieszkała na poddaszu! – zawołał za nim stryj Ray. – Mam nadzieję, że uda ci się wtaszczyć ten cały kram po drabinie. Pomógłbym ci, jakbyś nie był taki pokręcony.

Dziadek przypomniał bratu, że nie potrzebuje pomocy. Stryj Ray przewrócił oczami, spoglądając na moją matkę. Spróbowała się uśmiechnąć, ale jej się nie udało. Niepokoili ją myśli o spaniu na strychu. Dopiero teraz się okazało, że wchodzi się tam po drabinie. To też ją niepokoiło. No bo jeżeli będzie musiała w środku nocy pójść do łazienki?

– Całe szczęście, że się tu nie zasiedzi – powiedział stryj Ray. – On i pani Einstein pod jednym dachem? To by było jak Marciano kontra Moore w turnieju smutasów wagi ciężkiej.

– Przecież idzie do więzienia – odparła matka, która właśnie sobie przypomniała, że chociaż stryj Ray budzi w niej tklivość i lekki podziw, ma też jednak w sobie coś, co zawsze działało jej na nerwy. Ray nie był człowiekiem poważnym. – Inaczej wcale nie musielibyśmy tu przyjeżdżać.

Stryj Ray zrobił taką minę, jakby mu wymierzyła policzek. Natychmiast pożałowała swoich słów. Uśmiechnęła się z przymusem.

– Ja w każdym razie stawiałabym na tatę – powiedziała.

– W turnieju smutasów?

– Zdecydowanie.

– Ile?

– Pięć dolarów?

– Stoi – oświadczył stryj Ray. I podali sobie ręce.

Gospodyni dała im jeść. W piętnaście dolarów tygodniowo, które płacił jej stryj Ray za pokój z własną łazienką na pierwszym piętrze, nie były wliczone posiłki. Pani Einstein nie interesowała się jedzeniem. Ilekroć z rzadka coś jednak gotowała, owoc jej trudów był tak podłej jakości, że żaden konsument by za niego nie zapłacił. Nie była wprawdzie pobożna, ale mięso kupowała u koszernego rzeźnika. Wybierała najtańsze ochłapy, żyłaste i chrząstkowate, obsmażała je, a potem zatapiała w brązowym sosie, który był jej specjalnością, a mojej matce przypominał galaretkę owocową, tyle że słoną i gorącą. Warzywa gotowała, dopóki nie przybrały odcienia neutralnej szarości. Raz na tydzień gwałtem usadzała się przy stole i zjadała kawałek smażonej wątróbki wołowej z cebulką, a jeśli stryj Ray i moja matka byli pod ręką, w nich także wmuszała ten specjał. Jej mąż i syn nigdy nie chcieli nawet tknąć wątróbki i obaj umarli, a ona żyła.

Ale w tamten pierwszy wieczór podała znakomitą mleczną kolację. Wstąpiła do sklepu z przekąskami i kupiła wędzoną białą rybę, śledzie marynowane oraz tuzin faszerowanych jaj. Na stół trafił też twarożek, a także seler i marchew w plasterkach. Na deser był cudowny tort – smukły blok w czekoladowej polewie, który po rozkrojeniu przez panią Einstein obnażył ukryte w nim jaskrawe warstwy różu, zieleni i żółci, poprzedzielane pasmami dżemu malinowego. Gospodyni nie miała złudzeń co do swoich talentów kulinarnych, jak zresztą co do niczego na świecie – może z wyjątkiem krzepiących właściwości wołowej wątróbki. Wiedziała jednak, dokąd prosto od niej pojedzie mój dziadek. Uznała więc, że jego ostatni posiłek na wolności powinien być przynajmniej jadalny.

– Bardzo pani łaskawa – rzekł dziadek, odsuwając talerz.

– Nie powiedziałałabym – odparła gospodyni. Patrzyła na moją matkę, która właśnie zamierzała poprosić o dokładkę tortu. – Jedna porcja wystarczy – powstrzymała ją pani Einstein.

Matka kiwnęła głową i odłożyła widelczyk.

– Może brat już panu powiedział, że mam wątpliwości co do tego układu – rzekła pani Einstein. – Nie bardzo sobie wyobrażam Reynarda jako opiekuna dziecka i boję się, że cały trud spadnie na mnie. Nie przepadam za dziećmi. Miałam jedno. Wystarczyło mi aż nadto.

Dziadek wściekle łypnął na brata.

– Mówiłeś, że się zgodziła.

– Zgoda to pojęcie względne – zauważył stryj Ray. – Może powinienem był powiedzieć, że zgodziła się o tyle, o ile ktoś taki jak ona w ogóle się na coś w życiu zgadza.

Matka powiedziała mi, że wciąż pamięta, jak podczas tej wymiany zdań oblał jej policzki gorący rumieniec. W nogach poczuła niespokojny skurcz, jakby mięśnie wpadły w popłoch. Zrobiła w myślach szybki przegląd bystrych, gniewnych lub zimnych uwag, które mogła rzucić w twarz gospodyni jako przyczynek do rozmowy o dzieciach oraz ich uczuciach wobec pani Einstein. I jeszcze raz wytłumaczyła sobie, że prócz tego domu naprawdę nie ma gdzie się podziać.

– Nieważne, czy się zgadzam – rzekła pani Einstein. – Dziewczynie potrzebny jest dom, przecież to jasne.

Nieco przed ósmą dziadek zdjął kapelusz z kołka w holu przy drzwiach wejściowych. Matka starała się usiedzieć na kanapie obciążonej jasnorożową szenilą i hermetycznie opakowanej przezroczystym winylem. Czuła, jak pod szytą z koła spódnicą jej gołe uda przyklejają się do winylowego pokrowca, i wmawiała sobie, że ta lepkość wystarczająco ją uziemia. W końcu jednak zerwała się z kanapy i podbiegła do ojca. Ten jakoś ścierpiął to, że objęła go w pasie i przytuliła policzek do gorsu jego koszuli. Kiedy zobaczył, że obejdzie się bez dramatycznej sceny, wziął w obie dłonie głowę mojej matki i uniósł jej twarz ku swojej.

– Gdybym myślał, że nie dasz rady, nie prosiłbym, żebyś tu została – powiedział. – Rozumiesz?

Matka skinęła głową. Łza wypłynęła jej z lewego oka, ściekła po skroni i zadzwięczała w prawym uchu.

– Jesteś twarda – dodał dziadek. – Jak ja.

Zniżył usta ku jej czołu i zostawił na nim szorstkie

wspomnienie wąsów. Gdy parę godzin później leżała na składanym łóżku u pani Einstein na poddaszu i usiłowała zasnąć, czuła jeszcze, że całe jej czoło pała ciepłem tego szczeciniastego pocałunku, jak przypieczone słońcem. Dopiero w ciemnościach poddasza, w smrodku starych walizek i kaloszy, przyszło jej na myśl, że powinna była spytać mojego dziadka, co by zrobił, gdyby myślał, że ona jednak nie sprosta próbie. Leżąc po ciemku, wyobrażała sobie różne świetliste formy, które mogłoby przybrać jego współczucie, gdyby nie była taka twarda.

XXV

Pierwotnie postawiony zarzut napadu z niebezpiecznym narzędziem w ręku groził dziadkowi pięcioletnim wyrokiem. Ale Nowy Jork już w roku 1957 borykał się z sądowymi zaległościami, które pod koniec lat sześćdziesiątych doprowadziły jego system sądowniczy do niemal całkowitego upadku. Jako niekarany dotąd weteran i głowa rodziny dziadek dał się namówić na zrzeczenie się prawa do procesu i przyznał się do popełnienia lżejszego przestępstwa, czyli zwykłej napaści. Skazano go na dwadzieścia miesięcy w więzieniu Wallkill.

Zbudowano je tytułem eksperymentu, kiedy Franklin Delano Roosevelt był gubernatorem Nowego Jorku. Więzienia nie otaczał mur ani parkan. Alejki w szpalerach drzew i pseudogotyckie budynki z szarego kamienia przypominały odwiedzającym niewielką uczelnię dla mężczyzn albo seminarium. Była tam biblioteka, sala gimnastyczna, pływalnia, dochodowa krowia ferma, stajnia, warsztaty mechaniczne i rzemieślnicze, szklarnie i warzywniki, sad, żywy inwentarz i pasieka. Pod fachowym kierunkiem instruktorów więźniowie uczyli się prac fizycznych w rolnictwie i innych branżach, a potem wykonywali je za wynagrodzeniem albo wyrabiali dzienną normę godzin przy produkcji okularów lub różnych plastikowych nowinek w jednej z dwóch manufaktur, które działały w Wallkill. Naczelnik osobiście dobierał strażników, dbając o to, żeby utożsamiali się z filozofią i metodami zakładu. Chodzili ubrani jak strażnicy w parkach narodowych. Mieli kajdanki, ale nie dano im broni palnej ani pałek. Więźniowie mieszkali w osobnych celach z wyjściem na zielone tarasiki, na których mogli uprawiać warzywa bądź kwiaty. Klucze do cel nosili przy sobie. Od zgaszenia świateł do pobudki każdy musiał siedzieć w swojej jedyńce, lecz gdy okazał się godny zaufania, zyskiwał znaczną swobodę ruchów. Dopóki punktualnie stawał

się do pracy, na posiłki, gimnastykę, mszę i inne zajęcia obowiązkowe, w wolnym czasie mógł robić, co chciał.

Pierwszej nocy dziadek długo nie mógł zasnąć. Dziedziniec za oknem tonął w blasku reflektorów. Przez duży wizjer w drzwiach wpadało światło i odgłosy z galerii. Siennik trzeszczał. Powietrze było duszne i ciężkie. Śpiący więźniowie hałasowali jak w kreskówce, wydając dźwięki, jakie można by usłyszeć nocą w oborze, w której organy parowe złożone z krów, świń i kur grałyby rzeżącą polkę. W odstępach zbyt nierównych, aby dało je się przewidzieć lub do nich przywyknąć, sąsiad zza ściany spazmatycznie kasłał. Brzmiało to tak, jakby bęben turlał się po schodach. Brzmiało boleśnie.

Dziadek przeleżał wiele godzin z rękami pod głową, dręczony myślami o żonie i córce. Wyobrażał sobie, jak swoją matkę poszturchują na głównej trybunie przy torze wyścigów konnych, a przegrane bilety prószą wokół niej jak śnieg, kiedy tłum z rykiem zrywa się z miejsc. Widział, jak siedzi sama przy stole na zapleczu salonu bilardowego w jakiejś zapomnianej przez Boga dziurze, na przykład w Hagerstown, włosy spadają jej na zeszyt do algebry albo na pisemko „Modern Screen”, a tymczasem stryj Ray maltretuje jakiegoś tępego skurwiela, który potem w zaułku pobije go na śmierć, zanim zgwałci swoją matkę. Babkę wyobrażał sobie ostrzyżoną na zero i przypasaną do stołu na sali operacyjnej wśród ostrych świateł, zanurzaną w wannach z lodem, skrępowaną kaftanem bezpieczeństwa i karmioną na siłę papką z dodatkiem leków. Usiadł na łóżku i zadrżał.

Podszedł do okna, żeby spojrzeć na nocne niebo, ale więzienne reflektory odbierały gwiazdom całą moc. Wrócił na pryczę, postanowiwszy odtworzyć na suficie mapę gwiazdozbiorów, o których wiedział, że ma je nad głową. Wmawiał sobie, że sufit da się rozsunąć jak kopułę obserwatorium. Mając rozległy widok na niebo, kontemplował Delfina, Indianina i Mikroskop. W Lutni odnalazł Mgławicę Pierścień. Kasjopeja i Andromeda wstąpiły po wewnętrznej ściance jego czaszki, dźwigając swój niewygodny mit. Dziadek zobaczył swoją matkę, wygiętą w udręce na kształt

literę M – córkę w postaci skośnego zygzaka przykutą do skały w oczekiwaniu potwora. Wolał o tym nie myśleć. Wyłączył zeissa wyobraźni. Gwiazdy mrugnęły i zgasły.

Dziadek przekręcił się na bok i po pewnym czasie w jego myślach znów pojawiła się moja babka. Leżała naga w małżeńskim łożu, na brzuchu, ze złożonymi nogami, a on stał przy jej stopach. Powiódł spojrzeniem w górę, wzdłuż strzały cienia, wymierzonej w rowek tyłka. Tej dojrzałej, puszystej brzoskwini. Chwycił ją za kostki i rozchylił nogi.

Zasnął, a rano ze snu o sympatii z liceum wyrwał go harmider dzwonnka, z którego zapewne wykuł się ten sen. Kiedy dziadek otworzył oczy, był w więzieniu. Za dwadzieścia miesięcy miał być rok 1959.

Włożył więzienny uniform (granatową roboczą koszulę i spodnie z szarej popeliny), po czym usiadł na pryczy, żeby zasnurować buty. Mimochodem spojrzął na niebo za oknem. Nie wiedzieć czemu okazało się to błędem.

Niewątpliwie dowiodłem już, że dziadek nie miał łzawego usposobienia, a jeśli czasem zbierało mu się na płacz, tłumił go. Ostatnim razem pozwolił sobie rozbeczeć się na całego, kiedy nosił jeszcze krótkie spodenki, za prezydentury Herberta Hoovera. Łzy podobnie jak krew pełniły pewną funkcję. Człowiek mógł dzięki nim dokładnie odczuć, jak ciężko i głęboko go zraniono. Gdy umierał mu w ramionach przyjaciel, żona traciła zmysły albo żegnał się z córką w holu u pani Einstein, łzy napływały, a on je tamował jak krew. Więc co się nagle stało, do kurwy nędzy? Błękitne niebo w słoneczny poranek u schyłku lata w górach Catskill. Wielkie mi co. Kwestia długości fali i jej załamania. Pobudzenie pręcików i czopków siatkówki.

A tymczasem śniadanie wydawano punkt siódma. Dziadka uprzedzono, że jeśli spóźni się choć minutę, nie wejdzie do stołówki i zostanie o suchym pysku aż do lunchu. Łazienka była na samym końcu długiej galerii. Należało się spodziewać, że do toalety, umywalki i miejsca przed lustrem ustawi się kolejka. W dodatku dziadkowi chciało się sikać. Miał zamiar lada chwila przestać się gapić na niebo, zawiązać sznurowadła i iść. Pora była

się ruszyć.

Ktoś zapukał do drzwi. Dziadek podskoczył.

– Tak?! – zawołał. Odchrząknął. – Tak, o co chodzi?

– Przepraszam. Nie chciałem się narzucać. – Powiedziano to z nieco protekcyjną intonacją, a może po prostu z pewną manierą. – Ja... jestem doktor Alfred Storch.

Kiedy dziadek poprzedniego dnia stawił się w Wallkill, zbadał go internista i przesłuchał psychiatrę. Żaden z nich nie nazywał się Alfred Storch. Naczelnikiem więzienia był niejaki doktor Wallack.

– Chwileczkę. – Dziadek zawiązał sznurówki i wstał z prycy.

Otworzył drzwi i ku swemu zdziwieniu zobaczył za nimi jakiegoś więźnia. Już wieczorem zauważył go w jadalni. Sporo ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, chudzielec, czarna szczotka wąsów przetykana srebrem. Pokornie zgarbiony po latach skłonów w zbyt niskich drzwiach. Okulary w grubej czarnej oprawce, a oczy zupełnie rozjechane. Lewe zezowało na zewnątrz. Nadwzroczne, pozornie zognomnione, pływało za szkłem. Prawe było krótkowzroczne i przez soczewkę wydawało się w porównaniu z lewym skurczone. W sumie wyglądało to tak, jakby doktor Storch zamiast zwykłych okularów nosił jakieś toporne urządzenie, które sam zмайstrował, żeby móc patrzeć zza węgła lub w dwie strony naraz. Wysunął przed siebie prawą dłoń, dużą i długopalcą. Na klawiaturze fortepianu bez trudu objąłby nią półtorej oktawy.

– Mieszkam w sąsiedniej celi – powiedział. „Miezkam w sąszedniej seli”. Miał niemiecki akcent, zabarwiony brytyjskim nauczaniem. Była to intonacja z klasą, trochę jakby Leslie Howard grał pruskiego księcia. – Chciałem dopilnować, żeby pan, o... – Doktor Storch umilkł nagle i odwrócił twarz, lecz jego lewe oko wciąż czujnie wpatrywało się w dziadka. – Strasznie mi przykro. Widzę, że przeszkadzam.

Dziadek wściekle otarł policzki rękawem koszuli.

– Wcale nie – zaprzeczył. – Właśnie szedłem się umyć przed śniadaniem.

– Aha – odparł doktor Storch. – Widzi pan, zobaczyłem, że

pańskie drzwi są zamknięte, a ponieważ jest pan tu nowy, nie byłem pewien, czy pana uprzedzono...

– Wiem – przerwał mu dziadek. – Punkt siódma albo nici ze śniadania.

– Bardzo tego przestrzegają – rzekł doktor Storch. – Straszni z nich służbiści.

Sformułowane to było jak skarga, ale dziadek dosłuchał się w niej tonu przechwałki. Można by pomyśleć, że doktor Storch osobiście wprowadził regułę punktualności w jadalni.

Dziadek wyszedł na galerię i zamknął drzwi celi. Wyjął z kieszeni klucz.

– O, nikt tu nie zamyka cel – powiedział doktor Storch. – Oczywiście zrobi pan po swojemu. Ale zamki są takie słabe. Doprawdy nie warto. – Dziadek usłyszał w tych słowach nutę goryczy, jakby celę doktora Storcha już nieraz splądrowano. – Można je otworzyć kartą do brydża.

Dziadek zamknął jednak drzwi na klucz, co doktor Storch skwitował łaskawym wzruszeniem ramion.

– Oczywiście nie zaszkodzi – rzekł.

Kiedy mijali drzwi jego celi, uchylił je lekkim pchnięciem.

– Identycznie jak u pana, w każdym szarym detalu.

To także zostało powiedziane tonem pozornej skargi, jakby jednolity wystrój cel wynikał z jakiejś reguły, którą wprowadził sam doktor Storch. Ale cela rzeczywiście wyglądała identycznie: taka sama prycza, lampa, krzesło, stół i komódka. Ten sam przydział błękitnego nieba w okiennej ramie. Żadnych fotografii. Na stole stosik książek w kieszonkowym formacie, z wystukanymi na maszynie i przylepionymi do grzbietów etykietkami z biblioteki. Na wierzchu leżała *Misja grawitacyjna* Hala Clementa. Kiedy tę klasyczną pozycję z repertuaru „rzetelnej” science fiction zaczęło drukować w odcinkach czasopismo „Astounding”, dziadek tak się nią zachwyił, że wyłuskał trzy dolary, gdy rok później Doubleday wydał ją w twardej oprawie. A kiedy w roku 1974 wcisnął mi nowy egzemplarz, nadal była to jedna z jego najulubieńszych w życiu książek.

Nie skomentował jednak przy doktorze Storchu tego dowodu wspólnoty zainteresowań, na której można było zbudować przyjaźń. Zachował się jak ktoś, kto w porze kolacji wpada do domu sąsiadów pełnego ciepłej woni marchewki i liści bobkowych, przynosząc adresowany do nich list, który przez pomyłkę trafił do niego, lecz zanim zdążą go zaprosić, żeby usiadł, napił się wody i skosztował zupy, a przynajmniej zdjął płaszcz, kręci głową i mówi: „Proszę się nie obawiać, nie zostanę”.

– Bardzo miło – powiedział.

Ruszyli galerią w stronę łazienki. Większość osadzonych zeszła już do jadalni, zostawiając drzwi cel zamknięte tylko na klamkę albo wręcz uchylone. Kalendarze z dziewczynami, fotografie dzieci. Własnoręcznie malowane akwarele przedstawiające owoce, Ava Gardner, zielone stoki Shawangunks. Porcelanowa Najświętsza Panna w aureoli ze złotego drutu.

– Jedzenie powinno się panu wydać całkiem zjadliwe – rzekł doktor Storch.

– Kolacja była niezła. Wołowina z makaronem. Trudno to popsuć.

– Rzeczywiście dają nam dużo makaronu.

– Jest sycący.

– I tani. Nawiasem mówiąc, jestem dentystą – powiedział doktor Storch. – Nie lekarzem medycyny. Gdyby pan się zastanawiał. I chcę wyznać panu prawdę o przyczynie mojego pobytu w Wallkill, zanim usłyszy pan niesamowite mity, którym dał początek mój akcent. Mam wrażenie, że katalog moich mitycznych zbrodni codziennie wzbogaca się o świeżą okropność! Widzi pan, powiedzenie panu prawdy wydaje mi się nieodzowne, bo myślę... czy trafnie zgaduję, że jest pan Żydem? Tak. A zatem: nie jestem nazistą, zapewniam pana. Niemcem tak, oczywiście. Ale Hitler mnie mierzył i nigdy nie zapisałem się do partii nazistowskiej. Wyjechałem z Niemiec tuż przed najazdem na Polskę i cały blitzkrieg przetrwałem w Londynie, gdzie trzykrotnie omal mnie nie zabiły niemieckie pociski, w tym jedna rakietą V-2. Nigdy nie należało do moich zadań wrywanie

złotych zębów deportowanym, kiedy przywożono ich do Auschwitz lub do Belsen. Całe życie spędziłem w Hamburgu i nigdy nie zbliżyłem się do żadnego z tamtych miejsc. Nie prowadziłem ohydnych doświadczeń dentystycznych ani nie operowałem bez znieczulenia. Nikomu nie rozplątałem języka i żadnej kurwie nie wstawiłem zębów rekina. Po wojnie wyemigrowałem do Buffalo, gdzie w roku 1953 aresztowano mnie za wykonywanie zawodu dentysty bez zezwolenia, co w stanie Nowy Jork jest niestety ciężkim przestępstwem. I dlatego sąsiadujemy przez ścianę.

Wszystko to wylało się z doktora Storcha tak raptownie, jakby wewnętrzne przepisy Wallkill nakazywały dokonywać tego rodzaju spowiedzi szybko, przed dotarciem do łazienki. Jego wyznania zawierały wiele faktów wymagających przetrwania. Nie bardzo było wiadomo, jak na nie odpowiedzieć.

– Jestem komiwojażerem – oświadczył dziadek.

Kiedy weszli do łazienki, doktor Storch zeszytniał. Wyminął dziadka i skrył się w pierwszej z brzegu kabinie. Nad umywalką w kształcie koryta mył ręce więzień z uchem zniekształconym jak u zapaśnika i pękatą jak beczka klatką piersiową. Przedramiona upstrzone miał nudnymi tatuażami. Zakręcił kran i podszedł do jednego z płóciennych ręczników, których zapętlone w nieskończoność wstęgi wyciągało się z wiszących na ścianie białych skrzynek. Cierpliwie wytarł bryły różowego marmuru, które zastępowały mu dłonie. Uśmiechnął się do dziadka i powiedział:

– Siema.

Uśmiech był przyjazny, chociaż poprzedziło go pół sekundy chłodnego taksowania wzrokiem. Weteran z piechoty morskiej – domyślił się dziadek. Waga średnia do półciężkiej. Niezły zasięg rąk. Słabe kolana.

– Dzień dobry – odparł.

– Jestem Hub. Hub Gorman. – Weteran puścił do dziadka oko i zawołał: – Widzimy się przy śniadaniu, Al!

Leniwie rozwlekał sylaby jak mieszkaniec Środkowego Zachodu. Dziadkowi ten sposób mówienia kojarzył się z Deanem

Martinem.

Doktor Storch może i coś odpowiedział, ale dziadek go nie usłyszał. Hub przechylił głowę w stronę kabin i przewrócił ku nim oczami.

– Lepiej uważaj z tym srany ptaszkiem – poradził.

Dziadek skwitował to milczeniem. Ludzie, którzy puszczali do niego oko, budzili w nim odrazę.

W kwestii doktora Storcha jeszcze nic nie postanowił, ale dość wyraźnie czuł, że za tydzień wciąż będzie nienawidził Huba Gormana. Nie było na to rady i nie pomogłoby żadne gadanie. Zła krew, konkursy w sikaniu, przewlekłe konflikty – wszystko to oznaczałoby kapitulację wobec Wallkill, tak jak kapitulacją byłoby zawarcie przyjaźni. Dziadek zamierzał pozostać przechodniem, który wstąpił tam tylko na chwilę, nawet gdyby w końcu musiał odsiedzieć całe dwadzieścia miesięcy.

Gorman podszedł do niego i pod pretekstem, że szwankują mu kolana, niby to niechcący się zatoczył, o wiele zanadto zbliżając twarz do jego twarzy. Z ust zionęło mu jak z żeliwnego rondla.

– Coś ci poradzę – rzekł, układając swoje szpetne, lecz dobrotliwe rysy w kształt uroczystej maski. Nastąpiła brzemienna znaczeniem chwila ciszy. Dziadek jakoś ją wytrzymał. – Nigdy nie daj się uśpić dentyście.

Gorman wyszedł, powłócząc nogami i pogwizdując bez ładu ni składu. Dziadek stanął przy jednym z pisuarów. Oddanie moczu przyniosło mu ulgę, która złagodziła złe przecucia wywołane tym, co rozegrało się na jego oczach między doktorem Storchem a Hubem Gormanem. Dentysta żwawo wyskoczył z kabiny.

– A, jest pan! – zawołał, jakby nagle odnalazł dziadka, zgubiwszy go podczas wspólnej wędrówki przez las. – Gotów na śniadanie?

Dotarli do stołówki minutę po siódmej. Było to pierwsze śniadanie dziadka w Wallkill, więc strażnik przy drzwiach potraktował go wyrozumiale.

– No, idź po te swoje naleśniki – powiedział, popychając barkiem skrzydło wahadłowych drzwi i przepuszczając dziadka.
– Tylko żeby mi to było ostatni raz, zrozumiano?

Kiedy dziadek wszedł do stołówki, strażnik znów stanął w drzwiach i dodał tonem, z którego uleciało całe ciepło:

– A ty możesz sobie dzisiaj pogłodować, doktorku.

– I dlatego wciąż to powtarzasz?

– Co?

– Nigdy nie daj się uśpić dentyście – zacytowałem. – Zawsze tak mówisz.

– Naprawdę?

– To jedna z twoich głównych rad.

– Głos rozsądku i tyle – odparł dziadek. – A rad nikomu nie udzielam.

Poszukałem w pamięci dowodów, które pozwoliłyby mi obalić to twierdzenie. Znalazłem w niej takie oto wypowiedzi: „Z suszarką do włosów jak najdalej od wanny”, „Szybciej się zagoi bez plastra” i „On wywęszy twój strach” (na widok dobermana).

– Czyli jesteście przeciwny radom – powiedziałem.

– Nie jestem im przeciwny. Po prostu żaden z nich pożytek.

– Dobra.

– Załamują ręce, co ja mam zrobić, może to, może śmo. Dostają siedemnaście różnych odpowiedzi. A potem i tak robią to, co od początku zamierzali. Jeżeli im doradzisz, w razie kłapy będą tylko mieć ci za złe.

Nie byłem pewien i nawet miałem ochotę zapytać, co to za oni tak marnują jego czas. Uznałem, że najprawdopodobniej ma na myśli cały rodzaj ludzki.

– Czyli jak następnym razem dentysta zechce podać mi gaz, mam mu powiedzieć: „Śmiało”.

– Rób, co uważasz. Codziennie ktoś umiera u dentysty na fotelu.

– Biedny doktor Storch. Byłeś potem dla niego trochę fajniejszy?

– Nie traktowałem go źle. Po prostu z nim nie rozmawiałem. Zresztą do nikogo się nie odzywałem i nie chciałem, żeby mnie zagadywali. Taki był mój plan.

Miałem wrażenie, że od tamtych czasów podejście dziadka do

ludzi zasadniczo się nie zmieniło.

– Tak, ale ten cały Hub od miesięcy się nad nim pastwił...

– Od roku.

– A potem ty się wprowadziłeś do sąsiedniej celi. I nie byłeś tam od początku, kiedy wszyscy czepiali się doktora Storcha, wyzywali go od nazistów i mieszali z błotem, nawet strażnicy, chociaż z twojego opowiadania wynika, że innych więźniów chyba traktowali przyzwoicie.

– Lepiej niż przyzwoicie.

– A z ciebie był kawał byka, na oko twardziel i w ogóle. Nie mógł wiedzieć, jaki jesteś totalnie, hmm, wredny. Na pewno miał nadzieję, że zechcesz się za nim ująć.

– Wredny. – Dziadek przez chwilę smakował to słowo.

Raczej go nie odrzucało, ale najwyraźniej nie marzył o tym, żeby jeszcze kiedyś zakosztować jego aromatu.

– Na pewno miał nadzieję się z tobą zaprzyjaźnić. Bo chyba potrzebował przyjaciela.

– Owszem – przytaknął dziadek. – Jedno i drugie.

Zamknął oczy i na chwilę jakby odleciał, a ja pomyślałem, że może to oznaczać koniec popołudniowej rozmowy. Dochodziła czwarta. Pielęgniarka z hospicjum miała przyjść o pół do piątej. Ale dziadek nagle pociemniał na twarzy i otworzył oczy. Była w nich bolesna jasność. Leki przestawały działać.

– W Wallkill za każde wykroczenie przedłużano wyrok. Za bójkę czy choćby awanturę z innym więźniem dodawano do odsiadki kupę czasu. Całe miesiące. Kilka miesięcy za jedno mordobicie. Gorsza była tylko próba ucieczki, tak zwany skok za górkę. A potem? Jeżeli ktoś wdał się w kolejną bójkę? Której raczej nie dałoby się uniknąć, gdybym się wplątał w coś na serio z takim wirachą jak Hub Gorman? Przenosili człowieka do Green Haven. Albo do Auburn. Do więzienia o zastrzonym rygorze. Trafiali tam sami najgorsi. To było więzienie do kwadratu. Mike, kiedy mnie zamknęli, twoja matka miała czternaście lat. Utknęła w Baltimore, a nie znała tam żywej duszy. Mieszkała z bilardowym szulerem i zrzedliwą staruchą. Musiała tam siedzieć, dopóki po nią nie przyjadę. A twoja babka...

– Wiem – powiedziałem. – Przepraszam. Nie robię ci wymówek. Hej, dziadku, przepraszam.

Patrzył w okno. *Mamzer* siedział na płocie, przodem do porośniętej pnączami pochyłości, a tyłem do karmnika. Ostentacyjnie zobojętniały lub zrezygnowany.

– Pora na twoją pigułkę.

– Nie chcę.

– Daj spokój. Naprawdę mi przykro, słyszysz? No przestań, powinieneś ją połknąć. Dziadku.

Jeszcze raz powtórzyłem „dziadku”, ale głosem Kłapouchego. A potem Dartha Vadera. Wciąż patrzył przez okno na wiewiórkę, która była dużo mniej uciążliwym towarzystwem niż jego własny wnuk.

– Czym chcesz ją popić? – spytałem.

Przetoczył głowę po poduszce w moją stronę.

– Zimnym piwem.

– Serio? Wolno ci?

Uniósł brew o jakieś pół centymetra. Tylko tyle, żeby milcząco spytać: „A co to, kurwa, za różnica?”

Poszedłem do kuchni, otworzyłem butelkę *Dos Equis* i nalałem do plastikowego kubka. Mieszkałem w Kalifornii od niedawna, więc meksykańskie piwo miało jeszcze dla mnie sporo uroku. Po namyśle przelałem zawartość kubka do prawdziwej wysokiej szklanki i dopełniłem ją aż po wrąbek, przechylając butelkę, żeby dziadek mógł popić tabletkę i nie nałykać się piany. Z niejaką ceremonią zaniósłem szklankę do pokoju gościnnego. Nie wiedzieć czemu bardzo chciałem popatrzeć, jak dziadek wypija parę łyków piwa.

Położył sobie *dilaudid* na omszałym języku i spłukał go tęgim *haustem dos equis*.

– Ale czad – pochwaliłem.

Zamknął oczy. Z ukontentowania twarz mu wyprzystojniała, a zarazem przybrała wyraz surowości.

– Mmm – mruknął.

– Dobre, co?

– Dobre.

– Wypij jeszcze trochę.

Znowu podałem mu piwo, a on pociągnął kolejny długi haust. Oddał mi szklanę.

– Dosyć – powiedział. – Dziękuję. Śmiało, skarbie, dokończ.

Usiadłem w fotelu i upiłem łyczek, patrząc, jak dziadek cmoka. Miał taką minę, jakby wielowarstwowa gorycz piwa została mu na języku niczym echo.

– Ach, ten Storch, co za *nudnik* – rzekł po chwili. – Musiałem chyba dostać szmergla.

XXVI

Więźniowie Wallkill wieczory przeważnie mieli wolne. W świetlicy był stół do ping-ponga, gry planszowe i monstrualna konsola z gramofonem i radiem. W trakcie odsiadki mojego dziadka doktor Wallack, czyli naczelnik, kupił z własnej kieszeni nowy telewizor Philco i kazał go postawić obok radia, żeby osadzeni mogli w każdy piątkowy wieczór oglądać walki. Z odnawianiem zapasu piłeczek pingpongowych nie nadążano za panującą wśród nich śmiertelnością, a na płytach gramofonowych nie wiedzieć czemu były głównie polki i teksty do nauki portugalskiego. Wiele gier planszowych miało już czwarty albo i piąty zestaw pionków, żetonów i kostek, które więźniowie podstawili zamiast oryginalnych lub sami zrobili ze szpulek, kapsli od butelek, z korków i gliny. Jakiś nostalgicznie lub ironicznie usposobiony kartograf przerysował całą planszę do Monopoly na płycie sosnowej sklejki, zastępując ulice Atlantic City ulicami Albany w stanie Nowy Jork i obniżając ceny wszystkich nieruchomości o połowę. Telewizor odbierał fatalnie, ale wielu widzów chętnie oglądało wszystko, co pojawiało się na ekranie – nawet wściekle zamiecie kropek i widmowe nokauty.

Niektórzy więźniowie, wyczerpawszy cały zasób cudów świetlicy, co wieczór po prostu zaszywali się w swoich celach. Wielu brało udział w spotkaniach kółka modlitewnego lub cotygodniowym studiowaniu Biblii. Większość prędzej czy później wybierała sobie jakieś hobby. Malowali akwarelami i farbami olejnymi. Rzeźbili drewniane wabiki w kształcie kaczek, majstrowali budki dla ptaków, wyginali z pasów blachy kółka do serwetek. Robili na tokarce nogi stołowe i mocowali je na złącza do blatów. W pozaregulaminowym czasie dbali o żywy inwentarz, zwłaszcza o konie. Dziadek naturalnie trafił do tak zwanego Baraku, w którym oprócz krótkofalówki Hallicrafters i ciemni fotograficznej był warsztat naprawy radiodbiorników.

Ludzie z okolicznych miasteczek i wsi przywozili radia do naprawy za cenę samych części. Odbiorniki padały ofiarą różnych ciekawych awarii i dawały się naprawiać satysfakcjonującymi wykonawcę sposobami. Wystarczyło mieć odpowiednią część zamienną i właściwe narzędzia, a potem drogą eliminacji ustalić przyczynę usterki. Dla dziadka była to w miarę skuteczna recepta na ukojenie. Kiedy leżał nocą na pryczy, nie mogąc zmrużyć oka, własne problemy wydawały mu się zupełnie amorficzne. Za to w snach mnożyły się w nieskończoność jak obrazy z wzajemnie przeglądających się w sobie luster. Ale w warsztacie radiotechnicznym, w trzewiach magnavoxu, każdy problem można było namierzyć, wytropić, uchwycić. Usuwało się go wacikiem, uplecionym z miedzianych drucików przewodem albo kroplą cyny. A dziadek zawsze uwielbiał cukrowy zapach dymu, który unosił się nad rozgrzanym koniuszkiem lutownicy.

Nawet gdy w Baraku zjawiał się doktor Storch, dziadkowi łatwiej było z nim sobie poradzić lub wręcz go zignorować. Dentysta wkładał słuchawki i godzinami przesiadywał w kącie przed hallicraftersem. Słuchał wiadomości brazylijskiego Rádio Nacional, Radia Moskwa i Deutsche Welle. Śledził pogaduszki oraz techniczne raporty gwiazdnych gapiów i obserwatorów pogody z całego świata, zwerbowanych do zapisywania i nadsyłania spostrzeżeń podczas trwającego właśnie Międzynarodowego Roku Geofizycznego. Doktor Storch zatracił się we wzajemnie przeplatających się transmisjach miliona samotnych amatorów, którzy nawoływali się wśród nocy.

Pierwszego piątkowego wieczoru w pierwszym więziennym październiku mojego dziadka do Baraku zaszedł Hub Gorman. Zazwyczaj nie był to jego rewir, a dziadek od razu wyczuł, że tamten ma ochotę narozrabiać. Gorman przystanął w drzwiach. Kiwnął głową dziadkowi. Jego krótko ostrzyżona czaszka była wgnieciona z boku, jakby dostał w nią kiedyś rogiem deski. W szczelinach między brwiami a kośćmi policzkowymi połyskiwały oczy jak zagubione wśród poduszek kanapy miedziaki. Dostrzegł w kącie doktora Storcha zwróconego

plecami do drzwi i do zadymy, która właśnie nimi wlała.

Gorman ruszył przez pokój z wystudiowaną powolnością. Prawie nigdy zresztą się nie spieszył. Tak samo niespiesznie skręcał papierosa, jak wstawał z krzesła, dokończył miskę chili con carne czy oblizywał łyżkę. Kiedy strażnik wydawał mu polecenie, Gorman wpadał w zadumę. Jego powolność była poniekąd formą niesubordynacji przejawiającej się jako obojętność. Kryła się w niej jednak drapieżność. Był jak grzejący się w słońcu na skale aligator.

– Gorman – powiedział dziadek. – Chono zobacz.

Tamten się zatrzymał. Od doktora Storcha dzieliło go niewiele ponad pół metra. Strzelił knykциями. Zabrzmiało to jak seria fajerwerków. Obrócił się z pokazowym jak zawsze brakiem pośpiechu.

Dziadek uniósł jaskrawe złoto-czerwone pudełko po dwóch tuzinach cygar Romeo y Julieta.

– Nie jaram – oświadczył Gorman. Wskazał sękatym palcem swoje usta. – Żuję gumę.

– To nie cygara.

Szczeliny między policzkami a brwiami Gormana jeszcze bardziej się zwężyły. Podszedł do warsztatu radiotechników.

– Nie ściągaj go tu, palancie – powiedział inny więzień, który podczas wojny był radiotelegrafistą na „Abrahamie Lincolnie”. – Co cię wzrusza, że chce dopierdolić hitlerowcowi?

– A co? – spytał Gorman. Wzdłuż kontynentu jego lewej ręki jakiś żupacki tatuażysta nakreślił mapę krwawego przemarszu Dziesiątej Dywizji Piechoty Morskiej przez japońskie imperium, rysując wszystkie po kolei zielonkawoczarne wyspy, miesiąc za miesiącem, rok za rokiem. Na barku wznosiła się chmura w kształcie grzyba z napisem „Nagasaki”, bo właśnie tam dziesiąta patrolowała powojenne popielisko.

– To radio. Z pudełka po cygarach.

Dziadek zrobił je w jeden wieczór, a skończył zaledwie parę minut przed pojawieniem się Gormana w Baraku. Chciał je podarować wnukowi naczelnika, Theodore’owi, podczas jego najbliższej wizyty. Chłopiec interesował się nauką. Był

inteligentny, otwarty i wcale nie onieśmiewało go więzienie, jego mieszkańcy ani dziadek naczelnik. Stęsknieni za swoimi dziećmi więźniowie upatrzyli w nim sobie pupila. Obsypywali go wieżami Eiffla z zapalek i sportowymi samochodami z puszek.

Dziadek podał pudełko po cygarach Gormanowi, który zważył je w rękę.

– Ciężkie – stwierdził.

– Na baterię do latarki.

Dziadek podniósł wieczko, żeby pokazać Gormanowi, gdzie wśród kondensatorów i drutów tkwi bateria. Wyjął wiszącą na plecach szarym kablu słuchawkę, a Gorman przytknął ją sobie do łańdów i załamek zniekształconego prawego ucha. Dziadek objaśnił mu, jak radio włącza się i stroi. Tamten zażyczył sobie „kościelnej stacji” i dziadek spełnił jego prośbę. Gorman wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Ale numer – powiedział. – Radio w pudełku po cygarach. Ja pierdolę.

Wbrew nadziei dziadka nie oszczędził jednak, żeby się zająć nową zabawką. Znalazł wolny taboret i usiadł na nim, słuchając radiowego kaznodziei. Wpatrywał się w potylicę doktora Storcha, podczas gdy ukryty w jego rozkwaszonym uchu świerszcz straszyl potępieniem. I nagle bez żadnego wyraźnego bodźca ani sygnału Gorman wstał, odjął od ucha słuchawkę, owinał sobie kabelek wokół trzech palców, włożył go do pudełka po cygarach i odstawił je na taboret. Drzemiący w nim zwierz dojrzał do tego, żeby się posilić.

Gorman wolno ruszył w stronę kąta, w którym stała krótkofalówka. Dziadek otworzył usta, zamierzając ostrzec doktora Storcha, temu jednak właśnie wtedy napięły się mięśnie barków. Obrócił się twarzą ku pochylonemu nad nim dręczycielowi i wbił spojrzenie w uwieczniony na grzbiecie nadgarstka Guadalcanal. Gorman przykucnęła obok dentysty i położył mu łapsko na kościstych ramionach. Zbliżył usta do jego ucha. Poruszył wargami. Długo klarował coś doktorowi Storchowi, co kilka minut poprawiając uchwyt dłoni, którą trzymał go za ramię. Mówił cicho, więc treść kazania jeszcze

trzydzieści lat później pozostawała dla dziadka tajemnicą. Kiedy już je wygłosił, pozwolił, żeby Storch zrzucił jarzmo jego ręki. Wyprostował się i z duszpasterskim uśmiechem spojrzął z góry na dentystę.

– Zgoda? – spytał, teraz już głośniej. – Pasuje ci to?

Storch płakał. Ze słuchawek hallicraftersa sączył się skowyt jonosfery.

– Alfred? Nie słyszę cię.

– A jakbyś tak dla odmiany dał spokój biednemu łajzie? – powiedział dziadek.

Podbródek Gorman, a w ślad za nim usta zmierzały z powrotem w okolice lewego ucha Storcha. Słowa dziadka dopiero po dłuższej chwili wywarły wrażenie. Gorman obrócił się przodem do niego, stając w całej okazałości. Był wyższy od dziadka o jakieś osiem, może nawet dziesięć centymetrów. W zakłębnięciu twarzy jego oczka migotały jak bilon. Z wytrenowaną starannością przejrzał w pamięci zasób informacji o dziadku. Przyklejony uśmiech spełził mu z twarzy. Dziadek już nigdy więcej go nie zobaczył. Gorman podniósł dłonie, układając je w podwójną gardę tuż pod brodą. Poruszył kciukami.

– A jakbym ci tak, kurwa, wsadził te paluchy prosto w gały? I kazał Alfredowi zlizać z nich galaretę? – zapytał. Wyglądało na to, że pomysł naprawdę go nęci. – A później mogę wyruchać obie krwawe dziury w twojej czaszce.

Dziadek wbrew podszeptowi rozsądku spojrzął przelotnie na Storcha, który przestał płakać, ale miał ogniecie czerwone policzki. Zaparowały mu okulary, lecz przez tę mgłę i tak było widać, że dentysta spodziewa się po dziadku – wręcz pragnie – jakiejś interwencji, wstawiennictwa, wkroczenia do boju. Potrzebował jego przyjaźni.

Dziadek utkwiał wzrok w jaskrawych etykietkach na pudełkach z lampami radiowymi, które stały rzędem na półce pod ścianą, i policzył do dziesięciu – najpierw po angielsku, później po niemiecku i wreszcie w jidysz. Nawet gdyby wyszedł żywy ze starcia z Hubem Gormanem (co wcale nie było pewne), mógłby

sobie przez to przedłużyć odsiadkę o kilka miesięcy, jeżeli nie lat. Mogliby go przenieść z Wallkill do dużo cięższego więzienia, gdzie walki były rzeźniczkowe, a wyroki długie. Storch i tak pozostałby nieszczęsnym nudnikiem, niegdysiejszym dentystą, a moja matka i babka musiałyby dalej borykać się z życiem, zagubione i samotne.

Gorman wziął pudełko po cygarach, wyjął słuchawkę i przytknął ją sobie z powrotem do ucha. Poruszył gałką do wybierania stacji i zatrzymał ją przy czymś, co brzmiało jak skoczny blues z perkusją szurającą na cztery czwarte. Przez chwilę kiwał głową w rytm muzyki, a potem mrugnął do dziadka.

– Radio w pudełku po cygarach – powiedział. – Ja pierdole.

Tamtej nocy krótkofalówki roziskrzyła wiadomość, że Związek Radziecki za pomocą rakiety wystrzelił na orbitę okołozemską Sputnika – pierwszego sztucznego satelitę. Co trzy dziesiąte sekundy nadawał on sygnał o częstotliwości dwudziestu megaherców na przemian z drugim, o częstotliwości czterdziestu herców. Radioamatorzy i krótkofalowcy na całym świecie mogli złapać te dźwięki i posłuchać czegoś, co wielu uznało za głos samej przyszłości.

Doktor Storch nie usłyszał tych sygnałów, a dziadek dowiedział się o wystrzeleniu Sputnika dopiero nazajutrz. Zaraz po wyjściu Gormana dentysta odwiesił słuchawki na kołek w ścianie, wstał z obrotowego krzesła i wyszedł z Baraku, nie spojrzawszy na dziadka. Po powrocie do celi połknął pięćdziesiąt dwie tabletki aspiryny, które pracowicie gromadził od lat, symulując chroniczne bóle głowy.

W nocy zbudził dziadka dziwny zgrzyt: jakby ktoś obracał kluczyk w stacyjce, chociaż silnik już uruchomiono. A to tylko doktor Storch wymiotował. Dziadek starał się nie zwracać na niego uwagi, ale niedługo wytrzymał, chociaż miał wrażenie, że trwa to wieki. Wstał i przeszedł do celi Storcha; w drzwiach zatoczył się od zjełczałego odoru niestrawionej aspiryny. Dentysta leżał, przytomny, i wydawał odgłosy, które plasowały się gdzieś pomiędzy cichym rytmicznym jękiem uporczywie pulsującego bólu a westchnieniem nieznośnego żalu.

– Mniejsza o to – powiedział, chociaż był zupełnie skołowany i raczej nie poznał, że to właśnie dziadek chwyta go pod pachy, wyciąga na korytarz i wszczyna alarm. – Mniejsza o to, mniejsza o to.

Kiedy służba medyczna przyszła z noszami i zataszczyła doktora Storcha do więziennej karetki pogotowia, dziadek wziął wiadro z mopem i posprzątał bałagan w celi dentysty najstaranniej, jak potrafił, żeby nadawała się do zamieszkania, gdy doktor Storch wróci. Po kilkudniowym pobycie w szpitalu miano go przywieźć z powrotem do Wallkill, gdzie utrapienie z Gormanem zaczęłoby się od nowa, tylko jeszcze gorsze. Gormana zagrzewałoby do czynu to, że o mało nie osiągnął celu, a Storch byłby jeszcze bardziej bezbronny niż przedtem.

Dziadek umył się, oczyścił ubranie i wrócił do własnej celi. Przeleżał na pryczy wiele godzin, usiłując myśleć wyłącznie o swojej rodzinie i o dzielącym go od kresu rozłąki czasie, z którego codziennie ubywał większy procent niż dzień wcześniej. Podkreślił projektor Zeissa w swojej czaszce i zaczął pilnie wypatrywać Kasjopei i Andromedy, które sunęły po wytyczonych szlakach – a także Cefeusza, ich męża i ojca. „To ty – powiedział sobie. – Jesteś Cefeuszem, a nie Perseuszem. Żaden z ciebie heros. Nie masz obowiązku nikogo ratować”. Lecz tamtej nocy nie udało mu się dłużej przeciągnąć pokazu w planetarium. Z reflektora na słupie za oknem wpadało za dużo światła. W powietrzu wisiał jeszcze odór wymiocin.

Storch miał spędzić na obserwacji w szpitalu okręgowym cztery dni. W pierwszym dniu jego nieobecności dziadek powiedział nadzorcy brygady porządkowej, że potrzebuje kawałka drutu ogrodzeniowego, żeby naprawić antenę radia („japońskiej tandety”), które przyniesiono do warsztatu. Zdobył przedtem zaufanie strażników, choć zrobił to w celu akurat odwrotnym niż ten, w którym przedłożył tę prośbę. Uwierzono mu. Po wejściu do komórki z narzędziami napełnił podwinięte mankiety spodni środkiem chwastobójczym. Zauważył kiedyś, że brygada porządkowa rozpuszcza ten krystaliczny biały proszek w wodzie i smaruje nim pieńki po ściętych drzewach na skraju łąki.

Nazywano go „katem pieńków”, bo tak je rozmięczał, że rozpadały się od zwykłego deszczu. Czynnym składnikiem był azotan potasu, czyli po prostu sztuczny nawóz.

Drugi i trzeci dzień nieobecności Storcha dziadek poświęcił na zdobycie odpowiedniej ilości cukru. Było to trudniejsze zadanie. Kuchnia skąpo racjonowała cukier, bo można było z niego pędzić bimber. Kostki liczone, a potem wydzielano po dwie na więźnia do każdego posiłku, podając je szczypcami. Dziadek musiałby je gromadzić przez wiele tygodni. Wymyślił inny sposób – głupi, niebezpieczny i bezwstydnym, ale skuteczny. Zresztą bezwstyd już nieraz okazał się brakującym elementem wielu skądinąd błyskotliwych planów.

W ustnych lub pisemnych wypowiedziach o naczelniku więzienia w Wallkill, doktorze Walterze M. Wallacku, często padało słowo „niezmordowany”. Dla każdego problemu, który wyłaniał się w więziennym życiu i zarządzaniu, naczelnik znajdował trzy możliwe rozwiązania. Był stale w ruchu. Nigdy nie widziano, żeby siedział. Przychodził do pracy wcześniej, a wychodził późno. Owo niezmordowanie było zapewne po części wrodzone, a może nawet wynikało z jego moralnej natury (był wszak dobrym człowiekiem), nie bez znaczenia wydaje się jednak to, że opijał się czarną kawą z cukrem, pochłaniając – wedle różnych wersji tej samej legendy – piętnaście do dwudziestu filiżanek dziennie. Na najwyższej półce niedużego regału z książkami, który stał przy drzwiach, trzymał maszynkę do kawy, a na jednej z niższych półek obfity zapas cukru.

Drugiego dnia dziadek zjadł śniadanie, zajrzał do kuchni i wyprosił od jednego z kucharzy pudełko po kwakerskich płatkach owsianych. Wieczorem poszedł do Baraku i skonstruował w tej tekturowej rurze radio. Gałkę do strojenia umieścił w literze „Q”, a potencjometr w „O”. Z jakiegoś zezłomowanego odbiornika wymontował głośnik i wstawił go w tekturową przykrywkę, w której przedtem wyciął otworki. Nazajutrz pozwolono mu zanieść radio Wallackowi do gabinetu.

Zastał naczelnika za biurkiem, jak zwykle w pozycji stojącej. W gabinecie był ładny fotel obrotowy ze skórzaną tapicerką, ale

naczelnik prawie nigdy na nim nie siadał. Wolał stać, a kiedy musiał coś zapisać w notesie, kładł go na wierzchu sekretarzyka. Na pustym blacie biurka trzymał tylko telefon, dziennik aresztowań i niezdarnie sklejoną z papieru raketę wysokości około trzydziestu centymetrów, wyraźnie, choć może bezwiednie wzorowaną na V-2.

– Bardzo miło z pańskiej strony – rzekł, biorąc radio od dziadka.
– Zręczna robota. Theo na pewno się ucieszy.

Dziadek objaśnił naczelnikowi sposób posługiwania się radiem i radził mu podejść do okna, bo tam powinien być lepszy odbiór. Doktor Wallack posłuchał rady i zaczął kręcić gałkami. Znalazł Mozarta. A potem Eddiego Fishera. Gdy tak stał tyłem do pokoju, dziadek pochylił się i z półki pod maszynką do kawy ściągnął jedną z kilkunastu nienapoczętych paczek cukru w kostkach. Drugą ręką złapał się za kołnierz i szarpnął nim do tyłu, po czym wpuścił sobie pudełko pod koszulę na plecach.

Kiedy doktor Wallack się odwrócił, dziadek przez chwilę nie wiedział, gdzie oczy podziąć, więc spojrzał na raketę. Troskliwe, lecz niezręczne palce wycięły z tekturki stateczniki, głowicę i powierzchnię kadłuba, a następnie przykleiły je do rolki od papierowych ręczników. Całość oblepiona była zaschniętymi glutami kleju roślinnego i wysmarowana czerwoną, białą i niebieską farbą, ale rakietą miała niezłe proporcje. Narysowano na niej amerykańską flagę i dwadzieścia parę razy wzdłuż i wszerz modelu nabazgrano litery U.S.A.

– Robota Theo – wyjaśnił doktor Wallack.

– Tak też myślałem.

– Zbikował na punkcie kosmosu, jak zresztą wszyscy chłopcy po starcie Sputnika. Buduje rakiety. Chce je puszczać na Księżyc! Kombinuje, co by tu zrobić, żeby naprawdę latały.

– Ciekawe zagadnienie – rzekł dziadek. – Zastanowię się nad nim.

„Wystarczyłaby odrobina cukru” – pomyślał mimochodem.

Wyszedł tyłem z pokoju, przemknął chyłkiem obok sekretarki naczelnika i pospieszył do swojej celi schować cukier.

Trzeciej nocy, już po zgaszeniu świateł, dziadek usiadł na

pryczy; pod ręką miał taśmę klejącą, drut, baterię do latarki i bebechy starego zegara wydobyte ze sterty złomu w Baraku. Pracując przy ostrym świetle reflektorów zza okna, rozgniół kostki cukru na proszek i domieszał do nich KNO₃, jak najszczelniej wypełniając pudełko tak zwanym cuksem. Po godzinie cierpliwej pracy uzyskał kombinację drutu, baterii, cukru i czasu, która wyglądała całkiem przekonująco, a zarazem była ściśle NUR ZU DEMONSTRATIONSZWECKEN. Nie był wprawdzie pewien, czy ktokolwiek uwierzy, że Hub Gorman umiał zmontować choćby tak prościutką bombę, ale też wcale nie wydawało się oczywiste, że ta wątpliwość ma jakieś znaczenie. Dziadek zamierzał dać cynk strażnikom, a wtedy sama obecność bomby w celi Gormana powinna wystarczyć, żeby go przeniesiono z Wallkill do Green Haven, Auburn czy innego odpowiedniego dlań zakładu. Hub Gorman wyraźnie nie pasował do więzienia, które miało pasiekę, mleczarnię, kompletne wydanie *Encyclopaedia Britannica* i powiększalnik do zdjęć.

XXVII

Karetka przywiozła doktora Storcha z powrotem do więzienia we wtorek dziesiątego października. Kiedy dziadek usłyszał o tym po wieczornym zarcu, poszedł do Baraku i zajrzał przez uchylone drzwi. Dentysta siedział przy S-38, błyskając okularami, a jego twarz w półksiężycowym blasku tarcz wskaźnikowych radia była wynędzniała i sina jak u Chrystusa z obrazu El Greca. Na głowie miał słuchawki, a gałką kręcił z nadzwyczaj subtelną precyzją, jakby spośród chorału megaherców chciał wyłowić jeden jedyny głos. Dziadka zapiekły oczy, a mięśnie klatki piersiowej zacisnęły się jak pięść wokół serca. Wiadomość, że dentysta wyjdzie żywy z próby samobójczej, przyjął z ogromną ulgą. Nowina o losie Huba Gormana zakłóciła miły nastrój zmarszczką niepokoju. Teraz jednak na widok wychudłej, cierpiętniczej twarzy doktora Storcha dziadek poczuł jedynie wstyd. Powinien był od razu ująć się za tym biednym łajzą. Wyszedł z Baraku, wrócił do swojej celi i odtąd już tylko czekał, aż zgasną światła.

Obudził go czyjś chłodny dotyk: długie suche palce ciągnęły go za nadgarstek.

– Cśśś.

Usiadł i spojrzął w okno. Przy zalewającym dziedziniec świetle reflektorów nigdy nie było łatwo odgadnąć, jaka to pora nocy. Powiedzmy, godzina do świtu. Doktor Storch skrzywił się na znak, że przykro mu budzić dziadka. Uniósł dłonie i kilka razy pchnął nimi powietrze, jakby mówił: „Wiem, wiem, ale proszę mi zaufać”. Wskazał ręką drzwi celi, a potem sufit. Chciał zaprowadzić dziadka na dach.

Wizyta na dachu tego akurat bloku była wyczynem, który więźniowie Wallkill często omawiali. Stanowiła przedmiot dyskusji. Z reguły zgadzano się, że sprawa powinna się udać, ale nikt z ówczesnego składu nie chciał (albo nie mógł) powiedzieć,

że kiedyś tego rzeczywiście dokonał. Spora mniejszość twierdziła, jakoby prowadzące na dach przejście było legendą zrodzoną z celowej dezinformacji, pułapką zastawioną przez jakiegoś strażnika bez skrupułów, który chciał skłonić nieostrożnych więźniów do złamania przepisów. Zwolennicy tej teorii utrzymywali, że strażnicy dostają premię, ilekroć przyłapią osadzonego na próbie ucieczki.

Dziadek wciągnął koszulę i spodnie, po czym zaczął wkładać buty. Storch pokręcił głową. Wyszli na korytarz. Stąpali cicho, idąc w rozkroku, żeby nie zdradził ich szelest uszytych z diagonalu nogawek. Skręcili w inny korytarz i dotarli do jego końca, mijając drzwi cel. Napotkali tam ślepą ścianę z cegieł, szeroką mniej więcej na półtora metra.

Doktor Storch ukucnął u jej podstawy. Uniósł rękę na wysokość talii. Dziadek nie widział po ciemku, co dentysta wydobyl z ukrycia, później jednak się okazało, że w pasku spodni zaszyte miał dwa grube spinacze, które wyprostował, pozostawiając na końcu każdego tylko jedno zgięcie. Powstałe w ten sposób haczyki wsunął w szczelinę między ścianą a podłogą w odstępnie niecałego metra. Wstrzymał oddech, a przy wydechu podniósł dolną część ściany, jednocześnie pociągając ją w swoją stronę. Była to drewniana płyta na zawiasach, z taką precyzją oklejona wyciętymi z cegieł tafelkami, że szpary między nimi płynnie przedłużały linie zaprawy spajającej prawdziwe cegły. Ukryty za płytą prostokątny otwór o równych jej wymiarach prowadził do szybu wentylacyjnego. Dziadek wydedukował potem, że dawniej otwór zasłaniała krata, ale jakiś sprytny więzień zastąpił ją płytą, która dzięki kamuflażowi z plasterków cegieł niczym nie różniła się od reszty ściany.

Doktor Storch usiadł na podłodze i wsunął nogi w otwór, a potem cały się tam wślizgnął. Dziadek usłyszał zgrzyt metalu, a po chwili drugi. Pauza, znowu zgrzyt i kolejna pauza: dźwięki tworzyły znajomą kadencję, jakby ktoś wlaził po drabinie. Dziadek się zawahał. W ciągu ostatniego tygodnia zbyt wiele razy podjął szalone ryzyko. Wiedział, że jeśli pójdzie za Storchem, będzie to kuszenie losu. Gdyby eskapada źle się skończyła,

musiałby przyznać po fakcie, że sam się prosił o wpadkę. Miał już dość dużo na sumieniu, aby widzieć sprawę w ten sposób.

Zapach w szybie wentylacyjnym przywodził na myśl smak świeżej plomby. Dziadek złapał za pierwszy szczebel i podciągnął się w ciemnościach. Szczebile – zapewne dzieło tego samego zdolnego inżyniera – zrobiono ze sprężyn resorów, najprawdopodobniej podkradzionych z więziennego warsztatu mechanicznego. Nieznany konstruktor wcisnął każdą sprężynę między dwa grube drewniane klocki wsunięte w kawałki opon, a następnie pozwolił jej rozprężyć się w poprzek szybu. Dzięki własnemu naciskowi i gumowym bieźnikom sprężyny mocno tkwiły tuż przy tylnej ścianie, pozostawiając akurat tyle miejsca, że dorosły mężczyzna ledwie mógł się przemieszczać w pionie. Niecałe trzy minuty po rozpoczęciu wspinaczki dziadek i doktor Storch stanęli na dachu. Noc była pogodna, gwiazdzista. Z podwórka za domem jakiegoś szczęściarza, który nie trafił do więzienia, niósł się przenikliwy zapach dymu z palonych liści.

– Po której stronie? – niemal szeptem spytał dziadek, który zdążył już się domyślić, co doktor Storch chce mu pokazać.

– Na północnym wschodzie – odszepnął dentysta. – I to chyba lada chwila. Przez całą noc na bieżąco słuchałem raportów.

Przewidując, że któreś państwo – USA lub Rosja – zdoła prędzej czy później umieścić na orbicie satelitę, niejaki Fred Whipple (astronom z Harvardu, a zarazem znany wielbiciel fantastyki naukowej) skorzystał z rozgłosu wokół Międzynarodowego Roku Geofizycznego, aby zorganizować siatkę amatorów porozumiewających się za pomocą krótkofalówek. Na wieść o wystrzeleniu Sputnika skrzyknęli się oni w całym kraju i odtąd co noc wychodzili obserwować niebo i nadawali komunikaty z dokładnymi współrzędnymi satelity w rozmaitych porach.

Stali w chłodzie i mroku. W oddali migotały światła jakiegoś miasta. Dziadek zwrócił twarz ku bezkresowi nieba, przechylając głowę do tyłu, aż go rozboleł kark.

– Podobno był jakiś wybuch – rzekł Storch.

– Diabelnie potężny.

– Pędził bimber?

– Tak się przypuszcza.

Z cuksowej bomby w celi Gormana nie zostało nic a nic, a z samego pomieszczenia i jego lokatora niewiele więcej. Próbowano wszcząć dochodzenie, lecz pierwsi strażnicy, którzy przybiegli na miejsce zwabieni hukiem, zostawili tyle śladów, że nie dało się wysnuć żadnych wyraźnych wniosków. Dziadek też nie bardzo rozumiał, co się stało, ale skłonny był złożyć wybuch na karb jakiejś nieprzewidzianej interakcji między mechanizmem zegarowym w opakowaniu po płatkach owsianych a radiem w pudełku od cygar.

– Przyjacielu – ochrypłym ze wzruszenia głosem powiedział Niemiec. – Czy to pan...?

– Tylko bardzo pośrednio – odparł dziadek. Opowiedział doktorowi Storchowi o cukrze i KNO_3 , po czym wyłożył mu swoją teorię na temat radia jako zapalnika, chociaż – jak wytknął mu dentysta – miała ona wątplę podstawy.

– Upatrywałbym przyczyny raczej w jakimś wyładowaniu elektrostatycznym – powiedział doktor Storch. – Mógł je spowodować wełniany koc Gormana. O tej porze roku powietrze jest bardzo suche. Z pewnością pan zauważył, że kiedy po ciemku dotyka się ręką pościeli, lecą iskry.

– Ciekawe spostrzeżenie – przyznał dziadek.

– Jest jeszcze coś, co może pana zaciekawić. Pragnę wyjaśnić, że nie siedzę tu za uprawianie zawodu dentysty bez upoważnienia – ciągnął doktor Storch. – Doszedłem do wniosku, że powinien pan się o tym dowiedzieć. Nigdy nikomu tego nie wyznałem. A już na pewno nie Hubowi Gormanowi.

Dziadek czekał.

– Trafiłem tu, bo pewnego dnia usiadł na moim fotelu pewien chłopczyk, milutki, dobrze wychowany dwunastolatek Walter Onderdonk. I z niepojętych dla mnie powodów popełniłem błąd przy podawaniu gazu. Wielki błąd. Potworny błąd. – Doktor Storch cichutko się rozpląkał. A chociaż był to Niemiec, *nudnik* i wrzód na dupie, dziadek objął ręką biednego łajzę.

– O – powiedział doktor Storch.

Wskazał palcem wschód. Dziadkowi serce skoczyło w piersi.

Jakaś gwiazda wyrwała się raptem ze swojej konstelacji i potoczyła po niebie. Spadała, ale nie była spadającą gwiazdą. Nie zapłonęła i nie zgasła, pozostawiając na siatkówkach rozjarzony widmowy ślad. Wciąż tylko spadała, spadała i spadała, aż zniknęła za krzywizną Ziemi. Była niewolnicą grawitacji, tak jak wszystko w kosmosie. Promień jej orbity miał się stopniowo skracać. Sądzono jej było lecieć coraz ciaśniejszą spiralą, aż uderzy w atmosferę, spłonie i się rozpadnie, tak że zostanie z niej jedynie para wodna i wspomnienie, które z czasem też zresztą rozwieje się jak obłok pary. Lecz gdy dziadek potajemnie śledził z dachu więzienia Wallkill przelot tej świetlistej bryły metalu, jej trajektoria zdawała się kreślić wiekuisty łuk wolności.

– O rany – westchnął. – Co za widok.

– Sputnik! – z dziecięcą radością rzekł doktor Storch.

Dziadek miał ochotę go poprawić. Nie widzieli samego satelity, był bowiem za mały, żeby gołe oko mogło go wypatrzeć. Zobaczyli jedynie fragment rakiety, która wyniosła Sputnika na orbitę, połyskujący w promieniach słońca tuż przed wschodem. Dziadek postanowił jednak tym razem się nie mądrzyć.

– Dziękuję – powiedział tylko. – Dziękuję, Storch, że mnie pan tu przyprowadził.

– Bardzo proszę – odparł dentysta. – Chciałem zrobić chociaż tyle.

Spód nieba zmatowiał pod muśnięciem błękitnego pióra jak lustro od ludzkiego oddechu. Pora była wracać do cel. Żaden jednak nie ruszył się z miejsca. Stali w ciemnościach na dachu. „Chcę to jeszcze raz zobaczyć” – pomyślał dziadek.

– No... – zaczęła doktor Storch. – A może by... no to co zrobimy?

Dziadek stwierdził ze zdziwieniem, że ma gotową odpowiedź, i to właśnie taką, chociaż natychmiast zdał sobie sprawę, że filtrowała mu się w głowie od dnia, gdy zwędził cukier z gabinetu doktora Wallacka.

– Może byśmy sobie zbudowali raketę? – zaproponował.

XXVIII

Nigdy nie poznałem swojego drugiego dziadka. Pewnego popołudnia może z miesiąc przed moim narodzeniem zasiadł ze swoim bratem Samem Chabonem – moim stryjecznym dziadkiem – do cotygodniowego lunchu w śródmiejskiej garmażerii, w której na każdym stoliku zamiast maselniczki stała faska smalcu. Kiedy dojedli kanapki z wędzoną wołowiną, mój drugi dziadek odprowadził Sammy’ego do jego biura na trzecim piętrze Lincoln Building, czyli o parę przecznic dalej. Jeden z dostawców właśnie przywiózł Sammy’emu kolejny prototyp – działający model atomowej łodzi podwodnej Nautilus, który firma zamierzała rzucić na rynek przed Gwiazdką. Sammy stwierdził, że to istne чудо. Łódź miała czynne zbiorniki wyrównawcze, napełniane i opróżniane za pomocą kieszonkowego miecha o kolistym przekroju i kawałka plastikowej rurki. Do gabinetu przytaszczono dużą balię i napełniono ją wodą. Komiwojażerowie bawili się przy niej od rana. Mój drugi dziadek aż się palił, żeby też spróbować.

Akurat tamtego dnia w windach obsługujących kilka dolnych pięter Lincoln Building przeprowadzano konserwację. Żaden z braci nie odznaczał się cierpliwością. Ruszyli po schodach. Sammy wszedł na drugie piętro i właśnie skręcił na podest, kiedy usłyszał, że o pół piętra niżej jego brat cmoknął i westchnął jakby z przelotnym żalem. Posłano po karetkę, lecz mój drugi dziadek umarł w drodze do szpitala.

Gdy od jego śmierci minęły trzy tygodnie, moja matka zaczęła rodzić. Miała dwadzieścia lat i szybko się uwinęła. Osiem dni później oddałem napletek w zamian za hebrajskie imię po nieboszczyku. Drugi dziadek zapisał mi się w niepamięci jako człowiek-piłka – różowy, gumowy i okrągły. Policzki i łysina błyszczą mu jak wysmarowane tłuszczem.

Drugi dziadek przez całe życie był drukarzem i zecerem.

W latach trzydziestych pracował w drukarni plakatów filmowych. W tym samym budynku pofabrycznym na West Side mieściła się firma handlująca tanimi gadżetami i akcesoriami dla psotników. Pewnego dnia dziadek zasłyszał przypadkiem, że zwolnił się w niej etat komiwojażera. Przekazał wiadomość młodszemu bratu, który potem dostał tę posadę.

Sammy Chabon ruszył w objazd, sprzedając cebulową gumę do zucia, czarne mydło i tryskające tuszem kwiatki do butonierek. Z natury dobrotliwy, miał jednak w sobie żyłkę okrucieństwa, więc niczym opasły kuchmistrz czerpał przyjemność z tego, że rozprowadza właśnie takie towary. Ale we wczesnych latach pięćdziesiątych jego kariera utknęła w miejscu. Rzadziej dostawał podwyżki. Pomijano go w awansach. Jego pomysły ignorowano albo kradziono. Szedł przez życie, próbując kręcić gałkami przy drzwiach zamkniętych na klucz. Aż wreszcie trafił na gałkę, która się obróciła.

W deszczowe popołudnie w pewien piątek 1954 roku nawiązał w knajpie Jacka Dempseya rozmowę z sąsiadem przy barze. Tamten podobnie jak stryj Sammy popijał Toma Collinsa. U jego stóp stała w kałuży deszczówki drewniana kasetka z próbkami towarów, która równie dobrze mogła zawierać przyrządy laboratoryjne, jak kieliszki i szklanki dla szczególnie wybrednych klientów. Sąsiad okazał się chemikiem z firmy Corning. W wolnych chwilach wynalazł metodę produkcji atrap kości z jednego z nowych tworzyw, które podówczas rewolucjonizowały wszystkie dziedziny życia – między innymi branżę tanich gadżetów, pozwalały bowiem wykonywać ogromnie przekonujące gagi za pomocą takich rekwizytów, jak sztuczne rzygi czy mucha w kostce lodu. Chemik pokazał dziadkowi, co ma w kasetce. Postawił ją pionowo na barze i otworzył jak książkę. W wyściełanych zagłębieniach po lewej stronie tkwiła ludzka żuchwa, kość udowa, dwa żebra, pięć kręgów i rzepka, wszystkie naturalnej wielkości, odlane z plastiku. Po prawej był kompletny plastikowy model ludzkiego szkieletu w skali jeden do czterech i druczony stelaż do wystawiania eksponatu.

Sammy'ego urzekł model szkieletu powieszony za kilkucentymetrową czaszkę na haczyku drucianego stelażu. Mój stryjeczny dziadek ucisnął kościotrupowi dłoń. Chwycił go za nogę i kopnął nią wisienkę z koktajlu maraschino, aż potoczyła się po blacie. Poruszał też jego żuchwą, mówiąc głosem Señora Wencesa.

– Ile panu płacą za takie coś? – spytał faceta od sztucznych kości. – Strasznie mi się to podoba.

Facet od sztucznych kości był zaskoczony i chyba trochę urażony. Jego wyrób miał służyć do poważnych celów. Pomyślany został jako pomoc naukowa dla studentów medycyny i do szkolnych pracowni biologicznych. Realistyczne i precyzyjne narzędzie w służbie nauki.

– Pan chyba czegoś nie rozumie – rzekł chemik. – To jest tylko model do celów demonstracyjnych. Pomniejszyłem go, żeby się zmieścił w kasetce.

– To pan nie rozumie – odparł Sammy, który umiał na pierwszy rzut oka rozpoznać udany gadżet. – Jak go pan zmniejszy jeszcze o pięć centymetrów, zamówię pięć tysięcy sztuk.

Po dwóch latach prowadził swoje główne biuro w Lincoln Building i zgarniał ponad dwa miliony dolarów rocznie. Postawił na naukę i walory poznawcze. Handlował gadżetami, które przynajmniej w założeniu miały przygotowywać amerykańską młodzież do radzenia sobie z wyzwaniem zimnowojennej przyszłości. Na liście jego wyrobów był tunel aerodynamiczny dla papierowych samolocików i kieszonkowy peryskop, jednak wciąż najlepiej sprzedawał się wierny model szkieletu, reklamowany w czasopiśmie o ogólnokrajowym zasięgu („Oczywiście każdy musi powiesić sobie taki w szafie”) i rozsyłany setkami tysięcy do nabywców na całym świecie.

Ale w roku 1957 interes zaczął siadać. Pojawiła się konkurencja w Japonii, która zalała rynek wiernymi, lecz tanio wytwarzanymi szkielecikami. Stryj Sammy szukał sposobów obniżenia kosztów produkcji. Zadarł z robotnikami, naraził się związkowi zawodowemu. Pewnego dnia kumpel od bezika wspomniał, że grywa w golfa z kierownikiem stanowego programu, w ramach

którego prywatnym fabrykom dostarcza się więźniów jako siłę roboczą w zamian za przyuczenie ich do zawodu. Dzięki temu tak zwana Fabryka Gnatów zajęła halę o powierzchni całego piętra w więzieniu, w którym odsiadywał wyrok mój dziadek.

Sammy regularnie odwiedzał Wallkill, żeby mieć zakład na oku. Początkowo korzystał z zajazdu w pobliskiej wiosce, ale w domu naczelnika na terenie więzienia był pokój gościnny, a gdy Sammy przywiózł parę razy butelkę ulubionej żytniówki doktora Wallacka, ten oświadczył, że mój stryjeczny dziadek może u niego nocować podczas każdej wizyty. Sammy mógł wprawdzie pozostawić niewdzięczne zadanie nadzorowania pracowników swojemu kierownikowi produkcji, lecz tak jak wielu przybyszów z zewnątrz znalazł coś kojącego w specyficznym klimacie więzienia, które miało mleczarnię i lasy oraz chór śpiewający szanty i spirituals, a mieszkańcy pilnie zamiatali kręte alejki między porośniętymi bluszczem budynkami. Już od pewnego czasu czuł, że praca jest udręką, a rodzina go tyranizuje, więc gdy odwiedzał więzienie, wyobrażał sobie, że jemu także odjęto wszelkie ciężary razem z wolnością. W pokoju gościnnym u naczelnika sypiał smacznie, budził się wypoczęty, po czym wracał do miasta, gotów borykać się z najnowszymi perturbacjami.

Gdy stał raz wczesnym rankiem przy oknie pokoju gościnnego, wciąż jeszcze w piżamie, dostrzegł kilku mężczyzn, którzy szli przez owalne boisko otoczone bieżnią. Byli wśród nich dwaj umundurowani strażnicy i dwaj więźniowie w szarych strojach, a piąty – ubrany w kraciastą kurtkę myśliwską i kalosze – z daleka przypominał naczelnika. U jego boku siedł mniej więcej dwunastoletni chłopiec. Wnuk Theodore. Więzień o posturze klocka z pękatą klatką piersiową i pałkowatymi nogami dźwigał dużą skrzynię. Drugi – wysoki chudzielec – siedł tyłem, zwrócony twarzą do tego ze skrzynią. Wyraziście przy tym gestykulował, jakby mówił rękami. Co chwila się potykał, a raz zderzył się ze strażnikiem, lecz nie przestawał iść tyłem i mówić. Nawet z odległości stu metrów Sammy zdołał go zaszufladkować jako typowego nudnika.

Kiedy podeszli do drucianego ogrodzenia wokół pastwiska dla krów, strażnicy i naczelnik z trudem przeleźli górą. *Nudnik* złożył się w pół jak banknot i prześlizgnął między drutami. Klocek podniósł skrzynię nad płot, powierzając ją strażnikom, którzy we dwóch ledwie ją udźwignęli, i przeskoczył przez słupek ogrodzeniowy jak przez kozioł, oparłszy się na nim oburącz. Strażnicy oddali mu skrzynię. *Nudnik* chwilę zamarudził, po czym ruszył za klokiem na pastwisko. Słońce dopiero co wzeszło, więc nie pasła się tam ani jedna krowa.

Sammy podszedł do walizeczki, z którą przyjechał, i wyjął z niej swoją osobistą Lornetkę Kieszonkową Wielkiej Mocy. Zobaczył, że chłopiec rwie się naprzód, naczelnik go powstrzymuje, a strażnicy też zachowują bezpieczną odległość, nie oddalając się od płotu. Klocek zaniósł skrzynię bliżej środka pastwiska, aż znalazł się dokładnie na wprost okna pokoju gościnnego. Szedł tak szybko, że *nudnik* ledwo za nim nadążał.

Więźniowie zaczęli opróżniać skrzynię i składać z wyjętych z niej elementów coś bardzo zagadkowego. Sammy zdołał ustalić, że zmontowali pośrodku pastwiska długą, smukłą klatkę i postawili ją pionowo. Sięgała klocekowi prawie do pasa i była zrobiona z drutu albo z cienkich rurek. Dwaj mężczyźni przytwierdzili ją do murawy śledziami namiotowymi. Klocek wyjął ze skrzyni coś, co wyglądało jak kawałek rury ze skrzydełkami na końcu. Mogła to być jakaś turbina lub wiatromierz. Wstawiono ją od góry do ażurowej konstrukcji. Więźniowie uklękli po obu jej stronach i coś tam dokręcali. Klocek odwrócony był tyłem do Sammy'ego i przez dobre dwie czy trzy minuty zasłaniał mu to, co wraz z kolegą majstrował. Naczelnik włożył do ust papierosa, a jeden ze strażników usłużnie podał mu ogień.

W końcu *nudnik* zawrócił, potykając się z pośpiechu, jakby wystraszony – tak przynajmniej wydawało się stryjowi Sammy'emu. Klocek wstał i zrobił dziesięć powolnych kroków do tyłu, a potem odliczył jeszcze dziesięć. Przystanął. Naczelnik i strażnicy odeszli od płotu i stłoczyli się za klokiem, który najwyraźniej kierował całą operacją.

W dolnej części ażurowej konstrukcji zajaśniało mocne niebieskie światło, trochę jak przy fotografowaniu. Nie był to jednak pojedynczy błysk, lecz ciągły blask. Stopniowo zbliżał się do ziemi. Po chwili mój stryjeczny dziadek usłyszał towarzyszący mu odgłos, chociaż okno było zamknięte. Przypominał szum wody tryskającej z ulicznego hydrantu, który mali ulicznicy odkręcili w sierpniowe popołudnie. Budził miłą nadzieję psoty.

Wyposażona w stateczniki rura, którą Sammy wziął za wiatromierz, chybotliwie i z wahaniem wychynęła nad górną krawędź klatki. Przez jedną powolną sekundę wzbijała się w powietrze, aż osiągnęła wysokość siedmiu metrów, po czym przez kolejne dwie sekundy kreśliła na niebie migotliwy łuk, odchylając się o dwa stopnie od pionu. Sammy stracił ją z oczu, kiedy leciała na tle chmur, lecz już po chwili znów ją odnalazł w błękitnej łacie niecałe dwieście metrów wyżej. Jego serce wymknęło się z nawykowych granic.

– Rakieta – obwieścił pokojowi gościnnemu.

Wybuchła jak prażone ziarno kukurydzy, raptownie wypuszczając biały kwiat, który okazał się spadochronem⁴⁹.

– Jejku! – Do uszu Sammy’ego dobiegł okrzyk wzniesiony chłopięcym dyszkantem.

Theodore dosłownie skakał z podniecenia, gdy rakieta – rakieta! – z przetrąconym karkiem spłynęła z nieba. *Nudnik* już na nią czekał, pomykając to tu, to tam z zadartą głową, jakby grał na pozycji wewnątrzpolowego i czatował na spadającą leniwie puszkę kukurydzy. Gdy rakieta minęła go skosem, podskoczył i zamachnął się na nią, ale chybił, przewrócił się i zgubił okulary. A ona już leżała w trawie. Spadochron ułożył się na niej we wdzięczne fałdy. *Nudnik* odnalazł patrzyłki. Podniósł rakieta razem ze spadochronem i zaniósł ją klockowi. Więźniowie podali sobie ręce i nie przestali ich ścisnąć, dopóki nie podszedł do nich naczelnik z dwoma strażnikami. Zaczęło się ogólne klepanie po plecach i ściskanie rąk.

W tejże chwili Sam próbował wyrazić radosny spazm, który

⁴⁹ Uszytym, jeśli wierzyć mojemu dziadkowi, z jedwabnej halki, którą ofiarowała naczelnikowa.

przeniknął go na widok startu pierwszego modelu rakiety
mojego dziadka.

– Mógłbym sprzedać tonę takich zabawek – powiedział,
chuchając przy tym na szybę, aż zaparowała, ale zaraz wytarł ją
mankietem bluzy od piżamy.

XXIX

Leżałem wyciągnięty na kanapie u matki w salonie, czytając *Dziewięć opowiadań*. Była to kanapa z lat siedemdziesiątych, pokryta sztuczną wełną w odcieniu księżycowej szarości, miękka, lecz w surowym stylu. Za moimi bosymi stopami przez zasuwane szklane drzwi widać było taras z sekwojowych desek. Zbocze na tyłach domu opadało z zatrważającą raptownością. Rosnącym tam drzewom ścięto wierzchołki, żeby umożliwić mieszkańcom nieustanne napawanie się (niby jakiemuś baśniowemu sknerze) widokiem dwóch mostów, któremu dom ponoć zawdzięczał zdumiewająco wysoki procent swojej wartości. W dole, na zachodnich obrzeżach Oakland, światła samochodów przewijały się po rozjazdach jak zagadkowe nagłówki w gazetce elektronicznej. San Francisco było bursztynowo świetlistą mgłą.

Nie pamiętam dokładnie, które z dziewięciu opowiadań czytałem, kiedy tamtego wieczoru matka weszła do salonu, ale zawsze najbardziej lubiłem *Dla Esmé – z miłością i plugastwem*. Już od pierwszej lektury w czasach liceum ta historia i osoba głównego bohatera kojarzyły mi się z moim dziadkiem. Nieliczne znane mi wtedy szczegóły jego kariery wojskowej – europejski teatr działań wojennych, krótki pobyt w Londynie przed desantem we Francji, jakaś praca w wywiadzie, którą w opowieściach czasem przedstawiano jako „w gruncie rzeczy biurową”, kiedy indziej zaś jako „niezbyt interesującą” – wydawały się zbieżne z sytuacją Sierżanta X⁵⁰ z autobiograficznego utworu Salingera. Nikt nigdy nie użył określenia „załamanie nerwowe” ani nie zasugerował, jakoby dziadkowi nie udało się wrócić z wojny „bez uszczerbku na

50 Było nawet między nimi pewne podobieństwo fizyczne, sądząc po jedynej fotografii Salingera, jaką znałem, przedstawiającej bruneta z gęstymi włosami, śladami po ospie na policzkach, długim nosem i sceptycznie uniesioną brwią. Sam dziadek zawsze lubił, kiedy twierdzono, że jest podobny do aktora Roberta Aldy.

umyśle”, jak w opowiadaniu Salingera ujmuje to Esmé. W moich oczach dziadek nigdy nie był kimś, kogo nękały późne objawy przypadłości, którą jego pokolenie nazywało nerwicą frontową. A jednak opowiadanie Salingera zdawało się wyjaśniać pewne cechy dziadka, które widocznie zawsze odbierałem jako nie całkiem zrozumiałe.

Weszła matka, niosąc szklanekę szkockiej, jak zwykle z garścią lodu. Miała na sobie starą różową koszulę nocną i szlafrok z brązowej szenili. Było już późno. Przy dziadku od paru godzin siedziała nocna pielęgniarka, a matka przez ten czas rozwikływała jego zagmatwane sprawy podatkowe. Wykryła, że popełniono błąd na jego niekorzyść, dzięki któremu miał odzyskać prawie tysiąc dolarów. To tłumaczyło, czemu pozwoliła sobie na szklaneczkę Johnniego Walkera. W drugiej ręce trzymała stary album fotografii w czarnej tekturowej okładce wytłaczanej na podobieństwo ziarnistej skóry. Grzbiet u góry i u dołu był pęknięty i wystrzępiony.

– Hej, popatrz na to – powiedziała matka.

Usiadła przy mnie. Miała wilgotne włosy i pachniała szamponem Prell. Był to jej podstawowy zapach, chłodny jak mięta i, rzec by można, nieprzenikniony. Prell właściwie wcale nie pachniał miętą, ale miał mentolowy kolor, a w starych reklamach telewizyjnych pokazywano, jak przez zieloną otchłań butelki szamponu opada na dno perła, niespieszna i nieprzenikniona. Nigdy nie rozumiałem, w jaki sposób to, że Prell spowalnia opadanie perły, świadczy o jego przydatności do mycia włosów, lecz widok tego opadania zawsze budził we mnie taki sam cichy podziw, jakim darzyłem matkę. Kiedy usiadła przy mnie na pokrytej herculonem kanapie, z albumu zdjęć poproszył jak szare pierze zbutwiały papier.

– Należał do twojej babci.

Na okładce albumu wytłoczono czcionką egipcjanek słowo „*Souvenirs*”, z którego zdążyła już się złuszczyć złota farba. Brzegi okładki spinał pasek z imitacji skóry, przymocowany od spodu i zakończony zatrzaskiem, który wciskało się w skuwkę na wierzchu po prawej stronie, przez co album wyglądał jak

pamiętnik bez kluczyka. Byłem prawie pewien, że jeszcze nigdy go nie widziałem.

– Nie wiem, czego on ci w ogóle naopowiadał – rzekła matka.

W jej głosie jakbym słyszał wyrzut adresowany do dziadka lub do mnie, łakomego słuchacza opowieści. Ale mogło mi się tylko zdawać.

– Nic mi nie mówi.

– Słyszałam, jak ci opowiadał o mojej matce.

– No, owszem.

– I że musiałam zamieszkać u stryja Raya, kiedy on siedział w więzieniu.

– No tak, o tym mi rzeczywiście opowiedział.

Matka czasem w pewien szczególny sposób unosiła brew i w razie potrzeby umiała zrobić użytek z tej miny. Przyznałem z ociąganiem, że dziadek właściwie mógł mi to i owo opowiedzieć.

– No więc pomyślałam, że może zechcesz to obejrzeć. Ten album to jedna z dwóch rzeczy, które moja matka przywiozła ze starego kraju.

– A ta druga rzecz?

– To ja.

– Aha, no tak.

– Zabrałam go do Baltimore – ciągnęła matka. – Kiedy się przenosiłam do stryja Raya. Znalazłam go na strychu tuż przed przeprowadzką.

– W domu w Ho-Ho-Kus?

– Pakowaliśmy się do wyjazdu. Twoja babka była już wtedy w szpitalu. Znalazłam ten album i po prostu go stamtąd zwinęłam. Nie wiem dlaczego. Nigdy wcześniej go nie widziałam.

– Matka musnęła palcem łuszczącą się pozłotkę tytułu. – *Souvenirs* to po francusku „wspomnienia”. – Napiała się szkockiej. Wytrzeszczyła oczy i chrapliwie westchnęła: – Hrrr.

– Wyluzuj.

– Dobra – powiedziała. – Już w porządku. – Ale nie ruszyła się, wpatrzona w album, który leżał na jej kolanach.

– Wolisz to odłożyć na kiedy indziej?

– Nie, wszystko gra. Po prostu od dawna... wiesz, dawno do niego nie zaglądałam. – Pociągnęła większy haust. Tym razem whisky weszła jej gładziej. – Dziwne, ona właściwie nie miała żadnych zdjęć. Żeby je wkleić do albumu. To znaczy miała cztery. Starczyło na pierwszą stronę.

Spróbowałam sobie wyobrazić, jakie uczucia budziłyby we mnie jedyne cztery fotografie ocalałe z dokumentacji mojego dotychczasowego życia, a byłam wtedy mniej więcej w tym samym wieku co moja babka w dniu przyjazdu do Stanów. Może wybrałbym właśnie te cztery zdjęcia, bo miałyby dla mnie osobistą wartość, byłyby wiernymi podobiznami sfotografowanych osób albo uwieczniałyby chwile, których utraty bym nie zniósł. Mogłyby to też jednak być przypadkowo pstryknięte fotki: portret mojego trądziku i aparatu na zęby, rozrehotana plama zamiast twarzy mojego ojca, który właśnie się odwraca, śmiejąc się z czegoś, co nie zmieściło się w kadrze. Tak czy owak byłyby dla mnie drogocenne, ale z tego jeszcze nie wynikało, że gdybym wycierpiał tyle, ile wycierpiała moja babka, miałbym siłę na nie spojrzeć.

– Z początku nie rozumiałam. Skoro ktoś ma tylko cztery zdjęcia, po co mu album? A potem pomyślałam, że pewnie chciała do niego wkleić fotografie swojego nowego, tutejszego życia. A później może zapomniała. Albo kupiła inny album, czy ja zresztą wiem. Mieliliśmy mnóstwo albumów, widziałeś je przecież.

– No chyba.

– Więc postanowiłam wziąć ten. I wypełnić resztę kartek.

– Reszta była pusta, kiedy go znalazłaś?

Matka skinęła głową i zrobiła długi wydech. Wir powietrza w skośnym świetle lampy utkał z drobinek kurzu turecki wzór.

– Możemy przeskoczyć tę stronę.

– Nie. – Matka odpięła zatrzask i otworzyła staroświecki album na pierwszej czarnej karcie. W tego rodzaju albumach rogi zdjęć wsuwało się w samoprzylepne trójkąciki, podobne do narożników maleńkich czarnych karniszy. Na kartkę naklejono szesnaście takich rożków, starannie i równiutko. Pod nimi widniały cztery karteluszeki – beżowe prostokąciki z wcięciami

rogami – a na każdym z nich podpis wiecznym piórem, wykaligrafowany w kontynentalnym stylu, który pamiętałem z kartek urodzinowych z załączonymi czekami na dwadzieścia dolarów. *Mère, vingt ans. Père. Toi. Toi et moi.* Nad każdym karteluszkim w prostokącie wyznaczonym przez trójkątne różki, w które należało wsunąć zdjęcie, był tylko czarny papier. Fotografie zniknęły.

– Co? – rzekła matka, jakby zwracała się z tym pytaniem do albumu. Podniosła go i bez sensu zajrzała pod spód. Znow położyła sobie album na kolanach. – O nie!

Zaczęła przewracać kartki, więc przemykał nam przed oczami świat, w którym dobiegło końca jej dzieciństwo, uwieczniony w czwórkach czarno-białych kwadratów, niewątpliwie zrobionych kodakiem Brownie. Przerzucała je coraz szybciej, dysząc przez nozdrza, jakby starała się utrzymać na wodzy własną porywczosć lub najgorsze obawy. Przewracane kartki skrzypiały. Mignął mi rząd motelowych domków, motelowy basen w kształcie grotu strzały i neon jakiegoś motelu z indiańskim motywem ognistego ptaka. Potem plaża w porze odpływu, plaża w powodzi parasoli, moja matka u boku ratownika z nagą klatą. Matka w szerokiej spódnicy nerwowym ruchem podsuwa niedźwiedziowi na łańcuchu hot doga. Stryj Ray zadaje szyku w sportowym stylu: garnitur z dwurzędową marynarką, koszula z rozpiętym kołnierzykiem i wzorzysty fular. Matka w króciutkich szortach i wiązanej na karku bluzce bez pleców i rękawów pozuje obok drewnianego Indianina w sklepie z cygarami. Matka za kierownicą nieruchomego kabrioletu Alfa Romeo, zbyt młoda, żeby go prowadzić. Inna odbitka zdjęcia, które dziadek zabrał z Florydy: matka w kostiumie kąpielowym dosiada na oklep konia, napinając łuk. Dżokejka w jedwabiach pozuje z pełnokrwistym wierzchowcem o lśniącej sierści, zezując na mężczyznę w pilśniowym kapeluszu z rondem spuszczonego na oczy, a zadartym z tyłu. Kolejne zdjęcia koni, parkanów i trybun na wyścigach. Fotki przedstawiające moją matkę albo stryja Raya w towarzystwie małej zaftig dame o płonącym, wręcz gniewnym spojrzeniu. Fotki mojej matki lub jej stryja,

upozowanych obok innych kobiet o ciemnych od szminki ustach. Moja matka i stryj Ray przed salonem bilardowym. Matka przed mauzoleum Lincolna, u bram toru wyścigów konnych Pimlico lub jakiegoś zabytkowego fortu z palisadą. Matka okrakiem na armacie jak Kim u Kiplinga.

Świat sprzed moich narodzin, świat w nieskończenie wielu odcieniach szarości. Szary ocean, szare blondynki, szary keczup, szare sosny. Prócz fotki z jazdy na oklep nie widziałem żadnego spośród tych zdjęć. O uwiecznionym na nich okresie słyszałem tylko nader mętne pogłoski. Chciałem powstrzymać dłoń, którą matka przewracała kartki, i niczym perła w butelce szamponu zanurkować w tej szarej prehistorii, świadectwie rozpasanych lat mojej rodzicielki. Fotografie migają mi przed oczami. Stronice kłapały.

Na ostatniej nie było żadnego zdjęcia. Smugą kleju roślinnego przylepiono tam kartkę. Klej skryształizował się, przybierając postać ziaren, brązowych jak cukier trzcinowy. Arkusik obrócono poziomo, żeby go wpasować w format albumu. Była to kserokopia kartki wyrwanej z jakiejś broszury, którą wystukano na maszynie, pożółkła jak bawełna w filtrze niedopałka papierosa. Rdzawy ślad zszywki jak ukąszenie wampira. Tusz ściemniały do fioletu, prawie czarnego jak siniec. Zanim matka zatrzasnęła album, zdążyłem przeczytać słowa „Lunch Menu, garnirunek z dzikich jabłek, Narożnik Poetów” i jeszcze nazwisko babki, wszystko wystukane dwunastopunktową czcionką o dystyngowanym wyglądzie, którą dawniej nazywano Elite.

- Nożeż kurwa – zakłęta matka.
- Wypadły?
- Nie wiem.
- A w ogóle były w albumie? Kiedy je ostatnio widziałaś?
- Nie wiem.

Matka przycisnęła album do piersi. Widziałem, że przebiega w myślach jego marszruty i peregrynacje z niedawnych lat, usiłując wrócić pamięcią do chwili, kiedy go ostatnio widziała bez ubytków. Miała zrozpaczoną minę. Byłem zaskoczony. Oczywiście każdy by się zmartwił taką stratą. Ale po matce raczej

bym się spodziewał, że postara się ukryć zmartwienie.

– Nie wiem – powtórzyła, odkładając album. Wstała z kanapy i zeszła do szwalni, w której mieszkałem. W szafie obok zastępującej mi łóżko leżanki trzymała tych parę starych rzeczy – suvenirów – z którymi nie zdołała się rozstać. Takie kobiety jak ona lecą przez życie balonem, utrzymując należytą wysokość i sterowność dzięki temu, że odcinają worki z piaskiem i wyrzucają za burtę wszystko, co w ostateczności zbędne. Dzięki latom spędzonym wśród karmicznych awanturników nad Wschodnią Zatoką jej nawyk usuwania śladów własnej wędrówki przez świat obrósł aurą wyzwolenia z pęt mai. Nie miał jednak nic wspólnego z tego rodzaju wyzwoleniem. Kiedy matce zdarzało się wypić o jeden kieliszek wina za dużo, potrafiła oświadczyć swojemu aktualnemu chłopakowi czy komuś tam, z kim akurat żyła, że w luzackich latach u boku stryja Raya nauczyła się podróżować bez bagażu, żeby w razie potrzeby móc w każdej chwili dać dyla, o nic się nie potykając i nie dźwigając żadnego balastu. Aktualny chłopak zapewne wyczuwał w tej deklaracji metaforyczny ton i przyjmował do wiadomości przestrozę. Ale to też nie było sednem sprawy. U mojej matki brak przywiązania do przeszłości i jej materialnych ucieleśnień sięgał głębiej niż jakakolwiek zasada, trening czy metafora. Był nieprzezwykłym nawykiem tracenia.

– Nie ma – powiedziała. – Niech to szlag.

Kucała w drzwiach szafy ściennej, przeszukując druciane półki, na których leżało też jej pudło winylowych singli i stara lalka Carmen Miranda w kapeluszu z drewnianymi owocami i napisem „Havana”. Przepatrzyła podłogę pod półkami, zajrzała do pudeł z guzikami i zygzakowatymi tasiemkami, przetrząsnęła karton z grubej tektury, w którym trzymała wykroje z katalogów „Butterick” i „Simplicity”. W końcu zapadła się w siebie i siadła na podłodze. Podciągnęła kolana pod brodę. Ukryła twarz w dłoniach.

– Pewnie zostały u taty – spokojnym tonem rzuciła tę hipotezę zza zasłony dłoni. – W składziku. Album leżał w zwykłym pudełku, a zdjęcia pewnie wysunęły się na dno. Powinnam była

sprawdzić. Dokładnie przekopać.

– Na pewno tam są – powiedziałem. – Następnym razem je zabierzesz.

Teraz już rozumiałem, czemu nigdy wcześniej nie widziałem tego albumu. Najpierw pewnie leżał w składziku u dziadków w Skyview, a potem zawędrował z dziadkiem i mnóstwem jego różnych dupereli na Florydę. Kiedy matka pojechała do Fontana Village po swojego ojca, zabrała album do Oakland. Zastanawiałem się, dlaczego chciała go mieć i czy zdołałaby mi to wyjaśnić, gdybym ją spytał.

– Ale Mike, przecież one wypadły z albumu Bóg wie kiedy – powiedziała. – Może nawet lata temu. Och! – Matka wciąż kryła twarz za parawanem palców. – Niedobrze mi się robi.

– Mamo, nic się nie stało.

– Tak mi przykro.

– Przecież to tylko zdjęcia. Normalne, że się gubią.

Było to stwierdzenie w stylu mojej matki, a ja wiedziałem, że ona nie dopatry się w nim gruboskórności ani braku współczucia, lecz sam nie wierzyłem w to, co mówię. Serce bolało mnie na myśl, że jedyne znane fotografie z przedwojennego życia babki zaginęły. Ale nie zamierzałem przyznać się do tego matce.

– Masz rację – przytaknęła. – Skoro dotąd, jak widać, za nimi nie tęskniłam, niby czemu miałyby mi ich teraz nagle brakować? – Spuściła dłonie i usiadła prosto, jakby się otrząsnęła z szoku. – Tylko że bardzo chciałam ci je pokazać – dodała. I zaczęła popłakiwać, ale bez większego przekonania.

– Oj, mamo – westchnąłem.

Odczekałem chwilę. Matka nie płakała przy mnie od czasów, kiedy ojciec zajęty był podkładaniem ognia pod nasze życie. Nie wiedziałem, jak ją pocieszyć ani czy w ogóle pragnie pociechy i umie ją przyjąć. W minionych latach podsunęła mi bardzo niewiele tropów, które pozwalałyby odgadnąć jej uczucia wobec wszystkiego, co utraciła.

– Może herbaty? – zaproponowałem.

– Mam ochotę. Ale boję się, że nie zasnę.

– Kupiłem w Lucky earl greya bez kofeiny.

– Dobrze. – Matka otarła oczy mankietem koszuli nocnej. – Napiję się bezkofeinowego earl greya.

Poszedłem do kuchni nastawić czajnik. Mijając pokój gościnny, usłyszałem metaliczny szcęk. Lola, nocna pielęgniarka, z zapałem robiła na drutach. Akurat wtedy ściboliła dla mnie wyjątkowo paskudne skarpetki w deseń rombów o barwach filipińskiej flagi. Potem przez wiele lat uważałem je za swój talizman, dopóki gdzieś nie zniknęły.

Zaparzyłem czajniczek herbaty. Matka weszła do kuchni ze szklanką szkockiej i usiadła przy stole. Nalała sobie whisky do filiżanki i dopełniła herbatą z czajniczka. Między nami leżał album zdjęć. Otworzyłem go na pierwszej stronie, tej z czterema wakatami podpisanymi po francusku.

– Tak czy owak mi je pokaż – poprosiłem.

– Jak to?

– Opisz.

– Nie umiem opisywać – odparła. – Nie mam do tego drygu.

– Proszę cię – nalegałem. – Po prostu mi powiedz, co było na zdjęciach.

Zamknęła oczy, ale zaraz je otworzyła, przechyliła głowę i spojrzała na stronicę z ukosa, z głębi pamięci. Wskazała miejsce po pierwszej fotografii, podpisane *Mère*.

– Tu było zdjęcie mojej babki – zaczęła. – Miała na imię Sara, ale mówiło się na nią Sally. Salee. Stała na ulicy. Za nią widać było samochód, część samochodu, staroświeckiego, czy ja wiem... Zderzak miał mniej więcej taki kształt. – Nakreśliła w powietrzu spadzistą falę.

– Sportowe auto? – Niedługo przedtem skończyłem czytać *Grę, rozrywkę i próżną ozdobę*, której akcja toczy się w powojennej Francji, więc mimo woli nasunął mi się anachroniczny obraz nisko zawieszony delage'a 1952, którym jeździ bohater tej książki. – Kabriolet?

– Dach nie zmieścił się w kadrze. Ale niewykluczone. W głębi stał duży ceglany budynek bez okien albo z niewieloma. Może właśnie to była garbarnia, nie wiem. Babka miała na sobie wełnianą spódnicę do kolan i obcisły żakiet z szerokimi klapami

i epoletami, zwężony w talii. – Co jak co, ale stroje matka umiała opisywać. Przez wiele lat sama sobie szyła, dopóki za sprawą zagranicznych produktów nie stało się to kosztowniejsze niż kupowanie gotowych ubrań. – Może z harris tweedów. Wyglądało to bardzo z angielska. A do tego kapelusz z szerokim rondem i ozdobnym ptaszkiem. – Dotknęła skroni w miejscu, gdzie na szerokoskrzydłym kapeluszu jej babki miał przycupnąć ptaszek.

– Wypchany ptak? Prawdziwy?

– Zawsze uważałam, że jest prawdziwy.

– Kto by chciał nosić na kapeluszu martwego ptaka?

– Cały czas nosisz na nogach martwą krowę.

Czy to dzięki herbacie z prądem, czy dzięki gimnastyce pamięci matce jakby poprawił się nastrój. Szturchnęła palcem puste miejsce nad karteczką z napisem Père.

– Tu był mój dziadek Maurice. Smagły. Tęgi. Miał... chyba nosił wąsy. I okulary, takie okrągłe. Fotografia była upozowana. W pomieszczeniu. Nie żadna tam pospieszna fotka. Zdjęcie w atelier. Fotograf przystawił pieczętkę z nazwiskiem, o tu. Dumaurier, tak jak ta pisarka.

– W Lille?

– Tak. – Matka przesunęła palec w prawy dolny róg pustego miejsca. – Miał na sobie garnitur z tenisu, a przy krawacie spinę z łańcuszkiem. Pamiętam, jak myślałam, że wygląda niezbyt sympatycznie. Żadne z dziadków nie wyglądało sympatycznie ani życzliwie. Właściwie to się ich bałam. Ale wstydziłam się tego strachu, bo przecież zabił ich Hitler. Czułam, że to...

– Nielojalność?

– Tak.

– Rozumiem.

Matka rzadko rozgrywała partię wspomnień kartami, które dała jej do ręki wojna i wojenne okrucieństwa, lecz gdy już zaczynała ją rozgrywać, to niezależnie od tego, co leżało na stole, zawsze miałam wrażenie, że zakrytą kartą jest poczucie winy.

– Wydawało mi się, że skoro ich nie kocham i nawet nie żałuję, że ich nie znałam... skoro nie brak mi tych dwojga nigdy

niewidzianych ludzi... to jakoś się przyczyniam do ich śmierci. Jakbym była jej winna. Jakby to, co robię teraz, czyli wtedy, w dzieciństwie, mogło wpływać na dawniejsze zdarzenia.

Przypomniało mi się, że Benjamin w swoich *Tezach historyzoficznych* sporo pisze o przeszłości, o umarłych oraz ich odkupieniu w terażniejszości dzięki żywym. Przemilczałem to. Matka pewnie znała ten temat nie gorzej niż Walter Benjamin.

– Zawsze myślałam, że to musiało mieć coś wspólnego z garbarnią – podjęła. – Te ich zagniewane, nieszczęśliwe miny. Cały czas żyli przecież wśród tych wszystkich okropności. Krwi. Zwierzęcych ścierw. Odoru. – Wzdrygnęła się. – Wyobrażasz sobie?

– Nie wiem. Nigdy nie byłem w garbarni.

– Ja też nie – odparła matka. – Ale i bez tego umiem ją sobie wyobrazić.

– Wiem, że twoja mama jej nie cierpiała – powiedziałem. – Przynajmniej dziadek tak twierdzi. Mówi, że między innymi stąd wziął się Bezsłony Koń.

– Ha. – Matka znowu zamknęła oczy, a gdy je otworzyła, miały taki wyraz, jakby świeca pamięci już w nich zgasła. – Powiedział ci o tym.

Było to nie tyle pytanie, ile konstatacja, jak bardzo dziadek postanowił tym razem zboczyć ze swoich zwykłych szlaków morskich. Przyznałem, że sporo mi opowiedział o Bezsłonym Koniu, a zwłaszcza o zdarzeniach, które doprowadziły do spalenia drzewa.

– Ja o tym nie myślę – oświadczyła matka takim tonem, jakby nie stwierdzała faktu, tylko ustanawiała regułę.

Wskazałem palcem trzeci pusty prostokąt na stronie w albumie.

– Opowiedz mi o tym.

– O tym? Tu byłem ja. Siedziałam na kamiennej ławie. W klasztorze. Dwuletnia, ale wciąż bez włosów, tylko z niemowlęcym puszkiem. Jakoś nie obrodziły. Ktoś, pewnie matka, ubrał mnie w tyrolską spódniczkę i bluzkę z wykładanym kołnierzykiem, a na nią włożył sznurowany stanik. Zrobili mi

okropne zdjęcie. Byłam na nim jakaś taka stroskana i skwaszona. I szpetna.

– Trzy słowa na S.

– Wyglądałam tak. – Matka zmarszczyła brwi i ściągnęła usta w ciup. Cała jej twarz skurczyła się gniewnie wokół nosa. Parsknąłem śmiechem.

– Byłam najbrzydszym dzieckiem na świecie.

– Wcale nie.

– Tego akurat zdjęcia mi nie żal, że zginęło. A tu... Na tym... – powiedziała wolniej i z nagłą chrypką, wskazując ostatni pusty prostokąt – ...byłam z mamą. No jasne. Mniejsza niż na tamtym. Niemowlę w białych śpioszkach. Mama trzymała mnie na kolanach. Siedziała na drewnianym krześle w ogrodzie. A raczej w warzywniku z roślinami na tyczkach. Pomidorami, malinami, czy ja wiem. Grochem. Krzesło było z giętego drewna, wiesz. – Nakreśliła w powietrzu krzywą Gaussa, bo widocznie taki kształt miało oparcie krzesła. – Mama patrzyła prosto w obiektyw i wskazywała go palcem. Pokazywała mi go. Kazała w niego patrzeć. Uśmiechała się. – Sama uśmiechnęła się na to wspomnienie. – Jej oczy naprawdę promieniały.

– Była piękna.

– Owszem. – Nagle zmieniła ton. Prawie jakbym ją rozczarował. – Ale chyba za bardzo wczuwała się w rolę piękności. Uroda to było jedyne, co naprawdę w sobie lubiła.

Moja matka też była piękna, chociaż w odmiennym typie. Smagła w przeciwieństwie do swojej matki, która miała jasną cerę i piegi, z długim prostym nosem, zupełnie innym niż zadarty nosek babki, długonoga, podczas gdy babka była filigranowa. Wiedziałem, że swoją urodę i społeczne korzyści, które dzięki niej w życiu zgarnęła, uważa za rodzaj szwindlu albo dwuznacznej łaski. Ten rodzaj powabu często się przydawał, raz po raz wynikały z niego jednak kłopoty. A już na pewno nie napawał jej dumą.

– No... – zacząłem z wahaniem. Nigdy nie słyszałem, żeby moja matka krytykowała swoją, nawet tak powściągliwie. Wiedziałem, że widzi podstawy do takiej krytyki, ale nie było jasne, skąd

właściwie to wiem, bo nigdy ani słowem o tym nie napomknęła. Tyle że czasem w domu pojawiał się taki klimat. – Można przecież lubić w sobie gorsze cechy.

– Chyba tak. Sama nie wiem. Ona była... Zanadto przejmowała się pozorami. Tym, jak co wygląda, jakie sprawia wrażenie, co ludzie o niej pomyślą albo powiedzą. Słyszała, no przecież wiesz, że słyszała głosy, które wygadywały o niej straszne, po prostu koszmarnie rzeczy. Miała piękną powierzchowność, ale w środku czuła się zohydzona. Chodząca ruina. I bała się, że to się wyda.

Wbrew zakazowi o mało wtedy nie wspomniałem o Bezsłówym Koniu, ale zdążyłem ugryźć się w język. Przewróciłem kartkę w albumie. Zobaczyłem zdjęcie stryja Raya z tą *zaftig dame* o twardym spojrzeniu.

– To pani Einstein?

– Pani E.

Stół piknikowy w jakimś zapomnianym parku pod Baltimore. Kanapki zawinięte w papier. Na stole butelki wody White Rock i piwa National Bohemian. Stryj Ray siedział z nogą założoną na nogę, w luźnych spodniach, dzianej koszulce polo i dwukolorowych mokasynach bez skarpetek. Za nim stała pani Einstein w letniej sukience bez rękawów opiętej na obfitej świetności, której nie uszczuplił czas. Stryj Ray się uśmiechał, pani E. też była tego bliska. Palce jej prawej dłoni ledwie dostrzegalnie spoczywały na jego prawym ramieniu.

– Czyżby oni byli...?

Matka zasznurowała usta. Z miną niewiniątka spojrzała w sufit.

– O mój Boże – westchnąłem. – Skądś to wiedziałem.

– Bardzo go kochała.

– Oj, strasznie ponuro to zabrzmiało.

– Bo on złamał jej serce. – Matka pokręciła głową. – Pierdolony Reynard. – Powiedziała to nie bez tkliwości. – Potrafił być uroczy i zabawny, ale był też kłamcą, oszustem i draniem. Tak samo koszmarnym typem jak twój ojciec. Pod jednymi względami lepszym, pod innymi jeszcze gorszym. Nie waż się być taki jak on.

– Dobra – obiecałem. Wiedziałem, że nie umiałbym być taki jak tamci dwaj, choćbym starał się o to ze wszystkich sił przez

połowę każdego dnia. Ale jakaś częśćka mnie nigdy nie chciała być nikim innym.

– Mnie też złamał serce – dodała matka, jakby do siebie.

– Co? – zdziwiłem się.

Poczułem, że zapadam się w księżycową kanapę, ten ostatni wspólny nabytek moich rodziców przed zniknięciem ojca. Będąc chłopcem, w latach siedemdziesiątych patrzyłem z boku, jak moja matka niby rozgrzana patriotycznym zapałem młódka po Fort Sumter albo Pearl Harbor wstępuje w szeregi kobiet wyzwolonych. Bojowniczkę spod tego sztandaru uważały otwartość za skutek, a nie tylko warunek wstępny przygody. Usłyszałem w tamtym okresie parę szokujących tekstów. Z czasem do nich przywykłem i chyba nawet zacząłem niecierpliwie wyczekiwać kolejnego szoku. Ale gdzieś w początkach prezydentury Reagana matka się ustatkowała. Od tamtej pory zdążyłem więc wyjść z wprawy. A teraz siedziała z oczami jak spodki i opadniętą szczęką. Dopiero po minucie zrozumiałem, że mnie przedrzeźnia. Zamknąłem usta.

– Ale chyba nie... nie spałaś ze stryjem Rayem?

– Nie był aż tak dużo starszy ode mnie. A przynajmniej się tego nie czuło. – Matka wychyliła do dna resztkę szkockiej z filiżanki. – A zresztą nie był moim prawdziwym stryjem.

– Mimo to – powiedziałem. – Mamo, przecież byłaś wtedy nieletnia. Byłaś dzieckiem.

– Racja – przyznała matka, zapinając na zatrask czarno-białą planetę swoich dziewczęcych lat oraz innych rzeczy utraconych.

– To było przestępstwo. – W jej głosie gorzka uraza mieszała się z tkliwością. – Facet niewątpliwie był przestępcą.

– A czy on...?

– Był grany alkohol. Prawdę mówiąc, właściwie niewiele z tego pamiętam. Ale chyba mnie zanadto nie uszczęśliwił, bo zaraz na drugi dzień strzeliłam mu w oko.

– Co takiego?

– Strzała z łuku.

– Siedziałaś wtedy na koniu?

– Powiedziałaś mu, że nie chcę, żeby ten fotograf zrobił mi

zdjęcie – odparła matka.

– O cholera, mamo. – Wyobraziłem sobie, jak stryj Ray w bermudach i guayaberze zatacza się po trawniku przed hotelem, trzymając obiema rękami za strzałę, która sterczy mu z twarzy.

– Musiałam być na niego wściekła. Wtedy chyba już wszystko mnie wściekało.

Poczułem zimne ukąszenie grotu, a potem w lewym oku wybuchła mi czerwień. Wzdrygnąłem się.

– Wiem – rzekła matka.

– No cóż – powiedziałem nieco bardziej filozoficznym tonem. Zdążyłem już ochłonąć z szoku, a im dłużej myślałem o jej odwecie, tym mniej się dziwiłem. Stryj Ray uchodził za spryciarza, ale chyba niezbyt wyczuwał moją matkę, bo inaczej nigdy by jej nie dał do ręki łuku i strzał. – Można powiedzieć, że serio cię wydymali.

– Zabrali się do dymania przy pierwszej okazji – odparła matka. – A potem twój tata do reszty mnie załatwił.

– To tak jak mnie. – Podniosłem rękę, zwracając dłoń wnętrzem w stronę matki, która po chwili delikatnie przybiła mi piątkę.

– Ale na twojego dziadka chyba nie byłam aż taka wściekła – podjęła. – Bo inaczej bym mu opowiedziała o sobie i Rayu. A nie pisałam ani słowa.

– Może nie potrzebowałaś.

– Myślisz, że on wie?

– Zabiera z Florydy raptem pięć rzeczy, a między innymi to zdjęcie?

– Też mnie to trochę zdziwiło. Może Ray mu się kiedyś przyznał.

– Może kiedy dziadek się dowiedział, że postrzeliłaś stryja z łuku, to go potem trochę mniej gryzło sumienie, że, jak to sam określił, porzucił cię u niego.

– To trafne określenie.

– Bo w ten sposób chyba dowiodłaś, że umiesz, powiedzmy, sobie radzić.

– Hmm – mruknęła matka. Położyła mi dłoń na przedramieniu.

– Ale tak na wszelki wypadek, nie mów mu, dobrze? Może nie znalazł innego zdjęcia, w końcu mieliśmy mało czasu na pakowanie.

– Dobra – obiecałem. – Nie powiem mu, że wiem, że ty wiesz, że on wie to, o czym nikt nie chce rozmawiać.

– Po co rozmawiać? – zdziwiła się matka. – Przecież wszyscy już wiedzą.

XXX

Spóźnili się na lunch i zagadkowy garnirunek z plasterków dzikich jabłek. Był początek września 1958 roku. Nad Morristown legło szare, ciężkie popołudnie. Na wschodzie świetlicie piętrzyły się chmury burzowe. Na zachodzie wznosił się Greystone Park – jeszcze jedna chmura, zwalista na tle nieba. Dziadkowi w kącikach oczu raz po raz trzaskały błyskawice, lecz gdy spoglądał prosto w chmury, nic tam nie migotało. Zastanawiał się, czy te płochliwe błyski nie wybuchają przypadkiem w nim samym, a nie nad śródmieściem Newark. Nie widział, nie objął ani nie przeleciał mojej babki od czternastu miesięcy, a chociaż obok niego w samochodzie siedziała ich ponura nastoletnia córka, od ponad godziny myślał wyłącznie o smakowitej dolnej wardze mojej babki między swoimi zębami, o puszku porastającym jej tyłek, o tym, jak wyciągnie ręce, aby złapać ją za cycki, wchodząc w nią od tyłu, i jak wtuli nos w chłodny, słony przedziałek w jej włosach, gdy ona położy mu głowę na piersi, a zgięta w scyzoryk nogę na brzuchu.

Siedział za kierownicą buicka riviery z 1958 roku, którego kupił przed trzema dniami na Broadwayu za nieco ponad trzy tysiące dolarów gotówką. Silnik dudnił w zielonym tunelu wiązków wzdłuż drogi do Morristown. W bocznej kieszeni nowych spodni dziadka leżało pięć banknotów studolarowych, dziewięć pięćdziesiątek, dwie dwudziestki i reszta z dziesięciu. Bielizna, koszule, skarpetki, buty, pasek, zegarek i klips do banknotów były równie nowe jak te spodnie. Zastanawiał się nad kupnem garnituru, ale w końcu zdecydował się na dwie pary luźnych spodni – jedne czekoladowobrązowe, drugie granatowe – i cienką sportową kurtkę z czesankowej wełny w dużą kratę o zgaszonym odcieniu złota. Do tego jasnobrzoskwiniowa koszula bez krawata, rozpięta pod szyją. Był wolnym człowiekiem z pełną kieszenią pieniędzy i nowym

dwudrzwiowym autem. A także świeżo upieczonym wspólnikiem zarządzającym w MRX, Inc., w której Sam Chabon był nie tylko wspólnikiem, ale i głównym inwestorem. Podpisał też kontrakt z Chabon Scientific na dostawę pięciu tysięcy rakiet Aerobee-Hi na paliwo stałe, wykonanych w skali jeden do dwudziestu. Nawet zablokowany woltaż pożądaniami, które na myśl o mojej babce rozpałało mu mózg, sprawiał przyjemność. Dziadek nigdy w życiu nie był bliższy czegoś, co zgodziłby się nazwać szczęściem. Pozostawały jednak współrzędne y , które asymptotycznie uniemożliwiały mu przecięcie się z niedosiężną osią x .

– Mógłbyś chociaż postarać się prowadzić normalnie? – spytała moja matka.

– Jadę z największą dozwoloną prędkością.

– Może średnio wyciągasz maksimum tego, co dozwolone. Ale raz po raz dociskasz gaz, a potem zdejmujesz nogę z pedału. Szybko. Wolno. Szybko. Wolno. Szybko. – Matka zacisnęła prawą dłoń w pięść i wysunęła ją do przodu, a potem cofnęła. Jej gest niepokojąco kojarzył się z niedawnym tokiem myśli dziadka, który poczuł, że go przyłapano. – Jakbyś specjalnie się starał, żebym zwymiotowała.

– Przepraszam. Już nie będę.

Matka siedziała z głową opartą o podgłówek i zamkniętymi oczami. Wklinowała się w kąt przy prawych drzwiach, objąwszy rękami kolana i przycisnąwszy je do piersi. Spod zawiniętych nogawek sztywnych dżinsów wystawały kostki nóg, na których ciernie krzewów, komary i jej własne paznokcie spisały opowieść o lecie. Podeszwy niebieskich butów żeglarskich od Sperry'ego nadrukowały białym pyłem na brunatnoczerwonej skórze tapicerki falisty wzór przypominający słoje drzewa. W dopiero co wynajętym mieszkaniu w Parkchester na nowym łożku przykrytym różową narzutą z szenili uszyta z białego lnu w drobną kratkę letnia sukienka bez rękawów, której wedle zapewnień sprzedawczyni od Macy'ego musiała pożądać każda szesnastolatka, oczekiwała pierwszej przymiarki, a obok leżały w nieotwartym pudełku płaskie czółenka bez palców. Matka

nawet nie zdjęła tej sukienki z wieszaka. Widać brzydziła się nią – tak jak wszystkim, co dziadek mówił i robił. Kiedy już odbębnił wstępną wymianę czczych banałów, jej pierwsze słowa brzmiały:

- Zdawało mi się, że masz tam siedzieć dłużej.

W odpowiedzi wyjaśnił, że dzięki jego nieskazitelnemu sprawowaniu (skalanemu jedynie niewidzialnymi plamami w postaci mimowolnego zabójstwa i złamania regulaminu wypadem dokonany w przepisowej porze snu i w obrębie murów więzienia) świeżo upieczony wspólnik, który robił interesy z Wydziałem Zakładów Poprawczych, wstawił się za nim i zdołał mu załatwić przedterminowe zwolnienie. Po paru godzinach dziadek zabrał moją matkę na zwiedzanie nowego biura MRX. Wynajął pół piętra w dziesięcioletnim budynku przy Cortlandt Street, w śródmieściu, parę przecznic od sklepu Arrow Radio, którym kierował w połowie lat pięćdziesiątych. Kiedy tam dotarli, stryj Sammy właśnie oprowadzał po biurze swojego brata oraz bratanek, ciemnookiego przystojniaka i nadzieję rodziny – niespełna dwudziestoletniego, a już na studiach medycznych. Bratanek drobną budową, szykownym ubraniem, wypolerowanymi paznokciami i czymś jeszcze („może po prostu wyglądał na szwindlarza?”) przypominał dziadkowi stryja Raya, oczywiście sprzed epoki tajemniczej opaski na oko. Co ich właściwie łączyło? Młody Chabon tak samo jak Reynard umiał sprawiać wrażenie roztargnionego, gdy w rzeczywistości taksował wzrokiem rozmówcę (w tym wypadku moją matkę) od stóp do głów. Matka odwzajemniła jego nieuważną uwagę, popisując się serią nieupozowanych póż. Po pięciu minutach niepostrzeżenie dokądsz się wymknęli. Kiedy dziadek odnalazł ich na schodkach przeciwpożarowych, palili i „tylko rozmawiali”.

Mimo przekazywanych z pokolenia na pokolenie odwiecznych werdyktów naszych mędrców, wedle których przystojnym studentom medycyny należał się kredyt zaufania, dziadek nie zdołał stłumić irytacji.

- Nie obejrzałaś nawet komory testowej – poskarżył się później.
- Nie widziałaś tunelu aerodynamicznego.
- Śmierdziało w nim starymi fistaszkami – odparła matka.

Dziadek oddał bratu na przechowanie dziewczynkę pachnącą mydłem Lifebuoy i klejem z mąki, a odebrał młodą kobietę, od której zalatywało papierosami i dezodorantem. Nie miał jednak do Raya pretensji o tę jej przemianę w osobliwego i niezgrabnego podrzutka z wydatnym biustem i oczami, które bezlitośnie osądzały każdy napotkany obiekt prócz pieków kanapowych i niemowląt. Nie składał też jej przepoczwarczenia wyłącznie na karb hormonalnej nieuchronności nastoletniego buntu. Wiedział, że sam tu zawinił. Pamiętnego dnia w biurze Feathercombs, Inc. nie umiał zapanować nad gniewem i właśnie stąd wziął się jej gniew, który sączył się z niej, ilekroć zaszczyciała go słowem lub spojrzeniem. W ciągu trzydziestu siedmiu godzin, które spędzili we dwoje od chwili spotkania w restauracji Schraffta na Fordham Road, zdołał uniknąć otwartej kłótni. Raz po raz zdarzały się jednak przytłumione wybuchy, a plazma gniewu zdawała się oblepiać moją matkę jak ogień Świętego Elma. Dziadek pomyślał, że może właśnie on tak mu migocze w kąciku oka.

– Po co wmusiłeś we mnie tyle jedzenia?

– Musisz coś jeść.

– Właśnie że jem, tylko nie śniadanie. Stryj Ray też nigdy nie jada śniadań.

– To najważniejszy posiłek z całego dnia.

– Mówiłam ci, że mój żołądek rano nie przyjmuje jedzenia.

W drodze z Bronksu na południe dziadek chciał sprawić matce niespodziankę, więc zabrał ją do Howarda Johnsona na śniadanie, bo pamiętał, że przed paroma laty uwielbiała takie wypady. Wcale nie miał zamiaru jej namawiać, a w końcu zmusić do zjedzenia piramidki naleśników z czekoladową posypką, ale jakoś tak samo wyszło.

– Wiem, kochanie. Mówiłaś. Przepraszam.

– Powiedziałam, że chcę tylko kawę.

– I papierosa.

– O zgrozo – jęknęła moja matka. – O, wiekuisty wstydzie.

Dziadek stopniowo układał listę niekorzystnych zmian, które zaszły w niej przez te trzynaście miesięcy, kiedy beztrąsko troszczył się o nią jego brat. Jak dotąd pierwszy na liście był

sarkazm, a zaraz po nim palenie.

Gdy skręcili na parking przed szpitalem, słońce przedarło się przez chmury, przydając cukierniczego splendoru spiętrzonej łukom i podobnym do lambrekinów gzymsom Greystone Park. Nie był to dzień regulaminowych odwiedzin, więc dziadek znalazł wolne miejsce blisko majestatycznych schodów głównego gmachu. Zgasił silnik. W samochodzie dał się słyszeć terkot zraszaczy. Nad rozległymi pustymi trawnikami wionął opalizujący woal wodnego pyłu. Tamtego ranka jedną ze strużek w nurcie rojeń dziadka był widok mojej babki ubranej w ściągniętą paskiem granatową sukienkę, którą miała na sobie w dniu rozstania, wstającej z najwyższego stopnia schodów głównego gmachu. Z wahaniem podnosiła rękę, aby zaraz ją opuścić i w te pędy zbiec ku niemu po schodach. Wskakiwał wtedy z buicka, zostawiając włączony silnik i otwarte drzwi, po czym wybiegał jej naprzeciw. Rzuciła mu się w ramiona i ścisnęła go w pasie nogami. Spotkanie ich ust było punktem stałym, wokół którego obracał się świat, dzień i szpital stanowy.

Ale na schodach nikt nie siedział. Moja matka spuściła podbródek i otworzyła oczy. Wyjęła z torebki paczkę marlboro i włożyła papierosa między wargi. Ustniki były czerwone, bo inaczej odznaczałyby się na nich szminka, lecz dziadek dzięki wytrwałym i coraz żałośliwszym błaganiom zdołał namówić córkę, żeby chociaż na ten jeden dzień zrezygnowała z makijażu, dopóki wszyscy nie przywykną do jego widoku.

– Ja już przywykłam – odparła sucho.

Odruchowo sięgnął do kieszeni po zapalniczkę Aughenbaugha i podał córce ogień, po czym odwrócił głowę, żeby nie widzieć, jak wprawnie zabrała się do palenia. Ona zaś z cnotliwą ostentacją wydmuchiwała dym za okno riviery. Dziadek zauważył, że papieros drży jej w palcach.

– Jak ona właściwie się czuje? – spytała. – Tylko nie mów, że „to się okaże”.

W ustach mojej matki to zapożyczone wyrażenie zawisło na haczykach ironicznego cudzysłowu, ale dziadek nie znalazł w logice tych słów żadnych słabych punktów.

– Robili jej elektrowstrząsy?

– Kto ci powiedział? Ray?

Skinęła głową. Płakała. Wyciągnął do niej rękę, ale ją odepchnęła. Chwyliła elektryczną zapalniczkę, wyrwała ją z otworu pod tablicą rozdzielczą i zanim dziadek zdążył ją powstrzymać, dotknęła siateczki czubkiem palca wskazującego.

– Super – powiedziała, wtykając zapalniczkę z powrotem w otwór. – Sprzedali ci zepsutą brykę.

– Nie robili jej elektrowstrząsów – odparł. Był prawie pewien, że mówi prawdę. – O ile wiem, dali tylko jakieś hormony.

Lekarz wspomniał mu przez telefon, że przed rokiem babka dostała przedwczesnej menopauzy, wskutek czego nasiliły się symptomy. Spróbowano podać jej nowy lek, który niedawno pojawił się na rynku – premarin.

– Czy ja wiem – powiedziała moja matka. – Skoro jest taka, a nie inna, bo spotkały ją w życiu te wszystkie rzeczy, na zdrowy rozum trzeba by je chyba z niej jakoś wytrząsnąć.

Dziadek odparł, że niewiele wie o terapii elektrowstrząsowej, ale jego zdaniem raczej nie działa ona w ten sposób.

– Co za gmaszysko – powiedziała matka, patrząc przez okno na warowne mury Greystone. – Brr. Nie dam rady wejść. Nie chcę jej tam oglądać. Lepiej wejdz i ją przyprowadź, co? A ja zaczekam w aucie? Proszę, tato. Przepraszam, że byłam taka upierdliwa. Chcę zobaczyć mamę, ale wolę tam nie wchodzić.

Dziadek wyjął spod tablicy rozdzielczej zapalniczkę. Nie zamierzał zmuszać córki, żeby oglądała matkę w domu wariatów, lecz nie chciał też, żeby jego żona wyszła stamtąd po jedenastu miesiącach pobytu i zobaczyła, że czeka na nią sam. Nie umiał rozstrzygnąć, które rozwiązanie dobitniej świadczyłoby o jego nieudolności. Zbliżył czubek palca do siateczki i poczuł bijący od niej żar na dobrą chwilę, zanim jej dotknął. Zasyczało, a w samochodzie rozniósł się mdlący zapach jak przy borowaniu zęba.

– Załatwione – rzekł dziadek.

Przestawił samochód w cień i spuścił szyby. Wysiadł i zatrzasnął drzwi. Był już prawie na schodach prowadzących do

drzwi wejściowych Greystone, kiedy usłyszał z tyłu szuranie podeszew żeglarskich butów córki. Przystanął na najniższym stopniu i obejrzał się za siebie. Stała tuż za nim. Oboje spojrzeli na dębowe odrzwia oplecione pnączem z kutego żelaza i na chwilę ogarnęło ich to samo onieśmienie, zgroza, a przynajmniej wahanie. Dziadek czuł, że nie tylko powinien, ale też chce wziąć córkę za rękę, ale bał się to zrobić, bo a nuż by go odtrąciła tak jak przy pierwszym spotkaniu i została by z wyciągniętą dłonią. Jeszcze bił się z myślami, czy może zaryzykować takie rozczarowanie, gdy poczuł w dłoni motyli trzepot jej palców.

Z rejestracji za zasuwaną taflą szkła wyszła pani w białym rozpinanym swetrze i białych tenisówkach. Przez szkło prześwitywały żyłki drucianej siatki. Kobieta nie była pielęgniarką, lecz jej siwe włosy, krótko ostrzyżone i podczesane do góry, przypominały pielęgniarski czepek z zadartymi skrzydełkami. Kazała dziadkowi zaczekać w holu na doktora Medveda, który leczył moją babkę. Jej rekonwalescencja przebiegała pomyślnie, więc dziadek nie powinien się niczego obawiać. Doktor chciał z nim tylko omówić pewien aspekt opieki nad pacjentką.

– Chodź, kochana – powiedziała kobieta do mojej matki. – Pójdziemy do teatru.

Jej dobroćliwość nie wywarła spodziewanego wrażenia, bo matka po wejściu do holu obudziła się jak lunatyk, który na dachu stwierdza nagle, że stoi o krok od przepaści. Bała się ruszyć. Przypomniała jej się scena z jakiegoś filmu: żołnierz nadepnął na minę i wiedział, że ta nie wybuchnie, dopóki on nie podniesie stopy. Bała się odezwać, słuchać, oddychać. Hol był ogromny, okolony dwoma biegami schodów prowadzących na półpiętro z kolumnadą. Wisiał w nim kryształowy żyrandol, posadzka była z marmuru w szachownicę, a w powietrzu – maskowany sosnowym aromatem płynu do mycia i wonią doniczkowych narcyzów – unosił się fetor ludzkich odchodów.

– Nie chcę iść do żadnego teatru. Przyjechałam tu tylko po mamę.

– Twoja mama jest właśnie w teatrze, moja droga – wyjaśniła kobieta. – Trwa próba kostiumowa. Mama bardzo się w teatrze udziela.

– Ale my ją dziś zabieramy do domu – powiedział dziadek.

– Tak, tak. Wie o tym.

Dziadkowi zrobiło się przykro i chyba było to po nim widać, bo kobieta spojrzała na niego z wyraźnym współczuciem.

– Dopiero wczoraj dostała wiadomość o państwa przyjeździe, prawda? A czy wiedziała, o której dziś dotrzecie?

– Widocznie zapomniałem jej podać godzinę – rzekł dziadek.

Wysłał wprawdzie depezę, ta jednak mogła się gdzieś po drodze zawieruszyć, a on nie chciał, żeby rejestratorka się nad nim litowała. Spojrzał na zegarek. Kobieta obiecała mu przed chwilą, że lekarz przyjdzie za pięć, najdalej za dziesięć minut. Dał córce znak krótkim skinieniem głowy.

– Idź.

Nie zauważyła tego. Wpatrywała się w coś z niewyraźną miną. Dziadek położył córce rękę na ramieniu i podążył za jej spojrzeniem. Spodziewał się ujrzeć ludzki wrak, powłóczącą nogami pacjentkę ze spuszczoną głową i paznokciami jak kostki do gitary. Przez jedną straszliwą chwilę był pewien, że jego córka, zamarła w bezruchu, wpatruje się ze zmarszczonymi brwiami właśnie w moją babkę. Lecz gdy się odwrócił, stwierdził, że chyba po prostu utkwiała wzrok w ścianie.

– Co się stało? – spytał.

– Nic – odparła nieprzekonującym tonem.

– Chodź, kochana – powtórzyła kobieta w białym swetrze. Tym razem wzięła matkę za łokieć i lekko ją pociągnęła w stronę szerokich drzwi między dwoma biegami schodów. – Proszę usiąść – dodała, zwracając się do dziadka. – Doktor Medved przyjdzie lada chwila.

Dziadek usiadł w fotelu przy drzwiach wejściowych, patrząc w ślad za moją matką. Zaraz jednak wstał i zawołał:

– Proszę pani!

Kobieta w białym swetrze przystanęła i spojrzała na niego przez ramię.

– Tak?

– Co to za sztuka?

– Nie umiem panu powiedzieć – odparła rejestratorka. – Nic a nic z niej nie rozumiem.

Kobieta powiedziała, że nazywa się Outcault. Między holem wejściowym a teatrem, mieszczącym się na samym końcu długiego korytarza, który wił się to w lewo, to w prawo przez jedno ze skrzydeł szpitala zbudowanych w kształcie błyskawic, co pewien czas szpikowała próżnię milczenia mojej matki porcjami szpitalnych dziejów i legend. Wspomniała, że sama też ma szesnastoletnią córkę, więc dobrze wie, o czym dziewczynka w tym wieku najbardziej lubi słuchać. Jeśli mijany akurat pacjent miał ciekawe objawy (takie jak narkolepsja, chorobliwy lęk przed nakryciami głowy czy niezdolność rozpoznawania niebezpieczeństw) albo interesującą przeszłość, jak na przykład śpiewak folkowy pan Guthrie, wtajemniczała matkę w jego przypadek.

Wyjaśniła jej, że teatr w szpitalu powstał na życzenie zamożnego człowieka nazwiskiem Adolf Hill – zamieszkałego w Paterson producenta jedwabiu na krawaty. Wierzył on, że starożytni Grecy byli najzdrowszymi psychicznie ludźmi w dziejach świata. Przypisywał to wspaniałości greckich dramatów, dzięki którym zarówno widzowie, jak i aktorzy mogli spoglądać w oczy przerażającym sprawom wewnątrz i na zewnątrz własnych czaszek. Kiedy jego żonę zamknięto w Greystone, ufundował Teatr imienia Adolfa i Millicent Hillów. Zdaniem pani Outcault nieprawdą było, jakoby Hill celowo umieścił małżonkę w szpitalu, żeby sprawdzić swoją teorię leczniczego działania teatru, wydawało jej się natomiast możliwe, że właśnie jego teoretyzowanie wpędziło niešťczęsną Millicent w obłęd. Około roku 1927 powiesiła się w swoim pokoju – dzięki Bogu nie w teatrze – na stryczku splecionym

z trzech krawatów uszytych z najlepszego gatunkowo jedwabiu, jaki wytwarzał jej mąż w swojej Empire Silk Company.

Przed drzwiami teatru siedział na pikowanej skórzanej kanapce starzec w zielonym trzyczęściowym garniturze z szorstkiej tkaniny koloru bawarskich lederhosen, z lamówką wokół klap i dziurek od guzików utrzymaną w jaśniejszym odcieniu serca karczocha. Siedział wyprostowany jak struna, z dłońmi na kolanach. Z górnej kieszonki marynarki wystawała złożona w lilijkę chusteczka. Wyglądał, jakby ze zdumiewającym natężeniem wpatrywał się w przeciwległą ścianę. Nie spojrzął na nadchodzących ani nie przestał studiować ściany, dopóki pani Outcault nie dotknęła jego ramienia.

– Autor! Autor! – powiedziała.

Wzdrygnął się i skrzywił, wznosząc przy tym okrzyk głosem zgrzytliwym jak zardzewiała pompa.

– Och, za każdym razem go płoszę – rzekła pani Outcault. – Najmocniej przepraszam, panie Casamonaca. – Z głęboko skruszoną miną złożyła dłonie na piersi. – To właśnie pan Casamonaca napisał tę sztukę.

Pan Casamonaca zerwał się z miejsca i wydał kolejny dźwięk, w którym też nie można było dosłuchać się słów. Uśmiechnął się. Miał długie nogi i zanim grawitacja nagięła go do własnych celów, mógł być wysoki. W zielonym garniturze tkwił prawie sam szkielet. Dłoń, którą podał mojej matce, była krucha i chłodna.

– Jak się pan miewa? – bardzo głośno spytała pani Outcault.

Pan Casamonaca skłonił się łaskawie i wykonał w powietrzu tuż przed swoim nosem zapętlony gest błogosławieństwa, ozdobniejszy niż krzyż, jakby był kapłanem sekty uznającej za swój symbol przenajświętszy wieszak do bożych ubrań.

– Porozumiewa się na migi – wyjaśniła pani Outcault. – Biedak jest głuchy jak pień. Podobno trafił go piorun, chociaż głowy bym za to nie dała.

Pan Casamonaca dalej rysował długimi, bladymi palcami i wymanikiurowanymi do księżycowego połysku paznokciami różne rzeczy w powietrzu między sobą a moją matką. Regularną

sinusoidę dachu z blachy falistej. Kontur meduzy. Spirale wody spuszczonej w klozecie.

Pani Outcault z emfazą kiwała głową.

– Ależ tak – powiedziała. – Wiem. Ma pan całkowitą rację.

– Co on mówi?

– Nie mam pojęcia – wyznała pani Outcault kącikami ust, zaciśniętych w wąskim uśmiechu. Dalej jednak kiwała głową. – To w ogóle nie jest prawdziwy język migowy. On sam te znaki wymyślił. Nigdy nie nauczył się dobrze mówić po angielsku, a od paru lat już nawet nie umie czytać ani pisać po włosku.

– No to... jak napisał sztukę?

– Podyktował ją twojej matce i właśnie dlatego sztuka tak ją wciągnęła. Porozumiewał się z nią tymi swoimi szalonymi znakami.

– Mama nie zna żadnego języka migowego.

– Najwidoczniej biegle włada narzeczem pana Casamonaki.

Matka patrzyła, jak dłonie i palce starca objaśniają zachowanie rakiet kosmicznych, otwieranie puszk piwa i prawidłowy sposób układania piłki golfowej na podstawie.

– To wygląda, jakby na bieżąco wymyślał każdy ruch.

– Takie panuje przekonanie – powiedziała pani Outcault.

Głowa doktora Medveda wystawała z kołnierzyka koszuli jak wyprostowany kciuk. Na podbródku atramentowogranatowa szczecina, a niżej rozpięty biały kitel i letni beżowy garnitur w odcieniu papierowej koperty. Fioletowa muszka. Wydatna pierś i ciężki kałdun, w sumie ciało dokera, z którym kłóciły się, a może je nobilitowały powieszony w ramach dyplomy Uniwersytetu Nowojorskiego i Akademii Medycznej w Tulane. Lekarz skrzywił się, ostrożnie lądując na obrotowym fotelu za biurkiem. Z jego twarzy można było wyczytać bolesne wzdęcie, hemoroidy albo jedno i drugie. Stalowa konstrukcja fotela zgrzytnęła. Przyduszona sprężyna nieco się rozprostowała z brzękiem zmęczonego metalu.

– Jak już panu mówiłem, zaszła wyraźna poprawa – oświadczył

doktor Medved.

W jego głosie tak samo jak podczas krótkiej rozmowy telefonicznej słychać było dwuznaczny ton, nutkę asekuranctwa lub wahania. Chociaż mogła to być po prostu chroniczna zgaga. Postawił na blacie tekturowy kubek z wodą, której po drodze nabrał z chłodzonej bańki przed drzwiami gabinetu. Wyszarpnął jedną z szuflad biurka i poszukał w niej fiolki tabletek na nadkwasotę. Zdjął zakrętkę, wrzucił dwie tabletki do kubka, rozgiął spinacz i chyba dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że dziadek jeszcze mu nie odpowiedział. Zamieszał w kubku spinaczem, patrząc na gościa spod szcztokowatych brwi.

– I co pan na to? – zapytał.

Dziadek zazwyczaj nie ufał Żydom noszącym muszki, ale coś w zachowaniu Medveda (pewnie spinacz) kazało mu zrobić dla niego wyjątek.

– Oczywiście słyszę to z wielką ulgą – rzekł.

– Ale nieraz już pan jej doznawał. Oczywiście. Rozumiem. Muszę jednak coś panu powiedzieć. Żadne przyszłe pogorszenie. Ewentualny nawrót. W najmniejszym stopniu nie przekreśli pańskiej obecnej ulgi.

– Z całym szacunkiem, panie doktorze, doświadczenie mówi mi co innego.

Doktor Medved skinął głową. Tabletki w kubku syczały i chichotały. Lekarz wziął go do ręki i wychylił jednym haustem. Podniósł palec na znak, że prosi o chwilę przerwy, po czym zwinął tę samą dłoń w pięść i ucisnął nią sobie brzuch nieco poniżej żeber. Rozległ się dźwięk, który brzmiał jak przeciągła nuta spod smyczka sunącego po strunach wiolonczeli. Lekarz pochylił głowę, jakby onieśmielony, i z zakłopotaniem leciutko się uśmiechnął.

– Uff.

– *Mazeł tow.*

– Proszę wybaczyć – rzekł doktor Medved. – Lunch był trochę przyciężki. A teraz niech pan posłucha. Kiedy mówię „poprawa”, rozumiem, że może pan mieć powody do sceptycyzmu. Poprawę mierzy się według skali dużo subtelniejszej, drobiazgowszej niż

katastrofę, prawda? I całkiem normalna jest obawa, czy kochana osoba zdoła wrócić do tak zwanej cywilizacji. Krewnym z reguły radzę wystrzegać się zbyt dużych oczekiwań, żeby zminimalizować ból nieuchronnego rozczarowania.

Był to w przybliżeniu zwięzły opis postawy mojego dziadka wobec istnienia jako takiego. Usłyszawszy od Medveda taką jej definicję, i to w tym, a nie w innym kontekście, dziadek poczuł, że rozsypuje się w nim jakiś zastarzały węzeł.

– Chyba to potrafię – oświadczył.

XXXI

Przystanąła w głębi ciemnej widowni. Jasno oświetlona scena wraz z nadsceniem przypomina coś, co widziała raz w filmie ze Stewartem Grangerem – płonące w paszczy kamiennego bożka ognisko. Na każdym kroku zwidują jej się dziś twarze. Może powinna zająć miejsce swojej matki w tym wstrętnym gmachu. Nad sceną widzi jeszcze dwa oblicza: maski przedstawiające bieguny cyklofrenii. Zza kulis wygląda kobieta w trykocie w złoto-czarne paski, a jej umalowana twarz ma wyraz rozgorączkowania godny baletnicy. Grubas w szlafroku gra szkliste ostinata na organach Wurlitzera – okruchy walca z jakiejś na poły znajomej całości. Kiwa się przy tym na ławce do tyłu i do przodu, w szalonej niezgodzie z rytmem własnej muzyki. Potem zresztą okaże się, że to nie żaden grubas, tylko grubaska.

Ta pachnąca pluszem i kurzem jaskinia pozorów ma w sobie coś okropnego: magiczną cudaczność starych salonów rozrywki z bilardowych rewirów stryja Raya, pokojów na tyłach, do których idzie się między stołami bilardowymi i automatami do gry. Tanich katakumb uciech. Żywe kury w szklanych pozytywkach tańczą pod wpływem lekkich elektrowstrząsów aplikowanych poprzez łapy. Wrzuc moneta i zgilotynuj maleńką królową, zlinczuj nakręcanego Murzynka. Naturalnej wielkości manekin tancerki o pseudonimie Little Egypt odtwarza epileptyczne ruchy tańca brzucha. Nakręcany Lucyfer z nakręcanym szyderczym uśmiechem przepowiada ci wydarzenia z życia miłosnego, mówiąc barwnym slangiem, który upływ czasu zamienił w niezrozumiałą bełkot.

A ona stoi, spłoszona widokiem świetlistych ust sceny, jakby to z nich miała paść przepowiednia.

– Wszystko dobrze – mówi kobieta w białym swetrze. – Widzisz mamę, złociutka?

– Nie.

Tu i ówdzie pośród foteli dostrzega głowy innych widzów, ale żadna nie jest tą właściwą. Nie wyobraża sobie i nigdy nie odkryje natury ani tożsamości tamtych. Lekarzy. Pielęgniarzy. Napoleonów i matek Chrystusa. Słyszy pstryknięcie wyłącznika. W nieprzeniknionej nagle ciemności po siatkówkach przelatuje widmowy półksiężyc.

Znów zapalają się światła, wydobywając z mroku łąkę koniczyny. Trójlistne dłonie, twarze zwrócone ku lśniącemu słońcu, które wisi nad główkami kwiatów, nastroszonymi różem i bielą. Roją się wśród nich pszczoły o pulchnych pupach, latając zakosami. Niemo wadzą się z kwieciem. Zanurzają w jego twarzyczkach wielkie drewniane łyżki.

Zjawia się Jerzy Waszyngton w bryczesach, przypudrowanej peruce i grubym płaszczu, z siekierą u pasa. Łazi tam i sam, tupiąc butami, ubliżając kwiatom i podszczuwając pszczoły, żeby jeszcze pilniej rabowały z nich nektar. Okazuje się, że to nie żaden Jerzy Waszyngton, tylko pszczelarz. Zastosowanie czy też znaczenie siekiery, która zapewne nie ma posłużyć do ścięcia wisienki, pozostaje niejasne⁵¹. Pszczelarz patrzy z ukontentowaniem, jak pszczoły kursują z łyżkami pełnymi nektaru między splądrowanymi kwiatami a niewidoczną barcią. Dla niego wszystko to jest rzeczą codzienną. Wyleguje się na pagórku, walcząc z sennością. Pałające metalicznym blaskiem słońce chyli się ku zachodowi. Wieczór winduje w niebiosa srebrzysty księżyc.

Pszczelarz nie widzi, że zza lewej kulisy wyłażą na scenę dwa niedźwiedzie. W zgodnym rytmie kołyszą łbami na boki, podchodząc coraz bliżej. Wyglądają łachudrowato, jak dwóch zbirów w połatanych płaszczach. Śledzą transport nektaru. Za plecami pszczelarza zastępują drogę najpulchniejszej pszczole.

51 Aluzja do apokryficznej legendy, zgodnie z którą przyszły prezydent miał w dzieciństwie ściąć w rodzinnym sadzie wisienkę i mężnie się do tego przyznać (przyp. tłum.).

Grożą jej użyciem siły i konfiskują drewnianą łychę. Z niedźwiedzim łakomstwem wylizują ją do ostatniej kropli. Krzyki napadniętej pszczoły zwracają w końcu uwagę drzemiącego bartnika. Ten zrywa się na równe nogi i rzuca srebrzystą siekierą w rabusiów. Ale siekiera nie trafia w niedźwiedzie, tylko wznosi się aż ku księżycowi i wbija się weń z głuchym łoskotem słownika lądującego na poduszce.

Pszczelarz rozważa problem. Poprawia na głowie perukę. Przypomina sobie, że ma sznur. Robi z niego laso i zaczyna nim wywijać nad głową, że aż szumi, po czym próbuje zarzucić pętlę na sterczący z księżycy trzonek siekiery. Chybia jednak, więc sznur spada na ziemię. Pszczelarz znów nim wywija i ponawia próbę. Tym razem pętla zahacza o drewniane siekierzysko. Bartnik szarpie za sznur i zaczyna się po nim wspinać. Pszczoły, niedźwiedzie i kwiaty zadzierają głowy, przyglądając mu się ze zdumieniem. Pszczelarz dalej się wspina, bynajmniej nie zdumiony.

Na łąkę koniczyny spływa mrok, a na księżycu świta. Od widocznych w tle szczybatych gór bije chłodna, srebrzystobłękitna poświata, gdy pszczelarz z odzyskaną siekierą przechadza się w nowym otoczeniu, ani trochę nim nie onieśmielony. Mija srebrzyste drzewa księżycowe, szkieletowate jak kaktusy. Zbiera bukiet srebrnych kwiatów. Odwraca się i nagle zauważa srebrzystą piłeczkę, która toczy mu się pod nogi. Biegnie za nią jakaś kobieta, ale na widok pszczelarza staje. Ma srebrną szatę i takąż koronę. Z pleców wyrasta jej dwoje dużych srebrnych skrzydeł jak u ćmy, którymi księżycowy wietrzyk delikatnie trzepocze. Bartnik podnosi piłeczkę, po czym on i kobieta przez chwilę przyglądają się sobie. W końcu pszczelarz rzuca piłkę kobiecie, która ją łapie.

Dalsze losy pszczelarza i Królowej Księżycy po tym pierwszym spotkaniu oraz zakończenie pantomimy na zawsze pozostaną dla mojej matki tajemnicą⁵².

52 Ale nie dla czytelnika książki Rudolfa Ericha Raspego (1736–1794), zatytułowanej *De verrezen Gulliver*, z której moja babka (choć nie można wykluczać, że zrobił to pan Casamonaca) najwidoczniej ściągnęła ten

Księżycowe góry, lśniące w świetle reflektora z niebieskim filtrem żelowym w głębi sceny, ugnieciono z cynfolii, nadając jej kształt białych jak lukier wierzchołków. Drzewa (czyli kilka rozgałęzionych wieszaków do płaszczy) owinięto taką samą cynfolią, którą babka zawsze nazywała sreberkiem. Kwiaty zrobiono z pęków trzepaczek do jaj, ubijaków i chochli, wstawionych w formy do pieczenia ciast. Wszystko to wyglądało groteskowo i smętnie. Wręcz żałośnie. A mimo to cynfolia błyszczała w podwodnym świetle. Radośnie wzniesione ramiona wieszaków i bukiety przyborów kuchennych miały w sobie absurdałne dostojeństwo rzeczy powszednich.

Spoglądając w świetliste usta sceny, moja matka wyraźnie czuła, że to znajomy widok, jakby odwiedziła już kiedyś ten świat we śnie. Może w dzieciństwie mgła rojeń jej matki co noc przetaczała się przez dom, pozostawiając w pamięci córki roziskrzony osad? Zdumiewającej historii o pszczelarzu astronautcie i jego wizycie na Księżycu w żadnym razie nie mógł podyktować jej matce za pomocą rzekomych znaków migowych biedny, stary, rażony piorunem pan Casamonaca. Królowa Księżycy biegnąca za cynfoliową piłeczką miała na sobie suknię z cynfolii, na głowie takąż koronę, a na plecach chybotliwe skrzydła z nylonowych pończoch, naciągniętych na ramiączka do ubrań i oblepionych cekinami. To wcale nie był Księżyc. To był jakiś inny świat – inna matka – nieujęty na mapach i dotąd nieznan.

– To było po prostu najpiękniejsze ze wszystkiego, co może być – powiedziała mi matka.

A potem promienne błyski jak gdyby wypłoszyły cynfoliową koronę i zaroily się w powietrzu między matką a córką, podrygując i polatując, aż w końcu wszystkie odfrunęły, a ona została w ciemnościach.

Ocknęła się na skórzanej kanapce przed drzwiami teatru, siedząc obok pana Casamonaki, z nosem pełnym zapachu naftaliny, który sączył się z jego garnituru. Pani Outcault kuciała przed nią ze zmarszczonymi brwiami, jakby obserwowała przez szybkę piekarnika ciasto, niepewna, czy już je wyjąć. Za panią Outcault stały trzy koniczyny, niedźwiedź, dwie pszczoły oraz tłusta pianistka w szlafroku i kapciach. Za nimi w prawo i w lewo ciągnęła się ściana oklejona tą samą tapetą co ściany w holu wejściowym, w którą matka nieco wcześniej wpatrywała się przy dziadku, a on nie rozumiał przyczyny jej fascynacji. Otóż tapeta oglądana w pewien sposób wydawała się całkiem zwyczajna – ot, deseń różowych jak goździki tarcz herbowych z białymi medalionami, każda podparta dwiema girlandami ze złotych liści wierzbowych. Ale jeśli popatrzyło się inaczej, widziało się mnóstwo twarzy o ustach ociekających krwią, oślich uszach i uporczywym spojrzeniu⁵³.

– O, wróciła! – zawołała pani Outcault. – Nic ci nie jest, kotku, prawda?

Matka kiwnęła głową, chociaż właściwie nie była pewna. Oderwała wzrok od tapety i stwierdziła, że obok siedzi pan Casamonaca. Zadzierał podbródek i z zadowoloną, spokojną miną patrzył na nią znad długiego nosa. Jego spojrzenie mówiło: „Nie martw się, wszystko rozwija się zgodnie z moim zamysłem”.

– Podobała mi się pańska sztuka – rzekła matka.

Zamiast odpowiedzi pan Casamonaca z powagą zdjął zakrętkę z niewidzialnego słoja. Matka usłyszała stukot obcasów i szelest z domieszką grzechotu. Do holiku wbiegła babka już bez skrzydeł, przyciskając do głowy przekrzywioną na bakier koronę. Pani Outcault wstała, po czym wszyscy cofnęli się

53 W nieopublikowanych pamiętnikach zatytułowanych *Notatki z Greystone* (1979) doktor Medved odnotowuje, że poddająca się dwojakim interpretacjom tapeta budziła lęk, a nieraz wręcz zgrozę w wielu pacjentach Greystone Park. Wraz z paroma innymi lekarzami nalegał, aby ją zdarto lub zasłonięto, ale „diabelskie maski” pozostały na miejscu aż do roku 1972, kiedy to ściany pomalowano „na łojowy odcień zieleni, zwany »awokado«, który wielu z nas wydawał się tak samo niepokojący”.

i spojrzeli na babkę. Tylko pan Casamonaca zdawał się jej nie dostrzegać. Moja matka zbyt pospiesznie zerwała się z miejsca. Puls przebiegł jej po zawiasie żuchwy, jakby ktoś zabębnił w nią palcami.

– Przepraszam, mamó – powiedziała. Były to pierwsze słowa, jakie jej się nasunęły.

Podeszła do babki, która ujęła jej szyję mocnym uściskiem chłodnych, nagich ramion. Zrobiła to niezręcznie, ale szczerze. Spojrzenie matki znowu powędrowało ku tapecie i tysiącom rozdziawionych ust w oprawie długich uszu, a babka wiedziała bez sprawdzania, co tam widać.

– Nie musisz patrzeć – powiedziała.

Matka odwróciła spojrzenie od tapety, raz na zawsze.

– Siedział pan w więzieniu – rzekł doktor Medved.

– W Wallkill – uściślił dziadek. – Trzynaście miesięcy.

– Za przestępstwo z użyciem przemocy.

Dziadek przewidział, że przez resztę życia ludzie będą się czasem domagali, żeby się jakoś wypowiedział z wydarzeń spomiędzy sierpnia 1957 a września 1958 roku. Postanowił odpowiadać na to pytanie tylko wtedy, gdy zada mu je wprost ktoś, kto z rozsądnych powodów będzie miał prawo znać fakty. Dotyczyło to oczywiście pracodawców, chociaż w ówczesnej sytuacji, zwerbowany przez Sama Chabona (którego naczelnik powiadomił o wszystkim) jeszcze w więzieniu, nie musiał nic mówić. Babce zamierzał opowiedzieć o miesiącach odsiadki, jeżeli o nie zapyta. Sam z siebie nie miał najmniejszej ochoty podawać jej żadnych szczegółów. Jeśli idzie o moją matkę, to pytanie „Jak było w więzieniu?” znalazło się wśród tych paru, które spontanicznie rzuciła w jego stronę podczas jazdy z Nowego Jorku, i wyglądała na zadowoloną (choć sama twierdziła po latach, że tylko z musu zadowolona się tak zwięzłym podsumowaniem), kiedy odpowiedział: „Interesująco”. Jeśli idzie o innych ludzi, to dziadek przewidywał, że zanim umrze, zapewne zostanie wciągnięty jeszcze w trzy do pięciu dyskusji

o swoim uwięzieniu i na taką też ich liczbę był przygotowany. Postanowił zużyć jeden z tych talonów właśnie teraz.

– Rzuciłem się na kogoś. Na swojego pracodawcę. Próbowałem go udusić kablem od telefonu.

– Rozumiem. A czymże on sobie zasłużył na takie potraktowanie?

– Niczym – przyznał dziadek. – O ile wiem.

– Ha – rzekł lekarz. – Czym zatem je sprowokował?

– Wylał mnie z pracy.

– A.

– To się stało nazajutrz po tym, jak ona pierwszy raz spróbowała spalić drzewo. Byłem... no, wie pan. Byłem wzburzony.

– Bo podpaliła drzewo. A przedtem przez ponad rok...

– Prawie przez dwa lata.

– ...wydawało się, że jej choroba w zasadzie przeszła. Halucynacje złągodniały.

– Ale patrząc wstecz, zobaczyłem... zdałem sobie sprawę, że one... że choroba tylko się przyczaiła. Przez jakiś czas udawało nam się jej nie zauważać, i tyle.

– I nagle tamtej nocy znów zaatakowała. Wielkim słupem ognia. To musiało być przerażające.

– Zapewniam pana, że przekreśliło moje uczucie ulgi.

– A nazajutrz. Ta napaść. W jakim stopniu gniew, pod wpływem którego spróbował pan udusić pracodawcę, był w istocie przeniesioną złością na pańską...

– W stu procentach. W ogóle faceta nie znałem.

– A.

– Właściwie to nie na nią byłem zły. Nie miałem jej za złe i teraz też nie mam. Wiedziałem, że to było od niej silniejsze. Że w żaden sposób nie mogła się powstrzymać.

– I dlatego poczuł pan, że musi wyładować gniew na kims innym.

– Niewykluczone.

– Powiedziałbym, że całkiem prawdopodobne.

– Jest w tym pewna logika.

– A gdyby... hmm. Gdyby nie rozumiał pan tak jasno, że żona jako osoba niezrównoważona psychicznie jest z gruntu niewinna? Gdyby pan czuł, że ona jednak w jakiś sposób ponosi winę za swoje czyny? Czy pański gniew skrupiłby się wtedy na, hmm, na właściwszym obiekcie? Mam na myśli to, że spróbowałby pan odegrać się na niej, zamiast na kimś stosunkowo obcym.

– O co tu w ogóle chodzi? Czy jest coś, czego nie wiem? Jak można by ją obarczać winą? – Dziadek ugryzł się w język, zanim wyrwało mu się następne pytanie: „Czyżby Bezsłony Koń naprawdę istniał?”. A potem na widok miny Medveda zapragnął w głębi duszy przeformułować ową niewypowiedzianą kwestię, zając ją od drugiej strony: „A może ona to wszystko zmyśliła?”.

Medved zamilkł na niezręcznie długą chwilę. Następnie chwycił za poręczę fotela i dźwignął się na nogi. Podszedł do dużej stalowej szafy w kącie pokoju. Stały w niej na stalowych półkach rzędy wąskich tekturowych pudełek zwrócone grzbietami na zewnątrz jak książki. W sumie było ich sześćdziesiąt parę, może nawet nieco ponad siedemdziesiąt, a na ich grzbiety naklejono białe prostokąciki z nazwiskami pacjentów i datami. Każdy pacjent miał co najmniej trzy pudełka, a moja babka aż siedem. Medved wskazał przysadziste szare urządzenie stojące na niskim stalowym stoliku maszynistki obok szafy.

– Wie pan, co to jest?

– Magnetofon. Chyba Wollensak.

– Zgadł pan. Nagrywam na nim rozmowy z pacjentami. – Lekarz wskazał stojące w szafie pudełka z nazwiskiem babki. – Tu są moje sesje z pańską żoną. Oczywiście nie mogę dać ich panu posłuchać. Właściwie nie powinienem ich panu streszczać, opowiadać własnymi słowami ani w ogóle o nich z panem rozmawiać.

Zamknął szafę i wrócił na fotel. Złapał się za policzki i rozciągnął je, międląc w palcach.

– Z początku niewiele gotowa była mi powiedzieć ciekawych rzeczy. Miała się na baczności, nie tyle przede mną i moimi pytaniami, ile przed swoim dręczycielem. Ale kiedy zaczęliśmy ją

leczyć premarinem... No cóż, głęboko wpłynął na jej symptomy i zachowanie. Na schematy myślowe i ich ekspresję. Skutki były tak widoczne, że zmuszony jestem podważyć wcześniejsze rozpoznanie schizofrenii na tle traumatycznym i wziąć pod uwagę możliwość, że pańska żona od początku cierpi na jakiś rodzaj ostrego zakłócenia równowagi hormonalnej, niedobór estradiolu, który powinny wydzielać jajniki.

– Chyba żeby właśnie stąd brała się schizofrenia.

– Nie można tego wykluczyć, przynajmniej u kobiet. Estradiol może tu oczywiście grać kluczową rolę. Naprawdę nic a nic o tym nie wiemy. W każdym razie skoro tylko głos zaczął cichnąć... jak tylko mogła sobie pozwolić na opuszczenie gardy... Zaczęła mówić podczas tych naszych sesji ze swobodą, jakiej nigdy przedtem nie miała ani nie czuła. Naturalnie słuchałem. I nie tylko dlatego, że to mój obowiązek i źródło dochodów. Jej opowieści. O własnych przeżyciach. Z czasu wojny. Były... – Medved oparł lewy łokieć na biurku, a na lewej dłoni podbródek. Spojrzał przez okno gabinetu w niebo czerniejące na wschodzie. – Będę z panem szczerzy. Doprawdy nie wiem, jak zakończyć to zdanie.

– Słyszałem tę całą historię – powiedział dziadek. – Znam ją.

– Coś pan z pewnością słyszał. Ale czy wszystko?

– Skąd mam wiedzieć.

– Racja. Ale pozwoli pan, że o coś zapytam. Kiedy mówiła o swojej rodzinie i przeżyciach wojennych. O okolicznościach narodzin państwa córki. Albo pomińmy to. Ogólnie rzecz biorąc, czy podczas wspólnie przeżytych lat jej sposób uzewnętrzniania emocji i schematów myślowych wydawał się panu... *spójny*? Czy w jej, powiedzmy, autoprezentacji była wyraźna konsekwencja?

Dziadek poczuł się tak, jakby przy zgaszonym świetle wchodził po schodach i chcąc na samej górze zrobić jeszcze krok, wpadł w dziurę. Począwszy od popołudnia tamtej dawnej niedzieli, kiedy przed drzwiami synagogi Ahavas Sholom babka z dnia na dzień jakby zapomniała albo wyłączyła rzekomo nieprzewyciężony wstręt do dotyku zwierzęcych skór, odpowiedź na pytanie doktora Medveda zawsze brzmiała

przecząco.

– Właśnie to mnie martwi – łagodnie rzekł lekarz, kiedy dziadek skwitował jego słowa milczeniem. – Ze względu na incydent z drzewem i pańską reakcję. No bo gdyby coś panu wyznała albo sam by się pan czegoś dowiedział o niej albo o jej opowieściach o sobie samej, poznał pewne fakty z jej przeszłości, które postawiłyby pod znakiem zapytania wszystko, co panu wcześniej wyjawiała?

– Czyli mam ją poprosić, żeby mi nic nie mówiła – stwierdził dziadek.

– Doprawdy. – Doktor Medved zrobił zdziwioną minę. Może był nawet trochę rozczarowany.

– Skoro lepiej się czuje, reszta mnie nie obchodzi.

– Ale jak już wspomniałem... Mam nadzieję, że wyraziłem się jasno: oczywiście będziemy nadal przepisywać jej premarin, nie dysponujemy tu jednak żadnym doświadczeniem ani precedensami. Nigdy nie widziałem takiego przypadku jak ona, więc nie sposób przewidzieć, czy działanie, którego jesteśmy świadkami, okaże się chociaż w miarę trwałe, a co dopiero nieodwracalne⁵⁴. Gdyby jej samopoczucie się pogorszyło...

– Panie doktorze, wszystkie złe i wstrętne rzeczy, całe dno tego czegoś, co dolega mojej żonie... już je widziałem i słyszałem. Wiem, że to jakaś ohyda, za którą ona siebie nienawidzi...

– To chyba nie takie proste. Tu nie chodzi o coś, co ona zrobiła albo czego zaniechała, tylko o wpływ jej konkretnej, hmm, sytuacji hormonalnej na pewien zbiór okoliczności...

– Panie doktorze, jestem inżynierem. Inżynierem elektrykiem. Akurat tego fachu mnie nauczono. Inżynierowie poświęcają mnóstwo czasu tak zwanej analizie defektów. Każda rzecz, którą się projektuje, testuje czy buduje... bo jak panu wiadomo, rzeczy się psują. Nawalają, eksplodują, zapadają się, wypalają, łamią, zużywają, pękają. A człowiek chce ustalić, dlaczego coś nawaliło, bo to należy do jego zadań. Chce zlokalizować usterkę, żeby ją naprawić. Może dawniej patrzyłem na żonę pod tym kątem.

54 „Okazało się dosyć nieodwracalne” – z goryczą zauważyła moja matka, kiedy pierwszy raz czytała te wspomnienia.

Przynajmniej z początku, zresztą może nawet dosyć długo. Chciałem ustalić, co w niej pękło. Myślałem, że dam radę ją naprawić. Ale już nie chcę traktować jej tak, jakbym szukał spalonego kondensatora. Chcę tylko, wie pan... biorę ją, jaka jest, i... – Dziadek miał już powiedzieć, że kocha moją babkę, ale czuł, że mężczyzna mężczyźnie nie powinien czymś takim zawracać głowy. – Jest pęknięta, ja jestem pęknięty – dodał. – Wszyscy są pęknięci. Skoro przestała być nieszczęśliwa, ja to kupuję.

Doktor Medved zamrugał. Miał taką minę, jakby układał w głowie ripostę.

– Ja... Dobrze – powiedział. – Zna pan siebie lepiej niż ja pana.

– Niech pan nie będzie tego taki pewny – odparł dziadek.

Ktoś cicho zapukał do drzwi, które zaraz się otworzyły i weszła babka. Włosy miała w lokach i patrzyła na dziadka jakby z drugiego brzegu tych złamanych oczu, granatowych niby noc w Monte Carlo. I ta jej twarz, wszystkie linie urody i udręki, które mimo nerwicy frontowej i ogólnej pogardy dla sentymentalnych konwencji urzekły go wtedy od pierwszego wejrzenia. Miała na sobie tę samą granatową sukienkę, w której ją przyjęto do *Greystone Park*. Szeroki pasek ścisnął ją w talii, bardzo korzystnie uwydatniając piersi i biodra. Troszkę przytyła i to także okazało się korzystne.

– Cześć, kochanie – powiedział dziadek.

Wstał i podszedł, żeby objąć żonę. Pocałował ją. Miał to być tylko powitalny całus, ale potrwał chwilę, a na koniec babka leciuteńko ugryzła dziadka w dolną wargę. Gdyby nie obecność tego cholernego lekarza z jego dyplomami, nadkwasotą i niepotrzebnym nałogiem dociekania prawdy, dziadek położyłby babkę brzuchem do dołu na biurku w rozsypce długopisów i spinaczy. I poddałby próbie więź, która jeszcze nigdy nie zawiodła. Odsunęli się od siebie. Babka spojrzała na doktora Medveda. Z nadzieją, obawą, pytaniem:

– Tak okej?

Dziadek zerknął na doktora. Ten już stał, popatrując to na dziadka, to na babkę. Po czym wygłosił ostateczny werdykt, osądzający całą sytuację oraz defekt obwodów pacjentki, którego

dziadek postanowił nie analizować.

– Skoro to państwa urządza – powiedział – to chyba okej.

Doktor Medved umarł na atak serca w 1979 roku, owdowiawszy tak jak i mój dziadek. Jego zawodowa korespondencja i nagrania sesji terapeutycznych, przechowywane w pudełkach z tektury w marmurkowy wzór i nadal objęte klauzulą poufności, przeszły w ręce dwojga dorosłych dzieci. Młodzi Medvedowie chcieli powierzyć dokumenty i taśmy ojca jakiemuś archiwum. Próbowali w Stowarzyszeniu Psychiatrów Stanu New Jersey, w Tulane i na Uniwersytecie Nowojorskim, w bibliotece synagogi swojego ojca w Fair Lawn. Pudełek było jednak mnóstwo: „co najmniej dwieście pięćdziesiąt” według córki nieboszczyka, Lorraine Medved-Engel, emerytowanej nauczycielki i trenerki oddychania holotropowego z Mantoloking w New Jersey, starszej od brata.

Dotarłem do Lorraine w początkach 2013 roku. Chodziło mi wtedy po głowie, żeby napisać powieść na podstawie tego, co wiedziałem o babce i jej chorobie, a w spuściźnie doktora Medveda miałem nadzieję znaleźć przydatne informacje. Zanim trafiłem do Lorraine Medved-Engel, liczba pudełek spadła do dwudziestu siedmiu za sprawą zmiennych kolei losu, klęsk żywiołowych oraz Wayne’a, syna doktora Medveda. Wayne Medved, w którym zdaniem Lorraine „tata zawsze budził tyleż niechęci, ile uwielbienia”, większość pudełek wyprawił na wysypisko śmieci, a wkrótce potem odebrał sobie życie w dziesiątą rocznicę śmierci ojca. We wrześniu 2012 przez Mantoloking i suterenę Lorraine przeszedł huragan Sandy, unicestwiając większość pozostałych taśm.

Dwa z ocalałych dwudziestu siedmiu pudełek zawierały taśmy nagrywane podczas sesji terapeutycznych od połowy lat sześćdziesiątych, kiedy Medved odszedł z Greystone Park i rozpoczął prywatną praktykę w Nowym Jorku. W kilku zachowała się resztką kolekcji notatników Fishera (w czarnych okładkach, z ponumerowanymi kartkami w kratkę),

przeznaczonych dla naukowców, która to kolekcja pierwotnie musiała chyba liczyć setki egzemplarzy. Medved pod koniec każdego dnia pracy zapisywał w nich uwagi dotyczące kuracji. Żaden z tych dzienników nie zahaczał niestety o okres pobytu mojej babki w Greystone Park. O ile zdołałem ustalić przez dwa dni nadużywania gościnności Lorraine, jedynym śladem po mojej babce w ocalałej części archiwum Medveda były dwa akapity we wpisie na ostatnich stronach notatnika laboratoryjnego, w którym lekarz dokończył pisanie nigdy potem niewydanych pamiętników zatytułowanych *Notatki z Greystone*.

Wpis ten powstał jedenastego listopada 1979 roku (dwa dni przed zabójczym atakiem serca) i pod nagłówkiem „Następny projekt” streszcza na dziesięciu stronach książkę, którą Medved chciał zatytułować *Batyskaf* albo *Upojenie głębią*. Miała to być seria obszernych omówień poszczególnych przypadków chorobowych, wzorowana na pracy Roberta Lindnera *Pięćdziesiąt minut na godzinę*⁵⁵, a oparta na wybranych fragmentach wszystkich notatników Fishera, które z wyroku nieszczęsnego Wayne’a Medveda butwiały na wysypisku w Meadowlands. Medved nakreślił zarys fabularny pięciu z dziewięciu zamierzonych „nurkowań”, które uznał za godne upamiętnienia i chciał odbyć powtórnie w swoim literackim batyskafie. Ponieważ kończyły mu się kartki w notatniku, a także (czyżby to przeczuwał?) czas na ziemi, w kilku dalszych akapitach naszkicował cztery inne przypadki z myślą o umieszczeniu ich w książce. Wśród tych ostatnich słów doktora Leo Medveda znalazłem, co następuje:

Bezkóry Koń: Przypadek „N...”, znajdy, ur. ok. 1923. P⁵⁶ (imię nadane po narodzeniu: Liliane) była mężatką francusko-belgijsko-żydowskiego pochodzenia, matką nastoletniej córki. Pierwotnie zdiagn. SCZD⁵⁷. Od roku 1948 miewała omamy, zwł. słuchowe, niekiedy wizualne. Urojony prześladowca: „Bezkóry Koń”.

55 *The Fifty-Minute Hour*. Niewydana po polsku (przyp. tłum.).

56 Pacjentka.

57 Schizofrenię.

P twierdziła, że jest córką żydowskiej kochanki żonatego „przedsiębiorcy z Ostendy”. Wychowanka karmelitanek w okolicach Lille. W dzieciństwie sporadyczne śladowe symptomy, później wzmożone, zwł. słuchowe: „gniewne” lub „krytyczne” szepty. Widywała jakoby „płonące anioły w kominku”, „cień twarzy” obok własnej w lustrze itd. Pod koniec 1941 echo wyraźnego wspomnienia z dzieciństwa (widok przekrwionego „bezsłórego” członka ogiera) błysnęło jej w głowie podczas stosunku płciowego z miejscowym kapitanem SS, biologicznym ojcem jej dziecka (P „dopiero znacznie później” uświadomiła sobie, że ten akt nie był z jej strony dobrowolny).

Przewlekła i ostra depresja poporodowa. Rozpoznana retrospektywnie mania prześladowcza i paranoja. Ale objawy niezbyt silne (a w ówczesnych okolicznościach skądinąd całkiem na miejscu).

Poprawa zbieżna w czasie z powstaniem mocnej więzi między P a inną młodą Belgijką pochodzenia żydowskiego, N..., nieco młodszą, którą zakonnice ukryły u siebie pod koniec 1942. P twierdziła, że przyjaźń z N... „uratowała jej życie” w okresie samobójczej ideacji. N... była córką zamożnych garbarzy („maroquinierrie”) [sic] i przytaczała jaskrawe opisy zarzynania, obdzierania ze skóry i jej garbowania, odoru itd. Z dużego podobieństwa fizycznego dziewczynek powstała wyszukana fantazja, że są siostrami. N... zadenuncjowana, wywieziona do Auschwitz. Zapewne zamordowana.

WX 1944 klasztor zniszczyła V-2. P zmuszona włóczyć się miesiącami, marznąc i głodując. Kradzieże, prostytutka za jedzenie i pieniądze. Brak miesiączki, wypadanie włosów. (Regularne miesiączkowanie nigdy nie powróciło, P po wojnie tylko raz zaszła w ciążę, 1952, zob. niżej). Córka P spędziła część tego okresu u pewnej katolickiej rodziny w Lille. Koniec wojny, P z córką w obozie dipisów, Wittenau, Niemcy. P zauważyła agentów Hebrajskiego Stowarzyszenia Pomocy Imigrantom, wysłanych z zadaniem sprowadzenia do USA Żydów uwolnionych z obozów. Zdołała ich przekonać, że jest N... Przybrała jej nazwisko i tożsamość. Pod wpływem chwilowego impulsu uczepiła się tej

szansy. Zmyśliła opowieść na podstawie relacji innych dipisów o warunkach w Auschwitz i wyzwoleniu. Żołnierz US w zamian za seks wytatuował P na rękę numer igłą krawiecką i atramentem.

W USA od VII 1946. W Baltimore poznała męża, świeżo zdemobilizowanego. Głód zastąpiła obfitość, chorobę – zdrowie. Dziecku ojciec. W tym momencie pozornego bezpieczeństwa stopniowy nawrót symptomów, coraz gorszych do +- IX 1952, kiedy to P zachodzi w ciążę. Prawie całkowita remisja choroby podczas ciąży. Pierwsza hospitalizacja w wyniku poronienia ok. 10 tyg.

Następnie Medved podał parę szczegółów na temat postaci Bezkórego Konia. Zamierzał spuentować historię tego przypadku opowieścią o tym, jak był zaskoczony, kiedy rutynowe podanie premarinu („otrzymywanego – zanotował – z końskiego moczu”) wedle wszelkich oznak wyleczyło babkę z omamów znacznie skuteczniej niż wcześniejsza terapia słowna. Rozdział ten pomyślany był jako raport o ślepym trafie i o porażce jako drodze do sukcesu.

Odkrycie, że mój biologiczny dziadek był nazistą, a babka urodziła się w całkiem innym świecie i z inną biografią, niż mi zawsze mówiono, i że latami trwała wobec wszystkich w tak ważkim załganiu, na długo mnie popaprało. Zacząłem kolejno poddawać formalnej inspekcji, czemuś w rodzaju analizy defektu, swoje wspomnienia o babce, zasłyszane od niej rzeczy i różne jej zachowania, prześwietlając je i testując pod kątem zawartości kłamstwa i ukrytej obecności prawdy. Żonie dopiero po powrocie z Mantoloking wyjawilem, czego się tam dowiedziałem. Taiłem to jednak przed matką i resztą świata, dopóki nie zacząłem gromadzić faktów, a potem pisać tych wspomnień, odchodząc, wręcz odzegnując się od powieściopisarskiego traktowania opracowywanego materiału. Nawet miłośnika fikcji czasem zadowala tylko prawda. Czułem, że muszę, by tak rzec, „uzgodnić zeznania” we własnym umyśle i sercu, czyli w miarę możliwości ustalić, jak to, co w dzieciństwie i latach dorastania usłyszałem i odkryłem na temat swojej rodziny oraz jej

przeszłości, ma się do tego, co teraz poznałem jako prawdę.

– No więc co to było? – spytałem dziadka w pewne popołudnie (przedostatnie w jego życiu, jak się potem okazało) nieco ponad trzynaście lat wcześniej, niż znalazłem odpowiedź w zapiskach doktora Medveda. – Co doktor Medved chciał ci powiedzieć w sprawie Mamie?

– Nie wiem.

– Nie wiesz. Nigdy nie spytałeś?

– Nie chciałem wiedzieć. Teraz też nie chcę.

– Masz jakąś hipotezę?

– Chyba miałem w pierwszych latach. Nie był to miły temat do rozmyślań, więc w końcu go porzuciłem.

– Ale czy ci się wydaje... no bo przecież doktor dawał chyba do zrozumienia, że ci coś nakłamała. Coś o swojej przeszłości.

– Zapewne. Nie takie to znów rzadkie.

Dziadkowi wysunął się język, ale zaraz wrócił na miejsce. Sięgnąłem po kubek soku jabłkowego. Podparłem dłonią dno, a dziadek upił łyczek.

– Ale ty mi mówisz samą prawdę, tak?

– Opowiadam tak, jak pamiętam – odparł. – Za nic więcej nie ręcę.

Siedziałem przy łóżku, mając przykre wrażenie, coś jakby przecucie szoku, który mi groził, gdybym dotarł do treści tajemniczych wynurzeń babki wobec doktora Medveda. Zdążyłem już odkryć niepokojący związek między sztuką, o której matka mi opowiedziała poprzedniego wieczoru (z babką w roli Królowej Księżycy), a babciną bajką z dzieciństwa. Dawno już odnalazłem źródło tej bajki w *Przygodach barona Münchhausena* ilustrowanych przez Augusta Gustave'a Dorégo, które babka mi kiedyś podarowała.

– Słuchaj, Mike – powiedział dziadek. – Twoja mama potrzebowała sporo czasu, żeby dojść do ładu z różnymi cechami i zagraniami Mamie, które... które dały jej w kość. Twoja babka zawsze uważała się za złą matkę, wiesz?

– No.

– Moim zdaniem to nieprawda. Skoro przeżyła, wyrwała

stamtąd swoją mamę i ją kochała, to dla mnie zdała egzamin z macierzyństwa. Ale nie chcę, żeby mama miała powód do zwątpienia. Więc zrób to dla mnie. Nie mów jej nic o tym.

– O czym ma mi nie mówić? – spytała matka, wchodząc do pokoju.

Spojrzała podejrzliwie na mnie, a potem na dziadka.

– Dziadek napił się piwa – wyjaśniłem. – Chyba jest trochę podcięty.

XXXII

Kiedy byłem mały i mieszkaliśmy jeszcze we Flushing, w nasz kwartał ulic leniwie wjeżdżał, dmąc z megafonu szaloną fanfarą, Bicz – ciężarówka wioząca na platformie rodzaj karuzeli w drucianej klatce, czerwono-żółtej jak namiot cyrkowy. W muzyce towarzyszącej jej wędrownikom i oznajmiającej przybycie pobrzmiwał komediowy rausz, a po latach myślę, że mogła to być tarantela. Pojazd wydawał mi się długi i zwalisty jak osiemnastokołowiec, ale zapewne nie przekraczał rozmiarów meblowozu. Kto w chwili przyjazdu Bicza bawił się na ulicy, biegł do domu wyzebrać ćwierć dolara. A kto siedział w mieszkaniu, ten słyszał przez okno pijaną muzyczkę i wybiegał jej na spotkanie, ściskając w spoczonej dłoni ćwierćdolarówkę.

Bicz prowadził muskularny ciemnoskóry facet w czapce z daszkiem, który mało mówił, a jeszcze mniej się uśmiechał, ale w sumie zachowywał się całkiem przyjaźnie. Brał zapłatę i pomagał ci wejść po trzech stalowych schodkach do klatki, w której sześć czerwonych i żółtych wózków ustawionych kolorami na przemian czekało na ukrytym torze w kształcie wąskiego owalu. Czasem przypominały mi tulipany, a kiedy indziej malowane dłonie zwrócone wnętrzem do góry, żeby zmieściło się w nich dwoje dzieci. Wózki turlały się chwiejnie wokół owalu, ledwo jadąc na każdej prostej, aby przed zakrętem tak nagle dodać gazu, że pasażerami rzucało o boczne ścianki lub o siebie nawzajem. Gdy wózek zwalniał, można było chwilę odpocząć, potem jednak znów zaczynała się trzęsionka, a po skończonej jeździe wracało się tymi samymi schodkami na dół. Tuż przed wyjściem z klatki pan od Bicza zdejmował z półki nad swoją głową kawałek gumy do żucia Bazooka i wciskał ci go do ręki, mamrocząc jakieś błogosławieństwo.

Złaząc pewnego dnia po schodkach z platformy Bicza, ze zdziwieniem ujrzałem ojca, który czekał na mnie w garniturze

z krawatem i w białym kitlu. Z bocznej kieszeni kitla sterczało zakończone gumowymi nasadkami poroże stetoskopu. Ojciec miał na gorsie koszuli czerwoną plamkę, która wyglądała jak ślad krwi, ale była zapewne odpryskiem lunchu: zupy pomidorowej lub keczupu. Wiedziałem, że jeśli go o nią zapytam, odpowie: „To krew”. Od pewnego czasu zaczynało do mnie docierać, że on bardzo rzadko mówi serio i przeważnie jego słowa trzeba sobie tłumaczyć wręcz na opak. Ilekroć wychwalał pogodę, znaczyło to, że pada śnieg albo deszcz. Kiedy twierdził, że coś nie mogło się przydarzyć fajniejszemu facetowi, znaczyło to, że kogoś zasłużenie spotkała zła przygoda. Gdy udzielał czysto rzeczowych informacji, zwykle można było je brać dosłownie, ale nawet wtedy należało mieć się na baczności. Przeżyłem ciężki dzień jako przedmiot drwin starszych dzieci z naszej ulicy, kiedy powołując się na jego autorytet, oświadczyłem, że „chrupkie jagódki” w płatkach śniadaniowych Kapitana Chrupka zrobione są z prawdziwych, liofilizowanych truskawek.

– Mama dostała grypy żołądkowej? – zapytałem. Za mojej pamięci ojciec wrócił do domu w godzinach pracy jeden jedyny raz, a mianowicie przed paroma miesiącami, kiedy matka rozchorowała się i tak osłabła od torsji, że nie mogła się mną zająć. W omawianym dniu przy śniadaniu wyglądała wprawdzie zdrowo, ale potem byłem u swojego kolegi Rolanda, więc widać przez ten czas ją rozłożyło.

– Musiała pójść do szpitala – powiedział ojciec. Otworzył kluczykiem drzwi po stronie pasażera i przytrzymał przede mną tylne z tej samej strony. – Pani Kartakis ją zawiozła.

– Będą ją musieli operować? – zapytałem, wsiadając.

– Tak, ale nie martw się, Mike. Wyzdrowieje.

Mój tata wykazywał spore braki w dziedzinie ojcostwa, głowę do interesów miał jeszcze gorszą, a jako kanciarz okazał się zupełnym nieudacznikiem, ale wedle wszelkich oznak był bardzo dobrym lekarzem. Do talentów, którymi potrafił zabłysnąć, należało umiejętne podejście do pacjenta – chyba najlepsze, jakie w życiu widziałem. Kiedy chciał kogoś pocieszyć, zmieniał się nie do poznania – tak jak jego teściowa podczas opowiadania

historyjki. Głos pogłębiał mu się i łagodniał, a on sam jakby się rozluźniał, co mu się nigdy poza tym nie zdarzało. Patrzył ci prosto w oczy. Wiedział, że chcesz o to i owo zapytać. Rozumiał twoje troski. W latach kariery lekarskiej pacjenci go uwielbiali. Jego sposób bycia niewątpliwie robił też wrażenie na wierzycielach oraz inwestorach. Przynajmniej do czasu.

– To nic poważnego – ciągnął. – Drobnny zabieg. – Ukucnął przy samochodzie i zapiął mi pas, chociaż już od pewnego czasu radziłem sobie z tym sam. – Nie przejmuj się, kochanie.

– Dobra.

Ojciec położył mi na ramieniu wymanikiowaną dłoń. Spod mankietu kitla wionęło czystą wonią – trochę mięty, a trochę wyprawionej skóry. Uczelniany sygnet z klejnotem i zagadkową inskrypcją promieniował siłą jak w kreskówkach pierścień Herkulesa. Gdyby go zwrócić ku niebu, może ściągnąłby piorun. Spojrzałem na połyskujący klejnot i na półksiężyc paznokci ojca. Zbierało mi się na płacz, bo przecież mama wylądowała w szpitalu, ale zdławiłem to uczucie w głębi krtani i zdołałem je przełknąć. Spytałem, jaka operacja ją czeka.

– A jak ci się zdaje, co mogą jej operować? – odparł ojciec.

Zamknął drzwiczki, a ja ze zdziwieniem ujrzałem na siedzeniu obok siebie walizkę ze skóry w kolorze kości słoniowej, z mosiężnymi zatrzaskami i zawiasami, które skrzypiały przy otwieraniu. Poobcierana jak stary biały półbut, w chłopiących latach ojca była jego własnością, więc zawsze mówił o niej „mój nesesor”, bo tak u niego w rodzinie nazywano walizkę. Myślałem, że to słowo z jidysz. Nie bardzo wiedziałem, dlaczego ojciec każe mi zgadywać, na co będą operować matkę. Zastanawiałem się, czy moja odpowiedź wpłynie na jego zdanie o mnie. Przypomniałem sobie, że jedna z moich uneseserowionych krewniaczek, siostra nieżyjącej już matki ojca, niejaka Dottie, trafiła niedawno do szpitala, gdzie zoperowano jej stopę.

– Może stopy? – zaryzykowałem.

– Zgadłeś – pochwalił mnie ojciec. – Brawo.

Włączył radio, jak zwykle nastawione na WQXR⁵⁸. Ktoś bębnił

58 Nowojorska radiostacja nadająca muzykę poważną i wiadomości (przyp.

w klawiaturę fortepianu, rwąc z niej garściami kapryśne dźwięki. Ojciec zrobił głośniej. Ruszyliśmy ulicą, mijając po drodze Bicz. Gniewny fortepian splątał się na moment z pijaną trąbką, której tony chlustały z megafonu nad szoferką Bicza. Mój kolega Roland i jego brat Pierre stali na najniższym schodku ciężarówki, zezując z nadzieją na pana od Bicza. Dopiero wtedy zauważyłem, że wciąż trzymam w ręku gumę do żucia.

Wyjąłem ją z papierka i puściłem szczęki w ruch. Spróbowałem rozszyfrować dowcip z komiksu, którego bohaterem był Bazooka Joe, bo od niedawna umiałem czytać. Nie spytałem ojca, po co spakował nesesor. Przypuszczałem, że zamieszkam z matką w szpitalu. Byłem ciekaw, czy dostanę osobne łóżko, czy raczej położą mnie z nią we wspólnym. Wyobraziłem sobie salę w Szpitalu Nowojorskim – jedynym mi znanym – w którym ojciec odbył staż na oddziale ortopedii. Po pewnym czasie zrozumiałem, że jedziemy nie w tę stronę, więc widać zmierzamy do innego szpitala. Oczywiście wiedziałem, że w Nowym Jorku jest ich mnóstwo: Montefiore, Prezbiteriański, Świętego Łukasza. Widocznie pani Kartakis zawiozła matkę do jednego z nich. Skoro istniały szpitale żydowskie i katolickie, to może i Grecy mieli swoje. A może pani Kartakis umieściła matkę w szpitalu publicznej służby zdrowia na Staten Island, w którym akurat wtedy pracował ojciec.

Pianista wściekle atakował fortepian: musiał to być walc Liszta, a może Rachmaninowa. Radio grało tak głośno, że musiałbym prawie krzyczeć, żeby ojciec mnie usłyszał, a on nie lubił, kiedy przekrzykiwałem jego muzykę. Irytowało go to, a jeżeli nie milkłem, czasem irytacja przechodziła w gniew. Sięgał za siebie prawą ręką, która rozprostowywała się jak wąż – zrazu powoli, aby raptem skoczyć naprzód. Pierścień Mocarnego Herkulesa pukał mnie w czaszkę, a ja to puknięcie nie tylko słyszałem, ale i widziałem jako błyskawicę na dnie oczu. Nie spytałem więc, czy popłyniemy do matki promem na Staten Island. Dopiero gdy stało się jasne, że jedziemy przez Bronx do Riverdale, otworzyłem usta. Ale nawet wtedy poczekałem, aż skończy się

tłum.).

utwór i zacznie reklama, zanim powiedziałem, co miałem do powiedzenia:

– Nie chcę spać u dziadka i babci.

– Daj spokój, Mike! – Ojciec rzucił te słowa ze złością, prawie krzyknął. Po czym dodał już ciszej, opanowanym tonem: – Kukiełki nic ci nie zrobią. To tylko zabawki. Przecież wiesz.

– Wiem – przytaknąłem. – Ale się ich boję.

– Dlaczego?

– Nie wiem.

– Mike...

– Boję się i już.

W radiu zaczął się kolejny utwór. Ojciec ściszył go, ale zamilkł na pewien czas.

– No, nie widzę na to rady – rzekł w końcu raczej ze smutkiem niż ze złością, wręcz jakby z rozczarowaniem.

Zrobiło mi się strasznie przykro, że go zawiodłem, ale to nie była moja wina, że na szafie w pokoju gościnnym u dziadków stało pudło na kapelusze, w którym dwanaście pacynek (rumiany Król, skwaszona Królowa, lubieżnie uśmiechnięty Pasterz, dwie białe owce i jedna czarna, Sekutnica o chytrym spojrzeniu, czterech Muzyków i zamaskowany Zbójca z czarną brodą, zrobioną – o zgrozo! – z ludzkich włosów) knuło po ciemku, jak by tu mnie zabić, kiedy zasnę. Pewien majster z Lille we Francji uszył im ciała, a głowy wyrzeźbił z drewna i pomalował. Wiedziałem, że dziadkowie zapłacili za nie „własną krwawicą”, co jeszcze bardziej wzmagало mój wstyd i poczucie winy, że się boję kukiełek, i w końcu tylko pogarszało moje położenie wobec nich. Próbowałem wymyślić, co by tu powiedzieć, żeby osłodzić ojcu gorycz rozczarowania.

– Boję się ich tylko w nocy – oświadczyłem. – W dzień wcale mi nie przeszkadzają.

Neserer był ciężki, kiedy taszczyłem go przez hol. Portier zwany George'em Irlandczykiem dla odróżnienia od innego portiera, zwanego George'em Wysokim, zaofiarował się z pomocą, którą

odtrąciłem. Chciałem pokazać ojcu, że chociaż wąłość psychiczna każe mi się bać pacynek, potrafię przynajmniej udźwignąć własny nesesor.

– Kawał silnego chłopca z tego pańskiego syna, doktorze – powiedział George Irlandczyk.

Ojciec przycisnął guzik do ściągania windy, cofnął się i zmierzył mnie wzrokiem, zanim utkwiał go w swoich mokasynach od Florsheima.

– Owszem, spory z niego chłopak – przytaknął.

Wydało mi się, że w jego głosie wciąż słychać rozczarowanie, ale z nutą żalu, jakby zawiódł się głównie na sobie. Własna nieudolność myliła mu się z filozofią życiową, więc nieczęsto przeproszał, lecz jeśli to robił, najpierw spoglądał na swoje buty. Serce mnie bolało, kiedy tak zwieszał głowę. Nie dawałem sobie z tym rady. Nie chciałem, żeby przeproszał za to coś, co napawało go żalem. Zamiast patrzeć na niego, spojrzałem na gondolę.

Na parterze domu, w którym mieszkali dziadkowie, był salon urody. Miał włoską nazwę, weneckie motywy wystroju, a w holu zamiast szyldu miniaturową gondolę podwieszoną u sufitu przy windzie. Mierzyła około sześćdziesięciu centymetrów długości, była czarna jak fortepian, z czerwonym i złotym wykończeniem, zwrócona dziobem w stronę korytarza prowadzącego do salonu urody. Byłem nią oczarowany, odkąd tylko pamiętam, a w tamtej chwili – nie po raz pierwszy – schroniłem się na jej pokładzie i wyobraziłem sobie, że wolno odpychając się drągiem od dna, płynę po wodach, niezmaconych myślami o Zbójcy z autentyczną brodą ani o tej złej przygodzie, która właśnie spotykała moją matkę ku wielkiemu żalowi ojca, czy o prawdopodobieństwie, że gdy zostanę sam na sam z babką, przyjdzie jej ochota opowiedzieć mi historijkę.

– Dziadek w domu? – zapytałem.

– Ale skąd. W pracy.

– Aha.

– Czemu pytasz?

Odparłem, że tak się tylko zastanawiałem. Ledwie zamknęły się drzwi windy i pojechaliśmy w górę, w moim brzuchu zbudził się

nagle do życia dżinn wyczekiwania lub zgrozy (nie było między nimi różnicy). Raz po raz wędrowałem spojrzeniem między guzikami dwunastego i czternastego piętra. Niedługo przedtem w autobiografii Errola Flynn'a, która należała do drugiego dziadka – mojego imiennika – znalazłem laminowaną kartę z wydrukowanym dwoma alfabetami tekstem kadyszu. Nasunęło mi się pytanie, czy mimo tylu starań mających na celu oszczędzenie głębiom z całego świata lęku przed pechem nie uchowało się jakieś śladowe trzynaste piętro, wsunięte jak ten kadysz między dwunaste a czternaste.

Kiedy wysiedliśmy z windy, pozwoliłem ojcu nieść walizkę, a sam ująłem oburącz jego prawą dłoń. Włókłem się za nim, pozostając trochę w tyle i zbierając siły, żeby niebawem zagrać swoją rolę w stałym rytuale.

Przycisk dzwonek był pod wizjerem, wprawiony w metalową ramkę, do której sięgałem już bez wspinania się na palce. Zawsze to ja dzwoniłem, a ojciec z miną niby-spontanicznego psotnika zasłaniał wizjer jak iluzjonista chowający w dłoni monetę. Po chwili przez zamknięte drzwi dobiegał zaniepokojony okrzyk babki: „Kto tam?“, chociaż wiedziała, że możemy to być tylko my, nikt inny.

Babka niby żartem udawała zaniepokojenie, ale prawdziwy żart – przynajmniej dla mojego ojca – polegał na tym, że to udawanie też było na niby. Ojciec zasłaniał wizjer, bo zauważył, że jego teściowa nigdy nie rozpieczętowała listu, dopóki nie obejrzy koperty pod światło, ani nie otwiera drzwi, nie zerknąwszy przez wizjer. Odsuwany rygiel zgrzytał jak zębatka, brzęczał łańcuch, drzwi mieszkania dziadków powoli się uchylały i... nikogo za nimi nie było.

Ten z kolei żart polegał na tym, że pytanie „Kto tam?“ niby to zadawał duch babki. Ja miałem śmiało wystąpić naprzód i oświadczyć z największą stanowczością: „Nie ma żadnych duchów!“. Babka wyłaniała się wtedy zza drzwi i krzepiącym tonem przyznawała mi całkowitą rację. I choć od dawna wiedziałem, że za drzwiami nie kryje się jej duch, tylko ona sama, to gdy uchylała je niewidzialna dłoń, często wczepiałem się

w rękę ojca czy matki lub mimo woli cofałem o krok. Rodzice chichotali albo ze mnie kpili. Nie rozumieli, że nie boję się ducha, tylko ukrytej babki.

Tym razem nic podobnego się nie stało. Do drzwi zadzwonił ojciec.

Babka od razu nam otworzyła. Był środek popołudnia, ale wciąż miała na sobie szlafrok – coś na kształt wąskiego namiotu ze stójką zapinanego z przodu i sięgającego do kostek, uszytego z tkaniny we wściekle opartowski deseń czerwono-fioletowych podłużnych prostokątów. Dziś uchodziłby za relikwii śmiałego okresu w dziejach projektowania z połowy ubiegłego stulecia, wtedy jednak uważałem, że to zwykły strój domowy dla babć.

– Wejź. – Bransoletki na przegubach babki zabrzączały, kiedy zamasztyłem gestem zaprosiła mnie do środka. – Włóż swoje rzeczy w szafce do sypialni. W komodzie.

Ojciec oddał mi neseser.

– To tylko na kilka dni – powiedział. – Babcia zaprowadzi cię do sklepu i kupisz sobie autko.

Wyjął portfel, po czym wręczył mi pięć banknotów jednodolarowych i jeden pięciodolarowy, czyli sporą sumę. Zmarszczył brwi i wydobyl z portfela jeszcze jedną papierową pięciodolarówkę – wystrzępioną, poplamioną i z urwanym rozkiem. Ojciec był synem skromnego drukarza i dopóki jego stryj w owym pamiętnym dniu u Jacka Dempseya nie zawarł znajomości z czterdziestopięciocentymetrowym kościotrupkiem, cała rodzina wycinała kupony zniżkowe, gromadziła w sfatygowanych albumach bony zwane „zielonymi znaczkami” i ciułała miedziaki w słojach po majonezie. Oszczędzanie pieniędzy budziło chyba w ojcu nieznośny, obezwładniający wstyd. Nigdy nie zagrzały miejsca w jego portfelu. Ale póki w nim leżały, lubił, żeby były czyste i nowe.

– Bhudny – z udawanym współczuciem stwierdziła babka, kiedy ojciec wręczył mi ohydny haniebny piąta. – I w dodatku podały, pouah!

Ojciec złapał mnie za potylicę, zmierzwił mi włosy i lekko mnie popchnął w stronę pokoju gościnnego. Czułem, że oboje czekają,

aż znajdę się poza zasięgiem ich głosów, bo chcą porozmawiać o mojej matce. Nie spieszyłem się więc. Za oknami salonu urwiska na zachodnim brzegu rzeki Hudson falowały jak kamienny sztandar, na którym rzeka, drzewa i niebo układały się w pasy. Odlana z metalu baletnica Degasa na tekowej konsoli mierzyła wzgardliwym spojrzeniem balsowy model rakiety Vanguard stojący na regale z książkami przy wejściu z holu.

Kiedy zniknąłem w pokoju gościnnym, babka i ojciec zaczęły rozmawiać półgłosem. Położyłem walizkę na łóżku i stanąłem w drzwiach, próbując coś podsłuchać. Podejrzywałem, że matka już nie żyje, operacja stóp się nie udała albo od początku była tylko fikcją, a wszyscy uknuli spisek, żeby to przede mną zataić. Zniżone głosy, akcent babki i zawoalowany sposób prowadzenia rozmowy przez dorosłych złożyły się na to, że niewiele z niej wywnioskowałem. Trzymałem w ręku zniszczony banknot pięciodolarowy, wpatrując się w portret Abrahama Lincolna, któremu matka umarła, gdy był niewiele starszy niż ja wtedy. Wydawało mi się, że w jego oczach dostrzegam ślad tej niepowetowanej straty.

Ojciec zawołał „do widzenia”, a po chwili babka weszła do pokoju gościnnego, żeby sprawdzić, jak mi idzie rozpakowywanie. Nie zrobiłem w nim żadnych postępów. Zanedo byłem zajęty podsłuchiowaniem, a w dodatku zupełnie mnie skołowała technika pakowania, którą zastosował ojciec. Góry od piżam pomyliły mu się z bluzami, a kąpielówki z krótkimi spodenkami. Zapakował dwie chustki do nosa. *Chustki do nosa!* Zadbał o to, żeby mnie wyposażyć w kowbojską kamizelkę z tworzywa udającegogo końską skórę – element mojego kostiumu z ostatniego Halloween. W walizce leżały trzy pary majtek obok ośmiu skarpetek, z których dwie były nie do pary, a jedna para należała do mojej matki.

– Czy mamusia umarła?

– Nie, myszeńko – powiedziała babka. – Włkóhótcę ją zobaczysz. A tehoz schowajmy twoich rzeczy.

Zrobiła szybki przegląd zawartości walizki. Trafnie wyczułem, że zaraz zawoła *Oh la la!* Zawsze lubiłem ten jej okrzyk. Schowała

do komody wszystko prócz kowbojskiej kamizelki, po czym oznajmiła, że sprawimy mi trochę rzeczy u Alexandra, kiedy pójdziemy tam kupić autko za tę całą „bhudną fohsę”.

Spytałem, co mam zrobić z kamizelką. Kazała mi ją włożyć, bo przeczuwała, że może będziemy musieli tego dnia sprawdzić się jako kowboje, więc kamizelka od razu wprowadzi nas w odpowiedni nastrój.

– Będzie nam natchnieniem – dodała, a ja chyba właśnie wtedy pierwszy raz w życiu usłyszałem to słowo. – Jestem *natchniona*.

Poszła do swojej sypialni, aby po chwili wrócić stamtąd w „kowbojskim płaszczu” ze strzyżonej skóry owczej od Pierre’a Cardina i kowbojkach od Ferragama na warstwowych obcasach z grawerowanymi okuciami ze srebra. Kazała mi schować neseser do szafy, ale w końcu postawiłem go tylko przy jej drzwiach. Za nimi w pudle na kapelusze zamaskowany Zbójca i jego komilitoni czekali sprzyjającej chwili.

Znany byłem (samemu sobie) jako Cheyenne Kid. Moja kompanka, a raczej (zgodnie z jej wymową) „kąpanka” przybrała pseudonim Ahizona Bill. Miała dziwne wyobrażenie o kowbojskim sposobie mówienia, działania i w ogóle życia. Jej kowbojski akcent przypominał Buckwheata z *Klanu urwisów*, a rzekomo kowbojski chód wyglądał jak tańczony w zwolnionym tempie matelot. Wbiła sobie do głowy, że kowboje strzelają z łuków, a „kołczan” to wręcz synonim słowa „kowboj”, więc kiedy spieszyliśmy do autobusu ze Skyview, a potem jechaliśmy w stronę dworca na rogu Fordham Road i Grand Concourse, raz po raz wypuszczała niewidzialne strzały, broniąc naszego wymyślanego stada przed „hosomakami”.

Cheyenne Kid i Ahizona Bill poszli do Alexandra, gdzie kupili koszulki z krótkim rękawem, kilka par majtek i jedne szorty, a do tego autko (land rovera jak z serialu *Daktari*, z brązową piramidą plastikowego bagażu na dachu). Potem Cheyenne i jego kąpanka wrócili do domu i upiekli *tarte tatin*. Czas szybko im mijał – jak zwykle, gdy babka była w takim nastroju. W ciągu całego

popołudnia parę razy na długo zapominałem martwić się o matkę⁵⁹.

Błękit nad New Jersey pociemniał, a potem spełził. Dziadek jeszcze nie wrócił z biura. Wcześniej była mowa o tym, co by może chciał zjeść na kolację po powrocie do domu, lecz gdy Bill i Cheyenne pochłonęli całą *tarte tatin*, kwestia wieczornego jadłospisu przestała być pilna. Z rozpaczą patrzyłem, jak Ahizona Bill znika wraz ze światłem dziennym i przypadającą na babkę połową tarty. Jej głos zmroczył. Oczy posmutniały. Jakiś nowy nastrój spowił ją ciemną opończę. Widziałem to nie pierwszy raz.

– Na co byś miał teraz chętkę, Bill? – spróbowałem zagadnąć z kowbojska.

Babka się nie odezwała, ale miałem wrażenie, że rozważa kilka możliwych odpowiedzi. Po chwili zaczęła szczytać i ugniatać pewien punkt u podstawy czaszki. Wstała od stołu z taką miną, jakby właśnie udzieliła mi informacji na temat swoich chętek, chociaż z jej ust nie padło ani jedno słowo. To także już widywałem. Stała na środku kuchni, marszcząc czoło: pewnie zdążyła zapomnieć, po co w ogóle ruszyła się z miejsca. Otworzyła szufladę, a potem drugą. Zaczęła w nich grzebać, aż znalazła puszkę swoich cygaretek Wintermans. Ścisnęła ją w dłoniach, wzdychając z ulgą, ale zaraz znów tak jakby się pogubiła w swoich zamysłach. Przyłożyła sobie puszkę Wintermansów do tego wrażliwego miejsca na karku.

– Mamie?

Zdziwił mnie własny głos, drżący i słaby. Właściwie nie bałem się babki. Nigdy nie budziła we mnie lęku – chyba że celowo

59 Oczywiście to właśnie miał na celu odgrywany przez babkę spektakl, było w tym jednak coś więcej. Z czworga najważniejszych dorosłych w moim dzieciństwie tylko ona umiała sobie radzić z tym, że jestem dzieckiem. Potrafiła wejść w sferę zmyśleń bez cienia wyniosłości czy protekcyjności. W przeciwieństwie do rodziców i dziadka nigdy nie kazała mi publicznie popisywać się uczonością, wyliczać wszystkich pięćdziesięciu stanów wraz z ich stolicami ani prezydentów, począwszy od Waszyngtona, a skończywszy na LBJ. Kiedy mówiła, że jestem jej *petit professeur*, znaczyło to, że się wymądrzam, pouczam ją, poprawiam jej składnię albo słabą znajomość faktów. W tym pieszczotliwym określeniu kryła się łagodna drwina.

próbowała napędzić mi strachu. Czułem się przez nią porzucony, a raczej przez moją wierną kąpankę, więc gdy za oknem pociemniało niebo i nadciągnęła noc, znów pomyślałem o kukiełkach. Nie chciałem o nich myśleć ani się ich bać, zbliżała się jednak pora snu, a ja już widziałem w wyobraźni, jak w ciemnościach szafy błyszczą ich szklane oczy bez powiek. Słyszałem, jak naszeptują, że moja matka nie żyje. Zanim tamtego ranka wyprawiła mnie na dwór, żebym się pobawił, chciała mi zasnurować tenisówki, chociaż wiedziała, że już sam to potrafię. Odrzuciłem propozycję, ale teraz cała ta scena wydawała mi się złowieszczą. Wiedząc, że czeka ją śmierć, matka chciała ten jeden ostatni raz zawiązać synkowi buty. A ja ją odtrąciłem!

– Chcę posłuchać historyjki – oznajmiłem babce.

Wyraźnie ją zaskoczyłem, siebie zresztą też. Wysnuwanie historyjek z talii wróżebnych kart było dla niej czymś zupełnie innym niż pieczenie ciasta, pójście do kina czy gra w pikietę. Jej historyjki były jak nastroje lub fale gorączki: same ją nachodziły.

– Chcesz posłuchać historyjki – upewniła się.

Kiwnąłem głową. Właściwie wcale nie chciałem słuchać historyjki. Operacja matki i na wpół zrozumiałe szelesty z szafy dostatecznie wytrącały mnie z równowagi. Babka patrzyła na mnie z powątpiewaniem, a ja miałem szaloną nadzieję, że odmówi, ale przyglądała mi się w milczeniu, masując sobie kark puszką Wintermansów. Postanowiłem wygłosić dementi, lecz uwięzło mi w gardle i nie zdołałem nic wykrztusić.

– Myszeńko – powiedziała babka. – Nie płacz. – Podeszła do mnie, położyła mi dłoń na czubku głowy i odchyliła ją tak, żeby spojrzeć mi w twarz. – Wiem, że się mahtwisz, ale już się nie mahtw. Okej?

– No.

– Tak?

– Tak.

– Idź. Idź po kahty.

Wolniutko ruszyłem na poszukiwanie puszek po migdałowych cukierkach, a wróciłem do kuchni jeszcze wolniej. Zanim tam dotarłem, zdołałem się pocieszyć myślą, że teraz babka

przynajmniej mnie już nie porzuci, i oczywiście – jak widzę z dzisiejszej perspektywy – od początku mi o to chodziło, kiedy ją poprosiłem o bajkę. Gdyby zaczęła grać różne role i naśladować głosy, w pewnym sensie dalej byłaby Ahizona Billem. I dopóki historyjka by trwała, chwila pójścia do łóżka oddalałaby się, a w głosach, których babka używała bajkowymi postaciami, tonęłyby dobiegające z ukrytego w szafie pudła na kapelusze szeptu i poduszczania.

Podąłem babce wróżebne karty i usiadłem naprzeciw niej przy stole. Widziałem, że cała skupia się wokół trzymanej w palcach talii, jakby w kartach tkwiła drogocenna, istotna treść. Spotkaliśmy się wzrokiem, po czym babka skinęła głową i rozłożyła karty w wachlarz, nim zaczęła je przelewać wzburzoną strugą z ręki do ręki, tworząc z nich elastyczną wstęgę, która na przemian się rozciągała i raptownie kurczyła. Babka rozgięła karty kciukami, dzieląc talię na dwie części, które potem puściła z efektownym trzaskiem. Położyła ją przede mną na stole. Przełożyłem raz i drugi. Sięgnąłem po wierzchnią kartę.

Wtem babka nakryła moją rękę swoją. Pierścionek zaręczynowy uderzył mnie w knykcie, aż krzyknąłem.

– Nie – powiedziała. – Mniejsza o to.

Spojrzałem na nią. Palce mnie piekły, czułem się skarcony. Babka miała policzki mokre od łez. Nie przypominałem sobie, żebym kiedyś widział ją zapłakaną. Nie wiedzieć czemu ten widok nie przypadł mi do gustu.

– Masz migrenę? – zapytałem.

Pokręciła głową. Rozwarła ramiona, a ja z wielkim ociąganiem wstałem i zbliżyłem się do niej o krok. Chwyciła mnie i przyciągnęła do piersi. Uścisk mojej babki był nieubłagany i bezosobowy jak prąd powrotny przyboju albo zderzenie z betonowym chodnikiem. Od bursztynowych miazmatów Chanela mdliło mnie, jakbym nabrał pełne usta miodu.

– Uduśz mnie! – zawołałem.

– Oj! – Puściła. – Przepraszam.

Uśmiechała się. W jej uśmiechu i rumieńcu było coś takiego, że poczułem się, jakbym zrobił rzecz niewybaczalną. Babka znów

dotknęła dłonią tego miejsca na karku.

– Chyba jednak bierze mnie mighena, myszeńko – powiedziała.
– Pójdę się poleżeć. Dziadek nastąpi do mamy w szpitalu. Potem whóci, a ja wstanę i zhibię nam kolację. Okej?

Kiedy wyszła, usiadłem przy kuchennym stole, nurzając się w poczuciu winy i w żalu, niewspółmiernych do mojej zbrodni, która sprowadzała się do tego, że po raz setny wymknąłem się z ubezwłasnowolniających objęć babki. A ona płakała, bo – jak raptem zrozumiałem – martwiła się tym, co działo się albo już się stało z moją matką. Gdybym tylko wytrzymał w jej uścisku chwilę dłużej, może odkryłbym prawdę.

Postanowiłem, że zaparzę herbatę i zaniosę ją babce razem z mokrą chustką do położenia na czole. Usiądę na brzegu łóżka i poczekam, aż troszkę jej się poprawi samopoczucie, a wtedy może ktoś mi nareszcie powie, co się właściwie dzieje.

Czekając, aż zagotuje się woda w czajniku, podszedłem do leżącej na kuchennym stole talii kart i odwróciłem wierzchnią. Była to Dama w długiej sukni i płaszczu myśliwskim, stojąca przy kamiennej ławce w ogrodzie. Odwróciłem drugą kartę: wyszła Trumna z ozdobnym krzyżem na wieku, jakby dryfująca po wielobarwnym klombie.

Babka wytłumaczyła mi kiedyś, że Trumna we wróżbach niekoniecznie oznacza śmierć czy umieranie. Równie dobrze może symbolizować kres czegoś albo i początek. Za naszej wspólnej pamięci pojawiała się dwukrotnie. Przy pierwszej okazji babka wysnuła z niej bajkę, przemieniając Trumnę w łódeczkę, którą spłynęła w dół Nilu babcia Mojżesza śladem jego kosza, gorączkowo wiosłując, „bo przecież nie mogła spuścić go z oka”. Za drugim razem Trumna przeistoczyła się w stalowy kufer, a nieszczęsny mistrz popisowych ucieczek, Patee Poudini, zrobił to głupstwo, że kazał się w nim zamknąć i wrzucić do Hudsonu. Ale tak czy owak strasznie nie lubiłem, kiedy ta karta się pojawiała.

Odsunąłem się z krzesłem od stołu i wstałem. Spojrzałem z góry na karty, wiedząc, że muszę odwrócić trzecią. Jakiś szorstki głos szeptał mi w głowie, że nie mam innego wyjścia, bo skoro

najpierw wyszła Dama, a potem Trumna, to jeśli nie odwrócę trzeciej, stanie się faktem naprawdę i na zawsze, że moja matka nie żyje⁶⁰.

Nie wiem, jak długo stałem, zbierając się na odwagę, żeby odwrócić trzecią kartę. Słyszałem, jak czajnik trzeszczy. Prąd w elektrycznym zegarze na ścianie nucił bez końca wciąż tę samą nutę (ais, jak wyjaśnił mi dziadek). Kapiące z kranu krople bębniły w brytfannę po tarcie. Postanowiłem, że kiedy odwrócę kartę, będzie to Bukiet, bo moja matka nie żyje, a chociaż jeszcze nigdy nie byłem na pogrzebie, wiedziałem, że musi na nim być mnóstwo kwiatów. Gdybym jednak (podpowiadały szepty, których nie mógł zagłuszyć zegar, czajnik ani kran) nie odwrócił karty, zabije to moją matkę. Krążyłem myślami wokół tego paradoksu niczym pszczoła, którą kiedyś widziałem, gdy goniła za samą sobą wokół słupa latarni. Przycisnąłem rękę do skroni, daremnie próbując spowolnić tę gonitwę. I wreszcie sięgnąłem po talię.

Zabrzączyły klucze na kółku. Dziadek westchnął.

– Może ktoś byłby łaskaw zdjąć łańcuch?

Podszedłem do drzwi, żeby wpuścić dziadka razem ze spowijającą go osobniczą wonią, na którą składały się zapachy płaszcza od deszczu, papierosowego dymu i zakurzonych metalowych wnętrzości maszyny do pisania. Jeszcze nigdy w życiu niczyj widok nie sprawił mi takiej ulgi. Dziadek nie wyglądał na ojca kobiety, która umarła czy choćby straciła stopy. Miałem ochotę go uściskać, nie byłem jednak pewien, jak to przyjmie, bo ze swojego punktu widzenia działał przecież tylko tyle, że wszedł do domu. Nie żeby nigdy mnie nie ścisnął, ale zawsze musiała być po temu jakaś okazja. Upuścił płaszczyz, teczkę i zmiętoszoną gazetę wieczorną na pobliskie krzesło. Poprosił

60 Jeszcze słyszę ten chrapliwy głos, a raczej całe pudło na kapelusze pełne głosów. Wznoszą się jak bańki w wodzie ze szczeliny w moim mózgu – mroczne mamrotania, okrzyki i ciche wymówki, prawie, prawie zrozumiałe, wdzierają mi się w myśli niemal za każdym razem, kiedy jestem sam w cichym pokoju, robiąc coś, co wymaga pewnego skupienia: rysując, gotując, lutując obwód elektryczny, składając zabawkę. Podczas pisania nigdy nie słyszę głosów z pudła na kapelusze. Wtedy odzywa się inny głos.

mnie o krótkie streszczenie dnia, a ja spełniłem jego prośbę. W tamtym okresie prawie zawsze był w dobrym humorze, ponieważ razem z MRX przeżywał czas rozkwitu, lecz akurat tego wieczoru wyglądał trochę niewyraźnie. Powiedziałem mu, że Mamie dostała bólu głowy i płakała, ale nie bardzo wiem dlaczego. Dodałem, że robię jej herbatę.

– To ładnie – pochwalił mnie. – Grzeczny z ciebie chłopiec.

– Tak.

Dziadek rozluźnił krawat i rozpiął kołnierzyk. Wróciłem za nim do kuchni.

– Co mamy na kolację? A co to znowu za rozgardiasz?

W zlewie były dwa brudne talerze, dwa widelce i brytfanna po tarcie, ale dziadek miał na myśli karty. Poznałem po minie, że wie, na co patrzy, a widok kart go zdenerwował. Postanowiłem nie odpowiadać na żadne z jego pytań. Bałem się, że wyrzuci karty. Zanim zdążył je zgarnąć, odwróciłem wierzchnią.

Było to Dziecko.

To miałem być ja? Nie widziałem innej możliwości. Trumna była moją trumną, a Dama matką, płaczącą na wieść o mojej śmierci. Zastanawiałem się, w jaki sposób umrę. Żywiłem silne podejrzenie, że przyłoży do tego rękę banda francuskich kukiełek. Wyobraziłem sobie, jak pełzną robaczym ruchem po dywanie w pokoju gościnnym, wdrapują się na boczną ściankę łóżka, a potem w ciemnościach suną po moim ciele niby obmacujące dłonie.

– Hej – łagodnie rzekł dziadek. Ukucnął i obrócił mnie twarzą do siebie. – Mike, popatrz na mnie. Mama jest zdrowa. Wszystko będzie dobrze. Owszem, straciła dziecko, ale to właściwie za mocno powiedziane, bo sporo mu jeszcze do dziecka brakowało.

W ten sposób dowiedziałem się, że matka była w ciąży i poroniła, chociaż nie całkiem rozumiałem, na czym to właściwie polega i co w tym kontekście oznacza *utrata* dziecka. Ktoś zapomniał powiedzieć dziadkowi, że ma się przede mną nie wygadać.

– W porządku? – spytał.

Chciał, żebym przytaknął, bo moglibyśmy wtedy przestać

rozmawiać o utraconym dziecku i mieć sprawę z głowy. Ale ja milczałem. Oczywiście nasuwało mi się mnóstwo pytań na temat tracenienia dzieci, lecz postanowiłem ich nie zadawać. Byłem zły: przez chwilę miałem brata albo siostrę i nikt ani słowem mi o tym nie wspomniał. A kiedy to jakieś rodzeństwo umarło, też nikt mi nic nie powiedział.

Dziadek usiadł przy stole na krześle, na którym przedtem siedziała babka. Wziął do ręki karty i dokładnie je przejrzał.

– Co za bzdury – rzekł. – Znowu ci opowiadała te piętrowe bajdy?

– Graliśmy w pikietę.

– Doliczyłem się trzydziestu sześciu kart – powiedział dziadek.

– Musiała to być jakaś dziwna pikieta.

Poczułem, że muszę stanąć w obronie babki.

– Pikieta kowbojska – zaryzykowałem. Wydawało mi się, że brzmi to dość prawdopodobnie.

Dziadek spojrział na mnie. Patrzyłem mu prosto w oczy. Skinął głową.

– To może usmażę nam salami – powiedział.

Podczas gdy bełtał jajka i siekał prawie dziesięciocentymetrowy kawałek tłustego koszernego salami, zaniósłem babce filiżankę herbaty. Siedziała na brzegu łóżka, mówiąc cicho do słuchawki. W jej głosie słychać było gniew i tę szczególną nutę sarkazmu zarezerwowaną wyłącznie dla mojego ojca. Nie pamiętam, a może nie dosłyszałem, co do niego mówiła. Znajomość późniejszych wydarzeń, zamiłowanie do melodramatu i blade widmo autentycznego wspomnienia każą mi przypuszczać, że słowa babki mogły znaczyć mniej więcej: „Nie masz teraz prawa ich opuścić”⁶¹. Na mój widok energicznie pokręciła głową i machnęła ręką, odprawiając mnie razem

61 Kilka dni po tej rozmowie ojciec powiedział mi, że do jego szpitala przywieziono mnóstwo chorych, więc będzie musiał tam trochę pomieszkać. W szpitalu była podobno specjalna sypialnia dla zapracowanych lekarzy. Po tygodniu wyprowadził się z domu. Było to pierwsze z trzech rozstań, które doprowadziły do rozvodu moich rodziców w roku 1975. Dziewięć miesięcy po pierwszym powrocie ojca i rok po poronieniu urodził się mój brat.

z filiżanką herbaty. „Wyjdz” – powiedziała bezgłośnie z pantomimiczną dykcją. Odwróciłem się i odszedłem korytarzem. Filiżanka brzęczała o spodek, jakby dzwonił telefon.

Usiadłem przy stole w kuchni. Dziadek włączył tymczasem radio i nastawił je na dziennik. Wiecznie to samo mętniactwo – statystyki i katastrofy. Dziadek łomotał garnkami, przetrząsał szuflady i zatrząskiwiał drzwiczki szafek. Czasem zachowywał się tak pod wpływem wiadomości, zwłaszcza o Richardzie Nixonie, lecz gdy tym razem ustąpiły miejsca reklamom, nie przestał łomotać i trząskać. Przyszło mi na myśl, że może tak samo jak babkę gniewa go strata dziecka i domniemany udział mojego ojca w tej sprawie, ale wszystko nadal pozostawało mocno niejasne. Nie wykluczałem jednak, że dziadek wścieka się z powodu kart do wróżenia, więc postanowiłem zbić go z tropu.

Po ułożeniu pasjansa budował czasem z tych samych kart wieżę (którą zawsze nazywał domkiem). Były na to dwa sposoby – dobry i zły. Większość ludzi wybierała zły. Przekonanie, że właśnie tak jest, stanowiło jedno z wyobrażeń o ludzkim postępowaniu przekazanych mi przez dziadka razem z naukami o metodach budowania domków z kart. Zły sposób polegał na tym, że brało się dwie karty i opierało je skośnie o siebie, tworząc chwiejny szałas, po czym ustawiało się cały rząd takich trójkątnych szałasów jako parter, na którym umieszczano się piętro, i tak dalej, przy czym każda kondygnacja była węższa o jeden szałas od poprzedniej, aż w końcu powstawał jeden duży trójkąt. W metodę tę wpisana była chwiejność konstrukcji i nawet przy bezbłędnym wykonaniu udawało się wznieść zaledwie kilka pięter, bo zaraz potem całość zawałała się pod własnym ciężarem.

Lepsza metoda polegała na tym, że cztery karty ustawiało się na dłuższych krawędziach, tak że z góry wyglądały trochę jak skrzydła wiatraka, a w miejscu ich spotkania powstawał solidny czworobok. Kładło się na nim płasko piątą kartę, tworząc mocną podbudówkę zdolną udźwignąć ciężar wielu pięter. Do każdego z ramion wiatraka można było dostawić trzy dalsze karty, więc rozbudowując konstrukcję w poziomie i w pionie, wznosiło się

coś krzepkiego i okazałego. Część kart, którymi się posługiwałem, zwrócona była do widza rewersami, a reszta – Myszy, Koniczyna, Sierp – awersami. Pomyślałem o piętrowych historyjkach, które babka nieraz mi z nich budowała, kiedy zdarzało nam się wyciągnąć te właśnie karty. Uświadomiłem sobie, że moja wieża jest piętrowa w dwóch znaczeniach.

Widziałem w tym spostrzeżeniu nie kalambur, lecz zagadkową przenośnię. Zapewne nie bez powodu o bajkach i innych opowieściach mówiono, że są piętrowe, mają ileś pięter znaczeń, w niepojęty dla mnie sposób wznoszących się na kształt tajemniczych wież, a grube książki nazywano ceglami. Pomyślałem, że może to mieć coś wspólnego z wieżą Babel. Chciałem zasięgnąć zdania dziadka, ale musiałbym mu wtedy wytłumaczyć, jaki babka naprawdę robi użytek z kart. Czułem, że do jej bajania (a przynajmniej do opowiadania piętrowych historyjek w jej stylu) odniósłby się jeszcze mniej przychylnie, niż wedle wszelkich oznak odnosił się do wróżenia.

– Patrzcie państwo – powiedział, mierząc krytycznym spojrzeniem moją budowlę. Trzymał w rękach dwa talerze i dwa widelce.

– To nic trudnego – zapewniłem go. – Te karty to świetny budulec. Mamie właśnie dlatego pozwala mi się nimi bawić.

– Czyżby? – Dziadek chciał ustawić talerze na przeciwnych końcach stołu z laminowanym blatem.

– Tak. Uważaj, bo wszystko przewrócisz.

– Kiedyś i tak musi się zawalić.

– Nie.

Kuchnię odgradzał od jadalni blat z dwoma stołkami barowymi, więc dziadek postawił talerze na nim zamiast na stole, na którym rosła moja wieża.

– Taki już los domków z kart – dodał, podchodząc z powrotem do kuchenki po patelnię z salami i jajkami. – Wręcz przysłowiowy.

– Co znaczy „przysłowiowy”?

– Przecież wiesz.

Dziadek pokazał mi z bliska patelnię. Zawsze smażył coś

w rodzaju omletu, zalewając rozbełtanymi jajkami podsmażone kawałki wędliny. Czekał, aż całość się zetnie i zbrązowieje od spodu, po czym przewracał „omlet” na drugą stronę, żeby i ją przyrumienić.

– Ile stopni ma okrąg? – spytał.

– Trzysta sześćdziesiąt.

– Dobrze. Ile chcesz?

– Sto dwadzieścia.

Dziadek odkroił szeroki klin i zsunął go na mój talerz. Usiedliśmy przy blacie. Radio piętrzyło własną wieżę z katastrof, zbrodni, pieniędzy, miłości, pomyślnych i niepomyślnych obrotów losu i wojen. Spojrzałem na swój domek z kart i zamyśliłem się nad przysłowiową nieuchronnością jego upadku.

– Dlaczego nie jesz? – spytał dziadek.

To, że niedawno zjedliśmy całą *tarte tatin*, było jeszcze jednym sekretem, co do którego babka wolałaby zapewne, żebym go nie zdradził dziadkowi. Nie odpowiedziałem.

– Tata jutro po ciebie przyjedzie – rzekł dziadek, próbując odgadnąć powód mojej dziwnej zadumy i małomówności. – Zabierze cię do domu. Zobaczysz mamusię. Naprawdę nic jej nie jest.

– Aha.

– Coś nie gra?

– Wszystko gra.

– No to jedz.

– Dlaczego Bóg nie dał ludziom zbudować wieży Babel? – zapytałem. – Dlaczego tak zrobił, że przestali się rozumieć?

– Wiesz, że nie wierzę w Boga.

– Wiem.

– To był pewnie zwykły ziggurat. Chyba wiesz, co to takiego? W Mezopotamii. Może zostały z niego tylko ruiny. A może całą tę historię zmyślono, żeby wyjaśnić, co się z nim stało, dlaczego wygląda na niedokończony.

– O.

– Rozumiesz, o co mi chodzi?

Rozumiałem: wszystko się waliło i niczego nigdy nie udawało się dokończyć. Świat tak jak wieża Babel albo talia kart mojej babki składał się z piętrowych historyjek i nieustannie groziło mu zawalenie. Wręcz przysłowiowo.

– Może Bóg nie chce tej wieży – rzuciła własną hipotezę babka. Stała pośrodku salonu, trzymając w rękach płaszcz dziadka, jego teczkę i zmięte rumowisko gazety. – Bo jakby ludzie wdhapli się na samą górę, to by mu jeszcze zajrzeli w okna i zobaczyli, że jest z niego kawał wielkiego knuha.

Dziadek uśmiechnął się po raz pierwszy od chwili powrotu do domu. Przyznał, że w teorii babki może tkwić źdźbło prawdy. Spróbował ją poczęstować „omletem” ze swojego talerza. Pokręciła głową i zrobiła niechętną minę, ale podeszła, skubnęła kawałek salami i włożyła go do ust. Stała tuż przy dziadku, opierając się biodrem o jego ramię.

– Mmm – mruknęła. Spojrzała na mnie, jakby nie patrząc. – Biedny mały.

Dziadek wstał ze stołka i wziął babkę w objęcia. Ona też go objęła, a ja miałem wrażenie, że ten uścisk trwa bardzo długo. Babka szepnęła coś dziadkowi do ucha, tak cicho, że nie dosłyszałem słów, a on kiwnął głową i powiedział:

– Wiem. Ja też.

I wtedy babka jakby oprzytomniała. Już drugi raz tego popołudnia wyciągnęła do mnie ramiona. Zsunąłem się ze stołka i podszedłem do dziadków. Moja prawa dłoń znalazła się w lewej ręce babki, dziadek swoją prawą wziął mnie za drugą, przygarniając babkę lewym ramieniem, i na chwilę utworzyliśmy koło, zanim się rozstąpiliśmy.

– Chłopak się trzyma – rzekł dziadek. – Powiedziałem mu, że wszystko będzie dobrze.

– Akuhat. Wcale się nie trzyma – zaprzeczyła babka. – Jest przehażony tych kukiełek, co je kupiłeś! Bo też one są *sthaszne*. Tak się boi tam iść spać, że cały dzień ma nehwy w kłębku.

Od powrotu dziadków z francuskiego miasta Lille ani razu jej się nie przyznałem, że się boję kukiełek.

Babka zmarszczyła brwi i puściła nasze ręce.

– O nie.

Zauważyła domek z kart, a potem zerknęła na dziadka. Na dłuższą chwilę spotkali się wzrokiem, a ja widziałem, że prowadzą jakąś dyskusję o kartach i o mnie, nie wypowiadając ani słowa. Babka spojrzała na mnie jakby z lekkim smutkiem – takie przynajmniej miałem wrażenie. Podeszła do kuchennego stołu i dmuchnęła na domek jak wilk z bajki o trzech świnkach. Wieża runęła i karty zagrzechotały o blat.

– Widzisz? – powiedział dziadek.

Babka zebrała karty i wsunęła je do pudełka. Nie wiem, co się z nimi potem stało. Nigdy więcej ich nie widziałem. Po kolacji dziadek poszedł do pokoju gościnnego. Wyjął z szafy pudło na kapelusze i zwiózł je windą do schowka w suterenie.

Nazajutrz przyjechał po mnie ojciec i razem zabraliśmy matkę ze szpitala. Powiedziałem jej, że wiem o straconym dziecku, na co odparła, że było całkiem małe, właściwie jeszcze nie dziecko.

Rok później ojciec odszedł z publicznej służby zdrowia i na krótko został lekarzem w klubie baseballowym Senators, a wtedy na zawsze wyjechaliśmy z Nowego Jorku. Odtąd o wiele rzadziej widywałem babkę, a ilekroć się to zdarzało, była krucha i chora. Nigdy nie gotowaliśmy ani nie graliśmy w karty. Siedziała owinięta kocami i gapiała się w telewizor albo patrzyła w niebo za oknem. Kiedy miałem jedenaście lat, umarła i pochowano ją na cmentarzu Montefiore, a ja odziedziczyłem po niej głosy w ciemnościach.

XXXIII

Pod koniec żałoby dziadek wziął udział w Dwunastym Kongresie Astronautycznym w Cocoa Beach na Florydzie.

Kongres zaczął się w sobotę, a pierwszy panel odbył się w Czaplej Sali hotelu Atlantis Beach przy kawie i kopenhazankach. Pewien inżynier z zespołu majstrującego nowy prom kosmiczny zaprzeczył na wstępie, jakoby kiedykolwiek określił astronautów NASA mianem „bandy szoferów latających ciężarówek”. Jego akcent zmajstrowano we Flatbush, a krawat i klapy marynarki były szerokie jak boki opon. Nosił okrągłe lenonki, a włosy w piaskowym odcieniu strzygł na pieczarkę. Powiedział, że astronauta są bohaterami, to przecież oczywiste. I pozostaną nimi, dopóki nie zacznie działać System Transportu Kosmicznego (STK). A wtedy określenie „szoferzy latających ciężarówek” będzie już w sam raz. Czapla Sala ryknęła gromkim śmiechem.

Dziadek też się śmiał. Akurat wychodził z sali, trzymając w rękę styropianowy kubek gorącej kawy ze stołu, na którym wystawiono poczęstunek, i już był spóźniony na cotygodniowe spotkanie z żalobą.

– W roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym podróże kosmiczne nadal są niebywale ekscytującą przygodą – ciągnął młody inżynier. – Ale muszę państwa uspokoić, że my w NASA robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby położyć temu kres.

Dziadek znów się roześmiał, przystając w drzwiach. Zawsze uważał bohaterstwo (jeżeli coś takiego w ogóle istniało) za resztę spadkową treningu. Dla dobrze wyszkolonego człowieka przygoda była czymś, czego raczej ma się nadzieję uniknąć.

Kiedy parsknął śmiechem, kobieta z ostatniego rzędu krzesel obróciła się i posłała mu uśmiech. Poklepała siedzenie wolnego krzesła obok siebie, unosząc brew. Miała pięćdziesiąt lat, ale jej dłoń wyglądała młodo, a paznokcie były pomalowane na róż

w odcieniu pelargonii. Była wiceprezeską do spraw księgowości w Walt Disney World i sekretarką protokolantką komitetu, który organizował doroczny kongres astronautyczny. Mieszkała w Orlando. Jej córka studiowała na Uniwersytecie Duke, a były mąż podczas wojny wietnamskiej latał odrzutowcami marynarki wojennej. Perfumowała się wodą L’Air du Temps. Nosiła rajstopy, z którymi dziadek aż do zeszłego wieczoru nigdy nie miał bliżej do czynienia, ponieważ babka aż do śmierci – umarła zaś dziesiątego lutego 1974 w wieku (zapewne) pięćdziesięciu dwóch lat – pozostała wierna gorsetowi i pasowi do pończoch. Wiceprezeska chodziła do jednej klasy licealnej z Tonym Bennettem. Pstrykała amatorskie fotki. Jeździła jednym z nowszych modeli Mercury’ego Cougara w kolorze łyżeczki słodzonego mleka skondensowanego.

Dziadek przetasował w pamięci te fakty, usiłując wyłuskać spośród nich asa, czyli jej imię. Stwierdził jednak ze zgrozą, że od zeszłej nocy zdążył je zapomnieć. Imię pierwszej kobiety, jaka po śmierci żony wylądowała w jego łóżku, którego od 1944 roku nie dzielił z żadną prócz mojej babki! Ona tymczasem znów poklepała wolne krzesło, jakby wabiła opieszałego kota. Dziadka piekły policzki i kark. Czuł, że za chwilę może zwymiotować. Pokręcił głową, usiłując zrobić melancholijną minę, a jednocześnie obawiając się, że łatwo można z niej wyczytać nadciągające torsje. Odwrócił się, skupiając uwagę na kubku gorącej kawy i całą siłą woli tłumiąc mdłości. Przetransportował przez wyściełany miękkim chodnikiem korytarz swój żołądek i wypełniony po brzegi kubek, zachowując pozory zupełnego braku pośpiechu. Minął Salę Panter, a potem Manatów i wreszcie znalazł się w holu. Dogoniła go przy stole rejestratorów. Piętrzyły się na nim oprawione sprawozdania z zeszłorocznego kongresu, na którym gościnnie przemawiał Gene Roddenberry⁶².

Schadzka zaczęła się na przyjęciu koktajlowym w piątkowy wieczór w restauracji Ramon’s Rainbow Room – na dachu modernistycznego banku w stylu epoki lotów kosmicznych, w śródmieściu Cocoa Beach. Na początek wyznali sobie miłość do

62 Scenarzysta i producent, twórca serialu *Star Trek* (przyp. tłum.).

serialu Star Trek. Dziadek przez dziesięć lat z rzędu brał udział w dorocznych kongresach astronautycznych jako współwłaściciel i szef działu opracowania produktów w MRX, Inc., odpuszczając sobie dziewięć kolejnych przyjęć koktajlowych, i dopiero zeszłego wieczoru odstąpił od tej reguły. Nie wykluczał, że mimo głębokiej żałoby po babce polował tamtego roku na kobiece towarzystwo. Ale doroczna konferencja zawodowców i amatorów raketnictwa i podróży kosmicznych była wyjątkowo głupio wybranym łowiskiem, chociaż przyjęcie odbywało się w Ramon's Rainbow Room.

– Nic ci nie jest, szefie? – Kobieta przyniosła dziadkowi plastikową pokrywkę do kubka z kawą i banana. Jednym spojrzeniem oceniła jego wygląd: perlisty pot tuż pod linią włosów i krawat z wczorajszym węzłem. – Jesteś zupełnie zielony. Masz.

Podła mu banana. Wyjęła jednorazową chusteczkę z bocznej kieszeni żakietu z surowego jedwabiu w barwie zbliżonej do paznokci, w który widocznie przebrała się rano, wymknąwszy się niepostrzeżenie z jego pokoju. O siódmej zadzwonił tam budzik, a kiedy dziadek spróbował namacać ją ręką w miejscu, w którym od tyłu miesiący napotykał tylko chłodną pościel, ślad jej ciepła i osad woni L'Air du Temps sprawiły, że łóżko wydało się jeszcze bardziej puste niż zazwyczaj. Dziadek już dwunasty miesiąc trwał w żałobie, ale nigdy przedtem nie odczuwał jej tak boleśnie jak w tamtej chwili.

– To pewnie ostatnia rzecz, na jaką masz ochotę, ale gdybyś zjadł tego banana, poczułbyś się lepiej. – Kobieta delikatnie otarła dziadkowi chusteczką lepkie czoło. – Zawiera potas. I elektrolity.

Dziadek obrał banana i zjadł pół. Od razu poczuł się lepiej.

– O – westchnął, czując się jak skończony idiota, bo przecież powinien był wcześniej zdać sobie sprawę, co mu dolega. – Mam kaca.

– To chyba pierwszy od dłuższego czasu.

Nie było to pytanie, tylko domysł podbudowany tupetem. Minionej nocy dziadek wypił zapewne więcej alkoholu niż

w sumie przez wszystkie lata od dnia zwycięstwa w Europie. Kobieta najwidoczniej wiedziała o nim i o jego życiu więcej, niż pamiętał, że jej wyznał. Naprędce wysondował swoją pamięć i stwierdził, że części zeszłego wieczoru raczej nigdy nie zdoła odtworzyć. Miał nadzieję, że nie zawiódł seksualnie tej zacnej osoby. I że nie wyplakał się na jej ramieniu. Obawiał się jednak, że mógł zrobić jedno i drugie.

– Lepiej już jedź – powiedziała kobieta, spoglądając na zegarek, duży męski accutron astronaut. W swojej kosmicznej szajbie szła na całość. – Do Melbourne jest dobre pół godziny jazdy, zależnie od ruchu na szosie.

Prócz innych zwierzeń dziadek najwidoczniej zapomniał i to, że ma zamiar się urwać z porannej sesji zatytułowanej Prom kosmiczny (STK): sprawozdanie z postępów prac, bo woli pojechać pierwszy raz w życiu do Melbourne na Florydzie i zmówić kadysz za moją babkę. Synagogę Beth Isaac znalazł w książce telefonicznej.

– Daj – powiedziała kobieta. Zabrała mu kubek i tkliwie zabezpieczyła go pokrywką. Kropla kawy prysnęła jej na opuszkę kciuka. – Au. – Zlizwała kroplę z palca i oddała dziadkowi kubek. – Po aramejsku, tak?

Wyglądało na to, że dziadek dość szczegółowo objaśnił jej żydowskie obyczaje, związane ze śmiercią i żałobą.

– Zgadza się – przytaknął.

– A przypomnij mi, gdzie dziś jeszcze się mówi po aramejsku?

– Nigdzie⁶³.

Kobieta uściśniła prawą rękę dziadka tuż nad łokciem, a on z przykrością dostrzegł w jej oczach pewną dozę litości. Musnęła ustami jego policzek.

– Dokończ banana – powiedziała.

Wróciwszy po południu z wypadu do Melbourne, dziadek jeszcze raz przelotnie ją zobaczył, kiedy znikwała w drzwiach sali

63 Syryjski – odrębny dialekt aramejskiego – jest świętym językiem chrześcijan obrządku syryjskiego. Inny z dialektów aramejskich – asyryjski – do dziś pozostaje ojczystą mową dwustu tysięcy ludzi rozproszonych po Azji Zachodniej.

bankietowej hotelu Atlantis Beach, idąc na lunch wydany z okazji wręczenia nagrody. Wtapiała się w tłumek wielbicieli i sympatyków (w którym znalazły się też cztery pozostałe uczestniczki kongresu) wokół siwowłosego dżentelmena o imponującej posturze przybyłego do Cocoa Beach po wspomnianą nagrodę. Czas pokazał, że to przelotne mgnienie było zarazem (na ile dziadek umiał sobie potem przypomnieć) ostatnim. A jednak ta właśnie kobieta okazała się jedną z kluczowych postaci, które przesądziły o dalszym biegu jego życia.

Wyszedł z hotelu, a gdy w drodze do auta dojechał banana, przypomniał sobie nagle jej imię, zanim jednak się zebrał, żeby mi opowiedzieć tę historię, zdążył znów je zapomnieć⁶⁴.

– Co sobota, przez cały rok – powiedział dziadek. – Obojętne, gdzie akurat byłem. A bywałem w bardzo wielu miejscach. Zapewniam cię, że twój tata i Ray napaskudzili z rozmachem.

Było ciepłe popołudnie. Dziadek poprosił, żebym mu pomógł wydostać się na patio, które lubił obserwować przez okno ze swojego wynajętego szpitalnego łóżka. Akurat kwitł zaślaz obwieszony tysiącem sutych czerwonych lampioników. W karmniku dla ptaków wiele się działo, więc ziarnisty beton pod nim zasypany był pestkami.

– Udało im się dostać pozwvy w czterech stanach. W Nowym Jorku, New Jersey, Marylandzie i Pensylwanii.

– W Delaware.

– Racja. W Delaware. Skąd wiesz?

– Myszkowałem.

W dzieciństwie tylko w ten sposób mogłem się dowiedzieć czegoś pewnego.

– Pamiętasz, jak któregoś dnia... mogłeś zresztą zapomnieć. Tamtego lata, kiedy ty i twój brat mieszkaliście u nas.

– Mama szykowała się do obrony dyplomu z prawa.

⁶⁴ Była to Sandra Gladfelter. Por. *Canaveral Council of Technical Societies*, „1975 Twelfth Space Congress Program” (1975).

– Bawiliście się obaj przed domem. I on chyba wdepnął w psią kupę. I tego nie zauważył.

– Coś mi majaczy.

– Po pewnym czasie wróciliście do środka, bo mieliście już dość zabawy. Mały wchodzi do kuchni. Do salonu i do pokoju z telewizorem. Schodami w górę i w dół. Do łazienki. Do garażu. Nawet do szafy na płaszcze! Jakby zwiedzał dom. W każdym pomieszczeniu zostawił śmierdzący brązowy ślad stópki.

Roześmiałem się.

– Widzisz? – powiedział dziadek. – Nie tylko tobie się udają wyszukane metafory.

– Hmm.

– Mówię o tym, jak napaskudzili twój ojciec i mój przekłety brat.

– Tak, rozumiem.

– Weź pod uwagę, że to się działo akurat wtedy, kiedy twoja matka podchodziła do dyplomu z prawa. I co, miała stracić wiarygodność? A nawet własny dom? Najpierw jeździłem to tu, to tam, do Waszyngtonu, do Baltimore. Starłem się ustalić, ile właściwie jest tego gówna i jak dokładnie policja je namierzyła. A potem spróbowałem opanować sytuację, negocjować z urzędem skarbowym. I z wierzycielami, którzy ich obu pozwali. Sam Chabon włóczył twojego ojca po sądach, wiedziałeś o tym?

– Aha.

– Żeby rodzony stryj pozwał człowieka.

– Jest się czym chwalić.

– Przepraszam – rzekł dziadek. – To twój ojciec, powinienes go kochać.

– Nie powinienem – odparłem. – Ale Kocham.

– W każdym razie bez względu na to, gdzie akurat byłem, jeżeli wypadała sobota, to szedłem odmówić kadysz. Do Adath Jeshurun albo do B'nai Abraham w Filadelfii. Do Ahavas Sholom w Baltimore, rzecz jasna. Do Rodef Sholom w Pittsburghu. Do Beth El w Silver Spring.

– Zabrałeś mnie do Beth El.

– I to parę razy.

Mamzer skoczył na daszek karmnika i rozpoczął złodziejski

zwiad.

– Prawdę mówiąc, nie wiem, po co to robiłem. Tydzień w tydzień trajałem się na Reisterstown Road czy gdzie indziej odmówić modlitwę.

– Coś ci to pewnie dawało.

– A przynajmniej chciałem coś z tego mieć. – Dziadek wystawił język. – Chwila słabości.

Mamzer wolniutko zsuwał się nad krawędź daszku.

– Widzisz go.

– No właśnie. Cholera, trochę mnie korci, żeby mu po prostu sypnąć ziarna.

– Nie wiedziałby, co z nim zrobić – odparł dziadek. – Bałby się, że je zatrueś.

– Myślisz, że taki z niego spryciarz?

– Przecież to *mamzer*.

Zamilkliśmy, a dziadek zamknął oczy. Przedtem powiedział mi, że czuje słońce „w kościach” i że to ciepło jest miłe.

– Trzeba przyznać, że umiemy się obchodzić ze śmiercią – rzekł po jakimś czasie.

– My Żydzi?

– Co krok „rób to, rób śmo. A nie tamto”. Człowiek potrzebuje kogoś, kto mu powie, co ma robić. Rozedrzeć wstążkę, zasłonić lustro. Siedzieć przez tydzień. Miesiąc zapuszczać brodę. A potem przez jedenaście miesięcy chodzisz do synagogi, stajesz i po prostu... to... sam nie wiem.

Dziadek znów zamknął oczy. Lekki wietrzyk poruszył miękkim siwym puklem na jego czole.

– Jeżeli umrze ci żona, brat czy, Boże uchowaj, dziecko, w twoim życiu powstaje wielka dziura. Lepiej nie udawać, że jej nie ma. Nie próbować tego „przepracować”, jak to się dziś mówi.

Pomyślałem, że chyba w samej naturze ludzkiej tkwi coś, co każe nam przez pierwszą połowę życia drwić z klisz i konwenansów starszego pokolenia, a w drugiej wyszydząć klisze i konwenanse młodzieży.

– No więc widzisz, kiedy przychodzi pora odmówić kadysz, stajesz przed wszystkimi, wskazujesz tę dziurę palcem i mówisz:

„Patrzcie. To z nią żyję, z tą dziurą”. I tak przez jedenaście miesięcy, tydzień w tydzień. I wcale nie mija, nie „zostawiasz jej za sobą”.

– Jeszcze jeden frazes.

– A po jakimś czasie do niej przywykasz. Przynajmniej teoretycznie. To dlatego co tydzień jeździłem do synagogi, obojętne, gdzie akurat byłem, żeby przywyknąć. Po śmierci rodziców to poskutkowało. Pewnie myślałem, że poskutkuje też po śmierci twojej babki.

Kongregacja Beth Isaac mieściła się w modernistycznym domu z połowy stulecia, stylizowanym na alpejski pensjonat, którego lazuruwa ściana szczytowa pod stromym dwuspadowym dachem zdradzała, że była to dawniej naleśnikarnia sieci IHOP. Jak zresztą dowiedział się dziadek, w okolicy nazywano ten szul Beth IHOP. W gablocie na ścianie w sieni wśród gazetowych wycinków sławiących hojność i społecznikostwo rozmaitych wyznawców – zarówno żywych, jak i umarłych – dziadek dostrzegł puchar sportowy zwieńczony złotą figurką szajgeca z rakieta w ręku. Obok wisiało zdjęcie młodego muskularnego Żyda, który ścisnął dłoń chudemu facetowi, podobnie jak on ubranemu w białą koszulkę polo i tegoż koloru szorty. Z podpisu wynikało, że sportowcem o pociągłej twarzy jest Geoff Hunt, czempion British Open. W krzepkim Żydzie, który podawał mu rękę, rozpoznano rabiego Lance Teplera.

Leciwa wyznawczyni, która właśnie wchodziła do domu modlitwy, zauważyła, że dziadek przygląda się gablocie. Kazała swojemu towarzyszowi poczekać chwilę, jedną chwileczkę. Ubrana była w bezkształtne spodnie z trykotu pomarańczowego jak cheddar i równie bezkształtny sweter w czarno-pomarańczowe maki na białym tle. Okulary też miała w kolorze pomarańczy.

– Rabbi Lance to największy na świecie żydowski czempion squasha – powiadomiła dziadka.

Ten parsknął śmiechem, głośniejszym i dłuższym niż zamierzał.

Nie śmiał się tak głośno i długo od wielu miesięcy, a nawet lat – ściśle mówiąc, od roku 1966, kiedy to zabrał mojego ojca do Latin Palace na występ Buddy’ego Hacketta⁶⁵. Absurdalne wydało mu się nie tylko samo oświadczenie nieznanym, lecz także jej uroczysta mina i przywieziony ze Starego Świata akcent („Szempion skosza”). Ze śmiechu rozboleły go boki, a potem i serce. Zrobiło mu się przykro, kiedy zobaczył, że starsza pani poczuła się urażona, czemu zresztą trudno było się dziwić. Spróbował udąć, że wcale się nie śmieje, tylko dostał ataku niepohamowanego kaszlu, ale jej to nie zmyliło. Odwróciła się do niego tyłem.

– To jakiś wariat – powiedziała w jidysz do swojego towarzysza, posługując się tym scenicznym szeptem, który od tysięcy lat pozwala prawdomównym żydowskim staruszkom zadbać, żeby nikt, a zwłaszcza ofiara ich kalumnii, nie miał cienia wątpliwości, w kogo te kalumnie są wymierzone. Dziadek ledwo zdołał uchwycić odpowiedź starszego pana, sformułowaną po angielsku:

– Wydał mi się lekko skacowany.

Frekwencja w Beth IHOP była tego ranka mizerna, więc gdy rabbi Lance wmaszerował sprężystym krokiem na bime, natychmiast wypatrzył w ostatnim rzędzie nowego wyznawcę z byle jak zawiązanym krawatem. Skinął głową, a jego mina wyrażała coś między samozadowoleniem a chęcią dodania otuchy: „Jest pan w znakomitych rękach”. Był blondynem z potężną szczęką, przystojniakiem w typie George’a Segala.

– Chciałbym zacząć od prościutkiej modlitwy ze szczerego serca – oznajmił. – Bogu niechaj będą dzięki za to, że klimatyzacja znów działa.

Modlitwa ta rzeczywiście zabrzmiała szczerze. Kilka głosów odpowiedziało „amen”. O dziewiątej rano na dworze było już dwadzieścia osiem stopni. Dziadek, który wielbił klimatyzację jak

65 Wedle oceny dziadka „najzabawniejszego Żyda wszech czasów”. Była to jedna z bardzo nielicznych kwestii, co do których dziadek i mój ojciec całkowicie się zgadzali: „Ledwo usiądzie na krześle, człowiekowi zaraz chce się śmiać”.

enofil dobre wino, zdążył tymczasem wystawić szlachetnemu rocznikowi Beth Isaac najwyższą ocenę. Z szerokiej kraty w tylnej ścianie sali wiał mu prosto na głowę zimny podmuch i chyba może między innymi dzięki niemu dziadek... no, może nie uczestniczył w nabożeństwie, które się niebawem zaczęło, ale przynajmniej je przetrwał, kriogenicznie zakonserwowany w podmuchu klimatyzacji, dopóki nie uleczyło to jego znużenia. Myślał o młodym fizyku i jego sympatycznym szarganiu świętości, a także o miękkiej, pulchnej dłoni, którą sekretarka protokolantka poklepała wolne krzesło obok siebie. Nie czuł żadnej więzi z przeszłością – czy to własną, czy swoich przodków – ani z garstką wiernych siedzących tu i ówdzie w ławkach wokół niego. Równie dobrze mogliby być nieznanymi na dworcu autobusowym, podróżującymi w pojedynkę we wszystkie strony świata. Albo samotnymi klientami naleśnikarni, skąpanymi w syropie lejącym się z organów Wurlitzera, na których grał stary Żyd z bujnymi, zaczesanymi do góry włosami, nie mniej czarnymi niż cyferblat Shinoli; ubrany był w dziwny beżowy kombinezon czy też owerol i dwubarwne buty na koturnach. Dziadek wprawdzie już od jakiegoś czasu wiedział, że w synagogach reformowanych pojawiły się organy, tak jak zdawał sobie sprawę, że kobiety noszą rajstopy, był to jednak jego pierwszy bezpośredni kontakt z tym zjawiskiem. Jedyną istotną zaletę chodzenia do synagogi zawsze upatrywał w tym, że kościół byłby jeszcze gorszy. Obecność organów i ich dźwięki w znacznej mierze niwelowały tę wyższość.

Kiedy wreszcie nadeszła jego chwila, wstał jako jedyny żałobnik w tej części sali – samotna baszta więżąca bezimienny smutek. Najpierw pomodlił się o Odkupiciela, którego nadejścia nie oczekiwał, a o odkupieniu wiedział, że jest niemożliwe. Następnie powiedział Bogu wszystkie komplementy, które najwidoczniej były Mu potrzebne. Na końcu poprosił o pokój w konwencjonalnym rozumieniu tego słowa, co wydawało mu się nieszkodliwe, choć spełnienie tej prośby uważał za mniej więcej tak samo prawdopodobne jak przybycie Mesjasza. Stryj Ray wytłumaczył mu kiedyś, że jeśli przeanalizuje się same

słowa, to ostatnie wersy kadyszu można rozumieć jako prośbę, żeby Bóg i wszyscy inni chociaż na chwilę dali święty spokój modlącemu się i każdemu z jego żydowskich pobratymców.

Z kolei rabbi Lance wyraził życzenie, aby dziadek i wszyscy pogrążeni w żałobie Żydzi na całym świecie doznali ukojenia, po czym dał wiernym znak, że mają usiąść. Dziadek usiadł. Miał wrażenie, że dopiero po dłuższym czasie znów klapnął dupą na drewnianą ławkę, a nawet i potem czuł się, jakby resztą siebie opadał coraz niżej.

Przez ubiegły rok wierzył mimo braku dowodów, że jeśli będzie sumiennie przestrzegał formuły zawartej w kadyszu, modlitwa podziała równie skutecznie jak wtedy, gdy umarli mu rodzice – najpierw ojciec, a wkrótce po nim matka. Lecz od śmierci babki hołubił w najbardziej pancernym bunkrze, ukrytym najgłębiej pod górą Cheyenne swojego serca, plan awaryjny, jakby to była atomowa teczka przykuta kajdankami do jego nadgarstka: otóż liczył na to, że kiedy do tego dojrzeje, prędzej czy później zjawi się kobieta, która go przeleci. A wtedy sam poczuje, że nareszcie wraca do równowagi. Gdy jednak siedział w ostatnim rzędzie ławek w Beth Isaac, dźwięki organów przypominały tło muzyczne ze starej radiowej opery mydlanej, a końcowa porcja banałów i bezpodstawnych twierdzeń spływała po nim jak woda po gęsi, musiał spojrzeć w oczy tej ewentualności, że nigdy nie otrząśnie się po stracie babki. Od czasu jej śmierci nie tylko łóżko, ale całe jego życie było na wpół puste. Każda Sandra Gladfelter mimo swoich niewątpliwych wdzięków i wody L'Air du Temps, pachnącej czystością i bukietem goździków, mogła jedynie wzmocnić to wrażenie pustki, tak jak ludzka sylwetka umieszczona dla oddania proporcji na rysunku rakiety Titan podkreśla jej ogrom.

– Hej, hej.

Powiedział to organista – drobny staruszek w kombinezonie i z fryzurą ułożoną jakby na pastę do butów. Dziadek pomyślał, że to chyba homoseksualista. Rozejrzał się i ze zdziwieniem stwierdził, że choć od pewnego czasu graniczące z furją zniecierpliwienie nakłania go do wyjścia z Beth IHOP, w rzędach

ławek nie siedzi już nikt oprócz niego. Nie miał pojęcia, jak dawno skończyło się nabożeństwo.

– Chciałem się tylko upewnić, że nic panu nie jest.

– Wszystko gra.

Już po raz drugi tego ranka dziadek dostał od kogoś chusteczkę. Otarł nią oczy.

– Nie chce pan iść na *oneg*? – spytał organista. – Nie przekąsiłby pan czegoś?

Dziadek pokręcił głową.

– Widziałem, że wstał pan do kadyszu – powiedział organista.

– W zeszłym roku umarła mi żona.

– Rak?

– Owszem.

– To straszne, kochany, współczuję. Długo chorowała?

– Pierwszą diagnozę miała chyba w sześćdziesiątym ósmym. Zoperowali ją, a potem naświetlali, wie pan. Rak się cofnął, ale później wrócił.

– Też go miałem – rzekł organista. – Raka. Naświetlania. Wierz mi, kochany, to żaden cymes.

– Wierzę – powiedział dziadek.

– Pójdę już na *oneg*, dobrze?

– Jasne. Miło było pana poznać.

– Na pewno nic panu nie jest?

– Wszystko gra.

– Nie zje pan kawałka ciasta?

– Nie, dziękuję.

Staruszek poklepał dziadka po ramieniu i wyszedł z sali modłów. Mimo koturnów poruszał się z gracją i niezwykłym dostojeństwem. Dziadek spojrział na zegarek. Zaofiarował się urządzić po południu tego dnia w sali wystawowej hotelu Atlantis Beach pokaz modelarstwa, więc była już pora wracać. Posiedział jednak jeszcze minutę. Był chyba troszkę zmęczony. Zmęczyli go prawnicy i ich pozerstwo, a także brutalne ugrzecznienie urzędników podatkowych. Zmęczyło go dźwiganie brzemienia błędnych decyzji, cudzych i własnych. Ale najbardziej zmęczony był opłakiwaniem babki. Nawet gdy ustały u niej

nawroty kompletnego obłądu, pozostawiając po sobie tylko chroniczną nerwowość i bezgraniczne zagubienie – jakże powszechne u aktorów – kochanie jej wymagało sporego trudu. Ale kochał ją namiętnie, chociaż była to ciężka praca. Ilekroć ciężar niewiadomego sekretu, który w sobie nosiła, nie pozwalał jej kochać siebie, a więc i odwzajemniać miłości dziadka, zaciekłość, z jaką się w niego wpijała nawet w takich okresach, była wystarczającym zadośćuczynieniem. Zaspokajała jego rozmaite głody. A teraz pozostała jedynie codzienna pańszczyzna, odrabiana w postaci tęsknoty. Chciał odpocząć. Chciał tak jak wszyscy żałobnicy Syjonu mieć wreszcie święty spokój.

Samochód od dwóch godzin stał w pełnym słońcu. Śmierdział przypaloną kawą. Dziadek pochylił się i wziął do ręki kubek. Kiedy znów się odwracał w stronę synagogi, rozglądając się za śmietnikiem, nadepnął na jakiś okrągły przedmiot, który ugiął mu się pod obcasem. Stopa pojechała do przodu i dziadek z impetem siadł na asfalcie. Z upuszczonego kubka spadła pokrywka. Niedopite trzy centymetry kawy szczerze się rozprysły, ochlapując gors koszuli, krawat i spodnie. Wieczorem dziadek znalazł brązową plamę na prawej skarpetce.

Pod lewe przednie koło samochodu wtuliła się czarna gumowa piłeczka, jakby w ucieczce przed gniewem dziadka. Była mniejsza od tenisowej – dunlop z żółtą kropeczką. Dziadek podniósł piłkę do squasha i cisnął ją za siebie przez ramię w stronę synagogi.

– Wal się, rabbi Lance – powiedział.

Sięgnął po plastikową pokrywkę (zbląkanego kubka nie zdołał odnaleźć) i nagle dostrzegł złożoność, wręcz finezję rzeźby jej powierzchni. Kawa na wynos w styropianowym kubku z poliuretanową pokrywką stanowiła w 1975 roku względną nowość. Pokrywki miały początkowo kształt zwykłych krążków, które trzeba było zdejmować, żeby się dostać do napoju. Dopiero przed kilkoma laty pojawiła się pokrywka z czymś w rodzaju ustnika z uszkiem, za które należało pociągnąć, aby wydrzeć w kruchym plastiku odpowiedni otwór. Ponieważ jednak pokrywka była zwykłym krążkiem bez perforacji, przeważnie

rozdziarało się ją przy tym na pół albo uzyskiwało szczelinę o szczerbatych krawędziach. Dziadek nauczył się więc ignorować zdradliwe uszko i przed każdym łykiem kawy kupionej na wynos zdejmować, a potem znów nakładać całą pokrywkę, tak jak to zrobił tamtego ranka.

Pokrywka od Sandry Gladfelter była jednak nowinką z rządkiem dziurek ułatwiających wyrwanie uszka. Miała szparkę, w którą należało wsunąć odchyłone uszko, odstawiając dziobek. Wierzch pokrywki wzmacniały cztery wypukłe żebra, ułożone w literę X, co jeszcze bardziej zmniejszało ryzyko kraksy przy wydzieraniu uszka. Znać było w tym ślad ludzkiej myśli i rozwagi, lecz nawet pominiawszy praktyczną stronę projektu, piękny wydawał się sam przedmiot. Jego biel i abstrakcyjna geometria wypukłości miały w sobie coś futurystycznego, jakby był końcówką łącza albo osłoną akumulatora, którą zgubił w przelocie statek kosmiczny.

Pokrywka przypominała dziadkowi powierzchnie, w które modelarz Douglas Trumbull wyposażył statki kosmiczne, księżycowe pojazdy i budowle z filmu *2001: Odyseja kosmiczna*, pokryte rozmaitymi guzami, fałdami i wypukłymi siatkami, nadającymi im wygląd maszynerii o niejasnym, lecz prawdopodobnym przeznaczeniu. Dziadek pomyślał, że mogła właściwie posłużyć jako element modelu bazy w kraterze Klawiusza pokazanej w tym filmie. Obracał ją w różne strony, nie zważając na bijący od asfaltu żar, który prażył go w siedzenie przez spodnie. Przypomniała mu się złożona niegdyś babce obietnica, że poleci z nią na Księżyc i oboje będą tam bezpieczni. Wyobraził sobie ją i siebie w kolorowych skafandrach astronautów z *Odysei kosmicznej*: on miał pomarańczowy, a ona niebieski i razem wybrali się na przejażdżkę łazikiem po powierzchni Księżyca. Dojechali do luku tkwiącego w księżycowej glebie. Dziadek przestawił dłoń w rękawicy odpowiedni przełącznik, a wtedy zautomatyzowana pokrywa z wolna przesunęła się w równoległych rowkach i wzniosła ku czarnemu niebu, odstawiając właz, przez który pojazd wtoczył się do garażu ukrytego pod powierzchnią satelity. Pokrywa się

zamknęła. Garaż wypełniło zdatne do oddychania powietrze. Za chwilę znów znajdą się w zaciszu, które dziadek zbudował żonie na Księżycu. Wisząc w uprząży na stelażu, będzie patrzył, jak babka ścina kwiaty w hydroponicznym ogrodzie, podczas gdy świat skrywa swoje nocne oblicze, a na kosmiczny azyl sphywa spokój.

Harmonijkowa ściana z oklejonych beżową wykładziną paneli odgradzała salę bankietową hotelu Atlantis Beach od wystawowej, w której dziadek siedział przy stole, a przed nim na blacie stała tabliczka z jego nazwiskiem, wydrukowanym pod słowem „Pokaz” i nad melancholijnie brzmiącym tytułem „Były prezes i dyrektor techniczny MRX, Inc.”. Salę wystawową podzielono na trzy części ruchomymi przepierzeniami, także oklejonymi wykładziną, ale dla odmiany pomarańczową. Dziadek siedział w dziale Kosmiczna sztuka i rzemiosło. Był w sali zupełnie sam, więc tematyka prezentacji pozostawała sprawą otwartą. Przypuszczał, że pokazuje pewien sposób szukania azylu: ciałem tkwił za przepierzeniem w sali wystawowej, a wyobraźnią – w głównym reaktorze pierwszej ludzkiej osady na Księżycu. Wprawdzie nie zdołał spełnić obietnicy danej babce (a raczej sobie) za jej życia, myślał jednak, że może uda się to jakoś zrobić w sferze wyobraźni, w której babka nadal żyła.

Zza harmonijkowej ściany dobiegały stłumione odgłosy z sali bankietowej. Kolejni mężczyźni wygłaszali przemówienia, onirycznie balansujące na granicy zrozumiałości: podmerskie mowy wzburzone falami śmiechu i aplauzu. A potem wezbrał głośniejszy niż dotąd aplauz, który nieprędko przeszedł w fazę odpływu. Kiedy ucichł, dziadek usłyszał jakiś nowy głos – cienki, ale donośny, z charakterystycznym zaśpiewem.

Jesienny biuletyn kongresu astronautycznego otrąbił ustanowienie rocznego Medalu Saturna „za istotny wkład w podróż ludzkości ku gwiazdom”⁶⁶. Zawierał listę kandydatów

66 Ufundowała go czarterowa linia lotnicza Saturn Airways, która zaniechała działalności w 1976 roku. Przyznano tylko dwa Medale Saturna.

wybranych przez komitet, którego sekretarką protokolantką była Sandra Gladfelter. Razem z nim przysłano kartę do głosowania i kopertę z adresem zwrotnym. Zagłosować mógł każdy prenumerator, jeśli tylko stać go było na znaczek pocztowy. Wyniki miano ogłosić w następnym numerze.

Ujrawszy wynik głosowania, które laureat wygrał w cuglach, dziadek postanowił publicznie zdać relację z tego, co widział w Nordhausen. Zaczął pisać list otwarty do Biuletynu, nosząc się także z zamiarem wysłania go do jakiejś gazety, która zamieściłaby tekst jako wstępniak, wkrótce jednak zwątpił, czy jest to przedsięwzięcie warte zachodu i celowe. Było tajemnicą poliszynela, że „ojciec lotów kosmicznych” ma za sobą poniekąd nazistowską przeszłość. Od zakończenia wojny historycy, dziennikarze i dawni więźniowie KZ Dora czynili poparte rzetelną dokumentacją próby podważenia twierdzeń zdobywcy Medalu Saturna, który do końca życia utrzymywał, że w Mittelbau nie tylko nie popełnił żadnych zbrodni wojennych, ale wręcz nie miał najmniejszego pojęcia, że je tam w ogóle popełniano. Żaden z najgorszych zarzutów pod jego adresem nie zwrócił na siebie uwagi ogółu, a tym bardziej nie utkwiał mu w pamięci. Te, które w ogóle zauważano, zbywano jako element kampanii oszczerstw, którą Sowietci chyba naprawdę wówczas przeciwko niemu prowadzili⁶⁷. Jeśli zimną wojnę toczono za pomocą symboli, to Wernher von Braun zadał w niej najpotężniejszy ze wszystkich ciosów. Po Amerykanach zazwyczaj można się spodziewać, że uwierzą w każdą najhaniańbniejszą wiadomość o swoich bohaterach, nikt jednak nie chciał słyszeć, że Ameryka wspięła się na Księżyc po drabinie z ludzkich kości.

Dziadek od trzydziestu lat nosił swoje oburzenie w kieszeni jak zapalniczkę Aughenbaugha, w każdej chwili gotów skrzesać nią ogień, a tu nagle się okazało, że ją zgubił albo gdzieś zapodział.

Drugim laureatem był pisarz Arthur C. Clarke.

67 Oczywiście sami z największą radością byliby go porwali i zaprzęgli w służbę własnego programu badań raketowych, gdyby Amerykanie ich nie ubiegli.

Nie mógł zebrać się w sobie, żeby potępić rehabilitację SS-Sturmbannführera von Brauna, bo napisanie jednostronicowego listu wymagało zbyt długotrwałego wysiłku. Nie miał serca ani siły spojrzeć w oczy nasuwającym się wnioskom:

1. Dociekania i badania naukowe są z gruntu amoralne lub plasują się ponad wszelką moralnością.

2. Wspaniałość raket nieodłącznie wiąże się z ich przydatnością do zabijania.

3. Ideały sprawiedliwości, otwartości, troski o słabych – czyli w sumie elementarnej przyzwoitości – za które on sam walczył, a Alvin Aughenbaugh i wielu innych zginęło, nic nie znaczą dla oficjalnie wyznającego je kraju. Są tylko przeszkodami do wyminięcia podczas sprawowania władzy. W istocie nie przetrwały wojny. To ostatnie stwierdzenie znaczyło, że:

4. W pewnym zasadniczym sensie (czego dowodem i przykładem była oszałamiająca powojenna kariera von Brauna) nazistowskie Niemcy wygrały wojnę.

Dziadek akurat najmniej się kwapił do rozważania czy też roztrząsania tego ostatniego punktu. Gardził patriotyzmem. Jego złudzenia co do przyzwoitości Amerykanów nie przetrwały próby lektur z amerykańskiej historii. We wszystkich wyborach prezydenckich od roku 1936 do 1948 głosował na Normana Thomasa, kandydata socjalistów. Lecz nawet sceptycyzm, choć stawia bariery wszelkiej wierze, ma pewne granice. Pamiętnego popołudnia w gabinecie doktora Leo Medveda dziadek postanowił nadal wierzyć, nie zadając żadnych pytań, w to, co babka zawsze mu opowiadała o swoich wojennych przeżyciach. W tych okolicznościach sceptycyzm wydawał się rodzajem obłędu. Tylko wiara pozwalała iść ku przyszłości. Dotyczyło to też von Brauna i w ogóle wojny. Dziadek wybrał tę jedyną drogę w przyszłość. Postanowił wierzyć, że rozlew krwi i zniszczenie nie poszły na marne. Nie było bez znaczenia, że w księżycowym pyle zamiast *Nationalflagge* zatknęto Gwiazdy i Pasy. Dziadek odłożył więc list, postanawiając w miarę możliwości omijać von Brauna w trakcie kongresu i mieć nadzieję, że ich drogi nigdy się nie przetną. To dlatego zaofiarował się pilnować sali wystawowej

podczas lunchu z okazji wręczenia Medalu Saturna.

Równy po pięćdziesięciu minutach władczy ton ustąpił miejsca przyciszonemu chrypieniu; przedzierzgnąwszy się w stuprocentowego Amerykanina, von Braun został żarliwym chrześcijaninem, a jego publiczne wypowiedzi nierzadko nabierały pobożnego, wręcz mistycznego wydźwięku. Po paru chwilach znowu wybuchł huraganowy aplauz. Napierał na harmonijkową ścianę i wstrząsał nią, a gdy kolejna fala tak wezbrała, że dziadek aż się wzdrygnął, jedna z oklejonych wykładziną części ściany jakby sama ustąpiła.

Dziadek wstał i spojrzał ponad przepierzeniem na środkową część wystawy, poświęconą wyrobom firm Bendix, Rockwell oraz innych korporacji sponsorujących kongres. Zauważył, że w jednym z paneli harmonijkowej ściany na wprost tej części sali są drzwi, także oklejone wykładziną. Były otwarte i wlewały się nimi dźwięki owacji, w których tonął stojący w tychże drzwiach tyłem do sali wystawowej Wernher von Braun. Kłaniał się i kiwał głową słuchaczom. Zapewniał sympatyków i kogoś z asysty, kto stał nieopodal, że owszem, ma się świetnie. W końcu zamknął drzwi, przez co odgłosy aplauzu przycichły, i obrócił się przodem do korporacyjno-sponsorskiego działu wystawy. Otaksował wzrokiem ekspozycję, jakby zamierzał je ukraść albo nakazać ich zniszczenie. Jego niegdyś jasne włosy były siwe, tu i ówdzie upstrzone plamami barwy kości słoniowej, jak przeżarte nikotyną zęby. Zachowały jednak gęstość i zgodnie z modą były dość długie. Ich jasny odcień kontrastował z zaczerwienioną twarzą. Von Braun wyglądał, jakby dopadła go jakaś raptowna dolegliwość: skurcz żołądka, ból pleców lub zatrzymanie pracy serca. Dziadek usiłował sobie przypomnieć, na jaką chorobę tamten podobno umiera.

Spojrzenie von Brauna spoczęło na wysokim fikusie, który rósł w terakotowej donicy kształtu dyni w przeciwległym rogu sali. Laureat Medalu Saturna ruszył nierównym krokiem w stronę rośliny. Rozpiął suwak rozporka brązowych spodni od garnituru i wyjął starego bladego fiutka. Pierwsze krople deszczu cicho zastukały o ziemny kort, a potem rozległ się przerywany chłupot,

jakby ktoś po zakończonym przyjęciu wylewał na trawnik niedopite resztki piwa z butelek. Von Braun stękał, klnąc pod nosem najsprośniejszą niemczyzną, jaką dziadek słyszał po wojnie. On sam od pewnego czasu też oddawał mocz już nie z tym co dawniej wigorem, więc odruchowo zaczął się litować nad zdobywcą Księżyca. Ten wytrwale robił swoje i po paru minutach stało się jasne, że – jeśli wierzyć efektom akustycznym – zdołał uciuć kałużkę. Wytrząsnął jeszcze kilka opieszłych kropli, po czym zgarbił się, żeby zapiąć suwak.

Dziadek zapomniał tymczasem, że miał omijać Wernhera von Brauna. Gdy Niemiec odwrócił się tyłem do fikusa, napotkał spojrzenie nieznanego, który stał za przepierzeniem. Zrobił bardziej zakłopotaną, a już na pewno bardziej skruszoną minę, niż dziadek by się po nim spodziewał. Latami hołubiona nienawiść zaczęła słabnąć. Bo i czymże różnił się von Braun od jakiegokolwiek innego człowieka, którego wielkość była głównie owocem ambicji, tej niezawodnej hodowczynie potworów? Ambitni mężowie od Herkulesa aż do Napoleona stali po kostki w masakrze, zarazem wyciągając ręce ku niebu. Skądinąd nie sposób było też zaprzeczyć, że dzięki nieugiętej ambicji von Brauna tylko jeden naród w dziejach ludzkości zdołał pozostawić swoją flagę – nie mówiąc już o dwóch piłeczkach do golfa – na Księżycu.

– Winszuję nagrody – rzekł dziadek.

– Dziękuję – odparł von Braun. Przestał już wytrzeszczać oczy jak przyłapany winowajca i tylko przyglądał się dziadkowi spod zmrużonych powiek. Może zastanawiał się, czy powinien go skądś znać. A może po prostu próbował odgadnąć jego zdanie o dorosłym mężczyźnie (jakimś hipotetycznym albo tym konkretnym), który w hotelu oddaje mocz do doniczki. Dziadek podejrzewał, że von Brauna nurtuje raczej to pierwsze pytanie. – Jestem ogromnie wdzięczny za ten zaszczyt i poparcie.

– O, nie głosowałem na pana – sprostował dziadek.

Von Braun zamrugał oczami i kiwnął wielką, siwą, zaniedbaną głową.

– W takim razie na kogo?

– Na siebie.

Niemiec szeroko się uśmiechnął i spytał dziadka o nazwisko.

Dziadek poczuł, że jego serce raptem przyspiesza. Czy von Braunowi zdradzono, jak nazywał się znalazca ukrytego z jego rozkazu skarbu, czyli dokumentacji V-2 – ten, przez kogo Niemiec stracił jeden z atutów podczas rokowań z więzzącymi go aliantami? A jeżeli to nazwisko pamiętał lub rozpoznał, czy wezwałby policję albo kazał wyrzucić rozmówcę za drzwi? I jeszcze jedno, istotniejsze pytanie: czyżby dziadkowi trafiła się wreszcie okazja dopięcia sprawy, którą tamtej nocy odłożył na później, żeby spełnić obowiązek? Skończył pięćdziesiąty dziewiąty rok życia i wprawdzie nie był już tak silny jak w wieku dwudziestu dziewięciu, a nawet trzydziestu dziewięciu lat, ale też nie tak łatwo wpadał w furję. Od wyjścia z więzienia ani razu nie zdarzyło mu się szukać kłopotów. Okazało się to zaskakująco skutecznym sposobem ich unikania.

Podał von Braunowi swoje nazwisko. Najwidoczniej nic ono Niemcowi nie mówiło. Z całą pewnością ani razu nie padło w dyskusji, jak zauważył von Braun, ani – o ile pamiętał – nie figurowało na liście nominowanych.

– Byłem kandydatem dopisanym do listy – wyjaśnił dziadek.

Na ścianach działu wystawy poświęconego kosmicznej sztuce i rzemiosłu wisały wielkoformatowe odbitki kolorowych fotografii autorstwa uczestników kongresu. Silniki Rocketdyne pruły świetlistą szczelinę w błękitnej fladze poranka nad przylądkiem Canaveral. Jaskrawo ubrany tłum zgodnie wykręcał szyje, gapiąc się na coś, co leciało po niebie. Wschód księżycyca w pełni nad górą Erebus sfotografował przez teleobiektyw przy długim czasie naświetlania sam von Braun w trakcie wyprawy na Antarktydę w roku 1966 – głosiła tabliczka. Oleje i akwarele przedstawiające spacer w kosmosie, księżycowe pejzaże i wodowania kapsuł lądowniczych wisały na bambusowych sztalugach pomalowanych złotą farbą. Sporo obrazów ukazywało z pedantycznym realizmem nigdy niezbudowane pojazdy

kosmiczne i nietknięte ludzką stopą światy zrodzone z marzeń kosmofana. Kilka namalował wielki Chesley Bonestell, idol mojego dziadka. Na trzech stołach stały modele ракет, kosmoplanów, kapsuł, księżycowych modułów i łazików, zbudowane w różnych skalach i z rozmaitych materiałów. Wychodząc z za przepierzenia odgradzającego dział korporacyjno-sponsorski, von Braun minął dużego Bonestella, który przedstawiał Ziemię widzianą z Marsa jako pałającą kropkę akwamaryny wśród gwiazdzistej czerni.

Niemiec zatrzymał się przy stole z modelami, żeby popodziwiać dwie francuskie rakiety – Véronique i Centaure. Na wystawę przywiózł je mój dziadek, wymieniony na stojących przed nimi kartonikach jako autor obu miniaturek. Przyjął teraz komplementy von Brauna. Ten pochwalił ich urodę, po czym zbliżył się do stołu, za którym dziadek siedział nad rozgardiaszem własnej roboty. Na obrusie leżały porozrzucane wielokształtne kawałki plastiku w brudnawych odcieniach szarości i bieli.

– Co to jest? – spytał von Braun.

Dziadek zauważył, że gdy Niemiec mimo woli zahaczył spojrzeniem o ukończony w trzech czwartych model prototypu STK, odwrócił głowę, która lekko przy tym drgnęła, jakby widok promu kosmicznego był mu przykry lub wstrętny. Von Braun pochylił się, żeby uważniej przyjrzeć się porozrzucanym kawałkom rozmaicie uformowanego plastiku. Wziął do ręki podłużny element w kształcie litery U wytłoczony z szarego PCW. Obok leżał drugi, całkiem podobny, tyle że o nieco spłaszczonej krzywiźnie. Niemiec złożył z nich stożkową osłonę silnika odrzutowego.

– Używa pan części z gotowych zestawów? – Von Braun jeszcze raz spojrzął w stronę dwóch francuskich pojazdów stojących na stole wśród innych modeli.

Dziadek zrobił je (tak jak wszystkie, które aż do tamtej pory budował dla własnej przyjemności) głównie z balsy i klonu za pomocą precyzyjnych narzędzi snycerskich i kompletu Dremela. Wszystkie łopatki, klapki i owiewki wykonał ręcznie.

– Nie, to niemożliwe – dodał von Braun.

– Zwykle tego nie robię – odparł dziadek. – Tylko teraz tak się bawię. To tak zwane „szabrowanie zestawu”.

Jadąc z Nowego Jorku na kongres astronautyczny, dziadek zatrzymał się w Myrtle Beach, żeby zatankować, i zobaczył sklep modelarski. Wstąpił tam po najdrobniejszy papier ścierny do wykończenia modelu STK, który miał być tematem pokaz, dopóki nie wmieszał się w to los, posługując się przelotnym romanssem, piłką do squasha i pokrywką kubka z kawą. Dziadek zaczął budować model promu zaraz po poprzednim kongresie, lecz ubiegły rok okazał się tak burzliwy, że zabrakło czasu nie tylko na modelarstwo, ale i na wszystko inne.

W sklepie modelarskim w Myrtle Beach trwała akurat wyprzedaż plastikowych modeli do składania. Sądząc, że się z nich ucieszę, dziadek, który zamierzał w drodze powrotnej z kongresu do Nowego Jorku zatrzymać się w naszym domu w Columbi, bez namysłu kupił kilka zestawów: parę niemieckich czołgów, samolot Mitsubishi Zero, francuskiego mirage'a, helikopter Bell Huey, matadora American Motors Corporation i model kutra PT-73 ze starej komedii telewizyjnej McHale's Navy. Nabył też parę tubek kleju Testors.

W ciągu godziny, która minęła, odkąd rozpoczął pokaz, powycinał z ażurowych ramek trzymające się na cienkich wypustkach elementy (osie, rozpórki, wirniki, wieże artyleryjskie, drążki sterowe, części sportowych foteli matadora) i ułożył je na stole, żeby je lepiej ogarnąć wyobraźnią. Wyjął komponenty pancerza jednego z czołgów, po czym za pomocą noża X-Acto i kleju skonstruował z nich płaski kwadrat przypominający wielkością i kształtem podkładkę pod szklanę – szerszy o niecałe półtora centymetra od plastikowej pokrywki, którą dziadek maznął testorem i umieścił na gładkim wierzchu kwadratu.

– Co to takiego? Jeśli wolno spytać?

Dziadek nie odpowiedział. Nie zamierzał odpowiadać. Dzięki spotkaniu z Wernherem von Braunem stwierdził z ulgą, że z jego serca ulotniła się żądza mordu, a z mózgu pragnienie odwetu. Nie

miał jednak najmniejszej ochoty z tym człowiekiem rozmawiać.

– Jakiś luk? Płyta wyrzutni?

Dziadek usłyszał i rozpoznał w tym pytaniu, wręcz wychwycił jak anteną niepohamowane zaciekawienie – częstą przypadłość samotnych marzycieli. Przewyciężył chęć wyłuszczenia swoich teorii na temat księżycowego osadnictwa, chociaż pęd do wyłuszczenia był u niego cechą dominującą, potrzebą nieomal seksualną, rodzajem intelektualnej chuci. Czego zresztą miał nadzieję dopiąć dzięki upartemu milczeniu? W roku 1945 von Braun wymknął się zarówno jemu, jak i ręce sprawiedliwości. Nie dość, że uniknął okrutnego, ohydneho lub mściwego losu, jaki spotkał wielu jego towarzyszy i przełożonych, to jeszcze wspiął się na jedyny w swoim rodzaju szczyt sławy i uwielbienia. Był wśród nazistowskich skurwysynów ze wszech miar największym szczęściarzem, jaki kiedykolwiek żył.

– Satelita! – spróbował zgadnąć von Braun. – Jakieś ogniwo słoneczne?

W sumie należy uznać, że Wernher von Braun, jak naziście przystało, popełnił samobójstwo, a przynajmniej odebrało sobie życie jego marzenie, ofiara własnego sukcesu. Lotów na Księżyc zaniechano. Program Apollo był martwy. Dzięki nieustępliwej obsesji von Brauna w ciągu pięciu lat podróże na satelitę Ziemi nie były już w oczach ogółu cudowną i niemożliwą odyseją, tylko krótkodystansową przejażdżką autobusem; nie wypełnianiem narodowego mandatu, lecz największym marnotrawstwem kasy, jakie dotychczas wymyśliła ludzka nieroztropność. W NASA von Braun najpierw poszedł w odstawkę razem z Saturnami V, a w końcu całkiem pokazano mu drzwi. Megalomańskie plany wypraw, które od kilkudziesięciu lat stręczył w książkach pisanych wspólnie z Willym Leyem, w programach *The Wonderful World of Disney* oraz na stronicach pism „Collier” i „Life”, ilustrowane oszałamiającymi malunkami Bonestella, pełnymi wschodów Ziemi, lądowników na Marsie i farm krążących po niskiej orbicie okołoziemskiej, jakby zawieruszono w jakiejś dolnej szufladzie kultury. Nikt już nie rozmawiał o kołach orbitalnych w punktach Lagrange’a, o księżycowych

złożach helu 3 ani kolonizacji Marsa. Nadeszła epoka promów kosmicznych – latających ciężarówek. Von Braun był takim samym dinozaurem jak Saturn V. Dziadek chcąc nie chcąc trochę się nad nim litował.

- Reaktor jądrowy – powiedział.
- Poważnie?
- Tylko górna część. Reszta będzie ukryta.
- Gdzie?
- Pod powierzchnią Księżyca.
- To baza księżycowa?
- Dopiero zacząłem.

Von Braun przykucnął z grymasem bólu, aż jego oczy znalazły się na wysokości blatu.

- Jaka to skala? – spytał.

Najwidoczniej zapomniał, że raptem dwie minuty wcześniej dziadek przyłapał go na sikaniu do donicy z fikusem. Był przecież uznanym mistrzem wygodnego zapominalstwa.

- Nie wiem, pewnie jakieś jeden do sześćdziesięciu sześciu?
- Czyli maleństwo.
- Czterdzieści kilowatów powinno na początek wystarczyć.

Dziadek szperał wśród części, szukając malutkich czworokąćków (luster, kłapek akumulatorów, osłon strzelnic), którymi mógłby okleić powierzchnię modelu, żeby nadać jej urozmaiconą i realistyczną fakturę. Tę właśnie metodę zastosował Trumbull w modelach do *2001: Odysei kosmicznej*. Elementy różniły się kolorami, bo dziadek wyszabrował je z rozmaitych zestawów, i żaden nie miał barwy plastikowej pokrywki, lecz spryskane lakierem w tym samym matowym odcieniu jasnej szarości miały wyglądać całkiem przekonująco.

- Obieg Rankine’a? – spytał von Braun. – Jak w SNAP-10.

Był to domysł żałośnie chybiony, więc dziadek zapragnął wyjaśnić, czemu prostszy mechanicznie i wydajniejszy silnik Stirlinga byłby bez porównania lepszy od turbiny modeli SNAP, które von Braun i NASA forsownie lansowali dziesięć lat wcześniej. Tym razem zdołał jednak wytrwać w raz powziętym

postanowieniu, a von Braun wreszcie wyczuł niemy komunikat. A może po prostu zmęczyło go kucanie. Przytrzymał się bocznych krawędzi blatu i wstał. Wrócił do stołu z modelami, wyciągnął rękę i musnął palcem gładziuteńką powierzchnię Véronique pociągniętą lśniącem kremowym lakierem.

– Jest naprawdę przepiękna – oświadczył. Czekał, aż dziadek przytaknie tej ocenie lub ją podważy.

On jednak powstrzymał się od powiedzenia, że Véronique nie bez kozery zwróciła uwagę von Brauna, skoro jest w znacznym stopniu dziełem innej ekipy peenemündczyków, którzy wpadli w ręce Francuzów.

– A jednak – ciągnął von Braun. – Francuzi w kosmosie. – Uśmiechnął się. – Przyzna pan, że to trochę komiczny obraz.

– Tak? – wyrwało się dziadkowi. – A jak się panu podobają Żydzi na Księżycu?

– Co proszę?

– Izrael poprosił mnie o drobną konsultację – bez zająknięcia zełgał dziadek. – Wkłada mnóstwo energii, pieniędzy i pracy umysłowej w system kolejnej generacji, Jerycho 2. Księżycowe orbiter i lądowniki. Posłużą do budowy żydowskiego osiedla na Księżycu.

Von Brauna na chwilę zatkało, ale szybko się pozbierał. Trzeba przyznać, że umiał wyczuć ściemę, bo sam przecież nie mało się w życiu naściemniał.

– Doskonały pomysł – stwierdził. – To w sam raz miejsce dla nich.

Ale historia czarodziejskiej pokrywki od kubka z kawą na tym się nie skończyła. Późniejszym popołudniem młody brooklyńczyk – konstruktor promów kosmicznych – odszukał dziadka w sali wystawowej. Polecono jego uwadze modele Véronique i Centaure, a on przyznał, że są znakomicie wykonane, doktor von Braun ani trochę nie przesadził. Następnie spytał, czy dziadek dałby się namówić, a może nawet bez specjalnego namawiania zainteresować budowaniem modeli dla NASA – zarówno w ramach procesów badawczo-konstrukcyjnych, jak i dla celów edukacyjno-pokazowych. Dodał, że wynagrodzenie

byłoby niczego sobie.

Dziadek obiecał pomyśleć. Po chwili jednak zmienił zdanie, postanawiając przyjąć propozycję młodego inżyniera bez namysłu. Powiedział, że już i tak za wiele w życiu myślał, a szybka decyzja pozwoli mu pozbyć się problemu i zrobić miejsce w głowie na myślenie o czymś innym. Młody inżynier spytał, o czym na przykład dziadek tak rozmyśla.

– O Żydach na Księżycu – padła odpowiedź.

– Tak, tak, słyszałem – odparł młody inżynier. – Ten stary pierdolony nazista musiał chyba dostać kompletnej palmy.

Dziadek parsknął śmiechem.

– Punkt dla mośków – rzekł młody inżynier.

Na to dziadek roześmiał się jeszcze głośniejsze i nieprędko przestał. Kiedy odzyskał mowę, podziękował młodemu inżynierowi i zapisał jego numer telefonu, po czym uzgodnili, że wkrótce się skontaktują. W ciągu następných czterech lat dziadek zbudował dla NASA ponad trzydzieści pięć modeli w różnej skali, rozmaitych typów i zastosowań. Ich wierność i jakość zyskała mu znakomitą reputację, a w ślad za nią zamówienia od prywatnych kolekcjonerów z całego świata. Nie wątpił, że praca mimo woli zlecona przez Wernhera von Brauna pomogła mu wyjść z żałoby po stracie babki oraz firmy i sukcesów, które były dla niego takie ważne.

XXXIV

Dziadek stanął na lewej nodze, wciągając dzinsy na prawą, i stracił równowagę. Chciał się przytrzymać brzegu komódki. Ręka mu się omsknęła i zawadził nią o lampę podłogową. Jej chromowana podstawa odbijała akurat tyle rozproszonego światła, że było ją widać w ciemnej sypialni, toteż dziadek zobaczył, jak lampa się przewraca. Słońce jeszcze nie wzeszło. Próbował się ubrać po cichu, ale się zachwiał. Musiał wybrać, czy chronić przed upadkiem siebie, czy raczej lampę. Wybrał to pierwsze, znowu próbując – tym razem skutecznie – złapać za kant komódki. Lampa gruchnęła na terakotową posadzkę z donośnym brzękiem krowiego dzwonka, a ciemność rozdarł błękitny błysk i do żarówki z cichym cmoknięciem wtargnęło powietrze.

– Więc kiedy obiecałeś już więcej się nie wymykać chyłkiem o świcie – powiedziała Sally skądś spod poduszki – należało rozumieć, że i tak wyjdiesz, ale z hukiem.

– Przepraszam.

– Szczotka jest w kuchni.

Dziadek poszedł po szczotkę z szufelką na długim trzonku, a zanim wrócił, Sally zniknęła w łazience. Słyszał, jak akord jej rozprysniętego moczu odbija się pogłosem w załawkach muszli. Ten dźwięk zawsze go uspokajał. Koń śródnocne osamotnienie. Dziadek postawił lampę i zmiotł szkło, znów poszedł do kuchni i zsywał okruchy do wiadra. Było pełne, więc zapiął worek i wyniósł go do pojemnika, który stał przy domu. Minęła kolejna minuta, zanim znalazł żarówkę sześćdziesiątkę. Kiedy wrócił do sypialni, Sally siedziała na zaścielonym łóżku, wiążąc sznurowadła turystycznych butów.

– Co robisz?

– Masz zamiar znowu przez całe rano ganiać tego pieprzonego węża?

- Ja się tylko wybierałem do domu.
- A potem?
- A potem miałem zamiar przez całe rano ganiać tego pieprzonego węża.
- No to dzisiaj jadę z tobą.
- Jestem umówiony z Devaughnem.
- A czy Devaughn dziś w nocy nadstawił tyłek, żebyś mógł mu wsadzić?

Dziadka zaszokowało pytanie albo sposób, w jaki Sally je sformułowała, a może sama ta wstrząsająca, retorycznie przywołana wizja, ale się nie pogniewał. Potrzebna mu była kobieta, która umiała go zaszokować. Zgodził się z nią, że Devaughn istotnie nigdy nie przyznał mu takich swobód.

- Czy Devaughn upiecze ci gofry?
- Mało prawdopodobne.

Sally przestała wiązać sznurowadło i spojrzała z dołu na dziadka, a jej oczy mówiły: „Nie mam nic więcej do dodania”.

- Zgoda – powiedział dziadek. – Ale czy mogłabyś je upiec u mnie, na mojej płycie do gofrów?
- Dobrze. – Sally miała zdziwioną, ale dość uradowaną, a przy tym lekko skołowaną minę.

Odkąd zaczął się ich związek, jeszcze nigdy nie była u dziadka. Pomału zaczynało to trącić jakimś dziwactwem. Dziadek wiedział, że im dłużej odwleka zaproszenie, tym bardziej wygląda to tak, jakby miał coś do ukrycia.

- Co jest niby takiego wyjątkowego w twojej płycie?
- Działa lepiej niż twoja.
- Czyżby?
- Stał jest lepiej wysezonowana. Gofry nigdy się nie przyklejają.
- Rozumiem. Bardzo starannie wysezonowałeś swoją płytę, prawda?
- Tak.
- Wymaga to pewnie całej procedury.
- Owszem.
- Jest na to dobry i zły sposób.
- O, złych sposobów jest wiele.

- I tylko jeden dobry.
- W najlepszym razie.

Kiedy zajechali pod dom dziadka, Devaughn siedział na schodkach, paląc tiparillo. Dziadek spóźnił się siedem minut.

- Dzisiaj Sally mnie zawiezie – oznajmił.

Devaughn przez parę sekund sprawiał wrażenie autentycznie zdezorientowanego, a przez kilka następnych udawał, że jest zdezorientowany. Potem zrobił lekko urażoną minę. Nigdy wprawdzie tego głośno nie powiedział, ale dziadek wyczuł, że ochroniarz zdążył polubić te wspólne wyprawy do ruin Mandeville.

- Ona umi zabić węża?
- Może niech pan spyta ją?

Devaughn spojrział na Sally.

– Wiem, że celuje się w łapy – powiedziała kobieta. – Zgadza się?

Devaughn dźwignął się na równe nogi. Stał na progu, kiwając się to w przód, to w tył i przygryzając plastikowy ustnik cygaretki.

- Tak? – rzekł dziadek pytającym tonem.
- Mógłby mi pan chociaż zapłacić za ten cały czas, co żem go zmarnował.
- A kto ja jestem, Warren Buffett? Nie mam tyle pieniędzy.
- Znaczy się za dzisiaj. Za same rano.
- Jestem panu winien za godzinę czasu Devaughna.
- Taa jest.

Dziadek dał ochroniarzowi dziesięciodolarowy banknot. Devaughn złożył go na pół, a potem we czworo i wsunął do pudełka z cygaretkami, które nosił w kieszeni koszuli. Kiwnął głową dziadkowi i zasalutował Sally, przykładając palce do daszka czapki.

Dziadek otworzył drzwi mieszkania i usunął się z drogi, puszczając kobietę przodem. Z małego holu wchodziło się do salonu. Dzielilo je przepierzenie sięgające mniej więcej do pasa. Stało na nim rzędem jak drewniane kaczki sześć modeli wykonanych w ogromnym pomniejszeniu i umieszczonych na

specjalnych podstawkach. Modele te odtwarzały dzieje programu budowy promów kosmicznych zgodnie z chronologią, od Enterprise do Endeavour.

– Statki kosmiczne, co? – upewniła się Sally.

– Promy.

– Aha.

Dziadek zniknął na chwilę w kuchni i wyjął płytę do gofrów. Potem oznajmił, że przebierze się w strój łowcy węży. Sally nic na to nie powiedziała, a jeśli nawet, to żadne z nich dwojga mi tego później nie powtórzyło. Weszła do salonu i spróbowała się jakoś w nim odnaleźć. Było tam, jak to potem określiła, zatrzęsienie rakiet. Stały na wszystkich poziomych płaszczyznach: na stoliku przy kanapie, na półkach, na telewizorze. Francuskie Ariane, japońskie Mu, chińskie CZ-ty i argentyńska Gamma Centauro. Od salonu do głębiej położonej jadalni ciągnęła się długa ściana, pod którą u Sally stał duży kredens pełen porcelany, a która w innych mieszkaniach często bywała obwieszona rodzinnymi zdjęciami lub batikami w odcieniach ziemi przedstawiającymi sceny z życia w Izraelu i motywy biblijne, lecz u dziadka zasłaniały ją cztery szklane półki na metalowych wspornikach: najniższa wisiała tuż nad posadzką z terakoty, a najwyższa jakieś czterdzieści centymetrów pod sufitem. Stały na nich modele znanych rakiet nośnych produkcji sowieckiej, od wczesnych R-7, które wynosiły na orbitę Sputniki, aż do Protona. Inna, stosunkowo mała półka na ścianie nad telewizorem, mieściła kolekcję rakiet amerykańskich: był tam Atlas, Aerobee i Titan. Sally nie całkiem mogła się w tym wszystkim połapać i nawet gdy zerknęła na tabliczki przytwierdzone do podstaw modeli, nazwy i definicje niewiele jej mówiły. Widziała niebywale dopracowane detale – anteny i zawiasy klap luków, starannie nałożony lakier, dokładnie odtworzone znaki przynależności państwowej i inne symbole. Wszystko to wyglądało wprawdzie bardzo imponująco, ale niekoniecznie budziło w niej podziw.

Przez pierwszych kilka lat po przeprowadzce dziadek trzymał w salonie porządny komplet jadalniany, którego wedle mojej

wiedzy ani razu nie użył. W końcu pozbył się krzesel, a stół odsunął pod ścianę i wstawił na jego miejsce warsztat. Sally omiotła wzrokiem panujący na nim skądny rozgardiasz plastiku i drutów, rzędy i kolumny plastikowych szufladeczek opatrzonych etykietkami z taśmy przylepnej, na których czyjaś tajemnicza ręka wypisała takie słowa, jak „łotki”, „lusterka wsteczne” albo „złączki”.

– Sam je wszystkie zrobiłeś? – zawołała Sally.

Nie udało jej się przy tym stłumić nuty zgrozy. Nie żeby miała zasadniczo coś przeciwko hobbystom i ich konikom: w kręgach jej znajomych i wśród mieszkańców Fontana Village było takich sporo. Ale w rozmachu, głębi i niepodzielności uwagi, którą dziadek poświęcał rakietnictwu, a także w pedantycznej drobiazgowości odtworzonych detali dostrzegła tak nagą obsesję, że ją to przeraziło. I znowu: nie żeby miała coś przeciwko obsesjom. Wręcz przeciwnie. Uważała, że w sztuce im więcej nagości, tym lepiej. We własnym malarstwie sama polegała przecież na obsesjach i wewnętrznym przymusie nakazującym iść dalej, drążyć głębiej, przeciw naprzód.

(„Chyba chodziło po prostu o to, że, hmm... Akurat rakiety? – powiedziała mi. – Mają ten swój freudowski aspekt. Przecież cały wystrój domu tego człowieka sprowadzał się do symboli fallicznych”).

Otóż niezupełnie. Sally podniosła płachtę i zobaczyła model LAV 1, który dziadek ukończył w przeddzień ich pierwszego spotkania. Uklękła, żeby spojrzeć na niego z zabiej perspektywy. Spróbowała sobie wyobrazić, że objeżdża maleńkim łazikiem krawędź najdalej wysuniętego na północ krateru Księżyca. Nie udało jej się.

– Jak tam gofry? – spytał dziadek.

Wszedł ubrany w niebieski kombinezon, tupiąc czarnymi nieprzemakalnymi butami do pachwin, a na głowie miał kapelutek z madrasu w różowo-zieloną kratę, który Devaughn był uprzejmy wyszukać dla niego w zasobach biura rzeczy znalezionych.

– Oj, nie. – Sally wstała z kolan i obróciła się, żeby ustalić źródło

hałasu. – Nie, mój miły. Do polowania na węże trzeba się ubrać zupełnie inaczej.

– Naprawdę?

Sally pokręciła głową.

– Myślisz, że pozjadałeś wszystkie rozumy – powiedziała.

Na chwilę zniknęła w szafie ściennej. Szafa miała dwa drążki. Na lewym nie było żadnych ubrań ani wieszaków. Na prawym wisały w sporych odstępach koszule z zaszewkami i kilka par luźnych spodni oraz antracytowy garnitur, w którym dziadek wystąpił na pogrzebie babki i na wszystkich następnych. Sally westchnęła niby to gorzko, ale ta gorycz była tylko częściowo udawana. A potem rozległ się śmiech, chrapliwy jak wrzask mewy. Sally wyszła z szafy, trzymając w ręku hawajską koszulę, żartobliwy prezent ode mnie – palmowozieloną, ozdobioną postaciami brunatnoskórych, nagich od talii w górę tancerek hula, które różniły się tylko kolorami girland na szyi. Bez słowa wręczyła ją dziadkowi razem z wieszakiem i luźnymi spodniami z bawełny. Dziadek zdjął buty i kombinezon, a kiedy wkładał rzeczy, w które postanowiła go ubrać na węzowe podchody, usłyszał, że Sally rozmawia przez telefon. Gdy po raz drugi wyszedł z sypialni, stała ze Sputnikiem w lewej ręce jak z czaszką Yoricka i sprawdzała w jego pracownice wyzwierciedlonej powierzchni stan swojego koka. Uważnie przyjrzała się dziadkowi.

– Dużo lepiej – orzekła. – Dużo praktyczniej.

Kiedy odstawiała Sputnika na miejsce, uważając, żeby o nic nie zawadzić żadną z jego czterech długich anten, chyba do niej dotarło, co trzyma w ręku.

– Mieszkałam wtedy w Kalifornii – powiedziała. – Z pierwszym mężem. Tamtej nocy byliśmy u kogoś na imprezie i jeżeli się spojrzeło w niebo, można było zobaczyć ten ruchomy punkcik, jakby gwiazdę w pośpiechu. Ludzie się bali, że on może wieźć bombę albo sam być jakąś bronią, pamiętasz? Jeden przygłup próbował mnie zaciągnąć do łóżka, że niby z nieba zaraz nadleci zabójczy promień i nas wszystkich sproszkuje.

– I co?

- Rzeczywiście wszyscy ujaraliśmy się w drobny mak.
- Widzieliście tylko pierwszy stopień rakiety – sprostował dziadek. – Gwoli ścisłości. Żeby zobaczyć samego satelitę, potrzeba by lornetki.
- Ścisłość przede wszystkim. A to? – Sally pochyliła się, żeby przeczytać napis na tabliczce. – Sputnik 2. To ten z psem?
- Z Łajką.
- Z Łajką! Racja. A ten? – Wskazała palcem model satelity, który wyglądał trochę jak prymitywniejsza wersja znanych wszystkim kapsuł kosmicznych z epoki lotów załogowych. – Łunnik 3.
- Zrobił pierwsze zdjęcia dalszej strony Księżyca. Nikt jej przedtem nie widział.
- Bo była taka ciemna?
- To chybione określenie.
- Co ty powiesz.
- Wszystko zależy od definicji ciemności.
- Rzeczywiście – przyznała Sally. – A teraz chodźmy zapolować na węża.

Do centrum handlowego pojechali jej mercedesem. Daimler i wszystkie inne firmy korzystały z pracy niewolników mniej więcej tak samo, jak Mittelwerk, a już Żydzi zdaniem dziadka w ogóle nie powinni byli jeździć niemieckimi samochodami, ale wóz był piękny, ze spiętrzonymi reflektorami i kratą chłodnicy jak chromowana szafa grająca. Jego sześć cylindrów pluskało niby górski strumień po skałach. Był zresztą rok 1990, a dziadek dobiegał siedemdziesiątkipiątki, więc wytrwałe hołubienie urazy nie miało sensu i na pewno nie dowodziło wielkoduszności. Żydzi przeżyli Hitlera, a dziadkowi udało się przeżyć von Brauna.

Nie zwykł dawać się wozić innym kobietom niż jego własna córka. Zresztą nawet jadąc z moją matką, zazwyczaj prowadził sam. Tym razem zrzekł się jednak roli kierowcy, jednocześnie żegnając się ze swoją fobią na punkcie niemieckich aut i z wątpliwościami, czy wyobrażenia Sally o sposobach polowania na pytony są rozsądne.

Sally zamówiła przez telefon sprawunki we włoskich delikatesach obok Piggly Wiggly. Pieczywo, salami, pojemnik

oliwek, drugi taki sam z sercami karczochów, trzeci z faszerowaną ostrą papryczką i trzy rodzaje sera: twardy, miękki i półmiękki.

– Co, nie ma półtwardego sera? – zdziwił się dziadek.

– Sam jesteś półtwardy – odparła Sally.

W bagażniku miała dwa składane krzesła i stary wełniany koc. Dziadek cierpliwie stał, kiedy wieszala mu oba krzesła na ramieniu, po czym zaprowadził ją do zamkniętej na kłódkę bramy.

– I co dalej? – spytała Sally.

Dziadek zrobił wtedy coś dziwnego. Postawił krzesła na ziemi obok papierowej torby z jedzeniem. Ukłęknął przed kłódką, bardzo się starając nie skrzywić ani nie stęknąć. Przyłożył do niej ucho i lekko obrócił tarczę w lewo. Zrobił skupioną minę.

– Naprawdę to słyszysz?

– Cśś.

Dziadek znieruchomiał po wybraniu pierwszej cyfry, a potem dalej odstawiał włamywacza, dopóki kłódka raptem się nie otworzyła.

– Imponujący wyczyn – uprzejmie powiedziała Sally. – Jestem pod wrażeniem.

– Wystarczy znać sposób.

– Pewnie po każdej twojej wizycie zmieniają kłódkę? I dlatego nie opłaca ci się zwyczajnie zapamiętać szyfru?

– Jakaś ty sprytna – odparł dziadek. Otworzył bramę na oścież. – Pani pierwsza.

Wprowadził ją na teren klubu. Poszli drogą w stronę starego budynku tonącego w powodzi pnączy, a potem skręcili w lewo. Aż do dawnego parkingu przed klubem droga była niezbyt zarośnięta. Usiedli na składanych krzesłach i przykryli sobie kolana serwetkami. Dziadek położył na swojej serwetce salami oraz sery i wyjął scyzoryk. Ukrajał kilka kawałków bagietki i włożył je w nadstawione dłonie Sally. Obrął salami ze skórki przypominającej papier. Przez ten czas Sally wsunęła mu w usta faszerowaną papryczkę, a potem oliwkę.

Dziadek poszedł w końcu za radą swojego lekarza i wybrał się

do specjalisty. Diagnoza była niepomysłna. Wiedział, że będzie musiał wtajemniczyć Sally, ale bał się, czy ona wtedy nie stwierdzi, że po prostu nie czuje się na siłach jeszcze raz przeczłogać się tą samą drogą. Trudno zresztą byłoby mieć jej za złe.

– Zrobię ci superprzegryzkę – powiedział dziadek. – Tak na to mówiła moja córka.

– Czyli co?

– Kanapkę ze wszystkim po trochu.

– Tego właśnie mi trzeba. Poproszę superprzegryzkę.

Dziadek ukrajał cienki klin półmiękkiego sera i położył go na kawałku bagietki. Na to salami, a na sam wierzch serce karczocha i paseczek ostrej papryczki. Podał kanapkę Sally.

– Super – powiedziała.

Sobie dziadek zrobił taką samą przegryzkę. Wiatr przeczesywał trawę oraz korony rzewni i mirtów. Po niebie przeleciał samolot, ciągnąc za sobą baner, który upominał publikę, że ma oszaleć po skonsumowaniu czegoś tam. Było dwadzieścia dwa w cieniu.

– Widzisz? – powiedziała Sally. – Tak to się robi.

Pochyliła się i ucałowała go w policzek, a on skorzystał z okazji i też ją pocałował, ale w usta. Przysunęła się do niego z krzesłem, żeby oszczędzać swoje zartretyzowane ramię. Dziadek objął ją w talii, podniósł i posadził sobie na kolanach. Chrupnęło mu w barku, a płócienne siedzenie składanego krzesła jęknęło pod dubeltowym ciężarem.

– Kto był prezydentem, kiedy ostatnio tak się kimś niewinnie podpieszczęłeś? – spytała Sally.

– Gerald Ford.

– Richard Nixon.

Drogą za drzewami i za bramą przejechało na pełnym gazie jakieś auto, sypiąc z okien trzepoczącymi wiązkami kubańskich trąbek. Dziadek pocałował Sally w solniczkę przy szyi. Z dekoltu rozpiętej bluzki buchnął obłok perfum Opium, od których dosłownie zakręciło mu się w głowie. Oparł policzek o wolutę obojczyka Sally, usiłując zebrać myśli. Przypomniał sobie wyczytaną gdzieś informację, jakoby świątynię delficką, siedzibę

starożytnej wyroczni, zbudowano nad uskokiem, z którego unosiły się opary głębinowego złoża węglowodorów, czyli transy i prorocstwa Sybilli wywoływało zatrucie etylenem. Miał nadzieję, że sam nie zacznie wygadywać podobnych niedorzeczności. Zamknął oczy i poddał się upojeniu.

– Kocham cię – powiedział.

Poczuł, że się napięła, a kiedy podniósł głowę, napotkał jej zdumione, wręcz powątpiewające spojrzenie, jakby jego słowa zabrzmiały szczególnie wieszczco. Ale taka właśnie była prawda, więc mógł tylko ulegle ją przyjąć.

Coś zaszeleściło w zaroślach niecałe siedem metrów od polany, na której zjedli lunch. Trzasnęło parę gałązek. Dziadek wstał. Przyjrzał się krzakom, z których według jego oceny dobiegały te dźwięki. Rozdął nozdrza i poczuł, że z chaszczy zalatuje zepsutym jajem, a może raczej kwiatami gnijącymi w wazonie z wodą. Wszystkie włoski na karku stanęły mu dęba. W płataninie brązowych gałęzi i ciemnozielonych liści przemknęło coś jasnego. Dziadek sięgnął po młot na węże.

– Nie – powstrzymała go Sally. – Daj spokój.

Chwycił trzonek i niecierpliwie przesunął drugą ręką po jego lakierowanej powierzchni, na przemian napinając i rozluźniając palce. Od dawna próbował sobie wyobrazić, jak by się czuł, gdyby spuścił ten kawał stali na czaszkę z igiełkowatymi zębami. Kiedy przed śmiercią wspominał tamten moment, leżąc na wynajętym szpitalnym łóżku w pokoju gościnnym u mojej matki, przyznał, że chyba z góry się cieszył na myśl o zmiążdżeniu czaszki węża. Tłumił przecież gniew od dnia, gdy wszedł w mury więzienia Wallkill, a życie od tamtej chwili aż do tej w zeszłym tygodniu, gdy usłyszał diagnozę, z pewnością obficie podsycalo tę cichą furię. W istocie jednak nie potrzebowała ona żadnego katalizatora ani pretekstu. Znikąd nie pochodziła, bo była dziadkowi wrodzona tak jak tęsknota, ciekawość czy smutek. Miał ją po prostu we krwi. Trudno mu było się wyrzec tego upragnionego trzasku gruchotanej kości.

– To urocze, że przysięgłeś pomścić kota mojego zmarłego męża, podjąłeś się tej szlachetnej misji i tak dalej. Ale jeśli mam

być całkiem szczerą, trochę mnie to też złości. Nie potrzebuję, żebyś był moim rycerzem. Nie potrzebuję ratunku. I pamiętaj, chłopcze: nie pokocham cię wzajemnie, dopóki nie będę w stu procentach przekonana, że nie byłbyś zdolny zatłuc węża młotem kowalskim.

– Rozumiem – powiedział dziadek.

Odłożył młot. Znów podszedł do krzesła i stanął za Sally, kładąc jej dłoń na ramieniu.

Szelesty i trzaski wzmagaly się narastającą kadencją, która w końcu rozwiązała się w rytmicznym człapaniu krok za krokiem, aż wreszcie z krzaków wylazło jakieś zwierzę. Dziadek nie od razu zdołał ustalić jego przynależność gatunkową. Kiedy przedarło się na otwartą przestrzeń, kosmate i szare w brązowo-czarne smugi, pomyślał, że może to być wyjątkowo duży i dobrze odżywiony szop pracz, ale nie miało takiego platfusowatego chodu jak szopy.

– O mój Boże – westchnęła Sally. Zwierzak znieruchomiał. Zaskrzeczał jak żaba rycząca. – Ramon.

Zakrzepła na czole i szyi kota krew zdążyła już poczernieć. Niegdyś białe skarpetki zafarbowwały na różowawy brąz. Chyba stracił jedno ucho, a ogon miał zagięty jak pogrzebacz. Brzuchem prawie powłóczył po asfalcie.

– Upasteś się, Ramon – stwierdziła Sally.

Kot w odpowiedzi znów zaskrzeczał, wyraźnie rozeźlony. Sally wstała i ruszyła ku niemu, zanim dziadek zdążył ją powstrzymać. Ramon wyszczerzył zęby i warknął ostrzegawczo. Dziadkowi nasunęło się pytanie, czy zwierzę nie ma aby wścieklizny i czy nie będzie musiał jednak użyć młota, a jeżeli podbije kota jak piłkę albo zdzieli w łeb, to czy Sally rzeczywiście już nigdy nie zdoła go pokochać.

– Przerażliwie śmierzisz – oświadczyła Ramonowi kobieta. – Utuczyłeś się i zaśmiardłeś.

Kot niezdecydowanie zadreptał w miejscu, wydeptując na asfalcie koślawą ósemkę. Chyba szwankowała mu jedna łapa. Przy każdym sztywnym kroku wywijiała się na zewnątrz.

– Ma dziury w facjacie.

– Ślady zębów.
– O mój Boże. Wdał się w walkę z pytonem.
– Od miesiąca nikomu nie zginął żaden zwierzak – powiedział dziadek. – Ramon chyba wygrał to starcie.
– Ramon! – z podziwem rzekła Sally. – Oy, jego biedne ucho! – zawołała przez ramię. – A ten ogon? Pokieroszowało kota. Naprawdę sądzisz, że zabił węża?
– Sądzę.
– Czyli niepotrzebnie przez parę tygodni włóczyłeś po bagnach ten wielgachny *shtekn*. – Sally zbliżyła się jeszcze o krok do kota, on jednak nagle przestał się nią interesować. Odwrócił się i pokuśtykał z powrotem między drzewa, w liściasty mrok.
– Ups. Już po sprawie? Poszedł sobie.
– Ależ z niego, kurwa, twardziel – orzekł dziadek.
Sally zawołała kota po imieniu, a potem powtórzyła ten okrzyk sposobem wyuczonym w Południowej Filadelfii, drąc się tak jak tamtej nocy, kiedy ona i dziadek się poznali.
– Chyba jest szczęśliwy – powiedziała.
– Nie do wiary, że mnie ubiegł.
– Jesteś zazdrosny?
– Jestem zły.
Sally podeszła do dziadka i go objęła.
– Przykro mi – powiedziała. – Może chcesz zabić chociaż Ramona?
– Nie dzisiaj – odparł dziadek.
Sally oparła mu głowę na ramieniu. Nie wyznała, że go kocha, a on nigdy jej nie powiedział o cieniu w swoim brzuchu – ani wtedy, ani żadnego z nielicznych szczęśliwych dni, które jeszcze razem przeżyli.

XXXV

Nieco ponad rok później wstąpiłem do Coral Gables na wieczór autorski w ramach promowania swojej drugiej książki. Books & Books gnieździło się wtedy na kilkudziesięciu metrach kwadratowych w tynkowanym na różowo budynku o parę numerów od swojego obecnego adresu. Mnie ciasnota nie przeszkadzała, ale nie bardzo było gdzie rozstawić składane krzesła. Gdyby udało mi się zwabić więcej niż minian podstarzałych Żydów, mogła rozgorzeć zażarta walka o miejsca siedzące. Ludzie, którzy w tamtych czasach przychodzili na moje spotkania autorskie, często byli mi nie całkiem obcy, a tamtego wieczoru w Books & Books kilkoro spośród kombatantów znało mnie jako wnuka moich dziadków. Był tam na przykład dentysta, który wyreperował mojej babce zęby po jej przyjeździe do Baltimore. I sąsiadka z Fontana Village, która tak smakowicie (przynajmniej moim zdaniem) narzucała się dziadkowi ze swoją wersją klusek z serem à la Horn & Hardart. Jego stary kumpel z Shunk Street. Był kierownik działu sprzedaży z MRX.

W czasach studenckich przed wieczorem poezji w starym barze Gustine'a przy Forbes Avenue jakiś kawalarz poradził mi odrywać co pewien czas spojrzenie od kartki i spoglądać na słuchaczy „dla nawiązania kontaktu wzrokowego”. Okazało się, że nie ma skuteczniejszego sposobu, żeby zapomnieć, dokąd się doczytało, wpoić słuchaczom przekonanie, że jest się dziwolągiem, albo po prostu upaść na duchu. Przy słabej frekwencji duchowy upadek następował na widok pustych krzeseł. A jeżeli dzięki szczęśliwemu trafowi lub literówce w anonsach frekwencja była niezła, przyczyną upadku ducha stawało się to, że wiedziony nieomylnym instynktem patrzyłem w oczy tylko tym gościom, którzy akurat marszczyli brwi, ziewali bądź wyglądali trochę niezdrowo. Im więcej czasu mijało od ostatniej nieudanej próby nawiązania kontaktu, tym bardziej się

spinałem, aby w końcu spojrzeć na słuchaczy w dowolnie wybranym momencie, niechcący dodając osobliwej emfazy jakiemuś przypadkowemu „zatem” albo co gorsza – nieuchronnym zrządzeniem losu – takim słowem, jak „pieprz”, „jądro” lub „wydymał”. Zanim trafiłem do Coral Gables, nauczyłem się stawiać ptaszki przy czterech–pięciu odpowiednich wyrazach w różnych miejscach tekstu, który miałem zamiar przeczytać. Ilekroć docierałem do kolejnego ptaszka, automatycznie podnosiłem wzrok, modląc się, żeby spoczął na kimś, kto nieźle się czuje albo będzie przynajmniej łaskaw stwarzać takie pozory.

Gdy tamtego wieczoru w Books & Books spojrzałem na słuchaczy, posłuszny ptaszekowi numer dwa, zobaczyłem piękną kobietę, która stała przy drzwiach wychodzących na róg Salzedo Street i Aragon Avenue. Patrzyła na mnie przyjaźnie, a zarazem taksująco. Baczenie i chłodno, ale nie zimno; bez sentymentów, lecz nie twardo. „Oczy malarki” – pomyślałem. I jeszcze srebrzyste włosy z ciemnoszarymi pasmami, zaczesane do góry w nieporządną kok, wrodzona opalenizna i śmiała architektura nosa oraz policzków. Dziadkowi właśnie te policzki przypominały Katharine Hepburn, ale ja typowałbym raczej Anjelicę Huston. Zanim przy trzecim ptaszku znów spojrzałem w jej stronę, gdzieś sobie poszła. Mój duch i ja doznaliśmy niejakiego upadku.

Nie pojawiła się już w dalszym ciągu wieczoru ani pod sam koniec, kiedy składałem autograf na paru egzemplarzach. Opowiedziano mi o przerażającym stanie uzębienia mojej babki. I o tym, jak irytujące było zaprzątnięcie dziadka detalami modeli, gdy w sumie szło tylko o skonstruowanie czegoś w rodzaju petardy, która wzbiłaby się bardzo wysoko i nie wybuchła. Od kilku osób przyjąłem spóźnione kondolencje. W końcu pożegnałem się z Mitchem Kaplanem i wyszedłem. Mieszkałem w hotelu, a raczej podrasowanym motelu przy bulwarze Ponce de Leon, więc uznałem, że właściwie mogę tam dojść pieszo. Nie dotarłem nawet do pierwszej przecznicy, kiedy ktoś dotknął mojej ręki i kobiecy głos zagadnął:

– Mike.

– Tak też myślałem, że to może być pani – odparłem.

Podaliśmy sobie ręce, ale zaraz powiedziała:

– Nie.

No to się uściskaliśmy, stojąc na chodniku przy Cudownej Mili. Miała figurę jak klepsydra – ulubiony typ dziadka, lecz w dotyku wydała mi się dużo delikatniejsza niż na oko. Kości jej ramion pod bluzką były giętkie jak klamerki do wieszania bielizny. Nabrałem pełne nozdrza pomarańczy i goździków. Przypomniałem sobie, jak dziadek twierdził, że Sally bez umiaru spryskuje się perfumami Opium.

– Ledwo starczyło mi odwagi – przyznała mi się, kiedy już mnie wypuściła z uścisku. Z czerwonej skórzanej torebki w kształcie plecaczka wyjęła jednorazową chusteczkę i otarła nią oczy. Powiedziałem, że może też bym się poczęstował chusteczką.

– Ale nigdy bym sobie nie wybaczyła – dodała.

– Prawdę mówiąc, myślałem, że wyszłaś.

– No bo wyszłam. Ale trochę posłuchałam, co czytasz. Zanim poszłam na kawę.

– O – westchnąłem.

– Byłeś dobry. Ale ja jestem wzrokowiec. Nic mi nie wchodzi przez uszy.

– Aha.

– Jeżeli mam być szczerą, to chyba pomalutką głuchnę. Jesteś głodny? Zjadłbyś coś?

Odnaleźliśmy jej samochód – dostojnego mercedesa 280 koloru płaszcza z wielbłądziej wełny. W rogu tylnej szyby płowiąła nalepka parkingowa Hewlett-Packarda. Wnętrze przesyciła woń opium podszyta zapachem skórzanej tapicerki uszkodzonej przez słońce, a z jeszcze głębszej warstwy cierpko zalatywało witaminami. Sally zawiozła nas do kubańskiej restauracji, którą podobno lubiła, ale gdy tam dotarliśmy, ledwo skubnęła swoją porcję smażonej ryby. Kiedy zamówiłem *lechón*, powiedziała „raz świni śmierć” i postanowiła też zjeść wieprzowinę. Lecz zanim kelner zniknął w kuchni, przywołała go z powrotem i oświadczyła, że jednak zje rybę.

– Wychowałam się w koszernym domu, ale po wyprowadzce od rodziców przez pięćdziesiąt lat jadłam świninę. A teraz nagle nie mogę wziąć jej do ust. Nawet bekonu! Co się ze mną dzieje?

Powiedziałem, że nie mam na ten temat żadnej koncepcji, ale to nie była prawda. Coś podobnego przydarzyło się pod koniec życia mojemu dziadkowi, a ja przypuszczałem, że ma to pewien związek ze śmiertelnością. Uznałem jednak, że byłoby nieuprzejmie mówić takie rzeczy dopiero co poznanej starej damie. W końcu sama to powiedziała.

– W okopach nikt nie jest ateistą, prawda? – Rozejrzała się po pseudoceglanych ścianach, blatach stołów z czerwonego tworzywa i kutych żyrandolach. – Widocznie jestem w okopie.

– W tym przynajmniej dają *lechón*.

– Nie sądzisz, że Boga gównem obchodzi, co ludzie jedzą?

– Oby miał lepsze rzeczy do roboty niż przejmowanie się takimi drobiazgami.

– Ha. Wiesz, skąd znam ten ton?

Sally podzieliła rybę na równiutkie kwadraciki. Nabrała na widelec trochę czarnej fasoli i ryżu, a potem nadziała jeden taki kwadracik. Kiedy porcja była już gotowa, odłożyła widelec na talerz, aż zadzwięczało. Do końca kolacji już po niego nie sięgnęła.

– Nie kochałam go – oświadczyła. – Żeby było jasne.

– Nie?

– Może pomału do tego dojrzywałam. Jak na dwoje staruszków poczynałiśmy sobie chyba dosyć ostro i z zarem. Ale mieliśmy tylko sześć miesięcy.

– Wiem – powiedziałem. – To rzeczywiście niedługo.

– Kiedy ma się siedemdziesiąt dwa lata? To jak dla piętnastolatków sześć tygodni. A potem wziął i dostał raka.

– Był z tobą za bardzo szczęśliwy. Nie chciał słyszeć o raku.

– To by było śmieszne, gdyby nie było prawdą. Palisz?

– Właśnie rzucam.

– Ja też.

Sally machnęła na kelnera, dała mu pięć dolarów i poprosiła znośną hiszpańszczyznę, żeby poszedł do sklepu alkoholowego

tuż obok i kupił jej paczkę papierosów True. W końcu jednak tylko wysepiła od niego winstona.

– *Muchas gracias, corazón.*

– *A la orden, señora.*

Kelner poklepał się po kieszeniach, szukając zapalniczki. Wyjąłem tę po Aughenbaughu, bo ją dostałem od matki. Sally poznała zapalniczkę. Obróciła głowę w bok, żeby na mnie nie dmuchnąć, i wypuściła długą turbulencję dymu.

– I nie gniewaj się, ale powiem ci, że niełatwo byłoby go pokochać. Chociaż nie mówię, że nie był kochany.

– A był?

– Miał mnóstwo kochanych cech. Był inteligentny. Ładnie wyglądał z tymi szerokimi barami. Był całkiem sprawny jak na swój wiek, ale nie latał z opaską na głowie i ciężarkami w trzydziestostopniowym upale jak niektóre stare pryki. No i wszystko potrafił zreperować. Dosłownie każdą rzecz. Mam przenośne radio, takie z odtwarzaczem kompaktów, wiesz. Płyty ciągle przeskakiwały. Naprawił to. A tam w środku jest przecież laser.

Nikt nie darzył technicznej wiedzy i zręczności dziadka większym poważaniem niż ja, ale wątpiłem, czy udałoby mu się zreperować coś aż tak nowoczesnego jak laser. Tylko kiwnąłem głową.

– Miał nawet coś w rodzaju poczucia humoru.

– O, jeszcze jakie.

– Mroczne.

– Bardzo mroczne.

– Chociaż ujawniało się dopiero po bliższym poznaniu. A wiesz, co w nim było chyba najbardziej kochane?

Czekałem w milczeniu. Wydawało mi się, że Sally kochała mnóstwo cech tego człowieka, w którym podobno nie była zakochana.

– Nie przeszkadzało mu, że się z niego nabijam, kiedy się śmiesznie zachowywał. A bywał strasznie śmieszny z tymi swoimi drobnymi dziwactwami. Odmierzał mąkę tą, jak jej tam... menzurką.

– Zawsze widziałem w tym pewien sznyt.
– Parzył kawę w kolbie Erlenmeyera.
– Wychodziła świetna.
– No i ta zapalniczka.
– Ciągnęła się za nią długa historia.
– Nie wątpię. Wszystkie jego historie za czymś się ciągnęły.
Słyszałeś o polowaniu na węża?

– Trochę.
– Zachowywał się jak kapitan Ahab. Jak John Wayne w...
– *Poszukiwaczach*.
– Z powodu starego popierdującego kota. I jeszcze pozował przy tym na rycerza.

– Lubił mieć konkretny cel.
– No i te rakiety. Wszędzie modele. Ten cały bzik na punkcie kosmosu. Jechać ponad trzysta kilometrów z lornetką, żeby zobaczyć, jak wystrzelą na orbitę metalową puszkę. Mnie to śmieszyło.

– A jego wcale. Bardzo serio traktował sprawę.
– I właśnie to było takie śmieszne. – Sally nabrała na widelec trochę mojego *lechón*. – Mm. Czy twoja babka się z nim droczyła?

– Czasem – powiedziałem. Właściwie nie pamiętałem. – Na pewno.

– Potrzebował walki. Zmagań. Musiał czuć, że ciężiej pracuje, dźwiga na barkach większy ciężar niż ktokolwiek inny. Do wszystkiego podchodził jak zapaśnik. Jakub z aniołem. Nawet z rakiem uparł się walczyć samotnie. Nie przyznał mi się ani słowem. A wyście wiedzieli?

– Nie mieliśmy pojęcia.

– Prawdę rzekłszy, miał skłonność do zgrywania męczennika.

– Dobrze się czuł w tej roli – przyznałem.

Sally poprosiła o rachunek.

– Twój dziadek nie miał ze sobą lekko – powiedziała. – Może mu odrobinę ulżyłam, czy ja wiem. – Zrobiła troszkę łzawą minę. – Ale jakby on też zadbał o to, żebym miała ciut lżej, to by już była obraza boska.

Kiedy kelner przyniósł rachunek, próbowała zapłacić, ale

powiedziałem, że koszt kolacji pokryje mój wydawca.

– Ho, ho – odparła. – Ty to dopiero masz lekko, chłopcze.

XXXVI

Moja matka wysłała ciało swojego ojca samolotem z Oakland do Filadelfii, gdzie odbyła się ceremonia żałobna i pogrzeb na cmentarzu Montefiore. Pochowano go obok mojej babki, jego rodziców i brata⁶⁸. Mój brat wziął sobie wolne i zamiast kręcić pilota serialu *Kosmos: 2099*⁶⁹, przyleciał z Los Angeles. Rabin, który pochował moją babkę, przeszedł tymczasem na emeryturę. Jego następca był niewiele starszy ode mnie i chyba trochę mu się spieszyło. Stawili się różni starzy przyjaciele i znajomi, między innymi kilkoro Moonblattów i Newmanów, którzy jeszcze chodzili po świecie. Padły słowa uznania. Potem każdy z nas sypnął szpadlem na trumnę trochę ziemi, która stuknęła w wieko jak deszcz miotany wiatrem o szybę. Po pogrzebie spotkaliśmy się w domu ciotecznej siostry dziadka w Wynnewood. Wychylaliśmy szklaneczki śliwownicy, a ja wysłuchiwałem skrótowych i sprzecznych opowieści o niektórych dawnych zdarzeniach. Przytoczono kilka rezolutnych lub sprytnych powiedzonek mojego brata i moich z lat chłopięcych. Potem brat musiał wskoczyć w samolot do LA. Po imprezie matka i ja pojechaliśmy na noc do hotelu w pobliżu lotniska.

Mieliśmy wspólny pokój z dwoma wielkimi łózkami. Porozmawialiśmy o różnych rzeczach, które zobaczyliśmy lub usłyszeliśmy w ciągu dnia, po czym matka zgasiła światło. Przez cały dzień widziałem, jaka jest wzburzona, ale składałem to na karb żałoby albo napięcia. Kiedy tak leżeliśmy w ciemnościach, czułem, że ten stan w niej narasta. Co chwila przewracała się z boku na bok. Jej ręce szeleściły o pościel, jakby ktoś ze złością

68 W roku 1985 stryj Ray umarł na zawał w Los Angeles, gdzie znalazł posadę „konsultanta do spraw bilardu” na użytek kina i telewizji. Chociaż widział tylko na jedno oko, zdarzało mu się zwyciężać w turniejach, a na boku wciąż od czasu do czasu grywał na pieniądze. W chwili jego śmierci mieszkalem w Paryżu, więc nie byłem na pogrzebie.

69 Dalszego ciągu niestety nigdy nie nakręcono.

szeptał. Nie mogła zasnąć, więc i ja nie spałem.

– Nie śpisz, Mike?

– Nie.

– Chciałam cię o coś spytać.

– Dobra.

Wiedziałem, o co zapyta, a przynajmniej nie zdziwiłem się, kiedy pytanie już padło. Od kilku dni wciąż tę sprawę przeżuwałem i się nad nią głowiłem.

– W zeszłym tygodniu – rzekła matka – zaszłam was znienacka, akurat kiedy tata przykazywał ci, żebyś mi czegoś nie mówił.

– Aha.

– No to czego miałaś mi nie mówić? – Siła się na beztroski ton, ale głos lekko jej drżał, jakby wczasu uzbierała się w odwagę. Jakby żywiła pewne podejrzenia.

Wtedy oczywiście nie miałem pojęcia, co babka wyznała doktorowi Medvedowi. Dopiero czternaście lat później odwiedziłem Mantoloking, spustoszone przez huragan Sandy. Tamtej nocy w Marriocie przy lotnisku w Filadelfii wiedziałem tylko, że babka opowiedziała lekarzowi o sobie i swoim życiu we wstrząsanej wojną Europie zupełnie inną historię, chyba wręcz radykalnie odmienną od wersji, którą wcześniej przedstawiła dziadkowi, a przynajmniej rzucającą na tę wersję nowe, niepokojące światło. W każdym razie doktor Medved najwyraźniej przypuszczał, że kiedy dziadek usłyszy tę nową opowieść, zburzy mu ona spokój. Czyli babka w gruncie rzeczy okłamała męża i córkę, a dziadek właśnie to kazał mi przed matką zataić. Bał się, że sama świadomość kłamstwa babki (niezależnie od jego treści) może zniweczyć kruche dzieło wybaczenia mojej matki. Tylko tyle wiedziałem.

Czy w ogóle da się wybaczyć zmarłym? Czy wybaczenie to uczucie, czy raczej transakcja wymagająca udziału partnera? Złożyłem obietnicę komuś, kto nie mógł być świadkiem jej dotrzymania. Chciałem uszanować życzenie dziadka, a przed pytaniem matki łatwo mogłem zrobić unik. Dochowywanie sekretów było przecież w naszej rodzinie dziedzicznym fachem. Wydawało mi się jednak, że nikomu z nas nie przyniósł on żadnej

korzyści.

– Chodziło o coś, co babka powiedziała o sobie psychiatrze w Greystone – odparłem. – Ale dziadek nie wiedział, co to właściwie było.

Powtórzyłem matce historię o wizycie u doktora Medveda w wersji zasłyszanej od dziadka. Roześmiała się, kiedy opowiedziałem, jak dziadek postanowił, że woli nie wiedzieć. W ciemnym pokoju jej śmiech zabrzmiał smętnie.

– Za mojego dzieciństwa wciąż coś zmyślała – rzekła, kiedy skończyłem. – Co chwila ją na tym przyłapywałam. Twierdziła, że opowiada historyjki. „O! – Matka przybrała akcent babki, dokładnie naśladowując jej ton i chrypkę. – Masz hację, opowiedziałam histohyjkę”.

Po ciemku jej sposób mówienia tak bardzo przypominał babciny, że zjeżyły mi się włosy na przedramionach.

– Mnie opowiadała po prostu stare bajki – odparłem. – Kiedy mieszkałem u dziadków w Riverdale.

Stojąca za drzwiami naszego pokoju maszyna do lodu przechodziła chyba ciężkie chwile. Nie od razu usłyszałem w ciemnościach, że matka cicho siąka nosem.

– Myślisz, że byli w ogóle kiedyś szczęśliwi?

– Niewątpliwie.

– *Niewątpliwie?*

– Na pewno.

– Ona zwariowała. Jego firma upadła. Nie mogli mieć dzieci. On poszedł siedzieć. Ona od HTZ dostała raka. Ja strzeliłam jego bratu w oko, a potem wyszłam za faceta, przez którego stracił firmę. No to kiedy byli szczęśliwi?

– W szczelinach? – powiedziałem.

– W szczelinach.

– No.

Rano musieliśmy wcześniej wstać, żeby zdążyć na samoloty. Pierwszy zadzwonił budzik matki, która uważała, że potrzebuje o kwadrans więcej niż ja, żeby się przygotować, lecz gdy odezwał się mój, była jeszcze w koszuli nocnej i siedziała na brzegu łóżka. W rękę miała fragment LAV 1, który dziadek zabrał ze sobą do

Kalifornii – ten najwcześniejszy, czyli ogród księżycowy. Trzymała go tuż przy oku, przyglądając się naszym figurkom w skali 00, usadowionym wśród hydroponicznych różyczek i marchewek.

– Po co to przywiozłaś?

– Chyba mi odbiło, bo spakowałam do torby jego rzeczy, książkę, zdjęcia. Jakby po długiej miłej wizycie wracał do Fontana Village.

Wstałem, a ona podała mi pomalowaną szarym sprejem tarczkę. Spojrzałem przez uchyloną klapkę luku na ludziki, których dziadek miał na pozór płonną, lecz w końcu spełnioną nadzieję uchronić i przewieźć w bezpieczne miejsce. Półtoracentymetrowi dziadkowie siedzieli na grawitacyjnej kanapce, półtoracentymetrowa matka na takimże krześle, na sąsiednim jej centymetrowy, najwyżej dziesięcioletni syn, a na jej kolanach tyci jak groszek drugoklasista. Wszyscy w wygodnych, praktycznych kombinezonach z niebieskiej tkaniny i antypoślizgowych skarpetach. Wokoło bujne natki marchewek i róże jak szminkowe całuski. W tej skali detale można było tylko zamarkować, więc dziadek poprzestał na tym, że pomalował twarze farbą w cielistym kolorze. Ich bezwyrazowość wydawała mi się z początku dziwaczna, a może nawet symboliczna w jakiś sposób, nad którym wolałem się nie zastanawiać, ale do tamtego ranka zdążyłem się już z nią oswoić. Wyobraźnia mogła wpisać w ten bezkształt uśmiechy. I każdą dowolną historyjkę, wedle gustu.

Dziadek zaniemówił dzień przed śmiercią. Tak się złożyło, że w rozmowie, która miała się okazać naszą ostatnią, spytałem go, czy po kongresie w Cocoa Beach spotkał jeszcze kiedyś von Brauna. Pokręcił głową. Zabolało go przy tym ruchu. Spróbował dźwignąć się do pozycji siedzącej, stękając ze zniecierpliwienia. Pomogłem mu podnieść wezglowie bliżej pionu, ale powiedział, że tak jest gorzej. Opuściłem je więc, ustawiając pod bardziej rozwartym kątem niż na początku. Ta pozycja okazała się jeszcze

gorsza. Z powrotem podniosłem wezgiowie i ubiłem poduszki, a jedną wsunąłem dziadkowi pod kolana. W tym położeniu zanadto gniotło go w pięty. Powiedział, że od leków przeciwbólowych chce mu się wyleźć ze skóry. Wcale nie usuwały bólu, tylko pomagały płynąć po jego powierzchni i nie tonąć. W końcu przestaliśmy szukać wygodniejszej pozycji.

– Nie, nigdy więcej nie widziałem von Brauna – odparł dziadek.
– Po kilku latach umarł. Nie pamiętam na co, ale umierał w bólach. Podobno piekielnie go bolało.

Czekałem na dalszy ciąg, spodziewając się, że doda coś w rodzaju „I należało mu się” lub „Czyli może jednak Bóg istnieje”. Ale dziadek już nic nie powiedział. Długo leżał z zamkniętymi oczami, wiosłując po morzu bólu, z wolna zmierzając ku końcowi swojej historii, albo – jeżeli ten wielki eschatolog Wernher Magnus Maximilian Freiherr von Braun miał rację – ku początkowi jakiejś nowej, która już czekała na drugim brzegu.

Podziękowania

Walter Gates Gill (kierownik zbiorów działu zdrowia archiwum stanowego New Jersey w Trenton), Judy Fosca i Evan Alkabetz (kierownicy badań bibliotecznych – ona w Centrum Kosmicznym imienia Johna F. Kennedy’ego na przylądku Canaveral, on w Bibliotece CIA w Langley), Esther Stecher (z domu Mangel), Jessica Sichel, Barry Kahn i Lorraine Medved-Engel ogromnie by mi pomogli ukończyć tę książkę, gdyby tylko istnieli. Ian Faloon i Justine Frischmann niewątpliwie istnieją, a ich dobroć i gościnność nieraz ratowała tej powieści życie. The MacDowell Colony w Peterborough w stanie New Hampshire jest tak bezgranicznie szczodra, jakby była nie z tego świata, lecz i ona jakimś cudem istnieje, podobnie jak Phil Pavel i cały personel wysoce nieprawdopodobnego Chateau Marmont w Hollywood.

Wuj mojej matki, Stanley Werbow (1922–2005), profesor średniowiecznej niemczyzny z Uniwersytetu Stanowego w Teksasie i były sierżant sztabowy, który podczas bitwy pod Monte Cassino uczestniczył w działaniach bojowych wraz z Osiemset Czterdziestą Dziewiątą Jednostką Wywiadowczej Służby Sygnałowej, za namową jednej z córek podyktował niedługo przed śmiercią część swoich wspomnień z dzieciństwa i młodości żydowskiego chłopca, spędzonych w Filadelfii i Waszyngtonie w początkach XX wieku. Opowieść ta – fragmentaryczna i chaotyczna, a zarazem żywa, inteligentna i gorzko kpiarska jak sam jej autor – skrzesła iskłę, która stała się zarzewiem powyższej fabuły i wzbogaciła ją o pewne elementy, w znacznej mierze decydujące o jej klimacie. Wuj Stan mieszał także w garnku, w którym upichciłem *Związek Żydowskich Policjantów*, a podczas pracy nad niniejszą książką okazał się jednym z najbardziej pomocnych i najsurowszych czytelników. Mam nadzieję, że ten monstrialny pasierb jego bezpretensjonalnych wspominków przypadłby mu do gustu.

Gdyby przyszywany potomek mu się nie spodobał, wuj z pewnością nie omieszkałby mi o tym powiedzieć.

Of Spies and Stratagems Stanleya Lovella, *Von Braun: Dreamer of Space, Engineer of War* Michaela Neufelda, *Operation Paperclip* Annie Jacobsen, *Doctor Space* Boba Warda, *The Nazi Rocketeers* Dennisa Piszkiewicza, *South Philadelphia* Murraya Dubina ani *Jewish Baltimore: A Family Album* nie ponoszą żadnej winy za ten stek kłamstw. *The Köln Concert* Keitha Jarretta, *Depths* duetu Windy & Carl i pierwsza płyta A Victory for the Sullen pod tymże tytułem niezawodnie zagłuszały głosy, ilekroć te zaczynały szemrać po kątach. A kiedy szukałem drogi ucieczki, uroczy wstęp Alejandra Jodorowsky'ego do jego *The Way of Tarot* robił ze mnie Głupca.

Jestem wdzięczny za pomoc Stevenowi Barclayowi, Jennifer Barth, Jonathanowi Burnhamowi, Sonyi Cheuse, Amy Cray, Mary Evans, Simonowi Franklowi, Madalyn Garcii, Courtney Hodell, Adalis Martinez, Maddie Mau, Howie Sandersowi, E. Beth Thomas, Lydii Weiner i Emily Werbow, a Sophie, Zeke'owi, Rose i Abe'owi Chabonom za natchnienie, wyrozumiałość i dobroczynne rozpraszanie uwagi.

I wreszcie – tak jak na początku i po drodze na każdym kroku – winien jestem wiekuiście wdzięczność za wsparcie, słowa otuchy, miłość i opiekę, a zwłaszcza za samo – wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu – istnienie Ayelet Waldman.